

WISŁA KRAKÓW

SEN O POTĘDZE



MATEUSZ MIGA

EQN
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON



**WISŁA
KRAKÓW**

TA KSIĄŻKA SIĘ NIE UKAŻE

Gdy zaczynałem zbierać materiały do tej książki, nie przypuszczałem, że spotkam się z tak specyficznym odbiorem. Gwoli ścisłości – rozmawiałem w tym czasie z wieloma osobami, które z przyjemnością opowiedziały mi o swoich wspomnieniach związanych z pobytami w Wiśle. Śmiało mogę stwierdzić, że większość osób, z którymi się skontaktowałem, podeszła do mojego projektu z życzliwością. Uznały one, podobnie jak ja, że dzieje Wisły za czasów rządów Tele-Foniki, w okresie, gdy ośmiokrotnie sięgała po tytuł mistrzowski, to po prostu ciekawa historia.

Ale były też inne postawy. Z każdą kolejną rozmową w krakowskim środowisku piłkarskim o mojej pracy robiło się coraz głośniejsze. Zaczęłem odbierać dziwne sygnały. „Daję panu pięć procent szans na to, że ta książka w ogóle się ukaze”, powiedział jeden z rozmówców, który ostatecznie nie udzielił mi wywiadu. Dlaczego? „Chodzi o Bogusława Cupiała. Spytałem jedną z osób z jego otoczenia, czy powinienem udzielać się w tej książce. Stanowczo odradziła, postanowiłem więc nie ryzykować. Wie pan, duży może więcej. W ogóle w środowisku informacja o tej książce została przyjęta bardzo chłodno”, tłumaczył.

Usłyszałem to w momencie, gdy miałem gotową niespełna połowę książki, a w środowisku już wtedy zapanowało przekonanie, że piszę ją tylko po to, by na kilkuset stronach pastwić się nad Bogusławem Cupiałem. Inny rozmówca zgodził się na spotkanie dopiero wtedy, gdy zapewniłem go, że tak nie będzie. „Boję się, że chce pan przedstawić Cupiała w bardzo złym świetle, a ja nie chcę mieć z nim kłopotów”, mówił.

Nie skończyło się na jednej odmowie. „To nie jest dobry moment na taką publikację. Niech się pan dobrze zastanowi nad tym, co pan robi”, argumentowała kolejna osoba, która odmówiła mi wywiadu. Powoli zacząłem uświadamiać sobie, jak silną obawę odczuwają niektórzy ludzie przed właścicielem klubu. „Chodzi o dobre stosunki, o miejsce w loży, o drzwi do Cupiała, które teraz są otwarte, a zaraz mogą się zatrzaskać”, tłumaczył jeden z moich rozmówców. Od dwóch różnych osób usłyszałem, że książka pisana jest na zlecenie. Kogo? Tego już się nie dowiedziałem.

„Jakbym opowiedział wszystko, co wiem, miałby pan hit XXI wieku, ale nie powiem, bo wolę mieć spokój”, zadeklarował człowiek, który kiedyś należał do zaufanych współpracowników Cupiała.

Najbardziej jednak zaskoczył mnie jeden z byłych prezesów klubu. Spotkał się ze mną, a potem długo i odważnie opowiadał o Bogusławie Cupiale. Dwa miesiące później, gdy książka była niemal gotowa, odpowiedział wreszcie na kolejną prośbę o autoryzację. Po konsultacji z prawnikami wyparł się swoich słów i zażądał, aby zostały usunięte.

Osoby, które odmówiły mi współpracy, miały dla mnie jedną i tę samą radę: „Niech pan namówi do udziału w tym projekcie Bogusława Cupiała”.

Od początku miałem taki zamiar. Uznałem, że pod koniec pracy nad książką, gdy jej ostateczny kształt będzie już dość wyraźnie zarysowany, gdy w głowie będę mieć klarowny obraz wydarzeń ostatnich 17 lat, zwrócę się do Cupiała z prośbą o udzielenie odpowiedzi na najbardziej palące pytania. Uznałem, że kto jak kto, ale właściciel ma wyjątkowo silne prawo do przedstawienia swojego punktu widzenia, do powiedzenia ostatniego słowa, do postawienia kropki nad i. Przecież gdyby nie on, nie miałbym o czym pisać.

Nie liczyłem, że uda mi się uzyskać wypowiedzi Bogusława Cupiała, i... miałem rację. Wszystkie próby dotarcia do właściciela klubu zakończyły się niepowodzeniem. Próbowałem na kilka sposobów, żaden nie okazał się skuteczny, nie mam nawet pewności, czy moja propozycja ostatecznie do niego dotarła, czy przepadła gdzieś po drodze. Próby dodzwonienia się na jego komórkę również spełzły na niczym.

Ostrzegano mnie, zapowiadano, że książka się nie ukáže. A jednak udało się i tak naprawdę nikt, oprócz tych kilku osób, które odmówiły mi współpracy, nie rzucał mi kłód pod nogi.

Wszystkie wypowiedzi zawarte w książce są autoryzowane, chyba że rozmówca autoryzacji nie wymagał.

UTRACONE MARZENIE

10 grudnia 2002 roku, mroźny wieczór w Gelsenkirchen. Śniegu jeszcze nie ma, ale czuć w powietrzu, że lada dzień spadnie. Szykuje się sroga zima. Chwilę po godzinie 19.00 Bogusław Cupiał patrzy na pustoszejące trybuny ultranowoczesnej Areny AufSchalke, ale zaraz ponownie opuszcza wzrok na murawę. Widzi, jak Maciej Żurawski zagrywa szybką piłkę, a niemieccy piłkarze, podobnie jak ich kibice, myślami są już chyba poza stadionem. Teraz Mirosław Szymkowiak biegnie skrzydłem, podnosi głowę i podaje do Kamila Kosowskiego, a ten w pełnym biegu, z rozwianą fryzurą, na raty, ale jednak – strzela czwartą bramkę dla Wisły. Zdiera z siebie koszulkę, rzuca byle gdzie, już nawet nie próbuje zapanować nad emocjami. Chwilę później sędzia Tom Henning Øvrebø gwizdże po raz ostatni, właściciel Wisły wstaje – na pozór całkowicie spokojny – odbiera gratulacje.

– Warto było czekać. To jeszcze niedokończone dzieło, ale ma solidne fundamenty – mówi po wygranej 4:1. Już zawsze chciał widzieć swoich piłkarzy grających tak jak wtedy, w meczu z Schalke.

Kilka godzin później w samolocie Adam Piekutowski podnosi słuchawkę interfonu i komunikuje:

– Halo, halo. Mówi kapitan, czy mnie słyszać? Drzwi sprawdzone. Można lecieć!

Boeing 737 z Münster do Krakowa podrywa się w powietrze. To najszczęśliwszy lot w historii Wisły. Lądowanie pamięta tylko pilot.

Bogusław Cupiał oraz jego dwaj wspólnicy – Stanisław Ziętek i Zbigniew Urban – pojawili się w Wiśle pod koniec 1997 roku. Klub szedł na dno. Pstryknięciem palców zlikwidowali wszystkie problemy, w ciągu kilku miesięcy wyjęli z portfela ponad trzy miliony dolarów, a Wisłę posłali w drogę, na której przez lata nie miała w kraju konkurencji. W drogę, która miała się zamienić w autostradę do Ligi Mistrzów. Nigdy tak się nie stało, blask gwiazd z herbu Ligi Mistrzów okazał się oślepiający. Wisła jechała drogą krajową, do Europy zaglądała zazwyczaj dość nieśmiało i raptem na chwilę, rzadko tak zdecydowanie jak wtedy w Gelsenkirchen, jednak na własnym podwórku przez 14 lat tylko momentami dawała się komuś doścignąć. Najgroźniejsi rywale się zmieniali, ale to ona ciągle wygrywała.

Polską piłkę klubową wywrócili do góry nogami. Gdy inne kluby dreptały w miejscu, kombinowały, ciułały kasę, jedne upadały, w ich miejsce pojawiały się nowe, dziwne twory, kupowały, sprzedawały mecze, nagle Wisła, na którą od dłuższego czasu patrzono w kraju z politowaniem, przepchała się z drugiego szeregu i zrobiła krok do przodu. Krok w nieznaną, którym odmieniła siebie i całą ligę. To Wisła była pierwszym klubem, który oferował w pełni profesjonalne kontrakty, umowy splanowano co do grosza, a na rynku transferowym konkurencja nie istniała. Jej wizytówką jest drużyna zbudowana w sezonie

2002/03 – w Europie mogła grać z każdym. Już nigdy potem żaden polski klub nie dysponował zespołem tak silnym, a do tego złożonym niemal w całości z Polaków.

W 2015 roku Wisła znów jest na skraju bankructwa, z finansową pętlą u szyi. Na boisku nie straszy ligowych rywali, trzy sezony z rzędu nie potrafiła się zakwalifikować do europejskich pucharów. Najcięższą walkę toczy w gabinetach księgowych. To walka o przetrwanie. Co stało się z kolosem, który przez lata wyznaczał kierunki innym polskim klubom?

Co stało się z marzeniem Bogusława Cupiała?

1. NAD PRZEPAŚCIĄ

Wisła wysychała. Z miesiąca na miesiąc płynęła wolniej i wolniej, długi były coraz większe, a perspektywy bledsze. Choć przystąpiła do rozgrywek sezonu 1997/98, nikt nie był pewien, czy je ukończy. „Bywało, że miesiącami czekaliśmy na i tak skromne wypłaty”, wspomina Grzegorz Pater, który wchodził wtedy do pierwszej drużyny. Aby wiązać koniec z końcem, po treningach pracował na budowie. „Gdy brakowało pieniędzy, to po prostu pożyczalem od znajomych i rodziny”, mówi Bogdan Zając. „Ludzie w tym klubie nie narzekali już na nic, bo do kłopotów byli przyzwyczajeni od dłuższego czasu”, dodaje Paweł Adamczyk, który latem 1997 roku przyszedł do Wisły ze Śląska. Z jednego bankruta do drugiego.

Gdy zbliżał się start rozgrywek, trener Wojciech Łazarek koniecznie chciał zmobilizować piłkarzy.

– Panowie, sytuacja w klubie zmierza w naprawdę dobrym kierunku – zaczął zaraz po wejściu do szatni. Gdy piłkarze podnieśli z zainteresowaniem głowy, kontynuował: – Naprawdę wiele udało się już załatwić. Zdzichu Kapka kupił wam nowe buty, zagracie też w nowych koszulkach.

Nowe buty. Nowe koszulki. Innych argumentów brakowało. Oczekiwania wobec piłkarzy też nie były wielkie – celem było utrzymanie, o niczym więcej nie było sensu myśleć.

Czym była Wisła? Porzuconym dzieckiem. Rozklekotaną drużyną z rozpadającym się, wiecznie rozkopanym stadionem, z fatalnym błotnistym boiskiem. Z piłkarzami, których nikt inny nie chciał. Miała za sobą wspaniałą historię, ale teraźniejszość była przykra, a przyszłość mglista, nikt nie potrafił jej choćby zarysować. Życie klubu przypominało wegetację.

W złym kierunku płynęła od dawna, w zasadzie, z małymi przerwami, od przełomu lat 80. i 90. W końcu musiała osiąść na mieliźnie. Wiele klubów nie radziło sobie z trwającą od kilku lat przemianą ustrojową i podobnie było z Wisłą. Jeszcze w 1991 roku zespół zajął trzecie miejsce w lidze, a Tomasz Dziubiński założył koronę króla strzelców, ale później było coraz gorzej. W 1993 roku „cała Polska widziała” – piłkarze Białej Gwiazdy tylko przyglądali się, jak Legia Warszawa strzela im sześć bramek. „Od tego meczu rozpoczęły się poważne kłopoty. Choć nikomu niczego nie udowodniono, na wielu zawodników nałożyliśmy dyskwalifikacje, PZPN ukarał nas trzema ujemnymi punktami na starcie nowego sezonu, w efekcie rok później spadliśmy z ligi”, mówi Ludwik Miętta-Mikołajewicz, który z klubem związany jest od 1948 roku, najpierw jako koszykarz, potem trener, działacz, w końcu prezes.

WÓDKA DLA KOLEGÓW

Wskutek czystki w kadrze pojawiło się kilku nowych zawodników, w tym Artur Sarnat. „Pamiętam to jak dziś. Nim trafiłem do Wisły, przez pół roku byłem zawodnikiem

Cracovii. 3 lipca brałem ślub z Basią, zawodniczką sekcji piłki ręcznej Pasów. Zrobiono z tego wyjątkowe wydarzenie – oto przecież piłkarz Cracovii brał za żonę piłkarkę ręczną tego samego klubu. Daliśmy się namówić na wszystko – Basia była na biało, ja na czerwono – jakby w pasach. Ślub Cracovii, kapelan Cracovii, kibice Cracovii, działacze Cracovii, po prostu pasiaste święto. No a dzień później podpisałem kontrakt z Wisłą”.

Kibice Pasów byli zdezorientowani, czuli się oszukani. Szybko skończył się także miesiąc miodowy młodej pary. Dzień po ślubie żona zawiozła pana młodego do Straszęcina na zgrupowanie Wisły i przez najbliższe dwa tygodnie już go nie zobaczyła.

Na obóz Sarnat wziął ze sobą skrzynkę szampana, którym chciał uraczyć nowych kolegów z zespołu, i kilka butelek wódki, w zamyśle dla trenerów. Pracę w charakterze pierwszego szkoleniowca zaczynał wówczas Marek Kusto i najwyraźniej chciał pokazać, kto tu rządzi. Nie zgodził się, by piłkarze wypili do kolacji po lampce szampana, więc jeszcze tego samego wieczora zawodnicy, po cichu, szybko i sprawnie opędzłowali w pokojach wszystkie flaszki, w tym wódkę przeznaczoną dla Kusty i jego współpracowników.

W 1996 roku, na 90-lecie klubu, pod wodzą Henryka Apostela Wisła wróciła do najwyższej klasy rozgrywkowej. Ale pieniędzy ciągle było za mało. „Wiedzieliśmy, że musimy znaleźć sponsora. Gdyby się to nie udało, pewnie jakoś byśmy przetrwali, jednak długi rosłyby z każdym miesiącem”, mówi Miętta-Mikołajewicz.

„Mieszkałem w Krakowie, więc zawsze przyglądałem się temu, co się działo w Wiśle. Po transformacji ustrojowej wiadomo było, że nie będzie to czołowy klub w Polsce – wspomina Orest Lencyk. Jako trener pracował w klubie już w latach 70. – Wisła była wówczas klubem resortowym, więc miałem do czynienia z pułkownikami milicji, przedstawicielami Urzędu Bezpieczeństwa. Jakoś udawało mi się z nimi porozumieć, bo widzieli, że moja praca przynosi efekty. Nieszczęście zaczęło się, gdy najważniejszym człowiekiem w krakowskiej milicji został generał Jerzy Gruba [ten sam, który dowodził oddziałami ZOMO podczas pacyfikacji kopalni Wujek w 1981 roku – przyp. aut.]. Od tamtej pory wszystko zaczęło się sypać. Podejmował decyzje za plecami, na zasadzie: »Wiecie, musicie, rozkaz«. Wszystko skończyło się wielkim kryzysem”.

Aby utrzymać się przy życiu, systematycznie sprzedawano największe gwiazdy – Tomasza Dziubińskiego, Kazimierza Moskala, wreszcie Grzegorza Kaliciaka. Gdy w 1996 roku menedżer Janusz Kowalik zaprosił tego ostatniego do hotelu Cracovia i na kartce napisał, ile może zarobić w Belgii, 21-letni piłkarz zwariował. „Nim trafiłem do Belgii, byłem na testach we francuskim AS Nancy. Wszystko było dobrze. Do czasu. Kiedy przyjechał Tony Cascarino, wiedziałem, że mogę pakować walizki”, wspomina Kaliciak. Reprezentant Irlandii miał za sobą występy w Chelsea i Olympique Marsylia, on zaś był ledwie materiałem na niezłego napastnika. W końcu przeszedł do St Truiden.

Kaliciak tak podsumowuje tamtą Wisłę: „Przed moim wyjazdem w klubie było goło i wesoło. Niby pieniędzy brakowało, ale znalazły się fundusze choćby na to, by pojechać do Tajlandii na Puchar Króla. Było też sporo utalentowanej młodzieży. Pamiętam takiego piłkarza Pawła Gościniaka. W meczu młodzieżowej reprezentacji Polski z Holandią przykrył czapką Marca Overmarsa. Niestety później ich kariery potoczyły się w zupełnie

innych kierunkach. Paweł też lubił zabawę, alkohol. Roztrwonił swój talent, wielu innych także”.

SZOPA CZY OLISADEBE?

Po powrocie do ekstraklasy Wisła była chłopcem do bicia. W przedostatniej kolejce sezonu 1996/97 przegrała w Łodzi z ŁKS-em 0:5 i widmo spadku okazało się całkiem realne. Przed meczem ze Stomilem Olsztyn z piłkarzami spotkała się liczna grupa kibiców. Przesłanie było proste – jeśli przegracie, odwiedzi was 250 osób z kijami baseballowymi. Nietypowa forma motywacji najwyraźniej podziałała. Już po kwadransie było 2:0, ostatecznie skończyło się zwycięstwem 5:2. Kraków odetchnął z ulgą.

Aby w następnym sezonie uniknąć równie stresujących sytuacji, drużyna wymagała wzmocnień. Latem 1997 roku więcej jednak mówiło się o osłabieniach. Lider defensywy Bogdan Zając twierdził, że ma oferty z czołowych polskich klubów i lada chwila opuści Kraków. Tomasz Kulawik i Jacek Matyja zorganizowali dwuosobowy strajk. W lipcu wyszli na środek boiska treningowego tylko po to, by zakomunikować Łazarkowi, że ćwiczyć nie zamierzają, bo wkrótce przeniosą się do Polonii Warszawa. Całą trójkę udało się zatrzymać.

W klubie został także Janusz Świerad, chociaż był bardzo bliski sensacyjnego transferu do OFI Kreta. Wszystko było już dograne. „Nigdy wcześniej ani nigdy później czegoś takiego nie przeżyłem. Gdy wylądowałem w Grecji, na lotnisku czekali na mnie kibice, dziennikarze i kamery telewizyjne”, wspomina. Miał wziąć udział w jednym treningu i podpisać kontrakt. Zaraz na początku gierki treningowej jeden z rywali ostro go zaatakował. Świerad poczuł przeszywający ból, ale wytrzymał na boisku do końca. Gdy schodził do szatni, kolano miał już mocno opuchnięte. Grecy zrobili mu punkcję i odesłali do domu. „Podczas badania okazało się, że nie zerwałem więzadła, bo nie miałem go już przed wyjazdem do Grecji. Zerwałem je kilka miesięcy wcześniej, a mogłem grać, bo mięsień czworogłowy utrzymywał całą nogę. Na szczęście klub zachował się wspaniale, prezes Piotr Skrobowski zorganizował operację w Niemczech, we Freiburgu, i jeszcze jesienią wróciłem na boisko. Zagrałem w czterech meczach”, mówi Świerad.

W obliczu jego kontuzji palącym problemem stało się zatrzymanie Roberta Szopy. Wiosną 1997 roku grał on w zespole Wisły na zasadzie wypożyczenia z Rakowa Częstochowa. Zdobył pięć bramek, dzięki którym Biała Gwiazda zdobyła siedem punktów – bez tych goli nie utrzymałaby się w lidze. Klub z Częstochowy za transfer definitywny zażyczył sobie pół miliona. W sytuacji Wisły – zapewne o jakieś 450 tysięcy za dużo.

Wzmocnień szukano w niższych ligach. Na testach pojawił się między innymi 22-letni piłkarz trzecioligowej Kaszubii Kościerzyna Tomasz Kafarski. Angażu nie wywalczył, bo piłkarzem był kiepskim, za to pięć lat później wrócił do Krakowa jako początkujący trener, by odbyć staż u boku Henryka Kaspercza. Siłę ataku miał wzmocnić Krzysztof Palej, ale klubu nie stać było na wykupienie 28-letniego napastnika z Unii Tarnów, więc sprowadzano zawodników z takich klubów jak Aluminium Konin, Świt Krzeszowice, Glinik Gorlice czy Garbarnia Kraków. Szału nie było.

Nawet w takiej zapaści finansowej Wisła mogła się trafić prawdziwa perełka. W sierpniu na testach pojawiło się dwóch czarnoskórych piłkarzy. Marokańczyk przedstawił się jako Abdel Srie i przyznał, że z zawodu jest fotoreporterem. Drugi przybysz był Nigeryjczykiem. „Gołym okiem widać było, że gość ma smykałkę do gry. Był też szybszy od nas wszystkich”, mówi Marcin Pasionek. Miał 19 lat i nazywał się Emmanuel Olisadebe.

W Krakowie spędził ponad tydzień, długo czekał, aby zademonstrować swoje umiejętności, w końcu zagrał w sparingu z algierskim klubem WA Tlemcen (0:3), ale akurat w tym meczu wypadł blado. „Dwa razy bardziej podobał mi się jeszcze inny testowany piłkarz, Festus Agu. Facet miał za sobą grę w hiszpańskiej Composteli. Nie wiem, jakim cudem znalazł się w Krakowie”, wspomina Rafał Wójcik.

Oli pomieszkał chwilę w obskurnym klubowym hotelu, ale temat przenosin do Wisły powoli umierał śmiercią naturalną. Za transfer trzeba było zapłacić 150 tysięcy dolarów, a nikt w klubie nie wiedział, skąd wziąć taką kwotę, brakowało także przekonania, czy Olisadebe z marszu stanie się wartościowym zawodnikiem. Nawet gdyby udało się wygospodarować trochę wolnych środków, zapewne zostałyby przeznaczone na zatrzymanie Roberta Szopy. „W Wisłę poważnie myśleli o transferze Emmanuela, bo liczyli, że w przyszłości uda im się zarobić na wytransferowaniu go do większego klubu – zapewnia menedżer Ryszard Szuster, który przywiózł wówczas Olisadebe do Krakowa. – Pamiętam Wojtka Łazarka, który w swoim stylu rzucił, że jeśli sam miałby coś w skarpecie, wyłożyłby pieniądze na tego chłopaka. Czas płynął, a Wisła wciąż nie podejmowała decyzji. Nie mogliśmy dłużej czekać, więc w końcu pojechaliśmy szukać szczęścia gdzie indziej”, dodaje. Ostatecznie Olisadebe wylądował w Polonii Warszawa, ale na stadionie Wisły zawsze czuł się dobrze – jako piłkarz Czarnych Koszul i Panathinaikosu Ateny łącznie strzelił tutaj cztery gole.

OSZRONIONE KUFLE

Mimo kłopotów życie w klubie płynęło swoim rytmem. Do sezonu 1997/98 drużyna przygotowywała się na zgrupowaniu we Władysławowie. W drodze z wynajętego domu wczasowego na boisko treningowe piłkarze musieli przejść przez całe miasto, wzdłuż tętniących życiem ogródków piwnych. Widok oszronionych kufli był poważnym sprawdzianem silnej woli. I niektórzy mieli słabą silną wolę... Szybko znaleźli sposób, jak zmylić Łazarka. Po porannym treningu grupa zawodników czekała w szatni nieco dłużej, jeden z nich zerkał, czy trener wyruszył już w drogę powrotną. Gdy zniknął z pola widzenia, piłkarze szli prosto do knajpy. „Robiło się piwko lub dwa. Nie więcej, bo po południu był przecież drugi trening – mówi Sarnat. Pewnego razu Łazarek coś zwietrył, zawrócił i przyłapał zawodników na gorącym uczynku. – Puścił nam to płazem, ale swoje musiał pomarudzić”.

Z czasów sprzed Tele-Foniki Sarnat zapamiętał boisko, które po byle opadach deszczu zamieniało się w prawdziwe bagno. „Człowiek rzucał się za tą piłką w błocie po kostki. Gdzieś z boku stał Wojtek Łazarek i pokrzykiwał: »No ruszaj się, naleśniku!« – wspomina. – Pewnego razu Marek Zając był, zdaje się, po kontuzji. Trener zarządził trening stacyjny, piłkarze mieli wymieniać między sobą piłki i kończyć akcję

dośrodkowaniem w pole karne, gdzie stał Marek. »Marku, nie możesz jeszcze kopać, więc będziesz tylko strzelać szczupakiem« – zarządził Łazarek. Coś jednak pokręcił, bo w tym samym momencie w pole karne wpadły trzy piłki i Marek nie wiedział, którą ma uderzyć. Zaraz to dopracowali, a Marek przez półtorej godziny nie robił nic innego, tylko strzelał szczupakiem, lądując potem w błocie”.

KRZYSIEK, USIĄDŹ

Nadzieją na lepszą przyszłość była drużyna juniorów prowadzona przez Wojciecha Stawowego, która dwa razy z rzędu sięgnęła po mistrzostwo Polski. Twórcy tych sukcesów coraz odważniej wchodzili do pierwszego zespołu. Marcin Pasionek, Łukasz Surma i Paweł Weinar już byli podstawowymi piłkarzami drużyny Łazarka, a Rafał Wójcik, Krzysztof Piszczek, Paweł Nowak również grali coraz częściej.

„Mieliśmy po 18–19 lat, a za Wisłę dalibyśmy się pokroić. Problemem był jednak brak bazy treningowej. Boisko wyglądało, jakby przejechał po nim kombajn do buraków. Nie było szans, by szlifować krakowską piłkę. Trener Łazarek chodził ze sztychówką, kopał jakieś dołki i powtarzał, że on zrobi porządne boisko”, wspomina ze śmiechem Rafał Wójcik. Gdy pojawiła się Tele-Fonika, niektórzy musieli jednak zweryfikować swoje plany. W klubie zabrakło dla nich miejsca.

Tak było choćby w przypadku Krzysztofa Piszczka. Jeszcze w 1997 roku rozegrał 11 spotkań w pierwszym zespole, w następnym roku był już w rezerwach, Franciszek Smuda dał mu jeszcze zagrać w końcówce meczu z Newtown, potem musiał jednak odejść, tułał się po mniejszych klubach, aż wreszcie, wspólnie ze Stawowym, wylądował w Cracovii. Pasy pewnie zmierzały do drugiej ligi, a Piszczek szybko stał się ważnym ogniwem zespołu.

Gdy w kwietniu 2003 roku fani Cracovii świętowali awans, on jechał do Poznania, by rozpocząć walkę o życie. Problemy zaczęły się miesiąc wcześniej. Z jego ramieniem działo się coś niepokojącego, ręka drętwiała, ciemniało mu przed oczami, czuł się coraz słabiej, na treningu nie potrafił nadążyć za kolegami. Chociaż był zawodnikiem Cracovii, umówił się na wizytę u lekarza wiślaków Mariusza Urbana. Po serii badań spotkali się ponownie.

– Krzysiek, usiądź na chwilę – usłyszał.

Wyniki otrzymane ze szpitala ścięłyby z nóg największego twardziela. W organizmie piłkarza rozgościł się nowotwór złośliwy i zdążył niemal na wylot przeżreć głowę kości ramiennej w prawej ręce.

W 2008 roku Piszczek był po dwóch wycieńczających sesjach chemioterapii. Lekarze dawali mu 50 procent szans na przeżycie, większość z nich doradzała amputację prawej ręki. Nie chciał o tym słyszeć z dwóch powodów. Po pierwsze ciągle liczył na powrót do normalnego życia. Po drugie – bardziej niż śmierci bał się ludzkiej litości.

– To jedyna rzecz, z którą sobie nie radzę – powtarzał.

O powrocie na boisko już nie myślał, ale w 2004 roku wciąż miał nadzieję. Cały czas widział w sobie piłkarza. Pewnego dnia, łysy, wychudzony, wyczerpany dziesięciomiesięcznym leczeniem, pojawił się na Cracovii. „Nie liczyłem na wiele, chciałem dostać najniższą pensję i wrócić do treningów, a usłyszałem: »Idź na bezrobocie«”, wspominał. Gdy doszedł do siebie i w wieku 29 lat został samodzielnym

trenerem Kmity Zabierzów, dostał kolejnego kopniaka. Rak znów zaatakował. „Próbowałem pracować jak najdłużej, ale musiałem pamiętać, by nie dać się pozreć. Z dnia na dzień ból ręki narastał. Zapominałem o nim tylko w trakcie treningu. Gdy schodziłem z boiska, znów docierał do mojej świadomości i stawał się nie do zniesienia. Co godzinę brałem bardzo silne środki przeciwbólowe. W końcu powiedziałem piłkarzom o moich problemach i poleciałem do Monachium na leczenie”.

W Niemczech okazało się, że nowotwór zaatakował płuca, które musiały być operowane. W przerwach między sesjami chemioterapii Piszczek wracał do Polski, by prowadzić treningi. Lekarze w Monachium po raz kolejny namawiali go, aby zgodził się na amputację ramienia. Konsekwentnie odmawiał, bo ciągle liczył, że wygra tę walkę. Tak też się stało, ale tylko na kilka miesięcy, bo wkrótce nowotwór znów ruszył do ofensywy. Lekarze szybko zdali sobie sprawę, że tym razem czasu jest mało. Bardzo mało. Ramię zostało amputowane, natychmiast rozpoczęto leczenie, ale ta bitwa została przegrana. Piszczek zmarł w sierpniu 2009 roku. „Wiem, że z rakiem nie można wygrać, będzie towarzyszyć mi do końca życia”, powtarzał. Niestety miał rację.

„Krzysiek zapowiadał się na super zawodnika. Gdy byliśmy jeszcze juniorami, miałem pewność, że to on jako pierwszy przebije się do seniorów”, mówi Paweł Nowak. Tylko jeden. Tylko Nowak zdołał zaistnieć w nowej Wiśle. Już w sezonie 1997/98 rozegrał 14 spotkań w pierwszej drużynie.

– Zetnij włosy, to dam ci zadebiutować – mówił do niego Łazarek.

Ściął i zagrał. Przy zespole utrzymał się nawet wtedy, gdy była to już zupełnie nowa drużyna, a trenerem został Franciszek Smuda. W sezonie 1998/99, gdy większość kolegów, z którymi świętował juniorskie sukcesy, wyjechała już z Krakowa, rozegrał 11 meczów, głównie jako rezerwowy. W takiej samej roli pojawił się na boisku w wyjazdowym spotkaniu z Parmą w Pucharze UEFA. „Początkowo czułem się skrępowany, przebierając się w jednej szatni z piłkarzami, których do tej pory znałem tylko z telewizji. Do niektórych chciałem mówić na »pan«, ale szybko wybili mi to z głowy”, opowiada.

Potem jednak i dla niego brakło miejsca. Był wypożyczony do Hutnika Kraków, Proszowianki, Cracovii, aż wreszcie Pasy wykupiły go na stałe za około 100 tysięcy złotych. Do tej pory to ostatni transfer między tymi dwoma krakowskimi klubami.

Zdaniem wielu członków tamtej drużyny, która sięgnęła po mistrzostwo Polski juniorów, największe szanse na pozostanie w Wiśle miał Łukasz Surma, ale sam je pogrzebał. Jeszcze jesienią, gdy już wiadomo jednak było, że wkrótce klub trafi pod skrzydła Tele-Foniki, podpadł Łazarkowi. Trener wpuścił go na boisko w przerwie meczu z Widzewem Łódź. Nie grał źle, ale z jakiegoś powodu trener postanowił zdjąć go z boiska. Wejść w przerwie i nie dotrzeć do końca meczu? Upokorzenie. Surma nie wytrzymał i schodząc z murawy, cisnął koszulką o ziemię. „On tej koszulki już nie założy”, komentował Łazarek. Surma tłumaczył się potem, że rzucił koszulką, bo nie chciał mieć kondoma na piersi – Wisła grała wówczas z reklamą Unimila.

Koszulkę jednak założył. Na wiosnę zagrał siedem razy, ale na tym się skończyło. „Łukasz chyba poddał się bez walki. Powinien robić swoje i spokojnie czekać na szansę”, mówi Grzegorz Pater.

BAJKI ŁAZARKA

Do sezonu 1997/98 przystąpiono bez napastników. Szopa wrócił do Rakowa, a Janusz Świerad wciąż leczył kontuzję. W pierwszym spotkaniu nowego sezonu na szpicy zagrał nominalny pomocnik Grzegorz Pater. Na dzień dobry Wisła przegrała z GKS-em w Katowicach 0:4 i już było wiadomo, że jeśli nic się nie zmieni, będzie to kolejny trudny sezon. „Warto zwrócić uwagę, że GKS dysponował wówczas silnym zespołem. Ale tak czy inaczej wiedzieliśmy, że czeka nas walka o utrzymanie”, wspomina Marcin Pasionek.

Wkrótce zaczęły się pojawiać pogłoski o nowym sponsorze.

– Panowie, nie martwcie się, niedługo w klubie pojawi się pewien pan, który zasypie nas pieniędzmi – przekonywał w szatni Łazarek.

„Mówił o tym kilkakrotnie, a gdy wciąż się nic nie zmieniało, zaczęliśmy traktować to jako żart – wspomina Paweł Nowak. – Jako swoistą formę mobilizacji”. Nikt z nich nie przypuszczał, że jeszcze chwila, a te bajki staną się rzeczywistością.

2. RATUNEK

Panowie z pieniędzmi w końcu się pojawili. Niczym deus ex machina w dramacie antycznym – przybyli nagle, jakby znikąd, i w jednym momencie rozwiązali wszystkie problemy.

W latach 1991–1994 drużynę utrzymywał krakowski optyk Piotr Voigt. Gdy zapal ostygł, a pieniądze zaczęły się kończyć, misji ratowania sekcji piłkarskiej podjął się Piotr Skrobowski. Na przełomie lat 70. i 80. był świetnym piłkarzem, w reprezentacji Polski zadebiutował w wieku 18 lat, w Krakowie miał sieć pizzerii, ale i jego budżet był ograniczony.

Jesienią 1997 roku wszystko się zmieniło. Stanisław Wachowski, który przez pewien czas był udziałowcem Tele-Foniki, zaprosił do Myślenic Piotra Skrobowskiego i Ludwika Miętę-Mikołajewicza. Spotkali się tam z trzema biznesmenami – Bogusławem Cupiałem, Zbigniewem Urbanem i Stanisławem Ziętkiem.

Podobno Cupiał od razu chciał wiedzieć, ile to będzie kosztować.

Kwota, którą usłyszał, nie zrobiła na nim wrażenia, a dalsze negocjacje okazały się formalnością. Cupiał decyzję już podjął. „Największym problemem było przekonanie trzeciego wspólnika, Zbyszka Urbana. Nigdy nie interesował się piłką nożną, uważał więc, że skoro nasz zakład wciąż jest na rozruchu, lepiej zainwestować te pieniądze w inny sposób”, wspomina Ziętek. W tym trio rządził jednak Cupiał. Gdy udało się zmiękczyć Urbana, 1 października 1997 roku Tele-Fonika wyłożyła 2,4 miliona złotych, przejęła 95 procent udziałów i spłaciła wszystkie długi sekcji.

„Panowie Cupiał i Ziętek podeszli do pomysłu entuzjastycznie. Zbigniew Urban faktycznie początkowo był zdystansowany, ale już po podpisaniu umowy mocno zaangażował się w poprawę infrastruktury na stadionie. Warto zaznaczyć, że w negocjacjach wydatnie pomógł Wojtek Łazarek. Szybko znalazł wspólny język z Bogusławem Cupiałem”, mówi Mięta-Mikołajewicz.

KLUB BEZ PIŁKARZY

Wkrótce okazało się, że Cupiał kupił klub bez... piłkarzy. Skrobowski utrzymywał, że mimo sprzedaży sekcji zachował część praw do niektórych zawodników. „Wykładałem pieniądze na ich kupno”, argumentował. „Owszem, istnieje jakaś dziwna lista piłkarzy, na której z boku dopisano na przykład 30 procent czy 60 procent i nazwisko Skrobowskiego oraz kogoś jeszcze, ale nic poza tym. Nie ma żadnej podstawy prawnej, by mógł uzyskać od nas pieniądze za nich”, mówił Zbigniew Ochej, który wraz z Bogdanem Zapaśnikiem został oddelegowany z Tele-Foniki do Wisły, aby uporządkować sprawy papierkowe.

„Cupiał nigdy nie lubił takich nieklarownych sytuacji. Koniecznie chciał mieć 100 procent, więc dopłacił i wykupił pełne prawa do wszystkich zawodników – wspomina Zbigniew Koźmiński, któremu nowi właściciele klubu powierzyli stanowisko wiceprezesa

(wcześniej działał w sekcji koszykówki). – Czy czuł się oszukany? Po prostu nie zdawał sobie sprawy ze zwyczajów panujących w świecie piłki”.

Niedługo potem nowi szefowie klubu zaprosili zawodników do fabryki Tele-Foniki w Myślenicach.

– Tytuł mistrzowski ma zostać zdobyty jeszcze w tym sezonie – ponoć usłyszeli piłkarze.

W ówczesnej sytuacji klubu brzmiało to jak żart, bo w rundzie jesiennej drużyna przegrywała mecz za meczem. Zawodnicy bezradnie rozglądali się po futurystycznych wnętrzach fabryki. Szybko zrozumieli przesłanie – Wisła miała stać się drużyną na miarę XXI wieku. „Widać było, że ci ludzie dysponują dużymi pieniędzmi”, mówi Świerad. „Pomyślałem, że fajnie, skoro taki przedsiębiorca przejmuje klub. Nie zastanawialiśmy się, jak długo będzie trwała ta współpraca. Cieszyliśmy się dniem dzisiejszym”, dodaje Sarnat.

Wizyta w fabryce nie była jedyną atrakcją, jaką zgotowali piłkarzom nowi właściciele. „Po zwiedzeniu nowoczesnej kliniki wszyscy zostaliśmy zapisani na darmowe leczenie stomatologiczne”, wspomina Nowak. Właściciele doszli widocznie do wniosku, że skoro zawodnicy nie byli darowani, na samym początku należy zajrzeć im... w zęby.

CRACOVIA BYŁA BEZ SZANS

Cała ta historia mogła się potoczyć zupełnie inaczej. Bogusław Cupiał był zainteresowany inwestycją w klub piłkarski Dalin, ale w Myślenicach początkowo patrzono na niego nieufnie. Bano się, że chce przejąć klub tylko po to, by zyskać atrakcyjne tereny nad Rabą. Potem pojawił się temat Cracovii, właściciele Tele-Foniki kilkakrotnie spotkali się z prezesem Pasów Kazimierzem Zawrotniakiem. „Rozmawialiśmy o możliwości współpracy – wspomina Ziętek. – Bywałem na meczach zarówno Cracovii, jak i Wisły, zawsze jednak uważałem się za kibica Białej Gwiazdy. Podobnie jak Bogdan [bliscy znajomi i współpracownicy do Bogusława Cupiała zazwyczaj zwracają się per Bogdan i w ten sam sposób o nim mówią. Tak się po prostu przyjęło – przyp. aut.]

Dlaczego ostatecznie wybrali Wisłę, a nie Cracovię? Ziętek przyznaje, że pewną rolę odegrał przypadek, jednak to drużyna z białą gwiazdą była pierwszym wyborem. „Osobiście znaliśmy kilku piłkarzy, poza tym w tamtym czasie Wisła była znacznie popularniejszym klubem od Cracovii. Było to dla nas ważne ze względów komercyjnych, przecież chcieliśmy w ten sposób reklamować naszą firmę”.

Zawrotniak twierdzi, że nie był w stanie przekonać szefów Tele-Foniki, by poważnie zainwestowali w Cracovię: „Gdyby istniała taka szansa, z pewnością bym jej nie zmarnował. Przecież byliśmy wtedy w znacznie gorszej sytuacji niż Wisła! Istniało zagrożenie, że Cracovia stanie się klubem zaściankowym”. Pasy walczyły wówczas z WKS Włocławek i Czuwaj Przemyśl o utrzymanie w drugiej lidze. „Najlepiej dogadywałem się ze Staszkiem Ziętkiem. Podczas meczów na Wiśle mówiłem mu czasem, by pomogli, by wzięli Cracovię, ale na tym się kończyło. Ziętek nie miał tam zbyt wiele do gadania, o wszystkim decydował Cupiał. O ile dobrze pamiętam, dali nam jednak trochę pieniędzy”, mówi Zawrotniak.

Stosunki między dwoma krakowskimi klubami były początkowo bardzo dobre. Zawrotniak dostał za darmo dwóch piłkarzy – Adama Dąbrowskiego i Guya Feutchine.

Musiał tylko pokryć ich pensje.

– I tak ich nie potrzebujecie – argumentował.

W Wiśle nie doceniono talentu Feutchine. Po krótkim pobycie w Cracovii Kameruńczyk wyjechał do Grecji, a po trzech latach był już zawodnikiem PAOK-u Saloniki, w którym z powodzeniem grał przez sześć sezonów; trafił też do reprezentacji Kamerunu. W 2001 roku przyjechał do Polski z drużyną narodową na mecz z kadrą Jerzego Engela. Dziwił się, że w reprezentacji Polski nie ma Marka Zająca i Bogdana Zająca, gdyż uważał ich za najlepszych polskich piłkarzy.

Wisła raz jeszcze pomogła Cracovii. W 2002 roku, gdy Pasy grały w trzeciej lidze, między klubami doszło do wymiany terenów. Wisła weszła w posiadanie czterech hektarów w bezpośrednim sąsiedztwie stadionu, Cracovia za to otrzymała obiekty przy ulicy Wielickiej po zlikwidowanym klubie Kabel Kraków oraz pewną kwotę pieniędzy. Bez tych funduszy zapewne by nie przetrwała. Janusz Filipiak dopiero wkrótce potem zaczął wspierać klub, a na terenach otrzymanych w ramach wymiany stworzył ośrodek treningowy.

Zresztą i Filipiak mógł wylądować po drugiej stronie Błoi. W 2001 roku przez krótki okres był sponsorem... koszykarek Wisły. Wyłożył kilkaset tysięcy złotych, od władz klubu otrzymał tytuł sponsora, a od dziewczyn bukiet kwiatów. Później stosunki między klubami nie były już tak udane – Filipiak i Cupiał działali sobie na nerwy, nie spotykali się nawet przy okazji meczów derbowych.

Na kilka dni przed podjęciem przez Tele-Fonikę decyzji o kupnie klubu do Krakowa przyjechała Odra Wodzisław. Prowadziła 2:0, gdy na murawę wtargnęli wściekli kibice. „Ktoś otworzył furtkę i kilkudziesięciu kibiców z sektora dziesiątego wbiegło na boisko. Policja zaczęła ich gonić, a my, ile sił w nogach, uciekaliśmy do szatni – wspomina Marcin Pasionek. – Kibice byli rozwścieczeni nie tylko naszą słabą grą. Wkurzył ich Mariusz Nosal, który po drugiej bramce podbiegł do nich i coś tam im pokazywał”. Wiślaków stać było tylko na honorowe trafienie, autorstwa Świerada, który potem zmarnował rzut karny i ostatecznie goście wygrali 2:1.

MAŁY HANDELEK?

Nowe standardy miał wprowadzać Wojciech Łazarek – człowiek instytucja w polskim futbolu, ale wtedy już zdecydowanie u schyłku kariery trenerskiej. Podczas wywiadu Jacek Kmiecik z „Super Expressu” zapytał trenera o produkty sponsora klubu, firmy Unimil.

– Dobrze, ale mi akurat spadają – odpowiedział w swoim stylu Łazarek.

Tabloid zrobił z tej kwestii myśl przewodnią wywiadu, a sponsor omal nie zerwał umowy z klubem. Łazarek nie rozumiał tych mechanizmów, znacznie lepiej odnajdywał się w realiach piłki poprzedniego ustroju. Przaśny jak i ona sama, miał swoje wydeptane ścieżki.

Jesienią 1997 roku w klubie znano już mocarstwowe plany nowych właścicieli. Łazarek bał się, że w trakcie rundy jesiennej, nim zespół zostanie poważnie wzmocniony, drużyna straci zbyt wiele punktów, by na wiosnę włączyć się do walki o tytuł mistrzowski. Dlaczego by więc, skoro liga jest przesiąknięta korupcją, nie nabyć kilku punktów, zanim zakupi się nowych zawodników...?

„Muszę przyznać, że dopiero gdy weszliśmy w ten biznes, zrozumiałem, jak duża korupcja panowała wówczas w piłce. Mieliśmy wrażenie, że niemal wszystkie mecze są ustawiane – mówi Ziętek. Wspólnie z Cupiałem ustalili, że nie zdecydują się na takie ruchy, ale w klubie nie wszyscy podzielali ich zdanie. – W pewnym momencie były na nas dość duże naciski ze strony trenerów, byśmy zaczęli działać. Rozmawialiśmy o tym przy drinku, raczej na luzie. Uznaliśmy, że są dwie drogi: albo kupujemy punkty, albo kupujemy zawodników, ale łączenie tego nie ma sensu. W końcu stwierdziliśmy, że pójdziemy tą drugą drogą i tak już zostało”. Wedle niektórych źródeł temat powrócił niedługo później, ale o tym będzie nieco dalej.

Nowi właściciele bezradnie patrzyli, jak drużyna, już jako ich własność, ale jeszcze bez nowych zawodników, osuwa się w dół ligowej tabeli. Z ośmiu spotkań pozostałych do końca rundy jesiennej wiślacy wygrali tylko dwa. Rok zakończyli na 13. miejscu w tabeli. Do prowadzącego Widzewa Łódź mieli 12 punktów straty. Zapowiedzi walki o tytuł mistrzowski przyjmowano z niedowierzaniem, ale piłkarze narzekać nie mogli.

„Wszystkie dotychczasowe kontrakty zostały anulowane, a w ich miejsce wprowadzono nowe umowy. Łącznie z premiami zarabiałem jakieś 10 razy więcej niż przed pojawieniem się Tele-Foniki. To był jakiś kosmos. Nikt z nas, ze starej gwardii, się nie targował”, wylicza Paweł Adamczyk. Artur Sarnat dostał pensję w wysokości 50 tysięcy dolarów rocznie i uznał, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na Ziemi. Gdy Bogdan Zajac wrócił z wypłatą do domu, wyrzucił banknoty w górę, obsypując nimi swojego syna Mateusza. W jednej chwili ligowi biedacy stali się krezusami.

DZIWNIE PANOWIE

Na szefów Tele-Foniki w klubie długo patrzono podejrzliwie. Obawiano się, że interesują ich tereny w centrum miasta, a nie prowadzenie piłkarskiego biznesu. Krzysztof Budka na stanowisku menedżera generalnego utrzymał się raptem kilka dni. „Wyleciał za wypowiedź na temat stadionu. W wywiadzie dla prasy dał do zrozumienia, że za nowymi właścicielami stoją ogromne pieniądze. Niefortunnie zbiegło się to w czasie z pobiciem syna Zbigniewa Urbana i zostało źle odebrane przez szefów Tele-Foniki. A może był to tylko pretekst? Może nie byli do niego do końca przekonani? W końcu Krzysiek był kojarzony z Legią”, mówi jego kolega z boiska Andrzej Iwan.

Wątpliwości miał też Skrobowski, który po sprzedaży klubu zachował stanowisko prezesa. „Ci panowie zachowują się dziwnie. Mieli wzmocnić Wisłę, a nie znają się na piłce. Zaczynam się zastanawiać, czy dobrze zrobiłem, wpuszczając ich do klubu. Uznają, że wszystko, co działo się wcześniej, było złe”, mówił. Po miesiącu złożył rezygnację.

Po aferze z prawami do piłkarzy nowi właściciele klubu nie cackali się ze Skrobowskim i faktycznie wiele rzeczy im się nie podobało – choćby spółka PMM, której Skrobowski był jednym z trzech udziałowców, a która posiadała wyłączność na zawieranie umów reklamowych w imieniu sekcji piłkarskiej. Zagwarantowaną miała przy okazji sporą prowizję – co ciekawe, im wyższa była umowa, tym wyższy był procent dla PMM (20 lub 30 procent w przypadku umów wartych więcej niż 350 tysięcy złotych). Umowa z PMM została szybko wypowiedziana, z marszu zerwano kontrakt z Unimilem i zapłacono kary umowne.

Niedługo potem rezygnację ze stanowiska dyrektora sekcji piłki nożnej złożył Tadeusz Kurdziel. On również miał wątpliwości, czy nowi właściciele chcą dobra Wisły, czy może zależy im tylko na atrakcyjnych działkach.

Na terenach z pewnością im zależało. „Bogusław Cupiał nie chciał inwestować w nie swój teren. Dwukrotnie próbował przejąć tereny, które historycznie należały do Towarzystwa Sportowego. Nie mogłem na to pozwolić i nie pozwalało na to prawo. Z powodu konfliktu interesów w późniejszych latach dwukrotnie musiałem rezygnować z funkcji prezesa Wisły SSA”, mówi Miętta-Mikołajewicz.

Wątpliwości zostały jednak szybko rozwiane. Nowym właścicielom najbardziej zależało na budowie silnej drużyny. Już wkrótce do Krakowa zaczęły zjeżdżać tabuny klasowych piłkarzy.

3. PLAC BUDOWY

W trakcie treningu Wojciech Łazarek wyjął z kieszeni brzęczącą komórkę. Spojrzał na wyświetlacz. Tego połączenia nie mógł odrzucić.

– Halo, panie prezesie? Tak... Tak... Tak, dobry jest. Przyda się, gwarantuję – cierpliwie odpowiadał na kolejne pytania.

Zapewniał w ten sposób, że pozyskanie Radosława Kałużnego będzie dobrym pomysłem. Piłkarz Zagłębia Lubin był już jedną nogą w Legii, wszystko było ustalone, ale na rynku transferowym Wisła biła wszystkich, nie oglądając się na konsekwencje. Po zapewnieniach ze strony trenera oferta warszawian szybko została przebita.

Kilka tygodni wcześniej nowi właściciele klubu zaprosili Łazarkę na spotkanie.

– Proszę sporządzić listę zawodników, z którymi już w tym sezonie zdobędzie pan mistrzostwo Polski – usłyszał.

Wyszedł do drugiego pokoju, a jego telefon rozgrzał się do czerwoności. Gdy wrócił, zaczął wyczytywać kolejne nazwiska oraz orientacyjną kwotę transferu. Przy jednej pozycji jakby się zawahał:

– To może kosztować nieco więcej – cmoknął.

Mimo to na jego rozmówcach podana kwota nie zrobiła większego wrażenia:

– Proszę kontynuować.

W trakcie spotkania nikt nie mówił o planach minimum. Celem na rundę wiosenną było wygranie wszystkich meczów, przegonienie 12 drużyn, odrobienie 12-punktowej straty, skok z pozycji trzynastej na pierwszą i sięgnięcie po tytuł mistrzowski.

– Do końca sezonu zostało 17 kolejek, a więc można zdobyć 51 punktów. Oto nasz cel – usłyszał Łazarek. Mógł go zaakceptować lub zacząć się rozglądać za inną posadą.

Negocjacje transferowe z zawodnikami były wyjątkowo krótkie. Gdy piłkarz zjawiał się na spotkaniu, na stole czekała pusta kartka.

– Niech pan napisze, ile od nas oczekuje, a na pewno się dogadamy – mówili właściciele.

W takiej atmosferze rozmowy były formalnością. „Strasznie zepsuliśmy wówczas rynek. Śmiano się z nas nawet za granicą: »Co to za dziwny klub, który nawet nie próbuje negocjować cen«. Działaliśmy bez rachunku ekonomicznego, bez jakiegokolwiek hamulca. Odbiło się to potem na wszystkich polskich klubach, bo kontrakty poszły w górę”, wspomina Zbigniew Koźmiński. Zgadza się z tym ówczesny prezes Legii Marek Pietruszka. „Próbowałem się porozumieć z prezesem Wisły Ludwikiem Miętą-Mikołajewiczem. Zgodziliśmy się, że postaramy się nie wchodzić sobie w drogę, aby nie podbijać niepotrzebnie cen”, mówi. Wyjątkiem był transfer Kałużnego.

„Powiedziałem Ludwikowi, że od dłuższego czasu prowadzimy rozmowy z Zagłębiem w sprawie Kałużnego. Zapewniłem, że jeśli nie dojdziemy do porozumienia, dam mu znać, ale na razie prosiłem go, by dali nam pierwszeństwo. Zgodził się, a my w pewnym momencie dogadaliśmy się z Zagłębiem, o czym poinformowałem Wisłę. Mieliśmy

zapłacić za Kałużnego 600 tysięcy złotych. Piłkarz też zgodził się na transfer”, mówi Pietruszka. Dzień później odebrał telefon z Zagłębia. „Powiedzieli, że Wisła daje 50 tysięcy więcej. Wkurzyłem się, bo miało tego nie być. Podniosłem stawkę do 700 tysięcy, a potem dostałem sygnał, że Wisła znów nas przebiła. Licytowałem się z nimi przez kilka dni. Doszedłem do miliona 150 tysięcy złotych, po czym zrezygnowałem, bo uznałem, że Kałużny nie jest wart tych pieniędzy”, wspomina. Mylił się.

LEPIEJ NIŻ NA ZACHODZIE

Wisła działała z nieznanym dotąd rozmachem. Tu nie chodziło tylko o budowę drużyny, to był krok milowy w rozwoju polskiej piłki, która w latach 90. wciąż była krainą bylejakości. Nagle pojawiła się firma jakby z innego biznesowego świata. Piłkarze otrzymywali w pełni profesjonalne kontrakty, po wygranym meczu do szatni nie wchodził prezes z walizką pieniędzy, to, co na papierze, zgadzało się z tym, co na koncie, a pensje wypłacano bez choćby dnia poślizgu.

Pierwszym oficjalnie sfinalizowanym transferem było pozyskanie Daniela Dubickiego z ŁKS-u Łódź. „Chciałem zmienić klub, bo miałem dość siedzenia na ławce rezerwowych. W ŁKS-ie w ataku grali Marek Saganowski i Mirek Trzeciak”, wspomina. Nie przewidział, że lada moment krakowski klub pozyska jeszcze 12 innych zawodników i w Wiśle również nie będzie mieć pewnego miejsca w składzie.

Największe wrażenie robiły transfery z lig zagranicznych. Okazało się, że polski klub jest w stanie konkurować finansowo z zespołami z Austrii, Belgii czy Francji. „Nie było mi źle w Belgii – mówi Grzegorz Kaliciak. – Gdy zadzwonili z Krakowa, ustaliłem z menedżerem, że walniemy takie żądania, by się odczepili. Tak zrobiliśmy, a Wisła natychmiast się zgodziła... Gdy kilka dni później przyjechałem do Krakowa, czekała już na mnie gotowa umowa z ustalonymi wcześniej warunkami. W Wiśle zarabiałem więcej niż w Belgii”. Tego w polskiej piłce jeszcze nie było.

Lepszy kontrakt niż w KRC Genk otrzymał także Krzysztof Bukalski, choć początkowo do całej sprawy podchodził z dużym dystansem. „Nim udałem się na rozmowy, zrobiłem mały wywiad środowiskowy. Chciałem się dowiedzieć, czy nowi właściciele klubu nie znikną za kilka miesięcy, bo w tamtych latach takie historie często się zdarzały – mówi. Wynegocjował dobry kontrakt, chociaż w rozmowach nie uczestniczył jego agent. – Nawet nie przyjechał do Krakowa, a prowizję zapewne zgarnął”, dodaje ze śmiechem.

Kolejne transfery finalizowano błyskawicznie i w Polsce zaczęto zdawać sobie sprawę, że w Krakowie powstaje bardzo silna drużyna. Teraz Łazarek musiał się zmierzyć z innymi problemami – klęska nieurodzaju zamieniła się w problem bogactwa.

Kiedyś miał podobny problem w Izraelu. Objął zupełnie nieznaną mu drużynę, a wkrótce przyjechał z nią na zgrupowanie do Zakopanego. W ciągu kilku dni z 40-osobowej kadry wybrał 20 zawodników.

– Wojtek, jak ty tak szybko zobaczyłeś, kto się nadaje, a kto nie? – zapytał go Jerzy Kowalik.

– Synuś, to się robi tak – Łazarek chrząknął. – Ustawiłem ich w rzędzie i kazałem odliczać. Parzystych wziąłem, nieparzystych odstrzeliłem.

– A co jeśli wśród tych odstrzelonych był jakiś dobry chłopak? – dociekał Kowalik.

Łazarek miał już gotową odpowiedź:

– Chujowo stał.

BO WRÓCICIE DO DOMU!

Gdy w styczniu Łazarek zabrał zespół na zgrupowanie do Wisły, próbował zapanować nad grupą blisko 50 zawodników. Klub wynajął chyba wszystkie wolne kwatery w mieście, bo nie znaleziono hotelu z odpowiednią liczbą miejsc. „Graliśmy cztery sparingi w ciągu jednego dnia, a i tak mieliśmy jednego rezerwowego”, wspomina ze śmiechem Marcin Pasionek. Podczas treningu w hali piłkarze zderzali się głowami. Z zespołem trenowało kilku testowanych zawodników, w tym pierwszy (!) bramkarz Spartaka Moskwa Aleksandr Filimonow. Nie wiadomo jednak, czy ktokolwiek miał czas, by przyjrzeć się ich umiejętnościom.

Podobny tłok był na drugim obozie, w Zakopanem. „Praktycznie każdego dnia dojeżdżał nowy zawodnik. Po treningu siadaliśmy przy recepcji, popijaliśmy kawkę i czekaliśmy, kto nowy dziś przyjedzie”, wspomina Bogdan Zając, który otrzymał wówczas ofertę z GKS-u Katowice. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej przyjąłby ją bez chwili zastanowienia. Teraz grzecznie podziękował i postanowił podjąć walkę o miejsce w składzie przebudowywanej drużyny Wisły.

Pewnego dnia panowie uznali, że trzeba się zintegrować, więc silną ekipą ruszyli w miasto. Za cel obrali popularną w Zakopanem dyskotekę Morskie Oko przy Krupówkach. Spotkali tam piłkarzy GKS-u Katowice. Nastąpił kolejny etap integracji. „Co tam się działo! Niektórzy przyjmowali już pozycje horyzontalne”, wspomina Kaliciak. Najwytrwalsi wrócili do hotelu nad ranem, co nie umknęło Łazarkowi. Na drugi dzień wzywał imprezowiczów na rozmowy.

– Zaraz zadzwonię po busa i wrócicie do Krakowa! – straszyl. – A ty co, spod Waterloo jesteś, że będziesz sobie tutaj wódeczkę pił? – pytał Kaliciaka.

Groźbą szybkiego wylotu ze zgrupowania najmniej przejął się Kałużny, który do Zakopanego przyjechał tuż przed imprezą.

– Nawet nie zdążyłem się rozpakować. Tylko zęby umyłem – wzruszył ramionami.

Mimo takich zawirowań praca na boisku szła pełną parą i Łazarek szybko zmontował z tych chłopaków bardzo dobrą ekipę.

LISTA ŁAZARKA

Pewne jest, że trener nie spodziewał się tak wysokiej skuteczności transferowej nowych właścicieli klubu. W wypowiedziach dla prasy mówił o delikatnym wzmocnieniu drużyny, tymczasem w trakcie dwóch miesięcy pozyskano 13 zawodników. Wykazał się Zdzisław Kapka, który był odpowiedzialny za finalizowanie najtrudniejszych transakcji. „Gdy gdzieś jechał, nie było obawy, że wróci z pustymi rękoma. Tydzień siedział na miejscu, a dobił targu. I nie istniało ryzyko, że weźmie coś na boku”, wspomina Ziętek.

Szaleństwo transferowe pochłonęło około 2,5 miliona dolarów i poskutkowało powstaniem najsilniejszej drużyny w kraju. Takich pieniędzy w tak krótkim czasie jeszcze nigdy nie rzucono na polski rynek. Nawet wtedy, gdy Legia Warszawa czy Widzew Łódź budowały drużyny na Ligę Mistrzów.

Dziś praktycznie nikt już nie pamięta, kto dokładnie był na owej liście Łazarka. „W sprawie Marcina Kuźby byliśmy już dogadani, jednak Górnik wycofał się nagle z wcześniejszych ustaleń”, wspomina Ziętek. Mówiło się o Tomaszu Kłosie, Marku Saganowskim, Tomaszu Wieszczyckim, Mirosławie Trzeciaku, Rafale Kaczmarczyku, Pawle Wojtali, a nawet o podstarzałym już Zbigniewie Mandziejewiczu... Próbowano ściągnąć do Krakowa praktycznie każdego wyróżniającego się piłkarza. Wisła płaciła najlepiej w kraju, ale i tak nie każdego była w stanie przekonać do przenosin pod Wawel.

„Z Marcinem Mięcielem osobiście rozmawiałem dwa razy. Nie chciał do nas przyjść, bo przecież Wisła walczyła wówczas o utrzymanie, a on z Legią w minionym sezonie sięgnął po wicemistrzostwo”, mówi Ziętek. Za Olgierda Moskalewicza Waldemar Folbrycht, szef Pogoni Szczecin, zażyczył sobie milion marek, co spowodowało na ziemię nawet Cupiała i spółkę, ze Szczecina wzięto więc Grzegorza Nicińskiego. Łazarkowi i Stanisławowi Ziętkowi wpadł w oko podczas jesienno-meczu krakowian z Pogonią. Biała Gwiazda prowadziła już 2:0, jednak potem Niciński zdobył kontaktową bramkę, przy drugiej asystował i mecz zakończył się remisem. Od Moskalewicza był o połowę tańszy.

Moskalewicz też trafił do Krakowa, ale dopiero rok później. Nie chciał się ruszać ze Szczecina, ale nawet on miał już po dziurki w nosie fatalnej sytuacji finansowej Pogoni. Jego karta zawodnicza została zastawiona w restauracji Korner. „To była jadłodajnia, w której stołowała się drużyna. Przez kilka miesięcy narastał dług Pogoni wobec restauracji, więc w końcu przekazano tam w zastaw moją kartę”, wspomina.

Gdy w styczniu 1999 roku Wisła ponowiła swoją ofertę, Moskalewicz był już zdecydowany na przenosiny. „W Pogoni wszyscy piłkarze mieli już dość tej sytuacji. Cieszyłem się, że pieniądze z mojego transferu [1,25 miliona złotych – przyp. aut.] pozwoliły na uregulowanie choć części zobowiązań klubu wobec zawodników – mówi piłkarz, który po zmianie barw klubowych znalazł się w zupełnie innej rzeczywistości. – Z panem Kapką porozumiałem się praktycznie natychmiast. Dostałem więcej, niż oczekiwałem. A gdy przyjechałem do Krakowa, okazało się, że mój kontrakt jest... jeszcze wyższy. Trzeba przyznać, że była to miła niespodzianka”.

Był jeden piłkarz, który choć trafił do Wisły, długo nie mógł się z nią dogadać, a nawet zerwał negocjacje. „Gdy usłyszałem, że mam podpisać kontrakt na dziesięć lat, podziękowałem za rozmowę, spakowałem się i wróciłem do Łęcznej. To były przejściowe czasy, w kraju wiele się zmieniało, firmy pojawiały się, by zaraz zniknąć, i po prostu przestraszyłem się tak długiej umowy – mówi Jakub Wierchowski. – Sprawa ucichła, ale po trzech tygodniach Wisła odezwała się ponownie z propozycją krótszego kontraktu i tym razem szybko się dogadaliśmy. Szefowie klubu zadzwonili do mnie ze zgrupowania w Izraelu. Już nawet nie wiedziałem, z kim rozmawiam, bo co chwilę przekazywali sobie słuchawkę”. Jeśli chodzi o finanse, porozumiał się w jednej chwili.

KOLEGA W BARCELONIE

W szaleństwie transferowym pozyskano kilku zawodników, którzy niemal od razu stali się zbędni. Adam Paluszek z WKS-u Wieluń grał w reprezentacji Polski U-18, był uznawany za spory talent, ale w Krakowie go nie ujawnił. „Trener Łazarek dawał mi sygnały, że będzie na mnie stawiać, ale wszystko popsuky kontuzje. Najpierw zerwałem mięsień,

potem uszkodziłem staw skokowy. Kolejne miesiące mijały, a szansa na grę w pierwszej drużynie bezpowrotnie uciekała. Dostałem jeszcze szansę od Oresta Lenczyka. Zagrałem w sparingu, strzeliłem zwycięską bramkę i złamałem nos, co znów wykluczyło mnie na jakiś czas z gry”, wspomina Paluszek. Głośniej zrobiło się o nim dopiero wtedy, gdy bramki w sparingach zaczął strzelać Tomasz Frankowski ubrany w koszulkę z nazwiskiem „Paluszek” na plecach.

Pechowy zawodnik czuje żal do Wisły: „Przy podpisywaniu kontraktu troszkę mnie oszukano. Nie zwracałem uwagi na poszczególne punkty w umowie. To był błąd, bo potem nie miałem gdzie spać i za co jeść”. Przez pięć sezonów błąkał się w rezerwach, w pierwszym zespole nawet nie zadebiutował. Potem próbował sił na Wyspach Owczych i w niższych ligach niemieckich. W wieku 26 lat dał sobie spokój z piłką. Dziś mieszka i pracuje w Anglii.

Inne nieudane transfery? Grzegorz Jurczyk w kadrze zespołu terminował dwa lata, również bez szans na grę, w końcu oddano go z powrotem do Victorii Jaworzno. Do ekstraklasy wrócił po latach, jako piłkarz Polonii Bytom. Arūnas Pukelevičius, pozytywnie zaopiniowany przez Łazarkę, rozegrał dwa mecze jako rezerwowy, po zakończeniu sezonu wyładował w Chinach, wreszcie wrócił na Litwę. „Facet nie wyróżniał się nawet wtedy, gdy zsyłano go do nas, do drużyny rezerwowej”, wspomina Rafał Wójcik.

Drugim obcokrajowcem, który pojawił się w Wiśle podczas pierwszego zaciągu TeleFoniki – i który, mimo trudnych początków, w krakowskiej drużynie poradził sobie znacznie lepiej – był Sunday Ibrahim. Na transfer namówił go Czesław Boguszewicz, polski trener pracujący wówczas w Nigerii. Wprost z upalnego Lagos niespełna 18-letni Ibrahim trafił do zasypanego śniegiem Zakopanego. Najpierw na testy. „Nie znałem języka, a nikt w drużynie nie mówił po angielsku. Gdy rozpoczynał się trening, nie wiedziałem, co będziemy robić ani jak długo potrwa. Gdy bieглиśmy w góry, nie miałem pojęcia, czy zaplanowano krótki, czy może dwugodzinny bieg. Zaciskałem zęby i robiłem to, co inni, bo bardzo, ale to bardzo nie chciałem wracać do Nigerii jak inni piłkarze, którym nie wyszło w Europie – mówi Ibrahim. – W młodości przyjaźniłem się i rywalizowałem z Samuelem Okunowo. Ja byłem kapitanem Greater Tomorrow, a on kapitanował Liberty Boys. W tym samym czasie, gdy ja trafiłem do Wisły, on został zawodnikiem Barcelony i wygrywał rywalizację o miejsce w składzie z Michaelem Reizigerem. To dodawało mi przekonania, że i ja poradzę sobie w Wiśle”, dodaje. Szybko przekonał do siebie Łazarkę i wkrótce podpisał siedmioletni kontrakt.

GARDZICIE SOLANKĄ?

Po naładowaniu akumulatorów w Wiśle i Zakopanem formę piłkarską wykuwano w warunkach iście bojowych. Wojciech Łazarek załatwił zgrupowanie w Izraelu, co nie okazało się najszcześniejszym pomysłem. Pięć miesięcy wcześniej, po serii zamachów bombowych palestyńskich terrorystów, Izrael zawiesił wszelkie rozmowy pokojowe. „Nie było za ciekawie. Mieszkaliśmy na obrzeżach Tel Awiwu, a ludzie mówili o wojnie; rozdawano maski gazowe, niektórzy zabijali okna dechami. Nie mieliśmy kontaktu z Polską. Padały propozycje, by wcześniej wrócić do kraju”, wspomina Sarnat.

Za przewodnika robił grający wówczas w Izraelu Kazimierz Moskał, który w latach 80. i 90. przez osiem sezonów grał w Wiśle. W 1990 roku zgłosił się po niego Lech Poznań, szykujący się do kwalifikacji do Ligi Mistrzów. „Nie chciałem odchodzić z Krakowa, ale byłem świeżo po ślubie, urodził się nam syn, a nie zanosiło się, bym od Wisły dostał obiecane mieszkanie”, wspomina. Mimo protestu kibiców krakowianie sprzedali swojego asa za dwa miliardy starych złotych, co stanowiło wówczas wartość około 200 tysięcy dolarów. Do Krakowa mógł wrócić bardzo szybko, bo początkowo Lech nie wywiązywał się z zobowiązań. Mimo to w Poznaniu spędził aż cztery sezony. Potem przeniósł się do Izraela, gdzie przez cztery lata był gwiazdą Hapoelu Tel Awiw. „Długo zastanawiałem się, czy wyjazd w tamten rejon świata to dobry pomysł. Pół roku przedemną trafił tam mój kolega z Lecha Damian Łukasik i mówił, by nie przejmować się tym, co mówią w telewizji, tylko śmiało przyjeżdżać. I faktycznie, żyło się tam całkiem normalnie, choć ze trzy razy zdarzyło się, że prosiłem w klubie o bilet powrotny do Polski”, wspomina. Tuż przed przyjazdem Wisły do Izraela zmienił barwy klubowe na Maccabi Ironi Aszdod. „W pewnym momencie doszło do dość napiętej sytuacji między Libanem a Izraelem. Nad głowami latały samoloty i nie czułem się z tym zbyt dobrze. »Za głośno huczą? Nie możesz spać?«, pytali w klubie, gdy o tym wspominałem”, mówi. Gdy przyjechała Wisła, szalał ze szczęścia. Raz postanowił zabrać kolegów do knajpy – wykonał pięć kursów swoim nissanem micrą, żeby wszystkich przywieźć, tyle samo razy musiał później obrócić, by wszystkich odstawić z powrotem do hotelu.

Poza wszystkim zgrupowanie w Izraelu okazało się dla drużyny dobrym przetarciem. Rozegrano kilka wartościowych sparingów, w tym z Dynamem Kijów, które cztery miesiące wcześniej w Lidze Mistrzów rozbiło na Camp Nou Barcelonę 4:0. Z Wisłą kijowianie zagrali w praktycznie najsilniejszym składzie, był to dla nich element przygotowań do ćwierćfinałowych meczów z Juventusem Turyn. Na boisko wybiegli i Andrij Szewczenko, i Serhij Rebrov. Po wyrównanym boju wiślacy przegrali 1:2. Bramkę dla Wisły zdobył Marek Koniarek, dla którego było to jedyne trafienie podczas pięciomiesięcznego pobytu w krakowskim zespole.

Pod Wawel trafił krótko przed przejściem zespołu przez Tele-Fonikę. „Jesienią grałem regularnie, ale miałem pecha pod bramką. Zimą przydałem się, bo pomagałem ściągnąć do Wisły Ryśka Czerwca. Potem uznałem, że w tej nowej Wiśle nie będzie dla mnie miejsca. Prezes Cupiał super się zachował i puścił mnie za darmo do GKS-u Katowice”, mówi Koniarek.

Spotkanie z Dynamem toczyło się w specyficznej atmosferze. Krakowianie chcieli sfilmować jego przebieg, jednak osobnicy w skórzanych kurtkach – kibice, działacze czy ochroniarze, nie do końca wiadomo – dość wyraźnie zasugerowali, że nie jest to najlepszy pomysł. Pod koniec spotkania omal nie doszło do regularnej bijatyki. Jeden z Ukraińców ostro zaatakował Polaka tuż przy linii bocznej, pod nosem Łazarka. Trener natychmiast, niczym rozjuszony nosorożec, ruszył w stronę rywala, w krok za nim poderwali się rezerwowi, w ciągu kilku sekund byli tam już wszyscy. Chemia w tym zespole była od samego początku – zakopiańska integracja dała dobre rezultaty.

Podczas zgrupowania na piłkarzy czekało sporo przyjemności. Pierwszą miała być wycieczka nad Morze Martwe, szybko jednak okazało się, że kąpiel w tak zasolonej

wodzie kilkanaście godzin po meczu nie jest dobrym pomysłem – sól podrażniała każde, niewidzialne nawet zadrapanie.

– Ja wam tutaj solankę załatwiłem, a wy co? Gardzicie? – pieklił się Łazarek, kiedy piłkarze, jeden po drugim, jak poparzeni wyskakiwali na brzeg.

DYSKOTEKA Z CUPIAŁEM

Do Izraela z drużyną polecili nowi właściciele klubu. Niektórzy wciąż patrzyli na nich podejrzliwie. „Prezes Cupiał uspokajał nas, że szybko z tego biznesu się nie wycofa. Powiedział, że wie, ile to kosztuje, i że chce sponsorować klub przez przynajmniej dziesięć lat”, mówi Krzysztof Bukalski. „Pewnego wieczoru zaprosił nas na dyskotekę: »Chłopcy, bawimy się, rachunek otwarty«”, wspomina Kazimierz Węgrzyn.

Powtarzać dwa razy nie musiał. Łazarek z przerażeniem patrzył, jak piłkarze z minuty na minutę coraz bardziej się rozkręcają. Po pierwszych drinkach hamulce puściły i już nikt nie pamiętał, że są przecież na zgrupowaniu piłkarskim, a za dwa tygodnie ruszają rozgrywki ligowe. Na parkiet wyskoczyli wszyscy, nawet ci, którzy z powodu kontuzji nie mogli grać w meczu z Dynamem. Łazarek siedział tuż obok parkietu i wszystko uważnie filmował. W końcu, około 3.00 nad ranem, podszedł do Tomasza Kulawika:

– Zbieraj chłopaków i do hotelu, bo robi się za wesoło – rozkazał.

Gdy udało się zgromadzić całą drużynę, piłkarze podeszli do stolika Cupiała, by się pożegnać. Ten był zawiedziony. „Pytał: »Wojtuś, czemu chłopcy muszą iść? Przecież tak dobrze się bawią«. Było to z jego strony bombowe, spontaniczne zachowanie. To zgrupowanie dużo nam dało w kwestii budowania atmosfery w zespole”, mówi Węgrzyn.

Podobnie jak w Zakopanem, także w Tel Awiwie część piłkarzy wykradła się na nocną wycieczkę. Jacek Matyja, który został w hotelu, miał za zadanie zablokować tylne drzwi małym kamieniem – chodziło o to, by wyglądały, jakby były zamknięte, ale by się nie zatrzasnęły. Nad ranem imprezowa ekipa wraca do hotelu, patrzy, a tam w drzwiach zatknięty ogromny głaz, który tylko cudem nie został dostrzeżony przez hotelową obsługę. Aby dotrzeć do tylnych drzwi, trzeba było pokonać wysoki murek. Grzegorz Kaliciak stracił równowagę i z impetem runął w dół, w efekcie skreślił kostkę. Na drugi dzień Łazarek popatrzył na niego podejrzliwie:

– Kostka? A kiedy ty to niby zrobiłeś?

W trakcie meczu z reprezentacją olimpijską Izraela (1:1) jeden z rywali rozorał Węgrzynowi łydkę. „Miałem 12-centymetrową ranę, prawie do mięsa”, wspomina. Przed meczem z Dynamem Kijów Łazarek wezwał go do swojego pokoju. Gdy wszedł, zobaczył trenera w towarzystwie Bogusława Cupiała.

– To co, grasz jutro? – zagaił trener.

– Trenerze, raczej nie, mam głęboką ranę na nodze.

– No to pokaż.

Węgrzyn zaczyna zdejmować opatrunek. Łazarek z Cupiałem w napięciu czekają na to, co zobaczą. Wreszcie im oczom ukazuje się paskudna rana. Właściciel klubu odruchowo odwraca głowę, trener udaje niewzruszonego:

– Synuś, zawiniesz plastrem, założysz dechę, raz jeszcze zaplastrujesz i będzie dobrze!

Węgrzynowi nie pozostało nic innego, jak zabezpieczyć ranę i zagrać w meczu z Dynamem.

Podczas zgrupowania nowi właściciele klubu również postanowili pobiegać za piłką. Wojciech Łazarek, Stanisław Wachowski i Stanisław Ziętek w jednej drużynie, Jerzy Kowalik (asystent Łazarka), Zdzisław Kapka i Bogusław Cupiał w drugiej. Ten ostatni uznał, że koledzy z zespołu, jako byli piłkarze, sami załatwią sprawę. „Prezes Cupiał siedział w ataku na stołeczku. My mieliśmy rozegrać i podać mu piłkę, wtedy on szybko wstawał i – pyk – do bramki”, wspomina ze śmiechem Kowalik.

W starciu z Kowalikiem poważnej kontuzji kolana doznał Ziętek. „Zderzyliśmy się. Jurek wstał, otrzepał się i był gotów do dalszej gry. Ja już się nie podniosłem”, opowiada. Innych urazów brakowało. Drużyna była gotowa.

4. PREMIERA

Wreszcie stało się. Wiosną 1998 roku na listach przebojów królował Perfect z utworem *Niepokonani*. Taka sama miała być Wisła, która 7 marca na odnowionym stadionie ruszyła w pościg za czołówką. W podstawowym składzie znalazło się aż pięciu zawodników ze „starej” drużyny. I właśnie oni, a dokładnie Jacek Matyja oraz Tomasz Kulawik, zdobyli bramki, dzięki którym Wisła pokonała GKS Katowice 2:0. Spośród 13 nowych nabytków w podstawowym składzie znalazło się miejsce dla sześciu; jeszcze Daniel Dubicki wszedł po przerwie z ławki rezerwowych. Fajerwerków nie było, w przerwie meczu (przy stanie 1:0) Łazarek psioczył w klubowym korytarzu:

– Idzie nam jak kurwie w deszcz!

Faktycznie padało, ale aż tak źle nie było, okazało się bowiem, że wystarczyło sześć tygodni, by za pieniądze Tele-Foniki przeistoczyć zlepek nazwisk w całkiem sprawnie działającą drużynę. Różnicę między starą a nową Wisłą najmocniej odczuł Artur Sarnat. „Do tej pory w każdym meczu miałem mnóstwo roboty. Człowiek schodził z boiska umordowany, bo przez 90 minut cały czas żył, bronił, ustawiał zespół, dyrygował obroną. Ciągle było coś do roboty. Nagle nic. Koniec. Zaczęło się od pojedynku z GKS-em Katowice. Od tego momentu miałem w spotkaniu dwie lub trzy sytuacje i tyle. Był to dla mnie problem, bo musiałem się nauczyć utrzymywać koncentrację na wysokim poziomie. Miałem znacznie mniej do roboty, za to do szatni schodziłem umordowany psychicznie”, opisuje.

Przebudowana została nie tylko drużyna, ale też stadion – w ekspresowym tempie postawiono dwie nowe trybuny. Prace trwały do samego końca – jeszcze tuż przed meczem tu i ówdzie stały betoniarki. I mimo że w nocy ktoś złośliwy rozsypał na murawie odłamki szkła, inauguracja odbyła się bez większych komplikacji.

GIN Z TONIKIEM

Bogusław Cupiał zadebiutował w roli gospodarza. Jego nowe królestwo, loża zwana od teraz cupiałówką, niewielki balkonik liczący 55 miejsc, stała się obiektem pożądania najróżniejszej maści biznesmenów. Każdy chciał być możliwie blisko, mieć wpływ na klubowe decyzje, wkraść się w łaski, ubić jakiś interes albo najzwyczajniej w świecie najeść się i napić. Ci, dla których zabrakło miejsca w cupiałówce, jak niepyszni siadali w dolnej loży, pośród dziennikarzy i mniej prominentnych gości. W przerwie grzecznie ustawiali się w kolejce po frytki i kiełbasę z rusztu.

Tam, na samej górze, między krzeselkami sprawnie krążył pan Jasio – niepozorny kelner z hotelu Cracovia. „Bogdan lubił, jak się piło to, co on, więc początkowo wszyscy zgodnie zamawiali gin z tonikiem. Gdy ktoś się wyłamywał, od razu był podejrzany”, wspomina Ziętek. Zbigniew Koźmiński na dźwięk słów „gin z tonikiem” od razu się krzywi. „Tyle tego wtedy wypiliśmy, że wciąż czuję obrzydzenie”.

Wśród gości obecni byli prezes PZPN Marian Dziurawicz oraz ówczesny szef Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki Jacek Dębski, który od tego momentu stał się częstym gościem w Krakowie. Był także Zbigniew Urban, czyli ten spośród trójki nowych właścicieli, który o piłce wiedział najmniej. „Moje wrażenia z meczu? Cieszę się, że nie było żadnej zadymy”, mówił po zakończeniu spotkania. „Przychodził na mecze, bo tak wypadało, ale radości z tego nie czerpał żadnej. Zajęty był raczej sprawami produkcyjnymi firmy”, ocenia Ziętek.

Pewnego razu w cupiałówce doszło do niecodziennej sytuacji. Podczas jednego z meczów od sufitu oderwał się potężny wiatrak i spadł wprost na stół z jadłem. Ktoś wpadł w panikę:

– Zamach na prezesa!

Dopiero po dłuższej chwili, gdy emocje nieco opadły, goście zorientowali się, że to nie zaplanowany atak wrogich sił, a najzwyczajniejszy w świecie wypadek budowlany.

TAK NIE MOŻNA GRAĆ!

W następnej kolejce nowych właścicieli klubu spotkało niemiłe zaskoczenie: Wisła przegrała mecz. Drużyna, która miała gromić rywala za rywalem, poległa z Legią w Warszawie 0:1. Po powrocie do Krakowa Bogusław Cupiał zaprosił zespół do lokalu przy Małym Rynku. Kazimierz Węgrzyn pamięta, że doszło do następującego dialogu:

– Stasiu – zwrócił się Cupiał do Ziętka. – Ile meczów zostało do końca sezonu?

– Jeszcze 15.

– 45 punktów do zdobycia. Oj, Stasiu, może nam tych trzech punktów braknąć do mistrzostwa.

W tym momencie Węgrzyn włączył się do rozmowy.

– Ale, panie prezesa, przecież nie da się tak wszystkiego wygrywać...

Ziętek szturchnął Węgrzyna pod stołem i syknął:

– Nie mów tak... On naprawdę w to wierzy.

Cupiał zarażał swoim zapałem. „Szybko zrozumieliśmy, że słowo »porażka« powinno z naszego słownika zostać wymazane. Wiara prezesa w sukces udzieliła się nam wszystkim, byliśmy jeszcze bardziej zmobilizowani, każdy brał na siebie część odpowiedzialności”, mówi Węgrzyn.

Po tym spotkaniu wiślacy zanotowali serię sześciu kolejnych zwycięstw, gromiąc po drodze aktualnego mistrza, Widzew Łódź, 6:0. W ulewnym deszczu pierwsi na prowadzenie mogli wyjść goście, ale Andrzej Kobylański przegrał sytuację sam na sam z Arturem Sarnatem. Potem doszło do prawdziwej demolki. W ciągu 22 minut krakowianie zdobyli pięć bramek, a trener łodzian Franciszek Smuda tylko kręcił głową i uśmiechał się z niedowierzaniem. Do przerwy wiślacy prowadzili 5:0, więc z murawy schodzili w świetnych nastrojach. Sielankę przerwał Łazarek. Gdy wszedł do szatni, twarz miał czerwoną z wściekłości.

– Panowie! Kurrrrrwa! Tak się nie da grać! – ryknął od progu, w ułamku sekundy studząc entuzjazm piłkarzy.

„Do dziś nie wiem, o co wtedy Łazarkowi chodziło”, ocenia Grzegorz Kaliciak, który zdobył w tym meczu przepiękną bramkę potężnym strzałem z okolic narożnika pola

karnego. „Sporo mówiło się wówczas o tym, że Smuda może w Wiśle zastąpić Łazarka, i myślę, że to wpłynęło na zachowanie trenera”, mówi Węgrzyn.

Łazarek, czyli Baryła, kalkulował zapewne, że tylko w ten sposób, za pomocą ostrej, żołnierskiej reprimendy, utrzyma wśród zawodników odpowiednią koncentrację przed drugą połową. Udało mu się, bo co prawda wiślacy do dorobku z pierwszej dorzucili tylko jedno trafienie, ale Widzew nie odpowiedział ani razu.

Niewiele brakowało, a zamiast zwycięstwem Wisły mecz skończyłby się walkowerem dla Łodzian.

W końcówce na boisku miał się pojawić Pukelevičius, stał już przy linii bocznej, zwarty i gotowy, gdy nagle na ławce rezerwowych zrobiło się zamieszanie i Litwin został wezwany z powrotem. Ktoś przypomniał sobie, że w ten weekend Pukelevičius rozegrał już niemal całe spotkanie w zespole rezerw i zgodnie z przepisami nie mógł wejść na boisko.

6:0 z Widzewem wywróciło hierarchię w polskim futbolu. Co prawda łódzki klub borykał się już wówczas ze sporymi kłopotami finansowymi, wciąż jednak był aktualnym mistrzem kraju, jeszcze sezon wstecz grał w fazie grupowej Ligi Mistrzów, a teraz został zmiażdżony przez nową siłę powstającą pod Wawelem.

– Zagraliśmy tak dobrze, że moje jądra same składały się do oklasków – skwitował w swoim stylu Łazarek.

Gdyby ktoś zajrzał do hotelu, w którym wiślacy przebywali dzień przed meczem, mógłby odkryć powód podenerwowania trenera. Ujrzałby bowiem piłkarzy, którzy naruszyli ciszę nocną i grubo po północy grali jeszcze w karty, a konkretnie w kierki. O ile pierwsza partia poszła błyskawicznie, o tyle druga ciągnęła się niemiłosiernie. „Każdy z nas miał już po jednej karcie, na koniec schodzi się z kierów. Pierwszy dał dziesiątkę, a ja damę, wszyscy w śmiech, bo wysoka karta. Następny daje na to króla, znów wszyscy cha, cha, cha, ale gdy kończący, już nie pamiętam kto, wyłożył asa, ryknęliśmy ze śmiechu. W tym samym momencie otworzyły się drzwi i w progu stanął Łazarek”, opowiada Sarnat.

– Panowie! Kurrrrwa...! – ryknął trener.

Resztę można sobie dopowiedzieć.

ZRZUTKA NA SĘDZIÓW?

Liga była brudna. Czy grając czysto, można wygrywać wszystkie spotkania? Co jeśli na drodze jego drużyny stanie sędzia przekupiony przez rywala? Jasne, z dużo słabszym przeciwnikiem można wygrać, nawet jeśli gra on w dwunastu, ale co z drużynami, które Wiśle zbyt wyraźnie nie ustępowały klasą? Dziś wisi nad tym zasłona milczenia, ale pewien piłkarz, który do zespołu dołączył w ramach pierwszego zaciągu Tele-Foniki, a potem przez kilka lat był jedną z czołowych postaci, mówi: „W rundzie wiosennej sezonu 1997/98 były robione rzutki na sędziego”. Nie chce ujawniać personaliów, bo wie, że trudno byłoby mu znaleźć świadka na tyle odważnego, by potwierdzić tę wersję wydarzeń. „Składaliśmy się po 400, 500, czasem 600 złotych. Nie były to dla nas wielkie kwoty, przecież za wygraną mieliśmy obiecane do podziału 150 tysięcy. Co się później działo z tymi pieniędzmi, czy faktycznie trafiały do sędziego? Tego już nie wiem”, relacjonuje mój rozmówca.

Próbowałem potwierdzić tę historię u innych piłkarzy, którzy grali wtedy w Wiśle. Nic z tego. „Nie wiem”, „nie pamiętam”, „może, ale ja nic nie wiem”, „nie wydaje mi się”, „nie, nic takiego nie miało miejsca” – takie najczęściej padały odpowiedzi.

Na pewien trop można za to natrafić w książce Ryszarda Forbricha *Spowiedź Fryzjera*: „O Wiśle już mówiłem. [...] Kiedy na szczyt się wspinała pod koniec lat 90., też uczciwości stuprocentowej nie było. Wojciech Baryła Łazarek wiedział, jakie kontakty podszeptać. [...] Zdzisio Kapka jakieś ruchy próbował podejmować w celu ukierunkowania wiatrów przed wizytą we Wronkach. Wydzwaniał i wydzwaniał. Taka była jego rola”, napisał Fryzjer, który w latach 90. był menedżerem Amiki Wronki.

„Nic nie wiadomo mi na temat takich praktyk Łazarka. Jeśli taka informacja dotarłaby do nas, ucieliłobyśmy to w zarodku, w zdecydowany sposób karząc trenera”, deklaruje Zbigniew Koźmiński.

SMUTNY CZERWIEC

Dziś trudno ustalić, jak było naprawdę, pewne jest za to, że dysponowano bardzo mocnym zespołem. Co kryło się za fasadą o nazwie „nowa Wisła”? Wizytówką była druga linia. Od Radosława Kałużnego rywale odbijali się jak od ściany, a gdy strzelał, to ścigał pajęczynę z okna bramki. Krzysztof Bukalski, do czasu kontuzji, świetnie rozgrywał, Tomasz Kulawik i Grzegorz Pater szybko wskoczyli na wyższy poziom, Daniel Dubicki był tym, który siał popłoch w szeregach obronnych rywali, a lewa noga Grzegorza Kaliciaka stała się postrachem ligowych bramkarzy.

Tylko Czerwiec kręcił nosem. Ewidentnie nie był ulubieńcem Łazarka. „Trener często wolał stawiać na takich skurczybyków jak ja, chociaż przecież Rysiek piłkarsko był znacznie lepszy”, mówi Paweł Adamczyk. W meczu z Widzewem Czerwiec, dla przykładu, zagrał jako prawy pomocnik i zupełnie nie mógł się odnaleźć. Jak zaobserwował dziennikarz „Piłki Nożnej” Waldemar Skorupka, piłkę po raz pierwszy dotknął w 36. minucie spotkania. Na dobre odżył dopiero wtedy, gdy w Krakowie pojawił się jego stary znajomy z Widzewa Franciszek Smuda.

W defensywie postawiono na wzrost – najniższy z etatowych defensorów, Marek Zajac, mierzył 186 centymetrów. „W trakcie meczu z Wisłą czułem się jak Guliwer w krainie olbrzymów”, powiedział napastnik Legii Marcin Mięciel, który przez 90 minut odbijał się między Kazimierzem Węgrzynem (193 centymetry) a Jackiem Matyją (192 centymetry). W 17 wiosennych spotkaniach krakowianie stracili tylko osiem bramek, z czego na własnym stadionie tylko jedną.

W zespole brakowało jedynie klasycznego napastnika. Wiosną bramki strzelało aż 12 zawodników. Akcenty rozkładały się niezwykle harmonijnie, ale gdyby na szczycie tej układanki był snajper z prawdziwego zdarzenia, goli byłoby znacznie więcej.

DZIUPLA I AKWARIUM

Choć drużyna budowana była na wariackich papierach, zawodnicy szybko znaleźli wspólny język. Piłkarze, którzy stanowili o sile tego zespołu, byli w podobnym wieku. Niemal wszyscy mieli już żony i dzieci, zmagali się z podobnymi problemami, generalnie – nadawali na tych samych falach. Po zakończeniu rundy klub fundował piłkarzom, wraz

z rodzinami, krótkie wakacje w Krynicy. Choć mieszkali w spartańskich warunkach, w ośrodku należącym do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, nikt nie narzekał. „Świetnie czuliśmy się w swoim towarzystwie. Byliśmy jak jedna wielka rodzina”, wspomina Grzegorz Pater, który do pary z Jackiem Matyją rozśmieszał kolegów do łez. Trzymali się razem i co chwilę coś im się przydarzało. Tak jak wtedy, gdy jeszcze przed pojawieniem się Tele-Foniki drużyna pojechała do Stanów Zjednoczonych. Matyja postanowił pograć na automatach – z zapalonym strzelał do komputerowych bandytów, choć nawet nie wyciągnął pistoletów z kabur, więc trudno było mu kogoś trafić. Innym razem przez pomyłkę wysmarował się mydłem w płynie i poszedł się opalać.

– Tylko nie mów chłopakom – prosił jeden drugiego po kolejnej wtopie. Oczywiście zaraz wszyscy wszystko wiedzieli.

Atmosferę budowały także żony, większość z nich błyskawicznie się ze sobą dogadała. „Nieformalną szefową żon była Kinga Czerwiec. Dziewczyny świetnie się dogadywały, razem kibicowały nam w Krakowie i w trakcie meczów wyjazdowych”, mówi kierownik drużyny Marek Konieczny.

O tym, jak powinna się zachowywać żona piłkarza, Kinga Czerwiec mówiła w wywiadzie dla „Dziennika Polskiego”: „Kiedy pierwszy raz przyszedłam na mecz Widzewa, miałam na sobie dzinsowe ubranko z peweksu i markowe adidas. Wydawało mi się, że to szczyt elegancji. Stałam przed żonami piłkarzy i zamarłam ze strachu. Wszystkie wystrojone jak na weselu. Najstarsza zapytała: »Czyja ty jesteś, dziecko?«. »Czerwcowca«, odpowiedziałam cicho. »Żona czy dziewczyna?« »Dziewczyna«. »No to posłuchaj, jak ma się zachowywać kobieta piłkarza«, wspominała. Potem ona te same zasady wprowadzała w Wiśle. Instruowała koleżanki, że jako żony piłkarzy muszą być najpiękniejsze, najlepiej ubrane i nigdy nie mogą mówić cichym głosem. Nie wszystkim się to podobało, ale większość kobiet dobrze czuła się w tym klanie.

Daniel Dubicki z Olgierdem Moskalewiczem mieszkali w bliźniaku. Mieli duży ogród i często zapraszali na grilla. Grzegorz Kaliciak trzymał się z Radosławem Kałużnym. Z tej dwójki lepiej było w szatni nie żartować. „Z Radkiem spotykaliśmy się także poza klubem – raz u mnie, raz u niego. Trochę wypiliśmy, pośmialiśmy się, było wesoło”, wspomina Kaliciak.

Pewnego wieczoru zasiedzieli się u Kaliciaka. Było już grubo po północy, gdy żona Kałużnego wzięła syna Dawida, zarządziła powrót do domu i nie czekając na męża, wyszła na zewnątrz, gdzie stała już zamówiona taksówka. Radek – mocno zmęczony – schody pokonywał znacznie wolniej. Gdy wreszcie wytoczył się z domu, taksówkarz popatrzył na niego nieufnie. Wtem Kałużny pacnął się w głowę, zamruczał pod nosem i zawrócił. Kaliciak wiedział, o co chodzi – obiecał koledze koszulkę z Belgii.

– Nie wracaj! – krzyknął i rzucił koszulkę z impetem w stronę taksówki.

Całej tej scenie przyglądał się zdeorientowany kierowca. Gdy z okna zaczęły wylatywać ubrania, natychmiast wyskoczył z samochodu:

– Mąż wyrzucił panią z domu?! Niech pani szybko wsiada, już stąd jedziemy!

Warto wspomnieć, że Kałużny miał w tym okresie specyficzną dietę – jej podstawę stanowiła zupa grzybowa, kubełek KFC i trzy paczki czerwonych marlboro.

Po treningach długo przesiadywano w tak zwanej dziupli na stadionie, małym pokoiku, w którym mieścił się jeszcze mniejszy basen. Tradycją były także wspólne spotkania w restauracji Akwarium. „Właściciel zamykał dla nas knajpę. Mogliśmy wypić piwko, spokojnie porozmawiać”, mówi Pater. Zjawiali się praktycznie wszyscy. Jeden wpadał na pół godziny i wypijał jedno piwo, inny zostawał do późnej nocy i tankował do pełna. Ale najważniejsze, że byli razem. Prym wiódł Olgierd Moskalewicz. Z marszu stał się duszą towarzystwa. „Tomek Frankowski zazwyczaj siedział cicho, ale jak już coś powiedział, to wszyscy leżeli ze śmiechu”, wspomina Marek Konieczny.

Grzegorz Niciński opowiada z kolei: „Atmosferę z tamtych lat wspominamy do dziś. Wszyscy jesteśmy zgodni: już nigdy potem żaden z nas w żadnym innym klubie nie czuł się tak dobrze jak wtedy”.

W ten sposób z grupy facetów, którzy jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie mieli ze sobą praktycznie nic wspólnego, wykuwała się zgrana ekipa, która radziła sobie na boisku i poza nim.

Zazwyczaj spotkania w Akwarium kończyły się na kolacji, jednak czasem ekipa ruszała w miasto. Pewnego razu wiślaczy trafili do popularnego wówczas w Krakowie klubu Wolność, ale problem pojawił się już przy wejściu – na bramce siedzieli kibice Cracovii. Grzegorz Kaliciak postanowił zaryzykować: wdarł się do środka, bez oglądania się na ryzyko. Gdy był już w klubie, odetchnął z ulgą. „Znałem wówczas sporo »ludzi z miasta« – wspomina. W środku spotkał kolegów: ludzi Pyzy, czyli niejakiego Zbigniewa Ściebura, zdaniem prokuratury członka gangu Krakowiaka. – Myśmy wtedy koledzy byli. Poznaliśmy się w Nowym Sączu, na otwarciu knajpy Piotрка Świerczewskiego”.

Po interwencji kolegów Kaliciaka ochroniarze grzecznie przeprosili i zaprosili wiślaków do środka. Potem jednak, gdy noc nie była już taka młoda, znów zrobiło się gorąco. W pewnym momencie grupa zdecydowała się na opuszczenie lokalu, ale gdy większość drużyny znalazła się na ulicy, okazało się, że brakuje Grzegorza Patera. Kolegi w potrzebie zostawić nie można, więc delegacja ponownie zanurzyła się w czeluściach klubu. Gdy odnaleźli Grzelę, awantura wisiała w powietrzu – oto stał, otoczony przez kilku wyższych o głowę osiłków. Intencje mieli dość wyraźnie sprecyzowane, trwała właśnie ożywiona dyskusja i wydawało się, że lada chwila przejdą od słów do czynów. Nagle jednak, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, rozstąpili się i pozwolili Paterowi odejść w spokoju.

Po wyjściu z klubu Grzela zdradził kolegom, w jaki sposób zdołał udobruchać agresorów.

– Wy tłumaczyłem im, na czym polega różnica między kibicem a piłkarzem. Mówiłem im: „Widzicie, dziś jestem piłkarzem Wisły, ale kto wie, czy za rok lub dwa nie będę zawodnikiem Cracovii”. To ich przekonało.

Incydenty z kibicami Pasów nie należały do rzadkości. Pewnego razu Kamil Kosowski wraz z Grzegorzem Lekkim (spędził w Wiśle wiosnę 2000 roku) wybrali się na kręgle do jednego z centrów handlowych. Podeszło do nich kilku miśków, kibiców Cracovii.

– Chyba już wychodzicie? – zapytał jeden z nich, dając do zrozumienia, że odpowiedź może być jedna.

Piłkarze popatrzyli po sobie.

– Tak. Właśnie się zbieraliśmy.

Nawet takie sytuacje cementowały ten zespół w jedną całość.

SYNUŚ, BIERZ TO

Niedługo po efektownym zwycięstwie nad Widzewem wiślacy dali się pokonać Ruchowi Chorzów, co Wojciech Łazarek przypłacił utratą posady. Bogusław Cupiał i Stanisław Ziętek przebywali wówczas za granicą, trenera o zwolnieniu poinformowali więc telefonicznie. Drużynę do końca sezonu poprowadził dotychczasowy asystent Łazarka Jerzy Kowalik.

– Synuś, bierz to i ciągnij dalej – poinstruował go Baryła.

Po pięciu zwycięstwach z rzędu, zwieńczonych wygraną 5:0 nad Petrochemią Płock, stało się jasne, że po 14 latach krakowianie wracają do europejskich pucharów. „Cupiał powiedział mi, że jeśli wprowadzę drużynę do pucharów, będzie na mnie czekać nagroda. Dotrzymał słowa i po sezonie zabrał mnie na mistrzostwa świata do Francji”, wspomina Kowalik.

Więcej ugrać się nie udało, choć jeszcze przed ostatnią kolejką wiślacy mieli szansę na wicemistrzostwo. Aby je zdobyć, musieli wygrać we Wronkach z Amicą, a to wówczas zdawało się nierealne. „Ja w tym spotkaniu nie grałem, ale tam, we Wronkach, zawsze było ciężko, różne hocki-klocki się rozgrywały. Cała Polska o tym wiedziała, pisało się odwołania, ale wyniku już nie dało się zmienić”, mówi Bukalski. „Każdy wyjazd do Wronek kosztował nas mnóstwo nerwów. Nawet jak udawało się tam wygrać, człowieka krew zalewała, gdy patrzył na to, co tam się wyrabiało”, dodaje Ziętek.

Wtedy, w czerwcu 1998 roku, gospodarze wyszli na prowadzenie zaraz na początku meczu, kiedy po rzucie karnym do siatki trafił Paweł Kryszalowicz. W drugiej połowie Radosław Biliński kopnął Kazimierza Węgrzyna w twarz. obrońca Wisły nie był w stanie kontynuować gry, a piłkarz Amiki nie dostał nawet żółtej kartki. Po 20 minutach sędzia Stanisław Grzesiczek (kilka lat później, już jako obserwator sędziów, miał zostać zdyskwalifikowany na pięć lat za udział w aferze korupcyjnej) nie uznał bramki Jacka Matyi (strzelał piętą!), a chwilę potem Kryszalowicz urwał się obrońcom Wisły. Ktoś złamał pułapkę ofsajdową, napastnik Amiki przebiegł z piłką 30 metrów i dopełnił formalności.

ZEZOWATE SZCZĘŚCIE NAPASTNIKA

Był w tej drużynie człowiek, który przyciągał pecha. „Jeśli coś się miało komuś stać, wiadomo było, że padnie na Nitka” – Artur Sarnat nawet po latach z trudem powstrzymuje śmiech. Grzegorz Niciński faktycznie miał pecha.

Przed jednym z meczów piłkarze stoją już w tunelu, gdy nagle okazuje się, że brakuje Nicińskiego. Ktoś biegnie do szatni, zagląda do łazienki – w środku Nitek. Nie mógł wyjść, bo po zamknięciu drzwi klamka wypadła i został uwięziony na dobre. Zakończenie sezonu, pokaz fajerwerków. Jedna z rakiet leci niepokojąco nisko, wreszcie wpada w grupę osób. W kogo trafia? W Nicińskiego? Nie, w jego żonę, bo stała tuż obok. A komu kibice innych klubów najczęściej przebijali opony w samochodzie? Łatwo zgadnąć...

Niciński kupuje Sylwii, swojej żonie, róże na urodziny – wkłada kwiaty do samochodu, trzaska drzwiami. Bach! – odcina wszystkie łepki, zostają tylko smutne kikuty.

Kumulacja w totolotku. Piłkarze składają się na wspólny kupon, każdy rzuca po jednym numerze, nie trafiają choćby trójki. Wreszcie ktoś wpada na genialne rozwiązanie:

– Niech Nitek wytypuje 43 numery, postawimy na te, których nie wybierze i na pewno wygramy.

Niciński faktycznie trafił kumulację, ale była to kumulacja pecha – w trakcie meczu ze Stomilem w Olsztynie, pod koniec sezonu 1997/98. „Najpierw jeden z obrońców paskudnie przerysował mi rękę. Cała dłoń spuchła, ale grałem dalej. W drugiej połowie zderzyłem się z bramkarzem. Nie chciałem upaść na kontuzjowaną rękę, próbowałem się asekurować i rozwalilem sobie bark”, wspomina. Schodząc z boiska, wyglądał jak pacjent szpitala polowego – cały w bandażach.

– Tu mnie boli, tam mnie boli, o Jezu, Jezu... – jęczał.

Ale dzień jeszcze się nie zakończył.

Po meczu do szatni wkroczył Stanisław Ziętek:

– Panowie, dobra robota, w drodze powrotnej zatrzymamy się na piwko.

Po zwycięstwie 3:0 zespół wciąż miał szanse na wicemistrzostwo Polski, więc było co świętować. W karczmie było wesoło, piłkarze rzucali kawałami, ale wszystkich przebił Adam Musiał. Gdy opowiedział swoją historyjkę, Niciński wpadł w spazmatyczny śmiech, niekontrolowanym ruchem z całym impetem wyrzucił czołem o kufel piwa. Z łuku brwiowego trysnęła krew.

Ktoś kiedyś powiedział, że suma szczęścia w życiu człowieka w ostatecznym rachunku wychodzi na zero. Pewnego dnia, tuż nad ranem, Grzegorz Niciński dziękował losowi za wszystkie obcięte łepki róż.

– Zostań, przepisz się i pojedziesz rano – radzili koledzy. U Bogdana Zajęca trwała impreza zamykająca sezon. Niciński przez cały wieczór nie wypił choćby piwa, bo już wcześniej zaplanował, że o północy wsiądzie do samochodu i wraz z żoną pojedą do domu, do Gdyni. O 6.00 rano byli niemal u celu. 100 kilometrów przed Trójmiastem zatrzymali się na śniadanie i ponownie ruszyli w trasę. Byli już prawie w domu... W pewnym momencie Niciński przymknął oczy, zdawałoby się na ułamek sekundy. Samochód wyskoczył z trasy. Ściął znak, przebił ogrodzenie i z impetem uderzył w stojący tuż obok budynek. Piłkarz dobrze go pamięta: „Dom z czerwonej cegły z betonowym tarasem”.

Z samochodu wysiadł o własnych siłach, Sylwia również. Patrzyli na siebie z niedowierzaniem – auto nadawało się do kasacji, a oni nie mieli nawet zadrapania. Mimo wypadku szczęście w tych dniach było przy nich. Nim wyjechali z Krakowa, dzieci wysłali do domu pod opieką babci pociągami sypialnym.

Nicińskiemu nic się nie stało i wraz z resztą drużyny mógł się szykować do kolejnego sezonu, w którym tytuł mistrzowski nie miał już prawa wymknąć się im z rąk.

5. SZEFE SZEFOW

Bogusław Cupiał. Jedna z najbardziej tajemniczych osób w polskim futbolu. Ambitny i porywczy, na co dzień skryty, wymagający wobec siebie i innych, szczególnie podwładnych. Konkretny aż do bólu, chorobliwie wręcz przesądny, dla znajomych wdzięczny kompan; choleryk, nocny marek, autokrata, posiadacz świetnego zmysłu biznesowego. Właściciel i wielki kibic Wisły. Człowiek z ogromnym, niespełnionym marzeniem.

Oto jak widzą go osoby, które współpracowały z nim na niwie sportowej.

Stanisław Ziętek: „Nie umie dzielić się władzą, dlatego musieliśmy się rozstać. Choć znaliśmy się blisko 20 lat, kontakt urwał się praktycznie całkowicie”.

Andrzej Iwan: „Poznałem go w 1983 roku. Nie odczułem, by miał specjalnego bzika na punkcie Wisły. Wówczas pochłaniały go inne sprawy”.

Marek Gorączko: „Ma niesamowitą głowę do liczb. Kursy walut potrafi podać z głowy do któregoś miejsca po przecinku”.

Janusz Basałaj: „Ma szacunek do księży i lekarzy. Prawnicy to papugi, za to instytucję dziennikarza najchętniej by zlikwidował. Nienawidzi też menedżerów piłkarskich”.

Grzegorz Mielcarski: „Z panem Cupiałem trzeba umieć rozmawiać. Jeśli nie masz mocnych argumentów i nie przedstawiasz ich w zdecydowany sposób, już po tobie”.

Zbigniew Koźmiński: „Kilka razy powiedziałem mu, że szczęściem Wisły są jego pieniądze, a nieszczęściem klubu jest jego charakter”.

Gdy Wisła trafiła pod skrzydła Tele-Foniki, o piłce wiedział tyle co przeciętny kibic lub niewiele więcej. „W 1997 roku był klasycznym Januszem i interesował go tylko awans do Ligi Mistrzów. Uczył się piłki na własnych błędach. Teraz jego wiedza jest znacznie większa. Kosztowało go to kupę pieniędzy i masę zmartwień, ale jeszcze więcej frajdy – mówi Andrzej Iwan, który poznał Cupiała na długo, nim ten zainwestował w klub. – Na początku lat 80. przyjeżdżał pod pewex przy ulicy Królewskiej, gdzie kręciłem się i ja. Niektórzy mówili, że był cinkciarzem, ale to nieprawda. Przyjeżdżał po dolary, bo w tym czasie rozkręcał swoje interesy i potrzebował waluty. Miał »swój« stół w restauracji Dniepr. Jeden z cinkciarzy, których wtedy poznał Cupiał, jeszcze lata później jeździł z nim na mecze Wisły”. Kazimierz Zawrotniak, który był wówczas naczelnikiem urzędu skarbowego i wraz z policją rozpracowywał środowisko cinkciarzy przesiadujących pod peweksem, również zapewnia, że Cupiał nie zajmował się handlem walutą.

Brak piłkarskiej wiedzy kosztował go sporo błędów. „Nie mogłem tego zrozumieć – kręci głową Zbigniew Koźmiński. – Na produkcji kabli się nie znał, więc budując potęgę Tele-Foniki, wziął z innych fabryk najlepszych fachowców i im zaufał. Tak samo trzeba było postąpić w Wiśle. Powinien wziąć najlepszych fachowców od piłki, ale z niewiadomych przyczyn tego nie uczynił. Chciał decydować o wszystkim, myślał, że sam wie, jak zbudować klub piłkarski. Niestety nie wiedział. Myślał, że to tak jak w fabryce: kupisz najlepsze maszyny za kwotę X, a one wygenerują ci przychód w postaci kwoty Y.

W ogóle nie brał pod uwagę czynnika ludzkiego, dlatego początkowo nie potrafił znosić porażek. Gdy Wisła przegrywała, podrywał się z miejsca i krzyczał do Staszka Ziętka: »Wychodzimy! Dzwon do syna, niech szuka kupca na klub!«”.

Decyzje podejmował w mgnieniu oka. „Zmysł biznesowy ma niesamowity. Intuicja, szybkość podejmowania decyzji to atuty, które go wyróżniają – mówi jeden z byłych prezesów klubu i dodaje, że negocjacje z nim zazwyczaj są wyjątkowo szybkie: – Cupiał stawia pytanie i oczekuje odpowiedzi »tak« lub »nie«. Odpowiedź »nie wiem« klasyfikuje jako »nie«”.

NOCNE TELEFONY

Pracy Cupiał nie lubi rozpoczynać bladym świtem, za to chętnie poświęca czas obowiązkom zawodowym w nocy. Tego samego wymaga od swoich najbliższych współpracowników, o czym szybko przekonał się Franciszek Smuda. „Prezesi Wisły tak kochają piłkę, że spać nie mogą nocami”, mówił w 1998 roku w wywiadzie dla „Piłki Nożnej”, zapewne po jednym z nocnych telefonów od Cupiała. „Telefony koło północy i później to była normalka. Jak człowiek nie odebrał, to była afera. Gdy odpowiadałem po trzecim dzwonku, pytał, czemu tak długo musiał czekać”, wspomina Marek Gorączko, który przez kilka lat był dyrektorem stadionu.

„Po prostu prezes wpadał czasem na jakiś pomysł i od razu chciał go przedyskutować. Nie przeszkadzało mi to, bo też pracuję do późna”, mówi Krzysztof Kowal (dyrektor klubu w latach 1998–1999). Łączność z prezesem była kluczowa. „Raz Zdzisław Kapka zapomniał zabrać ładowarki na mecz. Telefon mu padł i właściciel nie mógł się do niego dodzwonić. Od tego czasu zawsze woził ze sobą zapasową baterię”, wspomina ze śmiechem Marcin Baszczyński.

Jak na człowieka prowadzącego ogromny biznes przystało, nie ma czasu na rozwijanie innych pasji. „Co robi w czasie wolnym? Przepraszam, kiedy?” – oto najczęstsza reakcja osób, które dobrze go znają. Ponoć lubi się zrelaksować przy rockandrollowych rytmach z lat 60., ale i na to nie ma wiele czasu. „Przy okazji jednego ze spotkań prezes zaprosił mnie do gabinetu, by pochwalić się ogromnymi głośnikami. Był to sprzęt warty kupę pieniędzy – mówi Maciej Szczęsny. – Powiedziałem panu Cupiałowi, że ma za mały gabinet, by wykorzystał pełnię możliwości takich kolumn. A on na to: »Tak? Nie wiem, bo jeszcze nie włączałem«”.

Gdy Cupiał pracował z Ziętkiem i Urbanem, ci dwaj połąkali bakcyła polowań. On nie. „Raz czy dwa pojechał z nami w Bieszczady i na tym się skończyło”, mówi Ziętek. Okazało się, że właściciel Tele-Foniki, często surowy wobec współpracowników i podwładnych, ma miękkie serce wobec zwierząt. „Jak strzelał, to tylko do rzutek. Kiedy przyjeżdżałem do niego do domu, ostrzegał swojego psa: »Chowaj się, bo on zwierzątka zabija«”, wspomina inny zapalony myśliwy Marek Gorączko. Gdy wraz z Ziętkiem i Urbanem latał na polowania do Afryki, Cupiał już dawno wypisał się z tego klubu.

SIÓDEMKI I TRZYNASTKI

Współpracownicy wiele mówią o przesądach właściciela Wisły. A że trzynastka podobno przynosi pecha, tego dnia nie wsiadał do samolotu. Siódemka przeciwnie – zapewnia

szczęście. Najlepiej, by znalazła się w numerze rejestracyjnym każdego firmowego samochodu. Dobrze też, aby data zebrania zarządu czy rady nadzorczej Tele-Foniki zawierała choć jedną siódemkę. Gdy został właścicielem klubu, z utęsknieniem czekał na dzień, w którym piłkarze ustrzelą dla niego upragnioną siódemeczkę. Stało się to dość szybko – latem 1998 roku wiślaczy rozgromili 7:0 walijski Newtown w pierwszej rundzie Pucharu UEFA. Po zwycięstwie 6:1 nad Stomilem Olsztyn w Pucharze Polski Franciszek Smuda apelował do właściciela:

– Pochwaliłbyś chociaż za szósteczkę.

Drugim trenerem, który zafundował Cupiałowi wymarzoną siódemeczkę, był Henryk Kasperczak. W sezonie 2004/05 wiślaczy wygrali na wyjeździe z Zagłębiem Lubin 7:1. Bliscy tego byli też dwa miesiące wcześniej, jednak wówczas wszystko „popsuł” Marcin Kuźba, który w eliminacjach do Ligi Mistrzów z WIT Georgia Tbilisi zdobył gola na 8:2.

Dla piłkarzy Cupiał jest jak surowy ojciec. Po jednym z tytułów mistrzowskich szykowano bankiet kończący sezon. W pierwotnie ustalonej wersji menu dla zawodników był czarny Johnnie Walker. W tym czasie, nim sezon dobiegł końca, drużyna przegrała jakiś mecz: dla zawodników pewnie niezbyt już ważny, dla Cupiała owszem. „Na drugi dzień przyszedł faks: »Zamieńcie czarnego na czerwonego«, wspomina jeden z pracowników hotelu, w którym miała się odbyć impreza.

Ten ojciec rzadko pojawia się w domu. Dziś większość zawodników Wisły praktycznie go nie zna. Spotykają się wyłącznie na okolicznościowych imprezach, a rozmowa – o ile w ogóle do niej dochodzi – zazwyczaj kończy się na wymianie zwrotów grzecznościowych. Początkowo widywali go częściej. „W pierwszych latach panowała inna atmosfera. Cupiał raz w tygodniu zaglądał do klubu, siadaliśmy, rozmawialiśmy”, mówi Zbigniew Koźmiński. „Prezes przyjeżdżał na stadion półtorej godziny przed meczem i zderzaliśmy się przy wejściu. Często pytał, czy będzie czwóreczka. Potem już nie czuliśmy jego obecności”, przekonuje Węgrzyn. Kosowski wspomina: „Zawsze trudno było się do niego przebić. Nawet wtedy, gdy się z nami spotykał, był otoczony wianuszkami ludzi”.

W drużynie dość często panowało przekonanie, że właściciel nie wie o wszystkich rzeczach, które dzieją się w klubie. Gdy zawodnicy czuli się pokrzywdzeni, próbowali dotrzeć bezpośrednio do niego, wierząc, że ten stanie po ich stronie. Kiedyś żona Artura Sarnata zadzwoniła do domu Cupiała, do Myślenic. Odebrał ochroniarz. Kilka minut później do małżonki bramkarza zatelefonował Zdzisław Kapka:

– Prezes nie życzy sobie, by dzwonić do niego do domu.

Podwładni mają powody, by się go bać. „Lecieliśmy na zgrupowanie do Hiszpanii, mieliśmy przesiadkę we Frankfurcie. Był z nami prezes Cupiał. Wyciągnął telefon i zadzwonił do jednego z pracowników biura podróży Kraktel z niecierpliwym pytaniem, do którego *gate*’u mamy się udać. Oczekiwał natychmiastowej odpowiedzi. Ktoś, kto odebrał ten telefon, musiał się nieźle spocić”, wspomina Grzegorz Kaliciak.

Innym razem podpadł ochroniarz. „Na stadionie była świeżo położona trawa, nie można było na nią wchodzić – mówi Marek Gorączko. – Pewnego dnia ochroniarz patrzy, a tam ktoś spaceruje. »Chuju! Złaż stamtąd!«, krzyknął, nim zorientował się, że to prezes Cupiał. Tylko cudem udało się go uratować przed utratą roboty”.

O WSZYSTKIM SAM

Dzielić można się opłatkiem w Wigilię, ale nie władzą. Bogusław Cupiał lubi rządzić samodzielnie i gdy poczuł się wystarczająco mocny – rozstał się ze wszystkimi współnikami.

Stanisława Ziętka poznał na początku lat 80., gdy obaj pracowali w branży chemicznej. Potem Cupiał zaczął pośredniczyć w handlu kablami między myślenicką spółdzielnią inwalidów Raba a Telekomunikacją Polską. W końcu zaproponował Ziętkowi spółkę, dołączył do nich Urban (wiedza), a niedługo potem Wachowski (kapitał). Blisko tej czwórki kręcił się Zbigniew Jania, w otoczeniu Cupiała znany jako prezes „od ziemi” – bo rozpoczął znajomość z Cupiałem od sprzedania mu domu, a potem przez lata skupował dla niego najróżniejsze nieruchomości. Zaufanym człowiekiem przez długi czas był także Ryszard Dzedzic, czyli prezes „od złomu” – dorobił się między innymi na skrawkach kabli, które zostawały z produkcji Tele-Foniki.

Nie było to przyjacielskie rozstanie. Dawni współnicy stali się zaprzysięgłymi wrogami. Odchodzili jeden po drugim: najpierw Wachowski, a w 2000 roku Ziętek i Urban. To nigdy nie był trójkąt równoboczny, szefem w tym trio zawsze był Cupiał. Spłacił ich udziały w Tele-Fonice. „Udziały w Wiśle sprzedałem natomiast za symboliczną złotówkę [klub miał już wówczas około 80 milionów złotych zadłużenia wobec TF – przyp. aut.]. O, przepraszam, mam dożywotnie miejsce w łóżu”, mówi Ziętek, który do dziś pojawia się na meczach Wisły. Urban ze swojej wejściówki korzysta znacznie rzadziej. Po rozstaniu z Cupiałem wykupił większościowy pakiet udziałów w kopalni soli w Bochni, kilka lat później nabył zabytkowy XIX-wieczny pałac Goetzów w Okocimiu, jest też właścicielem hoteli w Zakopanem i w Bochni.

„Staszek Ziętek to był super gość. Pełnił rolę bufora, próbował powstrzymywać Bogdana przed szalonymi decyzjami, ale i jemu nie zawsze się udawało”, mówi Andrzej Iwan.

Dlaczego się rozstali? „Mieliśmy odrębne zdanie na temat spółki. Była też kwestia dziedziczenia. Pojawił się zapis, wedle którego w razie mojej śmierci mój syn nic by nie odziedziczył. To była główna kość niezgody – mówi Ziętek. – Potem Bogdan nie chciał już inwestować w klub. Jakbym był przy nim ja albo Zbyszek Urban, tobyśmy go przekonali, że trzeba dołożyć. Pracownicy woleli siedzieć cicho, by nie ryzykować posady”.

Z PROKURATURĄ NA KARKU

Rozeszli się, a w 2007 roku jeden z nich wypowiedział Cupiałowi prawdziwą wojnę. Udał się do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, by opowiedzieć o wszystkim, co budziło jego wątpliwości, o wszystkim, co widział, i o wszystkim, o czym się w Myślenicach plotkowało. Powstała pokaźna lista, którą prokuratura zajmowała się przez blisko trzy lata, by w końcu wydać postanowienie końcowe: umorzenie, umorzenie, umorzenie, umorzenie...

Najważniejsza była kwestia stadionu. Ówczesny minister sportu Jacek Dębski obiecał, że obiekt Wisły będzie stadionem narodowym; państwo miało przekazać na ten cel 35 miliony milionów złotych. W wyniku doniesienia prokuratura badała sprawę łapówki, której miał zażądać minister za pozytywne załatwienie sprawy. Śledztwo nie potwierdziło

tych informacji. Dziennikarz „Wprost” Grzegorz Pawelczyk napisał w 2001, że Dębski składał mnóstwo tego typu propozycji: pobierał zaliczki na poczet projektów, których nie był w stanie przepchnąć, przez co popadł w kłopoty, które doprowadziły do jego śmierci. Stadion Wisły też nie zrealizował, bo najpierw został odwołany, a potem zamordowany w niejasnych okolicznościach.

Cupiał musiał się tłumaczyć z tego, kogo zaprasza do loży, czy jego goście płacą za śledzika, dlaczego aż 15 piłkarzy przeszło z Wisły do Proszowianki i kto jeździ z nim na wyjazdowe mecze w pucharach europejskich. Zresztą właśnie z tego powodu – gdy ujawniono, że wśród osób podróżujących z Cupiałem są krakowscy sędziowie i prokuratorzy – śledztwo zostało przeniesione do Rzeszowa. Tam zajęła się nim miejscowa prokuratura, wydział do spraw przestępczości zorganizowanej i korupcji, ale w żadnym przypadku nie dopatrzonego się przestępstwa – wszystkie sprawy zakończyły się umorzeniem.

Kontrowersje wywoływała także kandydatura Jerzego Adamika na stanowisko prezesa klubu. W drugiej połowie 2005 roku Cupiał nosił się z takim zamiarem zatrudnienia ówczesnego wojewody, ale zrezygnował z tej kandydatury, gdy sprawą zainteresowała się najpierw prasa, a potem prokuratura. Pojawiły się bowiem sugestie, że właściciel klubu liczy na pomoc Adamika w kwestii przekwalifikowania jednej z działek w Krakowie – z rolnej na budowlaną.

ZA WYSOKIM MUREM

Cupiał lubi się chować przed całym światem, więc dom w Myślenicach zamienił w prawdziwą twierdzę otoczoną wysokim murem. Wystarczy zaparkować samochodem w jednej z przylegających ulic, by zwrócić na siebie uwagę ochrony. Wykupił i zamknął kilkudziesięciometrową uliczkę klinem wbijającą się w jego posiadłość, skupywał także sąsiednie działki. „Rodzinom, które godziły się na przeprowadzkę, stawiał nowy dom ulicę dalej: znajduje się tam kilka domów ludzi »wysiedlonych« przez Cupiała”, relacjonuje jeden z sąsiadów. „Nie mogli narzekać, bo za działki płacił im podwójne stawki, potem burzył opuszczone domy i powiększał swój ogród. Przywoził egzotyczne drzewa, które nie przyjmowały się w polskich warunkach”, opowiada Koźmiński. Częstym gościem w domu Cupiała był miejscowy ksiądz, a w myślenickim kościele rozbrzmiewają dzwony ufundowane przez właściciela Wisły.

Innym zaufanym księdzem Cupiała jest Tadeusz Skrzyńiarz – były kapelan wojskowy, mający za sobą udział w misji w Iraku. „Jak jeździliśmy do niego na imieniny, czuliśmy się jak w filmach o Zagłobie. Wieś biedna, a tam u niego stoły uginają się od wszelkiego możliwego jadła – były gęsi, kaczki, wszystko, co tylko można sobie wyobrazić. Totalne obżarstwo i opilstwo”, wspomina Koźmiński.

Ale nawet w swojej fortecy Cupiał nie zdołał się ukryć przed wszystkimi problemami. Jeden z sąsiadów lubował się w docinkach. „Gdy Wisła przegrywała, dla przykładu z Legią, na drugi dzień wywieszał na balkonie flagę warszawskiej drużyny”, zaśmiewa się Gorączko. Właściciela Wisły takie żarty nie śmieszą. „Jego poczucie humoru uaktywnia się w towarzystwie, szczególnie po kieliszku. Jest niesamowicie bystry, więc dobrze odnajduje się w żartach sytuacyjnych”, opowiada Janusz Basałaj.

Od świata zewnętrznego odgradził się pod dwóch wydarzeniach, które mocno wyryły się w jego psychice. Pierwsze to porwanie syna jego współnika Zbigniewa Urbana.

24 stycznia 2001 roku około godziny 18.00 Urban odebrał telefon. „Mamy pańskiego syna Bartka”, usłyszał. Porywacze zażądali miliona dolarów. Pieniądze chcieli dostać nazajutrz. Sprawa się przeciągała, bo porywacze zmieniali zdanie, mylili tropy, chłopak był przetrzymywany przez 17 dni. W końcu okup został przekazany – trójka porywaczy otrzymała umówiony milion. Nikt wcześniej w Polsce nie zapłacił tak wysokiego okupu.

Wpadli wkrótce potem. Cała trójka została skazana na więzienie. Policja odnalazła część pieniędzy (około 350 tysięcy dolarów), reszta została zasądzona jako odszkodowanie. To jednak nie brak pieniędzy, a ślad w psychice młodego chłopaka i całej rodziny był najbardziej przykrą pamiętką po tym wydarzeniu.

Cupiał przyglądał się temu z boku i też mocno to przeżywał. „Od tego momentu podwoił ochronę, zaczął bardzo obawiać się o rodzinę”, mówi Andrzej Iwan.

Drugi traumatyczny incydent spotkał go rok później, podczas likwidacji fabryki w Ożarowie. Wzburzeni pracownicy przyjechali do Myślenic i rozpoczęli marsz w stronę domu Cupiała. Choć rzadko bywa u siebie, akurat wtedy był na miejscu.

– Pamiętam to. Pamiętam ten tłum idący na mój dom – mówił swoim współpracownikom jeszcze wiele lat później.

Od tego czasu już nigdzie nie ruszał się bez ochrony, do dziś ma też obsesję na punkcie bezpieczeństwa swoich najbliższych. Jest ojcem trzech córek, a najstarsza z nich ma w przyszłości przejąć interesy po tacie. Cupiał koniecznie chce, by rodzina pozostała w cieniu, i postanowiłem to w tej publikacji uszanować.

UCIECZKA Z SALONÓW

Właściciel Wisły źle się czuje na salonach. „W europejskich pucharach tradycją są wspólne obiady delegacji obu klubów. Siadaliśmy do stołu z prezesami Barcelony czy Interu Mediolan, z ludźmi, którzy w świecie piłki dużo mogą i wiele znaczą. Prezes Cupiał nigdy nie uczestniczył w tych spotkaniach, co zawsze mnie dziwiło. Zdawało mi się, że mogłyby one być korzystne dla jego działalności biznesowej”, mówi Marek Konieczny. Na oficjalne obiady wysyłał swojego człowieka.

W 2009 roku, gdy Wisła grała z Barceloną, otrzymał zaproszenie od Joana Laporty – na meczu miał zasiąść tuż obok niego, zostałby pokazany w trakcie transmisji telewizyjnej. Znów odmówił i na honorowym miejscu pojawił się prezes Marek Wilczek. Gdy pokazały go kamery, nerwowo obgryzał paznokcie.

Dlaczego właściciel Wisły nie chce uczestniczyć w takich spotkaniach? Bariera językowa to jedna z przeszkód, ale przecież można ją ominąć. „Po prostu bał się, że źle wypadnie. To bardzo w jego stylu – trzeba było coś załatwić, to wysyłał ludzi”, mówi Ziętek. „Najlepiej czuje się u siebie, w Myślenicach, w siedzibie firmy, którą traktuje jak dom. Nigdy nie dorobił się umiejętności komunikacyjnych”, dodaje Koźmiński.

Kiedyś zorganizowano galę z okazji prezentacji drużyny. Prowadziła ją jedna z krakowskich aktorek.

– A teraz na scenę zapraszam właściciela klubu Bogusława Cupiała – powiedziała w pewnym momencie.

„Jak Bogdan to usłyszał, to od razu poderwał się z krzesła i zaczął uciekać do tylnego wyjścia, jakby do niego strzelali”, mówi Koźmiński.

W 1998 roku zdenerwowany czytelnik „Tempa” napisał do redakcji: „Kim jest pan Cupiał? Kibice nie wiedzą nawet, jak on wygląda!”. Przez lata niewiele się w tej kwestii zmieniło. Długo żaden z fotoreporterów nie zdołał zrobić zdjęcia całej sylwetki Cupiała. Kolejni prezesi klubu namawiali go, by udzielał się medialnie. Bezskutecznie. Bogusław Cupiał to człowiek, który najlepiej czuje się w cieniu.

WISŁA? NIE SPRZEDAJĘ

Do Wisły ma wielki sentyment. Przez lata pojawiło się kilku chętnych na przejęcie tego biznesu – jedni mniej, inni bardziej poważni – ale wszyscy prędzej czy później odbijali się od muru.

W maju 2007 roku w Krakowie pojawił się Waldemar Kita. Zamykał akurat swoje piłkarskie biznesy w Szwajcarii i szukał nowego klubu. Cupiał nawet się z nim nie spotkał. „Przysłał swoich adwokatów, co odebrałem jako brak szacunku. Chciał za Wisłę 10 milionów euro, ale tak na dobrą sprawę nie wiedziałem, co miałbym kupić. Nazwę? Zawodników? Teren? Trenerów? – mówi Kita. Wyjechał z Krakowa jak niepyszny i za tę samą kwotę kupił spadające z Ligue 1 FC Nantes. – W pierwszym roku wpompowałem w klub 20 milionów euro, potem kolejne 80. Wybudowaliśmy pięć boisk i stworzyliśmy jedną z najlepszych szkółek piłkarskich w całej Francji”. „Kita nie miał szans na interes z Cupiałem. Do Krakowa przywiózł go Tadeusz Fogiel, który był spalony po aferze z Kasperczakiem”, mówi Janusz Basałaj.

Bliżej transakcji było w dwóch innych przypadkach, ale również wtedy nie udało się jej sfinalizować. W 2005 roku, po tym, jak Cupiał ogłosił, że definitywnie sprzedaje klub, trwały zaawansowane rozmowy ze szwajcarską grupą SportInvest AG, za którą stał bank UBS, a do Krakowa jej przedstawiciele przywiózł Adam Mandziara. Podobno negocjacje padły, gdy do umowy wpisany został punkt, wedle którego nowy właściciel klubu zobowiąże się, że w trzech pierwszych latach zdobędzie trzy tytuły mistrzowskie, a także zachowa wszystkich pracowników. Cupiał chciał w ten sposób zyskać pewność, że klub trafi w poważne ręce. Lub po prostu... zamierzał ukreślić sprawę łeb. Prawda jest bowiem taka, że na sprzedaż Wisły nie był gotów nigdy. Także kilka lat później, gdy akcje klubu chciał odkupić od niego właściciel firmy Foodcare Wiesław Włodarski. W 2012 roku był on na 40. miejscu listy najbogatszych Polaków według „Wprost”, ale i jego oferta nie została potraktowana poważnie. Mimo to do dziś nie zrezygnował z prób przejęcia klubu.

Tylko wąskie grono osób wie, że doszło także do wstępnych rozmów z rosyjskim bankiem Alfa. Na jego czele stoi Michaił Fridman – Rosjanin żydowskiego pochodzenia, zaufany człowiek Władimira Putina, z majątkiem szacowanym w 2014 roku na 17,6 miliarda dolarów, przez „Forbesa” sklasyfikowany jako 47. najbogatszy człowiek świata. Roman Abramowicz (według tego samego rankingu posiadający majątek w wysokości 9,1 miliarda dolarów) to przy nim nędzarz. Rozmowy na temat Wisły zakończyły się na poziomie zarządu banku.

Dla przyjaciół i partnerów biznesowych Cupiał jest wdzięcznym gospodarzem. Przy okazji podpisywania kontraktu stulecia na transmisje meczów ekstraklasy do Krakowa

przyjechał dyrektor generalny Canal+ Gaspard de Chavagnac. Arystokrata. Został podjęty w jednej z restauracji przy Rynku. Jeden z uczestników spotkania tak zapamiętał tę sytuację:

- Macie Dom Pérignon? – miał zapytać Cupiał kelnera.
- Mamy, jedną skrzynkę – usłyszał.
- No to odstawcie ją na bok, aby dla nas nie brakło – zaordynował podobno szef Wisły.

W trakcie kolacji pito nie tylko szampana. W zasadzie służył za popitkę przy okazji kolejnych toastów wznoszonych czystą wódką. W pewnym momencie Gaspard miał dość.

- Wody! – wyszeptał błagalnym tonem.
- Wody? – zaczął dopytywać się Cupiał. – A po co mu woda, skoro mamy Dom Pérignon?!

A MOŻE ZRÓBMY TO TAK...

„Co złego, to doradcy” – to zdanie-klucz wypowiediane przez niemal wszystkich byłych pracowników Wisły. To pod ich wpływem koncepcja zarządzania klubem w ciągu kilku godzin mogła się diametralnie zmienić, a w takim przypadku trudno o spójność. „Rację ma ten, który jako ostatni wychodzi z gabinetu prezesa” albo „Rację ma ten, który w trakcie meczu siedział najbliżej prezesa” – to inne popularne zdania określające stosunki panujące w klubie. Układ kart w talii Cupiała systematycznie się zmienia. Ludzie wkupują się w łaski, potem z nich wypadają, by po jakimś czasie znów wrócić i odzyskać miejsce w łożu prezydenckiej. „Niemał wszyscy jego doradcy wybudowali sobie większe domy niż on sam”, mówi jeden z byłych pracowników klubu.

Spośród osób znanych opinii publicznej tylko kilka było przy Cupiale przez pełen okres przygody z Wisłą.

Wszystkie burze przetrwał Zdzisław Kapka; zresztą ksywa Niezatapialny nie wzięła się znikąd. Do łask wrócił nawet po aferze z Adamem Mandziarą, gdy zarzucono mu działanie na szkodę spółki i stracił posadę prezesa. „Zdzichu nie jest szkodliwy. Wykonuje raczej dobrą robotę. Jako jeden z nielicznych umie wytłumaczyć Bogdanowi przyczyny porażki. Ma na sercu dobro Wisły”, mówi Stanisław Ziętek. „To najbardziej lojalny człowiek Cupiała. Kibice mieli mu za złe pewne ruchy, ale on po prostu wypełniał polecenia prezesa”, przekonuje Andrzej Iwan. Podobnie jak Cupiał, jest przesądny. W drodze na mecz uważnie się rozgląda. Jeśli na trasie zobaczy pogrzeb – będzie dobrze. Wesele – wręcz przeciwnie, nie oznacza nic dobrego. W 2005 roku, wyjeżdżając na spotkanie z Zagłębiem Lubin, Grzegorz Mielcarski zapomniał marynarki.

– Pech, pech... To przyniesie pecha – jęczał Kapka. W końcu namówił współpasażerów, by po nią zawrócić.

Na niewiele się to zdało – w Lubinie Wisła przegrała 1:3 i nie awansowała do finału Pucharu Polski.

Powiernikiem wielu tajemnic Cupiała jest jego kierowca i zarazem najbliższy ochroniarz Mieczysław Szot. Przy prezesie trwa od wielu lat. W lutym 2014 roku, gdy Cupiał udał się do Turcji na zgrupowanie drużyny, Szot był tuż obok. Czy ma jakikolwiek wpływ na decyzje podejmowane przez właściciela klubu? Opinie są sprzeczne. „Uważam,

że ma. Kolejni prezesi zabiegali o jego względy. Cupiał dobrze się czuje w jego towarzystwie, bo trzyma pistolet za pazuchą. Gdy lecieliśmy na mecze pucharowe, zawsze miał ze sobą teczkę z gorzałą i jeszcze przed startem rozdawał flaszkę”, mówi Zbigniew Koźmiński. Z kolei Ziętek utrzymuje: „Jeśli już o czymś decydował, to raczej w Tele-Fonice”.

Skrajne są także zdania na temat tego, jaki wpływ na decyzje podejmowane przez Cupiała ma jego mama, jednak właściciel klubu z pewnością liczy się ze zdaniem pani Sabiny. To wyjątkowo życzliwa osoba, na trybunach zawsze pojawia się z uśmiechem na twarzy. „Mama autentycznie zna się na piłce”, zapewnia Koźmiński. „Bogdan czasem pytał, jak jej się podoba ten czy tamten jako mężczyzna”, przypomina sobie Ziętek. „Z tego, co słyszałem, ja na przykład należałem do jej ulubieńców”, uśmiecha się Kamil Kosowski. Pewne jest, że mama właściciela klubu jest wielką fanką Wisły i bywa na meczach częściej niż on sam. „Na starym stadionie siedziała w dolnej łoży, wśród mniej prominentnych gości. Była pomostem dla tych, którzy chcieli wpłynąć jakoś na Cupiała, a nie mieli wstępu do górnej łoży”, mówi Iwan.

Bliską przyjaciółką pani Sabiny jest Genowefa Borkowska i ona również należy do zaufanych ludzi Bogusława Cupiała. Obecnie wchodzi w skład rady nadzorczej i Wisły, i Tele-Foniki. Jest zapaloną fanką Białej Gwiazdy. Nieraz widywana była, gdy po meczach wsiadała do autobusów podstawianych dla fanów Wisły.

Długo, bo przez przynajmniej osiem lat, blisko Cupiała był Krystian Rogala. „Liczba biznesowych powiązań między nim a Cupiałem policzalna jest chyba tylko dla nich samych”, mówi Koźmiński. Początkowo współpraca nie układała się zbyt dobrze, ale około 2005 roku Rogala był już jednym z najbliższych doradców właściciela klubu. Potem zajmował różne stanowiska – pojawił się w zarządzie, zasiadał w radzie nadzorczej, a ostatnio pracował w charakterze doradcy. Zrezygnował w 2014 roku, gdy pojawiły się kłopoty z pieniędzmi. Przez wiele lat zaufanymi ludźmi byli również wspomniani wcześniej Zbigniew Jania i Ryszard Dziedzic.

6. PIERWSZY SKALP

Sezon 1998/99 był pierwszym pełnym sezonem za rządów Tele-Foniki. Drużyna miała wygrać wszystkie mecze w lidze, w związku z tym automatycznie sięgnąć po tytuł mistrzowski, a dodatkowo, niejako przy okazji, w ramach przygotowań do podboju Ligi Mistrzów, zawojować Puchar UEFA. Przebąkiwano o ćwierćfinale. „Ktoś wmówił Bogdanowi, że jak zainwestuje odpowiednią kwotę, drużyna rok po roku grać będzie w fazie grupowej Ligi Mistrzów. Podobała mu się ta perspektywa”, wspomina Stanisław Ziętek. Puchar UEFA miał być przetarciem.

Realizację tego planu powierzono Franciszkowi Smudzie, jednak nim Franz otrzymał nominację, Stanisław Ziętek wraz z Bogusławem Cupiałem wsiedli do samolotu i polecili do Tunisu. Spotkali się tam – po raz pierwszy i, jak wiadomo, nie ostatni – z Henrykiem Kasperczakiem, który w swoim stylu, elegancko, ale jednak stanowczo odmówił. Jako selekcjoner reprezentacji Tunezji szykował się właśnie do mistrzostw świata, poza tym miał już zaklepany kontrakt z Bastią. Zapewnił jednak, że w przyszłości chętnie wróci do tematu.

Wśród kandydatów wymieniano także Henryka Apostela i Antoniego Piechniczka oraz niejakiego Rudolfa Wojtowicza. Kim jest ten ostatni? W 1980 roku jako piłkarz Szombierek Bytom zdobył tytuł mistrza Polski, a dwa lata później uciekł z kraju do Niemiec. Z powodzeniem grał w Bayerze Leverkusen, a potem w Fortunie Düsseldorf, którą po zakończeniu kariery dwukrotnie prowadził jako trener. Za pierwszym razem tylko przez chwilę, za drugim już dłużej, bo przez dziesięć miesięcy, nie zdołał jednak utrzymać zespołu w Bundeslidze. „Był temat jego zatrudnienia, ale szybko upadł. On był lepszy w roli skauta piłkarskiego niż trenera”, tłumaczy Zbigniew Koźmiński.

Dziś Rudolf Wojtowicz pracuje jako skaut dla VfL Wolfsburg. O przeszłości nie chciał rozmawiać.

RZĄDY GARGAMELA

50-letni Smuda to był wówczas najgorętszy towar na rynku. Z Widzewem zdobył dwa tytuły mistrzowskie z rzędu, a co najważniejsze – awansował do fazy grupowej Ligi Mistrzów. To przemawiało do wyobraźni nowych szefów Wisły. Skoro udało mu się w Łodzi, czemu nie miałby powtórzyć tego w Krakowie? Pierwsze rozmowy odbyły się jeszcze w maju, gdy Franz wciąż był trenerem łódzkiej drużyny.

W Krakowie na dzień dobry musiał się zmierzyć z obliczeniami Bogusława Cupiała. „Rachunek był prosty: 30 meczów to 90 punktów możliwych do zdobycia, i taki był cel, do tego najlepiej, by zwyciężali po 7:0”, śmieje się Ziętek. Smuda podpisał dwuletnią umowę. „To mój pierwszy kontrakt trenerski w karierze!”, chwalił się dziennikarzom.

Urzędowanie rozpoczął od przewietrzenia przerośniętej kadry. „Sam nawet nie wiem, ilu piłkarzy musiałem odesłać. To już nie moja sprawa, teraz klub musi się zastanowić, jak ich zagospodarować”, mówił. Z Widzewa chciał zabrać ze sobą Marka Citko, który powoli

wracał do zdrowia po poważnej kontuzji ścięgna Achillesa. „Powiedział mi, że gdzie on, tam i ja. Marek to wciąż młody chłopak, już optymalnie zdrowy. Pomagamy mu minimalnym sumptem, by nie musiał żyć o frytkach. Warto jednak pamiętać, że Anglicy chcieli za niego dać 5 milionów dolarów, mimo że miał nogę w gipsie”, reklamował piłkarza.

„Umowa była już gotowa. W rozmowach z nami Marka reprezentował komentator sportowy Tomasz Zimoch [oficjalnie rzecznik prasowy piłkarza – przyp. aut.]. Pomagał mu, bo instytucja menedżera nie była wówczas jeszcze zbyt mocno rozpowszechniona – mówi Stanisław Ziętek. – Tak naprawdę do dziś nie wiem, czemu wówczas tego kontraktu nie podpisaliśmy. Patrząc z perspektywy czasu, myślę, że dobrze się stało”. Citko już nigdy nie wrócił do formy sprzed kontuzji.

Franz ustalił także warunki współpracy z zespołem. Jedną z najważniejszych zasad dotyczyła spożywania alkoholu w trakcie zgrupowań.

– Chcesz się napić piwa? OK, pij. Wypij, ile potrzebujesz. Jedno, dwa, trzy? Nie ma problemu, ale jest jeden warunek: zrób to przy mnie, w hotelowej restauracji. Jeśli przyłapię cię na picciu w pokoju, masz przejebane – zapowiedział piłkarzom.

Zasada obowiązywała zwłaszcza podczas zimowych zgrupowań, które odbywały się w okresie Wielkiego Postu, rygorystycznie przestrzegane przez trenera. Drużyna przyjęła ją ze zrozumieniem. Gdy wieczorem ktoś chciał się napić piwa, schodził na dół. „Zazwyczaj kończyło się na jednym, góra dwóch. W końcu przy trenerze nie wypadało więcej”, śmieje się Artur Sarnat.

Smuda miał swój sposób na motywowanie piłkarzy.

– Bo ściągnę ci Łapińskiego! – groził Bogdanowi Zającowi.

– Bo weźmiemy Woźniaka! – ostrzegał Artura Sarnata.

I tak dalej...

Piłkarze mieli z nim ubaw. „Trener ubierał się tylko w stroje Adidas. O Nike nie chciał nawet słyszeć. Obruszał się: »Nie będę chodzić z sierpem«,” mówi Grzegorz Kaliciak. Gargamel, jak czasem o nim mówili, łamał sobie język na polskiej odmianie. Często zacinał się i długo szukał w myślach odpowiedniego słowa. Pewnego razu Tomasz Frankowski, widząc męczarnie trenera, postanowił mu pomóc:

– Spokojnie, trenerze. Niech pan mówi po niemiecku, ktoś przetłumaczy.

Na Kaliciaka Smuda wołał „leber”, czyli w gwarze śląskiej „leń”.

– Ty to taki leber jesteś. Jakbyś chciał, mógłbyś osiągnąć dużo więcej – mówił.

Kamil Kosowski wspominał kiedyś: „W przerwie jednego z meczów trener wpadł wściekły do szatni. »Panowie, do kurwy nędzy, jak wy gracie! Przecież wy powinniście chodzić jak w alfabecie, od A do O!«”.

Wesołość mijała, gdy drużyna jechała na zgrupowanie i Franz brał zawodników do galopu. „Pojechaliśmy do Straszęcina, gdzie zrozumieliśmy, co znaczą treningi ze Smudą. Patrzyłem na kolegów i widziałem, jak padają ze zmęczenia. Zdarzało się, że jajecznicą wypadała z żołądka... Masakra. Biegali wszyscy, od bramkarzy po napastników. Ale przygotował nas, jakby to on powiedział, perfektnie”, mówi Kaliciak.

Zakazywał gry wślizgiem. „Według jego teorii ten, kto był zmuszony zagrać wślizgiem, był po prostu spóźniony wobec przeciwnika. Trener najbardziej pieklił się, gdy ktoś zagrał

wślizgiem, nie zdołał odebrać piłki, zostawał na dupie, a rywal biegł dalej”, wspomina Grzegorz Pater.

Z przyjscia Smudy najmniej cieszył się Daniel Dubicki. Jeszcze jako piłkarz ŁKS-u, przy okazji derbów Łodzi, zwyzywał Franza od volksdeutschów. „No cóż, człowiek młody, to głupi. Gdy spotkaliśmy się w Wiśle, trener dał mi do zrozumienia, że nie zapomniał tamtego incydentu”, mówi. W rundzie wiosennej miał miejsce w składzie, ale potem, gdy do drużyny dołączył Olgierd Moskalewicz, na dobre zasiadł na ławce rezerwowych, a w nowym sezonie wylądował w Ruchu Chorzów. Do Wisły wrócił dopiero za czasów Henryka Kasperczaka.

CO TO ZA DZIECIAK?

Jedynym wzmocnieniem przed nowym sezonem był pewien anonimowy napastnik. Chudziutki, niziutki, z twarzą dziecka i piskliwym głosem. „Pojechaliśmy do Francji na zaproszenie Canal+. Spotkaliśmy się tam z Tadeuszem Foglem. Po kolacji zagadnął, że ma ciekawego napastnika, który nazywa się Tomek Frankowski – wspomina Ziętek. – Wyraziliśmy zainteresowanie, a Tadek wykręcił numer do Tomka. »Ciekawe, co na to Franz«, zachnął się Boguś Cupiał. Faktycznie, gdy do niego zadzwoniłem z tą informacją, zaczął krzyczeć, że ma już gotowy skład i nie chce nikogo nowego. Musiałem go długo namawiać, by zgodził się wziąć Tomka do drużyny”.

Frankowski musiał zmienić plany – miał jechać na testy do Stomilu Olsztyn, ostatecznie jednak pojawił się na obozie Wisły w Niemczech.

– Przyjedzie gość, który będzie strzelać bramki – chwalił się Smuda piłkarzom.

„Przyjmowaliśmy to z niedowierzaniem, bo nikt nie wiedział, o kogo chodzi”, wspomina Grzegorz Pater. Niedowierzenie sięgnęło zenitu, gdy 24-letni wówczas Frankowski wreszcie przybył do hotelu. „Kiedy go zobaczyłem, pomyślałem: »To ma być napastnik? To chucherko? Ten dzieciak?!«. Z twarzy wyglądał bardzo młodo, miał cienki głosik, wydawało się niemożliwe, by wpasował się do naszej drużyny. Gdy jednak wyszedł na boisko, nasze opinie szybko się zmieniły”, dodaje Pater, który też przez całą karierę miał prezencję juniora.

„Gdy Tomek się pojawił, zmieniło się wszystko – mówi Krzysztof Bukalski. – Pamiętam mecz, w którym mogłem zdobyć ze dwie bramki. Za każdym razem byłem ustawiony lepiej od niego, ale Tomek nie podawał, tylko strzelał. Pojawił się młody, drobny i niewysoki chłopak i w sytuacji, w której musi mi podać, bo jestem na lepszej pozycji, on decyduje się na strzał. Obie te sytuacje wykorzystał, więc trudno było się denerwować. Ale Tomek potrafił też świetnie podać, zaliczył przecież mnóstwo asyst. Gdy zobaczyłem go pierwszy raz, nie myślałem, że zrobi aż taką karierę, a gdyby miał lepsze warunki fizyczne, osiągnąłby jeszcze więcej. Na swój sposób był boiskowym geniuszem”, dodaje.

Franek szybko stał się jednym z ulubieńców Smudy, przynajmniej tak zapamiętali to inni piłkarze. Trening strzelecki. Piłkarz X, zamiast podbiciem, uderza piłkę bokiem stopy, trener natychmiast reaguje:

– Co robisz, kurwa?! Uderz tę piłkę jak trzeba!

Następny w kolejności do piłki podchodzi Frankowski i w swoim stylu uderza piłkę bokiem stopy, tak zwaną pasówką.

– Dobrze, Franek! – krzyczy Franz.

„Niemal od początku wiedzieliśmy, że Franek może więcej niż reszta piłkarzy”, mówi Kazimierz Węgrzyn.

Na przeciwnym biegunie w rankingu popularności u Smudy był Grzegorz Pater. Trener zarzucał mu, że unika walki.

– Włóż nogę! Przeskakujesz jak jakiś wróbelek, a potem muszę biegać za tobą z łopata i zbierać to gówno! – pieklił się Franz.

Na zgrupowaniu w Niemczech brakowało już koszulek, więc w meczach sparingowych Frankowski występował w trykocie Adama Paluszka. Od początku strzelał bramkę za bramką. „Na obozie nie było dziennikarzy. Dostawali tylko suchy wynik i nazwiska strzelców. W ten sposób wszyscy zaczęli mówić o Paluszku – śmieje się Franek. Gdy wreszcie otrzymał swoją koszulkę, widniał na niej numer 21. – Masażysta Zbyszek Woźniak powiedział mi, że jeśli strzelę tyle goli, to będzie niezły sukces. Jak się później okazało: sezon zakończyłem z dokładnie taką liczbą bramek”. I z tytułem króla strzelców.

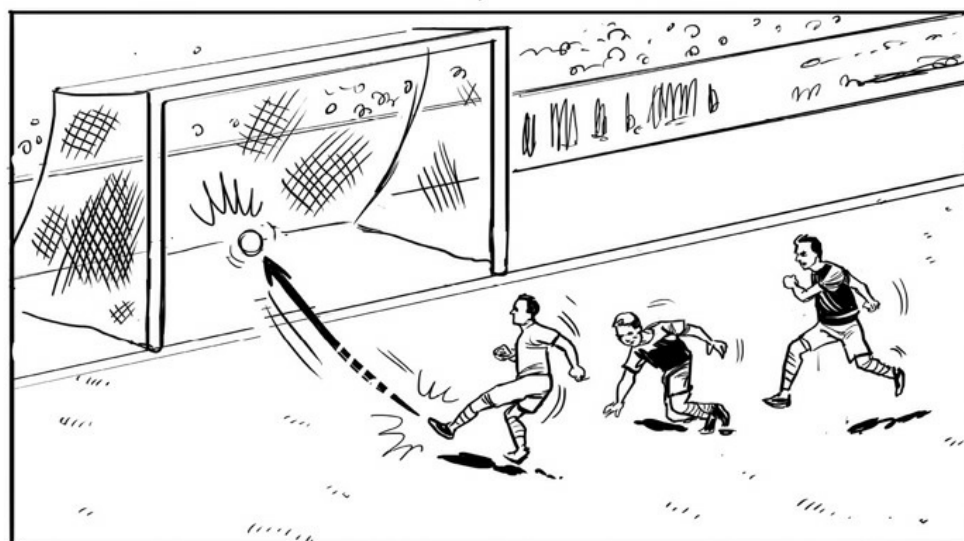
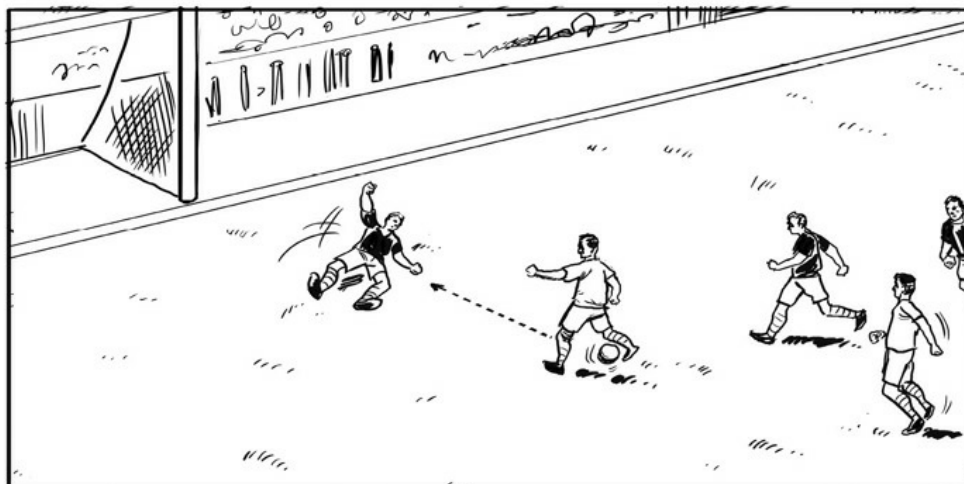
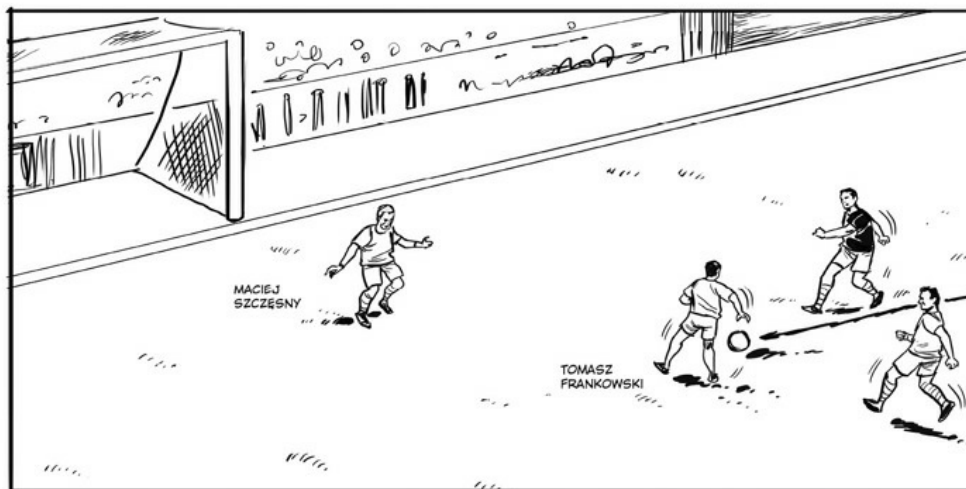
Pierwszego gola strzelił już w debiucie. Dzięki temu, że w okresie przygotowawczym grał w koszulce Paluszka, do meczu z Polonią Warszawa w gazetach nie pojawiła się choćby wzmianka o nowym piłkarzu. Zaczął na ławce rezerwowych. Wisła prowadziła 1:0, ale wynik wciąż nie był przesądzony. Frankowski był już po rozgrzewce i czekał na wejście, miał zmienić Grzegorza Nicińskiego. Smuda odwlekał zmianę.

– Jeszcze chwilkę, jeszcze chwilkę – powtarzał, nerwowo obgryzając paznokcie.

Chwilka minęła i Niciński podwyższył na 2:0. Wtedy Smuda mógł wpuścić swojego napastnika, który zdobył gola przy pierwszym kontakcie z piłką.

Sytuację bramkową do dziś świetnie pamięta Bukalski. „Zagrałem piłkę do Ryśka Czerwca, licząc, że odegra mi z klepki, on jednak zagrał do Tomka, który znalazł się w dobrej sytuacji, ale ja miałbym przed sobą pustą bramkę. Byłem pewien, że mi zagra. Tak samo myślał zapewne Maciej Szczęsny, jednak Franek zrobił tę swoją słynną przekładkę, zmylił bramkarza Polonii i spokojnie posłał piłkę do siatki. W ten sposób przedstawił się kibicom w całej Polsce”. Frankowski podsumowuje: „Gorąco było. Pewnie dlatego Maciek Szczęsny tak szybko siadł na pupie w tej sytuacji”.

W tym samym spotkaniu w barwach Wisły debiutował 21-letni bramkarz Jakub Wierchowski i zaprezentował się równie efektownie. Polonia miała w tym meczu dwa rzuty karne. Za pierwszym razem Arkadiusz Bąk trafił w słupek, a Wierchowski obronił dobitkę Emmanuela Olisadebe. Za drugim – debiutujący bramkarz Białej Gwiazdy zatrzymał strzał z 11 metrów Gražvydasa Mikulénasa. „Z meczu z Polonią wszyscy pamiętają te rzuty karne, ale obroniona jedenastka to zazwyczaj jest po prostu fart. Ja pamiętam, że przez całe spotkanie dobrze mi się broniło i miałem prawo aspirować do miejsca w bramce – mówi Wierchowski. Smuda szybko rozwiązał jego wątpliwości. – Trener przy całej drużynie powiedział, że jeśli Artek zrobi pierwszy, drugi, trzeci, dziesiąty błąd, i tak będzie bronić. W ten sposób na rok wyłądowałem na ławce”. Siedział i narastała w nim frustracja, nad którą wkrótce nie umiał już zapanować... Ale o tym nieco później.



Pierwszy łup łowcy bramek
Polonia Warszawa - Wisła 0:2, 77. minuta

KOBIETY? PIĘTRO NIŻEJ

Franz odziedziczył drużynę zbudowaną pół roku wcześniej przez Wojciecha Łazarka i uczynił z niej prawdziwą maszynkę do zdobywania punktów. Piłkarzy o całkiem niezłych umiejętnościach technicznych nauczył biegać od pierwszej do ostatniej minuty, grać pressingiem na całej niemal długości boiska i walczyć o każdą piłkę. To wszystko oczywistości, ale stosowane z żelazną konsekwencją – zaowocowały mieszanką wybuchową.

Po rundzie jesiennej wiślacy prowadzili z dziesięcioma punktami przewagi nad drugim w tabeli Lechem Poznań. Nie przeszkodził im brak Radosława Kałużnego, który doznał kontuzji w 13. minucie meczu pierwszej kolejki z Odrą Wodzisław i nie grał aż do końca roku. Wiślacy byli bliscy wypełnienia planu nakreślonego przez Bogusława Cupiała – wygrali 13 z 15 spotkań. Jedno zremisowali i tylko raz przegrali, na zakończenie rundy w Krakowie z Zagłębiem Lubin 0:1. Cupiał nie był w stanie tego zrozumieć. Dlaczego lepsi piłkarze przegrywają ze słabszymi? Szukał winnych tej porażki i znalazł. Padło na... kobiety. Trzeba przyznać, że w świecie piłki nożnej, w świecie męskich spraw, męskiej, często brutalnej, walki nie brak zwolenników teorii, wedle której „baba na pokładzie przynosi pecha”. „Oddaliśmy w tamtym spotkaniu masę strzałów, ale nic nie chciało wpaść do bramki gości. Tomek Frankowski nie wykorzystał nawet rzutu karnego – wspomina Ziętek. – Bogdan uznał, że to wina kobiet siedzących w loży, i od tamtego meczu otrzymały zakaz wstępu”. Niby był to żart, ale Cupiał pozostał w swoim postanowieniu brutalnie konsekwentny.

Gdy na Wisłę w towarzystwie małżonki przyjechał selekcjoner reprezentacji Polski Jerzy Engel, zrozumiał fanaberię właściciela klubu – zasiadł w jego loży, a pozbawiona towarzystwa żona ulokowała się piętro niżej, wśród dziennikarzy i VIP-ów niższej rangi. Prezes Legii Warszawa Marek Pietruszka nie opuścił małżonki. „Szedłem do loży, gdy usłyszałem, że zazwyczaj prezesi zasiadają w górnej loży, ale dla mnie i żony przygotowano godne miejsce piętro niżej. Zrozumiałem to, choć straciłem w ten sposób okazję, by osobiście poznać pana Cupiała, a on stracił okazję, by poznać mnie. Nie żałuję i mam nadzieję, że pan Cupiał też nie jest pogrążony w rozpacz”, wspomina ówczesny prezes Wojskowych.

Przez kilka lat w loży Cupiała nie pojawiła się żadna kobieta. Gdy tylko widział żonę, córkę, siostrę, kochankę któregośkolwiek z zaproszonych gości, natychmiast reagował. „Łapał jednego z zaufanych ludzi za rękaw i krzyczał: »Załatw to! Ona nie może wejść na lożę!«. I załatwiano”, mówi Koźmiński. W dolnej loży zasiadała także mama Bogusława Cupiała, i to bez względu na pogodę, a warto wiedzieć, że zadaszona była tylko cupiałówka.

Wreszcie, w październiku 2001 roku, Cupiał musiał zrobić dobrą minę do złej gry. Prezes Interu Mediolan Massimo Moratti przyjechał do Krakowa w towarzystwie siostry Bedy. Elegancka Włoszka jak gdyby nigdy nic weszła do loży. Biała Gwiazda pokonała Nerazzurri 1:0, ale odpadła z dalszej rywalizacji, bo w pierwszym spotkaniu przegrała 0:2. W najmniejszym stopniu nie zmieniło to nastawienia Cupiała do obecności kobiet w loży.

Porażka z Zagłębiem Lubin nie mogła znacząco wpłynąć na ocenę rundy jesiennej. Po jej zakończeniu Smuda w nagrodę zabrał drużynę do stadniny koni pod Krakowem.

– Kiedy praca, to praca, a kiedy zabawa, to zabawa – zapowiedział i zasugerował piłkarzom, by nie brali żon. Był to wyjazd rekreacyjny.

„Było mocno pite, a w przypadku niektórych nawet wleczone. Gdy już wracaliśmy, po wyjściu z autokaru miałem do domu jakieś 500 metrów, a zajęło mi to godzinę albo i więcej”, mówi Kaliciak. W planie wycieczki była też nauka jazdy konnej. Piłkarze wdrapywali się na konia, a potem smętnie jeździli wkoło ujeżdżalni. Gdy przyszła kolej na Patera, Smuda nie wytrzymał:

– Co tak wolno?! – krzyknął i trzasnął konia batem.

Koń natychmiast przeszedł do galopu, a Grzela tylko cudem utrzymał się na grzbiecie. Potem już do końca imprezy chodził naburmuszony i wszędzie szukał możliwości zemsty – Markowi Zającowi urwał rękaw kurtki, a już w drodze powrotnej doskoczył do Krzysztofa Bukalskiego:

– O co ci, kurwa, chodzi?! – krzyknął i rzucił się na kolegę z zespołu.

BOMBY W AUTOKARZE

Boom na Wisłę sprawił, że latem 1998 roku do Krakowa zawitała reprezentacja Polski, by zagrać towarzysko z Izraelem. Kadra Janusza Wójcika szlifowała akurat formę na kwalifikacje do mistrzostw Europy w 2000 roku i ktoś wpadł na pomysł, że skoro pod Wawelem coś w piłce drgnęło, to warto, aby narodowa drużyna też się tutaj zjawiała. Kalkulacja okazała się błędna – na meczu pojawiła się garstka widzów, a ci, którzy przyszli, przez większą część spotkania domagali się wejścia na boisko zespołu Wisły (liga nie grała z powodu konfliktu na linii PZPN – UKFiT) lub chociaż powołanego do kadry Tomasza Kulawika. Kapitan Białej Gwiazdy w końcu wszedł, reprezentacja wygrała 2:0, a Wójt zawyrokował:

– Jesteśmy gotowi do kwalifikacji.

Niemal nikt nie wiedział wtedy, że niewiele brakowało, a mecz w ogóle nie doszedłby do skutku. Powrót reprezentacji do Krakowa mógł się skończyć organizacyjną kompromitacją.

Kadra Izraela, w swoim stylu, dotarła na miejsce z solidną obstawą – dwóch młodych, uzbrojonych po zęby agentów Mosadu dbało o każdy, najmniejszy nawet szczegół. Goście zamieszkali w hotelu Cracovia – kilkaset metrów od stadionu Wisły i chociaż droga była prosta jak drut, bez ani jednego skrzyżowania, agenci, tak dla pewności, przemierzali ją kilkanaście razy. Autokar, który woził drużynę na przedmeczowe treningi, ani razu nie jechał tą samą trasą. Marszruta zawsze była inna – raz dookoła Błoń, innym razem przez Stare Miasto. Gdy wszystko zdawało się zapięte na ostatni guzik, Polski Związek Piłki Nożnej podjął niespodziewaną decyzję.

Ktoś władny uznał, że w ramach cięcia kosztów w dniu meczu wystarczy jeden autokar – najpierw zawiezie na stadion piłkarzy reprezentacji Polski, a zaraz potem pojedzie po gości. Plan ten być może by się powiódł, gdyby nie przedłużająca się odprawa, którą Janusz Wójcik zaserwował swoim piłkarzom. Gdy piłkarze reprezentacji Izraela zaczęli się szykować do wyjazdu na stadion, nie wiedzieli, że autokar wciąż stoi

pod hotelem Polaków i czeka na drużynę gospodarzy. Do meczu pozostawały niespełna dwie godziny, na ulicach Krakowa rozpoczynały się godziny szczytu, a na stadionie nadal nie było żadnej z drużyn. Atmosfera zaczęła robić się nerwowa, w końcu Stanisław Ziętek zawołał Marka Koniecznego:

– Panie Marku, nie wiem, jak pan to zrobi, nie obchodzi mnie to. Proszę jak najszybciej załatwić dodatkowy autokar.

Konieczny udał się do hotelu Polaków. Gdy zrozumiał, że przemówienie Wójcika szybko się nie skończy, znalazł kierowcę jednego z autokarów stojących pod hotelem. Kiedy zapukał do jego pokoju, ten otworzył mu w samych majtkach, gdyż właśnie ucinął sobie drzemkę. W lot pojął jednak powagę sytuacji, posłusznie zasiadł za kierownicą i pod eskortą policji pojechał do hotelu reprezentacji Izraela. Agenci Mosadu nie byli zachwyceni:

– To nie jest nasz autokar. Nie znamy go i nie zdążymy go przeszukać – stwierdzili.

Z podejrzliwością patrzyli także na Niemca siedzącego za kierownicą. Zdanie zmienili dopiero wtedy, gdy zrozumieli, że w innym przypadku mecz się nie odbędzie. Drużyna wsiadła do autokaru, na stadion dotarła bez przeszkód, a zszokowany kierowca mógł wrócić do hotelu i do swojego łóżka. Ku zdziwieniu agentów Mosadu liczba bomb w autokarze wynosiła dokładnie zero.

Janusz Wójcik bywał w Krakowie nie tylko na zgrupowaniach. Raz mocno pobalował, więc – jak opowiada człowiek przez lata blisko związany z właścicielem Wisły – Bogusław Cupiał zaproponował, że da mu samochód z szoferem, który zawiezie go do Warszawy. Gdy tylko Wujko wsiadł do limuzyny, zapadł w mocny sen. Za Kielcami otworzył oczy i rzucił się szoferowi na szyję:

– Misiu, misiaczku! Misiu kochany! – bełkotał, obsypując szofera pocałunkami.

Kierowca nie był zadowolony.

– Proszę mnie już z nim nie wysyłać – zaapelował po powrocie.

STADION POD KRAKOWEM

W tle mistrzowskiego sezonu trwały dwie wojenki – pierwsza z UFA, o prawa transmisyjne, druga z miastem, o tereny, na których znajduje się stadion. W marcu 1998 roku klub podpisał wartą blisko 2 miliony dolarów umowę z ITI, właścicielem stacji TVN. „Zależało nam, aby opłaty za transmisje były godziwe, pieniądze szły prosto do klubu, z pominięciem pośredników, a mecze pokazywane były w stacji otwartej”, tłumaczył wówczas prawnik Tele-Foniki Zdzisław Rosiek. W wyniku zawieruchy telewizyjnej nie zobaczyli transmisji z pucharowej rywalizacji z Parmą. Na stadion przestano wpuszczać kamery Canal+, a z UFA spotkano się dopiero w sądzie. „Założyciel TVN Mariusz Walter był nam przychylny, kibicował Wiśle, w gabinecie miał proporczyki naszego klubu”, wspomina Ziętek. Walter nie wiedział jeszcze, że kilka lat później zostanie jednym ze współwłaścicieli Legii Warszawa. Przepychanki z UFA trwały do czerwca 1999 roku, gdy sąd uznał, że racja stoi po stronie niemieckiego koncernu.

„Z tą umową z ITI był jeszcze jeden problem – zwraca uwagę Koźmiński. – Cwaniaki z ITI wpisali do kontraktu nieosiągalną liczbę meczów, które drużyna musiała rozegrać, aby kontrakt był ważny. Gdy to odkryliśmy, zaczęliśmy organizować sparingi, informując

TVN, że mają prawa do transmisji, ale i tak liczba spotkań była zbyt niska. Efekt był taki, że ITI nie przelało ostatniej transzy, zdaje się pół miliona dolarów”.

Druga wojenka to batalia stadionowa, tocząca się na wielu frontach, czyli przepychanki z miastem, z Towarzystwem Sportowym, z urzędami – o dotacje, o tereny, o komunalizację. Jak wspomniałem w poprzednim rozdziale, ówczesny minister sportu Jacek Dębski obiecał, że obiekt Wisły będzie stadionem narodowym, państwo miało przekazać na ten cel 34 miliony złotych. „Aby otrzymać dotację z Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki musieliśmy bardzo się śpieszyć. W ciągu kilku miesięcy powstał projekt stadionu. Miał mieścić 22 tysiące widzów i kosztować 49,5 miliona złotych. Brakujące pieniądze miała dołożyć Wisła”, mówi ówczesny dyrektor klubu Krzysztof Kowal. „Potem sprawa rozbiła się o biurokrację. Musieliśmy spełnić mnóstwo warunków, bank domagał się szczegółowych gwarancji. Nim zdążyliśmy to wszystko zrobić, minister Dębski został odwołany, a jego następcy nie chcieli kontynuować tego przedsięwzięcia”, dodaje Kowal. Pozostał tylko naprędce przygotowany projekt stadionu, który po latach i wielu modyfikacjach wreszcie zrealizowano. Najważniejsza różnica to koszt – zamiast 49,5 miliona złotych kosztował ponad dziesięć razy więcej. „Ludzie narzekają na ten stadion, i słusznie. Trzeba jednak pamiętać, w jakich warunkach powstawał. W 2005 roku była już gotowa trybuna od strony Błonia, ta, która jest częścią obecnego stadionu. Nikt nie odważył się wtedy podjąć decyzji, by wyburzyć świeżo postawioną trybunę tylko po to, by wszystko zacząć od nowa”, zwraca uwagę Kowal.

Nim do tego wszystkiego doszło, można było stracić nadzieję, że Wisła kiedykolwiek doczeka się nowego obiektu. Przepychanki dotyczące terenów ciągnęły się, a końca problemów nie było widać. Powstał więc pomysł, aby nowy stadion postawić na południowych rubieżach miasta, przy Zakopiance. „Mieliśmy już gotowy plan, stadion miał mieścić około 30 tysięcy widzów. W pewnym momencie byliśmy bardzo bliscy podjęcia tej decyzji, jednak na przeszkodzie stał plan zagospodarowania miasta”, mówi Ziętek.

Już wtedy przewijał się także pomysł budowy bazy treningowej w Myślenicach. Plany były już gotowe – kilka boisk, miasteczko dla grup młodzieżowych wraz z internatem, aquapark... „Raz zadzwonili z urzędu miasta, żebyśmy przyszli z prezesem do burmistrza, bo wszystko przygotowane, można podpisywać umowy – wspomina Marek Gorączko. – Przychodzimy z prezesem Cupiałem, on w swoim stylu pyta: »Ile chcecie? Jutro przelejemy«. Lecz w odpowiedzi słyszy, że nie tak szybko, że jeszcze nieskomunalizowane, że trzeba jeszcze poczekać. Jak się na mnie popatrzył... Wściekły wstał od stołu, od razu skończył rozmowę, a temat rozmył się na wiele lat”.

DZIKA IMPREZA

Po rundzie jesiennej sezonu 1998/99 Wisła była zdecydowanym liderem. Nad drugim w tabeli Lechem Poznań miała aż dziesięć punktów przewagi. W Poznaniu czy Warszawie (Legia traciła 12 punktów) nadzieje na dogonienie Wisły zatliły się nieco mocniej, gdy na początku marca Emmanuel Olisadebe wrócił do Krakowa z Polonią Warszawa, strzelił dwa gole i wywiózł trzy punkty. Ogień ten szybko został jednak zdmuchnięty przez Tomasza Frankowskiego i spółkę. W ośmiu kolejnych meczach wiślaczy zainkasowali komplet punktów, strzelili 28 bramek, po drodze wpadli do Poznania, gdzie ograli Lecha,

do Warszawy, by wygrać z Legią i zatrzymali się dopiero wtedy, gdy tytuł był już zaklepany. Sezon zakończyli z przewagą 17 punktów nad drugim w tabeli Widzewem. To była deklasacja. Nigdy wcześniej ani nigdy później żadna drużyna nie zdobyła tytułu z taką przewagą (drugi wynik w tej klasyfikacji to 11 punktów przewagi Górnika Zabrze nad GKS-em Katowice w sezonie 1987/88)). Byli jak The Rolling Stones. Już nie najmłodszy, wielu z nich po przejściach, ale wciąż tydzień w tydzień dawali świetne show, strzelając średnio 2,5 bramki na mecz.

Zapewne byłoby tych punktów jeszcze więcej, ale po meczu z GKS-em Bełchatów (4:0), gdy przyklepany został tytuł, klub zorganizował kolację w CK Browarze. Uroczyste z założenia spotkanie przemieniło się w dziką imprezę. Jeden z piłkarzy wspiął się na stanowisko DJ-a, skąd potem nie potrafił zejść. Żona Grzegorza Kaliciaka strzepywała papierosa do drinka trenera, a zaprzyjaźniony prokurator musiał uciekać przed małżonką, która z szaloną determinacją próbowała podpalić mu spodnie. Nikt nie przejmował się pozostałymi pięcioma meczami. W kolejnych czterech spotkaniach Wisła zdobyła tylko trzy punkty, ponownie wygrała dopiero w ostatniej kolejce.

Smuda, w swoim stylu, wyjściowy skład zmieniał tylko w razie konieczności. „W tygodniu podczas treningów rozdawał koszulki i wiadomo już było, kto zagra w sobotę. Dało się odczuć, że rezerwowych traktuje trochę gorzej. Ale co pozostawało? Trzeba było pracować i liczyć na to, że pojawią się kontuzje, kartki, a w ślad za nimi szansa na grę”, mówi Kaliciak.

Wiślaków nie sparaliżował nawet kontrowersyjny system premiowania. W przypadku porażki, a w mistrzowskim sezonie przydarzyły się trzy przegrane, piłkarze mieli oddawać do kasy klubu premie za ostatnią wygraną. Technicznie było to rozwiązywane nieco inaczej, nikt pieniędzy nie zwracał – w razie przegranej drużyna nie otrzymywała po prostu nagrody za najbliższe zwycięstwo. Premie za wygrane wynosiły najpierw 150 tysięcy, potem, już w trakcie sezonu, podniesione zostały do 200 tysięcy. Z samych premii wiślaczy uciuli więc po około 200 tysięcy na głowę. „Wraz z bonusami zarabiam więcej niż we Francji”, zdradzał dziennikarzom Frankowski.

PODWÓJNY KAC BRAMKARZA

Mistrzowski bankiet zorganizowano w restauracji Pod Strzelnicą, prowadzonej przez Andrzeja Krasickiego. To właśnie tam, lata wcześniej, przyjmowano sędziów, którzy przyjeżdżali sędziować mecze Białej Gwiazdy. „Dostawali paczki żywnościowe, w których znajdowały się produkty w tamtych czasach trudno dostępne. Takie były początki korupcji w polskiej piłce, jednak wtedy określano to mianem zaradności”, mówi Zbigniew Koźmiński. Ale nie o tym teraz mowa. Mowa o mistrzowskim bankiecie, po którym Jakub Wierchowski obudził się z podwójnym kacem.

Był cięty na Smudę. Miał obiecać, że po klepnięciu tytułu mistrzowskiego wskakuje do bramki i zostaje w niej do końca sezonu. Początkowo tak było. Zagrał dwa razy z rzędu – z Ruchem Chorzów bronił świetnie, słabiej wypadł przeciwko ŁKS-owi Łódź i dwa pozostałe spotkania obejrzał z ławki rezerwowych. „Przed ostatnim meczem trener zawołał mnie i mówi: »Słuchaj, nie jesteś taki słaby, idź na wypożyczenie gdzieś do

trzeciej ligi. Ograsz się i wrócisz«. Tym już ostatecznie mnie rozbroił», mówi Wierzchowski.

Gdy w głowie zaszumiał alkohol, hamulce puściły. W trakcie bankietu Wierzchowski zwierzał się kolegom ze swoich problemów, był wściekły na trenera, padały różne słowa. Grała głośna muzyka, więc musiał krzyczeć. W pewnym momencie piosenka się skończyła, łapiąc bramkarza w połowie pijackiego monologu. W ułamku sekundy zapanowała niemal kompletna cisza, brzmiał tylko głos Wierzchowskiego:

– ...Smuda! Kurwa...

Urwał o ułamek sekundy za późno. Trener wyłonił się zza żywoplotu, gdzie siedział w towarzystwie Cupiała, i kiwnął na Bogdana Zająca. Gdy Zajac wrócił do kolegów, Wierzchowski wiedział już, że nie ma przyszłości w Wiśle – na drugi dzień usłyszał, że może się pakować. Do dziś nie ma pojęcia, jak to się stało, że został piłkarzem Ruchu Chorzów. „Nie wiem nawet, czy to było wypożyczenie, transfer definitywny, czy może Wisła rozwiązała ze mną kontrakt. Po prostu, z dnia na dzień zostałem piłkarzem Ruchu”, mówi.

„Kuba to był wtedy dobry aparat. Normalnie spokojny, ale jak trochę popił, to tak, jakby mu ktoś simlocka zdjął”, śmieje się Grzegorz Kaliciak. Gdy bal trwał, a ktoś sugerował, że może czas kończyć, Wierzchowski zawsze miał gotową ripostę, rodem z filmu *Psy*:

– Przecież wszystkich nie wyrzucą! No co? Jezuitów zatrudnią?!

MIAŁEŚ OPERACJĘ

Mistrzowski sezon poważnymi problemami przyplącił Sunday Ibrahim. Początkowo jego stosunki ze Smudą nie układały się najlepiej:

– Sunday, ty w ogóle nie grasz jak napastnik! – zagaił Franz po jednym ze sparingów.

– Może dlatego, że jestem pomocnikiem? – padła odpowiedź.

Gdy Smuda zrozumiał, że Nigeryjczyk w ataku grał wcześniej tylko z konieczności i faktycznie lepiej spisuje się w drugiej linii, współpraca od razu zaczęła nabierać rumieńców. W końcu Ibrahim wygryzł z podstawowego składu Krzysztofa Bukalskiego. „Trener dał mi dużą swobodę działania. Mówił: »Sunday, widzę, że lubisz kiwać i nawet ci to wychodzi. Rób z piłką, co chcesz, ale jeśli ją stracisz, biegnij za facetem, jakby ci ukradł pieniądze«”.

Potem pojawiły się kłopoty z pachwiną. Nigeryjczyk nie był w stanie grać na 100 procent, w końcu zgłosił się do trenera.

– Dłużej już nie mogę. Od kilku spotkań boli coraz bardziej.

– OK. Dam ci odpocząć. Pojedziesz na mecz z GKS-em Katowice, ale będziesz siedział na ławce.

Gdy w trakcie meczu kontuzji doznał Kulawik, Smuda zawołał Ibrahima:

– Wchodzisz.

– Ale trenerze, miałem nie grać. Pachwina...

– Spokojnie, Sunday. Prowadzimy 2:0, więc pełen luz. Gramy na utrzymanie.

Trzy dni później Wisła grała w słoweńskim Mariborze w Pucharze UEFA i sytuacja była podobna: Sunday znów pojechał tylko po to, by siedzieć na ławce, okazało się jednak,

że Kulawik nie jest w stanie zagrać i Nigeryjczyk pojawił się w wyjściowym składzie. Przez godzinę grał na pół gwizdka, ale gdy miał szansę zdobyć bramkę, ruszył mocniej, wykonał gwałtowny skręt i nagle padł jak ścięty. Nie był w stanie nawet chodzić. Strzeliła druga pachwina. „Kilka razy zrobili mi USG, które nic nie wykazało, i na tym się skończyło. Przez trzy miesiące nie trenowałem, a lekarze nie robili nic, by to zmienić”. Pewnego dnia zobaczył go prezes Cupiał. Sunday pamięta, że wywiązała się następująca rozmowa

- Sunday, kiedy wracasz na boisko?
- Nie wiem.
- Jak to nie wiesz? A co mówi doktor?
- Też nie wie.
- No to wołajcie go!

„Dopiero wtedy zaczęło się coś dziać – kontynuuje Ibrahim. – Kilka dni później z doktorem Jerzym Zającem pojechaliśmy do jakiejś kliniki w Krakowie. Nigdy wcześniej tam nie byłem. Jakiś lekarz pomacał moją nogę. O czymś rozmawiali. Podeszła do mnie pielęgniarka. Uśmiechnęła się i dała mi zastrzyk. Obudziłem się w nocy. Na brzuchu miałem plaster. Nie wiedziałem, gdzie jestem. W końcu przyszła inna pielęgniarka: »Jesteś w szpitalu, miałeś operację«. Nie mogłem wyjść z szoku. Zrobili operację bez mojej zgody... Miało być lepiej, a było tylko gorzej. W końcu Bogusław Cupiał i Stanisław Ziętek zlitowali się nade mną. Prezes wsadził mnie do swojego audi A8 i w trójkę pojechaliśmy do Freiburga, do doktora Volkera Fassa. Dopiero później dowiedziałem się, że jest specjalistą od kolan, a nie od pachwin. Po rehabilitacji pod jego okiem czułem się lepiej, ale nadal nie mogłem grać. Zacząłem się zastanawiać, czy nie rzucić futbolu i nie wrócić do szkoły. Wciąż byłem jeszcze młody, miałem 19 lat. Myślałem, co się ze mną stanie, jeśli nie będę mógł zarabiać na życie, grając w piłkę. Powiedziałem: »Albo znajdziecie mi bardzo dobrego lekarza, albo wracam do domu«”.

Rozegrał kilka meczów, ale problem nie zniknął. „W końcu trafiłem do Monachium, tam obejrzała mnie pani doktor specjalizująca się w urazach takich jak mój. Zbadała mnie i mówi: »To nic poważnego. Zrobimy zabieg, poczekasz trzy miesiące i wracasz na boisko«. Mogłem tylko żałować, że nie trafiłem na kogoś takiego na samym początku”. Zawodnikiem Wisły był do końca 2003 roku, jednak nigdy później nie grał już tak dobrze jak wtedy, gdy miał 18 lat i był jeszcze w pełni sił.

Ibrahim potrafił być przebojowy. Kiedyś udał się na rozmowę do prezesa Bogdana Basałaja. Wchodzi, patrzy, a prezes siedzi wygodnie rozciągnięty, z nogami na stole. Siadł dokładnie w ten sam sposób, wywalił nogi na biurko. W takiej atmosferze szybko doszli do porozumienia.

7. POWRÓT DO EUROPY

W sezonie 1998/99 fani Białej Gwiazdy emocjonowali się nie tylko pewnym marszem po tytuł mistrzowski, ale też powrotem, po 14-letniej przerwie, do europejskich pucharów. Powrót ten był słodko-gorzki. Słodki, bo zaczął się świetnie, gorzki, bo zakończony skandalem, o którym głośno było w całej Europie.

Aby otrzymać licencję na występy w Pucharze UEFA, trzeba było sprostać szeregowi wymogów, wypełnić niezliczoną ilość wniosków. Dla ludzi pracujących w klubie wszystko to było całkowicie nowe, brakowało nawet osób mówiących po angielsku. Trzeba było na przykład podać wielkość wszystkich pomieszczeń znajdujących się w budynku klubowym. Ten był jednak świeżo po przebudowie, a plany gdzieś się zawieruszyły, więc aby zmierzyć pokoje, pożyczono od policji miernik odległości, którym po wypadkach samochodowych sprawdza się drogę hamowania.

Przed pierwszym meczem, wyjazdowym spotkaniem z walijskim Newtown, wiślacy otrzymali nowe garnitury. Do autokaru, którym jechali do Warszawy, wsiedli w dresach, ale nim dojechali na lotnisko, zaczęli się przebierać, by do stolicy dotrzeć w pełnej gali. Dopiero wtedy wyszło na jaw, że w otrzymanych kompletach nie ma pasków. Chcieli zadać szyku, a z autokaru wychodzili, podtrzymując opadające spodnie. Brakujących pasków szukali potem w sklepach bezcłowych.

Newtown to klubik z małego miasteczka, otoczonego malowniczymi pastwiskami. Stadion wygląda, jakby był zbudowany z klocków Lego – każda trybuna jest inna, nic do siebie nie pasuje. Aby miejsc starczyło dla wszystkich chętnych, wokół boiska dodatkowo rozstawiano ławki – niemal całe Newtown chciało zobaczyć miejscowych chłopaków w starciu z polskimi profesjonalistami. I choć bramki nie padły, nikt nie był rozczarowany, bo już remis był dla amatorów sporym osiągnięciem.

W rewanżu wiślacy nie mieli litości. Kierowca ciężarówki, a zarazem etatowy bramkarz Walijszyków musiał siedmiokrotnie wyciągać piłkę z siatki. Na wieść o siódemeczce Cupiał nie posiadał się z radości.

PALIMY SIĘ!

Niewiele mniej nastrzelali wiślacy w pierwszym meczu z Trabzonsporem (5:1). Turcy jeszcze przed pierwszym spotkaniem rozpoczęli swoje gierki. „Gdy z Jurkiem Kowalikiem poleciliśmy do Trabzonu na rekonesans, nikt z klubu nie wyjechał po nas na lotnisko, jak to zazwyczaj dzieje się w takich sytuacjach – mówi ówczesny kierownik drużyny Marek Konieczny. – Kiedy spytaliśmy menedżera klubu, o której rozpoczynają jutrzejszy mecz ligowy, ten długo się zastanawiał, udawał, że czegoś szuka, w końcu odparł, że gdzieś między 18.00 a 19.00”. Co ciekawe, ten sam człowiek, gdy wiślacy zjawili się w Turcji ponownie, już po wygranej 5:1, delegację z Polski przywitał kwiatami. Rewanż zdawał się formalnością i nią był, Wisła wygrała 2:1, ale podróż nad Morze Czarne okazała się prawdziwą przygodą.

Do Turcji drużyna poleciała rządowym 26-miejscowym samolotem Jak-40. Podczas międzylądowania na wojskowym lotnisku w Odessie piłkarze z niedowierzaniem patrzyli przez okienka na pracownika lotniska jadącego rowerem. Na plecach miał przyklejoną kartkę z napisem „follow me” i leniwie pedałowując, wskazywał pilotowi polskiego samolotu drogę do dystrybutora z paliwem. Na czas tankowania piłkarze musieli opuścić samolot i stanąć w bezpiecznej odległości, a kierownik drużyny Marek Konieczny zamówił paliwo za 600 dolarów, bo tyle dostał z klubu. Po dłuższej chwili, gdy tankowanie dobiegło końca, Ukraińcy zawołali Koniecznego, a ten biegnie z wyliczoną kwotą.

– 1200 dolarów.

– Jak to, kurwa, 1200? Przecież mówiłem, że za 600! – kierownik zaczyna lekko panikować, bo czuje, że afera wisi w powietrzu.

– 600? – Ukraińcy chwilę się naradzają. – A chuj! Daj 600.

W Turcji Franciszek Smuda pościł przez trzy dni. Najwyraźniej nie miał dobrych wspomnień z okresu pracy w tym kraju. „Powtarzał, że w Turcji trują, więc przez cały wyjazd jadł tylko smażoną czerwoną cebulę. Śmierdział jak cap”, śmieje się Koźmiński.

Na oficjalny trening dzień przed meczem Turcy dostarczyli niedopompowane piłki. Dziwnym trafem na stadionie nie było żadnej pompki. Było natomiast kilku robotników, którzy spawali jakieś elementy i mieli ze sobą butlę ze sprężonym powietrzem. Zgodzili się napompować piłki, jednak za pomocą sprzętu, który mieli do dyspozycji, nie było to proste. Pach! – pierwsza próba zakończyła się głośną eksplozją. Pach! – druga piłka też nie wytrzymała ciśnienia. Udało się dopiero przy trzecim podejściu.

Drużyna dostała do dyspozycji autokar bez klimatyzacji. Dzień przed spotkaniem klima nie działała także w hotelowych pokojach wiślaków. Otwieranie okien nic nie dawało, bo na zewnątrz, również w nocy, panował niemiłosierny upał, zresztą okna z części pokoi wychodziły na wewnętrzne patio. „Było strasznie gorąco, nie dało się zasnąć”, wspomina Kaliciak. Pierwotnie wiślacy mieli wyruszyć w drogę powrotną bezpośrednio po zakończeniu meczu, plany jednak zmieniono, drużyna została w Trabzonie na noc – wtedy już klimatyzacja działała bezbłędnie. Wieczór piłkarze spędzili w towarzystwie pilotów, którzy przy drinku opowiadali swoje najdziwniejsze historie związane z lataniem.

Na drugi dzień upał nadal doskwierał, w małym samolocie było gorąco jak w piekle, więc wiślacy, czekając na zezwolenie na start, schronili się na płycie lotniska, w cieniu pod skrzydłem. W końcu jednak musieli wsiąść, zamknąć drzwi, bo bez tego nie otrzymaliby zgody. „Czekaliśmy pół godziny. Było jak w saunie, myśleliśmy, że się ugotujemy, więc zaczęliśmy się rozbierać. Do majtek”, wspomina Sarnat. Gdy wreszcie samolot wzbił się w powietrze, piloci włączyli klimatyzację, a zgromadzona wilgoć zaczęła parować, tu i ówdzie unosiły się kłęby dymu.

– Kurwa, Jacek, palimy się! – krzyknął Sarnat do Matyi.

„Widziałem po jego minie, że przez chwilę był autentycznie przerażony”, dodaje bramkarz. Na szczęście lot powrotny odbył się bez przykrych niespodzianek.

DUMNY BONIEK

Dwumecz z Parmą był dla wiślaków pierwszym kontaktem z naprawdę wielkim futbolem. Kraków czekał z niecierpliwością. Dzień przed spotkaniem podczas standardowego

obchodu stadionu znaleziono dwóch kibiców, którzy ukryli się w studziencie kanalizacyjnej. Mieli zamiar przeczekać tam noc, bo zabrakło dla nich biletów. Kilkadziesiąt innych osób, z narażeniem życia, oglądało mecz z dachu pobliskiego budynku wydziału odlewnictwa AGH.

Nie tylko oni chcieli zobaczyć Wisłę w rywalizacji z klubem, który przed sezonem wydał na wzmocnienia 50 milionów dolarów, a efektem tego szaleństwa był najsilniejszy zespół w historii klubu. W bramce Gianluigi Buffon, w obronie Lilian Thuram, Fabio Cannavaro i Néstor Sensini, w pomocy Dino Baggio, Juan Sebastián Verón, w ataku Enrico Chiesa u boku Hernána Crespo – to największe nazwiska tej niezwykle mocnej kadry. Co ważne, wszyscy przyjechali do Krakowa. Trener Alberto Malesani ani myślał ryzykować, wystawiając rezerwy. Gdy zaraz na początku meczu krakowianie stracili głupią bramkę (Verón trafił bezpośrednio z rzutu różnego), zdawało się, że nie będą w stanie nawiązać wyrównanej walki. A jednak. Na błotnistym boisku, które wyglądało niczym zaorane pole, sprawili Buffonowi mnóstwo problemów.

– Po takim meczu jestem dumny, że jestem Polakiem. Wisła zagrała rewelacyjnie i powinna to spotkanie wygrać – mówił Zbigniew Boniek.

Wisła wściekle atakowała i nie przestała także wtedy, gdy Tomasz Kulawik doprowadził do wyrównania. W akcji bramkowej błysnął Frankowski. Wzięty w kleszcze przez Néstora Sensiniego i Liliana Thurama wystrzelił w górę i odegrał głową piłkę do Kulawika, a ten natychmiastowym strzałem posłał ją precyzyjnie w róg bramki. „Goście powinni kończyć w dziesięciu. W pewnym momencie Thuram złapał w pól Daniela Dubickiego, a miał już na koncie żółtą kartkę. Powinien zostać wyrzucony z boiska, ale sędziowie w pucharach często dawali nam do zrozumienia, kto jest kim”, mówi Bukalski.

Z drużyną na pucharowe mecze jeździł Michał Listkiewicz – wówczas sekretarz generalny PZPN-u. Był z zespołem zarówno w Mariborze, jak i w Parmie. Jeśli liczone na jego koneksje w sędziowskim świątku, na nic się one zdały.

Obie drużyny miały jeszcze swoje szanse, gospodarze kontrolowali błotne zapasy, ale goście bardzo groźnie kontrowali, jednak gole już nie padły. Najgroźniej, i to w ścisłym tego słowa znaczeniu, zrobiło się na dziesięć minut przed końcem. 19-letni kibic zwany Miśkiem rzucił z trybun składany nóż. Ten zatoczył wysoki łuk, wreszcie spadł na czubek głowy Dino Baggio. Włoch musiał zostać opatrzony – lekarze założyli mu trzy szwy, po czym wrócił do gry.

FAKS GROZY

UEFA sprawą zajęła się natychmiast. Ryszard Czerwiec, który odrzucił nóż z boiska, został zawieszony jeszcze przed rewanżem. „Po raz pierwszy europejska federacja ukarała bez przesłuchania piłkarza, który nie zrobił nic przeciwnikowi. Spadła na mnie odpowiedzialność za bezmyślnego widza”, żalił się dziennikarzom. Nie był jednak bez winy – odrzucił nóż, mimo że próbował powstrzymać go przed tym Fabio Cannavaro. Bez Czerwca w Parmie znacznie trudniej było o korzystny wynik – odkąd Smuda objął drużynę, to on był jej mózgiem. Wisła miała we Włoszech swoje szanse, ale mecz nie był już tak wyrównany. Zaraz na początku drugiej połowy Włosi wyszli na prowadzenie 2:0, potem Daniel Dubicki, po centrze Grzegorza Kaliciaka, ostemplował słupek bramki Włochów.

Wynik porażki w doliczonym czasie gry zmniejszył Bogdan Zając, ale na nic więcej wiślaków nie było tego dnia stać.

Najgorsze dopiero miało nadejść. 13 listopada do siedziby klubu wpłynęło pismo, które mogło zmrozić krew w żyłach. Stanisław Ziętek stał z kartką papieru w rękach i nie mógł uwierzyć w to, co czyta. Z lakonicznego komunikatu UEFA wynikało, że klub został wykluczony z pucharów na pięć lat. Złowrogą ciszę przerwał faks, który kilka minut później wypluł kolejną wiadomość z europejskiej centrali, dłuższą o sformułowanie „for one season only”. Oznaczało to, że owszem, kara obowiązywać będzie przez pięć lat, ale obejmie tylko pierwszy sezon, w którym krakowska drużyna wywalczy sobie przepustkę do pucharów.

W prasie pojawiły się spekulacje o wycofaniu się Tele-Foniki ze sponsorowania klubu. „Gdyby kara faktycznie miała obowiązywać przez pięć lat, być może rzucilibyśmy tę całą Wisłę. Były jakieś luźne rozmowy na ten temat, ale nie mieliśmy większych wątpliwości, że chcemy zostać”, mówi Ziętek. Pierwszą reakcją było złożenie odwołania. Podczas dwuipółgodzinnego posiedzenia w Genewie stanowisko krakowian przedstawił niemiecki prawnik i polityk, mocna figura w tamtejszym futbolu, doktor Reinhard Rauball. Najważniejszym punktem linii obrony był casus Fiorentiny, która, choć w jej przypadku była to recydywa, za podobne wykroczenie (sędzia techniczny oberwał petardą, a mecz został zakończony przed czasem) została ukarana jedynie walkowerem. Nie wyrzucono jej z europejskich pucharów na cały kolejny sezon.

Niespodziewanie w składzie wiślackiej delegacji znalazł się też Andrzej Grajewski, który prezesował wówczas Lechowi Poznań. „Czuliśmy się przez niego oszukani. Obiecywał, ba! zapewniał, że załatwi tę sprawę. Wziął od nas wynagrodzenie, a tak naprawdę niewiele zrobił”, wspomina Ziętek. Dyskwalifikacja została utrzymana w mocy – choć Wisła zdobyła mistrzostwo, w kwalifikacjach do Ligi Mistrzów zagrał drugi w tabeli Widzew. Po dramatycznych bojach z Litexem Łowecz łodzianie prowadzeni przez Grzegorza Lato przebrnęli przez drugą fazę kwalifikacji, ale kolejnej przeszkody już nie pokonali. Była nią... Fiorentina.

Parma natomiast po pokonaniu Wisły ograła po kolei Glasgow Rangers, Bordeaux i Atletico Madryt – wszystkich w stosunku wyższym niż Białą Gwiazdę – i dotarła aż do finału. 12 maja na Łuznikach w Moskwie Alberto Malesani posłał na boisko niemal ten sam skład, co na mecz z Wisłą w Krakowie (tylko Alain Boghossian zastąpił Stefano Fiore). Włosi pokonali Olympique Marsylia 3:0 i zgarnęli czwarte europejskie trofeum w historii klubu. Tomasz Kulawik z ośmioma golami zajął, wraz z Shaunem Bartlettem i Enrico Chiesa, pierwsze miejsce w klasyfikacji strzelców tej edycji Pucharu UEFA.

Incydent z Baggio odbił się szerokim echem w całym kraju. Marek Piwowski (ten od *Rejsu*) stworzył spektakl telewizyjny *Nóż w głowie Dino Baggio*, w którym sprawę próbowali rozwiązać wysłannicy Interpolu.

W rzeczywistości policja i polskie sądy poradziły sobie bez pomocy z zewnątrz. Na policyjnym nagraniu widać było postać, która wyciąga jakiś przedmiot, otwiera, rzuca, a po chwili cieszy się z trafienia. Świadek *incognito* i jeden z policjantów potwierdzili, że osobą tą jest 19-letni kibic zwany Miśkiem. Przez dwa miesiące był poszukiwany listem gończym, wpadł w Krakowie. Postawiono mu trzy zarzuty – zranienie piłkarza, udział

w zamieszkach i próba przekupstwa policjanta – w więzieniu spędził łącznie sześć i pół roku. Gdy wyszedł, w kibolskim światku był już żywą legendą, na którą miał zamiar nadal pracować, i ciągle był wszędzie tam, gdzie Wisła. Kiedy w 2008 roku, przy okazji finału Pucharu Polski w Bełchatowie, kibice Wisły starli się z fanami Legii – Misiek szarżował w pierwszym szeregu. Na bakier z prawem był jeszcze wielokrotnie. Dziś prowadzi siłownię, która działa pod szyldem TS Wisła.

Rzadko zdarza się, by jeden kibic jednym głupim pomysłem w tak znaczący sposób wpłynął na losy swojego klubu. Wisła straciła pierwszą szansę, by bić się o awans do fazy grupowej Ligi Mistrzów, zapał ostygł, a za klubem jeszcze przez wiele lat w Europie ciągnęła się zła opinia, która zresztą rzutowała na całe miasto.

8. DZIECIAKI NAWAŁKI

Młodzi piłkarze Wisły wsiedli do autobusu miejskiego w drodze na kolejny trening. Na przystanku stał mężczyzna, widzieli tę twarz już wiele razy, jednak tym razem wydarzyło się coś wyjątkowego. Facet wyciągnął pistolet i zaczął mierzyć w grupę zawodników. Gdy drzwi się zamykały, wciąż stał, gotów do strzału, i tkwił tak, nim wreszcie autobus ruszył i odjechał z przystanku. Internat, w którym mieszkali młodzi piłkarze, mieścił się na osiedlu niemal w całości zamieszkanym przez kibiców Cracovii. Niektórzy z nich w wolnych chwilach zajmowali się gnębieniem piłkarzy, którzy przyjechali do Krakowa z całej Polski, by zostać zawodnikami Wisły.

Młodzi zawodnicy byli częścią projektu, którym kierował Adam Nawałka. Selekcjonował kandydatów, a potem osobiście namawiał rodziców, by puścili syna do Krakowa. Wisła działała z rozmachem. Gdy w 1999 roku reprezentacja Polski U-16 sięgnęła po wicemistrzostwo Europy, w kadrze było czterech wiślaków, a dwa lata później Łukasz Nawotczyński, Dariusz Zawadzki i Paweł Brożek stanowili kręgosłup drużyny, która zdobyła mistrzostwo Europy U-18, po drodze ogrywając 4:1 Hiszpanię, a w finale 3:1 reprezentację Czech.

Do Krakowa ściągano piłkarzy z całej Polski – od Koszalina po Rzeszów, od Wałbrzycha po Tczew. W 2000 roku zbudowana w ten sposób drużyna, choć składała się w większości z zawodników o dwa lata młodszych od rywali, sięgnęła po tytuł mistrza Polski juniorów. Nawałka pilnował, by chłopcy, ściągnięci z całego kraju, często z małych miasteczek, nie zagubili się w Krakowie.

„Był dla nas jak tatuś. Czuliśmy przed nim respekt, był wymagający, ale wiedzieliśmy, że możemy liczyć na jego pomoc”, mówi Łukasz Nawotczyński, który do Krakowa trafił z Lechii Gdańsk. „Mogliśmy mu zaufać, był sprawiedliwy, ale też surowy. Wystarczyło spóźnić się minutę, a już człowiek tracił stypendium”, wspomina Kamil Kuzera, wychowanek Korony Kielce. Najgorszą karą był jednak zakaz treningów. W takiej sytuacji delikwent bardzo szybko wykazywał chęć poprawy, byleby tylko móc znowu kopać z kolegami piłkę.

Nawałka troszczył się o nich, jak potrafił, faktycznie był jak ojciec. Notował, komu pożyczył ile pieniędzy i na kiedy ustalono termin spłaty. Gdy docierały do niego niepokojące sygnały, wskakiwał wieczorem do samochodu, przyjeżdżał do internatu i sprawdzał zeszyty. „Powtarzał nam, że na pierwszym miejscu jest szkoła”, mówi Bartosz Iwan.

W końcu jednak opuścił swoje dzieci. W marcu 2000 roku został trenerem pierwszej drużyny, rok później – ponownie, wreszcie w 2002 roku opuścił Kraków, by objąć Zagłębie Lubin. Dzieciaki Nawałki miały po 19 lat i zostały bez opieki. Kuzera wspomina: „Dopóki zajmował się nami, wszyscy szliśmy w odpowiednim kierunku. Gdy go zabrakło, zostaliśmy puszczeni luzem, a głupich pomysłów, niestety, mieliśmy pod dostatkiem”.

Wtedy nikt już nie pilnował, czy chłopcy przykładają się do nauki. Wybrano inne metody wychowawcze. Gdy zawodnik miał kłopot ze zdaniem matury, w szkole pojawiał się wysłannik klubu z kwiatami i namawiał, by przymknąć oko na poziom wiedzy, skoro mowa o wybitnym sportowcu.

PLECAKI ZAMIAST TOREB

Internat stał w dość niefortunnym miejscu – w samym sercu osiedla Na Kozłówce, które ma wyjątkowo mocno sprecyzowane sympatie klubowe: jak wspomniałem na początku rozdziału, mieszkają tam niemalże tylko i wyłącznie kibice Cracovii. Niektórym obecność młodych piłkarzy Wisły bardzo przeszkadzała.

„Z przystanku autobusowego trzeba było przejść przez boisko. Latem przesiadują tam różne typy. Ja jakoś się z nimi dogadałem, miałem luzik, ale niektórzy byli w sporych opałach”, mówi Kuzera. „Kiedy jechaliśmy na trening, to szliśmy w kilku, bo będąc w pojedynkę, człowiek był narażony na problemy”, dodaje Paweł Strąk.

Raz mocno oberwał Dominik Husejko. („Lubię takich chłopaków. Potrafi przywalić w dyskotecę. Widać, że ma charakter”, mówił o nim Franciszek Smuda). „Byłem niski i zazwyczaj trzymałem się w towarzystwie bramkarzy, Wojtka Kaczmarka i Marcina Zarychty. Koledzy śmiali się, że mam osobistą obstawę: zaczepiam, a potem bronią mnie koledzy. Ale tak nie było”. Pewnego dnia nie pomogła mu nawet taka ochrona. Wiślacy wracali autobusem do internatu. Przykleiła się do nich grupa młodych mężczyzn podających się za kibiców Białej Gwiazdy. Gdy wszyscy znaleźli się na przystanku, piłkarze zostali zaatakowani. W ruch poszły pięści i kamienie, a Husejko oberwał cegłówką. Wylądował w szpitalu z rozbitą głową.

– Powiedźcie w klubie, żeby zamienili wam torby na plecaki. Będziecie mogli szybciej uciekać – radziła piłkarzom dyrektorka internatu.

Klub miał inny pomysł: piłkarze zaczęli podróżować klubowym busem i po treningu wracali prosto do internatu. Tam czuli się jak w oblężonej twierdzy.

Niektórym jednak brak emocji wyraźnie doskwierał. „W szkole, która mieściła się przy internacie, odbywały się rozgrywki klasowe. Graliśmy w koszulkach Wisły, co wielu osobom bardzo się nie podobało. Pewnego dnia przy wyjściu z internatu czekało na nas kilkudziesięciu gości. Zorientowaliśmy się, co się święci, i zdołaliśmy uciec tylnym wyjściem. Przez trzy dni nie pojawiliśmy się w szkole, aż konflikt został zażegnany przez właściwe osoby”, wspomina Bartosz Iwan.

Innym razem kilku barczystych mężczyzn wpadło do internatu. Obsługa zabarykadowała się w jednym z pokoiów, a chuligani zdemolowali korytarz, przewracali kosze na śmieci, pokrzyczeli i wyszli.

W internacie panowała atmosfera rodem z kolonii wakacyjnych. Pewnego dnia dostawca pizzy otrzymał zapłatę w jednogroszówkach. Gdy odmówił przyjęcia pieniędzy w takiej postaci, z okna wylano na niego kubeł moczu. Innym razem na stołówce ktoś nasikał do garnka z herbatą. Widok kolegów popijających herbatkę z nietypową wkładką przysporzył autorom dowcipu wiele radości.

Imprezowano. Chłopcy zarabiali, niektórzy tylko kilkaset złotych, ale inni nawet po dwa–trzy tysiące, a przecież dach nad głową i wyżywienie mieli zagwarantowane. Reszta

pieniędzy szła więc na balangi. „Gdy Kuzi zgarnął premię za zwycięstwo w pierwszej drużynie, bal trwał trzy miesiące”, wspomina ze śmiechem Nawotczyński. Przez okna panowie wyrzucali meble i rozmaite sprzęty, raz poszybował telewizor.

Wieczorem internat był zamykany, ale wystarczyło dzień wcześniej zgłosić nieobecność, by móc, całkiem legalnie, spędzić noc poza ośrodkiem. Drzwi z powrotem otwierano o 6.00 rano. Jeśli impreza skończyła się wcześniej, tradycją były nocne przejażdżki tramwajem. Wycieczkę do Nowej Huty i z powrotem uznano za idealny sposób na zabicie nudy i przeczekanie do rana, gdy znów będzie można się dostać do środka. Potem krótki sen i na trening.

PIŁKA? NIE, DZIĘKUJĘ

Grupa kreuje liderów, ale także dopada ofiary. Damian Mirończuk był ciekawie zapowiadającym się zawodnikiem, mógł grać jako lewy obrońca lub pomocnik, ale nigdy nie został zawodowym piłkarzem. W krakowskim internacie spotkała go fala – na jej czele stali Adrian Mrowiec, pseudonim Mrówa, i Wojciech Kaczmarek, czyli Kiełbasa. Wiezorami wpadali do pokoju Mirończuka – szafkę i łóżko przewracali do góry nogami, zabierali pościel i szybko uciekali do swoich pokojów. Innym razem jeden z nich narobił mu do poduszki. Gdy zapach odchodów przeszedł pierze, odór o niezwyklej intensywności opanował cały internat. „Już nigdy później nie czułem takiego smrodu. Damian nie wytrzymał tego wszystkiego. Miał zadatki na dobrego piłkarza, ale wysiadł psychicznie i się nie przebił”, wspomina Paweł Strąk.

„Damian był grzecznym i sympatycznym chłopakiem – mówi Dariusz Wójtowicz, wówczas trener juniorów. – Zabrakło mu jednak charyzmy i siły przebicia. To była specyficzna grupa. Fajnie się z tymi chłopcami pracowało, bo mieli wysokie umiejętności, ale charaktery mieli trudne. Taki Wojtek Kaczmarek to był leniuszek, w głowie miał raczej głupoty i byłem zaskoczony, że w kolejnych latach zrobił takie postępy”. Janusz Adamczyk, ówczesny trener bramkarzy, wspomina: „Kaczmarek? Złamałem na nim sztachtetę!”.

Mirończuk w wieku 18 lat wiedział już, że nie chce być piłkarzem. „Po tym, co zobaczyłem w Krakowie, gdy zrozumiałem, z jakimi ludźmi miałbym do czynienia, całkowicie straciłem chęć do gry w piłkę”, mówi. Do Wisły trafił z polecenia Antoniego Szymanowskiego, który powoływał go na konsultacje reprezentacji juniorskich. Grał w juniorach i drużynie rezerwowej, ale wkrótce spakował walizki i wrócił do Jeleniej Góry. „Wisła zaoferowała mi kontrakt na poziomie 700 złotych miesięcznie. Za taką kwotę nie da się wyżyć. Nie podpisałem, zresztą wiedziałem już wtedy, że nie chcę zawodowo grać w piłkę”.

Pograł jeszcze chwilę w Karkonoszach Jelenia Góra, a gdy Polska przystąpiła do Unii Europejskiej, kupił bilet w jedną stronę i wyjechał z kraju. Dziewięć lat spędził w Anglii. „Najpierw miałem się każdego zajęcia, potem zacząłem pracować dla służby zdrowia, następnie w prywatnej klinice, zarabiałem coraz więcej, można było godnie żyć, a jeszcze sporo odłożyć – przekonuje. W końcu pojechał jeszcze dalej: dziś mieszka w Sydney, ale i tu długo miejsca nie zagrzeje. – Wkrótce znów się przeniosę. Chcę pomieszkać w Kanadzie, potem w Tajlandii. W Europie ludzie tylko narzekają, nie chciałem więcej

tego słuchać”. Futbol zamienił na taniec. Jako tancerz ma jeszcze więcej okazji, by podróżować.

Z byłymi kolegami z Wisły nie ma kontaktu. „I co ja miałbym im powiedzieć? Tam tylko kilka osób było na poziomie. Co do reszty... Dobrze, że podpisać się potrafią. Cieszę się, że grają w piłkę, bo zapewne nie byliby w stanie zajmować się niczym innym”.

W POGONI ZA PLASTIKOWYMI PUCHARAMI

W drużynie, która w 2000 roku sięgnęła po mistrzostwo Polski juniorów, byli nie tylko chłopcy spoza Krakowa, ale też wychowankowie Wisły, którzy do klubu trafili, jeszcze zanim pojawiła się w nim Tele-Fonika. „Nas traktowano jeszcze w miarę poważnie, bo Wisła musiała zapłacić za nasz transfer. Tamci prawdziwi wychowankowie, oni to mieli naprawdę przerąbane”, mówi Nawotczyński. Z tego grona przypadli praktycznie wszyscy. Łukasz Dudzik, Sebastian Marzec, Dawid Wisła, Dariusz Łopata, wspomniany już wcześniej Dariusz Zawadzki. Do ekstraklasy, i to lata później, przebili się tylko Piotr Stawarczyk i Bartosz Iwan. „Traktowano nas gorzej nawet pod względem finansowym. Gdy młodym z innych rejonów kraju proponowali po trzy tysiące, my dostawaliśmy tysiąka”, mówi ten drugi.

Problemem był brak pomysłu na zagospodarowanie młodych piłkarzy. „Dopóki mieliśmy po 16–17 lat, wszystko było w porządku. Graliśmy w juniorach, trenowaliśmy w szkole i w klubie, szybko robiliśmy postępy – mówi Strąk. – Później nikt za bardzo nie wiedział, co z nami zrobić. Trzymać w klubie, wypożyczać, znaleźć klub satelitarny? Dziś widzę, że ci, którzy dość szybko zmienili klub, poszli na wypożyczenie, przebili się. Ci, którzy zostali w Wiśle i grali w rezerwach, stali w miejscu. Zbuntowałem się, nie chciałem dłużej grać w rezerwach i zostałem wypożyczony do Orłenu Płock. Po powrocie do Krakowa zauważyłem, że bardzo dużo mi to dało i wkrótce zacząłem występować w pierwszym zespole”.

Pomocną dłoń wyciągali trenerzy związani z Wisłą. Nim Strąk trafił do Orłenu, do Hutnika ściągnął go Jerzy Kowalik. Dariusz Wójtowicz do ŁKS-u Łódź zabrał braci Brożków i Karola Wójcika, Marek Kusto dał Łukaszowi Nawotczyńskiemu nieco okrzepnąć w Arce Gdynia. Potem do Jagiellonii wziął go Adam Nawałka. (Wszystko układało się dobrze, nim ściął piękne blond włosy – wtedy na kilka tygodni podpadł trenerowi).

Strąk zwraca uwagę na jeszcze jeden problem: „Pamiętam miesiąc, a miałem wówczas 16 lat, w trakcie którego rozegrałem 15 meczów. Jedna reprezentacja, druga, Puchar Syrenki, w klubie – mecz w juniorach, w zespole rezerw, sparing pierwszej drużyny. Nikt nad tym nie panował. Nic dziwnego, że w wieku 17 lat strzeliło mi jedno kolano, a rok później drugie”. Mocno eksploatowany był też Dariusz Zawadzki, który oprócz gry na trawie często brał udział w turniejach halowych. Szef wiślackiej szkoły Stanisław Chemicz traktował go jak wizytówkę, jak maszynkę do kolekcjonowania tandetnych dyplomów i plastikowych pucharów. Grał praktycznie na okrągło, co przypłacił licznymi urazami. „Twoje nogi wyglądają, jakbyś był już po karierze”, powiedział kiedyś Zawadzkiemu jeden z lekarzy, choć ten wciąż był juniorem.

„Trener Chemicz kombinował na lewo i prawo, byleby tylko zgromadzić jak najwięcej pucharów. Dla niego liczyły się tylko tytuły. Gdy wracaliśmy z turnieju, szło się do niego pochwalić pucharem. Trener zabierał puchar i stawiał u siebie w gabinecie – wspomina Bartosz Iwan. – Różne były kombinacje z legitymacjami, przesuwanie zawodników z jednego zespołu do drugiego... Wszystko po to, by wygrać kolejny turniej”. Zupełnie zapomniano, że nie o puchary się tu rozchodzi, a o to, by wychować jak największą liczbę klasowych piłkarzy.

BLOKI ZAMIAST PIŁKI

Najbardziej utalentowana młodzież dość szybko zaczęła pukać do bram pierwszej drużyny. Franciszek Smuda nie lubił pytań o młodych piłkarzy, jednak jesienią 1999 roku w meczu Pucharu Ligi z Ruchem Radzionków dał zagrać trzem 16-latkom – Pawłowi Brożkowi, Kamilowi Kuzerze i Karolowi Wójcikowi, który występ ten okraślił golem. Szansę debiutu dostał też o rok starszy Dariusz Zawadzki.

„Byłem na zgrupowaniu reprezentacji młodzieżowej, gdy zadzwonił trener Smuda i powiedział, że bym przyjechał do klubu”, mówi Kuzera. Do Krakowa dotarł w dniu meczu.

- Na jakiej grasz pozycji? – upewniał się Smuda.
- Bok obrony.
- Zagrasz?
- Zagram.

Smuda i Kuzera nadawali na tych samych falach – nie dla nich komputerowe analizy, ot, wychodzisz na boisko i kopiesz piłkę. „Przed meczem z Hajdukiem Split Andrzej Iwan przygotował analizę wideo gry przeciwnika. Wchodzę do sali i myślę sobie: »Co to, kurwa, jest? Przyjechaliśmy tutaj grać w piłkę, więc wyjdźmy po prostu na boisko i zagrajmy«”, mówi Kuzera. Smuda odważnie postawił na młodego piłkarza. „Gdy miał 16 lat, to wiedziałem, że Kuzerka to »bandyta«, że będzie dobrze grał”, opowiadał w 2001 roku. W swoim stylu, bardzo szybko uprzedzał się do zawodników. Gdy ktoś mu się spodobał – jak Kuzera – mógł rozrabiać, a i tak miał wysokie notowania. Jeśli piłkarz nie przypadł mu do gustu – był gnębiony, jak bracia Brożkowie.

Kuzera za to grał i zupełnie się nad tym nie zastanawiał. W sezonie 2001/02 dwumeczem z Hajdukiem Split zadebiutował w Pucharze UEFA i wypadł rewelacyjnie. Zaraz po spotkaniu w Chorwacji drużyna zapakowała się do samolotu i po krótkim locie była już w Krakowie. Nie minęły cztery godziny od zakończenia spotkania, a Kuzera siedział na ławeczce pod swoim blokiem na krakowskim osiedlu Widok i pił piwko. Taki był z niego swojski chłopak. „Na mnie to, że gram w Pucharze UEFA, nie robiło żadnego wrażenia. Wychodzę na boisko i gram, wielkie mi rzeczy”, mówi. Nie dziwiło go nawet to, że gra on, a reprezentant Polski Marcin Baszczyński siedzi na ławce rezerwowych albo jest przerzucany na inne pozycje.

Do Wisły trafił przez przypadek. Adam Nawalka przyjechał do Kielc po Kamila Szczepańskiego. Trener juniorów Korony Andrzej Kozłowski zaczął wysłannika Wisły:

- Mamy tutaj jeszcze jednego dobrego chłopaka, ale on już nie gra w piłkę.

„Piłka? Były wówczas ważniejsze sprawy. Wychowywałem się praktycznie sam, tata nie miał dla mnie zbyt wiele czasu. Musiałem się martwić, by mieć co zjeść, a nie za piłką gonić, a czasami po prostu mi się nie chciało. Bloki wciągały, zawsze było coś do zrobienia, trzeba było gdzieś pójść, coś załatwić, z kimś się spotkać. To był inny świat”, mówi Kuzera.

Nawałka zaryzykował. W ciemno zaproponował mu wyjazd na zgrupowanie na Słowację. Gdy Kuzera dostał własny dres, zaświeciły mu się oczy i od razu znów zapragnął być piłkarzem. Podczas obozu szybko wpadł w oko trenerom. Po powrocie ze Słowacji nagle odnalazł się jego tata i w imieniu Kamila podpisał z Wisłą dziesięcioletni kontrakt.

MASZ, PIJ

Zaraz po transferze do Wisły szansę otrzymał Łukasz Nawotczyński. On, podobnie jak Tomasz Wisio, ściągany był bezpośrednio do pierwszej drużyny. Rundę wiosenną 2000 roku stracił. „Podpisałem już kontrakt z Wisłą, ale kluby nie mogły się porozumieć, więc Lechia zdyskwalifikowała mnie na pół roku”, wspomina. Od Oresta Lenczyka dostał szansę zaraz po okresie karencji. Zagrał w meczu na szczycie ekstraklasy z Pogonią Szczecin. Niespodziewanie pojawił się w podstawowym składzie. Do przerwy Portowcy prowadzili 1:0, całe spotkanie wygrali 2:1, ale na drugą połowę młody obrońca już nie wyszedł.

„Byłem po długiej przerwie. Doktor Jerzy Wielkoszyński mówił, że jeszcze nie czas, że brakuje mi ogrania, ale trener postanowił dać mi szansę. Nie wykorzystałem jej, spaliłem się, jednak pretensje mam do siebie, a nie do trenera. Zmienił mnie w przerwie, a na kolejną szansę czekałem siedem miesięcy”, opowiada Nawotczyński. Nim został wysłany na kolejne wypożyczenie, kilka razy wystawił go Franciszek Smuda. Pamięta, że w trakcie imprezy z okazji zakończenia rundy jesiennej Franz postawił przed nim szklankę i napełnił ją wódką:

– Masz, pij!

„Co miałem zrobić? Wziąłem i wypilem, a trener przyjął to z uznaniem”, wspomina.

Smuda wciąż nie był jednak przekonany do Nawotczyńskiego, stąd kolejne wypożyczenia – do Arki, do Górnika Polkowice, do GKS-u Katowice, do Jagiellonii. Gdy okres wypożyczenia do ostatniego z tych klubów dobiegł końca, Nawotczyński oznajmił, że nie wróci do Krakowa. Miał serdecznie dość kolejnych przeprowadzek. „Zbuntowałem się. Powiedziałem, że chcę zostać. Nie stawiłem się na treningu Wisły i zostałem zawieszony. Przez dwa miesiące trwały przepychanki, wreszcie w ostatnim dniu okienka transferowego oba kluby doszły do porozumienia. Wisła sprzedała mnie do Jagiellonii za jakieś śmieszne pieniądze”.

Do pierwszego zespołu przebijali się bracia Brożkowie. Przygodę z piłką zaczynali od uczestnictwa w Parafiadach i przez lata byli dumą pomysłodawcy tej imprezy księdza Józefa Jońca (który zginął w katastrofie smoleńskiej). Ale i oni, nim na dobre weszli do drużyny, musieli ograć się na wypożyczeniu. Od początku cechowała ich jednak wielka pewność siebie. Trener juniorów Dariusz Wójtowicz wspomina, że starał się ich temperować.

– No to co, trenerze? Ile mamy strzelić? Trzy? Cztery? – pytali zawadiacko przed każdym kolejnym meczem. – OK, strzelimy! Nie ma sprawy!

Nawzajem się nakręcali. W ich pokoju w internacie trwała nieustająca awantura. Rywalizowali o wszystko, od rana do wieczora. „Ale gdy jeden z nich miał kłopot, drugi szedł za nim jak w dym”, wspomina Łukasz Nawotczyński.

ZABIŁEM CZŁOWIEKA!

Bracia Brożkowie byli wybuchowym duetem, ale to nie oni stali się bohaterami najbardziej przykrej historii w tamtej drużynie. Pewnej nocy huk miazdżonego metalu odtrąbił definitywny koniec jednej kariery, a nitka drugiej zapętleła się tak bardzo, że już nigdy nie udało się jej całkowicie rozsupłać.

15 sierpnia 2003 roku około godziny 2.30 nad ranem mieszkańców domów stojących przy ulicy Lea w Krakowie obudził odgłos wypadku. Żółty renault mégane coupé wpadł w poślizg, przełamał barierkę i uderzył przechodnia. Pieszcy przeleciał przez maskę samochodu, wylądował na asfalcie, a przerażony kierowca wyskoczył z auta i zbiegł z miejsca wypadku. Nazywał się Kamil Kuzera, pieszym był Hubert Skrzekowski. Jego kariera piłkarska właśnie się zakończyła, choć tak naprawdę jeszcze się nie zaczęła. 15 sierpnia nad ranem nie było już Skrzekowskiego piłkarza. Na długi okres nie było też piłkarza Kuzery.

„Myślałem, że zabiłem człowieka. Nawet nie wiedziałem, że to był Hubert – mówi Kuzera. Wspomnienie tamtej nocy siedzi w nim do dziś. – Szkoda, że pewne sprawy nie potoczyły się inaczej”, dodaje cichym głosem.

„Byli jak te papużki nierozłączki. Próbowaliśmy ich rozdzielić, bo czuliśmy, że będą z tego kłopoty”, mówi dziadek Huberta Skrzekowskiego.

Dzieciaki Nawałki nie mieszkały już w internacie. Mieli po 20 lat. Dobierali się w kilku, składali się na czynsz i wynajmowali mieszkania lub całe domy. Wieczorem 14 sierpnia 2003 roku trwała impreza. W pewnym momencie Kuzera, Skrzekowski, Marcin Szałęga i Karol Wójcik wsiedli do dwóch samochodów i ruszyli w miasto. Kuzera zabrał renaulta należącego do Michała Wróbla (zbieżność imienia i nazwiska z legendarnym piłkarzem Wisły z lat 70. i 80. przypadkowa). „Jechałem tym samochodem tydzień przed wypadkiem. To auto to była tragedia, zdaje się, że zostawiało za sobą cztery ślady”, mówi Paweł Strąk. „Pewnie pojechałbym z nimi, ale akurat była u mnie dziewczyna, więc poszliśmy do swojego pokoju”, wspomina Nawotczyński.

Na ulicy Lea urządzili wyścig. Skrzekowski stał na chodniku, miał stwierdzić, kto dojedzie pierwszy. Nad ranem Nawotczyńskiego obudził przerażony Kuzera. Zaraz po wypadku wyskoczył z auta i w całkowitym amoku przebiegł ponad siedem kilometrów, aż na ulicę Dobrego Pasterza. Po drodze, ogarnięty totalnym przerażeniem, zniszczył kartę SIM, wyrzucił telefon. Gdy w końcu dobiegł do celu, nie potrafił sensownie wyjaśnić, co się stało.

– Zabiłem człowieka! Zabiłem człowieka! – powtarzał, płacząc.

Koledzy patrzyli na niego jak na dziwadło i śmiali się, że zwariował lub za dużo wypił.

Nikt nie wiedział, co robić. Policja szybko wpadła na trop piłkarzy. Po numerach rejestracyjnych rozbitego auta dotarli do Wróbla, który próbując kryć kolegę, zeznał, że

samochód został skradziony. Otrzyma potem wyrok za mataczenie w śledztwie – dwa lata więzienia w zawieszeniu na okres dwóch lat oraz 1000 złotych na Caritas. Kuzera przyjął taktykę małego dziecka – naciągnął kołdrę na głowę, udając, że jest zupełnie gdzieś indziej. Czekał na rozwój wypadków. Po nieprzespanej nocy zjawił się w klubie, wziął udział w treningu, a potem pojechał z drużyną do hotelu na krótkie zgrupowanie przed meczem ze Świtem Nowy Dwór Mazowiecki. Wieczorem na miejscu pojawiła się policja i zabrała go na komisariat.

Kuzera miał już za sobą 31 meczów w pierwszym zespole, Skrzekowski był wciąż przed debiutem, ale regularnie trenował z drużyną, a w trakcie wyjazdowego spotkania z Lazio Rzym siedział na ławce rezerwowych.

Od początku pobytu w Wiśle trzymali się razem – dwóch młodych chłopaków, zawsze ogolonych na zero. Wiele ich łączyło. Pochodzili z tej samej okolicy – Kuzera z Kielc, Skrzekowski z Jędrzejowa. Scyzoryki. W młodości borykali się z podobnymi problemami – Skrzekowski stracił oboje rodziców, Kuzera przeżył śmierć mamy, a tata miał inne zajęcia niż wychowywanie syna. Wypadek zakończył ich przyjaźń. Nie potrafili poradzić sobie z problemami, które sami na siebie ściągnęli.

Kolano Skrzekowskiego było zdemolowane. Obydwa więzadła poboczne i oba krzyżowe – wszystko zerwane. Piłkarz z przerażeniem odkrył, że nogę w kolanie może zginać w nienaturalnych kierunkach. Przeszedł dwie operacje. Z ust Kamila usłyszał „przepraszam”, ale nie byli w stanie porozumieć się w sprawie odszkodowania. W końcu spotkali się na sali sądowej. Kuzerę skazano na rok więzienia w zawieszeniu na trzy lata. Został także zobowiązany do wypłacenia odszkodowania w wysokości 2,5 tysiąca złotych. W obliczu dwóch skomplikowanych operacji i długotrwałej rehabilitacji była to tylko kropla w morzu potrzeb.

Skrzekowski czuł się poszkodowany przez los i zdradzony przez przyjaciela. Jakiś czas po wypadku, gdy kolano wróciło do jako takiej sprawności, pojawił się w klubie.

– Przyjdź, gdy będziesz zdolny do gry – usłyszał.

Wychodząc, mijał kolegów z drużyny, którzy przyszli właśnie na trening. Miał łzy w oczach. Czuł, że idzie tym korytarzem po raz ostatni. Wciąż był młodym człowiekiem, w świecie piłki znaczył niewiele – bez pomocy i bez kontaktów nie potrafił sobie poradzić. Pochodził z ubogiej, rozbitej rodziny, ze stypendium w wysokości 1,5 tysiąca złotych nie był w stanie uzbierać oszczędności. Przez kilka miesięcy próbował wrócić na boisko. Nie udało się.

Kuzera uważa, że się poddał. „Wielu sportowców zrywało więzadła w kolanie, a jednak wracali do sportu. Wymaga to wielu wyrzeczeń, samozaparcia i ciężkiej pracy. Sam przez to przechodziłem. W Polonii miałem złamany obojczyk, przez pół roku dzień w dzień robiłem te same żmudne ćwiczenia, byleby wrócić na boisko”, mówi. Wie, że zawinił, ale dziś patrzy na tę sprawę nieco inaczej. „Starłem się pomóc Hubertowi, na ile potrafiłem. Jasne, można mieć pretensje do całego świata, uważać, że ktoś przekreślił całe twoje życie, ale trzeba też spojrzeć na siebie. Wina nie zawsze leży po jednej stronie. Ludzie radzą sobie w życiu ze znacznie poważniejszymi problemami”.

Skrzekowski wrócił do rodzinnego Jędrzejowa, pojawił się na kilku treningach miejscowego Naprzodu. W wieku 25 lat ostatecznie się poddał. Nigdy już nie rozmawiał

z żadnym dziennikarzem. Udało mi się odnaleźć jego rodzinny dom w Jędrzejowie, dowiedziałem się, że pracuje w piekarni pod Warszawą, a siostra dała mi jego numer telefonu. Zadzwoiłem do niego i umówiliśmy się na telefon na drugi dzień. Gdy nazajutrz zadzwoniłem po raz drugi, numer był już nieaktualny. Podjąłem jeszcze jedną próbę kontaktu, jednak szybko zrozumiałem, że nic z tego nie będzie. Skrzekowski zaczął nowe życie. Do starego postanowił więcej nie zaglądać.

TYLKO BRACIA

Nabór rocznika 1982 i 1983 miał być dopiero początkiem. Klub chciał co rok, co dwa lata ściągać najbardziej utalentowanych piłkarzy z całej Polski. „Projekt porzucono, bo właściciel uznał, że to się nie opłaca. Uważam, że popełniono ogromny błąd. To była polityka podobna do tej, którą Legia przyjęła dopiero dziesięć lat później. Wisła mogła odskoczyć wówczas rywalom o lata świetlne”, mówi Wójtowicz. Gdy odszedł z klubu, przez 13 lat pracował z reprezentacjami juniorskimi. Wielokrotnie podrzucał Wiśle nazwiska młodych piłkarzy, których warto byłoby ściągnąć do Krakowa. Zawsze spotykał się z brakiem zainteresowania. Bogusław Cupiał w pewnym momencie zaczął się bać, że inne kluby będą podkradać mu wychowanków.

– Wyszkolimy, a potem przyjedzie Manchester i go zabierze – argumentował.

„Wprowadzono przepis mówiący o tym, że w dniu 18. urodzin zawodnik może podpisać kontrakt z innym klubem. Gdy Bogdan się o tym dowiedział, nakazał prawnikom znaleźć sposób, by to ominąć. Kiedy oznajmili, że nie ma takiej możliwości, uznał, że to wszystko nie ma sensu”, mówi Zbigniew Koźmiński. Także w tej materii Cupiał traktuje futbol jak produkcję kabli – nie chce wchodzić w niepewne interesy.

Czy projekt wypalił? W krótkim okresie do Krakowa ściągnięto kilkunastu młodych piłkarzy, którzy uchodzili za najzdolniejszych juniorów w kraju. Ilu z nich zdołało zaistnieć w dorosłej piłce? Bracia Brożkowie bez dwóch zdań. Paweł przez lata był pierwszą strzelbą drużyny, na początku sezonu 2014/15 wszedł do Klubu 100, nieco więcej spodziewano się po Piotrze, ale i on dużo dał tej drużynie, a przecież sprzedając ich do Trabzonspor, zarobiono około 10 milionów złotych. Wystarczyło, by inwestycja w cały ten projekt zwróciła się z nawiązką.

Innym poszło gorzej. „Łukasz Nawotczyński zapowiadał się na obrońcę europejskiej klasy”, mówi Marcin Baszczyński. Przez większość kariery tułał się między pierwszą ligą a ekstraklasą. Kamil Kuzera w wieku 18 lat radził sobie w Pucharze UEFA. Odnalazł się w Kielcach, ale nigdy potem nie grał już tak dobrze jak przed pechowym wypadkiem. Na Litwie przebił się Adrian Mrowiec, który potem przeniósł się do Szkocji, a Tomasz Wisio wyjechał do Austrii. Dominik Husejko, Karol Wójcik, Mateusz Kaźmierczak – to nazwiska, które w dorosłej piłce nie pojawiły się nigdy. Dariusz Zawadzki, który miał papiery na grę w reprezentacji Polski, nie rozegrał ani jednego spotkania w ekstraklasie.

9. FUTBOŁOWY FOLKLOR

Sezon 1999/2000 okazał się ewenementem, kto wie, być może nawet na skalę światową. Był także, niejako przy okazji, prawdziwą katastrofą, która ukazała brak jakiegokolwiek długofalowego planu – i ukazała to w pełnym rozkwicie. Czy istnieje inny poważny klub, który jednego trenera tymczasowego zastępuje innym, zatrudnionym również tylko na chwilę, po czym zwalnia go bez konkretnego powodu, aby powierzyć drużynę kolejnemu szkoleniowcowi, traktowanemu równie niepoważnie, by wreszcie i jego wywalić, a zespół przekazać w ręce jeszcze innego faceta, byleby ten doprowadził go do końca sezonu i byleby wreszcie móc zwolnić i jego? Trudno nadażyć, prawda? Festiwal głupich decyzji, recital pomyłek.

Pewnie gdzieś na peryferiach futbolowego świata przydarzały się i dłuższe serie, ale z pewnością nie jest to standard. Z punktu widzenia szkoleniowego był to rok stracony.

Brak możliwości gry w europejskich pucharach negatywnie odbił się na działalności transferowej. Od momentu ogłoszenia decyzji o wykluczeniu Wisły z rozgrywek minęły dwa okienka transferowe, a nie poczyniono żadnego znaczącego wzmocnienia. Zapal ostygł, maszyna wyhamowała. „Faktycznie, opadł nieco entuzjazm, na rynku transferowym nie byliśmy już tak aktywni”, mówi Ziętek.

Smuda robił dobrą minę do złej gry. „To świetnie. Im mniej transferów, tym mniejsza szansa na pomyłkę”, żartował. Pozyskano jedynie Kelechiego Iheanacho, Mariusza Jopa i Adama Piekutowskiego, potem dorzucono jeszcze dwóch Brazylijczyków – Brasilę (niezły) i Deciego (niewypał).

Piekutowski szybko padł ofiarą ostrych treningów Smudy. Gdy drużyna biegła po lesie, nie utrzymał tempa, zwolnił, w końcu stanął, zdyszany widział jedynie plecy oddalających się kolegów. Kiedy wreszcie złapał oddech, był sam w środku lasu. Do hotelu wrócił dopiero po dwóch godzinach, przyprowadzony przez masażystę, który został wysłany z misją ratunkową. „W szatni mieli ze mnie niezły ubaw”, wspomina.

Na farsę zakrawała za to, powracająca po raz setny, sprawa z Tomaszem Łapińskim. Krakowianie nie byli w stanie porozumieć się z Widzewem – kontrakt stopera reprezentacji Polski niby wygasał, ale szef łódzkiego klubu Andrzej Pawelec żądał za transfer 8 milionów złotych, więc po kilku treningach z Wisłą Łapiński wrócił do Łodzi. „My sobie bez Tomka jakoś poradzimy, a Widzew w eliminacjach do Ligi Mistrzów raczej nie. Przekonaliśmy go, aby na razie wrócił do Widzewa, bo on wcale nie chciał tam wracać”, mówił dziennikarzom Smuda, który chciał być górą nawet wtedy, gdy przegrywał.

Humor go nie opuszczał. Pewnego dnia postanowił opanować sztukę wysyłania SMS-ów. Po kilku minutach prób wreszcie się udało i z uśmiechem schował telefon do kieszeni. Wiadomość otrzymał jego asystent Kazimierz Kmiecik. Brzmiała ona: „Ty chuju!!!!”...

Drużyna nie grała porywająco, ale po pięciu kolejkach miała na koncie komplet punktów. Wtedy do GKS-u Katowice oddano Grzegorza Nicińskiego, a do Ruchu Chorzów Sławomira Palucha i Daniela Dubickiego. Ten ostatni miał sporo szczęścia. Był tylko

wypożyczony, więc pensję nadal wypłacała mu Wisła – był bodaj jedynym piłkarzem w szatni Ruchu, który regularnie otrzymywał pieniądze. W Krakowie szybko pożałowano tych ruchów, bo kadra zespołu zrobiła się niebezpiecznie wąska.

PIERWSZY KRYZYS

Wisła wpadła w zadyszkę. Trzeba było ją przetrwać, ale Cupiał nie miał tyle cierpliwości.

Najpierw przyszły dwa remisy – z Pogonią Szczecin i Stomilem Olsztyn. Smuda czuł, że traci grunt pod nogami, robił się nerwowy. Na jednej z konferencji prasowych został zapytany o przyszłość Brazylijczyków Brasili i Deciego. To on odpowiadał za te transfery. Z sobie tylko znanych powodów postanowił, że odpowie po niemiecku. Stwierdził, że obaj szybko wrócą do domu, i uciął temat. Osobiście próbował znaleźć im klub za zachodnią granicą. Deci faktycznie szybko opuścił Wisłę, wrócił do ojczyzny, za to Brasilia został do końca sezonu i okazał się całkiem przydatny.

W ósmej kolejce do Krakowa przyjechała Polonia Warszawa i po pół godzinie prowadziła 2:0. Nie trzeba było plagi kontuzji, wystarczyły urazy trzech zawodników, by kadra zespołu liczyła dziesięciu doświadczonych piłkarzy. W trakcie meczu z Czarnymi Koszulami Smuda miał na ławce rezerwowych praktycznie samych juniorów. Pozbawiony pola manewru dokonał tylko jednej zmiany – przy stanie 0:2 za ofensywnego Kelechiego Iheanacho wprowadził obrońcę Mariusza Jopa. Przez 90 minut nerwowo obgryzał paznokcie. Jego drużyna zdołała doprowadzić do remisu, by ostatecznie przegrać 2:3.

Dzień później Smuda został zmuszony do złożenia dymisji. Zaledwie po pierwszej porażce w sezonie! Był rozżalony i wściekły. „Co z tego, że zdobyłem mistrzostwo Polski. Gdybym zdobył Puchar Europy, to byłby sukces”, ironizował ze skwaszoną miną. „Polityka transferowa prowadzona przez Smudę doprowadziła do tego, że mamy obecnie w kadrze dziesięciu seniorów zdolnych do gry”, komentowali działacze.

Trenerowi wypominano transakcję, do której doszło jeszcze w trakcie poprzedniego sezonu. Do Odry Wodzisław powędrowali Paweł Adamczyk i Jacek Matyja, a drogę przeciwną przemierzyli Sławomir Paluch i Krzysztof Smoliński. Po rundzie jesiennej Odra miała na koncie ledwie dziewięć punktów i była ostatnia w tabeli. Wiosną z pomocą ligowych wyjadaczy Adamczyka i Matyi wygrała aż siedem spotkań i zdołała uniknąć degradacji. Smoliński okazał się w Krakowie zupełnie nieprzydatny.

Nie podobała się także gra Palucha. „Wyczuwałem, że zapanowała wokół mnie nieprzyjemna atmosfera – wspomina dzisiaj. – Mój organizm długo nie mógł się przyzwyczaić do ciężkich treningów ze Smudą. Po ciężkim okresie przygotowawczym mogłem biegać dowolnie długo, ale w tym samym tempie. Straciłem swoje największe atuty, czyli szybkość i przyspieszenie. Trener mówił mi, że spodziewał się po mnie więcej. Powiedziałem, że jestem po prostu zajęchany. Po pół roku mój organizm zaczął przywykać do takich treningów. Nowy sezon rozpocząłem w podstawowym składzie, ale właśnie wtedy postanowiono oddać mnie do Ruchu”.

ZŁA ZMIANA

Zwolnienie Smudy doprowadziło do rozłamu na szczytach władzy. „Wtedy po raz pierwszy pokłóciłem się z Bogdanem. Uznałem, że zwolnienie trenera to głupia decyzja, podjęta pod

wpływem impulsu”, Stanisław Ziętek denerwuje się nawet dziś. Zbigniew Koźmiński również uważa, że zwolnienie Smudy było błędem, ale wtedy gdy odebrał telefon od Cupiała, nie mógł sobie pozwolić na wątpliwości. „Zadzwoił i powiedział: »Wypierdol go«. Nie było to takie trudne. Najpierw w gabinecie sprzedałem mu kilka kitów, a potem poszliśmy już gdzieś indziej. Chciałem załagodzić sprawę za pomocą alkoholu – wspomina ze śmiechem. Smuda mógł narzekać, że zwolniono go zbyt wcześnie, ale na nic więcej. – Jego kontrakt obowiązywał jeszcze do czerwca. Wtedy spłacaliśmy wszystkich co do grosza. Prezes zawsze mówił, żeby zwolnić trenera tak, by już o nim nie słyszał, i w ten sposób to rozwiązywaliśmy”, dodaje.

Smudzie z pewnością należało się więcej czasu. W zasadzie stracił pracę przy okazji pierwszego kryzysu. Zarzucono mu dwie rzeczy. Po pierwsze – błędną politykę transferową, za którą miał, oficjalnie przynajmniej, odpowiadać. Po drugie – złe przygotowanie drużyny. „Nie zapomniałem, jak się przygotowuje drużynę do sezonu!”, pieklił się trener.

Zdaniem Kazimierza Węgrzyna coś jednak było nie tak: „Pamiętam pierwszy obóz przygotowawczy z trenerem Smudą, jeszcze przed rozpoczęciem sezonu 1998/99. W dużym stopniu pracowaliśmy nad siłą, nosiłem na plecach 98-kilogramowego Artka Sarnata, a potem, w trakcie sezonu czuliśmy się świetnie. Kolejne okresy przygotowawcze wyglądały jednak zupełnie inaczej. Trener zrezygnował z budowania siły, pracowaliśmy tylko nad wydolnością. Efekt był taki, że gdy ruszały rozgrywki ligowe, czuliśmy się przymuleni”.

Zmiana stylu pracy nastąpiła już przed rundą wiosenną 1999 roku. Zgrupowanie w Hiszpanii, próba generalna przed startem rozgrywek, mecz z drugoligowym Hérculesem Alicante. Bogusław Cupiał na trybunach. Smuda nakazał grę pressingiem i wysoką defensywą. Efekt? 0:4. „Chcieliśmy się pokazać, a mięśnie tak nas ciągnęły, jakby zaraz miały popękać. Nie mieliśmy siły biegać. Tak samo było latem, przed kolejnym sezonem i stąd wzięły się późniejsze kłopoty – tłumaczy Węgrzyn. – Lata później zapytałem trenera, czemu zmienił sposób pracy w okresie przygotowawczym, skoro poprzedni system dawał świetne efekty. Powiedział, że chciał się rozwijać, iść do przodu, że takie były najnowsze trendy. Myślę, że niepotrzebnie zmieniał coś, co działało. W pierwszym roku wszyscy czuliśmy się świetnie, w kolejnym sezonie cały zespół był po prostu źle przygotowany”.

Można kombinować i szukać przyczyn porażki, ale pewne jest jedno: ta drużyna nie potrzebowała zmiany trenera. Potrzebowała spokoju, którego nie dostała jeszcze przez długie miesiące.

ŁAPANKA

We wrześniu wiślacy udali się na badania wydolnościowe do doktora Jerzego Wielkoszyńskiego. „Usłyszałem, że drużyna potrzebuje miesiąca odpoczynku, ale nie było na to czasu. Liga, Superpuchar, Puchar Polski... Graliśmy co trzy dni. Gdyby skład był szerszy, można by było rotować składem. W ówczesnej sytuacji było to niemożliwe”, wspomina Kowalik. Rozpoczęły się rozpaczliwe próby natychmiastowego wzmocnienia zespołu.

Kowalik ściągnął z Hutnika doświadczonego Kazimierza Moskala. 32-letni piłkarz z marszu wskoczył do podstawowego składu. „Działacze, w tym pan Zbigniew Koźmiński, wyraźnie dawali mi odczuć, że jestem tylko i wyłącznie doraźnym rozwiązaniem. Miałem dostać tyle pieniędzy, co w Hutniku. Niestety tak się nie stało”, mówi. Twierdzi, że choć w klubie pojawił się w połowie września, do końca roku grał za darmo, bez kontraktu. Umowę, zresztą najniższą w zespole, dostał dopiero zimą, kiedy wiadomo już było, że wciąż ma tej drużynie wiele do zaoferowania.

Próbowano przyspieszyć dogadany już transfer Marcina Baszczyńskiego z Ruchu Chorzów. Padł nawet pomysł, by z Chorzowa odzyskać Jakuba Wierchowskiego (w klubie nie było już Smudy), ale prezes Ruchu Krystian Rogala nie był skłonny do współpracy. „Krzyknął za niego milion marek. Cupiał, gdy to usłyszał, aż zsiniał ze złości”, mówi Zbigniew Koźmiński.

Większą wyrozumiałość wykazał Marian Dziurawicz. Grzegorz Niciński wrócił z Katowic i pojechał z zespołem Wisły na zgrupowanie przed rywalizacją z Ruchem Chorzów. „Mam dwunastego zawodnika”, mówił dziennikarzom Kowalik. Dopiero dzień przed meczem okazało się, że nic z tego – przepisy transferowe były wówczas bardziej liberalne niż teraz, ale i tak uniemożliwiały piłkarzowi dwukrotną zmianę klubu w trakcie jednej rundy. W nocy do hotelu wiślaków przyjechał trener GieKSy Marek Koniarek i zabrał Nicińskiego na mecz katowiczian z Hutnikiem Kraków.

W ciągu 18 dni Kowalik poprowadził drużynę w pięciu meczach, a gdy w spotkaniu Pucharu Ligi przegrał w Warszawie z Polonią 0:3, został wezwany na dywanik.

– Jurek, możesz dać nam gwarancję, że drużyna wygra najbliższe spotkania? – usłyszał.

Pamiętając, co trzy tygodnie wcześniej powiedział mu Wielkoszyński, gwarancji nie udzielił i rozkręcona została karuzela, o której wspomniałem na początku rozdziału. Koźmiński podsumowuje: „To nie był poważny futbol. To był folklor”.

Do końca rundy jesiennej zespół w sześciu kolejkach poprowadził Marek Kusto. Na pożegnanie jesieni do Krakowa przyjechał Smuda z Legią. Remis 1:1 nie cieszył nikogo, a już z pewnością nie gospodarzy. Po spotkaniu, które obie drużyny kończyły w dziesiątkę, Cupiał uczynił wyjątek i pojawił się w szatni piłkarzy. „Z rozmowy wynikało, że w trakcie meczu opadliśmy z sił, dlatego Legia zdołała wyrównać. Prezes stwierdził lakonicznie, że w takim razie trzeba było do 40. minuty strzelić trzy bramki, a potem się bronić. Dla niego to było bardzo proste. Uważał, że skoro ma najlepszych zawodników w kraju, powinien wszystko wygrywać, bez względu na okoliczności”, wspomina Adam Piekutowski.

POLOWANIE NA CZAROWNICE

Winnych szukano nie tylko na ławce trenerskiej, ale też wśród zawodników. Po omacku. Wystarczyły dwa (!) ligowe mecze bez gola, by Tomasz Frankowski z gwiazdy zespołu stał się w oczach prezesów zdrajcą i spiskowcem winnym niemal całego zła. Jesteś – pyk! – i nagle cię nie ma. Gdy po przegranej z Górnikiem Zabrze (0:1) dowiedział się, że odsunięto go od drużyny, z budynku klubowego wybiegł ze łzami w oczach. „W żadnym poważnym klubie nie traktuje się w ten sposób zawodników”, mówił potem. Miał prawo czuć się rozgoryczony, bo decyzja była absurdalna. Ledwie cztery miesiące wcześniej wywalczył koronę króla strzelców, pomógł Wiśle zdobyć tytuł mistrzowski, a potem

podpisał klauzulę przedłużającą jego kontrakt o siedem lat. Nie mógł się spodziewać, że po pierwszym spadku formy wyląduje w rezerwach. „Po meczu z Górnikiem Zabrze jeden z podpowiadaczy prezesa Cupiała przekonał go, że mam ofertę z PSV Eindhoven i gram słabo, aby zbić cenę za transfer – mówi Frankowski. Potulnie wystąpił w czwartoligowych rezerwach, strzelił bramkę w spotkaniu z Wieczystą i pojechał do domu w Białymstoku. Gdy pierwsza drużyna grała z Zagłębiem Lubin, nie było go na trybunach. – Prezes Cupiał chciał zaprosić mnie do łóży, aby porozmawiać. Kiedy dowiedział się, że mnie nie ma, kara została wydłużona o kolejny tydzień i nie zagrałem także z Amicą Wronki. Dziś uważam, że popełniłem błąd. Powinienem być na trybunach i dopingować kolegów”.

Frankowski miał w klubie swoich zagorzałych przeciwników, którzy przekonywali Cupiała, że należy się go pozbyć. W trakcie rundy wiosennej prowadzono w tym kierunku pewne działania. „Głosy, że jestem na sprzedaż, przyjmuję z niepokojem, tym bardziej że padają z ust kierownictwa klubu”, mówił w wywiadach. Niedługo potem strzelił cztery bramki Górnikowi Zabrze (6:3) i zamknął usta wszystkim krytykom.

Nim do tego doszło, Wisła jeszcze dwukrotnie wymieniła trenerów. 19 listopada, a więc już po zakończeniu rundy jesiennej, klub poinformował, że Kusto zostaje na stanowisku. Jednak miesiąc później do klubu powrócił Wojciech Łazarek, tym razem w charakterze dyrektora sportowego. Przetestowano niezliczoną liczbę zawodników, w końcu w lutym drużyna pojechała na zgrupowanie do Włoch. Tam doszło do przewrotu. „Gdy tylko Wojtek poczuł trawę, wiedziałem, że nie odpuści”, śmieje się Ziętek.

HALO, ANTEK, CZY MNIE SŁYSZYSZ?!

Małomówny i zamknięty w sobie Kusto nie był lubiany przez Cupiała. Za to Łazarek – wprost przeciwnie. Swoimi dykteryjkami owinął sobie właściciela i jego ludzi wokół palca. Gdy drużyna przegrała z białoruskim FK Homel 1:5, na drugi dzień był już we Włoszech. W ślad za nim przybyli Stanisław Ziętek, Zdzisław Kapka, Zbigniew Koźmiński i świeżo zatrudniony Bogdan Basałaj. Karty rzucono na stół, stawki poszły w górę, najslabsi gracze szybko zaczęli odpadać. „Kusto oficjalnie był jeszcze trenerem, ale w trakcie sparingów zespołem *de facto* kierował już Łazarek”, mówi Ziętek. Łazarek miał tupet: „Postanowiłem poświęcić więcej uwagi pierwszej drużynie, ale żadnych przetasowań nie ma”, uspokajał dziennikarzy. Tymczasem za kulisami rozgrywał skomplikowaną partię.

„Nim Kusto zdążył dojść z hotelu na boisko, Łazarek już tam był. Stał i komentował: »Co oni robią, jak oni trenują?«”, wspomina Artur Sarnat. W trakcie jednego z treningów Baryła podszedł do asystenta Kusty Adama Nawałki. Przekazał jakąś uwagę, a gdy dotarła ona do Kusty, ten zdenerwowany natychmiast zakończył trening i odesłał wszystkich piłkarzy do hotelu.

Nim zgrupowanie we Włoszech dobiegło końca, zapadła decyzja o zmianie trenera. Zbigniew Koźmiński poprosił o pomoc swego syna Marka, a ten zaproponował Włocha Rolando Marana. „Szybko doszliśmy z nim do porozumienia, ale nie mogliśmy sfinalizować umowy. Cupiał przebywał w Stanach czy w Kanadzie i nie było z nim kontaktu”, mówi Ziętek. Maran był wówczas początkującym trenerem, zajmował się grupami młodzieżowymi w Brescii, a więc w klubie, w którym grał wówczas młody

Koźmiński. Kolejne lata pokazały, że był niezłym materiałem na szkoleniowca. W sezonie 2012/13 z Catanią zajął historyczne dla tego klubu ósme miejsce w rozgrywkach Serie A. W sezonie 2014/15 prowadził Chievo.

Plan zatrudnienia trenera z Włoch skutecznie torpedował Łazarek.

– Nie, nie i jeszcze raz nie. Facet nie zna języka, nie zna realiów. Musimy mieć trenera krajowego – powtarzał, kręcąc głową.

Oficjalnie wciąż był dyrektorem sportowym, więc zaproponował Antoniego Piechniczka. „Wydzwaniał do niego do Tunezji. Dopiero po latach dowiedziałem się, że tylko udawał. Antek powiedział mi, że nie było żadnych telefonów z Wisły. Po prostu Wojtek przykładał telefon do ucha i coś tam gadał”, wspomina Koźmiński. W ten sposób Łazarek wyciął w pień wszelką konkurencję, w końcu zaproponował samego siebie i pod koniec zgrupowania triumfalnie wskoczył w dres trenerski.

„Na boisko wjechał meleks, z którego wysypały się sztangi, ciężary i płotki. Na zakończenie obozu, gdy treningi powinny być już lżejsze i należało zebrać plon wcześniejszej pracy, trener Łazarek spuścił nam sromotny wpierdol. Ciężko było się później odkręcić. Robiliśmy też jakieś całkowicie absurdalne ćwiczenia, jak prowadzenie piłki głową”, wspomina Kamil Kosowski. Oprócz tego podczas pierwszego treningu Łazarek wyrzucił z zajęć Brasię, bo ten, zdaje się, już całkowicie się w tym wszystkim pogubił.

Kusto i Nawałka nie zamierzali wzniecać buntu. Obaj nie mieli wiele do gadania i zgodnie przyjęli rolę asystentów Łazarka. „Nawałce nie zależało na Kuście. Wolał pracować z Łazarkiem i był zadowolony z tej zmiany”, mówi Kosowski. „Zespół kiepsko odebrał tę całą sytuację. Ja osobiście czułem się źle, patrząc na Marka Kusto. To było chore rozwiązanie. Widzieliśmy, że po tej porażce z Homel maszyna poszła w ruch”, dodaje Moskal. „To był dla Kusty cios poniżej pasa, i to z buta”, podsumowuje Kaliciak.

W kwestii transferów próbowano otwierać się na rynki zagraniczne, jednak starania o Tomasa Iwana czy Sabina Ilie (brata Adriana) były bezsensowne, bo klubu nie stać było na żadnego z nich. Sabin oficjalnie był piłkarzem Valenci, ale nie rozegrał w jej barwach żadnego meczu. Rok po roku wypożyczano go do kolejnych klubów. Okazał się znacznie słabszy od brata. W trakcie kariery zwiedził ponad 20 klubów, balował, trwonił pieniądze, a gdy zawiesił buty na kołku, popadł w poważne tarapaty finansowe.

Sfinalizowano przygotowywany od dawna transfer Arkadiusza Głowackiego, a z Górnika ściągnięto Grzegorza Lekkiego. Był to pierwszy transfer czasowy. „Wisła chciała podpisać ze mną kilkuletni kontrakt, ale mój ówczesny menedżer Karol Glomb powiedział, żebym zgodził się jedynie na wypożyczenie, a on po zakończeniu sezonu znajdzie mi klub w Niemczech – mówi Lekki. – Nic takiego się nie stało i potem mogłem tylko żałować, bo po kilkumiesięcznym pobycie w Krakowie wróciłem do Zabrze. W Górniku to była finansowa katastrofa, grało się w zamian za uścisk dłoni prezesa”.

WYGRASZ SIÓDEMECZKĄ?

Na stanowisku, o które walczył jak lew, Łazarek nie wytrwał nawet do Wielkanocy. Po remisie 1:1 z Petro w Płocku zaczął szukać winnych. Padło na Grzegorza Kaliciaka. „Trener powiedział, że nie angażowałem się wystarczająco w grę i nawet nie pobrudziłem

sobie spodenek – wspomina. – Znalazłem potem zdjęcie z tego meczu i wiem, że było inaczej. Zresztą nie wyobrażam sobie, bym mógł wyjść na boisko po to, by grać na pół gwizdka”. Mimo to na kilka tygodni wyłądował w drużynie rezerwowej.

Choć Łazarek wrócił na stanowisko trenera Wisły po ledwie dwóch latach przerwy, drużyna była już mocno zmieniona. Piłkarze nowego pokolenia patrzyli na niego jak na kogoś z innej bajki. „To starszy człowiek i należy mu się szacunek, ale jako trener nie przedstawiał już wówczas żadnej wartości. Wtedy w Wiśle dostał po prostu zawodników zbyt dobrych na swoje trenerskie umiejętności”, mówi Kosowski. Z kolei Lekki wspomina: „Nie potrafił taktycznie ułożyć zespołu. Na odprawach rzucał jakieś hasła sprzed dziesięciu lat, miał jakiś pomysł na grę, ale sam nie bardzo wiedział, jak go wdrożyć. Czułem się jak w Górniku za Antoniego Piechniczka. Na zakończenie okresu przygotowawczego mówił nam, że przerzuciliśmy 1200 ton żelaza. Na co mi taka informacja? To fajni ludzie, zasłużeni dla polskiego futbolu, ale w pewnym momencie stanęli w miejscu i świat im uciekł”.

Taktykę ustalali piłkarze.

– Dobra, gramy swoje, nie będziemy przecież słuchać Łazara – padało przed meczem i tak też się działo. Nie mogło wynikać z tego nic dobrego.

Łazarek poległ w Radzionkowie, a pracę stracił już w przerwie. Kilka dni przed wyjazdem do Radzionkowa towarzystwo spotkało się na małą wódeczkę, by uczcić imieniny Zbigniewa Koźmińskiego, który pamięta, że po kilku toastach Cupiał wziął Łazarka w obroty:

– Wojtuś, a wygrasz dla mnie siódemeczką?

– Wygram!

– Wojtuś, a wpuścisz mi na boisko trzech napastniczków?

– Wpuszczę, dla ciebie wszystko!

Wpuścił trzech napastniczków, za to zapomniał o defensywie. Choć po pierwszych 45 minutach Wisła przegrywała tylko 0:1, a prawdziwy koszmar zaczął się dopiero w drugiej odsłonie meczu, Adam Nawałka już w przerwie odebrał telefon. Był akurat w Szczecinie, analizował grę Pogoni, która miała być rywalem krakowian dwie kolejki później.

– Jesteś trenerem, wracaj do Krakowa – usłyszał.

Według popularnej teorii Cupiał dostał białej gorączki, gdy w trakcie meczu (Ruch już prowadził) kamery telewizyjne pokazały Łazarka, a ten krzyknął w kierunku piłkarzy:

– Przechodzimy do zadań defensywnych!

Tak słabo grającej swojej drużyny Cupiał jeszcze nie widział. W drugiej połowie wiślacy stracili trzy bramki, ale czy mogło być inaczej, skoro defensywa składała się z Kazimierza Węgrzyna, Marka Zająca i Kamila Kosowskiego? Przecież tylko jeden z nich to klasyczny obrońca, drugi to były pomocnik, a trzeci typowy skrzydłowy (Kosie zdarzało się grać w defensywie, jednak tylko w systemie z czterema obrońcami). Gdy w doliczonym czasie gry Józef Żymańczyk posłał piłkę między nogami Radosława Kałużnego, a sekundy później ustalił wynik spotkania na 4:1, w Krakowie ogłoszono żałobę.

– Grali, jakby nażarli się surowego mięsa – komplementował rywali Łazarek zaraz po meczu. Nie wiedział jeszcze, że Nawałka już jedzie do Krakowa.

„Nie mam pojęcia, jakim cudem, mimo tylu bzdurnych decyzji, wywalczyliśmy w tym sezonie wicemistrzostwo. Chyba tylko dlatego, że w trakcie zgrupowania we Włoszech odwiedziliśmy papieża”, mówi Ziętek.

Wy tłumaczenie jest jednak inne. Sezon, nie po raz ostatni zresztą, uratował Adam Nawałka. Dla piłkarzy była to miła odmiana. „Łazarz nawet dzień przed meczem potrafił zaserwować nam bardzo ciężki trening i byliśmy zupełnie wypompowani – mówi Lekki. – U Nawałki treningi trwały maksymalnie 75 minut, ale mobilizował piłkarzy spoza pierwszej jedenastki, by zostawali po zajęciach i podciągali się w swoich słabych stronach. Robił odprawy taktyczne, wideoanalizę gry przeciwnika, co wówczas było zupełną nowością. Postawił na grę czwórką obrońców, boki hulały, zaczęliśmy grać jak zgrana orkiestra dęta”.

Nawałka przejął drużynę na czwartym miejscu, z siedmioma punktami straty do mocnej Polonii. Dariusz Wdowczyk do spółki z Jerzym Engelem z boiskowych rzeźmieszków zmontowali zgraną ekipę, zwieńczoną na szczycie niezwykle szybkim Olisadebe. „Wchodził w naszą obronę jak miś Yogi do miodku. Po prostu był dla nas za szybki”, mówi Kazimierz Węgrzyn. W kwietniu obie drużyny spotkały się w Warszawie. Dla Wisły była to praktycznie ostatnia okazja, by powrócić do walki o zachowanie tytułu mistrzowskiego. Krakowianie w 36. minucie wyszli na prowadzenie, potem mieli jeszcze całe mnóstwo okazji, by je podwyższyć – Radosław Kałużny ostemplował słupek, a Olgierd Moskalewicz poprzeczkę. Niestety w 87. minucie gospodarze doprowadzili do wyrównania.

Z tylko sobie znanych powodów sędzia Ryszard Wójcik doliczył aż osiem minut Polonia koniecznie chciała wygrać. „Jeszcze wtedy mieliśmy swoje okazje. Mogliśmy zrobić z nimi wszystko”, wspomina Lekki. Nie dokonali jednak już nic więcej, za to w 98. minucie decydującego gola strzelił Tomasz Kielbowicz. Prokuratura nigdy nie zajęła się tym meczem, ale wydaje się, że odpowiednie instytucje nie miałyby problemu z udowodnieniem, że coś tu było mocno nie tak...

Polonii nie udało się wyprzedzić, ale Legię i Ruch owszem. Za kadencji Nawałki drużyna wygrała siedem z jedenastu ligowych spotkań i wicemistrzostwo stało się faktem. W Myślenicach przyjęto to jako porażkę, zresztą Nawałka od początku był uznawany za rozwiązanie tymczasowe i po sezonie zespół trafił w ręce Oresta Lenczyka. Nawałka, choć miał ofertę z Ruchu Chorzów, został w klubie, by wrócić do pracy z młodzieżą. Wkrótce zresztą otrzymał kolejną szansę pracy z pierwszym zespołem.

SPRZEDANY FINAŁ?

Na zakończenie sezonu Wisła stanęła przed szansą, by po raz pierwszy od 1967 roku sięgnąć po Puchar Polski. W finale czekała Amica Wronki, która rok wcześniej ustawiła finałowe spotkanie z Aluminium Konin (5:3). Takie były przypuszczenia obserwatorów, potwierdzone później w zeznaniach napastnika wronieckiego klubu Pawła Kryszalowicza. Wokół finału w 2000 roku również narosło sporo kontrowersji. W Krakowie padł remis 2:2, w spotkaniu rewanżowym we Wronkach Amica zwyciężyła 3:0, zaraz potem do szatni wpadł prezes Bogdan Basałaj:

– Jak wy możecie tak grać?! – krzyczał.

Wkrótce pojawiły się podejrzenia, że mecz został sprzedany. „Byłem we Włoszech na wczasach z Bogdanem Zającem i Krzyśkiem Bukalskim. Dowiedziałem się od nich o podejrzeniach, wedle których sprzedaliśmy mecz, a ja byłem głównym podejrzanym – mówi Kazimierz Węgrzyn. – Nic takiego nie miało miejsca. W Wiśle mieliśmy świetne pieniądze. W całym sezonie nie prezentowaliśmy się dobrze fizycznie i to dlatego przegraliśmy ten finał”.

Za to po sezonie to on został sprzedany. „Do dziś nie wiem, dlaczego tak się stało – opowiada. – Być może miały na to wpływ te oskarżenia. Bogusław Cupiał nie lubił niejasnych sytuacji... Nie chciałem odchodzić, ale dostałem telefon od Janusza Wójcika, który kompletował skład Pogoni Szczecin i tak to wszystko się poukładało, że odszedłem”. Na miejsce Węgrzyna szykowano Marcina Baszczyńskiego, dlatego doświadczonemu zawodnikowi zasugerowano, że jest już za stary. Odszedł i z powodzeniem grał w lidze jeszcze przez pięć lat.

TRANSFER KOLACYJNY

Idealnym dopełnieniem tego pełnego absurdów sezonu był pewien transfer. Rozpoczynał się okres przygotowawczy przed rundą wiosenną, trenerem był jeszcze, przynajmniej oficjalnie, Kusto. W pewnym momencie do pokoju trenerów zajrzał jakiś młody człowiek.

– Dzień dobry, chciałem spytać, o której jest trening...

– A kim pan jest i po co panu taka informacja?

– No bo ja jestem nowym piłkarzem, kontrakt podpisałem.

Okazało się, że tajemniczym gościem jest Tomasz Owczarek. Zaskoczenie było ogromne, bo w sztabie szkoleniowym nikt o tym transferze nie słyszał. Po sprawdzeniu dokumentów okazało się, że Owczarek faktycznie jest piłkarzem Wisły, problem polegał na tym, że żaden trener – ani Kusto, ani Łazarek, czy potem Nawalka – nigdy nie widział go w składzie. „Byłem bardzo zaskoczony, że on jest w drużynie. Znałem go z juniorskiej reprezentacji Polski i w ogóle mi się nie podobał. Może prezes Cupiał lubi psy?”, śmieje się Andrzej Iwan.

Skąd więc Owczarek wziął się w Wisłę? „Do transferu doszło podczas kolacji Cupiała ze świętej pamięci Marianem Dziurowiczem. To była jakaś transakcja wiązana, niemniej Bogdan zapłacił za niego 400 tysięcy złotych. Można powiedzieć, że był to transfer przeprowadzony w warunkach kolacyjnych”, tłumaczy Koźmiński.

Owczarek kontrakt podpisał w grudniu. Przebywał akurat na zgrupowaniu z GKS-em Katowice, gdy podszedł do niego Marian Dziurowicz:

– Chcesz grać w Wisłę?

– W Wisłę?

– No, w Wisłę. Kraków.

– No... Chciałbym.

– To zbieraj manatki, jedziemy.

Zapakowano go do samochodu i zawieziono na stadion Wisły. Tam wręczono mu przygotowany kontrakt i zamknięto go w klubowej kawiarence. Wszystko działało się szybko jak w filmie gangsterskim. „Trwała przerwa zimowa, więc stadion był opustoszały.

Siedziałem zamknięty, wertowałem kontrakt, ale niewiele z tego rozumiałem”, wspomina.

Zadzwoił do domu:

- Słuchajcie, jestem w Wiśle Kraków.
- Jak to w Wiśle?
- No w Wiśle. Mam przed sobą kontrakt.

„Przeczytałem rodzicom treść umowy. Nikt nic z tego nie rozumiał”, wspomina Owczarek.

W końcu do kawiarenki wszedł Zbigniew Koźmiński:

- To jak, podpisujemy?
- Podpisujemy.

Z chwilą złożenia podpisu stracił trzy lata gry w piłkę.

Jeszcze przed startem rundy wiosennej spisano 19-letniego piłkarza na straty. Próbowano wypożyczyć go do GKS-u Katowice, potem do Korony Kielce, ale ta właśnie straciła sponsora i staczała się do trzeciej ligi. „Postanowiłem, że zostanę w klubie. Wylądowałem w rezerwach, a wkrótce znalazłem się w jeszcze trudniejszej sytuacji – wspomina. Klub przestał wypłacać mu lwią część kontraktu. – Choć w umowie miałem zapisane cztery tysiące złotych netto, dostawałem tylko 550 złotych miesięcznie, czyli tyle, ile wynikało z umowy o pracę. Złożyłem wniosek do PZPN-u, sprawę niby wygrałem, ale bez orzeczenia o winie klubu. Chcąc odzyskać należne mi pieniądze, musiałbym wnieść kasację od wyroku, a ja nie chciałem już się w to pchać. Marzyłem tylko, by wrócić na boisko”.

Przez trzy lata nie zagrał w żadnym klubie. Gdy toczyło się jeszcze postępowanie PZPN-u, nie mógł podpisać nowego kontraktu. Wreszcie latem 2003 roku wrócił do GKS-u Katowice i szybko, szybciej, niż się spodziewał, otrzymał od losu szansę na prywatny rewanż, chociaż na osobie, która w minimalnym stopniu odpowiadała za jego kłopoty. „W Pucharze Polski trafiliśmy na Arkę Gdynia. Wygraliśmy 1:0, ja strzeliłem jedyną bramkę, awansowaliśmy dalej, a po meczu trener gdynian stracił pracę. Był nim Marek Kusto... Życie zawsze oddaje”, mówi.

Prywatnej zemsty nie doczekał Sławomir Paluch. Miesiąc po odejściu z Krakowa grał w barwach Ruchu przeciwko Wiśle. W końcówce miał sytuację bramkową, ale źle trafił w piłkę, przed linią zdołał dogonić ją Kazimierz Węgrzyn i mecz skończył się remisem 1:1. W Ruchu grał jeszcze przez trzy sezony, a w wieku 27 lat musiał zakończyć karierę. „Pierwszy raz więzadła krzyżowe zerwałem, gdy miałem 17 lat. W 2002 roku okazało się, że nie będę już mógł grać. Przez półtora roku bezskutecznie próbowałem odzyskać sprawność. Nie widziałem żadnych efektów, więc musiałem podjąć trudną decyzję o zakończeniu kariery”, opisuje.

„Nie zostawimy Sławka na lodzie”, ogłosił w prasie ówczesny prezes Ruchu Krystian Rogala. A jak było naprawdę? „Dokładnie na odwrót. Tomek Hajto i Tomek Wałdoch pomogli mi załatwić operację w Niemczech. Z Ruchu dostałem pismo w języku niemieckim, w którym klub zobowiązał się do pokrycia wszelkich kosztów. Efekt tego był taki, że jeszcze półtora roku po operacji otrzymywałem z Niemiec pisma wzywające do zapłaty. Gdy wysłałem im to pismo z Ruchu, przestali się odzywać, ale do dziś nie wiem, czy odzyskali pieniądze. Jadąc na operację, nie miałem nawet na podróż i nocleg. Rogala

zapewniał mnie, że zaraz puści przelew. Powtarzał: »Masz to jak w banku«. I oczywiście nic nie zrobił”, mówi Paluch. Tak więc, mimo obietnic, został na lodzie. Niezdolny do uprawiania sportu, szukał jakiegokolwiek pracy. „Rogała? Gość, który wpędził Ruch w wielomilionowe długi, nie poniósł z tego tytułu żadnych konsekwencji, a przecież wiele ludzi miało przez niego kłopoty w życiu. Takie osoby jak on powinny mieć zakaz działalności w piłce”, ocenia.

Sezon 1999/2000 był koszmarem: dla piłkarzy, dla trenerów, dla kibiców, którzy mogli się w tym wszystkim pogubić. W ten sposób Cupiał i jego ludzie uczyli się futbolu na żywym organizmie. Taka nauka jest bardzo wartościowa, ale zazwyczaj źle się kończy dla tegoż organizmu.

10. ZŁOTA PIĄTKA

Jesienią 1999 roku, po chwilowym zastoju, Wisła przystąpiła do ponownej ofensywy transferowej. Celem byli piłkarze wciąż jeszcze młodzi, ale tacy, którzy już zaistnieli w dorosłej piłce. Systematycznie wyciągano z innych klubów najbardziej utalentowanych i najbardziej obiecujących zawodników. W przeciągu roku pod Wawel trafiło pięciu ludzi, którzy potem przez lata stanowili o sile zespołu i regularnie grali w reprezentacji Polski. I choć za każdego z nich trzeba było sporo zapłacić, bo gdy dzwoniono z Krakowa, ceny szły w górę, nikt potem nie żałował ani złotówki. Trafiono prawdziwych oryginałów, którzy potrafili grać, potrafili się bawić i zawsze mieli coś ciekawego do powiedzenia.

Jeszcze przed rozpoczęciem sezonu 1999/2000 dogadano transfer Marcina Baszczyńskiego z Ruchu Chorzów, jednak w umowie między klubami ustalono, że do Wisły trafi dopiero za rok. W trakcie rundy jesiennej do Krakowa sprowadzono Kamila Kosowskiego i Macieja Żurawskiego, zimą – Arkadiusza Głowackiego, a rok później pod Wawelem zameldował się Mirosław Szymkowiak. Niewiele brakowało, a w tym okresie do Wisły trafiłby również... 18-letni wówczas Milan Baroš z Baníka Ostrawa, ale ostatecznie zakończyło się na obserwacjach. Dwa lata później trafił do Liverpoolu, a potem został królem strzelców Euro 2004.

DZIEWIĄTKA

Kosa i Żuraw zjawili się w Wiśle niemal w tym samym momencie. Obaj zadebiutowali w spotkaniu z ŁKS-em (1:0), na zgrupowaniu zamieszkali w jednym pokoju i od razu stali się dobrymi kumplami. „Natychmiast złapaliśmy wspólny język. Tylko w łowienie ryb mnie nie wkrecił. Owszem, kilka razy pojechałem z chłopakami nad jezioro, ale nie miałem swojej wędki. Odpoczywałem i leniwie wpatrywałem się w spławiki wędek kolegów”, wspomina Żurawski.

Jego pasja wiązała się z dwoma kołami, ryczącym silnikiem i wielkimi prędkościami. Miłością do motocykli zaraził go starszy brat Adam. Po głośnym wypadku Marka Saganowskiego, który w kwietniu 1998 roku, jadąc motocyklem 150 kilometrów na godzinę, zderzył się z mercedesem i cudem uniknął śmierci, kluby zaczęły baczniej przyglądać się temu, co piłkarze robią w wolnym czasie, jednak nie mogły upilnować każdego. Zgodnie z kontraktem sporządzonym według wzoru PZPN-u piłkarz nie mógł uprawiać sportów motorowych. Tylko czy przemieszczanie się motocyklem z miejsca na miejsce można uznać za sport wyczynowy? Raczej nie. Tak samo wytłumaczył to sobie Żurawski, który od czasu do czasu wsiadał na motocykl, by pojeździć po Krakowie lub skoczyć do Poznania. „Aby jednak mieć pewność, że nikt mnie nie rozpozna, już w podziemnym garażu ubierałem pełen strój, łącznie z kaskiem, i tak wyjeżdżałem na ulicę. Raz ktoś z bloku naprzeciwko zrobił mi kilka zdjęć. Wrzucił je do internetu, próbując wywołać aferę, na zasadzie: »Patrzcie, Żuraw mimo zakazu jeździ na motorze«, ale jakoś

nikt się tym nie przejął. Poza tym ze zdjęć nie wynikało, że to na pewno ja”, wspomina ze śmiechem.

Na motocyklu rozładowywał stres, a miał go, szczególnie na początku przygody z Wisłą, co niemiara. „Ciężka mi ta kwota. Dwa miliony marek – to zwałało z nóg. Wiedziałem, że jestem najdroższym piłkarzem w lidze i rozumiałem, jakie oczekiwania się z tym wiążą”, mówi. Orest Lenczyk dał mu kilka szans w ataku, ale gdy zawodził i częściej marnował, niż wykorzystywał nadarżające się okazje, był przerzucany na inne pozycje. Grał raz na prawym, raz na lewym skrzydle. „W końcu zaczęły pojawiać się pomysły, by mnie oddać, wypożyczyć albo wymienić na innego piłkarza”, wspomina. Plan wymiany Żurawia na Mariusza Śrutwę, który w tym samym czasie nie potrafił poradzić sobie w Legii Warszawa, nigdy nie wyszedł poza fazę wstępnych rozmów.

Tuż zanim trafił do Wisły, strzelił jej dwie bramki. Transfer był już dogadany, Lech Poznań i Wisła ustaliły, że przeniesie się do Krakowa, gdy Lech odpadnie z pucharów. Pech chciał jednak, że wcześniej grał z Wisłą i zwyciężył 4:1. Krakowianie byli akurat w rozsypce, a Żuraw na fali wznoszącej. Nowi koledzy z drużyny długo jeszcze, dla żartu, wypominali mu ten wynik. Zgodnie z ówczesnym systemem premiowania za porażkę w Poznaniu stracili jedną premię za zwycięstwo – 200 tysięcy złotych.

Szybko odczuł na własnej skórze, jak działa kontrowersyjny system premiowania. Gdy został piłkarzem Wisły, drużyna nie wygrała w lidze od trzech kolejek, poniosła dwie porażki, więc dwie najbliższe premie były anulowane. W debiucie Kosa i Żuraw pomogli drużynie wygrać 1:0 z ŁKS-em Łódź, ale potem przyszła porażka z Górnikiem Zabrze i widmo premii za zwycięstwo znów się oddaliło. Zespół grał w kratkę, tak więc Kosowski z Żurawskim na pierwszą premię za zwycięstwo musieli czekać blisko sześć miesięcy – do marca 2000 roku, gdy pokonali Widzew 3:1.

W Wiśle Żuraw początkowo cierpiał. Głowę zaczął podnosić dopiero wtedy, gdy Lenczyka zastąpił Adam Nawałka. Stał się jednym z ulubieńców nowego trenera.

– Macios, dajesz! – pokrzykiwał co rusz szkoleniowiec.

Do lotu Żuraw wzbiał się u Franciszka Smudy, w sezonie 2001/02. W wyjazdowym spotkaniu z GKS-em Katowice (5:1) potrzebował zaledwie 31 minut, by zdobyć pięć bramek. Być może strzeliłby więcej, gdyby na kwadrans przed końcem trener nie zdjął go z boiska. „Śmialiśmy się potem z kolegami, że zrobił to specjalnie, bym przypadkiem nie pobił rekordu Kazimierza Kmiecika”, mówi Żurawski. Rekordu Kmiecika (pięć goli z Lechem Poznań w sezonie 1975/76) już nie pobił, ale od tego momentu strzelał seriami – z dystansu, z bliska, nogą prawą, nogą lewą, z woleja, z przytupem albo byle jak, z rzutów wolnych i karnych...

Pełnia jego talentu rozkwitła, gdy trenerem został Henryk Kasperczak. „Jego przyjście to było najlepsze, co mogło mi się przytrafić. Trener dał mi na boisku pełną swobodę – mówi Żurawski. W ciągu czterech sezonów zdobył dla Wisły 124 bramki. – Gdy rozpoczynał się mecz, po prostu wiedziałem, że strzelę bramkę. Nie było to nerwowe wyczekiwanie, na zasadzie: »Kiedy wreszcie będzie ta okazja?«. Pełen spokój. Drużyna działała jak automat, wszyscy czuliśmy całkowitą pewność siebie. Porażki nie brałyśmy pod uwagę”, przekonuje. Jego firmowym zagranem było zejście do środka, nawinięcie

środkowych obrońców i strzał z linii pola karnego. Rozmontowywał w ten sposób defensywy od Radzionkowa po Rzym.

PIĄTKA

Kamil Kosowski, czyli element chaosu – na boisku i poza nim. Potrafił świetnie korzystać ze swoich długich nóg – po skrzydle biegał tak szybko, aż zakrzywił mu się nos. Świetna prawa noga, równie dobra lewa. Dośrodkowanie, szybkość, strzał, ułańskie szarże, ułańska fantazja – bez chwili zawahania ruszyłby z szabelką na czołgi. Zawsze był gotów do podejmowania ryzyka.

Oferta Wisły zastała go na gigantycznym kacu. O 8.00 rano zadzwonił do niego prezes Górnika Stanisław Płoskoń. Nie była to miła pobudka. Kamil właśnie przebywał w Warszawie na zgrupowaniu reprezentacji młodzieżowej. Dzień wcześniej ruszył w miasto, położył się, a raczej padł do łóżka dopiero nad ranem. Pamięta, że w słuchawce usłyszał głos Płoskonia:

– Idziesz do Wisły?

– Ale jak? O co chodzi? Prezesie, jest 8.00 rano – mamrotał na wpół śpiący jeszcze Kosowski.

– Kurwa! – wybuchnął Płoskoń. – Albo idziesz do Wisły, albo nie pójdziesz nigdzie!

– Dobra, dobra, pójdę do Wisły – odpowiedział piłkarz, zakończył połączenie i natychmiast znów zapadł w sen.

Po zakończeniu zgrupowania Kosowski przyjechał do Krakowa i bez najmniejszych negocjacji podpisał umowę, na którą niedługo później wielokrotnie narzekał.

Płoskoń był zdeterminowany, by transakcja doszła do skutku, bo wcześniej porozumiały się kluby. „To było wkrótce po zwolnieniu Smudy. Musieliśmy szybko wzmocnić drużynę. Pojechaliśmy z Bogdanem do Zabrza po Marcina Kuźbę, a wróciliśmy z Kosowskim i Grzegorzem Lekkim”, wspomina Stanisław Ziętek. Na jeden z ostatnich etapów negocjacji na Śląsk wybrał się Bogusław Cupiał. Jak pamięta Zbigniew Koźmiński, gdy wrócił do Krakowa, z dumą pochwalił się swoim współpracownikom, że udało mu się zbić cenę – z dwóch milionów marek do 1,8 miliona. „Bardzo był z siebie zadowolony, ale trudno to nazwać promocją. Górnik był w poważnych tarapatkach finansowych i zapewne sprzedaliby Kosowskiego nawet za połowę tej kwoty”, ocenia Koźmiński. Kosowski mówi z kolei: „Sam nie wiem, jak to do końca było. Słyszałem, że Wisła najpierw chciała pozyskać Jacka Krzynówka”.

Jeszcze przed startem rundy wiosennej Marka Kusto zastąpił Wojciech Łazarek.

– Synuś, słyszałem, że lubisz sobie przypierdolić? – zapytał Kosę, uderzając się wymownie dłonią w szyję.

– Kto panu naopowiadał takich farmazonów? – piłkarz nie dawał zbić się z tropu.

– Spokojnie, jesteśmy jak koledzy. Możesz mi powiedzieć. Tak czy nie?

Kosowski do dziś nie wie, o co wtedy chodziło. „Może chciał się ze mną napić, albo po prostu coś na mnie znaleźć i mnie skasować. Na wszelki wypadek zaprzeczyłem”.

Wsiąkł w Kraków, albo inaczej – nasiąkł nim jak gąbka. „W Krakowie był alkohol, były dyskoteki. Prawie codziennie. Rzadko zdarzało się, bym wracał trzeźwy do domu”, mówił w 2004 roku w odważnym wywiadzie dla magazynu „Viva”. Gdy rozgrywał trzeci

mecz w barwach Wisły, przeciwko Górnikowi, ledwie trzymał się na nogach. Trener Marek Kusto zdjął go w przerwie. „W tygodniu przyłożyłem zbyt mocno. Nie powinienem wtedy w ogóle wychodzić na boisko”, wspomina.

Potrafił się ustawić – gdy wracał nad ranem do domu, młodszy piłkarze przywozili mu ciepłe bułeczki wprost z piekarni. „On dobry aparat był już wcześniej, za czasów gry w Zabrze. Dobrali się z Marcinem Kuźbą – wspomina ze śmiechem Grzegorz Lekki, który grał z Kosą w Górniku i przez pół roku w Wiśle. – 17-letni Kamil przychodził do mnie i prosił, byśmy zabrali go na imprezę. Trener Jan Żurek dobrze wiedział, co się święci. Gdy zbliżał się ważny mecz, prosił, bym pilnował Kamila i Marcina, żeby nigdzie się nie szwendali”. Żurek dawał piłkarzom życie. Wiedział, że po meczu większość szła na miasto, więc na drugi dzień rano serwował im odnowę na basenie. Przychodził, rzucał okiem na przepite twarze i mówił:

– Kiero! Rzuć im kapoki, bo się zaraz potopią.

„W Wiśle Kamil przechodził trudny okres. Miał kłopoty w domu i nie czuł się z tym dobrze”, mówi Maciej Szczęsny. Kosowski był wówczas u progu procesu rozwodowego, który ciągnął się latami.

Z Żurawiem świetnie rozumiał się także poza boiskiem. Mieli pewien rytuał. Dzień przed meczem, gdy drużyna była na zgrupowaniu, przed snem wypijali niewielką ilość alkoholu, a precyzyjniej rzecz ujmując – odrobinę absoluta ze *sprite*'em. Pewnego razu, gdy trenerem był już Henryk Kasperczak, obaj mieli nie grać, więc wypili nieco więcej niż zwykle. Rano trener zmienił jednak zdanie i posłał obu na boisko. Gdy przypomniałem o tym Kosowskiemu, ten tylko się uśmiechnął: „I jaki był efekt? Ile w tym meczu miałem asyst przy bramkach Maćka? W każdej plotce jest trochę prawdy. Skoro szło dobrze, to nie chcieliśmy zaburzać rytmu”.

Absolut ze *sprite*'em sprawił, że do skutku nie doszły jego przenosiny z Kaiserslautern do Benfiki Lizbona. Tak przynajmniej słyszał. „Transfer był praktycznie dogadany. Dzień wcześniej udzieliłem wywiadu. Mateusz Borek zapytał mnie, czy lubię portugalskie wino. Odpowiedziałem, że wolę wódkę ze *sprite*'em. Ktoś podobno przetłumaczył ten wywiad Giovanniemu Trapattoniemu i transfer padł”, przekonuje.

Do Wisły wracał dwukrotnie, za drugim razem w 2013 roku, by w Krakowie zakończyć karierę. Miał 35 lat, a wciąż biegał najszybciej.

SZÓSTKA

Od ekscesów z dala trzymał się Arkadiusz Głowacki. W styczniu 2000 roku wreszcie sfinalizowano długie rozmowy z Lechem. Ze złotego zaciągu to on grał w Wiśle najdłużej. Zresztą opuścił ją tylko na dwa sezony, by pograć chwilę w Trabzonsporze. Gdy wrócił do Krakowa, prezentował się równie dobrze, jeśli nie lepiej. Z Wisłą zdobył sześć tytułów mistrzowskich, dwukrotnie przedłużał kontrakt. Przez wiele lat był charyzmatycznym kapitanem. Grając w Krakowie, z cichego, skromnego, szczuplutkiego chłopca przemienił się w boiskowego gladiatora.

Jego debiut w zespole Wisły był symptomatyczny. W meczu z Odrą Wodzisław to on ostatni dotknął piłki, gdy rywale strzelali gola (został zapisany grającemu wówczas w Odrze Łukaszowi Sosinowi), a potem doznał kontuzji i musiał opuścić boisko. Tego typu

historie – urazy, samobójcze gole, czerwone kartki w ważnych meczach – ciągnęły się za nim całymi latami. To były bolesne lekcje, ale wyciągnięte wnioski sprawiły, że u kresu kariery stał się obrońcą niemal kompletnym.

Gdy dziś spojrzy się na jego znaczoną bliznami twarz, można dostrzec ślady wielu ważnych momentów polskiej piłki przełomu wieków. Największą bliznę ma po zderzeniu z Michałem Stasiakiem z Zagłębia Lubin – to pamiątka po mistrzostwie Polski w roku 2008. Szrama nad prawym okiem jest efektem starcia ze Stanko Svitlicą w drodze po tytuł w sezonie 2002/03. Kilka szwów przybyło, gdy Wisła sięgała po mistrzostwo w roku 2004, a jeszcze jedna blizna to suvenir po meczu towarzyskim reprezentacji Polski z Grecją. „Taka praca – wrusza ramionami. – Muszę przyznać, że teraz mój wygląd zupełnie nie pasuje do mojego charakteru. Na co dzień cenię ciszę i spokój”. Teraz blizn nie przybywa, bo na czole brak już wolnych miejsc...

CZWÓRKA

Latem 2000 roku do zespołu dołączył Marcin Baszczyński. Czuł się jak towar, do tego niechciany. Do Wisły trafił jako część niekończących się rozliczeń między Bogusławem Cupiałem a Krystianem Rogalą; do tego miał nieodparte wrażenie, że to bardziej Ruch chce go sprzedać, niż Wisła kupić.

Wraz z tatą łowił ryby nad Soliną i telefonicznie negocjował warunki kontraktu z krakowskim klubem. Początkowo szło opornie, ale przecież dość już miał biedy panującej w Ruchu:

- Panie prezesie, obiecał pan pieniądze na święta. Święta minęły, a pieniędzy nie ma.
- Ale nie powiedziałem, na które święta – odbijał piłeczkę Rogala.

Tak wyglądało życie w Ruchu, a oferta Wisły z każdym telefonem stawała się coraz bardziej kusząca. Rogala zrezygnował z części pieniędzy, Cupiał dorzucił nieco więcej piłkarzowi. Wreszcie po kolejnym telefonie tata powiedział do Marcina:

- Idź.

I poszedł, wciąż jednak był pełen rozmaitych obaw. „Zanim wylądowałem w Wiśle, byłem na testach w Heerenveen i miałem plan, by prosto z Ruchu śmignąć za granicę. Poza tym zawsze dużo mówiło się o stosunkach między Śląskiem a Krakowem. Bałem się, jak zostaną przyjęty”, mówi. Niepotrzebnie. Choć nigdy nie ukrywał, że jest kibicem Ruchu, w Krakowie szybko uznano go za swojego. Pomógł mu szalony mecz z Saragossą, pomógł wyjazd do Wodzisławia, gdy już po zakończeniu spotkania skoczył przez płot i ruszył w stronę policjantów pacyfikujących kibiców z Krakowa. To wtedy powstała przyspiewka *Baszczu z nami, kibicami!*, która towarzyszyła mu do końca gry w krakowskim klubie.

Chłopak z Rudy Śląskiej ujął fanów Wisły, bo był taki jak oni. To kibic, który został profesjonalnym zawodnikiem. Żywy dowód na to, że tam, gdzie zawodzą umiejętności, jest jeszcze serce. Patrzyli na niego i widzieli siebie, widzieli kibica w piłkarskim stroju, który zawsze daje z siebie wszystko, dzięki pracy doszedł bardzo daleko, ale i tak nie jest w stanie uniknąć bolesnych wpadek.

Przychodził z opinią złego chłopca. W maju 2000 roku Ruch grał z Górnikiem. Były to prawdziwe derby grozy. Na trybunach tłukli się kibice, a na murawie piłkarze. Gdy sędzia Stanisław Żyjewski przyznał Górnikowi naciągany rzut karny, ruszyli na niego zawodnicy

Ruchu. Mariusz Śrutwa powalił go na ziemię, a Baszczyński kilkakrotnie kopnął. Sędzia nie przerwał spotkania, które ostatecznie zakończyło się zwycięstwem Niebieskich. Kilka dni później obaj piłkarze zostali surowo ukarani – Śrutwę zawieszono na sześć miesięcy, a Baszczyńskiego na osiem. Kara szybko została złagodzona – Baszczu wisiał tylko dwa miesiące.

W debiucie w barwach Wisły znów, na ułamek sekundy, stracił panowanie nad sobą. Chciał szybko wznowić grę, co skutecznie utrudniał mu Wojciech Myszor. „Spieszyłem się, a on stanął mi na drodze. Lekko go odepchnąłem, a on teatralnie upadł”, relacjonował po meczu. Miał szczęście, bo sędzia nie dał się nabrać. „Jak ocenię debiut Baszczyńskiego? Zagrał dobrze, ale tylko do szyi”, mówił Lenczyk na konferencji. Był wściekły, jednak z podstawowego składu go nie usunął, a Baszczu walczył do utraty tchu. Po sześciu kolejkach miał na koncie cztery żółte kartki.

Lenczyk ciągle się wahał – kazał mu grać to z lewej, to z prawej strony defensywy. W drugim sezonie Franciszek Smuda raz stawiał na niego, raz na młodziutkiego wówczas Kamila Kuzerę, ale potem wątpliwości nie miał już nikt, praktycznie żaden z dziewięciu kolejnych trenerów. Przez bite osiem lat był pewniakiem, prawa strona należała do niego. Przez lata wypromował kilku świetnych prawoskrzydłowych: Kalu Uche, Damian Gorawski, Jakub Błaszczykowski – wszyscy mogli się skupiać na ofensywie, bo tyły zabezpieczał on. Nic dziwnego, że przy okazji zgarnął sześć tytułów mistrzowskich i pobił kilka rekordów, w tym jeden absolutnie wyjątkowy. W sezonie 2008/09 wskoczył na pierwsze miejsce wśród wszystkich graczy wszech czasów pod względem liczby spotkań w europejskich pucharach w barwach polskich klubów. Pojedynek z Tottenhamem był jego 52. występem na europejskich boiskach, dzięki czemu przegonił Stanisława Oślizło i byłego już wówczas kolegę z zespołu Mirosława Szymkowiaka.

DWÓJKA

Mirosław Szymkowiak do drużyny dołączył jako ostatni. W listopadzie 2000 roku na mecz z Legią przyjechał Andrzej Pawelec. Prezes Widzewa był zdesperowany, potrzebował gotówki, więc bez zbędnych ceregieli, przy butelce wina, opędzłował swojego asa za milion marek. Porozumienie między klubami to jedno, odrębną kwestią był kontrakt zawodnika, a rozmowy ciągnęły się już prawie od roku.

Przedstawiciele klubu – a to Zdzisław Kapka, a to Bogdan Basała – spotykali się z piłkarzem w Częstochowie, a więc w połowie drogi z Krakowa do Łodzi. Obie strony chciały utrzymać sprawę w tajemnicy – Wisła wciąż obawiała się konkurencji ze strony Legii, a Szymkowiak miał przed sobą jeszcze jeden mecz w barwach Widzewa. Nikt nie potrzebował rozgłosu, dlatego umawiano się w hotelu na obrzeżach miasta, ale pewnego razu „spiskowcy” zostali zdekonspirowani. Gdy weszli do restauracji, tuż przy drzwiach siedział trener Dariusz Wdowczyk, a przy pozostałych stolikach cała drużyna Polonii Warszawa.

– O, patrzcie! Szymkowiak z prezesami Wisły!

W takiej sytuacji sprawę trzeba było finalizować możliwie jak najszybciej.

W młodości na Szymkowiaka wołano czasem Chińczyk i właśnie w chińskiej restauracji A Dong w Częstochowie podpisał pięcioletni kontrakt z Wisłą. Na przenosiny

do Krakowa początkowo nie miał jednak najmniejszej ochoty. „Do Łodzi trafiłem w wieku 18 lat, tam zakochałem się w klubie i w Agnieszce, która została moją żoną. Nie chciałem odchodzić z Widzewa, ale pojawiły się poważne kłopoty finansowe. Rok to trwało, aż w końcu pewni panowie zmusili mnie, bym odszedł z Łodzi. Gdy potem w Wiśle dziesiątego dnia miesiąca, czyli tak jak zapowiadano, otrzymałem wypłatę, nie mogłem wyjść z szoku”.

Generalnie nie był zwolennikiem transferów. Gdyby to od niego zależało, zapewne całą karierę spędziłby w Olimpii Poznań. W jej barwach grał między innymi w słynnym meczu z ŁKS-em przegranym 1:7 w ostatniej kolejce sezonu 1992/93, tej samej, w której Wisła pozwoliła Legii strzelić sobie sześć goli.

Pewnego dnia w Wielkopolsce pojawili się przedstawiciele Widzewa i poinformowali Szymkowiaka, że jest ich zawodnikiem. Myślał, że to żart, bo w szatni Olimpii co rusz robiono kawały, szczególnie młodszym piłkarzom. Szybko został jednak wyprowadzony z błędu. Otóż jego karta zawodnicza – wraz z kartami Grzegorza Mielcarskiego, Andrzeja Jaskota, Sławomira Suchomskiego, Adama Grada, Piotra Soczyńskiego i Janusza Jedyńaka – była zastawiona w Gliwickim Banku Handlowym, w którym członkiem rady nadzorczej był Piotr Werner, wówczas były sędzia międzynarodowy, a dziś menedżer bokserki. Dzięki jego pośrednictwu łodzianie za karty pierwszej trójki zapłacili niespełna 6 miliardów starych złotych – 4 miliardy za Mielcarskiego, miliard za Jaskota i 713 milionów za Szymkowiaka.

Kraków opuścił dość szybko. W Trabzonie został przywitany po królewsku, ale gdy zobaczył miasto... „Zdołowałem się. Chciałem od razu wracać do Polski. Tam zupełnie nie było gdzie wyjść”, wspomina. Choć szybko stał się jednym z ulubieńców miejscowych kibiców, w Turcji wytrzymał jedynie dwa lata. Potem, w wieku 30 lat, wolał zakończyć karierę, byle tylko wrócić do kraju. Miał pecha do kontuzji. W lidze zaczął grać w wieku 16 lat, potem organizm zaczął się buntować. „Mam w sobie tyle tej blachy, że wszystkie bramki zawsze pikają na lotnisku – lubi powtarzać. – Brakuje mi tylko blaszki w głowie. Choć nie mam pewności, bo byłem usypiany dziesięć razy, może mi ją wszyli”.

ULUBIEŃCY PREZESA

Pierwszy jednak wyjechał Kosowski. Po meczach z Lazio zakochał się w nim Roberto Mancini – chciał zabrać go ze sobą do Interu. Były konkretne oferty z Osasuny Pampeluna i Olympique Lyon, ale ostatecznie wiślak trafił do Kaiserslautern.

Negocjacje z Niemcami ciągnęły się w nieskończoność, Kosowski był już pogodzony z tym, że kolejny sezon spędzi w Krakowie. W końcu jednak prezes Kaiserslautern René C. Jäggi wsiadł w swój prywatny odrzutowiec, przyleciał do Polski, a kilkadziesiąt godzin później, o 4.00 nad ranem z piątku na sobotę dobił targu. Efektem długich negocjacji była wyjątkowa umowa. Kosowski został wypożyczony do 1.FCK na cztery lata, ale po każdym kolejnym sezonie Niemcy mogli zakończyć współpracę. Mogli, lecz nie musieli. Jeśli Kosowski był im potrzebny, wpłacali do kasy Wisły pół miliona euro i mieli go do swojej dyspozycji. Albo wypożyczali do innego klubu.

To jednak nie wszystko. W tym samym czasie piłkarz podpisał z Wisłą nowy, pięcioletni kontrakt. W efekcie krakowski klub wytransferował go, na czym zarobił

2 miliony euro. Kosowski grał w Niemczech, Anglii i Włoszech, zarobili na nim pewnie także Niemcy. Gdy wreszcie wrócił do Krakowa, wciąż miał ważną roczną umowę z klubem! Wpisano do niej minimalne zarobki, bo nikt, a w szczególności sam Kosowski, nie brał pod uwagę, że po tych czterech latach pojawi się nad Wisłą. Gdy tak się stało, grał za drobne i pomógł ekipie Macieja Skorzy sięgnąć po tytuł mistrzowski.

Mógł wrócić wcześniej – szansa na to pojawiła się w 2005 roku, ale istniała pewna poważna przeszkoda: Jerzy Engel. W 2002 roku w ostatniej chwili skreślił Kosę z kadry na mistrzostwa świata w Korei i Japonii, a w jego miejsce zabrał o sześć lat starszego Pawła Sibika. W roku 2005 konflikt wciąż płonął żywym ogniem.

Panowie spotkali się na krakowskim Rynku.

– Kamil, wracaj do Wisły. U mnie zawsze masz miejsce – zagaił Engel.

Kosowski popatrzył na niego chłodno:

– Tak samo jak w 2002?

Na tym rozmowa się skończyła, a Kosa trafił do Southampton.

Uwielbiał kontrowersje. Gdy w sezonie 2000/01 Wisła sięgnęła na stadionie Legii po tytuł mistrzowski, przywdział koszulkę z napisem „Cała żyłeta płacze, mistrza już nie zobaczą. Cała Legia żałuje, CWKS to...”. Gdy kilka lat później Jan Urban zaproponował mu przenosiny do Legii, nie miał wyjścia – musiał tę propozycję odrzucić.

Na transfer zagraniczny znacznie dłużej czekał Baszczyński. W 2009 roku nie otrzymał propozycji przedłużenia kontraktu, więc jeszcze w trakcie sezonu podpisał umowę z greckim Atromitosem. Niedługo potem, w spotkaniu z Piastem Gliwice, zerwał więzadła w kolanie. Przez chwilę bał się, że Grecy się wycofają – przez krótką chwilę: „W drodze do szpitala odebrałem telefon z Atromitosu. Pytali, czy niczego mi nie trzeba, zapraszali, bym przyjechał już teraz, żeby mogli kontrolować moją rehabilitację”.

Ładnie zachowała się też Wisła. W klubie nikt nie wiedział, że Baszczyński podpisał już umowę z Grekami. „Nie zostawimy Marcina samego – zapewniał dyrektor sportowy Jacek Bednarz. – Jeśli nie podpisał jeszcze kontraktu z innym klubem lub jego nowy pracodawca zrezygnuje z niego ze względu na tę kontuzję, proponujemy mu pozostanie w Wiśle”.

Wszyscy ci piłkarze należeli do ulubieńców Bogusława Cupiała. Miało to swoje dobre i złe strony. „Po jakimś czasie zorientowaliśmy się, że nowi zawodnicy otrzymują więcej, niż proponuje się nam. Prezes traktował nas trochę jak synów, którzy grają w Wiśle, bo ją kochają”, mówi Baszczyński. A jednak kiedyś spotkała go miła niespodzianka. „Gdy przedłużał kontrakt i wszystko było już ustalone, Cupiał zadzwonił, by dać mu 30 procent więcej”, opowiada jeden z byłych działaczy. Pięć lat później jeszcze więcej zaoferowali mu Grecy: „Atromitos zaproponował mi dwukrotnie większe zarobki, więc uznałem, że trzeba pakować walizki i jechać”.

11. CUD NAD WISŁĄ

Bogusławowi Cupiałowi wystarczył jeden rzut oka na rozpisany skład. Od razu wiedział, co się nie zgadza.

– Gdzie są, kurwa, moje dwa miliony marek? – wycedził.

W pokoju zapadła krępująca cisza. Taka, co potrafi zepsuć najprzyjemniejsze nawet spotkanie. Orest Lenczyk postanowił jednak nie dać się zbić z tropu.

– Ale o co panu chodzi? – zagaił.

– Gdzie jest Żurawski?!

Tak rozmowę tę zapamiętał Janusz Basałaj. Nowy trener nie widział w optymalnym składzie drużyny najdroższego nabytku w historii Wisły. Nie zwiastowało to udanej współpracy. Lenczyk tylko początkowo mógł liczyć na względy właściciela klubu, niedługo potem Cupiał przestał odbierać od niego telefony.

„To nie moja wina, że prezes Cupiał wydał na Żurawskiego dwa miliony marek – mówi dziś Lenczyk. – Wiem, że wcześniej w Lechu grał bardzo dobrze, ale mnie interesowała tylko aktualna forma. Gdy ja byłem w Wiśle, w bardzo dobrej formie był Olek Moskalewicz i wiele mu zawdzięczam”.

Lenczyk mógł zostać trenerem wcześniej, na początku sezonu 1999/2000. Twierdzi, że pierwszy telefon od Cupiała otrzymał jeszcze przed porażką z Polonią 2:3 (która kosztowała posadę Smudę), po remisie ze Stomilem Olsztyn. „Byłem w domu, a na dole czekał już na mnie samochód wysłany przez prezesa Widzewa. Miałem pojechać do Łodzi na rozmowy na temat objęcia tamtejszej drużyny. Pakowałem się, gdy zadzwonił telefon. To była sekretarka pana Cupiała. Zakomunikowała mi: »Daję telefon prezesowi«. Zdziwiłem się, bo pan Cupiał zaproponował mi natychmiastowe objęcie zespołu Wisły. Propozycja była bardzo interesująca, ale powiedziałem, że jest to niemożliwe, bo jadę na negocjacje z Widzewem. »Mam nadzieję, że się pan z nimi nie dogada. Czekam w Krakowie«, odparł Cupiał i na tym poprzestaliśmy. W Łodzi doszliśmy do porozumienia i w ten sposób zostałem trenerem Widzewa”.

Mimo że nie przyjął oferty, ciągle pozostawał w kontakcie z Cupiałem i twierdzi, że gdy ten zwolnił Smudę i powierzył drużynę Jerzemu Kowalikowi, Lenczyk miał mu doradzać. „Mówiłem mu, jak widziałbym treningi oraz grę Wisły. Potem obejrzałem mecz z Lechem [1:4 w Poznaniu – przyp. aut.] i widziałem, że drużyna gra zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażałem. Pamiętam, że po tym spotkaniu prezes Cupiał się zdenerwował i podjął decyzję o zmianie trenera”.

Do kolejnej próby zatrudnienia Lenczyka miało dojść w przerwie zimowej sezonu 1999/2000, gdy swój pucz przeprowadzał Łazarek. Koźmiński twierdził, że Cupiał był już po słowie z Lenczykiem, mimo to zdołał przekonać właściciela, by zmienił zdanie i powierzył drużynę Łazarkowi. „Przyjął naszą argumentację, ale to my, wraz ze Staszkiem Ziętkiem, musieliśmy przekazać Lenczykowi informację o tym, że ustalenia, które poczynił z Cupiałem, są nieaktualne”, wspomina.

Koźmiński i Lenczyk w jednym klubie – to się po prostu nie mogło udać. Lenczyk trafił więc do Krakowa dopiero wtedy, gdy Koźmiński wyemigrował do Pogoni Szczecin. Zdaniem Lenczyka Cupiał „wyrzucił go na zbity pysk”, sam zainteresowany twierdzi natomiast, że odszedł na własne życzenie: „Dostałem propozycję od Janusza Wójcika i Sabriego Bekdasa. Poszedłem do Cupiała i mówię, że chcę z niej skorzystać, bo tam będę mógł się wykazać, coś zrobić. W Wiśle nie było na to szans”. Kilka lat później zapytał Waldemara Fornalika, gdzie pracuje Lenczyk.

– Nigdzie? To bardzo dobrze dla polskiej piłki – stwierdził.

Lenczyk pamięta mu to do dziś.

Piłkarze traktowali trenera jak niegroźnego dziwaka, bo lubił zaskakiwać, ale krzywdy raczej nie robił. Pewnego dnia wszedł na odprawę taktyczną, przywitał się ze wszystkimi, siadł w kącie i zaczął coś rysować na kartce. Chwilę to trwało. Zawodnicy próbowali odgadnąć, o co chodzi tym razem. Nowy sposób rozegrania piłki? Ustawienie w defensywie, a może po prostu plan ćwiczenia na rozpoczynający się za chwilę trening? W końcu Lenczyk kończy rysunek, podchodzi z nim do tablicy, odwraca się do drużyny i mówi, wskazując na kartkę:

– Patrzcie, oto skrzyżowanie.

Piłkarze zaskoczeni patrzą po sobie, a Lenczyk niestrudzenie kontynuuje.

– Jechałem Alejami, o, tędy i nagle – podnosi głos – jakiś gość wyjeżdża z Czarnowiejskiej, o, stąd – wskazuje palcem – i łup! Prosto we mnie!

„Jaka była nasza pierwsza reakcja? Konsternacja. Podeszliśmy do sprawy poważnie. Dopiero później zaczęliśmy się z tego śmiać. A gdy zaczęliśmy, nie mogliśmy przestać. Na drugi dzień trener przyszedł i mówi: »Nie martwcie się, bo znalazłem nowe lampy Hella i wszystko będzie w porządku«”, wspomina Artur Sarnat.

Dziwnych odpraw było całe mnóstwo. Trener potrafił całość spotkania przeznaczyć na kwestie związane z *savoir-vivre*'em, a potem, bez słowa na temat futbolu, zaprosić piłkarzy na boisko. Gdy zawodnik, czyli osoba młodsza, jako pierwszy wyciągnął rękę na powitanie, był spalony w blokach. Raz na testy przyjechał pewien chłopak, wszechstronny pomocnik.

– Na jakiej pozycji możesz grać? – zapytał go Lenczyk.

– Ja? Na każdej, panie trenerze – odparł.

W trakcie gierki treningowej stanął więc na bramce, a kolejnej szansy już nie otrzymał.

Przed jednym z pierwszych meczów trener postanowił przeprowadzić rozgrzewkę bramkarzy. Sarnat i Piekutowski biegali wokół Lenczyka, a ten rzucał im piłki – raz ostrzejsze, innym razem łżejsze. Obaj liczyli na miejsce w składzie, w imię zasady, że nowy szkoleniowiec to dla wszystkich czysta karta. Uwijali się więc jak w ukropie. Widząc to, trener w pewnym momencie przerwał rozgrzewkę:

– Panowie, po co się tak męczyć? Skład jest już ustalony.

Od początku sezonu w bramce stał Sarnat, za to zmiany na innych pozycjach były na porządku dziennym.

Lenczyk miał swoje sposoby na motywowanie piłkarzy. Podczas zgrupowania w Spale zarządził poranne bieganie fakultatywne. Chciał, aby każdy piłkarz między 7.00 a 7.30 rano wyszedł na krótki jogging. Nieważne, czy miałyby trwać 10 minut, czy pełne pół godziny –

każdy miał choć na chwilę pojawić się na bieżni. „Trenera tam nie było, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Podejrzewaliśmy, że czai się gdzieś w krzakach, bo wszystko doskonale wiedział – mówi Adam Piekutowski. – Gdy kogoś zabrakło, nie robił mu awantury przed całą drużyną. Po prostu na stołówce podchodził do delikwenta, klepał w ramię i powoli szeptał do ucha: »Nie widziałem cię dzisiaj na bieganii«”. Taki przekaz miał nadzwyczajną moc – na drugi dzień facet ochoczo zrywał się z łóżka, by biegać pełne pół godziny.

Jedynym wyjątkiem od tej reguły był Maciej Szczęsny, który do drużyny dołączył w trakcie przerwy zimowej: „Podczas spotkania organizacyjnego kilkakrotnie pytałem trenera, co kryje się za nazwą »bieganie fakultatywne«. Spytałem raz – nie odpowiedział. Spytałem drugi raz – również bez efektu. Widziałem, że Olo Moskalewicz i Radek Kałużny nie mogą już wytrzymać ze śmiechu. Postawili wysoko kołnierze, po cichu chichoczą, a do mnie mrugają okiem, bym nie rezygnował z prób”. W końcu Lenczyk zakończył przemowę i spytał raz jeszcze:

– Czy są jakieś pytania?

Na to Szczęsny ponownie podniósł rękę:

– Tak, ja mam pytanie.

Lenczyk znów jednak go nie usłyszał:

– Skoro nie ma pytań, to spotkanie zakończone – zakomunikował i wyszedł z sali.

Szczęsny zapewnia, że przez całe zgrupowanie ani razu nie wziął udziału w porannym bieganii. „Fakultatywne, czyli dla tych, którzy tego potrzebowali. Tak to rozumiałem. Ja nie potrzebowałem, bo i tak byłem w czołówce pod względem wydolności. Dla mojego organizmu ważniejsze było to, bym porządnie się wyspał. Maser budził mnie codziennie rano, mówił, że dostaje za mnie zjebki od trenera. W końcu powiedziałem, by mnie po prostu nie budził”.

Szczęsnemu od początku nie było z Lenczykiem po drodze i tak już zostało do końca. „Szczęsny był trenerem sam dla siebie, a ja byłem trenerem całej drużyny. Lekceważąc mnie, chciał eksponować siebie, jako tego, który ma decydujące zdanie w kwestii treningu bramkarskiego. Miał też swoją opinię na temat poszczególnych piłkarzy, szczególnie obrońców, i głośno ją wyrażał – mówi Lenczyk, który przyznaje, że nie był zwolennikiem tego transferu. – Szczęsny zapomina, że to był zmierzch jego kariery. Miałem pewne zastrzeżenia w kwestii sprowadzania go do Wisły. Jeśli ktoś w klubie uznał, że Artek Sarnat jest słabym bramkarzem, to należało sprowadzić bramkarza o pięć lat młodszego, by był równocześnie inwestycją na przyszłość”.

„Szczęsny trafił do Wisły, bo Bogusławowi Cupiałowi podobał się sposób, w jaki wypowiada się przed kamerami. Powiedział coś w stylu, że ma w dupie Fryzjera, i zaraz był w Wiśle”, mówi Janusz Basałaj.

Za dyscyplinę w zespole miał być odpowiedzialny asystent Lenczyka Waldemar Fornalik. Późniejszy selekcjoner reprezentacji Polski otrzymał od piłkarzy Wisły ksywę Pies, bo nieustannie węszył. W trakcie zgrupowań zawodnicy stroili sobie z niego żarty. Wieczorami, gdy spacerował po hotelowych korytarzach, głośną rozmową wabili go pod jeden z pokoi. Potem działali szybko: gdy pod drzwiami zamigotał cień i mieli pewność, że trener stoi po drugiej stronie, dawali znać kolegom. Z innego pokoju

natychmiast ktoś wypadał na korytarz, przyłapując trenera w krępującej pozie, z uchem przy drzwiach:

– O, pan trener. Dobry wieczór!

Fornalik podobno dość szybko zorientował się, że jest obiektem kpin, i zaprzestał praktyk szpiegowskich.

BOISKO KRZYŻY

Za kadencji Oresta Lenczyka Biała Gwiazda rozegrała jeden z najbardziej szalonych meczów w historii klubu. W sezonie 1999/2000 Real Saragossa zajął w lidze czwarte miejsce i powinien się bić w kwalifikacjach do Ligi Mistrzów. W Aragonii mieli jednak pecha, bo Real Madryt, który właśnie triumfował w Lidze Mistrzów, w tabeli La Liga był dopiero piąty. Władze ligi zrobiły wszystko, by Królewscy nie musieli się męczyć w Pucharze UEFA – pogrzebali w regulaminie i okazało się, że w kwalifikacjach do Ligi Mistrzów dla klubu z Saragossy nie ma już miejsca. Spadli do Pucharu UEFA, dzięki czemu przyjechali do Krakowa.

Wyeliminowanie zespołu z Saragossy zostało zapamiętane przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, po raz pierwszy w historii Polacy awansowali kosztem Hiszpanów, a po drugie, dokonali tego w niezapomnianym stylu. Podczas tego niezwykłego, leniwie toczącego się w upalne czwartkowe popołudnie meczu krakowianie byli już na kolanach, mieli raptem 45 minut, by odrobić stratę czterech bramek, a jednak – wbrew regułom, wbrew logice, wbrew nawet własnym oczekiwaniom – dopadli rywala, chwycili za gardło i już nie puścili.

Nim jednak wiślacy zmierzili się z Saragossą, musieli pokonać Żeljezničar Sarajewo. Mecz odbywał się na stadionie, który w 1984 roku był areną otwarcia zimowych igrzysk olimpijskich. Bośniacka stolica dopiero wracała do życia po kilkuletnim oblężeniu – tuż obok stadionu stał ostrzelany szpital, a boisko treningowe zostało przemienione w cmentarz polowy. Pomiędzy bramkami znajdowało się kilkaset prowizorycznych nagrobków. Widok ten robił piorunujące wrażenie. W Sarajewie padł bezbramkowy remis, w rewanżu trzy gole strzelił Frankowski i wiślacy mogli spokojnie czekać na Hiszpanów. W stolicy Bośni pecha mieli dwaj młodzi piłkarze. Spóźnili się na zbiórkę, a u Oresta nie ma przebaczenia. Musieli gonić autokar – najpierw pieszo, dopóki nie złapali taksówki.

W pierwszym meczu w Saragossie krakowianie zostali zmieceni z powierzchni ziemi. Zaczęli wyśmienicie, bo od fantastycznego strzału Radosława Kałużnego (piłka wylądowała w samym okienku), ale potem strzelali już tylko gospodarze. Ta drużyna nie umiała bronić w starciu z tak klasowym przeciwnikiem.

W 68. minucie zdenerwowany Orest Lenczyk podszedł do linii bocznej.

– Kosa, wracaj! Kosa, wracaj! – krzyczał do Kamila Kosowskiego, który akurat był po ostrej szarży i stał, próbując złapać oddech. W końcu z ławki rezerwowych poderwał się także drugi trener Waldemar Fornalik:

– Kosa, wracaj! – krzyczał, ale nie miał szans przebić się przez tumult. Lenczyk złapał go wpół:

– Daj spokój, Waldek, on już nic nie słyszy.

Niemal w tym samym momencie piłka poszła na prawe skrzydło gospodarzy – tam osamotniony Baszczyński nie mógł zrobić już nic. Precyzyjną wrzutkę na bramkę zamienił Yordi.

Wynik 4:1 w pełni oddawał boiskową dominację gospodarzy. Plan na rewanż nie mógł być specjalnie skomplikowany. Lenczyk wbijał piłkarzom do głów:

– Panowie, najważniejsze to nie stracić na początku bramki. Jeśli do tego dojdzie, kibicom pozostanie tylko podziwiać rywali.

Gdy w piątej minucie Marcin Baszczyński wpakował piłkę do własnej siatki, trener mógł tylko schować się do swojego boksu. W tej samej chwili na trybuny wszedł właściciel hiszpańskiego klubu Alfonso Soláns. Klepnął w ramię prezesa Bogdana Basałaja, rzucił: „Sorry” – nie wiadomo, czy za spóźnienie, czy za tę bramkę, która właśnie padła – i zajął swoje miejsce w łoży.

Spóźnił się, bo środowy wieczór wymknął mu się spod kontroli. Basałaj zaprosił Hiszpana na oficjalną kolację, która polskim zwyczajem zamieniła się w lekką popijawę. Alfonso Soláns, właściciel wielkiej fabryki dywanów, zakochał się w drinkach Wściekły Pies i była to miłość od pierwszego wejrzenia. Jak na miłość wakacyjną przystało – była słodko-gorzka, szybka i intensywna, ale bez widoków na przyszłość. Do 1.00 w nocy Hiszpan opróżnił kilkanaście kieliszków. Była to dla niego wystarczająca dawka, by zaspać na poranną wycieczkę do Wieliczki i spóźnić się na pierwsze minuty meczu. Prawdziwy kac, kac gigant, dopadł go dopiero po południu, gdy rozpoczęła się druga połowa, a wiślacy zaczęli zdobywać bramkę za bramką. Alfonso Soláns mógł jedynie mieć nadzieję, że jeszcze nie wytrzeźwiał, a to, co widzi, to tylko alkoholowe zwidy.

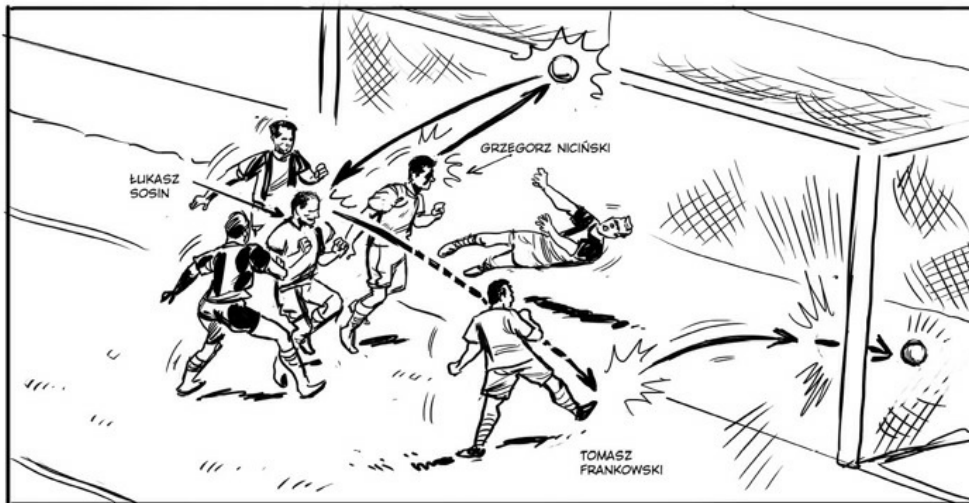
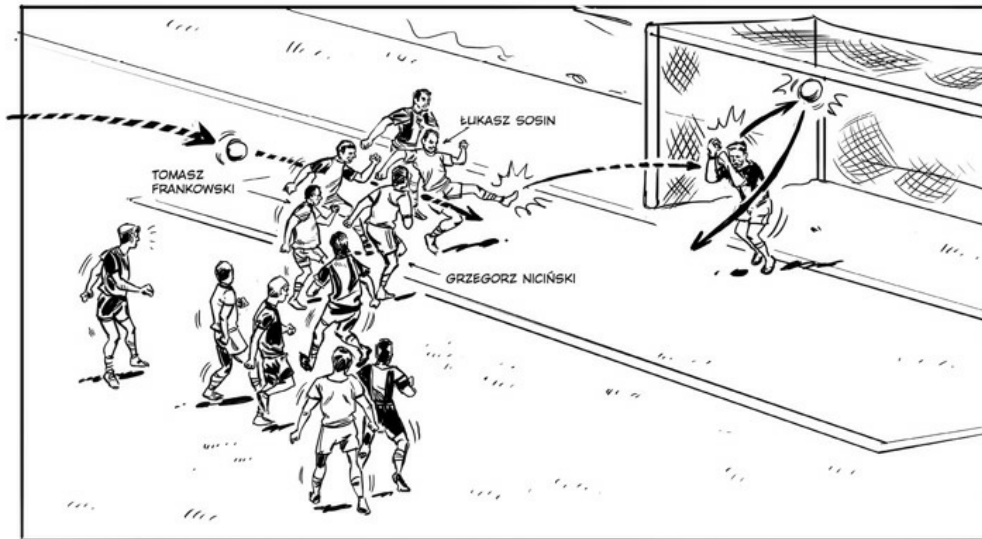
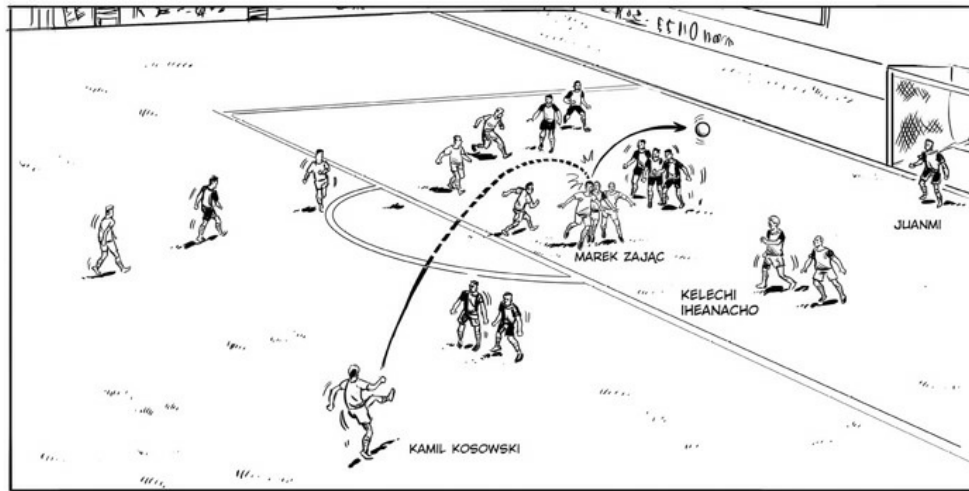
Do przerwy Real prowadził 1:0, w dwumeczu było więc 5:1 dla Hiszpanów, którzy wychodząc na drugą połowę, myślami byli już przy kolejnej rundzie. Lenczyk w przerwie dokonał trzech zmian. „Teraz każdy mówi, że to były fantastyczne decyzje. A tymczasem przez 15 minut w szatni nie padło ani jedno słowo na temat drugiej połowy. Gdy sędzia zagwizdał, że już czas wracać na boisko, trener szybko wymienił, jakich dokonuje zmian, i tyle”, wspomina Kazimierz Moskal. Na skutek decyzji szkoleniowca Ryszard Czerwiec, Olgierd Moskalewicz i Tomasz Kulawik trafili na ławkę, aby odpocząć przed zbliżającym się meczem ligowym z GKS-em Katowice.

– Nie wiem, co się będzie działo. Po prostu zagrajcie dla kibiców – rzucił Lenczyk do piłkarzy i usiadł na ławce rezerwowych z butelką wody mineralnej w dłoni.

„Wiedziałem, że nie ma co się popisywać umiejętnościami taktycznymi. Dokonując zmian, postawiłem na piłkarzy, którzy nie spodziewali się, że w tym spotkaniu w ogóle zagrają. Na boisko weszli Kelechi Iheanacho, Grzegorz Niciński i Łukasz Sosin. U nich w głowach mecz dopiero się zaczął, nie byli obciążeni wynikiem 1:5, dla nich było jakby 0:0. Z czystymi głowami zaczęli atakować rywala”, mówi Lenczyk.

Było upalne popołudnie. Na trybunach pięć, może sześć tysięcy widzów. Ci, którzy siedzieli przed telewizorami, o ile jeszcze nie zmienili kanału, walczyli, by monotony komentarz Andrzeja Szeląga i leniwy bieg meczu nie wpędziły ich w poobiednią drzemkę. Fakt, tempo boiskowych wydarzeń imponujące nie było, przynajmniej do czasu, niemniej sceny, które się rozegrały w drugiej połowie, okazały się iście dantejskie. Gdyby żył

Włastimil Hofman – malarz i wielki kibic Wisły, autor licznych portretów wiślaków – z pewnością miałby temat na kolejny obraz.



Akt cudu
Wisła - Real Saragossa 3:1; 88. minuta

KOSZMARY BASZCZA

Zaraz po przerwie bramkarz gości Juanmi wrzucił sobie do bramki piłkę dośrodkowaną przez Kelechiego Iheanacho. Wiślaczy poczuli krew i w ciągu dziesięciu minut strzelili dwa kolejne gole. Przełomowy był ten na 3:1 – potężne uderzenie Kazimierza Moskala przekonało gospodarzy, że możliwe tego dnia jest niemal wszystko. Wiślakom wciąż jednak brakowało jeszcze jednej bramki, by w dwumeczu doprowadzić do remisu. Minuty uciekały coraz szybciej – wreszcie nadeszła 88.

Piłkę w pole karne wrzucił Kamil Kosowski. Futbolówka tańczyła jak szalona, dwukrotnie odbijała się od poprzeczki, wreszcie spadła pod nogi Frankowskiego. Snajperski zmysł podpowiedział mu, by podbiec w okolice prawego słupka. Był przekonany, że piłka prędzej czy później spadnie właśnie tam. Gdy tak się stało, błyskawicznie ustawił stopę w odpowiedni sposób. Sekundy niedowierzania. Czy rzeczywiście do tego doszło? Tak! Na stadionie zapanowało szaleństwo, piknik przemienił się w wybuch niekontrolowanej euforii, a kibice w kapciach z niedowierzaniem wracali przed telewizory.

Dla Marcina Baszczyńskiego był to najbardziej szalony mecz w życiu. To przecież on zaraz na początku praktycznie pogrzebał szanse na awans – chciał zagrać piłkę do Artura Sarnata, a posłał ją do własnej bramki. To on, jako jedyny z wiślaków, nie wykorzystał rzutu karnego w konkursie jedenastek. Z drugiej strony, gdyby w trakcie dogrywki nie wybił piłki z linii bramkowej, do rzutów karnych nawet by nie doszło. „Saragossa? Paradoksalnie od tego momentu zaczął się mój dobry kontakt z kibicami Wisły”, wspomina.

W przerwie Lenczyk zapytał go:

– A ty co? Gramy?

– Gramy, gramy – jęknął.

Nie można wykluczyć, że gdyby nie samobójcze trafienie Baszczyńskiego, tego awansu w ogóle by nie było. „Pamiętam radość Hiszpanów z tej bramki. Cieszyli się jak dzieci”, mówi Lenczyk. A bohater tego spotkania opowiada: „W przerwie rywale byli już pewni awansu. Mentalnie całkowicie siedli. Z doświadczenia wiem, że jeśli człowiek się wyłączy, potem nie jest w stanie już osiągnąć odpowiedniego poziomu koncentracji. Myśmy strzelali kolejne gole, a oni nie wierzyli w to, co widzą”. Tego wieczoru Baszczyński miał przeżyć jeszcze jeden koszmar. Krótki, ale intensywny.

Gdy przyszło do rzutów karnych, chętnych nie było zbyt wielu. Lenczyk wytypował strzelców, postawił między innymi na Iheanacho. Na to odezwał się Kosowski:

– Trenerze, co pan odpierdala? Baszczu niech strzela. Musi się zrehabilitować.

– Baszczu, strzelasz?

– No, strzelam.

I strzelił. W prawy róg, niby precyzyjnie, ale za słabo. Juanmi złapał piłkę. „Kosa nie pierwszy i nie ostatni raz wsadził mnie na minę – śmieje się Baszczyński. Chciał zapaść się pod ziemię, ale w ostatniej serii zimną krew zachował Frankowski, a José Ignacio nie trafił między słupki. – Już nigdy nie czułem takiej ulgi”.

Innym bohaterem tego spotkania był Sarnat, który obronił jeden rzut karny, chociaż w dogrywce doznał kontuzji. „Pewien gość wyciął mi w bark. Coś naciągnąłem i miałem problem z lewą ręką. Mogłem obronić jeszcze jeden strzał, ale przyblokowało mi rękę i nie sięgnąłem piłki”, wspomina.

Lenczyk pękał z dumy.

– Dwa tygodnie temu wracałem z Hiszpanii jako baranek. Dziś to ja byłem rzeźnikiem – triumfował na konferencji prasowej.

W zgoła odmiennym nastroju był trener gości Juan Manuel Lillo. Już na lotnisku w Saragossie zaatakowali go wściekli kibice. Drużynie nie wiodło się także w lidze i wkrótce trener stracił pracę. Saragossa zdołała się utrzymać w Primera División, na pocieszenie zdobyła Puchar Króla, z ligi spadła w kolejnym sezonie. Co ciekawe, gdyby w 2003 roku wybory na prezesa Barcelony wygrał Luis Bassat, Lillo miał zostać trenerem drużyny z Camp Nou. *Socios* wybrali jednak Joana Laportę, a ten postawił na Franka Rijkaarda.

12. I NA CO NAM TO BYŁO?

W lidze wiślakom szło bardzo dobrze, choć w Myślenicach było to odbierane najwyżej jako „nieźle”. Po 11 kolejkach mieli nad drugą w tabeli Pogonią Szczecin pięć punktów przewagi, a siłę ofensywną zespołu dobrze obrazuje bilans bramkowy 27:6. Tomasz Frankowski strzelał gola za golem, w świetnej formie był Olgierd Moskalewicz, asystami popisывał się Kamil Kosowski, Łukasz Sosin w końcówkach dobijał rywali. Tylko Maciej Żurawski ciągle narzekał na skuteczność – do siatki najczęściej trafiał z rzutów karnych. Skład był co prawda silny, ale ławka krótka.

– Ta drużyna wcale nie gwarantuje pierwszego miejsca w lidze – kręcił nosem Lenczyk.

Gdy na zakończenie rundy jesiennej wiślacy przegrali w Lubinie z Zagłębiem 2:4 (w trakcie meczu trener zmienił obu środkowych obrońców, co już całkowicie zdemontowało defensywę) i na zimę stracili pozycję samodzielnego lidera, Lenczyk był jeszcze ostrzejszy:

– Już przed sezonem wiadomo było, że nie mamy najlepszego bramkarza ani najlepszych obrońców w lidze – ironizował.

Wcześniej jednak, w drugiej rundzie Pucharu UEFA, wiślacy wpadli na FC Porto.

Zaraz po losowaniu Lenczyk wszedł do szatni. Obrzucił piłkarzy wzrokiem:

– I na co nam to wszystko było?

Bał się rywala, a jego biadolenie drażniło piłkarzy. Przed pierwszym spotkaniem w Krakowie wiślacy znaleźli w szatni powycinane z gazet wizerunki zawodników Porto.

– Oswóćcie się z tymi postaciami, to wasi rywale – instruował Lenczyk, który zlecił wykonanie tego specyficznego piłkarskiego kolażu swojemu asystentowi Andrzejowi Iwanowi.

Piłkarze patrzyli na to z politowaniem. Chcieli wyjść na boisko i zagrać ofensywnie, tak jak grali w lidze, tymczasem trener zachęcał ich, by na przedmeczową rozgrzewkę udali się nieco wcześniej i patrząc na numery na spodenkach przeciwników, odnaleźli zawodnika, z którym podczas meczu będą się stykać najczęściej.

– Dobrze się im przyjrzyjcie – radził.

Miarka się przebrała. Na drugi dzień na tablicy trenera wisiał pampers.

Trener żart docenił, ale nie zmienił swego nastawienia. „Porto miało wówczas bardzo silną drużynę. Byli niepodważalnym faworytem. Przestrzegałem zespół, że mają bardzo dobre skrzydła, szczególnie groźny był Ljubinko Drulović, w środku rządził Deco, a bramki strzelał taki knur Pena. Cóż to był za sukinsyn!”, wspomina Lenczyk. Dla Peny był to pierwszy sezon w Europie, od razu wywalczył koronę króla strzelców ligi portugalskiej, ale potem wielkiej kariery w Porto nie zrobił.

Chociaż siłą Wisły była jej ofensywa, przed pierwszym spotkaniem z Porto w Krakowie Lenczyk postawił na obronę. „Ja również namawiałem Oresta, by zagrać

defensywnie. Porto miało wówczas bardzo silną drużynę”, wspomina Andrzej Iwan. Mimo że w meczach ligowych trenerzy potrafili znaleźć miejsce na boisku równocześnie dla Frankowskiego, Sosina, Żurawskiego i Moskalewicza, w pierwszej jedenastce przeciw Portugalczykom wybiegł tylko ten ostatni.

Miał kilka dogodnych sytuacji, ale żadnej z nich nie wykorzystał, nawet tej z 25. minuty, gdy w sytuacji sam na sam z odległości czterech metrów fatalnie spudłował. Lenczyk kpił potem z niego na treningu:

– Może opowiesz kolegom, jak się marnuje takie sytuacje?

Skończyło się bezbramkowym remisem i mimo braku zaliczki przed rewanżem w Porto trener był zadowolony.

– Taktyka okazała się słuszna. Przed meczem wynik 0:0 brałbym w ciemno, bo przede wszystkim chciałem uniknąć straty bramki – mówił na konferencji prasowej.

Na co liczył przed rewanżem na stadionie Das Antas?

W Porto kontynuował swoją grę. Na początku odprawy taktycznej stanął przed piłkarzami, odczekał, aż ucichną szepty i odgłosy szurania krzesłami, po czym, gdy zapadła absolutna cisza, przemówił:

– Panowie! – zaczął. – Sami jesteście winni tego, że tutaj jesteście.

Stawiając swoją drużynę na z góry straconej pozycji, liczył, że wyzwoli w zawodnikach dodatkowe pokłady męskiej ambicji. Nie na każdego jednak takie słowa działały zgodnie z intencją.

Jeszcze przed rozpoczęciem spotkania największe wrażenie na wiślakach zrobiła murawa. „Nigdy wcześniej ani nigdy później nie widziałem tak wspaniałej płyty”, zachwyca się Andrzej Iwan. To była robota Bobby’ego Robsona, trenera Porto sprzed kilku lat, który ściągnął do Portugalii angielskich specjalistów od pielęgnacji trawy.

Mecz ujawnił taktyczny plan Lenczyka. Chciał zaskoczyć Portugalczyków, bowiem tym razem, dla odmiany, scalił skład na wskroś ofensywny. Liczył na huraganowe ataki gospodarzy, na mnóstwo okazji do kontr, na szaloną bieganinę, pełną akcji z obu stron boiska. Rozczarował się, bo Fernando Santos nie spuścił swoich piłkarzy ze smyczy. Mieli po prostu zrobić swoje, awansować do kolejnej rundy, do minimum ograniczając możliwość wpadki, takiej, jaka przydarzyła się drużynie z Saragossy.

Lenczyk szybko musiał przebudować swój plan taktyczny. W piątej minucie Ljubinko Drulović uciekł Baszczyńskiemu i precyzyjnie dograł piłkę w pole bramkowe. Tam było aż czterech zawodników Wisły i tylko jeden gracz Porto. Ale właśnie on, a dokładnie Brazylijczyk Pena (ten knur!), dopadł do futbolówki i posłał ją do siatki. „Ta akcja rozpoczęła się od nieudanej pułapki ofsajdowej”, zwraca uwagę Lenczyk. Gospodarze likwidowali ataki wiślaków niemal w zarodku, kibice, żądni efektownej gry, gwizdali, dopiero w drugiej połowie doczekali się dwóch kolejnych bramek. Do siatki ponownie trafił Pena, a wynik na 3:0 ustalił Dmitrij Aleniczew.

Wicemistrz Portugalii bez większego wysiłku ograł wicemistrza Polski, nim rozgrywki europejskie weszły w decydującą fazę, a kibice Porto i tak nie byli do końca zadowoleni. Dla Bogusława Cupiała to musiał być kubeł zimnej wody na rozgrzaną głowę. Właściciel Wisły powoli zaczynał zdawać sobie sprawę, jak trudno wyważyć drzwi do piłkarskiej Europy.

WOREK BUŁEK

Do rundy wiosennej drużyna przygotowywała się w Spale, na Cyprze, wreszcie w Bratysławie. W trakcie tego ostatniego zgrupowania wiślaczy mieli rozegrać dwa mecze sparingowe w Austrii, a stolica Słowacji wybrana została na bazę ze względów zapewne finansowych. Ktoś uznał, że można w ten sposób zaoszczędzić kilka złotych. Nie był to dobry pomysł, bowiem granica między Austrią a Słowacją nie była jeszcze otwarta, co powodowało dodatkowe utrudnienia. Kelechi Iheanacho dla przykładu, choć na zgrupowanie pojechał, w żadnym sparingu nie zagrał, nie miał bowiem odpowiednich dokumentów, by ową granicę przekroczyć. Posiedział kilka dni w Bratysławie i wrócił do Polski. Kierownik drużyny Marek Konieczny kombinował, jak potrafił, by warunki do treningów były w miarę przyzwoite. W zamian za proporczyk i plakat jedna ze szkół użyczyła wiślakom swojej sali gimnastycznej. Na siłownię chodzili do pobliskiego klubu fitness.

Zazwyczaj zgrupowania odbywają się daleko od cywilizacji, ale tym razem hotel mieścił się w samym centrum Bratysławy. Gdy piłkarze weszli do niego po raz pierwszy, w zachwycie opadły im szczęki – tuż obok recepcji mieścił się klub go-go. Gdy na drugi dzień zeszli na śniadanie, uśmiechy zniknęły z ich twarzy, bowiem klub go-go został zamknięty z powodu remontu.

Największym problemem na zgrupowaniu był brak... pieniędzy. Kierownik drużyny tradycyjnie powinien mieć ze sobą klubową kartę kredytową na wydatki, które w przypadku zgrupowania profesjonalnego zespołu zdarzają się na każdym kroku. Konieczny karty jednak nie miał. „To zgrupowanie to była jakaś tragedia. Nagle okazało się, że nie ma jak zapłacić za odnowę biologiczną. Byłem świeży w drużynie, więc wychodziłem przed szereg: »To ja dam«, mówiłem i wyciągałem portfel – wspomina Mirosław Szymkowiak, który tej zimy wzmocnił zespół. – To były jakieś jaja, totalne nieporozumienie. Nie były to duże kwoty, ale pieniędzy nie odzyskałem do dzisiaj”.

Na zgrupowaniu niespodziewanie pojawił się Bogusław Cupiał. Obejrzał dwa sparingi – ten pierwszy, z Austrią Wiedeń (1:0 po bramce Frankowskiego), odbył się na stadionie w Wiener Neudorf, drugi zaś, przeciwko SV Mattersburg (1:0 po голу Sosina) – na typowym „pastwisku” bez choćby jednej trybuny. Było zimno, zacinął śnieg, więc piłkarze niebiorący udziału w meczu schronili się w autokarze zaparkowanym tuż przy linii bocznej. Wkrótce zjawił się w nim także zziębnięty Cupiał, a dalszy przebieg meczu obserwował przez szybę. Na boisku nie działo się zbyt wiele, więc, jak pamięta Marek Konieczny, uwagę prezesa przykuł kierowca autokaru pan Wiesław, który przez cały czas robił kanapki z szynką.

- Panie Wiesiu, pan da jedną taką bułeczkę.
- Panie Wiesiu, może jeszcze jedną.
- Panie Wiesiu, co pan tak te bułeczki cały czas robi?

Dopiero wtedy Cupiał zorientował się, że przygotowania do rundy wiosennej nie przebiegają tak jak należy. Bezpośrednio po meczu z Mattersburgiem drużyna miała wrócić do Polski, w planie nie było jednak obiadu, dlatego piłkarze zrobili zrzutkę i kupili na drogę kilka worków bułek.

W trakcie poprzedniego zgrupowania, jeszcze na Cyprze, co rusz dochodziło do zmiany sparingpartnerów. Zamiast, dla przykładu, z Partizanem Belgrad ekipa Lenczyka mierzyła się z rumuńską drużyną Otelul Galati. Gdy wreszcie zespół wrócił już do Polski, na tydzień przed startem ligi w Kalwarii Zebrzydowskiej rozegrany został sparing z GKS-em Bełchatów. Na błotnistym boisku kontuzji doznał Arkadiusz Głowacki i na cztery tygodnie wypadł z gry.

Wyjątkowo obyło się za to bez dużej liczby testowanych zawodników. Pojawił się tylko jeden kandydat – 24-letni Daniel Bartłomowicz z JKS-u Jarosław. Piłkarz amator. „Miałem już podpisywać kontrakt z Siarką Tarnobrzeg, ale coś mi tam nie pasowało i zadzwoniłem do Bogdana Zająca, z którym znałem się z Jarosławia. Powiedział: »Czekaj, nie podpisuj« i w ten sposób znalazłem się na testach w Wiśle”, mówi.

Nim rozpoczęła się runda rewanżowa, Lenczyk już miał kłopoty kadrowe, dlatego mocno zabiegał, by transfer Bartłomowicza został sfinalizowany. Wziął go na zgrupowanie na Cypr, gdzie udała się już ścisła kadra pierwszej drużyny. W końcu, kiedy zbliżały się mecze Pucharu Ligi z Amicą Wronki, wezwał go do siebie:

- Chciałbym cię wziąć na mecz.
- To niemożliwe, trenerze, bo nie podpisałem jeszcze kontraktu.

Zamieszanie z transferem mocno rozzłościło trenera. Gdy w końcu formalności zostały sfinalizowane, Bartłomowicz był już niepotrzebny – Lenczyk pakował walizki, a Nawałka nie widział dla niego miejsca. Trudno się dziwić, bo nie był to zawodnik, który mógł wzmocnić tę drużynę. Gdy wygasł jego półroczny kontrakt, wylądował w Resovii, potem pokopał chwilę w Unii Nowa Sarzyna, aż wreszcie wyjechał do Francji. Dziś w Paryżu kładzie tapety.

I JESZCZE TEN SOSIN!

Lenczyk w swoim stylu trzymał drużynę na piłkarskim głodzie. Treningi z piłką odbywały się dwa lub trzy razy w tygodniu, znacznie częściej ćwiczono przy drabinkach, skakano przez płotki, ścigano się na czworakach, rzucono piłkami lekarskimi, szamotano się z ciężkimi, zapaśniczymi manekinami. „Nigdy nie czułem się tak lekko, tak świeżo jak wtedy”, wspomina Sarnat. Ale takie zajęcia wywoływały też frustrację. Podczas treningu na sali judo Szymkowiak był w parze z Arkadiuszem Głowackim – mieli nabiegać z przeciwnych stron i zderzyć się na środku, biorąc w kleszcze zapaśniczego manekina. Gdy Głowa się rozpędził, to na środku sali zgarnął ciężki materac, potem chuderławego Szymkowiaka i zatrzymał się dopiero pod przeciwną ścianą. Szymek nie wytrzymał. Stał i zaczął wymachiwać rękoma:

- Co to ma być! Ja tu przyszedłem grać w piłkę, a nie rzucać się jakimiś kukłami!

„Można było zwariować, ale trzeba przyznać, że człowiek czuł się po tych treningach naprawdę super. Teraz to doceniam”, mówi dziś Szymkowiak.

Coś jednak przestało funkcjonować. W pięciu wiosennych meczach wiślaczy zdobyli tylko pięć bramek, w tym aż cztery po rzutach karnych. Decyzja o zwolnieniu Lenczyka zapadła po przegranej 0:3 z Widzewem w Łodzi. Po pierwszej połowie gospodarze prowadzili 2:0, obie bramki padły po błędach Szczęsnego. W przerwie do szatni Wisły wszedł Zdzisław Kapka. Jak pamięta Szczęsny, gość nie owijał w bawełnę:

– Na miejscu kilku z was dobrze bym się zastanowił, czy chcecie tu jeszcze pracować. Dzwonił do mnie prezes i powiedział, że po meczu część piłkarzy może stracić pracę.

Lenczyk nawet nie drgnął. W swoim stylu trwał niczym posąg.

– Panie, tyle lat grał pan w piłkę, więc dobrze pan wie, że to najgorszy moment, aby tu przychodzić i straszyć chłopaków utratą pracy – odparował Szczęsny.

Gdy Kapka wyszedł, milczenie przerwał Lenczyk:

– Na miejscu kilku z was dobrze bym się zastanowił, czy warto zabierać głos – skwitował.

Było to kolejne starcie między trenerem a bramkarzem. „Trener nie zrozumiał, że stanąłem w obronie drużyny. Wyręczyłem go, bo w takiej sytuacji to on powinien wstać i powiedzieć, że w szatni rządzi on, trener, a nie wysłannicy prezesa – mówi Szczęsny. – Lenczyk jako szkoleniowiec boi się sukcesu, a to wpływa na postawę piłkarzy. Im bliżej sukcesu, tym boi się bardziej. Robi bałagan w drużynie, zmian w składzie dokonuje chyba na podstawie losowania, a do tego nie ma żadnego kontaktu z piłkarzami”.

Po porażce w Łodzi z Widzewem 0:3 do Lenczyka stracili cierpliwość już chyba wszyscy. Na dywanik trafił także Radosław Kałużny – dostał karę finansową za czerwoną kartkę.

– Sędzia [Mirośław Ryszka – przyp. aut.] już dwie minuty wcześniej oznajmił mi, że i tak mnie upierdoli. Gdy w końcu zrobił to, powiedział: „A teraz wynocha z boiska” – relacjonował dziennikarzom.

Pięć dni po blamażu w Łodzi drużyna przegrała we Wronkach z Amicą 0:1 w Pucharze Ligi, jednak dzięki wynikowi z pierwszego spotkania awansowała do finału rozgrywek. Ponieważ nie mógł wówczas zagrać Marcin Baszczyński, Lenczyk nie miał w defensywie wielkiego pola manewru. A ponieważ uznał, że jeszcze nie czas na reaktywację Łukasza Nawotczyńskiego, kierownik drużyny Marek Konieczny podsunął mu pewien pomysł:

– Trenerze, Łukasz Sosin jako junior w Hutniku grał na prawej obronie.

Wieczorem przed meczem Lenczyk wezwał Sosina na rozmowę na osobności.

– Podobno w juniorach grałeś jako prawy obrońca?

– Grałem.

– I jak ci się grało?

– Bardzo dobrze.

– No to mamy problem, bo jutro znów zagrasz na tej pozycji. Poradzisz sobie?

– Tak, dam radę.

Lenczyk nie wiedział jeszcze, że właśnie kopie sobie grób. Otóż Sosin nie dał rady. Zaraz na początku niemiłosiernie ograł go Remigiusz Sobociński, choć potem nie trafił w bramkę. Wkrótce Sosin znów był spóźniony – tym razem nie nadążył za Robertem Bednarkiem, ten spokojnie dośrodkował, a Sobociński zdobył jedyne goła w tym spotkaniu. Mimo awansu w szatni panowało przygnębienie. Widząc to, Lenczyk postanowił rozładować atmosferę i krzyknął:

– Kto wygrał mecz?!

– Amica! – odpowiedział Olgierd Moskalewicz, a wszyscy piłkarze położyli się ze śmiechu na podłodze.

Trener nie spodziewał się dymisji. W lidze zespół był na pierwszym miejscu i właśnie awansował do finału Pucharu Ligi.

– Mecz z Amicą oceniam tylko pod kątem awansu – powiedział na konferencji prasowej. W klubie był odosobniony w tej opinii.

W drodze do sali konferencyjnej usłyszał rozmowę, która dała mu do myślenia. „Bogdan Basałaj nie wiedział, że za nim idę – wspomina Lenczyk. – Rozmawiał przez telefon z Cupiałem. Używał określeń, które były poniżej pasa. Mieszał mnie z błotem, psioczył na grę drużyny. »I jeszcze ten Sosin w obronie!«, powtarzał kilkakrotnie”. Basałaj nie krył się ze swoją opinią.

– Nasza gra w tym spotkaniu była kompromitująca. Brak reakcji byłby naszą słabością – powiedział dziennikarzom jeszcze we Wronkach.

Machina ruszyła. Na drugi dzień Lenczyk stracił pracę.

Bogdan Basałaj pamięta, że Lenczyk kaprysił, długo nie chciał przyjść do gabinetu, gdzie czekała na niego dymisja. Trener wspomina to inaczej. „Decyzję przekazał mi Zdzisiek Kapka, który kiedyś był moim zawodnikiem. Widziałem, że czuje się bardzo niezręcznie w tej sytuacji, ale taka była jego rola i nie mam do niego żadnych pretensji”. Lenczyk odnosi wrażenie, że w klubie miał wrogów w osobie nie tylko Koźmińskiego. „To, kim zostałem zastąpiony [Adamem Nawałką – przyp. aut.] i w jaki sposób do tego doszło, było tylko potwierdzeniem tego, co działo się wokół mojej osoby wcześniej. Nie czułem, by wszyscy w klubie pomagali mi w odniesieniu sukcesu. Była tam grupa ludzi, która uznawała się za wiślaków, a ja byłem tym z zewnątrz. Z tego powodu nigdy nie uczestniczyłem w żadnych klubowych uroczystościach, bo było tam za dużo fałszywych osób, które mi nie leżały”, mówi. Zbigniew Koźmiński zaznacza z kolei: „Może to zabrzmie głupio, ale z powodu jego abstynencji alkoholowej zawsze trudno było się z nim porozumieć”.

W ten sposób historia zatoczyła koło po raz n-ty. W zamierzchłej przeszłości Lenczyk był już zwalniany z funkcji trenera Wisły i zawsze w tle stała butelka wódki.

Jasne, przy kieliszku łatwo przejść na inny poziom znajomości, problemy, zdawałoby się, nie do przeskoczenia z każdym toastem karłowacieją, a konflikty idą w niepamięć, ale w 2001 roku Lenczyka nie zwolniono z powodu abstynencji. Trener co rusz eksperymentował z ustawieniem taktycznym, jakby przekonany, podobnie jak Cupiał, że dobrzy piłkarze poradzą sobie w każdej konfiguracji. Ciągłe szukał swojego autorskiego stylu, był zdeterminowany, by odcisnąć na tej drużynie swoje piętno. Uwielbiał zaskakiwać, choćby sadzając zawodnika na ławce po udanym meczu. Przerzucał piłkarzy z pozycji na pozycję – dziś jesteś pomocnikiem, jutro obrońcą. Raz obrońców było trzech, innym razem czterech. Raz Łukasz Sosin był napastnikiem, raz prawym obrońcą. Tego ostatniego pomysłu Cupiał ponoć długo nie mógł mu wybaczyć.

Nie trzeba być piłkarskim ekspertem, by wiedzieć, jak duża to różnica, ile treningów, ile meczów, ile błędów, ile fatalnych nieporozumień trzeba, by w nowym systemie odnaleźć skuteczność. W trakcie kadencji Lenczyka błędy te, miast na zgrupowaniu w leśnej głuszy, popełniane były podczas gry o punkty. „Na treningach rzadko szlifowaliśmy taktykę, efekty były potem widoczne na boisku”, mówi Mirosław

Szymkowiak. „Jakkolwiek to zabrzmiało, taktyka nie jest mocną stroną trenera Lenczyka”, dodaje Adam Piekutowski.

Opinia zawodników miała duży wpływ na zmianę szkoleniowca. „Do Cupiała pojechała delegacja piłkarzy z wnioskiem o zmianę trenera. Choć brzmi to niewiarygodnie, tak było! Potem taka sama sytuacja powtórzyła się przy okazji odejścia Petrescu”, mówi Janusz Basałaj. „Delegacja u Cupiała? Bzdura!”, mówi Tomasz Frankowski. A jednak coś było na rzeczy, o czym dobrze wie Maciej Szczęsny. Gdy o opinię na temat trenera spytał go jeden z zaufanych ludzi Cupiała, bramkarz nie miał wątpliwości, co odpowiedzieć. Oto nadarzyła się idealna okazja, by dokonać prywatnej zemsty. „Skorzystałem z niej z dziką rozkoszą”, zapewnia Szczęsny. Wkrótce po rozmowie Lenczyk mógł się pakować.

Choć zostawił drużynę na pierwszym miejscu, nie otrzymał medalu za mistrzostwo Polski. „Medal? Chyba pan żartuje! Wiem od dobrze poinformowanego człowieka, że mój następca był mocno zdziwiony, gdy dowiedział się, że klub przygotowuje mi jakąś nagrodę, bo przecież to on zdobył tytuł”, mówi.

Ale z Cupiałem w dobrych stosunkach jest do dziś, właściciel nie raz udowadniał, że potrafi wybaczać błędy. Zresztą przy Wiśle przez pewien czas kręcił się jego syn Adrian Lenczyk. Jest prawnikiem, a jego nazwisko przewija się w dokumentach finansowych spółki.

13. PRZEKRĘT, KTÓREGO NIE BYŁO

Dwa dni przed meczem z Amicą w końcówce sezonu 2000/01 dwóch piłkarzy poprosiło resztę zespołu o spotkanie w klubowym baseniku. Gdy zjawiała się cała drużyna, przedstawili propozycję kupna remisów od drużyny z Wroniek. Wisła nie potrafiła wygrać od trzech kolejek, perspektywa utraty praktycznie pewnego już mistrzostwa była coraz bardziej realna. Propozycja trafiła na podatny grunt...

Misję ratowania sezonu po raz drugi z rzędu powierzono Adamowi Nawałce, który ostatnie miesiące spędził na pracy z młodzieżą, był też na stażach trenerskich w Barcelonie, Bayerze Leverkusen, Romie, Osasunie Pampeluna i Realu Sociedad. Z głową napakowaną nowinkami zarządził same typowo piłkarskie treningi, czym szybko zaskarbił sobie zaufanie i sympatię większości zawodników. Postawił na żelazną dyscyplinę, przestał mieszać w składzie. Maciej Żurawski wreszcie zaczął grać jako napastnik, do składu wrócił Ryszard Czerwiec, a niespełna 18-letni wówczas Paweł Brożek dostał szansę debiutu już w pierwszym spotkaniu, z Górnikiem Zabrze. W następnych pięciu kolejkach ekipa Nawałki natrzaskała 13 punktów i zacięła się dopiero wtedy, gdy trzeba było postawić kropkę nad i, gdy zaczęto już produkować szaliki z napisem „Wisła mistrz Polski 2001”. Rozluźnienie przyszło o moment za wcześnie.

Wiele pisało się wówczas o motywowaniu rywali Wisły przez działaczy Legii. „Nie mam nic przeciwko temu. Chyba nie ma w tym nic złego, gdy inny zespół funduje premie za zwycięstwo, tym bardziej że u nas w klubie się nie przelewa”, mówił Marek Kubisz z GKS-u Katowice przed meczem z Wisłą. Im się nie udało, bo przegrali z drużyną Nawałki 0:3, ale w następnej kolejce wiślaczy mierzyli się ze Śląskiem Wrocław i to był początek fatalnej passy.

Radosław Kałużny przez godzinę dreptał w okolicy koła środkowego, aż w końcu Nawałka, przy akompaniamencie przeciągłych gwizdów, zdjął go z boiska, a wraz z nim równie bezproduktywnego tego dnia Tomasza Frankowskiego. „Wyczuwaliśmy, że Radek myślami jest już zupełnie gdzie indziej”, mówi Kazimierz Moskal. Po sezonie nikt nie był w stanie go zatrzymać w Krakowie. Oczywiście w oficjalnych rozmowach zarzekał się, że gra w Wiśle to nadal dla niego zaszczyt, ale w klubie prezentował się wtedy o dwie klasy gorzej niż w reprezentacji (trzy gole w spotkaniu z Białorusią!). Zresztą w jednym wywiadzie jakby się zdradził. Dziennikarz „Piłki Nożnej” Waldemar Skorupka przygotował do rozmowy ciekawostkę statystyczną:

- Czy wierzy pan w magię liczb? – rozpoczął.
- Wierzę, jeśli dotyczy pieniędzy – odparł Kałużny.

Wokół meczu ze Śląskiem (2:2) narosło mnóstwo kontrowersji. Według części obserwatorów miał być ustawiony, a potwierdzeń doszukiwano się na każdym kroku. Trenerem gości był Janusz Wójcik, w Krakowie pamiętany z wyreżyserowanego zwycięstwa Legii 6:0 w 1993 roku. Kibice Wisły i Śląska darzą się sympatią, więc czemu nie mieliby się dogadać także piłkarze? Obie bramki dla krakowian zdobył Mirosław

Szymkowiak, który – wedle teorii spiskowej – jako nowa twarz w zespole był poza układem.

Poza układem miał być także Maciej Szczęsny – również nowy człowiek w drużynie, chadzający swoimi ścieżkami, wiecznie w opozycji. Ze Śląskiem nie zagrał, bo w poprzedniej kolejce uderzył głową w słupek i neurolog nie wydał zgody na występ. Stał przy ławce rezerwowych. Gdy Kałużny zszedł z boiska, Szczęsny złapał go za kark i zaprowadził prosto do szatni. „Niektórzy mówili później, że zrobiłem to, bo chciałem mu wpierdolić za to, że ustawili mecz. A tak naprawdę wziąłem go do szatni, by nie zrobił czegoś głupiego na oczach widzów. Był wściekły, że Nawałka zdjął go z boiska, wskazując na niego jako winnego słabej gry całej drużyny”, wspomina.

Po ostatnim gwizdku sędziego piłkarze zastali w szatni Bogusława Cupiała. Szczęsny pamięta, że właściciel klubu nie krzyczał – spokojnym głosem zapytał tylko:

– Co się stało?

Przeleciał wzrokiem po milczących piłkarzach, pytanie wisiało w powietrzu. Wreszcie spojrzął na Nawałkę:

– Adasiu, co się stało? Dlaczego nie wygraliśmy?

Wedle relacji świadków trener był sparaliżowany strachem, nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Stał jak niesforny uczeń przed dyrektorem szkoły, grzebiąc ręką przy spodniach.

Wreszcie głos zabrał Szczęsny. „Powiedział, że po meczu tradycyjnie piłkarze udają się na rozbieganie, a ma to sens tylko wtedy, gdy robi się to jak najszybciej po końcowym gwizdku. I tak się stało, drużyna wyszła z szatni”, wspomina Marek Konieczny.

Cupiał spojrzął na Szczęsnego z uznaniem. „Powiedział mi, że podobam mu się, bo nie pękam i jestem takim, jak to określił, warszawskim skurwysynkiem”, mówi bramkarz. Zaraz potem właściciel klubu chciał wyjść z szatni, ale pomylił drzwi – zamiast do wyjścia wkroczył do toalety.

– Gdyby pan prezes częściej nas odwiedzał, do takiej pomyłki by nie doszło – skomentował Szczęsny, który – w przeciwieństwie do wielu kolegów z zespołu – na widok Cupiała nie tracił rezonu.

„Kupa śmiechu była. Prezes Cupiał to bardzo pogodny człowiek, który potrafi też śmiać się z samego siebie”, mówi Bogdan Zając.

Po remisie ze Śląskiem Kałużny i Frankowski zostali odsunięci od zespołu na jeden mecz. Klub poinformował, że ten pierwszy otrzymał wolne z powodu kontuzji, a Franek – by być przy żonie, która spodziewała się dziecka. „To był tylko i wyłącznie wewnętrzny problem trenera Nawałki. Był wtedy początkującym szkoleniowcem i myślę, że dziś zgodziłby się ze mną, że niepotrzebnie eskalował konflikt – mówi Frankowski. – Moja żona nie miała kłopotów zdrowotnych, a termin porodu nie był jeszcze tak bliski [syn Fabian przyszedł na świat sześć dni po meczu z Ruchem – przyp. aut.]. Choć byłem poza drużyną, pojechałem do Chorzowa i zasiadłem na trybunach. Była to forma demonstracji. Chciałem pokazać, że wcale nie musiałem siedzieć przy żonie. Taka mała próba sił, zresztą dziś uważam, że całkowicie niepotrzebna”.

Kałużny już do końca sezonu borykał się z problemami zdrowotnymi. Zagrał jeszcze tylko jedno, równie słabe spotkanie. Latem został wypożyczony do Energie Cottbus, potem niemiecki klub skorzystał z prawa pierwokupu (łącznie zapłacili 1,8 mln euro), w ten

sposób Kałużny stał się pierwszym piłkarzem wytransferowanym przez Wisłę za czasów Cupiała. Frankowski szybko wrócił do składu, przed końcem sezonu strzelił jeszcze trzy gole. Wystarczyło, by mimo niepewnej pozycji w zespole wywalczyć drugą koronę króla strzelców.

RYWAL NA WŁASNE ŻYCZENIE

Nim jednak do tego doszło, zespół przez kilka kolejek wciąż nie potrafił wygrać. Drużyna Nawalki liderowała, mistrzostwo było na wyciągnięcie ręki, ale trzeba było po nie sięgnąć. Po remisie ze Śląskiem Wisła przegrała z Ruchem w Chorzowie i z Orlenem w Krakowie. „Był to chyba najgorszy okres w całej mojej przygodzie z piłką”, mówi Kazimierz Moskal.

Za plecami wiślaków oprócz Legii czaiła się Pogoń. W Szczecinie, za pieniądze tureckiego biznesmena Sabriego Bekdasa, zbudowano akurat całkiem przyzwoitą drużynę, która jesienią wygrała w Krakowie 2:1. Mecz świetnie pamięta Zbigniew Koźmiński, który wyemigrował wówczas na chwilę z Wisły, by w Pogoni objąć stanowisko dyrektora sportowego. „Siedziałem tuż obok Cupiała. Sergiusz Wiechowski strzelił dwie bramki, pierwsze i ostatnie w życiu, a mnie nie wypadało się zbyt wylewnie cieszyć. Siedziałem jak mumia egipska. Bogdan nie wytrzymał do końca meczu, po drugim голу wstał i wyszedł. Nawet nie pogratulował, nie podał ręki. Nigdy nie umiał przegrywać”, mówi.

Porażka bolała, tym bardziej że krakowianie, wypożyczając Daniela Dubickiego i Grzegorza Kaliciaka (miał z nimi iść też Grzegorz Niciński), sprzedając za milion złotych Kazimierza Węgrzyna oraz rezygnując z Brasilii, który również trafił do Pogoni, pomogli szczecinianom w budowie silnej drużyny.

„Bogdan Basałaj powiedział mi, żebym lepiej dogadał się z Pogonią, bo w Wiśle grać nie będę. Porozumiałem się z łatwością, bo w Szczecinie dostałem jeszcze lepszy kontrakt niż w Krakowie – wspomina Kaliciak. Kibice Wisły mieli mu za złe, że ciesząc się z wygranej w Krakowie, wykonał coś w stylu gestu Kozakiewicza. – Nie chciałem urazić kibiców Wisły. Po prostu cieszyłem się ze zwycięstwa, bo chciałem pokazać temu Basałajowi, że jeszcze na coś mnie stać”.

Pogoń z wyścigu o mistrzostwo wykreśliła się wiosną, gdy Sabri Bekdas przestał płacić piłkarzom. „Gdyby wytrzymał finansowo, mielibyśmy szansę na tytuł”, zapewnia Węgrzyn. Należności wobec piłkarzy za tamten okres nie zostały uregulowane do dziś.

GDY BUDZĄ SIĘ DEMONY

Na trzy kolejki przed końcem sezonu wiślaków czekała wizyta we Wronkach, potem w planie mieli wyjazdowe spotkanie z Legią. Wciąż wszystko było możliwe. Trzy mecze bez wygranej wytrąciły piłkarzy z równowagi, zgubili pewność siebie. „A jeśli stanie się to, co jeszcze niedawno wydawało się niemożliwe? Co jeśli tytuł jednak wymknie nam się z rąk?” Pytania się mnożyły, a odpowiedzi brakowało. Do tego popularna była wówczas plotka, wedle której całe rozgrywki są ustawione. W takiej atmosferze pojawił się pomysł, aby Amice za upragniony remis zapłacić. Jeden punkt – tylko tyle trzeba było do zaklepania tytułu.

Dziś najodważniej o całej sprawie mówi Maciej Szczęsny. Wersje innych osób, choć nie tak pełne, potwierdzają jego słowa. „Dwóch kolegów z zespołu poprosiło resztę drużyny o spotkanie w naszym klubowym baseniku. Zaproponowali, byśmy się zrzucili i kupili od Amiki remis. Część zespołu aktywnie zaakceptowała ten pomysł, inni pozostawali bierni, co odbierałem również jako swego rodzaju akceptację. Zabrałem głos. »Czy wy jesteście pierdolnięci? – zapytałem. – Gdzie jest wasza męska ambicja? Zrzucić się? Na remis? Z Amicą? Z kim wy chcecie potem wygrywać w pucharach? Jeśli teraz nie nauczycie się wygrywać, to już zawsze będziecie przegranymi!« Po chwili odezwał się także Tomek Frankowski, który powiedział, że nigdy czegoś takiego nie robił i nie ma zamiaru tego zmieniać. Namawiałem ich, byśmy tego nie robili, ale wychodząc z klubu, miałem przekonanie, że nie zrezygnują z tego pomysłu”, relacjonuje Szczęsny.

Faktycznie, na dyskusji się nie skończyło. Wedle jednej z wersji inicjatorzy akcji – niezbyt roztropnie – tuż przed wyjazdem do Wronek zwrócili się po pieniądze do... klubowej księgowej Janiny Starzak. Środków nie otrzymali, za to informacja o dziwnym pomysle piłkarzy niemal natychmiast dotarła do Bogusława Cupiała. Nietrudno się domyślić, jaka była jego reakcja.

„W drodze do Wronek, gdzieś w okolicach Radomska, autokar nagle stanął. Jakaś afera, telefony, gorączkowe rozmowy. Nie wiedziałem, co się dzieje, dopiero po chwili zorientowałem się, że Cupiał dowiedział się o próbie kupna meczu. O ile dobrze pamiętam, przez moment mieliśmy nawet wracać do Krakowa – wspomina Andrzej Iwan. – Piłkarze lubili panią Jasię. Nie wiem, czy chcieli od niej pieniądze, czy może po prostu w zaufaniu powiedzieli o kilka słów za dużo, w każdym razie była zaufanym człowiekiem Cupiała”. Frankowski dodaje: „Zatrzymaliśmy się, aby porozmawiać z trenerem. Każdy z nas zaprzeczył, że pojawił się taki pomysł, więc nie wiem, kto mógłby to próbować załatwić. Wszyscy zapewniliśmy, że żadnych prób ustawienia wyniku nie było”.

Cupiał był wściekły, ale tego dnia we Wronkach Wisła grała czysto. „Po postoju w Radomsku już nikt nie miał zamiaru się bawić w takie rzeczy”, mówi Iwan. Paradoksalnie – do 90. minuty utrzymywał się remis 1:1, co wystarczało, by przypieczętować mistrzostwo. W doliczonym czasie gry gola na 2:1 zdobył jednak Maxwell Kalu. „Piłkarze i tak mieli szczęście, że do Cupiała dotarły te informacje, zanim plan został wcielony w życie. Jeśli dowiedziałby się już po fakcie, natychmiast pierdolnąłby całym tym interesem w pizdu”, przekonuje Ajwen.

Dwa dni po meczu Janusz Atlas na łamach „Tempa” napisał o próbie ustawienia spotkania. Według jego informacji zawodnicy Wisły zaproponowali za remis 250 tysięcy złotych. „Do piłkarzy Amiki »podeszli« piłkarze Wisły. Piłkarze Wisły – do piłkarzy Amiki, a nie klub Wisła do klubu Amica! – to dobitnie podkreślają informatorzy. To miała być prywatna inicjatywa panów kopaczy z Krakowa. Oni mają po meczu punkt i mistrzostwo, a »kuchenni« do podziału między sobą 250 tysięcy złotych. Interes czysty jak złoto”, pisał. W dalszej części artykułu twierdził, że piłkarze Amiki po naradzie postanowili nie przyjmować propozycji piłkarzy Wisły. Zamiast tego o próbie przekupstwa poinformowali trenera, a zarazem wiceprezesa klubu Pawła Janasa. Mieli wówczas stwierdzić: „Zagramy dla klubu, nie dla siebie”.

Byłoby to z ich strony bardzo szlachetne, jednak historyjka spisana piórem Janusza Atlasa prezentuje się dosyć naiwnie. Jak wynika ze śledztwa prowadzonego przez wrocławską prokuraturę, na przełomie wieków korupcja w polskiej piłce wciąż miała się dobrze. Fakt, piłkarze Amiki zarabiali godziwie i nie czuli wewnętrznej potrzeby dorabiania do pensji poprzez handlowanie punktami. Z zeznań osób zorientowanych w temacie wynika, że Amica była wyjątkowo trudna do „podejścia”. Z drugiej strony piłkarze Wisły nie chcieli trzech punktów. 250 tysięcy złotych za remis, który nie wzbudziłby żadnych podejrzeń? Trudno uwierzyć, by zawodnicy Amiki czuli aż tak silne przywiązanie do klubu z fabryki kuchenek, by lekką ręką zrezygnować ze 175 tysięcy złotych (klub za remis wypłacał im 75 tysięcy). Tak naprawdę nie musieli rozstrzygać tego dylematu, bo oferta nigdy nie została skonkretyzowana.

Pewne jest, że informacje podane w „Tempie” wyciekły z Amiki. Przedstawione w taki, a nie inny sposób mogły mieć na celu skompromitowanie krakowskiego klubu. Prokuratura wrocławska, która od lat rozpracowuje tematykę korupcji w piłce nożnej, nigdy nie zajmowała się tym meczem. W kodeksie karnym zapis umożliwiający ściganie za tak zwane przekupstwa sportowe pojawił się dopiero w lipcu 2003 roku, a więc dwa lata później.

NIE DAŁO SIĘ NAWET W DWUNASTU

Nie znaczy to jednak, że nie podejmowano różnych prób wpłynięcia na wynik – nazwa Wisła kilkakrotnie pada w zeznaniach dotyczących korupcji w piłce, ale za każdym razem w takim samym charakterze: niedoszłej ofiary. Z zeznań wynika bowiem, że krakowianie byli za mocni nawet wtedy, gdy mieli przeciw sobie sędziego. Prokuratura ustaliła, że na przestrzeni ostatnich lat rywale Wisły trzykrotnie próbowali ustawić spotkanie. W 2003 roku sędzia Piotr Ś. zeznawał, że działacze Górnika Polkowice obiecali mu premię za przychylne sędziowanie, ale przed wrocławską prokuraturą zapewnił, że mecz prowadził uczciwie (Wisła wygrała 2:0).

Potem dwukrotnie przeciwko Wiśle gwizdał sędzia Zbigniew M. z Piły. W kwietniu 2004 roku za zwycięstwo nad ekipą Henryka Kasperczaaka prezes Wisły Płock Krzysztof D. obiecał mu 10 tysięcy złotych. Skończyło się na hokejowym wyniku 4:4 (płocczanie prowadzili już 4:1), a sędzia starał się, jak mógł – nie odgwizdał zagrania ręką Wahana Geworgiana we własnym polu karnym, a potem ewidentnego faulu na Mariuszu Jopie pod bramką gospodarzy. Płocczanie nie wygrali, więc M. premii nie dostał. Na nagrodę zapracował za to rok później, gdy prowadził mecz z Górnikiem Łęczna. Za wygraną gospodarzy miał obiecaną 20 tysięcy, za remis połowę tej kwoty. Skończyło się 2:2, ale trzeba przyznać, że M. nie musiał się nakombinować. Podopieczni Venera Lički zagrali po prostu wyjątkowo słabo.

AMULET NA ŁAWCE

Maciej Szczęsny przeszedł tego lata do historii polskiej piłki nożnej. Doświadczony bramkarz został pierwszym piłkarzem, który zdobył mistrzostwo Polski z czterema różnymi klubami. I już wcześniej przewidział, jak to się stanie. „Będę amuletem. Wszystkie dotychczasowe tytuły mistrzowskie zdobywałem na stadionie Legii, a w przedostatniej

kolejce Wisła gra właśnie tam”, mówił zimą, gdy podpisywał kontrakt. Na Łazienkowskiej nie zagrał, ku zaskoczeniu wszystkich, bo odkąd trenerem został Nawałka, to on był numerem jeden. Sarnat stał w bramce tylko w meczach Pucharu Ligi lub wtedy, gdy Szczęsny był kontuzjowany. Po meczu z Amicą Wisła grała dwa spotkania Pucharu Ligi z Zagłębiem, bronił w nich Sarnat (zresztą skład był mocno przebudowany), lecz przed wyjazdem na Legię nie doszło do spodziewanej powrotnej rozszady.

„Na zgrupowaniu dzień przed meczem przyszedł do mnie trener i powiedział, że siadam na ławce. Myślałem, że chce wyczuć moje nastawienie, więc odparłem, że chyba żartuje, bo ja takiej okazji nigdy bym nie przepuścił. Trener cały czas powtarzał jednak, że w tak ważnym momencie nie może ryzykować, że musi mieć pewność. Nie wiem, co sugerował, bo na stadionie Legii zdobywałem już tytuł mistrzowski jako piłkarz Widzewa i Polonii, więc czemu niby miałbym teraz odpuścić? Nigdy mi nie wyjaśnił, co miał wtedy na myśli”, mówi Szczęsny.

Z Legią bronił więc Artur Sarnat. Spisał się dobrze, ale wiedział, jak bardzo rozczarowany jest Szczęsny. Żaden piłkarz nie lubi przechodzić do historii w pozycji siedzącej. Sarnat domyślał się, jak mu pomóc. „Już po meczu z Legią w ostatniej kolejce graliśmy u siebie z Zagłębiem Lubin. Umówiłem się z Maćkiem, że po przerwie poproszę o zmianę, by mógł wejść do bramki i tak się stało”, wspomina.

Warto jeszcze wrócić do spotkania z Legią, bo tytuł został przypieczętowany w dramatycznych warunkach. „Do dziś pamiętam podanie od Franka. Było idealne”, mówi Grzegorz Pater, który po zagranii Tomasza Frankowskiego wyprowadził gości na dwubramkowe prowadzenie. W tym samym momencie na stadionie rozgorzało piekło. Z sektorów Legii na murawę poleciała lawina wyrwanych krzesełek, Adam Nawałka został trafiony kamieniem w głowę, kibiców Wisły, wraz z żonami piłkarzy, policja wypchnęła ze stadionu, a Żyleta (sektor najzagorzalszych kibiców Legii) stanęła w płomieniach. W samej końcówce Wojciech Kowalczyk zdołał zmniejszyć rozmiary porażki na 1:2, ale już praktycznie nikt nie patrzył na to, co się dzieje na boisku. Gdy Ryszard Wójcik zagwizdał po raz ostatni, a zawodnicy Wisły podbiegli z wiślacką flagą pod sektor gości, nie było tam już nikogo oprócz kordonu policji. Część fanów machała z wału ziemnego za sektorem.

FAKS Z REALU

Na bankiecie z okazji zdobycia tytułu mistrzowskiego wszyscy świętowali. Niemal wszyscy. Pracownicy klubu pamiętają, że Bogusław Cupiał siedział z pochmurną miną.

– Z taką grą nie awansujemy do Ligi Mistrzów – martwił się.

Prezesa Bogdana Basałaja z równowagi wyprowadził za to kierownik drużyny Marek Konieczny. Do klubu spływały kolejne fakсы z gratulacjami.

– Panie Marku, niech pan gdzieś schowa te pisma – powiedział zaaferowany Basałaj, gdy przestały mieścić się na biurku.

Jedną kartkę zachował:

– To sobie zostawię, bo zostało zaadresowane bezpośrednio na moje nazwisko.

Z Wigier Suwałki. To moje okolice – mówił z dumą.

Konieczny natychmiast się ożywił.

– A wie pan, że ja też dostałem jedno pismo na moje nazwisko?

– Taaak? To niech pan pokaże.

Chwilę później kierownik wrócił z pismem. Faktycznie – nie wiadomo z jakiego powodu było zaadresowane właśnie do niego. Z Realu Madryt. Pod gratulacjami podpisał się Florentino Pérez.

Mistrzostwo stało się faktem i oto wielkimi krokami zaczął zbliżać się dzień próby – Wisła miała stanąć przed pierwszą próbą awansu do Ligi Mistrzów.

14. 21 DNI W LESIE

Adam Nawałka złożył broń jeszcze przed rozpoczęciem sezonu. Nie chciał ponownie stać przed Bogusławem Cupiałem i słuchać pytania: „Adasiu, co się stało?”. Wiedział, jak bardzo właścicielowi klubu zależy na awansie do fazy grupowej Ligi Mistrzów, i wiedział też, że nie jest w stanie tego zagwarantować. Domagał się trzech poważnych transferów, a gdy ich nie dostał – złożył rezygnację. Nie mógł jeszcze wtedy wiedzieć, że za kilka tygodni, gdy wiślacka delegacja pojedzie na losowanie kwalifikacji do Ligi Mistrzów i będzie patrzeć na te kuleczki, to nagle zobaczy – pach! – FC Barcelona. Nawet pięć, siedem czy dziesięć transferów nie zmieniłoby szans na awans. Taki wynik losowania dla wszystkich był jasny – koniec marzeń o Lidze Mistrzów. Dla wszystkich oprócz właściciela klubu – on nadal liczył na awans.

Jakby nie było, Nawałka jest jednym z dwóch trenerów, którzy w trakcie rządów Cupiała opuścili stanowisko z własnej woli. W 2012 roku w jego ślady poszedł Michał Probiez.

Niemal od razu wiadomo było, że drugą szansę otrzyma Franciszek Smuda, choć klub wypuszczał w eter nazwiska rozmaitych zagranicznych szkoleniowców. Francuz Gerard Gil przyjechał nawet do Krakowa, ale uciekł w popłochu, gdy zobaczył bazę treningową, a raczej jej brak. W siedzibie klubu pojawił się Serb Žarko Olarević, mówiło się także o Brazylijczyku Francisco Ferreirze de Aguiar, kandydatem był ponoć René Vandereycken, późniejszy selekcjoner reprezentacji Belgii, ale zrezygnowano z niego, bo zdecydowanie preferował defensywny styl gry. Przynajmniej tak informowano w kontrolowanych przeciekach do prasy.

Smuda wracał do Krakowa po nieudanej przygodzie z Legią. Jesienią 1999 roku, dwa tygodnie po tym, jak wyleciał z Wisły, objął warszawską drużynę. Minęło raptem półtora miesiąca i przyjechał z nią na mecz do Krakowa (1:1). Nie zasiadł jednak na ławce trenerskiej gości. W prasie podano, że ze względu na szacunek dla Bogusława Cupiała spotkanie obejrzał w łoży, w jego towarzystwie. Ale tego dnia nie pojawił się w cupiałówce. Nie było go nawet na stadionie. Mecz oglądał w telewizji, siedząc w pokoju hotelu Cracovia, i za pomocą telefonu komórkowego kontaktował się z Lucjanem Brychczym. Dlaczego tak? Wyjaśnia ówczesny prezes Legii Marek Pietruszka: „W Legii był to drugi taki przypadek. Rok wcześniej przed meczem z Lechem w Poznaniu Jerzy Kopa oświadczył, że otrzymał pogroźki i nie chce być obecny na ławce rezerwowych. Tak też się stało, a Legia przegrała to spotkanie 0:3. Smuda dostał podobne sygnały. Kibice w Krakowie nazywali go zdrajcą, grozili jemu i jego rodzinie. Ostrzegali: »Wiemy, gdzie pracuje twoja kobieta«. Widziałem po Franku, że woli nie ryzykować i uszanowałem jego wolę”.

Wokół Smudy dużo się wówczas działo. Dwa tygodnie po meczu z Wisłą przez jedną noc miał prawo czuć się selekcjonerem reprezentacji Polski. „Było już uzgodnione porozumienie. Do końca sezonu miał łączyć funkcje, by potem zająć się tylko reprezentacją.

Po kilkugodzinnych negocjacjach uściskaliśmy sobie dłonie z Michałem Listkiewiczem. Wszystko było już ustalone, nazajutrz miało dojść do podpisania umowy”, mówi Pietruszka. Nic takiego się jednak nie stało, bo na drugi dzień w Warszawie wylądował Jerzy Engel, a Smuda obszedł się smakiem. „Nigdy nie brałem pod uwagę takiego rozwiązania, aby selekcjoner pracował równocześnie w klubie – zastrzega dziś Listkiewicz. – Z tego powodu pracy selekcjonera nie otrzymał wówczas Smuda, z tych samych pobudek nie zatrudniłem Henryka Kasperczaaka, choć kilka razy o nim myślałem”.

Musieliśmy czekać ponad 12 lat, by przekonać się, że Smuda, owszem, trenerem klubowym jest całkiem niezłym, ale praca w charakterze selekcjonera to rzecz zupełnie nie dla niego. Zresztą z Legią też mu nie poszło – w sezonie 1999/2000 zajął z nią czwarte miejsce, co w połączeniu z brakiem awansu do europejskich pucharów uznano za porażkę. Po rundzie jesiennej kolejnego sezonu legioniści tracili do Pogoni i Wisły pięć punktów, Smuda przetrwał zimę, ale nim liga wznowiła rozgrywki, przegrał w Pucharze Polski z Zagłębiem 0:4 i musiał pakować walizki.

Obawiał się ponownego przyjęcia przez część kibiców Wisły (gdy przyjechał do Krakowa jako trener Legii, kibice wywiesili transparent „Smuda judasz”), ale ofertę i tak przyjął bez dłuższego zastanowienia.

Do sezonu drużyna przygotowywała się w Szwajcarii. Raz jeszcze zawiodła organizacja. Testem generalnym przed startem ligi był sparing z Bordeaux w małej francuskiej miejscowości nad Atlantykiem, La Teste-de-Buch. Drużyna dotarła tam późno wieczorem, kolacji już nie zaplanowano. Na drugi dzień lekkie, kontynentalne śniadanko, a po południu mecz.

– Wieczorem będzie bankiet, to się najecie – uspokajali piłkarzy trenerzy.

Po meczu (1:2) faktycznie był bankiet, ale nikt nie wiedział, że była to kulminacja święta ostryg, więc na stołach nie było nic innego. Ryszard Czerwiec i Tomasz Frankowski mieli za sobą pobyt we Francji, znali ten przysmak, wessali po dwie, a reszta piłkarzy ze zdegustowanymi minami wróciła do autokaru, marząc o kaszance z grilla.

MAURO, CZYLI KŁAMCA

Po kilku miesiącach spędzonych z Orestem Lenczykiem piłkarze sztywno trzymali się narzuconych przez niego reguł:

„Nie wyciągać pierwszej ręki do trenera”, powtarzali sobie w myślach. Tymczasem już pierwszego dnia Smuda gniewnie upomniał Łukasza Nawotczyńskiego:

– A ty, młody, co się nie witasz?

Franz musiał zaakceptować obecność w sztabie trenerskim Ryszarda Szula, za którym nie przepadał. Konflikt między nimi narastał z tygodnia na tydzień. Podczas jednej z odpraw Szul zaczął mówić o sport testerach, o monitorach serca, o komputerach... Smuda nie mógł tego słuchać, gotował się w środku, w końcu nie wytrzymał.

– Rysiu, po chuj te kompjutery?

Na to głos zabrał Maciej Szczęsny.

– Trenerze, kompjutery czy kompjutery? Bo jeśli kompjutery, to ja mam to w djupie!

Smuda próbował, jak to miał w zwyczaju, zabrać kilku piłkarzy z poprzedniego klubu – myślał o Bartoszu Karwanie, Marcinie Mięcielu i Macieju Murawskim, jednak transferów

nie dostał praktycznie żadnych. Do ofensywy transferowej przystąpiono dopiero w trakcie rundy jesiennej – do zespołu dołączyli Mauro Cantoro, Kalu Uche i Ivan Trabalík. Każdy z nich w Wiśle napisał swoją historię – był argentyński tasiemiec, było nigeryjskie kino mówiące o zdradzie, Trabalík zaś zaprezentował typowy czeski, a nie, przepraszam – słowacki film.

Cantoro przybył do Polski jako napastnik, zdobył bramkę w debiucie z Zagłębiem Lubin, a potem strzelał w trzech kolejnych spotkaniach. Łącznie w czterech pierwszych meczach zdobył pięć bramek i szybko zyskał uznanie Smudy. Dopiero później okazało się, że jak na napastnika jest zbyt wolny, ma za to cechy boiskowego łobuziaka. Przez bite osiem lat zajmował się w Krakowie rozbijaniem łuków brwiowych i rozdawaniem kuksańców.

Był mistrzem blefu. Choć szybko nauczył się polskiego i bez większych problemów dogadywał się z kolegami z zespołu, w odpowiednich momentach zapominał tej umiejętności. Najczęściej wtedy, gdy trener chciał mu wytłumaczyć elementy taktyki. Cantoro, w swoim stylu, rozkładał bezradnie ramiona:

– Nie rozumiem – dukał, a reszta drużyny kładła się ze śmiechu.

Był mistrzem w opowiadaniu niestworzonych historii – kłamał z rozbajającym spojrzeniem dziecka, zmyślał, a nawet gdy starał się mówić serio, wyglądał, jakby żartował. Nie sposób było mu wierzyć.

– Ty, Mauro, jak jest po hiszpańsku kłamca? – pytali koledzy.

W ten sposób dorobił się ksywki Mentiroso. A jednak trudno było go nie uwielbiać. Pojedynczym słowem, jednym gestem, zaraźliwym śmiechem potrafił rozładować atmosferę w najtrudniejszym nawet momencie.

Nie lubił się przemęczać na rozgrzewkach, za to gdy dochodziło do gierki treningowej, sam tępił leni. Niby na żarty, bo przecież nie był rasistą, ale jednak najczęściej polował na graczy czarnoskórych.

– Dziś załatwię tego i tego... – mówił, wychodząc na trening. A potem kości trzeszczały.

Tak dobrze jak Cantoro w Krakowie nigdy nie czuł się Kalu Uche i gdyby to zależało od Franza, Nigeryjczyk szybko pożegnałby się z Wisłą. „Trudno mi go ocenić po 30 minutach gry, ale już mówię, że nie jest jakąś wielką postacią. Musimy szukać kogoś lepszego, jeśli w przyszłości chcemy grać w europejskich pucharach”, kręcił nosem po debiucie Uche. Notowania Nigeryjczyka od początku były niskie i wciąż pikowały w dół. Dopóki Smuda był trenerem, Kalu zagrał tylko w czterech ligowych spotkaniach, łącznie 146 minut. Wchodził na same końcówki lub Smuda upokarzał go, ściągając w przerwie. „Nie może liczyć na moje błogosławieństwo. Traktuję go na równi z rezerwowymi, dlatego lepiej stawiać na Polaka”, mówił.

Niewiele osób podzielało zdanie trenera „Po Uche od razu było widać, że ma ogromne możliwości. Sposób poruszania się, operowanie piłką, to wszystko robiło wrażenie, za to nigdy nie miał siły, bo swoje największe walory tracił podczas ciężkich treningów u Franza – mówi Andrzej Iwan. – Ja tak na 100 procent przekonałem się do niego podczas meczu w drużynie rezerw, w Szczucinie czy gdzieś. Uche był już odstawiony od treningów

z pierwszym zespołem, ćwiczył lżej, złapał świeżość i pokazał pełnię swoich umiejętności. To był talent czystej wody”.

Trenerzy pracujący wówczas w klubie musieli przekazać na piśmie swoją opinię na temat Nigeryjczyka. Przeważały głosy pozytywne, Uche nie został odesłany do Espanyolu Barcelona, a gdy trenerem został Henryk Kasperczyk, młody piłkarz zaczął grać jak nigdy wcześniej.

Trabalík, nim podpisał kontrakt, przeszedł w Krakowie testy. W tym samym okresie na treningach pojawił się Radostin Stanew, jednak Smuda wybrał dwumetrowca ze Słowacji. Zwalistą sylwetką zasłaniał sporą część bramki i to był jego najpoważniejszy atut. Sprawność nie była jego silną stroną. Wygimnastykowaniem imponował tylko wtedy, gdy składając się jakby na trzy, niczym scyzoryk, zasiadał za kierownicą swojej škody felicii. Miał za to pęd do wiedzy – do autokaru brał ze sobą encyklopedię, by w drodze studiować kolejne hasła.

W pamięci kibiców zapisał się meczem Pucharu Polski ze Stomilem Olsztyn. Wiślacy prowadzili już 6:0, polowali na kolejną bramkę, chcąc uradować Bogusława Cupiała upragnioną siódemeczką, wtedy jednak słowacki bramkarz wytrącił wszystkich z równowagi. Wybiegł z bramki do bezpieczeństwa piłki, chcąc wyekspediować ją jak najdalej, najlepiej gdzieś na Błonia. Pech chciał, że w nią nie trafił, omal nie urwał sobie nogi i najchętniej, zdawało się, już by się nie zatrzymywał, tylko czerwony ze wstydu pobiegł prosto do szatni. Musiał jednak wrócić do bramki, by stać w niej do końca, wtedy jednak było już 6:1, bo jego błąd wykorzystał Piotr Bajera, a powietrze zdążyło ująć z wszystkich pozostałych wiślaków. Stanew natomiast po nieudanych testach w Krakowie wylądował w Legii i to on w tym sezonie mógł świętować tytuł mistrzowski.

ZMIANA WARTY

Dla Wisły były to przełomowe miesiące. Powoli następowała wymiana pokoleń, odchodzili zawodnicy ściągnięci w ramach pierwszego zaciągu, do głosu zaczęli dochodzić ci nieco młodszy. Marcin Baszczyński, Arkadiusz Głowacki, Kamil Kosowski, Mirosław Szymkowiak, Maciej Żurawski. Teraz oni rządzą szatnią. „Gdy pojawiliśmy się w klubie, tradycją nadal były spotkania w Akwarium. Chodziliśmy całą drużyną. To były inne czasy, piłkarze traktowali swój zawód zupełnie inaczej niż teraz”, mówi Szymkowiak. Z czasem, gdy starsi koledzy, jeden po drugim, opuszczali klub, Akwarium przestało być drugim domem piłkarzy.

Stara gwardia ze zdumieniem patrzyła na Arkadiusza Głowackiego, który na pierwsze zgrupowanie zabrał ze sobą playstation. Żurawski z kolei szokował, chwając się zatrudnieniem specjalisty od kreowania wizerunku. Jako człowiek trudny w pierwszym kontakcie nie był ulubieńcem starszych.

Zmieniły się obyczaje, ale ekipa wciąż trzymała się razem. Częściej niż przedtem zdarzały się nocne wypadki większą grupą. Balowano w krakowskich klubach i kasynach, a potem, gdy uznano, że teren jest spalony, organizowano wspólne wypadki na Śląsk lub do Częstochowy. „Pokazaliśmy starej gwardii, jak można się bawić. Oni kształtowali nasze umysły piłkarskie, a my otworzyliśmy im oczy w kwestiach imprezowych. Nagle zaczęli pokazywać skrywane wcześniej umiejętności taneczne”, śmieje się Kosowski.

Zazwyczaj decyzja zapadała spontanicznie. Jedziemy? Jedziemy! Wieczorem zaufany kierowca busa czekał na stacji benzynowej, wkrótce pojawiali się piłkarze i wesoła kompania ruszała w drogę. Było wesoło, bo podczas przejazdu między bramkami na autostradzie Kraków – Katowice każdy musiał wypić określoną ilość alkoholu. Takie były zasady zabawy. Jechał każdy, kto chciał. Wciąż nie było w tej drużynie podziałów. W ekipie imprezowej było miejsce także dla Kelechiego Iheanacho i Kalu Uche, chociaż w wielu polskich klubach w tamtych czasach czarnoskórzy trzymali się zazwyczaj na uboczu.

Do historii przeszło w kupne Baszczyńskiego i Kosowskiego zorganizowane w gliwickiej dyskotecie Gwarek. Najtrudniejszy był powrót do domu i ponowne zderzenie z rzeczywistością. Tomasz Frankowski musiał się gęsto tłumaczyć, bo zjawił się cały we fluidzie i brokacie. Tomasz Kulawik tak się zakręcił, że chciał wysiąść z busa zupełnie nie tam, gdzie powinien. „Żony kolegów miały później do mnie pretensje. No cóż, zawsze było tak, że co złego, to moja wina”, wspomina ze śmiechem Kosowski.

Aniołem stróżem piłkarzy był klubowy lekarz Jerzy Zajac. Dobroduszny starszy pan potrafił odebrać telefon nawet w środku nocy. Kiedyś nad ranem przyjechał do Grzegorza Kaliciaka, by zszyć mu głowę rozbitą podczas imprezy. W ekstremalnych przypadkach miał też sposób na kaca: rano pojawiał się w mieszkaniu delikwenta z kroplówką, wieszał ją na lampie i podłączał.

– Przed treningiem dojdzie do siebie – uspokajał przerażoną małżonkę, po czym wracał do klubu.

Niektórzy balowali bez oglądania się na konsekwencje. Jeden z piłkarzy wysłał żonę na wakacje, a gdy ta wróciła do Krakowa, okazało się, że w drzwiach mieszkania zostały wymienione zamki.

W szatni wciąż nie było zbyt głębokich podziałów, więc każda okazja była dobra, by się wspólnie pośmiać. Kosmiczne buty, podejrzany płaszcz, dziwnie skrojone spodnie – dosłownie każda, zdawałoby się, drobnostka była okazją do uruchomienia szydery. „Przychodziło się do szatni jak najwcześniej, by szybko wkręcić się w atmosferę. Jak się przychodziło w porze wyznaczonej przez trenera, a w szatni siedziało już kilku chłopaków, człowiek nie wiedział, o czym mowa, i natychmiast mógł się stać celem szydery”, mówi Piekutowski.

Radosław Kałużny, wielki miłośnik białych kłapek, zyskał ksywę Doktor, a gdy Mirosław Szymkowiak przyznał się, że miał w dzieciństwie ksywę Chińczyk, na drugi dzień czekała na niego ścieżka z ryżu, prowadząca wprost do jego miejsca w szatni. Marcin Baszczyński w długim czarnym płaszczu przypominał księdza, więc zaraz powstał dla niego kartonowy konfesjonał. Przykłady można by mnożyć. „Na wejściu zawsze był skaner. Gdy coś było nie tak, zaczynała się jazda”, śmieje się Baszczyński.

Popularny był wówczas serial *Miodowe lata* i przez kilka miesięcy na Grzegorza Patera wołano Norek, a na Artura Sarnata – Krawczyk. Ten pierwszy przez kilka dni jeździł po Krakowie z naklejką o treści „Norek” na tylnej rejestracji samochodu. Grzegorz Kaliciak dopiero po jakimś czasie zorientował się, że na tylnej rejestracji ma naklejkę z napisem „nowożeńcy”.

Raz w konia piłkarze zrobili klubowego lekarza Mariusza Urbana. Tuż przed meczem z Amicą Wronki Artur Sarnat wrzucił mu do torby pokaźny kawałek betonowego krawężnika. Piłkarze z niecierpliwością czekali, aż ktoś dozna urazu, a lekarz będzie musiał dźwignąć torbę i wbiec na boisko. Mecz miał się ku końcowi, Wisła pewnie prowadziła. W końcu Kazimierz Moskał, choć z nikim się nie zderzył, padł na murawę i zaczął wzywać pomocy. Urban poderwał się z krzeselka, bohatersko podniósł ciężką torbę i ruszył na boisko. Dopiero gdy dobiegł do Moskala i zauważył, że ten pęka za śmiechu, zrozumiał, że padł ofiarą żartu.

Pewnego dnia Maciej Żurawski nieopatrznie przyznał, że ma nadwagę. Akurat problemy ze zbędnymi kilogramami miał wówczas Ronaldo – i zaczęło się: Baszczyński popatrzył uważnie na Żurawia i z poważną miną zawyrokował:

– Ty, faktycznie. Jaki ty gruby jesteś! No Ronaldo, kurwa.

Nie dawał mu spokoju. Co jakiś czas mierzył kolegę wzrokiem.

– Nie no, to nawet na twarzy widać. Jaki nalany jesteś. Musisz się koniecznie wziąć za siebie! – dworował sobie z kolegi.

„Świetnie się razem czuliśmy, świetnie się nam grało, świetnie się wspólnie bawiliśmy. Dlatego tak dobrze nam szło”, tłumaczy Kosowski.

CIAŁO OBCE

W wiślackiej szatni nie potrafił się odnaleźć Igor Sypniewski, który trafił do klubu na początku 2002 roku. Już na dzień dobry dostał „strzał”. Na zgrupowanie w Straszęcinie przyjechał osobno. Wiślaczy akurat schodzili z treningu, gdy usłyszeli ryk silnika. Stanęli i zaczęli się przyglądać mercedesowi SL cabrio, który buksując letnimi oponami na oblodzonej drodze, rozpaczliwie próbował pokonać niewielkie wzniesienie przed hotelem. Gdy w końcu się udało, wysiadł z niego Sypniewski. Przed samochodem zgromadziła się niemal cała drużyna. Szybko wytknięto mu, że chociaż auto wyposażone jest w felgi firmy tuningowej AMG, samochód nie jest po tuningu. Był to wystarczający powód, by się z Sypka pośmiać. „Nie potrafił tego przyjąć. Zamiast się pośmiać z siebie albo z aut kolegów, zamiast rzucić przekleństwem, zamykał się w sobie”, mówi Grzegorz Kaliciak. Nie był to udany początek. Kiedy wyszło na jaw, że sypia w koszulce Panathinaikosu Ateny, znów był na celowniku.

W trakcie przygotowań do rundy wiosennej drużyna zagrała w Chorzowie z mistrzem Polski w piłce halowej Cleareksem. Sypniewski wyszedł na parkiet i stanął na namalowanym herbie Cleareksu. W pewnym momencie uznał, że namalowana piłka to prawdziwa futbolówka i zaczął wykonywać zwody. Po chwilowej konsternacji koledzy z zespołu ślaniali się ze śmiechu.

„Nie zdawaliśmy sobie sprawy z jego kłopotów. W tym, że w Wiśle mu nie wyszło, jest trochę naszej winy. Pochodził z najgorszych dzielnic Łodzi, gdzieś to w nim siedziało. Będę go bronił, bo to, co się stało, nie jest tylko jego winą. W trudnych momentach człowiek powinien móc liczyć na rodzinę. Ja zawsze mogłem”, mówi Szymkowiak. „Igor miał swój świat, nie zaczął klimatu panującego w naszej szatni, brakowało mu dystansu do siebie i po prostu nie potrafił się odgryźć”, dodaje Piekutowski. Kosowski nie do końca

zgadza się z takim postawieniem sprawy: „Nikt z niego nie szydził! Igor miał swoje problemy, ale dodatkowo miał akurat pecha na boisku, marnował sytuację za sytuacją”.

12 miesięcy przed pojawieniem się w Wiśle Sypniewski występował z Panathinaikosem w Lidze Mistrzów. Grał znakomicie. Na Old Trafford Ateńczycy przegrali 1:3, ale gdyby Krzysztof Warzycha miał tego dnia lepiej ustawiony celownik, wynik byłby zupełnie inny, a Sypniewski miałby na koncie kilka asyst. Pół roku później był już z powrotem w Polsce, z jakiegoś nieznanego jeszcze wtedy w naszym kraju powodu Grecy pożegnali go bez żalu. W RKS-ie Radomsko imponował skutecznością – w 12 meczach zdobył 7 bramek i tak znalazł się w Wiśle.

W trakcie przygotowań był w niesamowitej formie. „Patrzyłem na tego gościa na treningu i nie mogłem uwierzyć w to, co widzę. On miał wszystko. Biegał dużo i bardzo szybko. Strzelał, dryblował, podawał, a jak wjeżdżał na wślizgu, to tak, by od razu złapać piłkę, wstać i ruszyć z nią w drugą stronę”, mówi Żurawski. Piłkarze z niedowierzaniem patrzyli, jak na pełnym sprincie biega od bramki do bramki, i zastanawiali się, jak to możliwe, że ma tyle siły. Oczy otworzyły im się później, gdy na jaw wyszły problemy Sypniewskiego z narkotykami, alkoholem i depresją. Gdy wychodził na boisko, choć na chwilę chciał zapomnieć o wszystkich kłopotach.

AFERA WE WŁOSZECH

Podczas zgrupowania we Włoszech podpadł po raz pierwszy. Zresztą nie tylko on. Niewiele brakowało, a obóz skończyłby się wielkim skandalem. Trener chciał odesłać do Polski Sypniewskiego, a wraz z nim Kamila Kosowskiego i Macieja Żurawskiego.

Zgrupowanie zorganizował Marek Koźmiński. Zaproponował hotel pod miasteczkiem Coccaglio, który pamiętał z czasów gry w Brescii. Jednak to, co sprawdzało się w trakcie krótkich zgrupowań, nie było najlepszym miejscem na trzytygodniowy pobyt. W pobliżu hotelu nie było nic. Żadnego miejsca, gdzie choć na chwilę można by odetchnąć, zapomnieć o futbolu. Z hotelu na boisko treningowe szło się długim korytarzem, który z dnia na dzień wydawał się piłkarzom coraz dłuższy. Hotel, korytarz, boisko, korytarz, hotel, korytarz, znów boisko – i tak codziennie, bez wyjątku. „Obóz trwał 21 dni, ulubiona liczba Franka Smudy. Totalna dziura, las dookoła, nic więcej. Niektórzy tego nie wytrzymywali. Tomek Frankowski przeżywał prawdziwe załamanie. Ale nie on jeden. Wszyscy mieliśmy doła”, mówi Adam Piekutowski.

Pewnego dnia Smuda wraz z resztą sztabu szkoleniowego udał się na kolację.

– Trenerze, możemy też gdzieś wyjść z Żurawiem i Sypkiem? – zapytał Kosowski.

Franz dobrze wiedział, że piłkarze mają dość, więc dał chłopakom zgodę na wypad, ale ci szybko wrócili do hotelu. W okolicy była tylko stacja benzynowa. Z kolacji trener kilkakrotnie dzwonił do Ryszarda Szula, który został w hotelu. Gdy wreszcie wrócił, natychmiast, wiedziony instynktem lub doświadczeniem, udał się do pokoju Kosy i Żurawia. Zastał tam tę dwójkę w towarzystwie Sypniewskiego – wystarczył mu rzut oka, by stwierdzić, że musieli coś chlapać.

Picie w pokoju? Szalał z wściekłości, ale dowodów zbrodni nie odnalazł. Chciał natychmiast odesłać wszystkich trzech do Krakowa, a dodatkowo ukarać ich gigantycznymi grzywnami. Wszyscy wiedzieli, że bez tych zawodników szanse drużyny na obronę tytułu

mistrzowskiego byłyby znacznie mniejsze, więc konflikt zamieciono pod dywan. Skończyło się na grzywnach, ale nie tak wysokich, jak początkowo domagał się trener.

BŁOTO W POKOJU

Właściciel hotelu przeżywał rozterki. To był mały, rodzinny interes i Włoch miał fioła na punkcie czystości. Hotel traktował jak dom i takiego samego podejścia oczekiwał od swoich gości. Błagał piłkarzy, by myli ubłocone buty w umywalkach umieszczonych na zewnątrz, ale nie wszyscy chcieli spełniać jego zachcianki. Pewnego dnia przybiegł zrozpaczony:

– *Mamma mia!* – rozpaczwał.

Do hotelu znów naniesiono błota, a do tego w jednym z pokoi ktoś urwał lampkę nocną! Smuda natychmiast przerwał trening. Też już miał powoli dość. Zjechał piłkarzy za wszystko, co mu leżało na sercu.

– I kto jeszcze tę lampkę, kurwa, urwał?!

Z drugiego szeregu wychylił się Sypniewski.

– Wielka mi sprawa. Książkę chciałem poczytać...

Sypek bronił się na boisku. Smuda stał przy linii bocznej, drapał się po głowie i zastanawiał, jak ustawić drużynę, by na murawie znalazło się miejsce dla wszystkich trzech napastników – oprócz Sypka i Żurawia miał przecież jeszcze Tomasza Frankowskiego. Uznał, że choć jesienią drużyna grała w systemie 4-4-2, na wiosnę ustawi zespół z trzema obrońcami i trzema napastnikami. W efekcie w marcu 2002 roku stracił pracę (zastąpił go Henryk Kasperczak). „To był początek końca. Nie mieliśmy wówczas zespołu, który nadawałby się do gry w systemie z trzema napastnikami”, przekonuje Żurawski.

Niedługo po Smudzie z Krakowem pożegnał się Igor Sypniewski. Drużyna była na zgrupowaniu przed meczem z Odrą Wodzisław. Gdy piłkarze zaczęli schodzić na śniadanie, Sypniewski już tam siedział. Kompletnie sam, milczący, w bezruchu, jakby nieobecny. Koledzy z zespołu patrzyli na niego jak na jakieś dziwadło. Wieczorem pojawił się na boisku w 75. minucie spotkania, a po meczu zniknął bez śladu. W drużynie plotkowano, że złapał jakąś chorobę weneryczną.

Po kilku tygodniach pojawił się w klubie w towarzystwie ojca. Był roztrzęsiony, przedstawiał żalony widok. Niczym nie przypominał faceta, którym był jeszcze kilka tygodni temu.

– Wiem, że Wiśła mnie podsłuchuje – mówił z przekonaniem.

Opowiadał dziwne historie. Przekonywał, że Zdzisław Kapka gonił go ze strzykawką po ulicy Piotrowskiej w Łodzi, tylko po to, by ukłuć go igłą, a do krwi wprowadzić narkotyki. W klubie patrzyli na niego jak na wariata i wkrótce rozwiązano z nim umowę.

Po latach Sypniewski wspominał swój pobyt w Wiśle na łamach „Przeglądu Sportowego”: „W Krakowie szybko przestało mi się podobać. A zaczęło się od głupich żarcików Frankowskiego i Szymkowiaka. Jak któryś raz zobaczyłem ich roześmiane twarze, to chciałem ich... bombardować”. W autobiografii *Zasypany* zdradził, jaki był jego koniec w Wiśle: gdy klubowy lekarz Jerzy Zajac zabrał go do psychiatry, Sypniewski poderwał się z miejsca, uciekł z gabinetu, pojechał do domu, wsiadł do samochodu

i natychmiast wyjechał do Łodzi. Wspomnienie Wisły było jego największym koszmarem. Tak silnym, że w sierpniu 2003 roku wysłał do PZPN-u pismo z prośbą o niepowoływanie go do reprezentacji Polski. Byleby nie spotkać dawnych kolegów z szatni Białej Gwiazdy.

15. RIVALDO I RONALDO POD WAWELEM

W przeciągu dwóch miesięcy do Krakowa przyjechało dwóch wybitnych brazylijskich piłkarzy: w sierpniu Rivaldo, który strzelił trzy bramki, a w październiku Ronaldo – nawet nie wyszedł na boisko, zakapturzony biegł po Błoniach i nikt go nie rozpoznał.

Sezon 2001/02 pod kierownictwem Smudy rozpoczął się tak sobie. W oczekiwaniu na starcie z Barceloną wiślacy nie potrafili odpowiednio skupić się na lidze. Cztery dni przed pierwszym spotkaniem z Katalończykami przegrali w Łodzi z Widzewem 2:3. To był kolejny raz, gdy Wisłę załatwili jej zawodnicy grający na wypożyczeniu. W łódzkiej drużynie zagrali Adam Piekutowski, Daniel Dubicki i, o zgrozo, Mariusz Jop. W 84. minucie Olgierd Moskalewicz wyprowadził gości na prowadzenie, jednak nim mecz się zakończył, Jop najpierw głową, a potem strzałem z woleja dwukrotnie wprowadził piłkę do bramki Sarnata.

To nie był najszcześniejszy dzień bramkarza Wisły. „Zarypałem dwie bramki. Po przerwie zaczął padać deszcz. Miałem nowe rękawiczki, coś z nimi było nie tak, nie mogłem utrzymać piłki w rękach, a co dopiero bronić. Modliłem się, bym nie miał za dużo roboty, niestety miałem aż nadto”, wspomina. Najpierw zawalił przy bramce Sergiusza Wiechowskiego, a potem, w samej końcówce, powinien obronić jeden z dwóch strzałów Jopa. Nie złapał nic. Zaraz po meczu wyrzucił trefne rękawice do kosza, a w drodze powrotnej do Krakowa myślał tylko o jednym – bał się, że tuż przed spotkaniem z Barceloną straci miejsce w bramce.

Obawa przeszła niemal w pewność po przyjeździe na miejsce. Gdy Sarnat wysiadł z autokaru, Smuda zawołał go i wysyczał w swoim stylu:

– To, że puściłeś dwie głupie bramki, nie znaczy, że nie będziesz teraz bronił. Ty się nie łam, ty masz zapierdalać. Bronisz w następnym meczu.

Motywacja podziałała. Dwa tygodnie później, na oczach 80 tysięcy widzów, Sarnat rozegrał swój największy mecz.

Wielkiego pola manewru w bramce nie było, bo jeszcze w trakcie okresu przygotowawczego kontuzji doznał Maciej Szczęśny. Chciał trenować na równi z młodszymi kolegami. Podczas jednego z treningów biegowych spojrzął na niego Bogdan Zajac:

– Stary, odpuść sobie, bo zaraz zrobisz sobie krzywdę – poradził.

Szczęśny biegł dalej. „Część zawodników bała się ciężkich treningów ze Smudą. Znałem go jeszcze z czasów Widzewa i zapewniałem chłopaków, że będzie dobrze, więc nie mogłem zrezygnować jako pierwszy. W efekcie jako pierwszy się rozsypałem. W trakcie sparingu chciałem szybko wstać, by obronić dobitkę, usłyszałem trzask, coś chrupnęło w kolanie, strzeliły mi obie łąkotki. Taki był efekt przeciążenia – wspomina. Chciał wrócić na boisko jak najszybciej, co nie okazało się najlepszym pomysłem. – Pojawiły się komplikacje. Kolano spuchło do takich rozmiarów, że było większe niż moja głowa”.

Ponieważ nie mógł grać, w przerwie zimowej Smuda zaproponował mu posadę trenera bramkarzy. Szczęsny przyjął propozycję, dzięki czemu miał wątpliwą, jak mówi, przyjemność pracy z Ivanem Trabalíkiem. „Ten facet to największe kuriozum, jakie kiedykolwiek pojawiło się w bramce jakiegokolwiek polskiej drużyny. Był ogromny, wzięli go chyba z jakiejś siłowni albo koksowni, miał natomiast straszne braki w technice”.

– Jak tam forma bramkarzy? – pytał go Smuda.

– Piekut robi szybkie postępy, Artek wciąż jest w formie...

– Nie pierdol mi tu o Piekucie. Co z Trabalíkiem? – dociekał Franz.

– Przecież mieliśmy rozmawiać o bramkarzach – ripostował Szczęsny.

Słowacki wieżowiec pobyt w Wiśle zamknął na 15 występach. Po sezonie wrócił do ojczyzny, potem przez dwa sezony grał w Iranie, zaliczył też krótki pobyt na Cyprze.

Szczęsny wkrótce także opuścił klub. „Bywały dni, gdy kolano tak napieprzało, że nie byłem w stanie wyjść z mieszkania, a co dopiero przeprowadzić trening”, tłumaczy.

Gdy odszedł, wiele osób w klubie odczuło ulgę. Szczęsny zawsze mówił to, co leżało mu na sercu, i zawsze też, jakimś cudem, miał odmienne zdanie niż większość, a tego niektórzy już nie potrafili zdzierżyć.

WISŁA ALBO MISS POLONIA

Wreszcie wybiła godzina zero. Czas próby. Moment, na który Bogusław Cupiał czekał niemal cztery lata, od jesieni 1997 roku. Jego drużyna po raz pierwszy stanęła u bram Ligi Mistrzów.

Katalończycy przybyli do Krakowa totalnie zrelaksowani, dwumecz z krakowskim klubem był dla nich przetarciem przed rozpoczęciem właściwej rywalizacji. Zespół był w przebudowie, Pep Guardiola, wówczas jeszcze piłkarz, właśnie odszedł do Brescii, Carles Puyol leczył poważną kontuzję kolana, ekipę opuścili Boudewijn Zenden, Simão Sabrosa i Emmanuel Petit, a świeży nabytek Javier Saviola poleciał do Argentyny, by czuć przy łóżku ciężko chorego ojca.

Rywalizacji z Polakami najbardziej obawiał się trener Carles Rexach. W 1970 roku był na boisku, gdy Barça do przerwy przegrywała na Camp Nou z GKS-em Katowice 0:2. Choć ostatecznie Katalończycy wygrali i awansowali do kolejnej rundy Pucharu Miast Targowych, respekt pozostał. „Polacy napędzili nam wtedy niezłego stracha”, wspominał przy okazji przyjazdu do Krakowa.

Barcelona do ostatniej chwili walczyła z brazylijską federacją o zwolnienie Rivaldo z występu w meczach przeciwko Panamie i Paragwajowi. „Musimy zrobić wszystko, by do spotkania z Wisłą przystąpić w optymalnym składzie”, mówił prezes Joan Gaspart. Rivaldo był wówczas w szczytowej formie. W końcówce poprzedniego sezonu strzelił Valencií bramkę przewrotną zza linii pola karnego. Gol ten przeszedł do historii futbolu jako jedna z najpiękniejszych bramek i dał Barcelonie miejsce w kwalifikacjach do Ligi Mistrzów.

Ludzie Gasparta dopięli swego, Rivaldo przybył do Krakowa, a przedstawiciele hotelu, który przyjął Katalończyków, szybko przekonali się, że Brazylijczyk funkcjonuje w zespole na wyjątkowych zasadach. Jako jedyny miał prawo zamówić do obiadu... frytki.

Generalnie kwestie żywieniowe były mocno restrykcyjne – specyficznie wyglądało na przykład ustalanie składu kanapek, które piłkarze mieli dostać jako przekąskę. Nad pierwszą obradowano dobre pół godziny, z trudem pokonując barierę językową – ser taki a taki, pomidor tego gatunku, masło takie, a nie inne. Podobnie było przy drugiej kanapce, za to z trzecią było zupełnie inaczej.

– Dajcie do niej, co chcecie, może być coś polskiego – polecił przedstawiciel klubu.

Dopiero później wytłumaczył, dlaczego trzecią kanapkę ma w głębokim poważaniu. Otóż w klubowym regulaminie jest mowa o trzech kanapkach, ma być ich nie mniej, nie więcej, a serwowane są piłkarzom w odpowiedniej kolejności. Lata doświadczeń wykazały, że 80 procent zawodników poprzestaje na pierwszej kanapce, 20 procent zjada także drugą, natomiast trzeciej nie tyka już nikt.

– Te kanapki lądują w koszu – przyznał Hiszpan z rozbijającą szczerością.

W noc przed meczem w jednym z pokojów piłkarze ciupali na konsoli w *FIFE*. Rivaldo nie był zwolennikiem tego typu rozrywek i bezskutecznie prosił kolegów, by poszli spać. Luis Enrique, Phillip Cocu i Sergi nic sobie z tego nie zrobili, do łóżek udali się dopiero o 4.00. Na drugi dzień to Rivaldo bawił się z wiślakami, jakby grał w grę komputerową – kilka godzin wypoczynku wystarczyło mu, by ustrzelić hattricka.

Mecz mógł się podobać. Piłkarze Smudy trzykrotnie wychodzili na prowadzenie, do przerwy było 3:2. Andrzej Iwan, który obserwował mecze sparingowe Katalończyków, słusznie zauważył, że najsłabszym punktem była defensywa. „W tyłach byli dramatyczni”, wspomina. W bramce stał Roberto Bonano, parę stoperów tworzyli Philippe Christanval i Patrik Andersson. Wszyscy trzej właśnie przybyli do Barcelony, poziom ich zgrania był bliski zeru. Najlepiej wykorzystał to strzelec dwóch goli Grzegorz Pater (trzeciego dołożył Frankowski).

„Od samego początku czułem się na boisku bardzo dobrze. Na prawej obronie grał Mirek Szymkowiak i wspólnie wyłączyliśmy z gry Marca Overmarsa – mówi Pater, który do dziś jest pamiętany głównie z tego meczu, z tych dwóch goli. Znacznie mniej osób pamięta, że to po jego stracie goście zdobyli bramkę na 2:2. – Pamiętam, że arbiter nas trochę skrzywdził. Kluivert sprytnie zostawił nogę, zahaczył nią o Bogdana Zająca i sędzia podyktował rzut karny. Mógł to sobie darować”. „No cóż, wtedy takie karne się gwizdało. Dzisiaj raczej sędzia ukarałby napastnika za symulowanie”, dodaje Zajęc. Świetnie zagrał Kosowski – zaraz po tym meczu Jerzy Engel dał mu zadebiutować w pierwszej reprezentacji Polski.

„Szkoda, że trochę lepiej nie zaprezentowaliśmy się w defensywie, bo była szansa już wtedy ograć Barcelonę – mówi Baszczyński, który na zwycięstwo nad Katalończykami czekał do 2008 roku. – Na boku obrony najczęściej rywalizowałem z Luisem Enrique. Na moją stronę boiska schodził też Rivaldo. Zaraz na początku posmarowałem go po Achillesach: tak na przywitanie, by zrozumiał, że to nie przelewki”, dodaje. Koniec końców goście wygrali 4:3, w tyłach mieli mnóstwo problemów, ale gdy Rivaldo wymieniał piłkę z Kluivertem, wiślaccy obrońcy czuli się jak na karuzeli.

Najważniejszym wydarzeniem rewanżu, szczególnie z punktu widzenia Hiszpanów, był debiut ofensywnego trio Rivaldo – Kluivert – Saviola. Miejscowi dziennikarze zastanawiali się, który z nich zdobędzie więcej bramek, tymczasem bohaterem meczu był

Artur Sarnat. „Pamiętam rozgrzewkę. Na trybunach siedziało 80 tysięcy ludzi. Każdy z nich o czymś mówił, tumult rozmów zlewał się w jeden głośny szmer. Czułem się jak w ulu. Dopiero gdy na chwilę przystanąłem i zacząłem wyłapywać jakby poszczególne głosy, zrozumiałem, ilu ich tam jest. Poczułem się o, taki malutki. Ale gdy zaczął się mecz, o wszystkim zapomniałem”, wspomina. Pokonał go tylko Luis Enrique w 72. minucie. A goście? Goście uznali, że pójsie na wymianę ciosów tego dnia skończyłoby się pogromem i rzadko opuszczali swoją połowę.

W przerwie czerwony z wściekłości Smuda próbował zagonić piłkarzy do roboty. Tradycyjnie wyżył się na Paterze:

– Weź kopnij kogoś w dupę, niech zapamięta cię chociaż z tego! – krzyczał.

Do Katalonii Bogusław Cupiał zabrał Pawła Zarzecznego. O dziennikarzach ma jak najgorsze zdanie, ale jego akurat postanowił poznać. Po meczu na Camp Nou krakowska delegacja wyruszyła do Monako na spotkanie o Superpuchar Europy pomiędzy Liverpoolem a Bayernem Monachium. W trakcie podróży Zarzeczny zaczepił właściciela klubu.

– Właściwie to na co panu, kurwa, ta Wisła? Kupiłby pan finał Miss Polonia i miałyby pan dziesięć dobrych dup. Nie byłoby lepiej?

„Żart Zarzecznego nie rozbawił Cupiała, a jego zapał do dziennikarza szybko ostygł”, wspomina Janusz Basałaj.

SPOTKANIE Z RIJKAARDEM

W Barcelonie zakończyła się pierwsza próba awansu do Ligi Mistrzów. W sercu Katalonii Bogusław Cupiał na własne oczy przekonał się, jak trudna może być droga do fazy grupowej. Był rozczarowany Smudą, praktycznie natychmiast podjął decyzję, że trzeba zmienić trenera. „Nie podobała mu się taktyka na ten mecz. W Krakowie przegraliśmy, więc do awansu potrzebna była wygrana, a Smuda zagrał tak, by jak najniżej przegrać”, mówi Koźmiński, a Szymkowiak ocenia: „Jestem przekonany, że jeśli w tamtych czasach droga do Ligi Mistrzów byłaby taka jak po reformie przeprowadzonej przez Michela Platinię, zdołalibyśmy się przebić przez kwalifikacje, i to nie raz”. Tego jednak sprawdzić już się nie uda.

Po przegranej z Barceloną krakowianie spadli do Pucharu UEFA i już w pierwszej rundzie trafili na niewygodnego rywala. 11 września rano szykowali się do wylotu do Splitu na pierwsze spotkanie z Hajdukiem, gdy świat okrążyła informacja o ataku na World Trade Center. Mecz został przełożony, dzięki czemu, chociaż nieładnie mówić o korzyściach płynących z takich okoliczności, Szymkowiak zdążył wrócić do zdrowia i wystąpić w tym spotkaniu.

Przed meczem w Splicie piłkarze wybrali się na spacer po plaży. Rozgorzała ożywiona dyskusja. Otóż część zawodników uważała, że Adriatyk to jezioro, za nic mieli opinię innych, którzy zapewniali: „Panowie, nie pierdolcie, przecież to morze”. Spór zapewne zostałby nierozstrzygnięty, gdyby nie ciotka Jacka Przybylskiego. Nauczycielka geografii musi znać odpowiedź na takie pytanie. Piłkarze zebrali się wokół rezerwowego bramkarza, ten wyciągnął telefon. Dzwoni. Jak w teleturnieju – telefon do przyjaciela.

– Ciociu, słuchaj, taka sprawa – Przybylski wykląda problem, w końcu otrzymuje odpowiedź: – Adriatyk to morze.

Szybko nasunęło się kolejne pytanie.

– Ty, jak tu może być głęboko? – zagał jeden z piłkarzy.

Zdania znów były podzielone, więc panowie postanowili znaleźć odpowiedź w sposób empiryczny. Szybko skombinowali długi drut i obciążyli balastem w postaci breloka wraz z kluczem od jednego z pokojów hotelowych. Było głęboko – pięć metrów, czy jakoś tak. Niestety, klucz do pokoju Patera został na dnie.

Hajduk do rywalizacji z Wisłą przystąpił z wybrakowaną obroną. Igor Štimac został zawieszony przez UEFA na sześć spotkań za uderzenie przedstawiciela RCD Mallorca, a Mate Bilić tuż przed meczami z krakowianami odszedł, za 4 miliony marek, do Realu Saragossa. Mecz w Splicie był budujący, bo choć wiślacy kończyli go w osłabieniu (wyleciał Kamil Kosowski), w samej końcówce doprowadzili do remisu 2:2.

Wojnę nerwów w Krakowie Chorwaci przegrali – skupili się na atakowaniu, jakby zapominając o defensywie. Jedyne goła zdobył Frankowski, do Splitu piłkarze Hajduka wracali wściekli. Zdenerwowany Igor Štimac, ćmiąc papierosa, opędał się od dziennikarzy. Darijo Srna doszukiwał się teorii spiskowych: „Jeśli Wisła nie zapłaci sędziom, to odpadnie w kolejnej rundzie. Czerwona kartka dla Hrvoje Vejicia praktycznie zakończyła mecz”, przekonywał. Najbardziej rozczarowany był trener Nenad Gračan – porażkę w Krakowie przypłacił utratą posady.

Franz powoli zaczynał się domyślać, że i jego los jest przesądzony. „Gdy pojechaliśmy na mecz z Interem do Triestu, to zamiast mobilizacji ktoś puścił przeciek o Białorusinie Małofiejewie, który rzekomo miał mnie zastąpić. Od tego czasu ciągle się coś działo. Czuję się, jakby ktoś chodził ze szpadą wymierzoną w moje plecy”, mówił w marcu 2002 roku, gdy już został zwolniony.

Działo się faktycznie sporo. Jeszcze przed meczami z Interem Mediolan Cupiał był ze swoimi ludźmi w Holandii. W Rotterdamie doszło do spotkania z Frankiem Rijkaardem, który po pracy z reprezentacją Oranje objął zespół tamtejszej Sparty. „Szukaliśmy trenera w Holandii. Z Rijkaardem poruszyliśmy temat pracy w Wiśle, jednak nie wyszliśmy poza wstępne rozmowy – mówi Zbigniew Koźmiński. – Cupiał ubijał wtedy w Holandii jakiś interes, podpisywał dużą umowę z Chińczykami. Trwały negocjacje, w powietrzu fruwały wielkie kwoty, a on, jakby odcięty od świata, na drugim końcu stołu przeglądał foldery z piłkarskimi stadionami”.

RONALDO, WAKE UP!

Na stadion z prawdziwego zdarzenia w Krakowie wciąż czekano. Mecz z Interem w drugiej rundzie Pucharu UEFA rozpoczął się o 13.00, bo nie było nawet oświetlenia. „Gdy Włosi przyjechali na trening, myśleli, że to stadion rezerwowy. Nie mogli uwierzyć, że będą grać właśnie tutaj”, wspomina Zbigniew Koźmiński. „Szatnia dla gości była małutka. Ściany pokrywał grzyb, którego nikt nie był w stanie się pozbyć. Skrobali, malowali, a on zaraz znów wychodził”, mówi Sarnat. Wrażeniami z dziennikarzami dzielił się Luigi Di Biagio: „Stadion? Murawa jest w porządku, ale reszta jakaś dziwna. Brakuje trybun za bramkami, czego jeszcze nigdy nie widziałem”.

Wrażenie na gościach zrobił za to przepych panujący w cupiałówce. Gdy Massimo Moratti ujrzał w loży pieczone świniaki, nie mógł wyjść z podziwu.

Wcześniej obie drużyny spotkały się we Włoszech. Inter potraktował sprawę ulgowo – zamiast w Mediolanie zagrano na mniejszym stadionie w Trieście, a Héctor Cúper oszczędzał kilku piłkarzy. Włochów próbował rozpracować Andrzej Iwan, ale nie było to proste, bo w rozgrywkach ligowych drużyna grała zupełnie innym składem. Tuż przed meczem, gdy wiadomo już było, że 19-letni Adriano zagra przeciwko Wiśle w podstawowym składzie, Arkadiusz Głowacki poprosił Iwana o kilka wskazówek.

– Uważaj, ma bardzo silną prawą nogę – usłyszał.

W 60. minucie Adriano wpadł w pole karne. Głowacki był przekonany, że uderzy prawą nogą, ale Brazylijczyk huknął z lewej, piłka odbiła się od poprzeczki, a z bliska do siatki wpakował ją Mohamed Kallon. Sędzia Leslie Irvine uznał bramkę, choć napastnik z Sierra Leone był na ewidentnym, kilkumetrowym spalonym.

Po meczu Głowacki podszedł do Iwana:

– Dziękuję, trenerze, za wskazówki – rzucił z przekąsem.

„Nie mogłem wiedzieć, że Adriano jest lewonożny, przecież on dopiero zaczynał. W meczu, na którym byłem, żeby analizować grę Interu, wszedł bodaj na minutę, nawet piłki nie dotknął”, wspomina Iwan.

Kallon poszedł za ciosem. Chwilę później Kamil Kuzera z bliska podziwiał strzał przewrotką napastnika Sierra Leone. Nie trafił piłki czysto, czym zmylił Artura Sarnata – futbolówka odbiła się od słupka i dopiero potem wpadła do siatki. Wynik 2:0 nie był najlepszy, jednak nie zamykał Wiśle drogi do awansu. „W przeciwieństwie do Barcelony w rywalizacji z Włochami naprawdę czuliśmy, że możemy sprawić wszystkim niespodziankę”, mówi Bogdan Zając.

Do Krakowa Inter przyjechał z Ronaldo, jednak słynny Brazylijczyk nawet na chwilę nie podniósł się z ławki rezerwowych. Dwa poprzednie sezony stracił z powodu kontuzji kolana. Wyraźnie przygaszony, włoskich dziennikarzy musiał zapewniać, że nie cierpi na depresję. „Nie wpuściłem go na boisko, bo mecz był zbyt ostry jak dla piłkarza wracającego po kontuzji”, tłumaczył Cúper. Zamiast po boisku Wisły Ronaldo biegał tylko po Błoniach i gołym okiem widać było, że nie jest w najlepszej formie. Inter poprosił o ochroniarza, by towarzyszył Brazylijczykowi podczas joggingu. Gdy wracali do hotelu, zdyszany Ronaldo z uznaniem patrzył na pracownika hotelu:

– Masz świetną kondycję, załapałbyś się w naszym zespole – zapewniał.

Wciąż zaskakiwał swoim zachowaniem – był totalnie zamyślony, jakby nieobecny. Podczas obiadów znudzony obrzucał kolegów warzywami. Gdy kolejni kibice prosili o wspólną fotkę, z uśmiechem na twarzy ochoczo się zgadzał, ustawiał się, po czym, nim migawka aparatu zadziałała, odchodził w swoją stronę.

Włosi chcieli panować nad każdym szczegółem. Według klubowego regulaminu, gdy piłkarze jedli obiad, do restauracji nie mogła wejść kobieta. W ostateczności – w spodniach. A i tak zawodnicy na widok kobiety cmokali i gwizdali, nieomal dławiąc się z wrażenia. Jedli generalnie niewiele, choć w hotelowej kuchni umieścili swojego człowieka, niby kucharza, który potem okazał się szpiegiem. Pili na potęgę, obsługa hotelowa co rusz donosiła do ich pokojów kolejne butelki wody. Rekordzistą był

Francesco Toldo – w trakcie dwudniowego pobytu do jego pokoju dostarczono... 170 butelek.

Inter miał wyjątkowego pecha, bo w tym samym hotelu zamieszkała hałaśliwa wycieczka z Izraela, która nie dawała Ronaldo spokoju. Najpierw omal nie stratowali go w windzie, później, w noc poprzedzającą mecz, dobijali się do jego okna: „Ronaldo, wake up!”. Hotelowa ochrona chodziła od pokoju do pokoju, próbując uspokoić kłopotliwych gości.

– Jeśli odpadniemy z Wisłą, zażądamy od hotelu takiego odszkodowania, że się nigdy nie wypłacicie! – groził rano przedstawiciel Interu.

Héctor Cúper znów wystawił przemeblowany skład. Smuda także musiał improwizować – za czerwoną kartkę nadal pauzował Kamil Kosowski i nie było kim załatać dziury z lewej strony. Gdy Franz wytypował Żurawskiego, ten tylko się skrzywił. Smuda bezradnie rozłożył ręce:

– A co, mam Franka tam wstawić?

Żurawiovi pozostało się zgodzić, a zaraz na początku wykorzystał świetne podanie od Frankowskiego, w swoim stylu zbiegł do środka i wyprowadził gospodarzy na prowadzenie. Remis w dwumeczu mógł zapewnić Szymkowiak. Świetnie tego dnia bił rzuty wolne, po jednym z nich piłka trafiła w słupek. „Muszę przyznać, że drzałem wówczas o losy tego meczu. Na szczęście udało się przejść dalej”, mówi Cúper na konferencji prasowej.

Inter dotarł do półfinału, by tam przegrać z późniejszym zwycięzcą rozgrywek Feyenoordem Rotterdam. Podobny los spotkał w tym sezonie Barcelonę. W półfinale Ligi Mistrzów przegrała z Realem Madryt.

ZACISKANIE ZĘBÓW

Po meczach z drużyną z Katalonii w niełaskę popadł Bogdan Zając. „Niektórzy doradcy pana Cupiała stwierdzili, że z Zająca trzeba zrezygnować, bo nie sprawdził się z Barceloną. Na takiej samej zasadzie trzeba by odstrzelić zapewne z połowę obrońców w lidze hiszpańskiej, bo i oni nie radzili sobie z gwiazdami Barcy”, ocenia. Na czarną listę trafił także Olgierd Moskalewicz – kolejna wojna o system premiowania przekreśliła jego przyszłość w klubie. W jednym z wywiadów nazwał prezesów dyletantami. „Zawsze byłem człowiekiem, który mówił to, co myślał. Dziś mogę żałować, bo musiałem odejść z klubu”, mówi. Obaj byli już przeznaczeni do odstrzału, ale gdy przychodziły ważniejsze mecze, nagle okazywali się potrzebni i wychodzili na boisko. A potem znów lądowali na ławce rezerwowych albo poza kadrą.

W niełaskę z niewiadomych powodów popadł także Artur Sarnat i w listopadzie, wraz z Olgierdem Moskalewiczem, został wypchnięty do tureckiego klubu Diyarbakırspor. Ten pierwszy podpisał trzyletni kontrakt, Moskalewicz trafił do Turcji na zasadzie wypożyczenia. „To była porażka pod każdym względem. Wylądowaliśmy w głębokiej Azji, czuliśmy się nieswojo. Bardzo się ucieszyłem, gdy okazało się, że turecki klub nie wywiązuje się z zobowiązań finansowych i wracamy do Krakowa”, mówi Sarnat.

On wrócił do drużyny, dla Moskalewicza drzwi nadal były zamknięte i wkrótce wylądował w RKS-ie Radomsko. „Miałem nadzieję, że czas zagoi rany, ale nic takiego się

nie stało. Potem żałowałem, że nie zacisnąłem zębów i nie zostałem w klubie. Niedługo później pojawił się Henryk Kasperczak, który miał sporo do powiedzenia. Gdyby widział mnie w swojej koncepcji, być może udałoby się wszystko odkręcić. A tak pozostaje satysfakcja, że ci, którzy trafili do Wisły później, dzięki ówczesnej radzie drużyny mieli sprawy premii wyklarowane. Szkoda tylko, że ja przypłaciłem to głową”.

Niemal w tym samym czasie z Wisły odchodził kumpel Moskalewicza z Pomorza Grzegorz Niciński. Franciszek Smuda zarzucił mu nadwagę, co Nitek wziął sobie do serca i zaczął się katować w saunie czy chodzić na zabiegi oczyszczające – robił wszystko, by zbić wagę i w końcu mu się to udało. „Totalnie zwariował na tym punkcie. Z silnego i masywnego piłkarza stał się chuderlakiem. Może miał lepszą sylwetkę, ale przekreślił w ten sposób niemal wszystkie swoje walory”, mówi Kosowski.

Nie ulegało wątpliwości, że klub potrzebuje zmian. Starcie z wielką piłką okazało się brutalne, ale wkrótce w Krakowie zjawiał się człowiek, który sprawił, że na Wisłę zaczęto patrzeć w Europie z szacunkiem.

16. MASZYNA DO WYGRYWANIA

Napięcie stało się nie do wytrzymania. Luty dobiegał końca, od sześciu tygodni drużyna jeździła ze zgrupowania na zgrupowanie. Holandia, Cypr, w końcu Francja. Od początku roku wiślacy spędzili w domach raptem kilka dni. Nie mogli już na siebie patrzeć. Dzień w dzień te same twarze, te same obowiązki, te same, z każdym dniem coraz głupsze, rozmowy. Podczas gierk treningowych opiekun bramkarzy Marek Holocher robił za sędziego liniowego. „Heniu Kasperczak delegował go do najgorszej roboty. Takie mięso, takie bluzgi na niego leciały, że miał biedak dość”, wspomina Marcin Baszczyński. W końcu, w trakcie kolejnego treningu, wskaźnik temperatury wkroczył na czerwone pole. Coś pękło. Arkadiusz Głowacki skrzyżował spojrzenie z Maciejem Żurawskim. Obaj nie byli już sobą. W ruch poszły pięści.

W takiej atmosferze Wisła szykowała się do rewanżowego meczu z Lazio Rzym. Mecz, który miał otworzyć jej drogę do finału Pucharu UEFA. Mecz, którego nie było, a raczej był, ale tydzień później, gdy emocje opadły, a górę wzięło kunktatorstwo Włochów.

Przyjście Henryka Kasperczaka w marcu 2002 roku sprawiło, że drużyna zaczęła grać efektownie jak nigdy wcześniej. Bogusław Cupiał czekał na niego cztery lata. Gdy wreszcie się doczekał, w pierwszej chwili mógł poczuć się zbity z tropu. Na rozmowy kontraktowe Kasperczak przyszedł z żoną Małgorzatą.

– Zły znak, zły znak – szeptali doradcy.

Do spotkania doszło w restauracji przy Małym Rynku w Krakowie. Cupiał przybył pierwszy, w towarzystwie Zdzisława Kapki, Huberta Praskiego i Zbigniewa Koźmińskiego. Jak wspomina ten ostatni, żona Kasperczaka, ku przerażeniu Cupiała i jego towarzyszy, zabrała głos.

– Jakby pan to wszystko widział? – zapytał w pewnym momencie Cupiał.

Ponoć nim Kasperczak zdążył otworzyć usta, małżonka złapała go za ramię:

– Heniek! Nic nie mów! Jeszcze niczego nie podpisałeś!

Atmosfera siadła. Na ważne negocjacje z żoną? I jeszcze pozwalać jej uczestniczyć w dyskusji?! Kto wie, jakie myśli chodziły po głowie Cupiałowi i jego ludziom. Z każdą chwilą rozmowa kleiła się jednak coraz bardziej. Coś przekazano, trochę wypito, języki się porozwijały i wkrótce sprawę można było uznać za załatwioną. Kasperczak wywalczył sobie duży zakres władzy – miał odpowiadać nie tylko za trenowanie zespołu, ale też za ruchy transferowe. A pani Małgorzata przez cały czas była blisko męża. Jako jedna z nielicznych kobiet zasiadała od czasu do czasu w cupiałówce, ale tylko wtedy, gdy właściciela klubu nie było akurat na meczu.

Pozostawała czujna. „Pewnego dnia jeden z zagorzałych kibiców, mój przyjaciel, stwierdził coś w stylu: »Jest nowy trener, ale drużyna gra po staremu«. Pech chciał, że żona Kasperczaka to usłyszała – wspomina Andrzej Iwan. – Natychmiast doniosła mężowi:

»Heniek, ten facet źle mówi o Wiśle«. Dopięła swego. Przez jakiś czas facet nie mógł kupić biletu na łożę, gdzie zasiadał od lat».

PIŁKARSKIE PRZEDSZKOLE

Kasperczak wracał do kraju po 24 latach, szkoleniowcem polskiej drużyny miał zostać po raz pierwszy. Znano go z sukcesów trenerskich we Francji i Afryce. Imponował lwią grzywą i niespotykaną pewnością siebie, ale nikt nie wiedział, czego się po nim spodziewać. Pierwsze zaskoczenie pojawiło się zaraz na początku. „Trener zwracał się do nas po nazwisku. Muszę przyznać, że mnie to uwierało, na szczęście nie trwało to długo”, mówi Żurawski.

Kolejne zaskoczenie spotkało piłkarzy przed pierwszym meczem, z GKS-em Katowice. „Rano poszliśmy na spacer. Trener szedł razem z nami i podchodził do poszczególnych zawodników. Pytał, jak to widzimy, jaka jest sytuacja, uspokajał, mówił, że trzeba czasu, że trzeba to wszystko poukładać. Byliśmy w szoku, bo żaden trener wcześniej nie posiłkował się naszymi opiniami, a już z pewnością nie Smuda”, mówi Baszczyński.

Niedługo później okazało się jednak, że z tych rozmów bardzo niewiele wynika. Kasperczak słuchał, przytakiwał, kiwał ze zrozumieniem głową, by na koniec dyskusji powrócić do tezy postawionej przez siebie na początku rozmowy. „Nie wiem jak inni, ale ja szybko zorientowałem się, że trener w ogóle nie bierze naszych opinii pod uwagę – opowiada Tomasz Frankowski. – Chciał, byśmy odnieśli wrażenie, że jesteśmy nieco ważniejsi, że mamy coś do powiedzenia. Jednak było to na zasadzie: »Fajnie, syneczku, że masz swoje zdanie, ale ja i tak wiem lepiej«”.

„Zdarzało się, że trener zaczynał przemowę po francusku i dopiero po kilku zdaniach orientował się, że coś jest nie tak”, dodaje Jacek Paszulewicz, który – ku nawet swojemu zaskoczeniu – był jednym z pierwszych transferów Kasperczaka.

Piłkarze między sobą mówili o nim Geodeta, bo przed każdym treningiem pieczołowicie układał na boisku pachołki, wszystko było wymierzone co do centymetra. Adam Piekutowski podłapał jego sposób zachowania i styl mówienia. „Trener, ze względu na chore stawy, w specyficzny sposób układa dłonie i zacząłem go naśladować”, mówi. Pewnego razu podszedł do tablicy, ułożył odpowiednio dłonie i zaczął walić ręką o rękę:

– Musimy poprawić jakość! Trzeba zareagować pozytywnie! – grzmiał, a pozostali piłkarze pękali ze śmiechu.

Bramkarz podszedł do jednego z nich, objął po ojcowsku i zajrzał w oczy:

– A ty się dobrze czujesz? Z czego się tak śmiejesz? – dopytywał z francuskim akcentem.

Ledwie skończył, a do szatni wszedł Kasperczak. Zdezorientowany popatrzył na rozbawiony zespół:

– A wy się dobrze czujecie? Z czego się tak śmiejecie?

Zaczął od pracy u podstaw. Na samym początku przyporządkował piłkarzy do poszczególnych pozycji i już tego nie zmieniał. Skończyło się przerzucanie zawodników z miejsca na miejsce. To on, już na stałe, przesunął Mauro Cantoro na pozycję defensywnego pomocnika.

– Będiesz grał tam albo nigdzie – zawyrokował.

Argentyńczyk w ciągu kilku miesięcy stał się jednym z największych fachowców od przerywania akcji w lidze. Nie było to jednak łatwe. Nim do tego doszło, Kasperczak był bliski spisania go na straty, wpisał go na listę transferową, chciał wypożyczyć do Tłoków Gorzyce. W ten sposób, blefując lub nie, zmusił go w końcu, by miał o atakowaniu myślał głównie o zabezpieczeniu własnej bramki.

Po zaszufadkowaniu piłkarzy Kasperczak zaprosił ich do piłkarskiego przedszkola. Po pierwszych zajęciach zauważył, że zawodnicy mają kłopoty z najprostszymi zagraniami, więc kazał im ćwiczyć przyjęcia i podania na krótkie odległości – najpierw w parach, potem w trójkach. Szybko zaczęło przynosić to dobre efekty. Z marszu przestawił także ustawienie drużyny na 4-4-2. System, który w Europie był coraz mniej popularny, w tamtym zespole sprawdził się idealnie. Zresztą nie kryły się za nim tylko cyferki. To był pełen taktyczny pakiet, przesuwanie w poszczególnych formacjach, szlifowane schematy, przejścia do defensywy, potem wyjście z natychmiastowym atakiem i – słynna już – strefa bazowa, czyli sposób na jak najszybszy odbiór piłki. „Tak naprawdę ja dopiero wtedy, dopiero u Kasperczaka nauczyłem się taktyki”, przyznaje Mirosław Szymkowiak.

Początki były jednak trudne. Defensywa nie funkcjonowała jak należy. Tym razem efekt nowej miotły nie zadziałał z taką siłą jak zazwyczaj. W pierwszych czterech meczach pod wodzą nowego trenera drużyna wygrała tylko raz, w Pucharze Ligi, który nikogo nie obchodził. Przygoda Kasperczaka z Wisłą mogła skończyć się bardzo szybko. „Dało się wyczuć nerwową atmosferę. Po remisie z Odrą Wodzisław na własnym stadionie miałem odczucie, że trener może zostać zwolniony”, mówi Kazimierz Moskal.

Pierwsze ligowe zwycięstwo drużyna Kasperczaka wywalczyła w Szczecinie, a nowy trener pokazał, że potrafi być zdecydowany. Gdy nie mógł się doczekać zmiany, podszedł do stanowiska sędziego technicznego, chwycił tablicę, wznosił ją wysoko, osobiście próbując doprowadzić do przeprowadzenia rozszady.

W Szczecinie zapoczątkował serię pięciu zwycięstw zwieńczoną efektowną wygraną 4:1 nad Polonią Warszawa. Przy okazji meczu z Czarnymi Koszulinami po raz pierwszy od dziesięciu lat na wiślackim stadionie rozbłysły jupitery. Postawiono je dopiero wtedy, gdy oświetlenie stało się jednym z wymogów licencyjnych. „Szkoda, że nie stało się to wcześniej w trakcie sezonu. Być może nie stracilibyśmy tylu punktów w meczach u siebie. Właściciele klubu dopiero teraz zobaczyli, jak dobra atmosfera może panować na naszym stadionie”, mówił po meczu Kamil Kosowski.

Słupy oświetleniowe nieźle świecą, ale w piłkę grać nie potrafią. W następnej kolejce do Krakowa przyjechała Legia i na boisku zalanym wodą wywalczyła remis. Po tym meczu do tytułu mistrzowskiego brakowało jej już tylko punktu, który zdobyła cztery dni później.

Mistrzostwo stracono niejako na własne życzenie. Cztery bramki w tym sezonie strzelili Wiśle zawodnicy wypożyczeni z Krakowa – Mariusz Jop (Widzew) i Łukasz Sosin (Odra), co złożyło się na dwie porażki i jeden remis, a więc osiem punktów do tyłu. Z nimi na koncie drużyna skończyłaby sezon na pierwszym miejscu. Od tego momentu wszyscy wypożyczani przez Wisłę zawodnicy mieli w umowie klauzulę uniemożliwiającą im występ przeciwko macierzystej drużynie. Nawet tacy, którzy nie byli jej w stanie zagrozić.

Wisła kończyła sezon rozgrywkami pucharowymi – w finale Pucharu Polski dwukrotnie ograła Amicę Wronki, łącznie 8:2. W Pucharze Ligi górą była za to Legia, która

triumfowała na stadionie Wisły. Dla Bogusława Cupiała nie mógł to być miły widok. „Dzień po zakończeniu sezonu zadzwonił do mnie i mówi: »Zapieprzamy, musimy jak najszybciej odzyskać tytuł«”, wspomina jeden z byłych pracowników klubu. Odzyskali rok później i nie oddali przez trzy lata. Nastąpił okres pełnej dominacji.

MISTRZ GŁUPICH BRAMEK

W trakcie przygotowań do sezonu 2002/03 Kasperczak z zaskoczeniem przyglądał się zachowaniom polskich piłkarzy. Był bardzo tolerancyjny, ale w pewnym momencie zaczął się obawiać. Na zgrupowaniu w Zakopanem panowie znów ostro balowali. „Tomek Kulawik miał dobry sposób. Gdy wracaliśmy rano do hotelu, szedł do kiosku i kupował gazetę”, wspomina Grzegorz Kaliciak. Pewnego razu wpadli na trenera:

– O, wy już z gazetką? Co tam w prasie? – zagaił trener, nie zwracając uwagi na zmęczone po całonocnej balandze twarze zawodników.

W trakcie zgrupowania we Francji kontuzji przywódcy doznał Tomasz Frankowski – do gry wrócił dopiero w marcu następnego roku. Trzeba było szybko znaleźć zamiennika i już dwa dni później na zgrupowaniu pojawił się Marcin Kuźba. „Kamil Kosowski polecał go Henrykowi Kasperczakowi już wcześniej, jednak trener zainteresował się nim dopiero wtedy, gdy doznałem kontuzji”, mówi Frankowski.

Kuźba wracał właśnie do kraju po czterech sezonach gry we Francji (w Auxerre i Saint-Étienne) i Szwajcarii (Lausanne Sports), był już jedną nogą w Widzewie, jednak łodzianie zwlekali ze spłatą zobowiązań i menedżer piłkarza, a zarazem właściciel jego karty zawodniczej Waldemar Kita oddelegował go do Wisły. Okazało się to strzałem w dziesiątkę. Kuźba udanie zastąpił Frankowskiego, a pensję nadal płacił mu Kita. Krakowianie mieli napastnika niemal za darmo.

Do pierwszej drużyny niespodziewanie wrócił także Daniel Dubicki. Przez trzy kolejne sezony ciągle był wypożyczony, zwiedził cztery różne kluby. „Wróciłem do Wisły, bo wciąż miałem ważny kontrakt, ale nie wiązałem z tym faktem dużych nadziei. W maju 2002 roku wygrałem z klubem proces sądowy o zaległe premie i wtedy pomyślałem, że w Wiśle już na pewno nie będzie dla mnie miejsca. Trenowałem z drugim zespołem, ale wróciłem, gdy kontuzji doznał Tomek Frankowski”, mówi.

Po wzmocnieniu ataku pojawił się problem z obsadą bramki. Rozsypał się Artur Sarnat, a gdy Adam Piekutowski stanął przed realną szansą, zaczął puszczać babole. W okresie przygotowawczym prezentował się katastrofalnie. „Sam jestem sobie winien. Być może poczułem się zbyt pewnie, pomyślałem, że nie mam już poważnej konkurencji. W trakcie zgrupowania we Francji broniłem bardzo słabo”, wspomina. Zaniepokojony Kasperczak wykonał kilka telefonów i wkrótce na obozie pojawił się Angelo Hugues. Francuz – jak na bramkarza niezbyt wysoki – był już u schyłku kariery. Okazał się specjalistą w dwóch kwestiach: był fachowcem od bronienia w beznadziejnych sytuacjach oraz mistrzem puszczenia głupich bramek. Gdy się je podliczy – okaże się, że w każdej kolejnej rundzie Pucharu UEFA – z Parmą, z Schalke, z Lazio – puścił po jednej „szmacie”.

Jak na bramkarza przystało, był prawdziwym oryginałem. Podczas zgrupowań jadał dwie kolacje – pierwszą wraz z zespołem i drugą w pokoju. Na łóżku pieczołowicie rozkładał obrus, wyjmował różne gatunki serów, otwierał butelkę wina i przystępował do

wieczery. Z Danielem Dubickim, z którym trafił do pokoju, porozumiewał się za pomocą rozmówek francusko-polskich.

Potem dogadał się z Mauro Cantoro. Ich popisowy numer polegał na wyprowadzaniu z równowagi obsługi hotelowej. Zamawiali do pokoju posiłek, rozbierali się do naga, siadali na łóżkach i zasłaniali tylko twarz – udając, że czytają gazety. Numer był w pełni udany tylko wtedy, gdy do pokoju zajrzała pokojówka, a nie boy hotelowy.

Hugues świetnie wpasował się w drużynę pod względem taktyki. Zazwyczaj stał daleko od bramki, przy rozegraniu pełnił rolę dodatkowego obrońcy. „Pamiętam pierwsze treningi z jego udziałem. Przyjmuję piłkę na 16. metrze od bramki, obracam się, a on stoi tuż przy mnie! Błyskawicznie doskakiwał i odbierał piłkę. W Polsce nie było wówczas drugiego tak grającego bramkarza”, mówi Dubicki, a Marcin Kuźba dodaje: „Mimo że praktycznie nie mówił po polsku, był dobrym duchem zespołu”.

Z marszu do zespołu wszedł także Maciej Stolarczyk. Nim podpisał kontrakt, pojawił się pomysł, by z Włoch ściągnąć Marka Koźmińskiego. Ten akurat odchodził z Brescii. Wrócił już nawet do rodzinnego Krakowa i zaprosił na kolację kilku wiślaków: Grzegorza Kaliciaka, Radosława Kałużnego, Kazimierza Węgrzyna... Na koniec spotkania, gdy na stole pojawił się rachunek, Koźmiński poprosił o długopis, zaczął zakreślać niektóre pozycje:

– To, to... – mruzczał. – I to.

Podliczył i zapłacił tylko za siebie i żonę.

Koledzy byli zaskoczeni, ale Koźmiński był po długim pobycie we Włoszech, a tam fakt, że zapraszasz kogoś na kolację, nie oznacza, że za niego płacisz. Co kraj, to obyczaj.

DZIEWIĘĆ MILIONÓW KIBICÓW

Od początku sezonu 2002/03 Wisła dużo bramek strzelała, ale też sporo traciła. Był taki mecz, z Amicą we Wronkach, gdy można było się zastanawiać, czy na pewno obrano właściwy kierunek. Hugues obronił w pięciu czy sześciu beznadziejnych sytuacjach, skapitulował tylko raz, a Żurawski w doliczonym czasie gry uratował remis. Absolutnie niezasłużony. „Jedziemy na wstecznym”, komentował Kosowski. Potem jeszcze była wpadka z Odrą (2:3 w Wodzisławiu). Kazimierz Moskał, który od początku sezonu miał pewne miejsce w składzie, przyplącił ten mecz poważną kontuzją – strzelając bramkę, zerwał więzadła w kolanie. Po powrocie do Krakowa rada drużyny trafiła na dywanik.

W takich nastrojach wiślaczy przygotowywali się do pierwszego spotkania z Parmą. Po dziesięciu kolejkach drużyna była czwarta w tabeli, ale Kasperczak nie miał wątpliwości, że jego decyzje są słuszne, a obrona taktyka w końcu zacznie przynosić efekty. Wkrótce kibicowała mu cała Polska.

Gdy rozprawiał o futbolu, gospodynie domowe zastygały w zachwycie przed telewizorami, a potem potrafiły zawzięcie dyskutować na temat strefy bazowej. O piłce mówił w taki sposób, jakby stopień komplikacji był równy grze w kółko i krzyżyk. Filozofia gry? „Trzeba stawiać na atak, bo kibice lubią gole”, powtarzał. To była szkoła Kazimierza Górskiego w najlepszym wydaniu. Co równie ważne – w Polsce nie widziano go jeszcze przegranym, roztaczała się wokół niego aura sukcesu, zdawał się wyrastać

ponad nasze polskie piekielko. Niby jeszcze Polak, a już obywatel świata, niby trener krajowy, a jakby fachowiec z zagranicy.

Lubić dali się także jego piłkarze. Ogromną większość stanowili Polacy. Byli młodzi, barwni, zawsze mieli coś ciekawego do powiedzenia, a co najważniejsze, byli gwarantem dobrego piłkarskiego widowiska. Gdy trwał rewanżowy mecz z Lazio, przed telewizorami siedziało dziewięć milionów Polaków. Lepsze wyniki oglądalności notował wówczas jedynie Adam Małysz.

Wcześniej jednak była Parma. Okazała się zespołem diametralnie innym niż ten, z którym Wisła mierzyła się w 1998 roku. Przez cztery lata trwała wielka wyprzedaż, a przy okazji bito transferowe rekordy. Hernán Crespo za 53,5 miliona euro trafił do Lazio, Juventus najpierw wyłożył 49,2 miliona za Gianluigiego Buffona, a rok później dodatkowe 35 milionów za Liliana Thurama. Od 1998 roku w kadrze pozostał tylko jeden zawodnik, Antonio Benarrivo. Na papierze Parma była znacznie słabsza. Poprzedni sezon Serie A zakończyła na dziesiątym miejscu, do Pucharu UEFA awansowała dzięki zdobyciu Coppa Italia.

Kasperczak nie miał zamiaru kalkulować.

– Najlepiej jakby udało się tam zdobyć ze trzy bramki, by mieć spokój przed rewanżem – zapowiedział na odprawie.

Niektórzy byli w szoku. „Nim trafiłem do Wisły, zagrałem kilka meczów w europejskich pucharach. Założenie na spotkanie wyjazdowe z silniejszym przeciwnikiem zawsze było takie, by nie przegrać za wysoko”, mówi Jacek Paszulewicz, który w tych najważniejszych meczach był zazwyczaj wykorzystywany jako zmiana taktyczna. Wchodził z uśmiechem na ustach, gdy wynik był już ustalony.

W Parmie nie zagrał choćby chwili, bo wynik ani przez moment nie satysfakcjonował Kasperczaka. W 25. minucie, po potężnym strzale Massimo Donatiego, gospodarze wyszli na prowadzenie. Angelo Hugues powinien go obronić, bo piłka leciała w środek bramki. Zaraz na początku drugiej połowy do remisu doprowadził Żurawski, który sprytnie wymanewrował dwóch obrońców. „Muszę przyznać, że zupełnie wówczas nie wiedziałem, co chcę zrobić. Uderzyłem piłkę moją mocniejszą, lewą nogą i jakimś cudem wpadło”, wspomina. „Piękna bramka Marcina Żurawskiego i – można powiedzieć – znakomite podanie Stronga”, emocjonował się ówczesny selekcjoner Zbigniew Boniek, który komentował mecz, a nazwiska i imiona niektórych wiślaków sprawiały mu jeszcze sporo kłopotów. Strąka faktycznie uznał za Stronga i jeszcze przed rewanżem wysłał 19-latkowi powołanie do pierwszej reprezentacji Polski.

Spotkanie w Parmie skończyło się porażką 1:2, świetne okazje zmarnowali Kosowski i Kuźba. „W końcu dostałem dobre podanie od Szymka. Oczywiście byłem pewien, że przyjmę piłkę i oczywiście ześlizgnęła się po mokrym bucie”, mówi Kuźba. Sytuacji, i to z obu stron, było znacznie więcej, a mecz ten był pierwszym, jeszcze niezbyt śmiałym sygnałem, że tę drużynę stać na wiele. „To rzadki przypadek, by polska drużyna nawiązała z włoską wyrównaną walkę, i to jeszcze na wyjeździe”, mówił Boniek już po zakończeniu spotkania. Nim doszło do rewanżu, krakowianie rozegrali dwa spotkania ligowe, oba wygrali po 4:0. Była moc w tej drużynie. To w tym okresie Kasperczak poczuł się pewnie w siodle i zmusił drużynę do przejścia do galopu.

CZTERY PIWA GRATIS

Spotkanie rewanżowe długo nie układało się po myśli wiślaków. Zaraz na początku Adriano rozepchał się w polu karnym i uderzył (oczywiście lewą nogą!) nie do obrony. „Pamiętaliśmy go z rywalizacji z Interem. Wtedy był młodym chłopakiem, dopiero zaczynał, ale już był niesamowicie silny. Wskakiwałem mu na plecy, Arek Głowacki brał go pod pachę, a on szedł dalej, niósł nas i prowadził piłkę”, wspomina Baszczyński. Na początku drugiej połowy Brazylijczyk mógł podwyższyć na 2:0 dla gości, ale będąc sam na sam z Angelo Huguesem, potknął się i upadł. „Chciał zrobić podcinkę, a efekt był taki, że zarył nogą w murawę i wpadł głową w błoto. Nawet nie zdążył się zaasekurować rękoma. W szatni śmialiśmy się z tego przez pół roku. Takie było wówczas to nasze boisko”, dodaje Baszczu.

Gdyby nie to boisko, zapewne nie padłaby pierwsza tego wieczoru bramka dla Wisły. Długo na nią czekano. W 71. minucie Kosowski nie miał zamiaru dłużej się patyczkować – piłka uderzona z ponad 30 metrów trzykrotnie odbiła się od ziemi, po raz ostatni tuż przed Sébastienem Freyem, przy okazji całkowicie go dezorientując. Potem Włochom postanowił lepiej się przedstawić Maciej Żurawski. Dwukrotnie wykonał swój numer popisowy – zejście ze skrzydła, zwód w kierunku środka boiska i natychmiastowy strzał. W 80. minucie posadził na tyłku Matteo Ferrariego, w czwartej minucie dogrywki zrobił znów to samo – tym razem na ziemi leżało aż trzech włoskich obrońców. Oba strzały były nie do obrony, a gdy wpadł ten drugi i wynik meczu wynosił 3:1, Włosi byli już całkowicie bezradni.

Awans przypieczętował rezerwowy Daniel Dubicki – po podaniu Uche przez 30 metrów biegł samotnie na bramkę Parmy. Publiczność ryknęła dwa razy – najpierw wtedy, gdy pędząc, minął wybiegającego Freya, a potem jeszcze głośniej, gdy kopnął piłkę do pustej bramki. Dubicki był chyba najbardziej zaskoczony tym, co się stało. „Do Parmy w ogóle nie pojechałem, bo w kadrze był Paweł Brożek. W rewanżu załapałem się na ławkę tylko dlatego, że Paweł doznał kontuzji. A bramka? Świetne podanie od Kalu Uche, a reszta stała się już bardzo szybko”, wspomina.

Wiślaczy potrzebowali takiego meczu, aby zrozumieć, że stać ich na wiele. To wtedy zaczęła zmieniać się tkanka tej drużyny, która wreszcie wyzbyła się nadmiernego szacunku wobec europejskiego rywala z silnej ligi. Jakby to określił Leo Beenhakker – to było jak wyjście z drewnianych chatek. Tego wieczoru Kraków oszalał. Kwiaciarki z Rynku na hasło „Żurawski” dawały 50 procent zniżki, a jedna z pizzerii do pizzy Parma dodawała cztery piwa gratis!

Po przegranej Cesare Prandelli ukradkiem nerwowo ćmił papierosa. Jego przygoda z Parmą dopiero się zaczynała, był to pierwszy klub z czołówki, który powierzył mu swoją drużynę. Nie wiedział jeszcze wtedy, że do Krakowa wróci dziesięć lat później jako selekcjoner reprezentacji Włoch. Podczas Euro 2012 Squadra Azzurra mieszkała w Wieliczce i trenowała na stadionie Cracovii. Przegrała dopiero w finale z Hiszpanią.

DEMONSTRACJA SIŁY

W kolejnej fazie Wisła przejęła rywala po Legii. Przed przyjazdem do Krakowa Schalke bez większych problemów uporało się z Legią prowadzoną przed Dragomira Okukę.

W Warszawie Niemcy wygrali 3:2, w rewanżu nie pozwolili Legii przebić się pod własną bramkę i zadowolili się bezbramkowym remisem, który dał im awans do trzeciej rundy.

Pierwszy mecz odbył się w Krakowie. W 25. sekundzie Jörg Böhme przestrzelił w sytuacji sam na sam z Angelo Huguesem. Potem Niemcy podobnych momentów mieli całe mnóstwo, ale nie potrafili znaleźć sposobu na bramkarza gospodarzy. Gola zdobyli dopiero w samej końcówce, i to tylko dzięki błędowi Francuza. Wybiegł daleko poza pole karne, ubzdurał sobie bowiem, że zdoła wybić piłkę, ale wkrótce tylko bezradnie rozkładał ręce – futbolówka przeskoczyła nad nim, a Émile Mpenza wepchnął ją do pustej bramki.

W ten sposób doprowadzili do remisu, bo w pierwszej połowie na prowadzenie wyszli wiślacy. Mirosław Szymkowiak dośrodkował w pole karne, tam najwyżej wyskoczył Christian Poulsen, ale zamiast wybić piłkę, skierował ją do własnej bramki. Tuż przed przerwą mogło być 2:0, jednak grecki sędzia Georgios Kasnferis nie zauważył faulu na Kalu Uche w polu karnym. Remis 1:1 uznano za rozczarowanie. „Kibice myśleli, że wygramy 5:0. Ludzie powinni trochę ochłonąć, bo do takich klubów jak Schalke wciąż wiele nam brakuje”, mówił po meczu Kosowski.

Wystarczyło porównać stadiony. Oddana do użytku rok wcześniej Arena AufSchalke do dziś pozostaje jednym z najnowocześniejszych obiektów piłkarskich w Europie. 10 grudnia 2002 roku pojawiło się na niej 50 tysięcy widzów. Większość z nich opuściła trybuny, nim mecz z Wisłą dobiegł końca.

Zwycięstwo 4:1 nie wzięło się z przypadku. Chcąc myśleć o awansie, Wisła musiała zdobyć choćby jedną bramkę, nie można było się więc skupiać tylko na defensywie. Poza tym taka gra nie leżała w naturze ani trenera, ani zawodników, a więc taktyka była taka jak zawsze – pełen atak. „Pierwsza strefa bazowa była ustawiona bardzo wysoko, w okolicach 40. metra od bramki gospodarzy. Właśnie tam mieliśmy podejmować pierwsze próby odbioru piłki”, mówi asystent Kasperczaka Jerzy Kowalik.

I tak było. Goście od początku grali bardzo dobrze i choć przeżywali trudne momenty, w przeciągu całego spotkania stworzyli znacznie więcej klarownych sytuacji do zdobycia bramki. W formacji defensywnej Marcin Baszczyński, Arkadiusz Głowacki, Mariusz Jop i Maciej Stolarczyk świetnie się rozumieli, jeszcze przed przerwą piłkarze Schalke byli siedmiokrotnie łapani na spalonym.

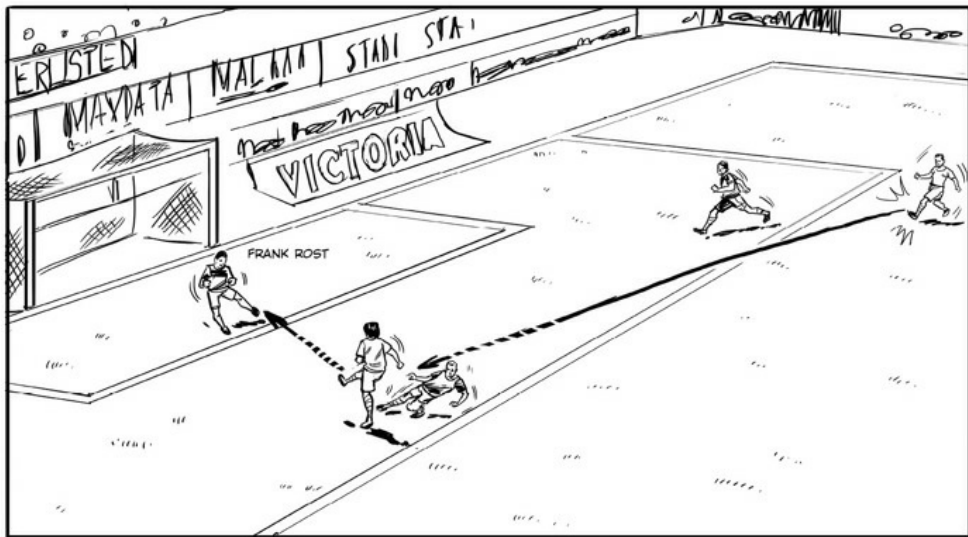
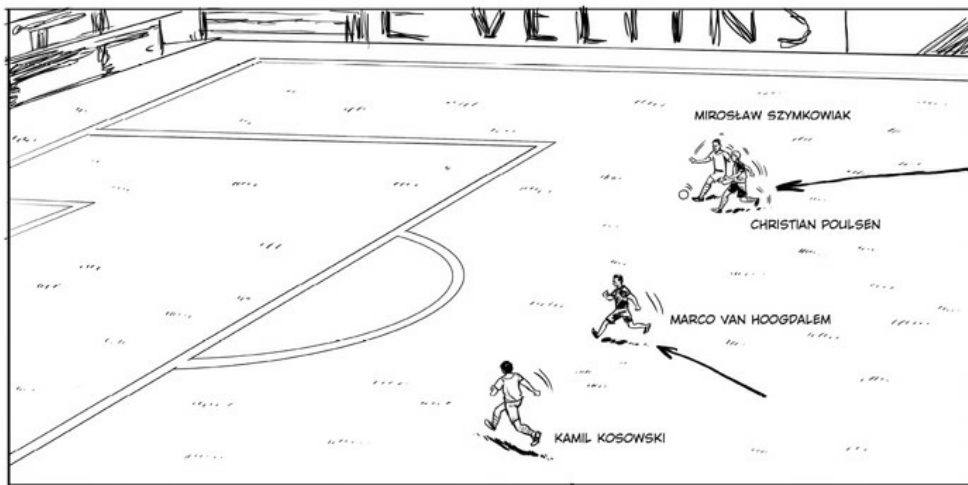
Nawet w meczu z tak wymagającym rywalem skrzydłowi nie musieli zawracać sobie głowy grą defensywną, co do serca szczególnie wziął sobie Kamil Kosowski. Nie wspierał Stolarczyka, a właśnie z tej strony czaiło się największe zagrożenie w postaci reprezentanta Niemiec Geralda Asamoah. Kosa myślał niemal wyłącznie o atakach i pięć minut przed końcem pierwszej połowy popisał się fantastycznym dośrodkowaniem – żaden z Niemców nie miał pojęcia, gdzie spadnie piłka, za to świetnie wiedział to Żurawski, który sprawnym wolejem posłał piłkę do siatki. Przez cały ten czas bramkarz Frank Rost stał jak zaczarowany. Gospodarze odpowiedzieli niemal natychmiast – po błędzie Huguesa gola zdobył Tomasz Hajto, ale w drugiej połowie strzelali już tylko goście.

To był popis. Trzy kwadranse demonstracji siły. 45-minutowe *show*, w które polskim kibicom trudno było uwierzyć. Dla Europy to też był szok, jakby ktoś odkrył wodę na Marsie, okazało się bowiem, że w Polsce jest jakieś życie, że ktoś potrafi tutaj grać w piłkę. Ostatnim namacalnym sukcesem polskich klubów był awans Widzewa do Ligi

Mistrzów sześć lat wcześniej, ale nawet Łodzianie nie mieli na koncie tak spektakularnego wyjazdowego zwycięstwa z tak silnym rywalem. W kolejnych latach, jeśli ktoś pozytywnie zaskakiwał, to Wisła, ale o ile krakowskie koszmary piłkarzy Realu Saragossa czy Parmy można było tłumaczyć zlekceważeniem Polaków, o tyle w Gelsenkirchen nie sposób już było mieć jakichkolwiek wątpliwości, kto ma lepszą drużynę.

W drugiej połowie Wisła strzeliła trzy bramki, a powinna jeszcze więcej. W 51. minucie, po dośrodkowaniu Kosowskiego, Kalu Uche wyprowadził krakowian na prowadzenie, gospodarzom brakowało argumentów, by ten stan rzeczy zmienić, za to kontry gości były zabójcze. Po jednej z nich Żurawski trafił w słupek, Marcin Kuźba powinien zdobyć dwie bramki. Nic dziwnego, że gdy został zdjęty z boiska, był wściekły na cały świat.

Asystę przy bramce na 1:3 zaliczył jego zmiennik – Grzegorz Pater odzyskał bezpańską piłkę i zagrał do Żurawia. Po kolejnej kontrze Niemców dobił Kosowski. Gdy zdobył bramkę, zdarł z siebie koszulkę. Później tłumaczył: „Chciałem podbiec do Rudiego Assauera, który przed meczem mówił, że nie kojarzy mojego nazwiska. Miałem zamiar rozłożyć koszulkę tuż przed nim, by dobrze zapamiętał, jak się nazywam, ale byłem w takiej euforii, że rzuciłem ją byle gdzie”.



Kosa dobija Schalke
Schalke - Wisła 1:3, 89. minuta

CZY LECI Z NAMI PILOT?

Po meczu w szatni wiślaków pojawił się Tomasz Hajto. Na boisku wychodził z siebie, by ograć Wisłę. Bronił i atakował, szarżował skrzydłem i strzelał – wszystko na nic. Gdy mecz dobiegł końca, zamiast smucić się z kolegami z drużyny, wołał popatrzeć na szczęście rodaków. Nie byłby jednak sobą, gdyby nawet w takiej chwili nie próbował dopiec rywalom.

– Dobra, panowie, do zobaczenia – pomachał kartą kredytową. – Idę sprawdzić stan konta.

Wiedział, że tego dnia może ich ukłuć tylko swoimi zarobkami.

Niewiele zdziałał. W szatni Wisły właśnie rozkręcała się wielka impreza.

– Panowie, to był ostatni mecz w tej rundzie, od jutra macie urlopy. Wykonaliście kawał dobrej roboty, teraz róbcie, co chcecie – zarządził Kasperczak.

Odpowiedzią był odgłos otwieranych butelek z piwem. Alkohol zaczął łać się już w szatni, potem impreza przeniosła się do autokaru, wreszcie na pokład wycarterowanego samolotu. „Gdy otworzyłem butelkę whisky, natychmiast pojawiło się kilkunastu chętnych, każdy ze swoim kubeczkim. Połałem każdemu i musiałem otwierać kolejną flaszkę”, śmieje się Jerzy Kowalik.

– Kwachu w strachu, Boguś prezydentem! Za Leszka Millera Boguś Cupiał na premiera! – skandowali piłkarze do interfonu, dzięki czemu słyszał ich również pilot.

Niby na żarty, ale bardzo głośno domagali się większych premii za awans. Bogusława Cupiała zawsze drażniły tego typu zachowania, ale w samolocie na zaczepki nie reagował. Siedział z przodu, otoczony współpracownikami. Dopiero w Krakowie przyznał piłkarzom dodatkowe premie świąteczne za „wzorowe wykonywanie obowiązków”.

Nim koła samolotu dotknęły płyty lotniska w podkrakowskich Balicach, praktycznie wszyscy byli „ugotowani”. „Co się działo w samolocie? Nie mam pojęcia. Dobrze nie pamiętam”, śmieje się Żurawski. „Napiłem się chyba z każdym: ze wszystkimi VIP-ami i z prezesem Cupiałem także. W tamtych czasach mogłem jeszcze sporo wypić, ale nie wszyscy koledzy dobrze przyjęli taką ilość alkoholu. Szczególnie po tak silnym zmęczeniu”, mówi Szymkowiak, a Kosowski dodaje: „Opędzłowaliśmy 0,7 w 40 minut, a efekty widać było na lotnisku w Krakowie”.

W Balicach czekały tłumy. „Tych najbardziej pijanych staraliśmy się odgradzać od kibiców i dziennikarzy, by nie nagadali głupot. Nawet w takiej sytuacji byliśmy zgrani i uważaliśmy na siebie nawzajem”, opisuje Szymek. Ale Marcina Kuźby nie zdołali powstrzymać – w rozmowie z dziennikarzami zapowiedział awans do finału Pucharu UEFA.

Piłkarze z trudem przeciskali się przez zatłoczony terminal. Henryk Kasperczak pofrunął w górę. „Kilka razy kibice mnie już podrzucali, ale w Polsce jako trenera jeszcze nigdy”, mówił. Specyficzny komplement usłyszał Bogdan Basałaj. Podszedł do niego jeden z kibiców, wyraźnie już zmęczony. Zmierzył prezesa wzrokiem:

– Zawsze miałem pana za chuja, ale teraz już tak nie uważam.

Basałaja zamurowało, ale dziś wspomina to z sympatią.

ZIMOWY SEN

Gdy kac minął, klub obudził się w nowej rzeczywistości. „Po meczu takim jak ten wiadomo było, że kilku zawodników może wkrótce otrzymać ciekawe oferty. Trzeba było zacząć się do tego przygotowywać i od razu szukać następców. Gdy jedni świętują, inni w klubie biorą się do pracy – tak to powinno wyglądać, niestety tak nie było”, mówi Baszczyński. Kosowski był napalony na transfer już zimą, do Krakowa na negocjacje przyjechali wysłannicy hiszpańskiej Osasuny, a w razie przenosin miał go zastąpić Rafał Grzelak. Henryk Kasperczak próbował zmiękczyć Kosowskiego, ale odpowiednie narzędzia miał tylko Bogusław Cupiał. „Dostałem delikatny bonusik finansowy, więc postanowiłem zostać w klubie do końca sezonu”, wspomina.

Michał Listkiewicz zrezygnował z kuszenia Kasperczaka propozycją objęcia reprezentacji narodowej.

– Nie zrobię Wiśle takiego świństwa. Nie biorę już Kasperczaka pod uwagę przy poszukiwaniu nowego selekcyjera – stwierdził, a dwa dni później nominację otrzymał Paweł Janas.

Jeszcze przed przerwą zimową wylosowano Lazio. Zespół przygotowywał się do najważniejszej rywalizacji od wielu lat, a klub zapadł w zimowy sen. W drużynie nie pojawił się żaden nowy zawodnik, uznano, że jest kompletna – całkowicie błędnie. Bo o ile pierwsza jedenastka była bardzo silna, o tyle brakowało głębi składu. Szczególnie w defensywie Kasperczak praktycznie nie miał żadnego pola manewru, a czołowi gracze przez wiele miesięcy grali z niezaleczonymi kontuzjami. Triumf w Gelsenkirchen nie został właściwie skonsumowany. Zamiast zrobić krok do przodu, zachłyśnięto się sukcesem.

Dyrektor stadionu Marek Gorączko zaczął się natomiast zastanawiać, jak sprawić, aby w lutym zagrać mecz na boisku bez podgrzewanej murawy. Ostatnią polską drużyną, która borykała się z podobnym problemem, była Legia w 1996 roku. Wówczas przed meczem z Panathinaikosem na stadion przy ulicy Łazienkowskiej wyszło kilkuset żołnierzy z łopatami do śniegu, a murawę brutalnie potraktowano kilkoma tonami sztucznego nawozu. W efekcie grano na błocie, stadion przy Łazienkowskiej na kilka miesięcy pozbył się trawy, zyskał za to paskudny zapach mocznika.

W Krakowie na takie wsparcie nikt nie mógł liczyć, o pomoc proszono studentów z pobliskiego miasteczka studenckiego. Pluto sobie w brodę – chociaż pół roku wcześniej na stadionie wymieniono trawę, nie zdecydowano się na instalację podgrzewania, bo nie było takiego wymogu.

POMRUK ZASKOCZENIA

Podczas przygotowań do meczów z Lazio drużyna jeździła ze zgrupowania na zgrupowanie. „Po tych kilku tygodniach mieliśmy siebie autentycznie dość. Na zgrupowaniu każdy dzień jest taki sam: śniadanie, trening, pokój, obiad, znów trening, kolacja, pokój, cisza, spać. Ciągłe patrzysz na tego samego faceta. Po dziesięciu dniach masz dość. Po dwóch tygodniach na widok swojego współlokatora chce ci się rzygać, a po 20 dniach zaczynacie skakać sobie do oczu”, opisuje Szymkowiak. Paszulewicz dodaje z kolei: „Gdy na treningu za gardła złapali się Głowacki z Żurawskim, zaczęliśmy się śmiać, że faktycznie jest już z nami źle, skoro biją się koledzy z Poznania”. Kasperczak patrzył na to z boku. Cieszył się

z bojowej atmosfery, ale starał się trzymać rękę na pulsie. Kiedy trzeba było, interweniował:

– Panowie, spokojnie. Nie możecie do siebie skakać. Tak nie może być – apelował.

Gdy pewnego dnia wszyscy piłkarze zaczęli się wyzywać na Marku Holocherze, Kasperczak przerwał trening i wygonił wszystkich z boiska. Tego dnia nikt już nie kopnął piłki. Gdy czuł, że mają dość, odwoływał ciszę nocną, opuszczał zgrupowanie i jechał odwiedzić rodzinę, w imię zasady – czego oko nie widzi, tego sercu nie żal.

Sprawdzianem generalnym był mecz sparingowy z Olympique Marsylia. Kasperczak rozrysowywał skład, a gdy na tablicy pojawiło się nazwisko Pawła Strąka, przez salę przetoczył się cichy pomruk zaskoczenia. Spodziewano się obecności Kazimierza Moskala, który wrócił już do zdrowia. Część piłkarzy wciąż uważała, że młody Strąk gra na kredyt. Po odprawie podszedł do niego Grzegorz Kaliciak:

– Te, młody, obsrasz się.

Mecz z Olympique'em zakończył się remisem 1:1. „Nie spodziewałem się tak trudnej przeprawy. Wisła grała bardzo agresywnie, a napastnicy byli wyjątkowo ruchliwi”, mówił trener Marsylii Alain Perrin, który wystawił praktycznie najsilniejszy skład. Pojedynek z trybun zobaczył Bogusław Cupiał. Mógł być zadowolony.

Po meczu Strąk podszedł do Kaliciaka.

– I co? Nie obsrałem się.

Mimo młodego wieku był wyjątkowo pewny siebie, co nie wszystkim w szatni się podobało. Kiedyś pomalowano mu korki na złoto, a on zupełnie się tym nie przejął. Po prostu założył je i wyszedł na trening.

WYSTRASZONY MANCINI

Przed meczem na Stadio Olimpico kibice Wisły zjawili się na audyencji generalnej u Jana Pawła II. Papież był zaskoczony liczbą fanów z Polski, którzy dotarli do stolicy Włoch.

– Zawsze myślałem, że Wisła płynie przez Kraków do Gdańska i do Bałtyku. Dziś się okazało, że płynie do Rzymu – powiedział i zapewnił, że obejrzy spotkanie w telewizji. Jeśli faktycznie tak uczynił, z pewnością nie żałował.

Kasperczak nie miał komfortu pracy – z urazami zmagало się trzech asów: obaj napastnicy, Marcin Kuźba i Maciej Żurawski, a przede wszystkim Mirosław Szymkowiak. Kuźba miał problemy z kolanem. „Już wtedy powinienem przejść zabieg łąkotki, ale pauzowałbym kilka tygodni. Przez cztery miesiące, od stycznia do maja, trenowałem i grałem na zastrzykach lub tabletkach przeciwbólowych”, mówi. Żurawski zmagал się z bólem mięśni skośnych brzucha: „Podczas rozgrzewki powiedziałem, że chyba nic z tego, że nie dam rady. Dostałem środki przeciwbólowe i zagrałem, ale przez pierwsze 20 minut, nim znieczulenie zaczęło działać, czułem się fatalnie. Nie mogłem się ruszyć”. Szymkowiak na boisku pojawił się dopiero w ostatnim kwadransie. A i to było zaskoczeniem, bo na przedmeczowe zgrupowanie wybrał się raczej w charakterze turysty i jeszcze dwa dni przed spotkaniem nikt nie podejrzewał, że wybiegnie na Stadio Olimpico. Żuraw grał słabo przez całą pierwszą połowę. Miał kłopoty z precyzyjnym przyjęciem piłki, niecelnie podawał, nie brał udziału w pressingu. W 22. minucie stał tuż obok Nikoli Lazeticia, jednak nie zdołał go zablokować, a Serb wyprowadził gospodarzy na prowadzenie.

Widząc to, Henryk Kasperczyk posłał na rozgrzewkę Daniela Dubickiego. Zmiana Żurawia była już praktycznie przesądzona, czekano tylko na ostateczny sygnał od piłkarza, że nie ma sensu dłużej tego ciągnąć.

Kuźba za to od początku grał, jakby jego kolano było w stu procentach zdrowe. Miał udział przy wszystkich trzech bramkach dla Wisły. „Zgodzę się, że był to mój najlepszy występ w Wiśle, mimo że nie strzeliłem gola”, mówi. To po jego podaniu Kalu Uche doprowadził do remisu 1:1.

Jego partner z ataku rozkręcił się dopiero po przerwie – zaczął grać lepiej i zdobył dwie bramki, obie z rzutu karnego. Sędzia Konrad Plautz z Austrii mylił się w obie strony. Jak wykazały powtórki, pierwszego karnego być nie powinno. Wychodzący z bramki Luca Marchegiani co prawda nie trafił w piłkę, ale nie zahaczył też Kuźby. Drugi karny był jak najbardziej prawidłowy, bo 37-letni włoski bramkarz powalił Żurawskiego. W tym momencie Plautz powinien pokazać bramkarzowi Lazio drugą żółtą kartkę, ale tego nie zrobił. Rzuty karne na Stadio Olimpico Żuraw strzelał bezbłędnie. Za pierwszym razem posłał piłkę w lewy róg bramki, a Marchegiani był bliski jej sięgnięcia. Przy drugim podejściu włoski bramkarz rzucił się w tę samą stronę. Tym razem futbolówki nawet nie zobaczył, bo wiślak posłał ją precyzyjnie tuż obok drugiego słupka.

Po drugim голу Żurawskiego Wisła prowadziła w Rzymie 3:2. Trener Lazio Roberto Mancini rozumiał, że to nie przelewki. Liczył na łatwą przeprawę, w porównaniu do ostatniego ligowego meczu z Milanem (2:2) w podstawowym składzie dokonał aż dziewięciu zmian. Mógł sobie na to pozwolić, bo kadra rzymskiego klubu była bardzo szeroka – z Wisłą zagraли między innymi Siniša Mihajlović, Fernando Couto, Diego Simeone i Stefano Fiore – niemniej w trakcie spotkania Mancini zaczął żałować, że aż tak mocno przemeblował skład i wytoczył najcięższe działa. Nim goście wyszli na prowadzenie, Mancini wysłał do gry Claudio Lópeza i Césara, a wkrótce potem na murawie pojawił się Dejan Stanković.

Wisła ani przez chwilę nie dała się zepchnąć do defensywy. Obrona znów grała bardzo dobrze, piłkarze Lazio byli łapani na spalonym 11 razy. W drugiej połowie krakowianie często niepodzielnie panowali na boisku, a z sektora kibiców gości po każdym podaniu piłki wybrzmiewało gromkie „Ole!”. Tego dnia Wisła mogła przesądzić losy awansu. Co prawda na 20 minut przed końcem bramkę na 3:3 zdobył Enrico Chiesa, ale była to praktycznie jedyna okazja dla gospodarzy w drugiej połowie. Świetną szansę na czwartą bramkę zmarnował Marcin Kuźba. Luca Marchegiani źle zagrał piłkę, ta trafiła wprost pod nogi napastnika Wisły, jednak sekundy później bramkarz Lazio obronił jego strzał.

DLACZEGO NIE PODAŁEŚ?

Kwestia awansu pozostawała otwarta. Dzień przed spotkaniem w Krakowie Roberto Mancini wyszedł na boisko, pogrzebał butem w twardej, zmarzniętej ziemi.

– Tutaj w ogóle nie ma trawy – mrucał pod nosem.

Włosi byli zdecydowani, nie chcieli grać w takich warunkach. „Zaraz po porannej naradzie włoscy dziennikarze zaczęli się pakować, jakby już znali decyzję o przełożeniu meczu. My poznaliśmy ją dopiero po południu”, mówi asystent Kasperczyka Jerzy Kowalik. W porze planowanego spotkania piłkarze Wisły wybiegli na murawę, by zabawić

zmarzniętych kibiców i pokazać, że na tym boisku da się grać w piłkę – podzielili się na dwa zespoły i ten, który przybrał nazwę Lazio, przegrał, pewnie na specjalne życzenie, aż 1:4.

Ten prawdziwy mecz wygrali jednak Włosi. Tydzień trwały beznadziejne próby doprowadzenia murawy do stanu używalności. Na boisku rozstawiono ogromne namioty, uruchomiono dmuchawy ciepłego powietrza, o pomoc apelowano do kibiców i studentów. Po tygodniu plac gry wyglądał jeszcze gorzej: mnóstwo piachu, resztki pożółkłej trawy i wszechobecny smród zgnilizny. „Jestem przekonany, że jeśli zegralibyśmy w pierwotnym terminie, to my byśmy awansowali – ocenia Dubicki. – Przez tydzień zeszło z nas powietrze”. Drugi raz Wisła została wybita z rytmu już w trakcie spotkania – sędzia Stuart Dougal doznał kontuzji i mecz został przerwany na kilkanaście minut. Do tej pory wiślaczy grali świetnie – zaraz na początku Kalu Uche, niczym szalenciec, przebiegł przez całe niemal boisko, zagrał do Kuźby i było 1:0, potem doszło do wspomnianej przerwy i chwilę po niej Fernando Couto wyrównał.

Za krycie Portugalczyka odpowiadał Paweł Strąk. W tym momencie stracił swoje nazwisko. Kasperczak przez wiele miesięcy wołał na Strąka Couto. Nie mógł mu wybaczyć tej bramki.

Jeszcze w pierwszej połowie Wisła powinna odzyskać prowadzenie, ale zabrakło zrozumienia między Żurawskim a Kuźbą. „Już ustawiałem stopę, by uderzyć tę piłkę! Gdybym ją dostał, gol byłby na 100 procent. Marchegiani stał przy krótkim słupku, więc miałbym przed sobą praktycznie pustą bramkę. Nie mógłbym spudłować, ale cóż, tak bywa. Napastnik musi być egoistą”, mówi Kuźba. Żuraw zamiast podać – strzelił nad poprzeczką.

„Dlaczego wtedy nie podałeś?” – to pytanie słyszał już tysiące razy. „Powinienem to zrobić, co? – pyta zaczepnie. – Prawda jest taka, że Marcina nie widziałem, w innym wypadku pewnie bym mu podał. Z drugiej strony sytuacja była praktycznie idealna. Piłka po koźle, lekki kąt, dystans też odpowiedni... Dla mnie to była sytuacja bramkowa. Piłka powinna wpaść do siatki”, przekonuje.

Na mecz do Krakowa nie przyjechał Dino Baggio. Z pewnością ponowna wizyta na stadionie, na którym pięć lat wcześniej oberwał nożem, nie byłaby dla niego miłym przeżyciem. Zresztą nie miał wówczas miejsca w podstawowym składzie Lazio, a Roberto Mancini już nie ryzykował. Posłał do boju wszystkich najlepszych, za to ustalił ostrożną taktykę. Choć wynik 0:0 premiował awansem wiślaków, to gospodarze prowadzili grę i byli nastawieni na ataki, rzymianie pilnowali tyłów i czekali na okazje do kontr. Wielkiego pecha miał Kalu Uche. W pierwszej połowie piłkę po jego strzale z linii bramkowej wybił Paolo Negro, a po przerwie Nigeryjczyk trafił w poprzeczkę, za to gola na 2:1 dla Lazio zdobył Enrico Chiesa, kat polskich drużyn.

„Szkoda tego meczu, bo byliśmy wtedy na fali. Stać nas było na wiele. Gdybyśmy przeszli Lazio, nasze późniejsze kariery mogły się potoczyć zupełnie inaczej”, ocenia Kuźba. W ćwierćfinale rzymski klub uporał się z Beşiktaşem Sambuł, ale krok przed finałem czekał już na nich José Mourinho, który z FC Porto zmierzał właśnie po swoje pierwsze europejskie trofeum.

SMUTNE POŻEGNANIE

Do końca rozgrywek Kasperczak praktycznie nie dokonywał zmian w składzie, poprzestawał na 15–16 nazwiskach, w przeciągu całego sezonu Żurawski rozegrał 52 spotkania. Nic dziwnego, że pojawiały się słabsze momenty – pod koniec kwietnia Odra Wodzisław (nim zaczęła wszystko przegrywać) dopadła wiślaków na odległość jednego punktu, zrobiło się nerwowo, były indywidualne rozmowy i gorące spotkania. Kryzys został jednak szybko zażegnany. Na kolejną przed końcem rozgrywek, po wygranej 1:0 z Widzewem, tytuł mistrzowski wrócił do Krakowa.

Wieczorem cała drużyna udała się do jednej z knajp przy ulicy Szerokiej na Kazimierzu. Na imprezę wkręciło się kilku dziennikarzy. Jeden z nich w pewnym momencie podszedł do baru, by kupić paczkę papierosów. Gdy wyciągnął z kieszeni portfel, zauważył, że barman omija go wzrokiem i patrzy na kogoś, kto stoi za nim. Obrócił się i zobaczył pana w ciemnych okularach. Nieznajomy pokręcił głową:

– Tutaj za wszystko płaci prezes Cupiał.

Do rozegrania wciąż pozostawał mecz z Lechem. W trakcie imprezy Kasperczak podszedł do stolika, przy którym siedzieli Pater i Moskał. Nie grali ostatnio zbyt często.

– Szykujcie się, będziecie grać w Poznaniu – zapowiedział.

Dwa dni później obaj wsiedli do autokaru w doskonałych nastrojach. Na mecz z Lechem wyjątkowo cieszył się Moskał, który w Kolejorzcu spędził cztery lata i zdobył dwa tytuły mistrzowskie. Wielkie było jego zdziwienie, gdy przed pierwszym gwizdkiem sędziego wszedł do szatni, a w rozrysowanym składzie nie znalazł swojego nazwiska. Popatrzył raz, przyjrzał się ponownie. Nie, nie było go. Nie potrafił tego zrozumieć.

Zaraz na początku spotkania Strąk padł na ziemię.

– Idź się grać – rzucił Kasperczak do Moskala.

Ruszył na rozgrzewkę, ale na boisko nie wszedł, bo Strąk szybko się pozbierał. Spotkanie trwało, a Moskał wciąż się rozgrzewał, przekonany, że prędzej czy później wreszcie wejdzie do gry. Stało się inaczej. W trakcie meczu Kasperczak dokonał trzech zmian, ale Moskał nie zagrał ani minuty, nawet wtedy gdy zszedł Strąk, na boisku pojawił się Cantoro. Wisła wygrała 4:2. „Po każdej z bramek podbiegał do mnie Mirek Szymkowiak i przytulał. Nawet wtedy, gdy musiał pokonać niemal całe boisko i przeskoczyć bandy”, wspomina Moskał.

Bezpośrednio z Poznania większość piłkarzy udała się na zgrupowania zespołów narodowych (Paweł Janas na mecze z Kazachstanem i Szwecją powołał siedmiu piłkarzy Wisły), więc autokar do Krakowa wracał niemal pusty. Po drodze drużyna zatrzymała się na obiad. Moskał pamięta, że Kasperczak przez dłuższą chwilę przyglądał mu się, w końcu zapytał:

– O co chodziło z tym Szymkowiakiem?

– Niech go pan zapyta, gdy wróci ze zgrupowania.

Było już późno w nocy, gdy drużyna dotarła do Krakowa. Pod stadionem Kasperczak raz jeszcze zaczął Moskala:

– Przyjdź jutro na 11.00 do prezesa Basałaja.

Na spotkaniu z prezesem i trenerem Moskał dowiedział się, że blisko półtoragodzinną rozgrzewką w Poznaniu była jego ostatnią akcją w roli piłkarza Wisły. Próbował wyłożyć swój punkt widzenia:

– Trenerze, wiadomo jak jest, Szymek może odejść lub doznać kontuzji. Będzie mieć mnie pan do dyspozycji w każdej chwili, kokosów nie oczekuję – przekonywał.

Ale decyzja już zapadła. Wbrew zapowiedziom nie otrzymał propozycji objęcia innej posady w klubie. W końcu musiał wstać, podać rękę i wyjść z gabinetu.

W ten sposób Wisła pożegnała piłkarza, który w jej barwach rozegrał blisko 300 meczów. W 1990 roku, gdy po raz pierwszy opuszczał swoje dotychczasowe miejsce pracy, wbrew własnej woli sprzedany do Lecha, zalewał się łzami, a pod stadionem pikietowali wściekli kibice. Pieniądze z tego transferu umożliwiły dalsze funkcjonowanie klubu. Potem wrócił, by znów grać dla swojej Wisły, miał 32 lata, a przymierzając klubową koszulkę, czuł się jak junior. Przez trzy miesiące grał bez kontraktu, a później z najniższą umową w drużynie. Zdaniem działaczy nie zasługiwał na więcej, a może inaczej – uznano, że skoro tak bardzo Wisłę kocha, zagra dla niej nawet za śmieszne pieniądze. I tak w przypadku Moskala było. Do klubu wrócił w 2005 roku, już po zakończeniu gry w piłkę. Verner Lička włączył go do sztabu jako kierownika drużyny.

MEDALE W REKLAMÓWCE

Moskał odszedł po cichu, za to z wielkim hukiem pożegnał się Grzegorz Kaliciak. Teraz, kilkanaście lat później, otwarcie opowiada o tym, co się stało nad ranem w niedzielę 30 marca 2003 roku.

„Ochroniarze jednej z dyskotek przy Floriańskiej nie chcieli wpuścić nas do środka, więc wywiązała się pyskówka. Alkohol zadziałał, włączyła mi się ullańska fantazja, z kieszeni wyciągnąłem pistolet gazowy. Gdy zacząłem nim wymachiwać, ochroniarze grzecznie się rozstąpili, a kiedy weszliśmy do środka – wezwali policję. W dyskotece niewiele się już działo, więc szybko wyszliśmy na zewnątrz, na ulicy zamówiliśmy kebaba. Niemal w tym samym momencie podjechał radiowóz i za chwilę byłem już w środku. Od ochroniarzy dostali zawiadomienie, że po ulicy biega wariat z bronią. Wiedzieli, kim jestem. Jeden z nich wyciągnął telefon i zadzwonił do Zdzisława Kapki. Myślał zapewne, że klub będzie starał się zamieść sprawę pod dywan, w przeszłości nie takie sprawy były załatwiane, ale tym razem poszło to w innym kierunku... Miałem mniej więcej dwa promile, więc pojechaliśmy do izby wytrzeźwień, gdzie spędziłem noc. Rano zawieźli mnie na komendę przy ulicy Szerokiej. Wchodzę do środka, a tam cały pokój oklejony plakatami Wisły. W poniedziałek stawiłem się na treningu, rano spotkałem się z trenerem Kasperczakiem. »Grzegorz, coś ty nahobił?«, dopytywał z tym swoim francuskim akcentem. Po południu nie byłem już piłkarzem Wisły”.

Klub wykorzystał incydent, by rozwiązać kontrakt. Zaoszczędzono niewiele, bowiem umowa Kaliciaka i tak obowiązywała tylko do końca sezonu. „W styczniu poprzedniego roku miałem propozycję jej przedłużenia, ale nie chciałem tego zrobić. Nie grałem zbyt często, wolałem poczekać do końca sezonu, zobaczyć, jak się rozwinie sytuacja”, mówi. Sezon 2002/03 nie był dla niego tak udany jak dla reszty zespołu. Był w trakcie burzliwego rozstania z żoną, nie potrafił wyrzucić tych kłopotów z głowy.

Przy okazji próbowano wymazać Kaliciaka z klubowych ksiąg. Gdy w maju drużyna sięgnęła po tytuł mistrzowski, spiker nie wymienił go wśród piłkarzy, którzy ten tytuł wywalczyli, chociaż zagrał w dziesięciu meczach. Nazwisko Kaliciaka wykrzyczeli kibice.

Nie zapomnieli bramek, którymi w 1996 roku wprowadził Wisłę do pierwszej ligi. Nie zapomnieli też jego dobrej gry, gdy wrócił z Belgii.

„Po tym, jak rozwiązano ze mną kontrakt, przez kilka tygodni w ogóle nie wychodziłem z domu. Byłem całkowicie rozbity – opowiada. Gdy się otrząsnął, zaczął się dopominać o medal za mistrzostwo Polski. – Domagałem się go za pośrednictwem prasy. Wreszcie, gdy byłem już piłkarzem Świtu Nowy Dwór Mazowiecki i graliśmy z Wisłą, przyjechała delegacja z Krakowa. Dostałem reklamówkę, w której były dwa medale: za mistrzostwo i Puchar Polski oraz pamiątkowy zegarek”.

Nowego klubu szukał mu menedżer Eugeniusz Kamiński. Wysyłał go na Cypr, na Ukrainę, do Niemiec, a nawet do Chin. Miał przejść testy w klubie Tianjin Teda, ale podczas międzylądowania w Pekinie przejął go inny skośnooki menedżer i w ten sposób wylądował w Shenyang. Przez trzy tygodnie trenował z klubem Shenyang Jinde, ale ostatecznie wrócił do Polski, a Janusz Wójcik, który miał do niego wyraźną słabość, wziął go do Świtu Nowy Dwór Mazowiecki. Roczny pobyt w tym klubie przypłacił zarzutami prokuratorskimi o korupcję w piłce nożnej, potem wylądował w drugoligowej Szczakowiance Jaworzno. To był już wtedy bankrut. Nigdy nie zobaczył obiecanych pieniędzy.

Zerwał wszystkie kontakty z piłkarskim światkiem i wrócił do rodzinnego Kędzierzyna-Koźła. Jeszcze do niedawna grał amatorsko w LZS-ie Walce, teraz zmaga się z problemami z kręgosłupem i pracuje na stanowisku logistyka w dużej firmie zajmującej się obróbką blachy. Nie wyklucza, że kiedyś wróci do poważniejszej piłki. W 2014 roku zapisał się na kurs trenerski, pracuje z młodzieżą.

Gdy Kaliciak odszedł, w klubie zwolniła się koszulka z numerem 9. Chętnych było dwóch – Tomasz Frankowski i Maciej Żurawski. „Zadecydował rzut monetą. Byliśmy akurat pod prysznicem i żaden z nas nie chciał się po nią schylić. W końcu Maciek zaryzykował, zresztą nikt nie planował żadnej akcji. Wygrał zakład, a ja musiałem zostać przy 21”, śmieje się Franek. Z Żurawskim nigdy nie byli wielkimi przyjaciółmi, ale na boisku rozumieli się bez słów.

17. ODDANA SZANSA

W lidze wciąż byli nie do zatrzymania. Bili rekordy. Od kwietnia 2003 roku do września 2004 chłopcy Kasperczaka wygrali wszystkie mecze ligowe na swoim stadionie, co do dziś jest rekordem ligi. Zwycięstwo 7:1 nad Zagłębiem w Lubinie było najwyższą wyjazdową wygraną od 1949 roku, a Tomasz Frankowski strzelał gole w dziewięciu grach ligowych z rzędu. Ale w Europie już się nie liczyli. Gdy nastał ten moment, gdy drzwi do Ligi Mistrzów zostały wreszcie mocniej uchylone, gdy rywal zdawał się w zasięgu, Wisła stanęła w progu zupełnie niegotowa, niczym Aleksandra Kozel (z kultowego *Misia* Stanisława Barei) w rozchełstany szlafroku: „Och, przepraszam, taka jestem...”.

Na początku września 2003 roku Henryk Kasperczak przedstawił dziennikarzom dwa rysunki. Na jednym zaprezentował najsilniejszy skład z sezonu 2002/03, na drugim podstawową jedenastkę z rewanżowego meczu z Anderlechtem. Powtarzały się tylko cztery nazwiska.

– To jest zupełnie inna drużyna, tak? – wbijał dziennikarzom do głowy.

Kilka tygodni wcześniej uzgodnił warunki nowego kontraktu, który sprawił, że stał się praktycznie nie do ruszenia.

Co w trakcie kilku miesięcy stało się z tamtym zespołem? Kamil Kosowski dopiął swego i wyjechał za granicę. Nie zrobiono wszystkiego, by zatrzymać Marcina Kuźbę, któremu kończyła się umowa, a Waldemar Kita wreszcie chciał na nim zarobić. „W Wiśle wiedzieli, że będę musiał przejść operację łąkotki, a to wyeliminuje mnie z gry na pewien okres. Myślę, że brano to pod uwagę przy podejmowaniu decyzji o nowym kontrakcie. Rozbieżności nie były duże, ale nie dogadaliśmy się – mówi Kuźba. Trafił do Olympiakosu Pireus. – Grecy wiedzieli, że muszę zostać zoperowany. Zaakceptowali to i dali mi czas na rehabilitację”. Gdyby został w klubie, i tak nie pomógłby w kwalifikacjach do Ligi Mistrzów. W Grecji spędził tylko sezon i wrócił do Krakowa.

Potem wybuchła afera z Kalu Uche. Nigeryjczyk zmienił menedżera, rozwiązał umowę z Angelem Castellem, bo ten nowy, Richard Umejei, omamił go wizją transferu do Ajaxu Amsterdam. Miał tam zastąpić Andy’ego van der Meyde. Podczas zgrupowania we Francji nie trenował, odmówił gry w sparingach z Paris Saint-Germain (1:3) i FC Metz (0:4). Klub informował, że to tylko kontuzja, jednak gdy drużyna wróciła do Krakowa, a Uche powiedział, że nie zagra przeciwko Omonii Nikozja w kwalifikacjach do Ligi Mistrzów, nie można było dłużej zamiatać sprawy pod dywan. Nigeryjczyk został zawieszony na pół roku. Jedyнным wspomnieniem po nim była nowa škoda octavia porzucona przez niego na klubowym parkingu.

W końcu po pół roku Kalu pojawił się z powrotem, ale na škodę nawet nie spojrzął. Był już prawdziwym fanatykiem motoryzacji i samochody zmieniał przeciętnie co kilka tygodni. Koledzy z zespołu podśmiewali się z niego, bo potrafił kupić auto za kilkadziesiąt tysięcy złotych, a cztery tygodnie później sprzedać je ze sporą stratą, by przesiąść się do czegoś innego.

BEZ SKRZYDEŁ, BEZ OBRONY

W krótkim czasie Wisła straciła oba skrzydła, a przecież właśnie na grze bokami opierała się ofensywa zespołu w poprzednim sezonie. Gdy brakło odpowiednich wykonawców, należało zapewne przebudować system gry, ale na to nie było już czasu. Do listy ubytków dodajmy Kuźbę, a okaże się, że klub pozbył się trzech ważnych ogniw. Gdyby chociaż na tym zarobili. Nie, jedynym przychodem było pół miliona euro za wypożyczenie Kosowskiego.

Ogniwa te nie zostały należycie zastąpione. W poprzednim sezonie Kosowski do spółki z Kuźbą i Uche zdobyli 48 bramek i zanotowali 44 asysty. Próbuąc ich zastąpić, władze klubu grzebały w transferowym kubie na śmieci – Kasperczak wyszperał Lantame Ouadję, postawiono też na Brasię, który najlepsze akcje już dawno miał za sobą. W miarę poważnym wzmocnieniem był jedynie Damian Gorawski, którego udało się wyciągnąć z Ruchu w zamian za dawne długi. „Zabrakło mądrości. Gdyby ktoś wówczas podjął ryzyko transferowe, awans do Ligi Mistrzów wreszcie mógłby zostać osiągnięty. Niestety zamiast tego zachłyśnięto się sukcesami z poprzedniego sezonu”, ocenia Baszczyński.

Sezon, który miał być jeszcze odważniejszym krokiem do Europy, zakończył się płochliwą ucieczką.

Gdy drużyna stanęła do decydującej walki z Anderlechtem Bruksela, Baszczyński w defensywie obok siebie miał Łukasza Nawotczyńskiego, Mariusza Jopa i Jacka Paszulewicza. To po prostu nie mogło się udać: do dwumeczu z Belgami Wisła przystąpiła praktycznie bez defensywy. Widać to było już w trakcie zgrupowania we Francji – w pięciu meczach sparingowych krakowianie stracili 16 bramek.

Dodatkowe zamieszanie w grze defensywnej wprowadziła zmiana bramkarza. Angelo Hugues wrócił do Francji, a w bramce stanął Adam Piekutowski. To dwaj zupełnie różni zawodnicy. Hugues, który przez cały mecz stał daleko przed linią bramkową, mógł być wykorzystany przy rozegraniu. Często ratował zespół – w przypadku źle ustawionej pułapki ofensywnej natychmiast doskakiwał do piłki i był przy niej szybciej niż napastnik rywala. Piekutowski dobrze czuł się na linii, za to gra na przedpolu nigdy nie była jego mocną stroną. Piłka szła za obrońców, ci patrzyli w stronę bramki, licząc, że przejmie ją bramkarz, a tam widzieli Piekuta stojącego na linii bramkowej.

LEKCJA ŁACINY

Nim sezon na dobre się rozpoczął, drużyna była w totalnej rozsypce. Odpadła z Pucharu Polski po porażce z drugoligową Arką Gdynia 0:2, mecz kończyła porozbijana – Grzegorz Pater i Mirosław Szymkowiak doznali urazów, gdy Kasperczak wykorzystał już limit zmian i w końcówce tylko spacerowali po boisku. „Jestem zrozpaczony. Niedługo zostanie nas chyba siedmiu. Po ostatnich transferach w klubie nie ma już piłkarzy, którzy należeli do rady drużyny i mogliby zaapelować do prezesa o wzmocnienia”, żalił się Szymkowiak.

Było to już kolejne, czwarte z rzędu, zmarnowane okienko transferowe. Zachwiane zostały proporcje – upuszczano krew, zapominając o tym, by regularnie ją uzupełniać. Latem 2003 roku sytuacji nie zmieniło także sfinalizowanie najbardziej lukratywnej umowy sponsorskiej w historii klubu – za logo na koszulkach piłkarzy Era płaciła cztery miliony złotych rocznie, a w razie wejścia do fazy grupowej Ligi Mistrzów Wisła otrzymałaby

kolejne cztery miliony; awans do 1/8 finału wyceniono na dwa. W umowie została nawet zawarta premia za zwycięstwo w rozgrywkach Ligi Mistrzów. Niestety w trakcie dwóch lat obowiązywania umowy żadna z tych klauzul nie została uruchomiona.

Nieudolność transferowa to jedno. Inny problem polegał na tym, że bohaterów sezonu 2002/03 przed meczami z Anderlechtem zmogły kontuzje. Arkadiusz Głowacki i Mauro Cantoro wrócili na boisko dopiero w październiku. Tego pierwszego, jeszcze podczas zgrupowania w Zakopanem, skutecznie skasował testowany Benson Anih. Był to dobry moment, by podać w wątpliwość ideę testowania anonimowych graczy. Tym bardziej, że gdy na testach pojawił się Dickson Choto, a więc piłkarz z ustaloną już marką, został szybko odesłany do domu, a potem przez lata był podporą defensywy Legii.

Po testach trzyletni kontrakt podpisał za to Lantame Ouadja. Kasperczyk znał go z okresu pracy w Afryce, potem Togijczyk przez trzy sezony grał w Servette Genewa, zahaczył o Chiny i Katar, a nim trafił do Krakowa, przez rok pozostawał bez klubu. Zadebiutował z Górnikiem Polkowice, od razu w wyjściowym składzie, i Mirosław Szymkowiak zafundował mu darmową lekcję języka polskiego. A w zasadzie „łaciny”. „Szymek miał swoją filozofię, myślał bardziej po piłkarsku, a ten spadł z kosmosu, nie przypadł mu do gustu. Tak z nim jechał, że nie dało się tego słuchać”, wspomina Baszczyński. Ouadja po polsku nie znał ani słowa, ale dobrze wiedział, że nie są to pochwały.

– Daj już mu spokój, bo się chłopak załamie – prosili Szymkowiaka koledzy.

Ouadja był początkiem całej serii nieudanych transferów Kasperczyka. Nie wiedział jeszcze wtedy, że wkrótce zacznie mu się je wytykać, nawet jeśli były tanie.

Nim Togijczyk pojawił się w zespole, drużyna bez większych problemów uporała się z Omonią Nikozja, pierwszą przeszkodą w eliminacjach do Ligi Mistrzów. W lutym, w trakcie zgrupowania na Cyprze, krakowianie rozegrali sparing z Apollonem Limassol. Wygrali z zespołem Łukasza Sosina aż 10:1, siedem bramek zdobył Maciej Żurawski. Właściciel Apollonu chciał go kupić zaraz po meczu, jednak szybko zrozumiał, że go nie stać, a poza tym Żuraw nawet nie spojrziałby na jego propozycję. Cypryjskie kluby nie liczyły się jeszcze wówczas w Europie.

Przed sezonem stadion Wisły przeszedł lekką kosmetykę. Wreszcie zainstalowano podgrzewaną murawę, nowością było też pojawienie się działającego zegara. Zdziwieni mogli się za to poczuć fanatyczni kibice Omonii – gdy zaczęli rytmicznie podskakiwać na prowizorycznej trybunie gości, spiker lojalnie ostrzegł ich, że ta może się po prostu zawalić.

Trybuna, prawdziwy cud myśli inżynierskiej, wytrzymała, za to zawaliła się defensywa Omonii. Po 70 minutach było 5:0, dopiero w końcówce goście strzelili dwie bramki, niemniej Wisła jechała na rewanż jak po swoje. A jednak emocji nie brakło. Co prawda dzięki Żurawskiemu goście szybko objęli prowadzenie, ale Cypryjczycy doprowadzili do remisu, a w 25. minucie z boiska wyleciał Maciej Stolarczyk. „Przez ponad godzinę graliśmy w dziesięciu, na stadionie panowała duchota i niespotykana w Polsce wilgotność. Gdy w dniu spotkania wyszliśmy na spacer, wrażenie było takie, jakby ktoś buchnął człowiekowi w twarz wiaderkiem wrzątku. Wieczorem było niewiele lepiej. Nigdy

wcześniej ani nigdy później nie schodziłem z boiska tak zmęczony jak wtedy”, wspomina Paweł Strąk.

W miejsce Stolarczyka do defensywy wycofany został Daniel Dubicki, dla którego był to debiut na pozycji lewego obrońcy. W drugiej połowie kilkakrotnie prosił o zmianę. Henryk Kasperczyk już szykował się do zdjęcia go z boiska. „Widziałem, że zaraz zejść, więc raz jeszcze, resztkami sił, rzuciłem się do przodu z ofensywną szarżą”, wspomina Dubicki.

– E, z tym Danielem nie jest jeszcze tak źle – skomentował Kasperczyk i odwołał zmianę. Przez całe spotkanie dokonał tylko dwóch roszad, a Dubicki grał do końca.

Przy bramce Adama Piekutowskiego leżało kilka bidonów. Do jednego z nich ktoś nasikał. „Kręcili się tam chłopcy do podawania piłek i to zapewne ich sprawka. W pewnym momencie jeden z kolegów z zespołu podbiegł do bramki, chwycił za bidon, łyknął i natychmiast wypluł”, wspomina bramkarz. „O ile dobrze pamiętam, to jeszcze wcześniej ktoś inny napił się z tego bidonu i nie poczuł różnicy”, śmieje się Tomasz Frankowski.

Remis 2:2 dał awans do dalszej rundy.

ZERO WĄTPLIWOŚCI

Do Brukseli drużyna jechała bez większej wiary w sukces. W wywiadach piłkarze otwarcie mówili, że zespół jest w przebudowie i nie wszystko funkcjonuje jak powinno. „Anderlecht za to miał ponoć jedną z najsilniejszych drużyn w historii klubu”, zwraca uwagę Szymkowiak. To przesada, ale było w tej drużynie kilku ciekawych piłkarzy. Jak choćby 17-letni Vincent Kompany, który z marszu wywalczył miejsce w podstawowym składzie i od razu grał jak profesor.

W Brukseli ani przez chwilę nie było wątpliwości, kto wygra. Gospodarze stwarzali sobie sytuacje jednym podaniem. W 12. minucie Seol Ki-hyeon z łatwością ograł na skrzydle Grzegorza Patera, wrzucił piłkę w pole karne, tam czekał na nią Nenad Jestrović, zabrakło za to wiślackiej defensywy. Do przerwy było 2:0, ale gdyby Aruna Dindane miał lepiej wyregulowany celownik, kwestia awansu byłaby rozstrzygnięta po trzech kwadransach. Skończyło się na wyniku 3:1, bo w końcówce rzut karny na bramkę zamienił Maciej Żurawski. „Nie powinniśmy się bać rewanżu. Awans już nie wymknie nam się z rąk”, mówił po meczu trener Belgów Hugo Broos. Rzadko spotykana pewność siebie, zazwyczaj trenerzy nie chcą rzucać takich deklaracji i opowiadają o szacunku dla przeciwnika.

Przed rewanżem w awans wierzyli już tylko kibice. Piłkarze nie mieli złudzeń. „Drużyna się rozsypała. Nie było w nas pewności, tego przekonania, że to my wygramy. Wychodząc na boisko, pamiętaliśmy, że musimy odrobić wynik 1:3 i nie wierzyliśmy, że może się to udać”, wspomina Żurawski. To właśnie on miał najlepszą sytuację, jednak przegrał pojedynek z bramkarzem Danielem Zitzką. W końcówce meczu Aruna Dindane objechał Mariusza Jopa, posłał piłkę obok Adama Piekutowskiego i było pozamiatane. Słabo wypadli nawet ci, na których kibice mieli prawo liczyć najmocniej. Szymkowiak od początku roku grał z kontuzją i – choć sezon ledwie się zaczął – myślał już głównie o odpoczynku.

W fazie grupowej Anderlecht zdobył siedem punktów, ale było to za mało, by zająć choćby trzecie miejsce.

Mimo braku awansu do Ligi Mistrzów Kasperczak otrzymał nowy kontrakt, który miał obowiązywać do czerwca 2008 roku. Bogusław Cupiał nadal wierzył, że to właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Nie minął jeszcze kac po przegranej z Anderlechtem, a już drużyna zaliczyła dwie kolejne bolesne przegrane – wpieryw 0:2 z Amicą we Wronkach, a trzy tygodnie później 1:4 z Legią w Warszawie. Najgorsze w tym sezonie miało jednak dopiero nadejść. Nim jednak wiślaczy zmierzylili się w Pucharze UEFA z Vålerengą Oslo, z kwitkiem odprawili NEC Nijmegen, a wszystkie cztery bramki dla Wisły w dwumeczu z Holendrami zdobył Tomasz Frankowski. Aż trzy z nich padły po kombinacji Szymkowiak – Żurawski – Frankowski. W końcówce rewanżowego meczu podopieczni Johana Neeskensa, gdy już nie mieli szans na awans, zupełnie stracili głowę, trzech z nich wyleciało z boiska z czerwonymi kartkami. To był sygnał, że Wisła wciąż prezentuje pewną wartość, akurat taką, by holenderskiemu średniakowi wybić z głowy ochotę na grę w piłkę.

ROZKŁAD

W październiku do gry wrócili Cantoro i Głowacki. W pięciu meczach ligowych Wisła ustrzeliła 17 goli, w listopadzie wyprzedziła Amicę i powróciła na fotel lidera, którego nie oddała już do końca sezonu. Scenariusz niemal idealny. Niemal.

„Do teraz nie mogę zrozumieć, w jaki sposób myśmy z tymi Norwegami odpadli”, Szymkowiak denerwuje się jeszcze dziś, wspomnienie Vålerengi wciąż pozostaje żywe. W Oslo, w pierwszym spotkaniu, krakowianie mieli multum okazji do zdobycia bramki. Dwie świetne sytuacje zepsuł Damian Gorawski – raz trafił w poprzeczkę, potem wyczyn ten powtórzył Mauro Cantoro.

W rewanżu było znacznie skromniej. Drużynę dopadł wirus, który całkowicie rozłożył Pawła Strąka, a kilku innych piłkarzy pozbawił sił. Zabrakło Mariusza Jopa – pięć dni wcześniej w spotkaniu z Lechem Adam Piekutowski wpadł w niego z całym impetem, łamiąc mu szczękę.

Grający trener Kjetil Rekdal zaraz po losowaniu nazwał Wisłę „drużyną traktorzystów”, za co później musiał kilkakrotnie przeproszać – zresztą to właśnie jego zespół grał, jakby zaparkował traktor w swoim polu karnym. W Krakowie przez 90 minut Norwegowie stali z tyłu, na połowę wiślaków zaglądali średnio raz na dziesięć minut. A Wisła znów była bez skrzydeł – Grzegorz Pater, a potem Daniel Dubicki z prawej oraz Brasilia, a później Piotr Brożek z lewej – żaden z nich nie był w stanie rozerwać zwartych szyków obronnych Norwegów. Od 70. minuty Mirosław Szymkowiak grał z kontuzją pachwiny. Prosił o zmianę, potem jednak zacisnął zęby i wytrwał do końca dogrywki, ale i on nie miał już sił ani pomysłu, by zagrać piłkę otwierającą napastnikom drogę do bramki.

„Do rzutów karnych trener desygnował mnie, Głowę, Szymka, Franka i Żurawia. Wszyscy wiedzieliśmy, że cała czwórka musi strzelić, bo rzuty karne mogli wykonywać z zamkniętymi oczami. Wątpliwości były tylko co do mojej osoby”, wspomina Paszulewicz. Zaczął Głowacki i choć minę miał, jakby zaraz zamierzał wybuchnąć

płaczem, strzelił świetnie – mocno i pod poprzeczkę. Chwilę później równie skutecznie huknął Paszulewicz, ale zawiedli Frankowski (słabo i w środek) i Szymkowiak (mocno, lecz nad poprzeczką). Na nic zdała się skuteczna obrona Adama Piekutowskiego przy strzale Øyvinda Bolthofa. Awans Vålerengi przypieczętował Lars Bohinen.

„Pierwszy mecz w Norwegii był dziwny. Mieliśmy kilka świetnych okazji i wydawało się, że gładko wygramy, ale minuty uciekały, a bramka nie padała – wspomina Frankowski. – Rewanż był gorszy, bo tych sytuacji było znacznie mniej, spotkanie było nudnawe, a potem jeszcze te karne. Najwyraźniej ktoś u góry czuwał nad Norwegami”.

Mimo wpadek w Europie w lidze drużyna wciąż miała ogromną pewność siebie. We wrześniu do Krakowa przyjechała Dyskobolia, po sześciu minutach i bramkach Grzegorza Rasiaka oraz Radosława Sobolewskiego prowadziła 2:0. W Grodzisku Wielkopolskim mieli wówczas bardzo silną drużynę, która w listopadzie tego roku wyrzuciła z Pucharu UEFA Manchester City. W Krakowie prowadzenia jednak nie utrzymała – po świetnym meczu, dramatycznym pościgu, dwóch bramkach Żurawskiego i jednej Pawła Brożka wiślacy wygrali to spotkanie 3:2. Kilka miesięcy później w Płocku przegrywali już 1:4, mieli przeciwko sobie sędziego, jednak zdołali doprowadzić do remisu 4:4.

„Wtedy w Płocku to my mieliśmy tyle sytuacji, że mogliśmy i ze 12 bramek strzelić. Jeszcze chwila i na pewno byśmy wygrali. Taka to była drużyna, że nawet trzybramkowa strata nas nie załamywała”, wspomina Szymkowiak, a Frankowski dodaje: „Czasem rywale po trzeciej czy czwartej bramce prosili nas, byśmy już im odpuścili: »Ile można. Wyluzujcie. Wysoko przegramy, to trener się na nas wścieknie i powrót z Krakowa będzie okropny«”.

Dawna atmosfera gdzieś już jednak uleciała. „Nawet zwycięstwa przestały nas cieszyć. Wcześniej tych wygranych było równie dużo, a jednak każda pojedyncza była fetowana. Potem wygrywanie było już czymś normalnym. Wygrywaliśmy, szybki prysznic i do domu, każdy w swoją stronę”, wspomina Piekutowski. Po kolei odchodzili kolejni goście, którzy kreowali atmosferę w szatni. Na wspólny wypad na piwo nie było już szans. Szatnia podzieliła się na grupy, o Akwarium nowi zawodnicy nawet nie słyszeli. „Próbowałem to jakoś trzymać, ale było coraz trudniej. Nam, starszym piłkarzom, zmieniały się priorytety, a młodzież, która wchodziła do zespołu, myślała głównie o głupotach, a nie o tym, by scalać szatnię”, mówi Baszczyński.

Zaczął się też zaglądnienie do portfela.

– Nie mam zamiaru zapierdalać, skoro jemu się nie chce, a zarabia dwa razy więcej – wypalił pewnego dnia jeden z nowych piłkarzy.

Takie słowa, wypowiedziane takim tonem, jeszcze w tej szatni nie padły.

AGENCJA MYŚLENICE

Pod koniec 2003 roku doszło do pierwszej próby podkopania pozycji Kasperczaka. Kolejne podejmowano już do końca jego obecności w klubie, a jego przeciwnicy otrzymywali do dyspozycji kolejne argumenty.

– Mam dla ciebie trenera, który zrobi to samo, co Kasperczak, ale za połowę jego zarobków – tak Zbigniew Koźmiński reklamował Cupiałowi Vernera Ličkę.

„Już wtedy [pod koniec 2003 roku – przyp. aut.], na rok przed moim zatrudnieniem, otrzymałem od Wisły pierwszy sygnał”, mówi czeski trener. W Krakowie pamiętano go z czasów pracy w Polonii Warszawa. W sezonie 2001/02 dwukrotnie ograł Wisłę prowadzoną przez Franciszka Smudę. Było wiadomo, że prędzej czy później zastąpi Kasperczaka. Na czele rewolucji stanął Hubert Praski z rady nadzorczej. Prawnik, który dbał o interesy Cupiała. Po klubie przechadzał się z szarmanckim uśmiechem, który u pracowników wywoływał dreszcze, bowiem nikt nie wiedział, cóż za intrygę knuje tym razem.

Kasperczakowi wytykano nie tylko porażki z Anderlechtem i Vålerengą. Gdy drużyna odpadła z Ligi Mistrzów, sprowadził do klubu Martinsa Ekwueme i Wyna Belotte’a. Kanadyjczyk był wychowankiem szkoły FC Nantes, ale nie potrafił nawet poprawnie biegać. W niczym nie przypominał profesjonalnego piłkarza i tylko marzył, by nim zostać. W pierwszej drużynie nie zagrał ani razu. Trener rezerw Antoni Szymanowski na jego widok cały się jeżył. Belotte miał status zawodnika pierwszej drużyny, więc gdy trafiał do rezerw, z założenia miał grać w podstawowym składzie. Kraków opuścił po trzech miesiącach, a niedługo potem, w wieku 21 lat, porzucił próby zarabiania na życie grą w piłkę. „Heniek poczuł się mocny, zaczął ściągać piłkarzy, których praktycznie nie znał, ufając opinii znajomych. Tego Belotte’a polecił mu stary znajomy ze Stali Mielec Krzysiek Rześny”, mówi Andrzej Iwan.

Ekwueme, w przeciwieństwie do Belotte’a, przynajmniej wyglądał na piłkarza. Zakotwiczył w Wiśle na nieco dłużej, ale i on jej nie zbawił, a przeciwnikom Kasperczaka przysporzył argumentów, że ten ściąga „swoich”, czyli Murzynów, kolegów z Czarnego Łądu.

Trener znów podpadł rok później, gdy przed sezonem 2004/05 ściągnął Temple Omeonu. Nigeryjczyk miał poważne schorzenie stopy, praktycznie uniemożliwiające bieganie. „Trener Kasperczak nie ma nosa do transferów. Sztab szkoleniowy zapewniał mnie, że ten zawodnik pomoże nam w awansie do Ligi Mistrzów, a dwa tygodnie później od tej samej osoby słyszę: »Trzeba tego Nigeryjczyka wypożyczyć albo sprzedać«”, mówił Bogusław Cupiał w jednym z niewielu wywiadów, udzielonym „Gazecie Wyborczej”.

Hubert Praski do spółki z menedżerem Adamem Mandziarą przeciągali linę z Kasperczakiem. Stanowisko dyrektora sportowego miał objąć Edward Socha, a praktycznie już to zrobił, ale trener, ponieważ wciąż miał silną pozycję, postawił weto i nominację odroczone do czerwca. Do tematu już nigdy nie powrócono, zresztą w kwietniu Socha został konsultantem zarządu Legii. Kasperczak zablokował także pomysł, by trenerem bramkarzy został Adam Matysek.

Zmiany dokonano za to na stanowisku prezesa – Bogdana Basałaja (nie był w stanie ruszyć kwestii przebudowy stadionu) zastąpił Tadeusz Czerwiński, były dyplomata (sekretarz generalny ambasady w Moskwie, ale i konsul RP w Chicago), który z klubem był związany już w latach 70.

Wreszcie Kasperczaka odsunięto od transferów. Niemal wszystkie ruchy do i z klubu zaczęły być realizowane przez Mandziarę. Trener nie był na przykład zwolennikiem sprowadzenia Radosława Majdana. „Do transferów osobiście zabrał się prezes Cupiał

z Hubertem Praskim. W klubie mówiło się wtedy, że nad transferami pracuje agencja „Myślenice”, mówi Janusz Basałaj.

Faktem jest, że zimną drużyną została mocno przebudowana. Radosław Majdan, Edno, Tomasz Kłos, Mariusz Kukiełka, Nikola Mijailović, Jacek Kowalczyk – takiego zaciągu nie było od jesieni 1999 roku. Pierwszego dnia w klubie Kukiełka wjechał samochodem w auto Pawła Strąka.

– Oho, zaczyna się walka w składzie – komentowali rozbawieni koledzy.

Kasperczak szybko dopasował nowe klocki, a do gry wrócił także Kalu Uche. Wiosną drużyna wygrała 11 meczów, tylko dwa zremisowała, nie przegrała ani razu. Zdobyła 35 bramek, straciła tylko 13. Maszyna do wygrywania znów pracowała na najwyższych obrotach. Tytuł mistrzowski przyklepany został na trzy kolejki przed końcem. Różnica między pozostałymi ligowcami a Wisłą była taka jak między samochodem a samochodem rajdowym. Krakowianie przyjeżdżali, spychali wszystkich z drogi i pędzili dalej.

18. TBILISI, CZYLI KONIEC

Kolejny sezon zaczął się i skończył w Tbilisi. Zaczął świetnie, od zwycięstwa 8:2 nad mistrzem Gruzji WIT Georgia, zakończył dramatycznie, kompromitującą porażką z Dinamem. Pomiędzy jednym a drugim wypadem do Tbilisi Wisła stanęła przed trzecią próbą przebiccia się do Ligi Mistrzów.

Real Madryt był właśnie w szczytowej fazie ery Galácticos. Ery wielkich nazwisk: Beckham, Figo, Zidane, Roberto Carlos, Raúl, Morientes – nazwisk, które zgodnie z wizją Florentino Péreza miały stworzyć najsilniejszą drużynę świata, jednak zadanie to przerastało kolejnych trenerów.

„Naprawdę wierzyliśmy, że damy radę. Staraliśmy się pamiętać, że Real to znane nazwiska, ale drużyna jako całość wcale nie prezentowała się najlepiej – mówi Tomasz Frankowski. – Pierwszy mecz w Krakowie był wyrównany, dopóki na boisko nie wszedł Fernando Morientes. Dostawił dwa razy nogę i zrobiło się 0:2. Niestety w rewanżu w Madrycie okazaliśmy się o dwie klasy gorsi”.

Cupiał znów był mocno rozczarowany i jak na prawdziwego kibica przystało, nie chciał słuchać głosu rozsądku. Chciał, by jego drużyna wygrała. Miał dość wysłuchiwanie tłumaczeń, twierdził, że w tym akurat sezonie Real był dość słaby. Zresztą Wisła miała być polskim Realem – gdy projektowano herb spółki, wzorowano się właśnie na herbie Królewskich. Marnym pocieszeniem były dla niego fantastyczne wyniki osiągnięte w lidze – w siedmiu kolejkach chłopcy Kasperczaka zdobyli 29 bramek, stracili tylko trzy.

We wrześniu dobiegła końca rekordowa seria 19 wygranych z rzędu na własnym stadionie. Zakończyła się remisem z Amicą Wronki. Maciej Żurawski był po spotkaniu wściekły na sędziego Jarosława Żyro, który przyznał gościom dyskusyjny rzut karny.

– Jak on się nazywa? Żyrko, tak? Żyro? Bo ja myślałem, że krętacz. No, niech będzie, że Żyro. Trzeba przyznać, że był zagubiony – denerwował się.

Potem, na przesłuchaniu w PZPN-ie sprytnie się wybronił, zeznawał bowiem, że był autentycznie przekonany, że sędzia ma na nazwisko Krętacz.

Było tylko jedno miejsce w Polsce, gdzie tej Wiśle się nie wiodło. Wodzisław. Między rokiem 2002 a 2007 rozegrała tam sześć meczów, wygrała tylko raz, za to, przy akompaniamencie bluzgów i orkiestry dętej, przegrała aż trzykrotnie. „Są takie drużyny, które wybitnie nie leżą, choć zupełnie nie wiadomo, z czego to wynika”, mówi Kazimierz Moskał. To w Wodzisławiu doznał kontuzji, a Maciej Żurawski zmarnował jeden z dwóch rzutów karnych podczas siedmiu lat gry w Wiśle. To w Wodzisławiu z boiska wylatywali Marcin Baszczyński i Jean Paulista. To w Wodzisławiu, a nie w Warszawie czy Poznaniu, wiślakom najczęściej puszczały nerwy. Raz Mirosław Szymkowiak nie wytrzymał – zamiast kontynuować grę, stanął i spojrzał na jednego z krzykaczy tak, jakby zamierzał go zabić. A potem nie chciał rozdawać autografów.

– Proszę pani. Mnie tutaj w trakcie meczu tak zwyzywano, że odmawiam – powiedział jednej z miejscowych fanek futbolu.

WIELKIE GŁUPSTWO

Kasperczak nie chciał nikomu dawać pretekstu do nerwowych ruchów – skład drużyny zawsze był niemal taki sam, czy grano z Tłokami Gorzyce, czy z Realem Madryt. Pomnik trenera wciąż chylił się ku upadkowi i wreszcie, z końcem września, rozsypał się z łoskotem – gdy opadł kurz, pozostała już tylko rozpaczliwa walka o zachowanie posady. Walka, w której obu stronom zabrakło klasy.

We wrześniu o awans do fazy grupowej Pucharu UEFA Wisła biła się z Dinamem Tbilisi. Zwycięstwo 4:3 w pierwszym meczu w Krakowie – to brzmiało jak początek poważnych problemów. Spotkanie miało zaskakujący przebieg: po pół godzinie gry Gruzini prowadzili 2:0. W drugiej połowie, w ciągu kwadransa, wiślacy strzelili cztery bramki i wydawało się, że sytuacja jest pod kontrolą. Wtedy padł trzeci gol dla gości, autorstwa... Tomasza Kłosa.

Kłopoty w Tbilisi rozpoczęły się po godzinie gry. Marcin Baszczyński wybił ręką piłkę zmierzającą do bramki, dostał czerwoną kartkę, a rzut karny zamienił na bramkę Giorgi Nemsadze. Henryk Kasperczak nie wiedział, co robić. Jego drużyna grała w osłabieniu, więc do gry w miejsce Damiana Gorawskiego wprowadził Mariusza Kukiełkę, by wzmocnić defensywę. Chwilę potem gospodarze zdobyli jednak drugą bramkę, więc dla odmiany postanowił zasilić atak – za Marka Zieńczuka posłał do boju Marcina Kuźbę. W końcówce udał się tylko jeden zryw, po którym bramkę zdobył Tomasz Frankowski.

Ostatni gwizdek zapoczątkował jeden z najbardziej nerwowych okresów w historii klubu – dworskie intrygi sięgnęły niespotykanych do tej pory rozmiarów. Hubert Praski zadzwonił do Tadeusza Czerwińskiego z poleceniem, aby cały zarząd podał się do dymisji, i tak się stało, jeszcze w Tbilisi. „Nie miałem żadnych wątpliwości, że decyzję podjął sam właściciel klubu”, mówi Czerwiński. Cupiał liczył zapewne, że w ślad za zarządem rezygnację złożą trener. Tak się jednak nie stało. „Członkowie zarządu, podając się do dymisji, popełnili wielkie głupstwo”, skomentował Kasperczak i zaczął się okopywać. „Cupiał był gotów zwolnić go zaraz po powrocie do Krakowa, ale gdy spotkali się twarzą w twarz, nie potrafił tego zrobić”, wspomina jeden z uczestników tamtych wydarzeń.

Według najpopularniejszej wersji Kasperczak obiecał wówczas właścicielowi klubu, że jeśli ten nadal będzie chciał go zwolnić, po rundzie jesiennej złożą rezygnację.

Zaraz po powrocie z Tbilisi Wisła zagrała w pierwszych od 20 lat derbach Krakowa. Na znak jedności piłkarze wymalowali włosy w wiślackie barwy – niewiele z tego zostało, bo farba spłynęła wraz z potem, niewiele też z tej jedności było na boisku. Skończyło się żalonym bezbramkowym remisem, zniesmaczony Bogusław Cupiał wyszedł ze stadionu dziesięć minut przed końcem spotkania. Atmosfera w szatni była napięta. Baszczyński miał wielkie pretensje do Szymkowiaka:

– Kurwa! Biegam jak pojebany po skrzydle, a ty w ogóle nie grasz mi piłek!

Na tę krótką chwilę koledzy stali się zaciekłymi wrogami. Skoczyli sobie do gardeł. Kasperczak przyglądał się temu z boku. Na taką reakcję czekał.

Potem jego drużyna wygrała wszystkie pozostałe mecze, a rundę jesienną zakończyła na pierwszym miejscu, z ośmioma punktami przewagi nad drugą w tabeli Legią (najwyższa przewaga na półmetku od sezonu 1998/99). W 13 kolejkach wiślacy nastrzelali 44 bramki, stracili tylko osiem.

Ale Cupiała wciąż drażnił każdy stracony gol. Rok wcześniej przekonał się o tym Mirosław Szymkowiak, który miał wówczas konkretną propozycję z włoskiej Modeny, lecz zamiast podpisać kontrakt z Włochami, zdecydował się na nową umowę z Wisłą.

Pojechał do Myślenic na spotkanie z właścicielem klubu. Pamięta, że w pewnym momencie Cupiał nacisnął guzik i z biurka wysunął się mały telewizor. Prezes włączył telegazetę, wystukał numer, na ekranie pojawiła się tabela Serie A.

– Popatrz, gdzie jest Modena – powiedział do Szymkowiaka. Modena była w ogonie tabeli, z dwoma wygranymi w 17 kolejkach. – I ty chcesz tam iść?

Teraz Cupiał wybrał na pilocie kolejny numer, nastąpiła chwila oczekiwania i obaj zobaczyli tabelę polskiej ligi – po rundzie jesiennej sezonu 2003/04 Wisła była oczywiście pierwsza w tabeli.

– Nadal chcesz tam iść? – zapytał Cupiał po raz kolejny i nalał po kieliszku koniaku.

Szymkowiak, który preferował inne trunki, nawiązał beznadziejną walkę ze swoimi kubkami smakowymi – po pierwszym łyku szybko odwrócił głowę, by ukryć grymas na twarzy. Panowie błyskawicznie ustalili ramowe warunki nowej umowy. Na koniec Cupiał raz jeszcze wskazał na tabelę – Wisła legitymowała się bilansem bramek 38:17 – i postukał w liczbę straconych goli:

– Wszystko pięknie, ale tego miało nie być.

BRAZYLIJSKI SERIAL

Przyszłość Kasperczaka stała się tematem ogólnonarodowym.

– Rozmawiałem z pałacem prezydenckim. Decyzja o zmianie trenera została bardzo źle przyjęta – ostrzegął Tadeusz Czerwiński, który otwarcie stał po stronie trenera.

Jego słowa traktowano jako błąd, ale chyba coś w tym było. Jakiś czas później prezydent Aleksander Kwaśniewski zapytał Michała Listkiewicza:

– Co z tym Kasperczakiem? Jesteś prezesem PZPN-u, nie możesz czegoś zrobić?

Kibice w całej Polsce pamiętali świetne występy w Pucharze UEFA w sezonie 2002/03. W klubie pamiętano jednak co innego. Sytuacja zmieniała się jak w kalejdoskopie. Na początku grudnia Bogusław Cupiał udzielił wywiadu „Gazecie Wyborczej”. O Kasperczaku mówił:

– Zasługuje na to, aby dać mu jeszcze jedną szansę, ale nie na obecnych warunkach. Jeżeli zostanie u nas, to tylko jako szkoleniowiec pierwszego zespołu i jego kompetencje będą się zaczynać i kończyć na trenowaniu drużyny. Od menedżerki zostanie odsunięty. [...] Zamierzamy też zamrozić trenerowi i piłkarzom 30 proc. poborów do momentu zdobycia przez nich mistrzostwa Polski. [...] Ostatni warunek, jaki postawię Kasperczakowi, to wprowadzenie do kontraktu pisemnej klauzuli, że odejdzie z klubu bez odszkodowania, jeśli w 2005 roku nie awansuje do Ligi Mistrzów. Zmarnował już dwie szanse, dostanie trzecią. Dłużej już nie mogę czekać.

Choć negocjacje z Kasperczakiem wciąż trwały, a porozumienie było daleko, w listopadzie kontrakt podpisał Verner Lička. Wraz ze Zdzisławem Kapką pojechał do Brazylii w poszukiwaniu wzmocnień. Tadeusz Czerwiński nadal nie potrafił lub nie chciał zwolnić trenera, więc także on stracił stanowisko, a prezesem został Janusz Basałaj (brat Bogdana). Teraz to on odpowiedzialny był za negocjacje z Kasperczakiem. Nie był to

dobry wybór. Kasperczak uważał Basałaję za zbędnego pośrednika i wkrótce obaj nie mogli na siebie patrzeć, a trener próbował się kontaktować bezpośrednio z właścicielem. Pojawił się pomysł, by Henri został dyrektorem sportowym. Wreszcie, 13 grudnia, klub podał oficjalną informację o jego zwolnieniu.

Lička zapewnia, że podpisując kontrakt, nie wiedział, że sprawa jest tak zagmatwana. „Pan Kapka powiedział mi, że z Kasperczakiem wszystko już załatwili. Gdybym wiedział, że jest inaczej, kontraktu z pewnością bym nie podpisał”, wspomina.

TO BYŁ DOPIERO POCZĄTEK ZAWIERUCHY

– Nie ty mnie zatrudniałeś i nie ty mnie zwolnisz – mówił Kasperczak do Kapki.

Nie odpuszczał. Pojawił się na konferencji prasowej, podczas której Janusz Basałaj prezentował nowy sztab – trenera Venera Ličkę i dyrektora sportowego Grzegorza Mielcarskiego. Gdy wkroczył do sali, prezes mówił akurat o serialu brazylijskim związanym ze zwalnianiem trenera. Zaskoczony przerwał zdanie w połowie i zaczął wypraszać trenera z sali. Fotoreporterzy szybko poderwali się na równe nogi – w błysku fleszy doszło do żenującego spektaklu. Po zakończeniu konferencji Kasperczak spotkał się z dziennikarzami.

– Jestem zaskoczony, że klub prezentuje nowego trenera, nowego dyrektora sportowego. Jeszcze wczoraj pan Basałaj określił zadania, które należą do mnie jako trenera i menedżera. Mam przygotować drużynę do rundy wiosennej oraz szukać wzmocnień – mówił.

Gdzieś rzucił, że uznaje, iż Lička ma być jego asystentem. Walczył o swoje, a przy okazji wyglądał, jakby całkiem nieźle się przy tym bawił.

„Cupiał strasznie zraził się wtedy do ludzi, do Wisły, do tego całego interesu. Czuł się oszukany”, mówi Janusz Basałaj. Do tej pory wszystkich zwalnianych trenerów po prostu spłacał. W tym przypadku stawka była za duża. Kontrakt Kasperczaka miał obowiązywać jeszcze przez 42 miesiące, co pomnożone przez miesięczne pobory trenera (20 tysięcy euro) dawało kwotę blisko miliona euro. Nic dziwnego, że trener ani myślał odchodzić. Obie strony okopały się na swoich pozycjach. W tak toksycznej atmosferze trudno było choćby zbliżyć się do porozumienia.

Wreszcie Cupiał ogłosił, że odchodzi z klubu. Że sprzedaje Wisłę i rezygnuje. „Przez rok będziemy szukać inwestora. Jeśli go nie znajdziemy, oddamy klub w ręce kibiców”, napisano w komunikacie. Pod klubem demonstrowali fani, sytuacja zdawała się dramatyczna.

Na Kasperczaku nie zrobiło to wielkiego wrażenia, zapewne odbierał to jako błąd. Był skłonny odejść za kwotę 200 tysięcy euro. Cupiał był gotów zapłacić 150 tysięcy. W mediach wymieniano się uprzejmościami. W końcu trener otrzymał informację, że został zawieszony. „W moim kontrakcie nie ma takiej możliwości”, napisał w oświadczeniu dla prasy i gdy po Nowym Roku drużyna stawiała się na pierwszym treningu, on też zjawiał się w klubie. Wciąż nie otrzymał wypowiedzenia, zawieszenie, w jego mniemaniu, nie miało mocy prawnej, więc stawiał się wszędzie tam, gdzie wymagana była obecność pierwszego trenera. Nie chciał dać klubowi pretekstu do zwolnienia go z powodu zaniedbywania obowiązków.

Gdy chciał wejść do szatni, zatrzymali go ochroniarze i skierowali do gabinetu prezesa. W tym czasie piłkarze odbywali pierwszy trening pod okiem Venera Lički. Na trybunach pojawiło się blisko pięć tysięcy kibiców. Zajęcia symbolicznym kopnięciem rozpoczęła... miss Polonia 2004 Katarzyna Borowicz. Gdy u jej boku stanął Tomasz Frankowski, publiczność głośno skandowała:

– Gorzko! Gorzko!

W końcu Kaspercak uznał decyzję o zawieszeniu, drużyna pod okiem Lički zaczęła przygotowania do rundy, a on wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Kiedy dowiedziano się o tym w klubie, natychmiast odwołano jego zawieszenie i wezwano do stawienia się. W takiej atmosferze z Wisłą żegnał się jeden z najlepszych trenerów w jej historii.

19. MISTRZOSTWO ROZPACZY

Dana Ličkova, niegdyś znana tancerka baletu w Ostrawie, po meczu Wisły z Górnikiem Zabrze była roztrzęsiona. Pytała męża:

– Verner, w coś ty się wpakował?

Tuż przed końcem spotkania opuściła trybuny, wyszła z budynku klubowego i za nic w świecie nie chciała wrócić do środka. Płacząc, czekała na męża i syna. Mecz, który miał być świętem, zamienił się w koszmar, a w przypadku trenera Lički koszmar ten nabral wymiaru rodzinnego. Gniew trybun eksplodował pełną mocą, gdy w 86. minucie do remisu 1:1 doprowadził syn trenera Wisły Marcel.

– To najsmutniejsza bramka w moim życiu – komentował piłkarz Górnika.

W ostatniej minucie gola na 2:1 zdobył Maciej Żurawski, wygrana dawała Wiśle trzeci z rzędu tytuł mistrzowski, ale na trybunach nikt nie fetował. Kibice ryczeli, wyzywając Ličkę i prezesa Janusza Basałaja. „Ja już wtedy wiedziałem, że jestem martwa kawka. Że już mnie w tym klubie nie ma”, mówi ten drugi.

Kibice byli jak w amoku. W trakcie tego meczu wylali całą swoją złość, cały żal, tęsknotę za Kaspercziakiem, który zdaniem większości, mimo wpadek w pucharach, był gwarancją normalności, gwarancją piłkarskiego postępu. Janusz Basałaj uważa, że ktoś musiał stać za tą masową demonstracją: „Odpowiedzialne były za to pewne kręgi. Szkoda, że właściciel nie stanął wtedy murem za mną i Vernerem, tak jak powinien to zrobić”. Doszło do żenującej pyskówki na łamach gazet. Basałaj wypominał Tadeuszowi Czerwińskiemu komunistyczną przeszłość, Czerwiński śmiał się, że Basałaj – człowiek urodzony w Raczkach pod Suwałkami – jeszcze niedawno nie wiedział nawet, gdzie leży Kraków.

Gdyby tego dnia złość kibiców skupiła się na Cupiale, gdyby to on został obłany kubłem pomyj, niewykluczone, że natychmiast podjąłby decyzję o sprzedaży Wisły. „Jest zakładnikiem kibiców, opinii publicznej i władz samorządowo-politycznych Krakowa”, mówi o nim Basałaj.

Po rozstaniu z Kaspercziakiem szukano nowych perspektyw. Nadzieją na lepszą przyszłość miał być Grzegorz Mielcarski. Zjawił się z głową pełną pomysłów. „Gorąco wierzyłem, że uda się doprowadzić do stałej współpracy z FC Porto. Była możliwość, by wypożyczyć od nich dwóch–trzech młodych piłkarzy, którzy kilka lat później grali w Lidze Mistrzów. Liczyłem na to, dopóki nie zacząłem pracy w klubie, potem wszyscy powtarzali tylko: »Później«”, wspomina. W gronie tych piłkarzy był Vieirinha, który dziś gra w pierwszej reprezentacji Portugalii i wart jest sześć milionów euro.

Mielcarski nie otrzymał narzędzi, dzięki którym mógłby wykonywać swoje obowiązki. Nie dostał czasu, nie dostał wsparcia finansowego ani zaufania. Największy entuzjazm miał w dniu podpisania kontraktu. Potem zapał stygł, a pod nogi rzucono mu kolejne kłody.

MŁODY, MASZ PASZPORT?

W lutym zrealizował pierwszy transfer. Złoty strzał. Zadzwoił do niego kolega z boiska Jerzy Brzęczek i podesłał swojego siostrzeńca, nieznanego szerzej 19-letniego Jakuba Błaszczkowskiego. Ledwie wyszedł na boisko, a Verner Lička szeroko otworzył usta z wrażenia. „Nie mogłem uwierzyć, że taki facet grał do tej pory tylko w czwartej lidze. On miał wszystko! Wystarczyło mi pół godziny, by wiedzieć, że chcę go w zespole. Tym bardziej, że nie było już Mirka Szymkowiaka, do wyjazdu sposobili się Damian Gorawski, zgodę na transfer mieli także Tomasz Frankowski i Maciej Żurawski”, wspomina czeski szkoleniowiec. Natychmiast przystąpiono do działania, a czasu było mało, bo dwa dni później drużyna leciała na Cypr. Lička koniecznie chciał 19-letniego Kubę. Miał zająć miejsce Kelechiego Iheanacho.

– Młody, masz paszport? – zapytał Błaszczkowskiego Lička.

– Mam, ale w domu.

– To jedź po niego, lecisz z nami na zgrupowanie.

Błaszczkowski wsiadł w swojego wysłużonego volkswagena golfa III, szybko obrócił tam i z powrotem i tak to się zaczęło.

Nim podpisał pięcioletni kontrakt, musiał potwierdzić swoje umiejętności w trakcie cypryjskiego zgrupowania. Szybko okazało się, że dobrze rozumie się z Pawłem Brożkiem, który akurat wrócił z wypożyczenia do GKS-u Katowice. „Paweł dojrzał piłkarsko i nastał najwyższy czas, by zacząć na niego stawiać”, tłumaczył Lička. Gdy w meczu z Ferencvárosem Budapeszt (4:1) Brożek ustrzelił hat-tricka, Mauro Cantoro krzyczał w kierunku obecnego na trybunach Bogusława Cupiała:

– Możecie sprzedawać Żurawia! Mamy następcę!

Zapadła decyzja: Błaszczkowski otrzyma kontrakt.

Lička wspomina, że w trakcie meczu Cupiał z niedowierzaniem patrzył na Błaszczkowskiego:

– Kim jest ten chłopak? – dopytywał.

Jerzy Brzęczek, który w imieniu Jakuba negocjował z Wisłą umowę, nie dbał specjalnie o wysokość miesięcznych zarobków. Kuba otrzymał pensję typową dla ligowych żółtodziobów, czyli około cztery tysiące złotych. Brzęczek zabiegał za to, by w kontrakcie znalazł się zapis gwarantujący bonus za grę w pierwszej reprezentacji Polski – 20 tysięcy złotych po pięciu pierwszych spotkaniach w kadrze. Przyjęto to z życzliwością. Nikt nie spodziewał się, że po półtora roku trzeba będzie przelać tę kwotę na konto piłkarza. W październiku 2006 roku Błaszczkowski zagrał w słynnym już meczu z Portugalią (2:1) i był to jego piąty występ w kadrze.

Pierwszy pojedynek rundy wiosennej sezonu 2004/05 obejrzał z ławki rezerwowych, ale w drugim, z Polonią Warszawa w Pucharze Polski, zagrał już w podstawowym składzie. Debiut miał wymarzony. W trzeciej minucie wymienił piłkę z Tomaszem Frankowskim i strzałem z 14 metrów otworzył wynik spotkania. Nim mecz dobiegł końca, był już nowym idolem krakowskich kibiców. Zaliczył jeszcze asystę przy голу Tomasza Kłosa, a Wisła wygrała 5:0. Z czwartej ligi z marszu wejść do najlepszej drużyny w kraju? Takiego debiutu w polskiej piłce nie było od dawna. „Ja czegoś takiego nie widziałem nigdy wcześniej ani nigdy później w trakcie mojej pracy w roli trenera. On wszystko robił naturalnie”, mówi Lička.

Błaszczkowski dopiero wtedy – a może nieco wcześniej, gdy pędził swoim golfem po paszport – mógł pomyśleć, że wreszcie nadchodzi dla niego lepsze czasy. Do tej pory życie go nie oszczędzało. Gdy miał 11 lat, był świadkiem strasznej tragedii – ojciec zamordował jego matkę. Załamany Kuba rzucił piłkę, dopiero po jakimś czasie babcia Felicja i wujek Jerzy namówili go, by wznowił treningi. Jako 17-latek trafił z Rakowa Częstochowa do Górnika Zabrze.

Gdyby wtedy brakło mu charakteru, dziś nie byłby już piłkarzem. Przy drzwiach wejściowych do internatu dla młodych zawodników Górnika nie było portiera. Nastoletni chłopcy mieli całkowitą swobodę. „Myślę, że był to najgorszy okres w przygodzie Kuby z piłką. Z tego, co mówił, w akademiku była wódka i narkotyki, różne cuda się tam działy, a nikt tego nie pilnował. Przepadło tam wówczas wielu utalentowanych chłopaków. W końcu Kuba zadzwonił do mnie i poprosił, bym go stamtąd zabrał. Miał dość, a trenerzy go nie dostrzegali. Wykupiliśmy go za 20 piłek. W ten sposób znalazł się w naszym klubie, gdzie pół roku wcześniej trafiła grupa jego kolegów, rówieśników z Rakowa”, wspomina ówczesny dyrektor KS Częstochowa Edward Flis. To właśnie on wówczas był w środowisku piłkarskim najważniejszym oparciem dla młodego piłkarza. Wujek Jurek (Brzęczek) grał jeszcze w Austrii.

Błaszczkowski szybko przebił się do czwartoligowej drużyny seniorów KS Częstochowa, jednak jego talent wciąż nie był dostrzegany nigdzie indziej. W końcu w 2004 roku Flis zapakował Kubę do samochodu i zawiózł na zgrupowanie reprezentacji U-19. Andrzej Zamilski pamięta, że Błaszczkowski nie rzucił go na kolana. „Gdyby tak się stało, natychmiast wskoczyłby do podstawowego składu”, mówi. Wypadł jednak na tyle dobrze, by zacząć regularnie otrzymywać powołania. Pojechał na turniej do Korei Południowej, zagrał w zremisowanym 1:1 meczu z Brazylią. Załapał się też do kadry na mistrzostwa Europy U-19. Wystąpił dopiero w trzecim spotkaniu, przeciwko Hiszpanii, gdy wiadomo już było, że biało-czerwoni nie mają szans na wyjście z grupy. Przegrali wszystko – przeciwko Turcji (3:4), Niemcom (1:3) i Hiszpanii (1:4).

Jak to możliwe, że w 2004 roku nie miał miejsca w podstawowym składzie reprezentacji U-19, a raptem kilka miesięcy później wywalczył silną pozycję w drużynie mistrza Polski? „Jego talent eksplodował w otoczeniu nowych zawodników, nowego trenera, innego podejścia do treningów, zupełnie innej presji i oczekiwań. Trudno porównywać to, co się działo w KS Częstochowa, do treningów w Wiśle. No i przede wszystkim Kuba miał talent. Bez takich możliwości można się skichać, a wybitnego poziomu i tak się nie osiągnie”, mówi Zamilski.

Nie dostrzegali go nie tylko trenerzy reprezentacji młodzieżowych. Nieudane były także testy w kolejnych klubach – najpierw organizowane przez Flisa, potem już przez Brzęczka. „Zaprosiłem na nasz mecz wysłanników KSZO Ostrowiec Świętokrzyski. Wyszli w przerwie, mówiąc, że nie ma na kogo patrzeć. Na testach w GKS-ie Bełchatów wypadł świetnie, ale uznano, że jest za niski”, wspomina Flis. Trenerem pierwszej drużyny w Bełchatowie był wówczas Mariusz Kuras. W Lechu Poznań Błaszczkowski nie porozumiał się w sprawie kontraktu. Mówi się, że poszło o... 500 złotych. „Coś takiego miało miejsce i chyba była to nawet mniejsza kwota. Może Lech miał jakieś kłopoty

finansowe? Nieważne, choć anegdota niezła”, wspominał potem w wywiadzie udzielonym „Przeglądowi Sportowemu”.

Wisłę kosztował 70 tysięcy złotych i partię sprzętu sportowego. „Dostaliśmy stroje z herbem Wisły. Naszyliśmy nasze emblematy i rozgrywaliśmy w nich mecze”, mówi Flis.

KARA? JAKA KARA?

Lička zasiadł za sterami pędzącej maszyny i starał się nie wypaść z trasy. Nie chciał zepsuć tego, co zbudował Kasperczak, ale u piłkarzy, podobnie jak u kibiców, był na z góry straconej pozycji. Nie liczyło się, że był sympatycznym, porządnym i sprawiedliwym facetem z całkiem niezłym warształem trenerskim. Jego największym problemem było to, że zastąpił trenera, którego piłkarze, w znakomitej większości, mieli za wyjątkowego fachowca. Co równie ważne, Kasperczak był dla nich jak dobry ojciec. Nie pastwił się nad obrońcami za każdą straconą bramkę, a zawodnikom ofensywnym dawał na boisku mnóstwo swobody. Treningi też nie były wyjątkowo ciężkie. Nagle w jego miejsce pojawił się Lička i jaki by nie był – nie miał grzywy jak lew i nie pokrzykiwał „Allez, chłopaki!” – nie był Henrykiem Kasperczakiem.

„Wiem, że było to tak odbierane i dobrze to rozumiem. Za czasów Kasperczaka Wisła grała bardzo dobrze i wszyscy pamiętali świetny sezon w Pucharze UEFA. Na szczęście ze strony piłkarzy nie odczułem niechęci”, mówi czeski trener.

To tylko poza. Najstarsi piłkarze mieli Ličkę za nic. Po jednym z meczów rugał zawodników za grę defensywną. W pewnym momencie Tomasz Kłos poderwał się na równe nogi:

– O co trenerowi chodzi?! Gramy tak, jak nam pan kazał! – krzyczał.

Zaskoczony Lička zamilkł i na tym jego przemowa się skończyła. Bał się odezwać, bo w nerwach zawsze się jąkał.

Nikola Mijailović od razu wyczuł, że może sobie pozwolić na więcej niż u Kasperczaka.

Trening. Mijailović ma za zadanie podciągnąć skrzydłem i wrzucić piłkę w pole karne. Gdy przychodzi jego kolej, przyjmuje piłkę, biegnie wzdłuż linii bocznej, nagle ścina do środka, wbiega w pole karne i strzela na bramkę.

– Nikola, masz dośrodkowywać! – krzyczy Lička.

Druga próba zostaje zakończona dokładnie w ten sam sposób.

– Nikola! Miałeś dośrodkować! – domaga się trener.

Bezskutecznie. Pięć prób, pięć strzałów.

Pewnego dnia Mijailović spóźnił się na trening. Gdy wreszcie się pojawił na horyzoncie, szedł spokojnym krokiem, radośnie pogwizdując i kozłując piłkę. Lička tylko rozłożył ręce.

„Na początku trener ustalił regulamin, ale potem wszystko się rozmyło i nikt już tego nie pilnował”, mówi Kazimierz Moskal, który w sztabie Czecha pełnił rolę kierownika drużyny.

Piłkarze raz jeszcze przekonali się, ile do powiedzenia ma Lička. Przy okazji meczu z Odrą Wodzisław trener włączył do kadry Bartosza Iwana, jednak ten, wskutek pomyłki,

nie wiedział, że ma jechać na przedmeczowe zgrupowanie. Swój błąd uświadomił sobie dopiero wieczorem, dzień przed meczem i natychmiast zadzwonił do trenera.

– Przyjdź jutro do klubu, porozmawiamy – usłyszał.

Gdy się pojawił, Lička wlepił mu karę w wysokości trzech tysięcy złotych, co stanowiło trzymiesięczne wynagrodzenie młodego piłkarza. Prosto z gabinetu trenera Iwan udał się do szatni, gdzie piłkarze przygotowywali się do meczu z Odrą.

– Proszę, proszę! Pan Iwan jest już tak dobrym piłkarzem, że nie musi jeździć z drużyną na zgrupowanie. Wystarczy, że przyjdzie do szatni w dniu meczu! – żartował Marcin Baszczyński.

Piłkarze wypytali Iwana o przebieg rozmowy z Ličką. Gdy poznali wysokość grzywny, rada drużyny natychmiast udała się do trenera. Tomasz Kłos, Maciej Stolarczyk i Maciej Żurawski w kilka chwil przekonali Czecha, by anulował karę. Zrobił to z dobrodusznym śmiechem, grzebiąc resztki swojego autorytetu.

LIGA, CZYLI ZABAWA

Lička był prawdziwym maniakiem taktyki, a teoria była dla niego podstawą. Potrafił ni stąd, ni zowąd wyskoczyć zza winkła i zaatakować piłkarza w klubowym korytarzu:

– Jakie są cztery zasady pressingu?!

Nie każdy miał ochotę uczyć się tego typu formułek na pamięć. „Piłkarze Wisły, szczególnie młodzi, mają duże braki w taktyce. Muszę ich tego uczyć”, narzekał Lička.

Drużyna chciała się go jak najszybciej pozbyć, wydalić jak toksynę. Janusz Basałaj pamięta, że po meczu z Amicą we Wronkach (wygranym 1:0) podszedł do niego Maciej Żurawski:

– Prezesie, my chuja gramy.

A potem była delegacja. „Maciek, Marcin Baszczyński i chyba Tomek Frankowski pojechali do Myślenic – mówi Janusz Basałaj. – Argumentowali: »Prezesie, my z tym trenerem niczego nie osiągniemy«”.

Liga była dla nich zabawą. Gdy mieli dobry dzień, wygrywali 6:0, jak z Zagłębiem Lubin. Gdy im się nie chciało – przegrywali, jak z Legią 1:5, choć zwyciężając, mogli przyklepać tytuł mistrzowski. I wyglądali, jakby się tym specjalnie nie przejęli. „Podpadłem wtedy chłopakom. Wracałem z nimi autokarem. Przyszedł do mnie kierownik drużyny z pytaniem, czy piłkarze mogą wypić po jednym, dwóch piwkach. Powiedziałem, że po takim meczu nakładam absolutny zakaz picia piwka”, wspomina Janusz Basałaj.

Zabawą była także rywalizacja o koronę króla strzelców. Frankowski i Żurawski strzelali jak najęci, na długo przed zakończeniem sezonu wiadomo było, że koronę przymierzy jeden z nich. Przed ostatnim meczem Franek miał na koncie 24 gole, Żuraw 22. „Wpadliśmy na pomysł, by sięgnąć po koronę wspólnie”, mówi Żurawski. Niemal się udało. W ostatniej kolejce wiślacy rozbili Dyskobolię 3:0, Żuraw zdobył dwie bramki, ale Franek też trafił do siatki i to jemu przypadła ostatecznie korona. Strzelecki remis był blisko, ale w dobrej sytuacji Żurawski trafił piłką we... Frankowskiego. Czy wspominałem, że nigdy nie byli wielkimi przyjaciółmi...? Do spółki w lidze strzelili 49 goli (gdy zsumujemy wszystkie rozgrywki, otrzymamy liczbę 68), co stanowiło 70 procent dorobku całej drużyny. Trzeci w klasyfikacji ligowych strzelców Marek

Saganowski z Legii był daleko z tyłu – sezon zakończył z 14 trafieniami na koncie. Deklasacja.

Po raz pierwszy od 1957 roku dwa pierwsze miejsca w klasyfikacji ligowych strzelców zajęli piłkarze z tego samego klubu.

Do drużyny niemal z marszu wpasował się Radosław Sobolewski. Najlepiej charakteryzuje go historia z czasów, gry grał jeszcze w Dyskobolii, którą kiedyś opowiedział Sebastian Mila. W pewnym momencie meczu z Herthą Berlin Sebastian postanowił się wykazać i powalczyć o górną piłkę. Miał pecha, bo Sobolewski zrobił to samo, oczywiście zgarnął futbolówkę, demolując przy okazji niemieckiego rywala i Milę. Po chwili stanął nad leżącym kolegą z drużyny:

– Młody, nie wpierdalaj się, jak maszyna pracuje – syknął i wrócił do gry, a raczej zakasał rękawy i wrócił do roboty.

Bo Sobolewski to szeryf w szatni i na boisku.

KONIEC, DZIĘKUJĘ

Już po zaklepaniu tytułu mistrzowskiego doszło do jeszcze jednego zgrzytu. Drużyna Lički jechała do Lubina na rewanżowy mecz półfinału Pucharu Polski z Zagłębiem. W pierwszym spotkaniu w Krakowie wygrała 1:0. Po kompromitacji w pucharach, po aferach z Kasperczakiem, po nieustannych zmianach, po tej fecie mistrzowskiej, która zamieniła się w stypę, po kolejnych zawirowaniach, dzikich kłótniach w klubie, po zaciętej wojnie o stołki, po całej tej wyczerpującej zawierusze – wszyscy mieli tego sezonu już serdecznie dość. Piłkarze też. W Lubinie niektórzy z nich wyglądali tak, jakby nie chcieli awansować do finału. Jakby wyczekiwali na moment, w którym sędzia gwizdnie po raz ostatni, obwieszczając tym samym koniec tego upiornego sezonu.

Podpadło wówczas wielu zawodników, ale najbardziej Tomasz Kłos. Nie wszystkim w klubie podobał się jego styl bycia. Kłos chciał, by na każdym kroku widać było, że grał we Francji, w Niemczech, że przez lata miał mocne miejsce w kadrze; chciał wyglądać na kogoś, kto wielki futbol widział z bliska. Nawet w prywatnej rozmowie nie potrafił się przyznać do błędu. „Młodych piłkarzy traktował bardzo obcesowo. Choć ja narzekać na niego nie mogę. Palił papierosy i czasem na zgrupowaniu poczęstował fajką”, mówi Bartosz Iwan.

Po meczu z Zagłębiem w drużynie utrwaliła się łatka Kłosa jako tego, który zawala w najbardziej spektakularnych momentach, i opinia ta ciągnęła się za nim od samobója w meczu z Dinamem Tbilisi do końca jego gry w Krakowie. W Lubinie jeszcze na pięć minut przed końcem spotkania wynik był korzystny dla wiślaków. Choć przegrywali 1:2, byli w finale, dzięki bramce zdobytej na wyjeździe. W 86. minucie Zagłębie miało rzut różny. Grzegorz Bartczak skoczył wyżej niż Kłos i wpakował piłkę do siatki, wprowadzając Miedziowych do finału.

Gdy piłkarze schodzili z boiska, kamerzysta uwiecznił pełną emocji konwersację między Radosławem Majdanem a Maciejem Żurawskim. Krótki filmik szybko stał się hitem internetu.

Obaj piłkarze z trudem utrzymują nerwy:

– Jesteśmy spóźnieni! Panowie, trzeba dojść, kurwa! – piekli się Majdan, a Żuraw, podskakując nerwowo wokół niego, tłumaczy mniej więcej tak:

– Słuchaj: stoi Kłoniu, kurwa, i ja to widzę: Kłoniu stoi – chłop stoi. Kłoniu stoi, patrzy na piłkę, a gość nabiega, kurwa. Nabiega! Kłoniu stoi, kurwa, wyskakuje z miejsca, a gość nabiega i jeb!, kurwa, koniec, dziękuję.

POLSKA TO NIE ANGLIA

Do Lubina Dariusz Wdowczyk przywiózł Gordona Strachana. Celtic Glasgow był już wtedy napalony na Żurawskiego, ale menedżer szkockiego klubu chciał raz jeszcze zobaczyć go w akcji. Opuścił stadion, nim Żuraw zdobył gola na 1:1. Gra Wisły, cała otoczka tego spotkania, rozsypany się gigantyczny stadion, błotnisty parking – wszystko to zrobiło na Strachanie dołujące wrażenie.

– Kurwa, jedziemy tutaj kawał drogi po dziurawych drogach, a wy gracie taką kichę – denerwował się Wdowiec.

– Uspokój gościa. Wy tłumacz mu, że Puchar Polski nie cieszy się takim prestiżem jak Puchar Anglii – ratował się Janusz Basałaj.

Wyjechali zniesmaczeni. Pojechali do Grodziska Wielkopolskiego zobaczyć w akcji Artura Boruca. Ten też się nie popisał. Legia przegrała z Dyskobolią w rzutach karnych i nie awansowała do finału. Strachan opuszczał Polskę z mieszanymi uczuciami, ale – jak wiadomo – kupił obu piłkarzy.

Sprzedawanie Żurawskiego trwało całą wiosnę. Już zimą mógł, wraz z Mirosławem Szymkowiakiem, trafić do Trabzonspor. Praktycznie wszystko było już ustalone. „Byłem po tym wszystkim strasznie wkurzony, czułem się oszukany. Przebywaliśmy na zgrupowaniu w Turcji i transfer był już praktycznie dograny. Przekazałem nawet kopię swojego paszportu, aby przedłużyć turecką wizę. W samej końcówce okienka transferowego odebrałem telefon z Wisły, że nic z tego, bo Turcy nie przedstawili gwarancji bankowych”, mówi. Turcy jednak nie odpuszczali. Szymkowiak świetnie wprowadził się do Trabzonspor, więc koniecznie chcieli mieć także Żurawia.

W Krakowie byli jeszcze kilkakrotnie, ale przyjęli dość kuriozalną taktykę. Na pierwszym spotkaniu w hotelu Sheraton zaproponowali 2,5 miliona euro. Cena była jednak ustalona już dawno i wynosiła 3 miliony i ani centa mniej. Niedługo potem przysłali drugą ofertę, opiewającą na... 2 miliony euro. W końcu przyjechali na mecz derbowy z Cracovią. „Wygraliśmy 1:0, Żuraw grał nieźle, miał udział w akcji bramkowej. Po meczu spotykamy się w hotelu, a Turek mówi 1,2 miliona euro – opowiada Janusz Basałaj. – Popatrzyłem na niego jak na wariata, ale dzwonię do Cupiała. Mogłem się domyśleć, co usłyszę. »Wywal ich, szkoda nawet płacić za kawę«”.

„Wiem, że zimą przyszła konkretna oferta z Levante, ale w klubie zaprzeczali. Dopiero później przyznali się, że faktycznie taki papier był, jednak propozycja Hiszpanów była śmieszna – mówi Żurawski, który po tych wszystkich perypetiach nie chciał już nawet myśleć o transferze. – Stwierdziłem, że chcę podpisać nowy kontrakt. Powiedziałem o tym Cupiałowi, który odparł, żebym jeszcze to przemyślał. I wtedy pojawiła się oferta z Celticu. Przyjąłem ją, a prezes w końcu dopiął swego i dostał za mnie tyle, ile chciał”, dodaje Żuraw z uśmiechem. Klub zarobił na jego sprzedaży trzy miliony euro.

20. GRECKA TRAGEDIA

To był mecz, który miał zakończyć siedmioletnie oczekiwanie. Mecz, który wreszcie miał dać odpowiedź, a zamiast niej wywołał lawinę pytań, na które nikt nie zna odpowiedzi. W Atenach, gdy w końcu trzeba było zagrać futbol na nie, bronić przewagi, Jerzy Engel, w swoim stylu, wciąż chciał grać na tak, a wyszedł futbol rodem z podwórka. Wiślacy padli na rozgrzanej greckiej ziemi, po walce pięknej, lecz naiwnej. Liga Mistrzów była tak blisko, że jej blask okazał się oślepiający.

Był taki moment, w którym Wisła miała nie dwóch trenerów, a trzech. Na kontrakcie wciąż pozostawał Kasperczak, Verner Lička oficjalnie nadal był numerem jeden, a w Krakowie już pojawił się Jerzy Engel. Kontraktu jeszcze nie podpisał, ale zdążył w jednej z krakowskich restauracji zaczarować Bogusława Cupiała, przespacerować się po obiektach Wisły, a potem, tak dla pewności, by już wszyscy odnotowali jego obecność, wypił wraz z małżonką kawę w Łoży na Rynku Głównym. Nic dziwnego, że Lička nerwowo wydzwaniał z Ostrawy do Janusza Basałaja.

– Co słyhać? Kiedy odbędzie się planowane spotkanie z Cupiałem? – dopytywał.

W końcu przyjechał do Krakowa. „Przyszedłem do klubu, ale nie zastałem tam nikogo, kogo się spodziewałem. Nie było Janusza Basałaja, nie było Grześka Mielcarskiego. Pustka”, wspomina Lička. Pamięta, że spotkał za to Zdzisława Kapkę i wywiązała się taka rozmowa.

– O co chodzi, gdzie są wszyscy? – dopytywał Lička.

– Wszystko się zmieni. Pan też nie będzie już trenerem – odparł Kapka.

– A czy pan tu jest prezesem?

– Jeszcze nie, ale wkrótce tak.

I tak się stało. Gdy w końcu właściciel klubu wrócił do kraju, w dniu swoich 49. urodzin zwolnił Ličkę i Janusza Basałaja. „Styl oraz jakość gry nie były zadowalające i nie rokowały sukcesów w zbliżających się rozgrywkach o europejskie puchary”, napisano w sprawozdaniu zarządu. Rewolucję na własnej skórze odczuł nowy nabytek Konrad Gołoś. Właśnie jechał do Krakowa na pierwszy trening. Gdy wsiadł do samochodu w Warszawie, trenerem był Lička, a prezesem Basałaj, gdy dotarł do celu, szkoleniowcem był już Engel, a szefem Kapka.

PROMOCJA PO SZWEDZKU

Engel do Krakowa nie przyjechał sam. Z Polonii Warszawa, w której pełnił funkcję dyrektora sportowego, przywiózł ze sobą Ivana Udarevicia. Chorwacki obrońca był powodem pierwszego spięcia Engela z Grzegorzem Mielcarskim, który zresztą miał prawo być skołowany – o zatrudnieniu nowego trenera dowiedział się dopiero po fakcie. Jako dyrektor sportowy to on powinien decydować, komu powierzyć drużynę. W ostateczności powinien mieć chociaż możliwość wyrażenia swojej opinii. Gdy wreszcie się spotkali, zaiskrzyło.

– Przywiozłem Udarevicia. Czeka w hotelu. Będzie z nami trenować. Wprowadzę go dziś do szatni, by poznał klimat drużyny.

– Udarević? Jak to Udarević? – Mielcarski był autentycznie zaskoczony.

– No Udarević. To jeden z najzdolniejszych piłkarzy w kraju. Bierzymy go – argumentował Engel.

– Nie no, moment. Nie zgadzam się. To nie jest piłkarz, który może coś dać tej drużynie.

Napięcie rosło. Mielcarski czuł, że jeśli teraz odpuści, już o wszystkich kluczowych decyzjach będzie dowiadywał się z gazet. W końcu padła propozycja, by spór został rozstrzygnięty w obecności Bogusława Cupiała.

Jeszcze tego samego dnia Mielcarski, Engel i Zdzisław Kapka spotkali się w gabinecie właściciela klubu.

– Jeśli chce go pan kupić, to oczywiście pańskie prawo, ale moim zdaniem nie jest to piłkarz, który może coś wnieść do drużyny. Pamiętam go tylko z brutalnej gry – argumentował Mielcarski.

Engel obstawał przy swoim, w końcu Cupiał postanowił rozwiązać sprawę za pomocą głosowania. Trener był na tak, Mielcarski na nie, decydujący głos należał do Kapki. Ten też był na nie i jak wspomina Mielcarski, Cupiał szybko zamknął sprawę:

– 2:1 na nie. Decyzja zapadła. Udarevicia nie ma.

Było po rozmowie. Chorwacki obrońca musiał spakować walizkę i wrócić do Warszawy.

W podobny sposób upadały kolejne pomysły transferowe Engela. Nie udało mu się wcisnąć do drużyny ani Wojciecha Szymanka, ani Jacka Kosmalskiego. Patrząc z dzisiejszej perspektywy na to, co osiągnęli ci piłkarze, Wisła miała wiele szczęścia, że do tych transferów nie doszło. Udarević wyładował we Flocie Świnoujście, Kosmalski został w Polonii Warszawa i przez najbliższe lata strzelił w ekstraklasie tylko jedną bramkę. Najlepiej wiodło się Szymankowi, który próbował swoich sił w Grecji i na Ukrainie.

Podobnie było zresztą w przypadku pewnego obrońcy z Finlandii. Jerzy Engel uparł się, by piłkarzem Wisły został Jukka Sauso. Polecił mu go były piłkarz Legii Tomasz Arceusz, który przez lata grał w jednym z fińskich klubów. Gdy Fin pojawił się na zgrupowaniu we Francji, trener już po pierwszym dniu wydał pozytywną opinię, problemem była jednak cena. Za 23-letniego obrońcę, który właśnie zadebiutował w pierwszej reprezentacji Finlandii, szwedzki klub Örgryte chciał okrągły milion euro.

– To stanowczo za drogo. Lepiej przeznaczyć tę kwotę na zawodników na inne pozycje – zawyrokował Mielcarski, gdy dotarł na zgrupowanie i zobaczył Fina w akcji.

Sauso został odesłany do Szwecji, a kilka dni później cena spadła do 750 tysięcy euro, następnie w ciągu dwóch tygodni była obniżana jeszcze kilkakrotnie. W końcu Szwedzi byli gotowi sprzedać Sauso za 250 tysięcy euro.

To brzmiało jak wyjątkowa okazja. Sprawę transferu znów rozstrzygano w obecności Cupiała.

– Teraz ja bym go nie brał tym bardziej. Cena, ot tak, spadła z miliona do 250 tysięcy? Uważam, że to śliski temat – argumentował Mielcarski. Sauso do Krakowa nie trafił, nigdy

nie wyjechał ze Skandynawii, a w wieku 29 lat zakończył profesjonalną karierę.

Był jeszcze jeden zawodnik. „Jakiś napastnik z Finlandii, podobno król strzelców – opowiada Mielcarski. – Lecieliśmy awionetką, by go zobaczyć. Na trybunach zebrało się ze 100 osób. Jego drużyna wygrała, strzelił bramkę, bo bramkarz się poślizgnął. Pierwszy raz wyszedłem z meczu w 80. minucie. Gdybym go wziął, ludzie by mnie zabili”.

UCIECZKA Z SAMOLOTU

Engel kipiał z wściekłości, bo czuł, że wszystkie jego pomysły są torpedowane. Mielcarski wspomina, że gdy temat transferu Sauso upadł, trener planował zemstę. Podobno miał powiedzieć:

– Udarević, Kosmalski, Szymanek, teraz Sauso... Wszyscy się nie nadają? W takim razie Błaszczkowski, Paulista i Barreto też.

I faktycznie, gdy rozpoczął się sezon, wszyscy trzej siedzieli na ławce rezerwowych. W oczach trenera byli to piłkarze Mielcarskiego.

„Kuba nie zagrał w pierwszym meczu, bo był po urazie stawu kolanowego. Prowadziliśmy go bardzo ostrożnie, bo bardzo chciałem, żeby był gotów na mecz z Panathinaikosem – tłumaczy Engel, który twierdzi, że współpracę z Mielcarskim wspomina dobrze, tyle tylko, że... nie podobały mu się jego działania transferowe. – Potrzebny był nam dobry napastnik, który wypełniłby lukę po Żurawskim oraz klasowy obrońca, a w ostatni dzień okienka transferowego otrzymałem Barreto, choć defensywnych pomocników miałem w kadrze co najmniej kilku. Żał mi było właściciela klubu, że musiał wyłożyć takie pieniądze za piłkarza, który nie był nam niezbędny, a do tego okazało się, że ma problem zdrowotny. Paulista też nie był graczem na miarę Wisły, chociaż miał być gwiazdą zespołu. Raz Grzegorz pokazał mi kasetę wideo z dobrym obrońcą. Spodobał mi się i powiedziałem, że dobrze byłoby mieć go w zespole. Przyszedł, ale rok później. Nazywał się Cléber”.

Faktycznie, niektóre transfery wpędziły Mielcarskiego w tarapaty. Wkrótce na światło dzienne zaczęły wychodzić informacje o kłopotach zdrowotnych ściągniętych przez niego piłkarzy. Okazało się, że Jean Paulista bardzo słabo widzi na prawe oko. „Zadzwoiłem do Jorge’a Costy, spytałem go, czy o tym wiedział. Przyznał, że tak, że faktycznie słyszał. »Dlaczego mi nie powiedziałeś?«, zapytałem. Odparł, że nie chciał rozsiewać plotek. Uznał, że jeśli coś ze wzrokiem Paulisty jest nie tak, wykryjemy to w trakcie badań”, mówi Mielcarski. Tyle tylko, że standardowe badania przed podpisaniem kontraktu nie obejmują wizyty u okulisty.

André Barreto miał za to astmę wysiłkową. „Na pierwszym treningu, jeszcze podczas rozruchu, który prowadził Ryszard Szul, nagle padł na ziemię. Nie mógł złapać oddechu, myśleliśmy, że to zawał serca – mówi Engel. – Na szczęście w drużynie był Paulista, szybko się dogadali i ktoś pobiegł do szatni po inhalator. Barreto piłkarsko był niezły, potrafił dobrze rozegrać piłkę. Ale tego typu zawodników już mieliśmy”.

Brazylijczyk nie był mentalnie przygotowany do tego transferu. Choć lato dobiegało już końca, do Krakowa przyleciał w samych kłapkach. Wraz z żoną czuli się jak dzieci we mgle, jego partnerka zupełnie nie potrafiła odnaleźć się w Polsce. Zresztą jeszcze przed startem samolotu do Krakowa najzwyczajniej w świecie wstała, spanikowana wszczęła

larum i uciekła z pokładu. To przez nią brazylijski piłkarz dwukrotnie spóźnił się z powrotem z Portugalii, za co spotykały go kary, od razu tracił też w oczach kolejnych trenerów. Do Portugalii wrócił bardzo szybko, na jedno wypożyczenie, potem raz jeszcze i znowu, zwiedzając w ten sposób cztery różne kluby. Kosztował Wisłę 400 tysięcy euro, a pożytek był z niego żaden.

Engel nie mógł się też pogodzić ze stratą Żurawskiego: „Gdy rozmawiałem o objęciu Wisły, prezes Bogusław Cupiał wspominał mi, że są prowadzone pewne rozmowy w sprawie sprzedaży Macieja, ale już nic nie miało się zmienić. Liczyłem, że będę go mieć chociaż na mecze kwalifikacyjne. Jego odejście było sporym ciosem dla zespołu. Gdy już stało się faktem, obiecano mi wartościowego następcę, po czym przyjechał Marek Penksa. Prowadziliśmy też rozmowy z Łukaszem Sosinem. Był akurat na fali, do wzięcia bez konieczności transferu między klubami, bo był wolnym zawodnikiem, przebywał w Krakowie. Szkoda, że się nie udało, bo mógł dać duży impuls w ataku”.

Marek Penksa najlepsze lata miał już za sobą, jednak wciąż miał dużo do zaoferowania tej drużynie, także w szatni. Gdy wszedł tam po raz pierwszy i od progu krzyknął: „Ahoj”, z miejsca stał się uwielbiany. W Krakowie czuł się świetnie i bardzo podobały mu się tamtejsze kobiety. Pewnego razu, jadąc swoją wielką terenówką, zauważył w autobusie atrakcyjną dziewczynę. Wpadła mu w oko, więc jechał za autobusem tak długo, aż z niego wysiadła. Co prawda trwało to chyba z pół dnia, bo dziewczyna jechała za Kraków, ale opłacało się – Penksa wrócił do miasta z numerem telefonu od pięknej nieznajomej.

Lubił się popisywać swoimi erotycznymi podbojami – bezwstydnie pokazywał w szatni filmiki nagrane telefonem przy okazji intymnych spotkań.

– No, Marek, sprzętu największego to ty nie masz, ale język najdłuższy w Krakowie – żartowali koledzy.

Pewnego razu przyszedł do szatni w hawajskiej koszuli, która pamiętała chyba jeszcze czasy jego gry w Eintrachcie Frankfurt. Szybko przykuła uwagę, szczególnie Nikoli Mijailowicia. Po treningu Słowak długo nie mógł jej znaleźć, wreszcie zachęcony sugestiami kolegów wyszedł na boisko – jego koszula wisiała na tyczce wbitej w środek boiska i płonęła niczym zdobyczne trofeum.

O JEZUS

Gdy drużyna jechała busem na stadion, by zagrać pierwszy mecz z Panathinaikosem, z głośników popłynęło przemówienie nagrane wcześniej przez Engela. Trener siedział spokojnie w pierwszym rzędzie, piłkarze słuchali nagrania, a przez okna widzieli kibiców w szalikach zmierzających na stadion. „Była w tym niesamowita moc. Trener odwoływał się do honoru, do patriotyzmu, do sławy... Patrzyłem na twarze kolegów i widziałem, jak to na nich działa”, wspomina Konrad Gołoś. Engel postawił na motywację. Gdy przemawiał, piłkarze byli skłonni uwierzyć mu we wszystko. Nie tylko w to, że awansują wreszcie do fazy grupowej Ligi Mistrzów. Uwierzyli, że ograją Panathinaikos, a potem zawojują Europę. Pompka Engela działała na całego – balon napompowany do granic możliwości pękł z ogromnym hukiem w Atenach. Już nikt nie był w stanie zatrzymać uchodzącego powietrza.

Wylosowanie Panathinaikosu przyjęto z optymizmem. Wisła uniknęła bowiem starcia z Manchesterem United czy Interem Mediolan. Jerzy Engel cieszył się na spotkanie ze swoim „czarnym synem” – przecież to on wymyślił Emmanuela Olisadebe w polskiej reprezentacji. „Powiem mu, że ma pecha”, żartował. Najbardziej ucieszył się jednak Marcin Baszczyński, który wytypował Greków w trakcie głosowania zorganizowanego przez trenera. „Wygrałem dwie stówy!”, cieszył się. Koszmar przeżywał za to prezes Zdzisław Kapka. Jeszcze jako piłkarz dostał od kolegów z zespołu ksywę Bełkot. Jak głosi legenda, po kilku głębszych namawiali go, by wypowiedział właśnie słowo „Panathinaikos”. Dobrze wiedzieli, że mu się nie uda, ale i tak za każdym razem, jakby zaskoczeni, tarzali się ze śmiechu.

Baszczyński w pierwszym meczu z Grekami nie mógł zagrać. Pauzował za czerwoną kartkę, którą dostał w spotkaniu z Dinamem Tbilisi. Z prawej strony defensywy niespodziewanie zastąpił go Jakub Błaszczykowski, a Baszczyński zasiadł u boku Dariusza Szpakowskiego i wcielił się w rolę komentatora telewizyjnego. Gdy zaraz na początku Emmanuel Olisadebe wyprowadził gości na prowadzenie, obrońca Wisły wydusił z siebie tylko rozpaczliwe „O Jezus”. Początek był słaby, goście atakowali, w pierwszych minutach żółtą kartkę otrzymał Radosław Sobolewski, Mauro Cantoro zanotował fatalną stratę, a Baszczyński mówił coraz ciszej i ciszej.

Trener Panathinaikosu Alberto Malesani wracał do Krakowa po siedmiu latach przerwy. Podobnie jak w 1998 roku, gdy zjawił się pod Wawelem z Parmą, jego drużyna wyszła na prowadzenie zaraz na początku i – podobnie jak wówczas – stało się to po rzucie różnym. Przy stałych fragmentach gry Dariusz Dudka miał kryć Teofanisa Gekasa, jednak gdy Grek wyskoczył do piłki, Dudka został na ziemi. Zaskoczony Radosław Majdan zdołał zbić piłkę na poprzeczkę, ale ze skuteczną dobitką podążył Olisadebe.

To nie był koniec pecha. W początkowej fazie meczu Jakub Błaszczykowski doznał poważnej kontuzji. „W przerwie powiedział mi, że chyba złamał kość śródstopia. Doktor Mariusz Urban chciał obejrzeć nogę. Kuba czuł jednak, że jak zdejmie but, to nie będzie już w stanie z powrotem go założyć”, wspomina Engel. Wyszedł na drugą połowę i wytrwał na boisku do 75. minuty, a potem musiał pauzować do listopada.

Schodził przy wyniku 3:1. W 13. minucie prostopadłe podanie Tomasza Frankowskiego na bramkę z zimną krwią zamienił Paweł Brożek. Kilkadziesiąt sekund później mogło być 2:1, jednak sędzia Claus Bo Larsen przerwał grę, bo liniowy podniósł chorągiewkę, choć spalonego nie było. „Duńczyk mylił się jak diabli”, komentował trener wiślaków. Nie przeszkodziło to jednak w zdobyciu dwóch kolejnych bramek. Bohaterem był Frankowski. Asystował przy golach Brożka i Uche, a potem osobiście ustalił wynik spotkania. Uderzył piłkę głową i zrobił to idealnie. Futbolówka odbiła się od ziemi, a potem przeskoczyła bramkarza, precyzyjnie mieszcząc się w lukę między nim a poprzeczką. W żaden inny sposób nie wpadłaby do bramki. Wygrana 3:1 dała realne nadzieje na awans. Po dwóch dość nieśmiałych próbach wiślacy wreszcie głośno załomotali w bramy Ligi Mistrzów.

TA NOGA STRZELI GOLA

Przed rewanżem, podobnie jak przed pierwszym spotkaniem z Grekami, Engel wziął piłkarzy do hotelu Piramida w Tychach, tego samego, do którego zabierał kilka lat wcześniej reprezentację Polski. Zapewniał, że wierzy w magiczne siły drzemiące ponoć w tuskim hotelu. Choć po pierwszym meczu wygranym 3:1 część zawodników też mogła uwierzyć, że w ścianach Piramidy tkwi jakaś energia, wiara ta wyparowała jeszcze przed rewanżem w Atenach.

Piłkarze stali przy recepcji, oczekując na klucze do pokojów. W pewnym momencie właściciel hotelu Tadeusz Cegliński – bioenergoterapeuta i uzdrowiciel, lub po prostu XXI-wieczny szarlatan – złapał za nogę jednego z przedstawicieli drużyny.

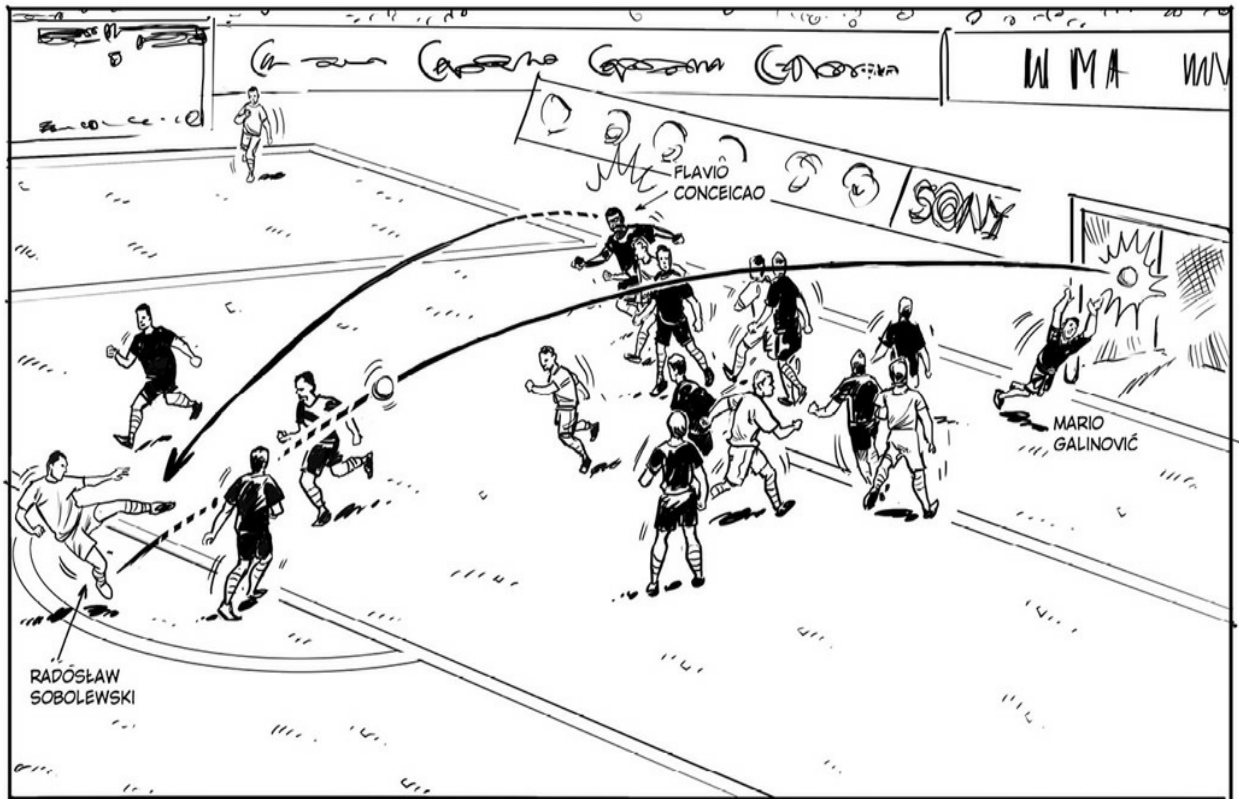
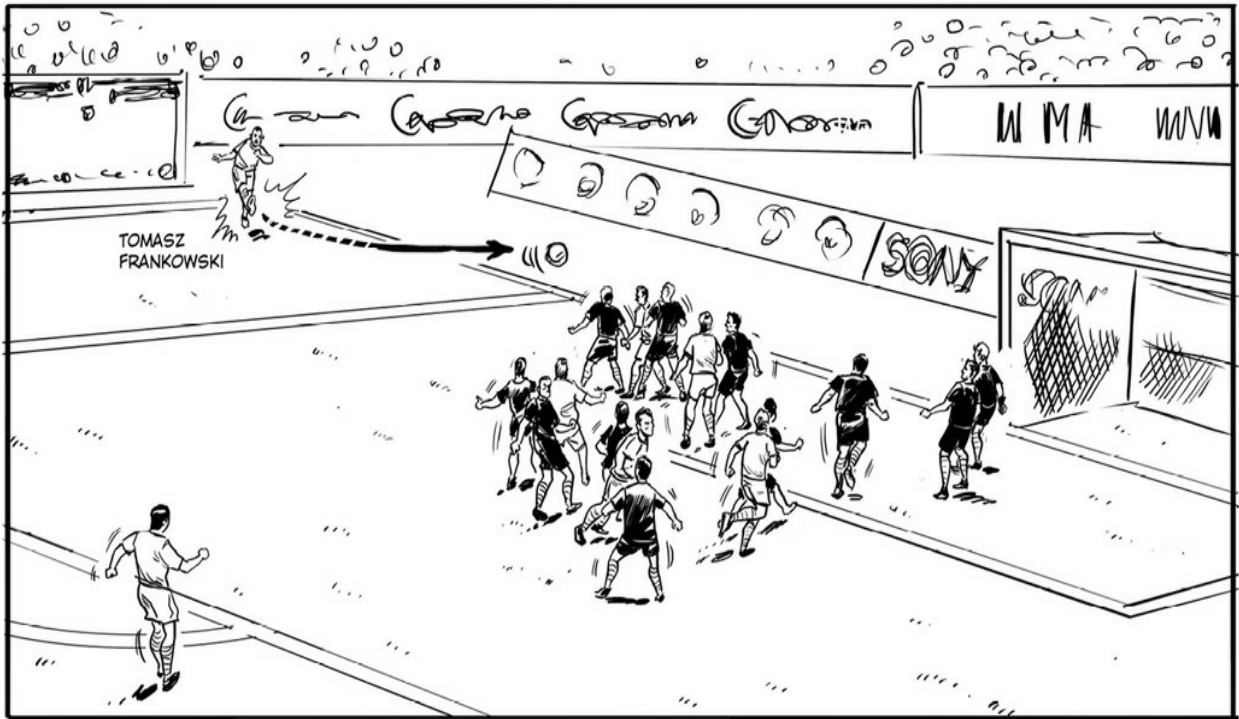
– Czuję! – mówił w uniesieniu. – Czuję, że ta noga strzeli w Grecji bramkę na wagę awansu!

Piłkarze wymienili zaskoczone spojrzenia i zaczęli ślaniać się ze śmiechu. Cegliński trzymał za nogę kierownika zespołu Marka Koniecznego. „W jednej sekundzie padł mit tego hotelu. Engel opowiadał piłkarzom o siłach drzemiących w tym miejscu, a potem ten, który za te czary miał odpowiadać, strzelił taką gafę. Gdy wracaliśmy do Krakowa, powiedziałem panu Cupiałowi w samochodzie, że jeśli nasz awans ma być uzależniony od takich czarów, to ja tego nie widzę”, mówi Mielcarski.

Piłkarze zameldowali się w ciasnych pokojach Piramidy, potem jednak uprosili Engela, by noc przed wylotem do Grecji dał im spędzić w domach. Najwięksi optymiści już planowali, na co przeznaczą premię za awans do Ligi Mistrzów, a takie decyzje lepiej podejmować wspólnie z małżonką.

Engel takim optymistą nie był i zaczął się ubezpieczać na wypadek porażki. Padło na Radosława Majdana. „Mówił, że Majdan grał w Grecji, w PAOK-u Saloniki, i do dziś nie jest z nimi rozliczony. Taka sugestia przed meczem mogła świadczyć, że jeśli odpadniemy, pierwszy winny już będzie”, przypomina sobie Mielcarski. Kilka dni przed rewanżem do domu bramkarza włamali się złodzieje. Z relacji Majdana wynikało, że zniknęły tylko zegarek i aparat. „Engel uznał, że to sprawka Greków, którzy chcą w ten sposób zastraszyć Radka. Trochę się z tego śmialiśmy”, mówi Frankowski. „Radek po prostu nie był w najwyższej formie. Do tego uznałem, że to włamanie pozbawiło go komfortu psychicznego”, tłumaczy Engel.

Dopiął swego i uwaga wielu osób z otoczenia Cupiała od pierwszego gwizdka skupiona była na bramkarzu. Czekano na błąd, na dziwne zachowanie, które byłoby potwierdzeniem teorii przedstawionej przez trenera – i szybko się doczekano. Majdan miał pecha, bo w sytuacjach bramkowych obrońcy zbytnio mu nie pomagali. Ale sam też popełniał błędy. Przy dwóch golach dla Greków wychodził do dośrodkowania, by potem zacząć się cofać. Efekt był taki, że gdy padały strzały, był źle ustawiony i totalnie bezradny.



Gol, który miał dać miliony, a nie dał nic
Panathinaikos - Wisła 2:0, 78. minuta

UNPLUGGED W ATENACH

Dla Wisły był to mecz straconych szans. Marek Zieńczuk miał tego wieczoru cztery sytuacje bramkowe, nie wykorzystał żadnej. Przez godzinę utrzymywał się wynik bezbramkowy, nagle, w ciągu trzech minut, Grecy strzelili dwa gole. A jednak na 12 minut przed końcem Wisła raz jeszcze podniosła głowę i wróciła do walki. Kontaktową bramkę niesamowitym strzałem zdobył Radosław Sobolewski.

– Strzał za parę milionów, hehehe – emocjonował się Jacek Gmoch, komentujący spotkanie w telewizji.

Było blisko, ale potem okazało się, że strzał ten, choć piękny, nie był wiele warty. W 86. minucie, przez ułamek sekundy, Wisła była w rajku. Piłkę do bramki Panathinaikosu wepchnął Marek Penksa, jednak Mike Riley gola nie uznał. Dlaczego? Nie wiadomo do dziś, bo po meczu Anglik nie chciał rozmawiać z przedstawicielami Wisły. „Prawdopodobnie odgwizdał mój faul na zawodniku gospodarzy. Zastawiałem obrońcę, by piłka trafiła do Penksy. Wątpię jednak, by było tam jakiegokolwiek przewinienie”, mówi Marcin Kuźba.

Grecy natychmiast wznowili grę, wyprowadzili szybką akcję, Dimitris Papadopoulos łatwo ograł Kłosa i doprowadził do remisu w dwumeczu. W ten sposób z 2:2 zrobiło się 3:1 dla gospodarzy. „Do sędziego największe pretensje mam o to, że pozwolił wznowić grę, nim się do tego przygotowaliśmy. Wciąż cieszyliśmy się z gola, gdy Grecy już zaczynali akcję. Arbiter nie wyjaśnił, co dokładnie się stało, nie poczekał, aż się ustawimy. Ta jedna sytuacja jednoznacznie zaważyła na tym, że nie awansowaliśmy do Ligi Mistrzów. Bramka Penksy była zdobyta prawidłowo. A poza tym wcześniej sędzia nie zauważył ewidentnego faulu na Kuźbie w polu karnym Greków”, mówi Engel.

Osiem lat po meczu Baszczu w wywiadzie dla „Piłki Nożnej” zdobył się na odważne wyznanie: „Grając w Atromitosie, miałem okazję poznać z bliska układy rządzące greckim futbolem. Tam wszystko jest możliwe i dziś nie mam złudzeń, że w rewanżowym meczu trzeciej rundy kwalifikacji Champions League sezonu 2005/06 zostaliśmy przekręceni”. Kuźba też grał w Grecji: „Wiem, co tam się dzieje w kwestii sędziowania. Olympiakos Pireus i Panathinaikos mają grupę ulubionych sędziów, oba te kluby są delikatnie faworyzowane”. Mike Riley po zakończeniu kariery sędziowskiej został szefem angielskich arbitrow.

W dogrywce istniała tylko jedna drużyna. „Odcięło mi już prąd. W pewnym momencie złapał mnie skurcz łydki. Gdy schyliłem się, by coś z tym zrobić, odezwał się przywodziciel. Właśnie szła akcja moim skrzydłem, a ja nie byłem w stanie się ruszyć. Piłka przeszła obok mnie, akcja poszła dalej, a ja stałem jak ten pajac”, wspomina Baszczyński. Błędem było odsunięcie przez Engela fizjologa Ryszarda Szula. „Przed sezonem przygotowywałem się indywidualnie, z Ryśkiem Szulem właśnie – mówi Kuźba. – Badania wykazywały, że jestem dobrze przygotowany, wszystkie parametry były poprawione. Potem, w trakcie zgrupowania, Engel odsunął Ryśka od drużyny i sam prowadził te wszystkie formy biegowe. Wszystkie parametry szybko poszły u mnie w dół”.

Wedle popularnej teorii po meczu w szatni Radosław Sobolewski miał uderzyć Tomasza Frankowskiego. „Bzdury, bzdury i jeszcze raz bzdury. Nic takiego się nie działo.

Nawet nikt nie miałby na to sił”, zapewnia Mielcarski. Piłkarze siedzieli ze zwieszonymi głowami, Engel krążył po szatni, doszukując się teorii spiskowych, oczywiście pojawiały się pretensje, szczególnie wobec Kalu Uche, który znów myślał o transferze i awans niekoniecznie był mu na rękę, ale do rękoczynów nie doszło. „Prawy obrońca Panathinaikosu nabił mi śliwę na oku i do Krakowa wróciłem w okularach przeciwsłonecznych. Jakiś dziennikarz wymyślił historię z Sobolewskim i ją rozkolportował. Nie wiem, dlaczego wybrał akurat Sobola”, mówi Frankowski.

„Niewiele osób wie, że Tomek grał z kontuzją. Problemy miał także Paweł Brożek. W przerwie wymiotował i nie mógł grać dalej, bolała go głowa”, mówi Engel. Franek przypomina sobie, że po skończonym meczu usiadł na swoim miejscu w szatni i... zasnął. „Zdarzyło mi się to jedyny raz w trakcie gry w piłkę. Zasnąłem i przez 15 minut drzemałem, nieświadomy tego, co się dzieje. Byłem całkowicie wyczerpany”.

Bogusław Cupiał jeszcze długo po zakończeniu dogrywki wpatrywał się w zieloną trawę Stadionu Olimpijskiego. W przyływie wściekłości gotów był rozpędzić drużynę na cztery wiatry.

– Od jutra wstrząśniemy piłkarzami – zapowiadał.

Był wściekły głównie na Kłosa, którego obwiniał o zawalenie trzech bramek („Nigdy mu tego nie zapomnę”), na Frankowskiego („Dzisiaj nawet dobrze piłki nie kopnął”) i na Majdana. Kłos i Majdan po sezonie opuścili drużynę, a tego drugiego czekała jeszcze półroczna przymusowa karencja w drugim zespole. Gdy Frankowski poprosił o zgodę na transfer, otrzymał ją natychmiast.

Cupiał w samolocie, gdy nieco ochłonął, siedział sam, nie miał ochoty na rozmowę. Nie chciał kolejnych pucharów za mistrzostwo Polski – w małej gablocie na starym stadionie i tak nie było już na nie miejsca na kolejne trofea. Chciał Ligi Mistrzów. Co gorsza, problemy miał nie tylko na boisku. W 2005 roku po raz pierwszy w poważnych tarapatach znalazła się Tele-Fonika.

Tym bardziej nie mógł uwierzyć w to, co się stało w Atenach. Ligę Mistrzów miał na wyciągnięcie ręki, była tuż-tuż, bliżej niż kiedykolwiek wcześniej i kiedykolwiek później. Był bezdennie rozczarowany. Załamany. Wypalony. „Jak nie teraz, to kiedy?” Czuł się oszukany – przez piłkarzy, przez trenera. Skoro projekt „Wisła w Lidze Mistrzów” znów nie wypalił, już po meczu w Grecji wiadomo było, że Engel wkrótce przestanie być trenerem.

To jego obwołano czwartym winnym. „Przyczyn porażki należy upatrywać nie tyle w braku motywacji czy woli walki zawodników, ale w słabym przygotowaniu kondycyjnym i błędach taktycznych”, napisano w sprawozdaniu zarządu za rok 2005.

Malesani również nie wytrwał długo na stanowisku trenera Panathinaikosu. Grecy nie podbili Ligi Mistrzów. W grupie wygrali tylko jedno spotkanie i zajęli ostatnie miejsce.

TEORIA IGŁY I BALONA

Engel nie był w stanie podnieść zespołu. Po powrocie z Grecji Wisła zremisowała z Odrą Wodzisław 1:1, a potem z dużym trudem wygrała z Pogonią Szczecin 2:1. Obie bramki zdobył Marek Zieńczyk, wykorzystując sytuacje bliźniaczo podobne do tych, które zmarnował w Atenach. „Zaraz po bramce na 2:1 trener kazał nam stanąć z tyłu i bronić

wyniku. Odkąd trafiłem do tego klubu, był to pierwszy taki przypadek”, mówi Piekutowski. O ile w lidze udało się złapać odpowiedni rytm, o tyle wizyta w Europie skończyła się kolejną kompromitacją.

Na drodze do fazy grupowej Pucharu UEFA stanęła Vitória Guimarães. Piąta drużyna poprzedniego sezonu w lidze portugalskiej wydawała się w zasięgu, tym bardziej że w bieżących rozgrywkach przegrywała mecz za meczem, a jednak wyprawa do Portugalii zakończyła się porażką 0:3. Marcin Kuźba mówi: „Z meczów z Vitórią zapamiętałem obrońców, którzy grali bardzo zdecydowanie. Ledwie człowiek przyjął piłkę, a już ją tracił lub był faulowany”. Jednym z tych obrońców był Cléber.

Engel tak tłumaczy niepowodzenie: „W Atenach coś w tym zespole pękło i nie byliśmy już gotowi do walki w europejskich pucharach. Odchodzili kolejni zawodnicy. W ten sposób nie buduje się kultury sukcesu. Trudno oczekiwać od pozostałych piłkarzy, by poświęcali się w pełni, gdy widzieli, jak wygląda sytuacja w klubie”. Ma sporo racji – w klubie trwała wielka ucieczka. Już wcześniej zespół opuścili Szymkowiak, Kosowski, Żurawski, w ich ślady chcieli podążyć inni czołowi piłkarze. Gdy zaraz po dwumeczu z Panathinaikosem odeszli Tomasz Frankowski do Elche i Kalu Uche do Almerii, był to definitywny koniec świetnej drużyny zbudowanej przez Kasperczaka. Wkrótce po spotkaniu rewanżowym z Grekami Franek odebrał telefon od agenta.

– Czy to nie czas, aby zmienić klub? – usłyszał w słuchawce.

Zgodził się i szybko dostał przyzwolenie Cupiała. Chciał wyjechać od razu, a w klubie były dla niego dwie oferty, jedna z Levante, druga z Elche – ta pierwsza wyższa o 300 tysięcy euro. Franek spotkał się z Cupiałem i Mielcarskim. Zdaniem tego drugiego rozmowa była krótka i treściwa.

– Elche czy Levante? Dokąd chcesz iść? – zapytał właściciel klubu.

– Elche.

– No to idź.

I tyle. Jedną decyzją Cupiał stracił blisko 300 tysięcy euro, ale uznał wówczas, że po tylu latach Frankowskiemu się to po prostu należy. Oczywiście Wisła nie byłaby w stanie sprzedać go do jakiegokolwiek klubu bez jego zgody, ale ofiarowanie mu pierwszeństwa wyboru było wyjątkowym gestem.

Frankowski pamięta to nieco inaczej: „Prezes Cupiał zapytał, które oferty są pisemne, a taka była tylko ta przysłana z Elche. Pozostałe kluby przedstawiły wyłącznie propozycje ustne, i te zostały przez prezesa odrzucone z automatu. Cieszyłem się z wyboru Elche, bo po rozmowie z Mirkiem Trzeciakiem uznałem, że ten klub to lepszy wybór niż Levante”. Działacze tego ostatniego czuli się poszkodowani. Twierdzili, że Franek podpisał już z nimi kontrakt, domagali się horrendalnego odszkodowania w wysokości sześciu milionów euro, jednak niedługo potem ich skarga została oddalona. „Po prostu agent obiecał im, że jeśli spełnią warunki, transfer będzie przesądzony”, wspomina czterokrotny król strzelców ekstraklasy.

Zaraz pojawił się kolejny dylemat – kim zastąpić Frankowskiego? Trzeba było znaleźć napastnika, który z marszu wejdzie do drużyny i będzie strzelać bramki. Engel był za Pawłem Kryszalowiczem, którego dobrze znał ze współpracy w reprezentacji Polski. Mielcarski stawiał na Piotra Reissa – uważał go za napastnika na podobnym poziomie, za

to umiejącego dodatkowo wykonywać rzuty wolne. Z kolei Zdzisław Kapka optował za Andrzejem Kubicą. Tym razem decydujący głos należał do trenera. Kryształowicz na drugi dzień zameldował się w Krakowie, by zmierzyć się z legendą Frankowskiego i Żurawskiego. Trzeba przyznać, że odwagi mu nie brakowało.

Nie był to pierwszy raz, gdy do Wisły mógł trafić Reiss. Ulubieniec kibiców Lecha Poznań pojawił się przy Reymonta 22 w lutym 2004 roku, by negocjować warunki kontraktu. „Jestem blisko Wisły. Dla takiego klubu warto zagrać”, powiedział, gdy zakończył trzygodzinne rozmowy z zarządem klubu. Wrócił do Poznania, gdzie... czekał na niego nowy kontrakt. Zagrał Wisłą jak silną kartą. Do jego nowej umowy z Lechem dorzuciła się sieć poznańskich kafejek internetowych należąca do Sebastiana Kulczyka, syna znanego miliardera.

KABARET NA BOISKU

Po remisie z Koroną Engel stracił pracę, choć drużyna była na pierwszym miejscu w tabeli. Został zatrudniony na chwilę, po to, by zapewnić Wiśle awans do Ligi Mistrzów, a gdy projekt upadł, wykorzystano pierwszą okazję, by rozwiązać kontrakt. On sam też uznał, że jego misja jest zakończona, a drużyna zaczęła mu się rozłazić. Już nikt nie przestrzegał zapisów wewnętrznego regulaminu, który mówił na przykład, że w klubie należy się pojawić na dwie godziny przed treningiem. Engel, który w Krakowie wciąż był tylko gościem, coraz częściej układał treningi tak, by móc jak najwięcej czasu spędzać w Warszawie. Nie pomagały mu też kontrowersyjne pomysły. W decydującej fazie przygotowań do sezonu pozwolił, by na treningu zagościł kabaret OT.TO. W ramach programu *Mój pierwszy raz* członkowie kabaretu wzięli udział w zajęciach zespołu. Pojawiły się kamery, mikrofon na długim wysięgniku, goście załapali się do gierki, jeden z kabareciarzy zanotował nawet asystę przy bramce... Z punktu widzenia szkoleniowego był to trening stracony.

Po Engelu zostały stopy książki *Futbol na tak* jego autorstwa. Jak głosi plotka, trener sprzedał klubowi kilka tysięcy egzemplarzy, a książka była potem rozdawana na spotkaniach z kibicami.

Do końca roku zespół poprowadził duet Tomasz Kulawik – Kazimierz Moskał. Wisła utrzymała pozycję lidera. Za ich kadencji rozbiła w derbach Cracovię 3:0, znów powtórzyła się za to pucharowa wpadka z Zagłębiem Lubin. Kibice po raz kolejny uznali, że piłkarze odpuścili spotkanie z Miedziowymi, aby uniknąć konieczności rozgrywania w grudniu dwóch meczów ćwierćfinałowych. I znów złość skupiła się na Tomaszu Kłosie, który w samej końcówce, miast gonić Macieja Iwańskiego, stanął, domagając się odgwizdania spalonego. Piłkarz Zagłębia popędził na bramkę i pokonał Radosława Majdana, ustalając wynik na 0:1.

Po meczu dziennikarz „Przeglądu Sportowego” Grzegorz Wojtowicz zarzucił Kłosowi brak zaangażowania. Ten eksplodował:

– Co mi pan tu, kurwa?! Wszyscy zadają normalne pytania, a pan co?! Z takimi tekstami to pan może w komiksach, kurwa, pisać!

Wiedział już, że jest na cenzurowanym.

21. PIEŚŃ O SZALONYM RUMUNIE

Dan Petrescu wpadł do szatni na stadionie Cracovii. Prowizoryczny barak zatrzęsł się w posadach. „Czy to możliwe, żeby się przewrócił?“, zastanawiali się piłkarze. Rozjuszony trener z impetem kopnął w stojak z bidonami, a te z łoskotem rozleciały się po szatni. Zapadła grobowa cisza. Wreszcie Petrescu otworzył usta:

– To są pieprzone derby! Nie jesteście, kurwa, na plaży! – krzyczał po angielsku, ale tłumaczenie nie było potrzebne.

To był drugi mecz pod jego wodzą, do przerwy Wisła przegrywała na stadionie przy ulicy Kałuży 0:1.

– Grałeś jak gówno, schodzisz! – rzucił do Jeana Paulisty.

Awantura w przerwie pomogła w ograniczonym wymiarze. W drugiej połowie wiślacy zagrali lepiej – zaraz po przerwie Jakub Błaszczykowski posłał piłkę w poprzeczkę, chwilę potem Tomasz Kłos doprowadził do remisu – ale na tym się skończyło. A Paulista w tym sezonie w podstawowym składzie już się nie pojawił.

Nigdy wcześniej ani nigdy później Wisły nie prowadził człowiek z tak dużym nazwiskiem. W piłce reprezentacyjnej więcej osiągnął Kasperczak, był też znacznie bardziej doświadczonym trenerem, ale Petrescu to człowiek z epicentrum światowej piłki, także tej klubowej na najwyższym poziomie, z twarzą rozpoznawalną przez każdego kibica. W 1994 roku był członkiem świetnej drużyny Rumunii, która na stadionach w Stanach Zjednoczonych dała popis ofensywnego futbolu i dotarła do ćwierćfinału mistrzostw świata. Grał we Włoszech i Anglii, pięć lat spędził w Chelsea. Ale gdy przybył do Krakowa, nie był już piłkarzem, a nadal praktycznie nikt nie wiedział, jakim jest trenerem.

„Dan dopiero uczył się tej roli – mówi Kazimierz Moskał, jedyny Polak w sztabie trenerskim Rumuna, który do dziś walczy z mitem o katorżniczych treningach serwowanych przez Petrescu. Sam zresztą, mimo 39 lat na karku, biegał wraz z piłkarzami. – Dawałem radę. Nie były to cięższe treningi od tych serwowanych nam w sezonie 2001/02 przez Franciszka Smudę. W kadrze nie było jednak zbyt wielu zawodników, którzy pamiętali tamte czasy, stąd narzekania”.

Po latach Jakub Błaszczykowski przyznał, że Petrescu był najgorszym trenerem, z jakim kiedykolwiek pracował. „Po jednym treningu poszedłem do Kazimierza Moskala i powiedziałem, że za żadne skarby świata nie zostanę w klubie. Nie wytrzymałbym tego”, mówi Bartosz Iwan. Nie był w stanie przyjąć wyzwania rzuconego przez rumuńskiego trenera. Nie był gotów na treningi, w trakcie których miał przekraczać granice, pokonywać swoje własne limity. Nie on jedyny.

Najpoważniejszy zarzut piłkarzy? Brak personalizacji treningu. Wszyscy, bez względu na predyspozycje organizmu, na wiek, na pozycję na boisku, wpadli do tego samego worka. Wszyscy mieli zasuwać dokładnie tak samo. „Trzeba było podzielić tych piłkarzy na kilka grup, bo organizmy są różne”, mówi Moskał. „Treningi były tak ciężkie, że mecz był

odpoczynkiem. Czuję się fajnie, mogłem cały mecz biegać na maksa, ale brakowało mi szybkości”, dodaje Kuźba.

KANDYDAT NUMER CZTERY

Petrescu nie był pierwszym wyborem. Znalezienie nowego trenera zostało powierzone Mielcarskiemu. Nim zaczął szukać za granicą, zaproponował... Henryka Kaspercza. Uznał, że to najlepsza kandydatura i przedstawił tę propozycję na zebraniu zarządu.

– Przecież Wisła nadal mu płaci – argumentował.

– Lepiej nie mów tego przy Cupiale – usłyszał w odpowiedzi. A jednak powtórzył tę propozycję w obecności właściciela klubu:

– Zanim mnie pan wyrzuci, proszę wysłuchać moich argumentów – rozpoczął.

Ku zaskoczeniu wszystkich Cupiał przyjął propozycję i rozpoczęły się negocjacje na temat powrotu Kaspercza do pracy. Uznano, że Mielcarski jest za młody, że sobie nie poradzi, więc rozmowy wziął na siebie Ludwik Miętta-Mikołajewicz, który właśnie sposobił się do ponownego objęcia funkcji prezesa. On jednak też sobie nie poradził, bo sprawa była karkołomna. Na początku listopada adwokat Kaspercza Paweł Broniszewski poinformował Polską Agencję Prasową, że choć ustalono już warunki nowej umowy, to nadal strony nie mogły się dogadać w sprawie rozwiązania poprzedniej. W tak absurdalnej sytuacji porozumienie było nierealne.

Mielcarski musiał znaleźć kogoś innego.

– Tylko nie Polak. Polaków już mieliśmy – usłyszał przed rozpoczęciem poszukiwań.

Kandydatem numer jeden był Ivan Hašek, ale Czech odmówił. Marzył o pracy we Francji i wkrótce potem został trenerem Saint-Étienne. Wysoko stały notowania Jozefa Chovanca, ten jednak bardziej był zainteresowany stanowiskiem dyrektora sportowego, za to Miodrag Ješić pogrzebał swoje szanse z chwilą, gdy... zgodził się na spotkanie. Był wówczas trenerem CSKA Sofia. Z Mielcarskim spotkał się w dniu meczu fazy grupowej Pucharu UEFA ze Slavią Praga. Gdy piłkarze szykowali się do wieczornego spotkania, on rozmawiał na temat możliwości pracy w Wiśle. „Cieszyłem się, że zgodził się na rozmowę, ale z drugiej strony byłem zdziwiony, że w tak ważnym momencie wpuszcza mnie do swojego pokoju – mówi Mielcarski. – Zamiast przygotowywać się do meczu, rozmawiał ze mną o propozycji Wisły. Powiedziałem prezesowi Cupiałowi o swoich wątpliwościach. Skoro w dniu tak ważnego meczu, na kilka godzin przed jego rozpoczęciem, rozmawiał z przedstawicielem innego klubu, nas też mógł zostawić w podobnych okolicznościach”.

W ten sposób trenerem został Petrescu. Była to ryzykowna decyzja – 37-letni wówczas Rumun w charakterze trenera pracował ledwie od trzech lat. Zaczął w drugoligowym Sportulu Studentesc. W 15 meczach poprowadził swój zespół do 12 zwycięstw i trzech remisów, przy imponującym stosunku bramek 46:2. Nim sezon dobiegł końca, przeniósł się do pierwszoligowego Rapidu Bukareszt, jednak szybko, bo po zaledwie sześciu spotkaniach, zrezygnował, by po zakończeniu rozgrywek ponownie objąć pierwszoligowy już Sportul. W pierwszym sezonie zajął ze studenckim klubem z Bukaresztu siódme miejsce, w kolejnym, w chwili gdy odchodził do Wisły, Sportul był ósmy. Zespół przejął po nim Gheorghe Muțescu i w rundzie wiosennej wywindował drużynę na czwarte

miejsce, ale Sportul został zdegradowany do drugiej ligi ze względu na ogromne kłopoty finansowe.

AWANTURA O KWITY

Dla Petrescu Mielcarski był twarzą Wisły. To on jako pierwszy nawiązał z nim kontakt, to z nim mógł swobodnie porozmawiać po angielsku, ponadto obaj mieli za sobą doświadczenia z profesjonalnym futbolem na najwyższym poziomie – Mielcarski w Portugalii, Petrescu we Włoszech i Anglii. Nic dziwnego, że poza sztabem szkoleniowym miał go za najbliższego współpracownika. Był jego buforem bezpieczeństwa. Gdy dowiedział się, że odchodzi z klubu, szalał jak rozjuszony byk. Teatralnie łapał się za głowę, krzyczał. Czuł się zdradzony i oszukany. Uwierzył, że jest sam przeciw wszystkim i zdania nie zmienił już do końca pobytu w Krakowie. Ba! Obraził się. Od Mielcarskiego już nigdy nie odebrał telefonu, nie odpisał na choćby jednego SMS-a. Nawet żonie powiedział, by nie odbierała telefonów od żony Mielcara, chociaż podczas pobytu w Krakowie panie szybko znalazły wspólny język.

Znacznie spokojniej podszedł do sprawy sam Mielcarski. Z dnia na dzień narastały w nim rozgoryczenie i bezradność.

Od początku czuł, że ma związane ręce, a pętla staje się coraz ciaśniejsza. Wiele jego planów poszło do kosza zaraz na początku. A jeśli już coś udało mu się zbudować, lub chociaż zapoczątkować pewien kierunek, jak przy tworzeniu sieci skautów, niedługo potem czuł, że ktoś inny robi wszystko, by to zdemontować. W pewnym momencie znalazł się w otwartym konflikcie z Hubertem Praskim i – choć tego się nie spodziewał – ze Zdzisławem Kapką. Był to okres wyjątkowo żartej walki o władzę w klubie. W tle pozostawał jeszcze Adam Mandziara.

„To przez niego do skutku nie doszedł transfer Gledsona. Z Brazylijczykiem byliśmy już dogadani na całkiem korzystnych warunkach. Miał bilet na samolot do Krakowa, ale do niego nie wsiadł, bo Mandziara obiecał mu, że dzięki niemu dostanie w Wiśle lepsze warunki. I tak sprawa padła, a Gledson trafił potem do zespołu mistrza Niemiec”, mówi Mielcarski. Faktycznie, Brazylijczyk zamiast z Wisłą podpisał kontrakt z Hansą Rostock, a po dwóch latach trafił do VfB Stuttgart, które właśnie sięgnęło po tytuł mistrzowski.

Mielcarski poczuł, że traci grunt pod nogami, gdy dowiedział się o zwolnieniu zatrudnionego przez niego skauta Mario Branco.

W klubie odbywał się audyt przeprowadzany przez Andrzeja Basia i Antoniego Kasprzyka. Kontrola doprowadziła do rezygnacji dyrektora sportowego. Poszło o 800 złotych.

„Baś i Kasprzyk wpadli do mnie do gabinetu z awanturą, że mam pokazać kwity za wyjazd do Pragi. Powiedziałem im, żeby wyszli, zapukali, a potem spytali sekretarki, czy mogą wejść. Gdy pojawili się ponownie, powiedziałem, by zadzwonili do księgowości i spytali, czy wzięłem już pieniądze za ten wyjazd. Usłyszeli, że nie – relacjonuje Mielcarski. – Coś we mnie wtedy pękło, brak zaufania ze strony szefa bardzo zabolął”.

Był rozgoryczony, że w ten sposób ściga się go o kilkaset złotych, podczas gdy kilka miesięcy wcześniej, walcząc z niekorzystnymi zapisami w umowie Kalu Uche, zaoszczędził dla klubu kilkaset tysięcy euro, sześciokrotnie zbijając prowizję dla agenta.

W czasie gdy do spółki ze Zdzisławem Kapką kierował polityką transferową, do klubu trafiło 12 zawodników. Był pomysłodawcą ściągnięcia Clébera, ale transfer został sfinalizowany, gdy nie było go już w klubie. Najlepszymi ruchami za czasów Mielcarskiego było sprowadzenie Jakuba Błaszczykowskiego i Dariusza Dudki, za to transferów Norberta Vargi, André Barreto czy Pawła Kaczorowskiego lepiej nie wspominać. Fakt pozyskania tego ostatniego długo był utrzymywany w tajemnicy. Kontrakt podpisał w grudniu, w marcu został odesłany do rezerw, potem leczył kontuzję. W trakcie jednego z treningów Dan Petrescu nagle zaczął się nad czymś zastanawiać. Widać było, że szuka czegoś w pamięci. Wreszcie znalazł.

– Właśnie! – krzyknął do swoich współpracowników. – Gdzie jest Kaczorowski?

Nikt nie wiedział, co się z nim dzieje.

Leczył kontuzję. W pierwszej drużynie zadebiutował niemal równo rok po podpisaniu kontraktu, gdy w Krakowie nie było już Petrescu. Zagrał w spotkaniu Pucharu Ekstraklasy z Odrą Wodzisław. Gdy wybiegł na boisko, okazało się, że na jego koszulce nawet nie nadrukowano nazwiska. „Może się sprąło”, mówił w rozmowie z dziennikarzami. Niezbyt sensownie, skoro koszulka meczowa do tej pory leżała w szafce...

Mielcarski, mimo kilku transferowych wpadek, był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. „Próbował działać po swojemu i szybko go spacyfikowano”, mówi Marcin Baszczyński. „Świetny gość. Szkoda, że właściciel klubu nie obdarzył go zbyt dużym zaufaniem”, dodaje Kamil Kosowski. Właśnie brak zaufania doprowadził do jego odejścia. Miał pecha, bo trafił do klubu w okresie wielkich zawirowań. Nie chciał uczestniczyć w szalonej walce o względy właściciela, więc szybko poszedł na dno. Dwa lata później otrzymał propozycję powrotu, jednak odmówił.

NIE WIEMY, CO MAMY GRAĆ

Petrescu starał się robić swoje. Postawił na wojskowy dryl, próbował też poznać obyczaje wiślaków i początkowo nie rozstawał się z notesem. Zapisywał wszystko, co mogło mu być pomocne w stworzeniu portretu psychologicznego zawodników, a w szczególności ich podejście do obowiązków. Notował, kto pierwszy przyjeżdża do klubu przed treningiem, a kto ostatni; kto przykłada się do rozgrzewki, kto nie; kto dokładnie wykonuje polecenia, a kto bywa niechlujny. Było też kilka żelaznych zasad. Nowość dla piłkarzy – żadnych rozmów w trakcie treningu, a płyny uzupełniamy wszyscy równocześnie w odpowiednio ku temu przeznaczonych momentach.

Na zgrupowaniu w Turcji piłkarze na własne oczy przekonali się, że Petrescu i jego rumuńscy współpracownicy nie potrafią przegrywać nawet sparingów. W trakcie spotkania z rezerwami Hamburgera SV nerwy puściły trenerowi bramkarzy Dumitru Stângaciu. Potężnie zbudowany Rumun szamotał się przy linii bocznej, skakał, wymachiwał rękoma i wyzywał się słownie na filigranowej dziewczynie, która była sędzią liniową. W pewnym momencie młoda Turczynka nie wytrzymała i – purpurowa ze złości – zwyzywała wyższego o dwie głowy Stângaciu. Ten spuścił nos na kwintę, grzecznie wrócił na ławkę rezerwowych i dopiero wtedy można było wznowić mecz. Piłkarze omal nie popękali ze śmiechu.

Szybko okazało się, że w sztabie Petrescu aż roi się od oryginałów. Cristinel Pojar był maniakiem tężyzny fizycznej. Na siłowni modyfikował urządzenia tak, by zwiększyć obciążenie ponad limit. Był też niesłychanie przeczulony na punkcie swojej fryzury, a ściślej rzecz ujmując – na punkcie całkowitego braku włosów. Piłkarze zorientowali się, że to drażliwy temat, więc zaczęli drążyć. Podczas zgrupowania na Cyprze, przy okazji posiłku, Marek Penksa położył na krześle Pojara perukę. Gdy Rumun ją zobaczył, spokojnie odstawił tacę na stół i obrzucił piłkarzy pytającym spojrzeniem. Po chwili porwał perukę, cisnął ze złością na podłogę, rzucił kilkoma rumuńskimi przekleństwami, odwrócił się na pięcie i pomaszerował do swojego pokoju. Nie wychodził stamtąd przez dwa dni. Zaglądały do niego delegacje, Penksa kilkakrotnie przeproszał, tkwiąc pod drzwiami – wszystko na nic. Pojar był gotów zrezygnować z posady, chciał wyjechać ze zgrupowania. W końcu udało się go udobruchać.

Tuż przed startem rundy wiosennej Petrescu wyznaczył na kapitana Macieja Stolarczyka, po raz kolejny dając jasny sygnał, jakie cechy u piłkarzy cenić będzie najwyżej. Stolar to był typowy boiskowy „rąbacz”. Gwiazdorów trener tępił za to bez litości. Od samego początku chciał na każdym kroku potwierdzać, kto tu rządzi. Wyczuwał zagrożenia i próbował je neutralizować. Na jednym z pierwszych treningów postawił do pionu Tomasza Kłosa.

– Jesteś kapitanem reprezentacji, a na pierwszy trening przyjeżdżasz z nadwagą? – kpił przy całej drużynie.

Jeszcze niżej stały jednak notowania Marcina Baszczyńskiego. Podpadł wyjazdem na testy do West Ham United. Przez lata patrzył, jak jeden po drugim z Wisły odchodzą ci, z którymi czuł się najlepiej. Klub opuścił Kamil Kosowski, następnie Mirek Szymkowiak, potem, zaraz po sobie, Maciej Żurawski i Tomek Frankowski – jemu natomiast kolejne oferty przelatywały koło nosa. Gdy zgłosili się Anglicy, pojechał na testy, choć propozycja nie była zbyt konkretna. Dostał zgodę klubu i nocą opuścił zgrupowanie. „Dla mnie to niepojęte, że zawodnik o takim dorobku, reprezentant Polski, godzi się na takie traktowanie przez angielski klub. To znaczy, że sam siebie nie szanuje”, mówił Petrescu dziennikarzom.

Anglicy nie byli przekonani.

– Zadzwonimy – usłyszał Baszczyński na pożegnanie i wrócił na zgrupowanie Wisły.

Zacisnął zęby i zapieprzał razem z innymi. Po jednym z treningów schodził z boiska, śpiewając na cały głos *I Believe I Can Fly*, zaraz dołączyła do niego reszta drużyny. Jego relacje z trenerem były chłodne, ale w trakcie rundy wiosennej nie zagrał tylko raz, gdy pauzował za kartki, w pozostałych spotkaniach przebywał na boisku od pierwszej do ostatniej minuty. Raz nawet padli sobie z Petrescu w ramiona. „Po mojej bramce z rzutu karnego wygraliśmy w Szczecinie z Pogonią 2:1. Trener nie mógł się powstrzymać i po meczu gorąco mnie uściskał”, wspomina. Ale to nie był koniec zimnej wojny. W trakcie przygotowań do nowego sezonu Baszczyński doznał kontuzji i choć wkrótce wrócił do zdrowia, u Petrescu już nie zagrał. Na boisko wrócił dopiero wtedy, gdy drużynę przejął Dragomir Okuka.

Niedługo przed zwolnieniem Petrescu zebrał drużynę na boisku treningowym. Chodził od piłkarza do piłkarza z pytaniem, co jest nie tak; po raz pierwszy postanowił wysłuchać,

co mają do powiedzenia. Niby liczył na szczerłość, ale był jak bomba zegarowa, czekał na dobry moment, by wybuchnąć. Podniósł się Radosław Sobolewski:

– Trenerze, my po prostu nie wiemy, co mamy grać, jak biegać, jak się poruszać.

Rumun eksplodował gniewem, dopiero po chwili ruszył dalej i wciąż stawiał to samo pytanie, wreszcie dotarł do Marcina Baszczyńskiego. Na niego nie miał już siły – milcząco obrzucił go tylko wzrokiem i podszedł z pytaniem do kolejnego zawodnika. „Myślę, że cały czas siedział mu na wątrobie ten mój wyjazd do West Ham”, mówi Baszczu.

Pierwszą ofiarą reżimu treningowego był Marcin Kuźba. Od początku nie było mu z Petrescu po drodze. Na pierwszy mecz rundy wiosennej rumuński trener nawet nie włączył go do kadry, zagrał (i to tylko minutę) dopiero w czwartym wiosennym spotkaniu, przeciwko Pogoni. „Do Krakowa ze Szczecina wracaliśmy pociągami. Przez całą noc nie byłem w stanie zasnąć, a gdy rano przyjechaliśmy na miejsce, trener kazał nam się przebrać, wyjść na zaśnieżone boisko i zagrać sparing z drugą drużyną”, wspomina. Gdy próbował zastawić piłkę, jeden z rywali poślizgnął się na lodzie i uderzył go od tyłu w kolano. Efekt? Zerwane więzadła krzyżowe.

W Wiśle nie zagrał już nigdy, a każda próba powrotu na boisko była prawdziwą drogą przez mękę. Jak się później okazało, podczas operacji rekonstrukcji kolana wszczepiono mu za krótkie więzadła. Aby całkowicie zgiąć nogę, musiał rozgrzewać kolano przez bite półtorej godziny.

PUNKT ZAPALNY

Cel na rundę wiosenną wydawał się prosty – należało utrzymać pierwsze miejsce w tabeli. Nie było to jednak łatwe, bo po jesieni Legia miała tylko punkt straty, a Dariusz Wdowczyk zdołał akurat zmontować w stolicy całkiem mocny zespół. Pierwsze miejsce Petrescu utrzymał tylko przez jedną kolejkę. W debiucie na ławce trenerskiej ograł Dyskobolię 2:1, potem był wspomniany już remis z Cracovią, Legia wykorzystała potknięcie, przegoniła wiślaków i pierwszego miejsca nie oddała już do końca sezonu.

Tydzień po derbach Wisła wygrała na własnym stadionie 1:0 z Odrą Wodzisław. Na samym początku gola strzelił Paweł Brożek, a potem trwał istny festiwal nieporadności. Po meczu piłkarze byli w mieszanych nastrojach. Wygrana z Odrą 1:0? Wiedzieli, że ten wynik nikogo w Krakowie nie powali na kolana. Po trzech tytułach mistrzowskich z rzędu, okraszonych efektowną grą drużyny zbudowanej przez Henryka Kasperczaka, wymagania były znacznie, znacznie wyższe. Siedzieli tak w dość podłym nastroju, gdy do szatni wpadł Petrescu. Był w euforii.

– Brawo, panowie! Dobra robota! Wracamy na dobrą drogę! – wykrzykiwał.

Piłkarze patrzyli z niedowierzaniem, ale dla Rumuna nie liczyło się w tym momencie nic oprócz wyniku.

Z niecierpliwością oczekiwano momentu, w którym zawodnicy odzyskają świeżość. Przez cały marzec nic takiego się nie stało. W kwietniu symptomem poprawy był wygrany 4:0 mecz z Wisłą Płock, ale równo 10 dni później wiślaczy przegrali 0:1 z Koroną i praktycznie stracili szansę na dogonienie Legii. Do Kielc na mecz nie pojechał Mauro Cantoro, choć był zdrowy. Argentyńczyk nigdy nie był mistrzem treningu.

– Nie potrzebuję się rozgrzewać. Mam gorącą krew, zawsze jestem rozgrzany – argumentował i faktycznie, w trakcie rozgrzewki z zasady bumelował.

Nic dziwnego, że jego notowania u Petrescu od początku stały na niskim poziomie. „To jedno. Inna sprawa, że w trakcie jakiegoś meczu trener miał pretensje do Mauro. Krzyczał coś do niego, a ten w odpowiedzi rozkładał tylko bezradnie ręce. Strasznie to Dana zdenerwowało”, opowiada Moskal.

Przed wyjazdem na wakacje Petrescu zaczął Cantoro:

– Dobrze odpocznij, bo jak wrócisz, będziesz musiał biegać trzy razy więcej.

Argentyńczyk stawiał się nie tylko w kwestii treningu – w 2008 roku, gdy uznał, że klub nie wypłacił mu premii za awans do fazy grupowej Pucharu UEFA, po prostu złożył pozew do sądu. W 2006 roku wiedział, ile traci, pozostając poza składem, a do tego najzwyczajniej w świecie chciał być częścią drużyny. Chodził i narzekał. W szatni był lubiany, więc żale trafiały na podatny grunt. Piłkarzom nie podobało się, że w jego miejsce Petrescu wystawia „swojego” człowieka – Jacoba Burnsa. Nie wszyscy byli przekonani, że jest lepszy od Cantoro, ale Petrescu był tego pewien. Rumuński trener nie miał w zwyczaju forowania „swoich” piłkarzy, o czym przekonywał się sprowadzony przez niego bramkarz Emilian Dolha. Z ławki podniósł się dopiero wtedy, gdy trenerem został Dragomir Okuka.

Z pewnością nie można odmówić Petrescu braku zaangażowania. W chwili podpisania kontraktu poświęcił się drużynie całkowicie. Gdy nie mógł się doczekać wzmocnień, osobiście jechał do Rumunii na negocjacje transferowe. Na godzinę przed meczem nawet współpracownicy nie byli w stanie z nim porozmawiać – był kłębkim nerwów. Na żarty, które w założeniu miały rozładować atmosferę, reagował wściekłością. Pozostali trenerzy szybko zrozumieli, że lepiej po prostu się do niego nie odzywać. Chciał, by wszystko było dokładnie tak, jak zaplanował. To miała być Wisła Petrescu. Budowana na lata.

Z Bogusławem Cupiałem, ze względu na barierę językową, nigdy nie mógł porozmawiać bezpośrednio, ale mieli kilka cech wspólnych. Podobnie jak właściciel klubu, Petrescu był bardzo przesądny. W drodze na mecz autokar nie mógł cofać. Gdy w trakcie manewrów parkingowych kierowca był zmuszony wrzucić na chwilę wsteczny, cała drużyna musiała wyjść na zewnątrz. Podczas treningów trener łąpał unoszące się w powietrzu dmuchawce, całował je i w myśli wypowiadał życzenie. Piłkarze, początkowo zaskoczeni, potem robili to samo, bo kto dmuchawców nie łąpał, dostawał burę, niemal taką samą jak za nieudane zagranie. 20 facetów uganiających się za pyłkami stanowiło komiczny widok...

Nie umiał za to przegrywać i nie chodziło tylko o mecze. Co rusz znajdował nowe możliwości rywalizacji – pojedynki w tenisa, wyścig rowerowy, gierka w siatkonogę – nieustannie chciał się sprawdzać i ciągle chciał wygrywać. Gdy ponosił porażkę, zmieniał zasady, kombinował, oszukiwał, robił tak, by wygrać i robił to z kamienną twarzą. Nie, to nie była zabawa. Chciał wygrywać. Zawsze.

Już po zakończeniu sezonu pokłócił się z Kazimierzem Moskałem. Zarządził dwutygodniowe rozbieganie, czym zaskoczył Moskala, który już wcześniej zaklepał sobie wakacyjny wyjazd. Chciał pojechać na wakacje tydzień po zakończeniu ligi.

– OK, jedź – powiedział Rumun, ale zabrzmiało to jak wyzwanie.

Na drugi dzień po zakończeniu treningu zarządził krótką gierkę – on w jednym zespole, Moskal w drugim. W pewnym momencie drużyna Petrescu zdobyła gola, wyszła na prowadzenie, on w tym samym momencie gwizdnął i skończył gierkę, tak by rywale nie mieli już czasu na odpowiedź.

– Co się dziwisz? Przecież ustaliliśmy, że gramy do złotej bramki. Zakład był – mówił do Moskala, a ten z każdym słowem stawał się coraz bardziej zaskoczony.

– Nie słyszałeś? Przysięgnij! Przysięgnij! – denerwował się Rumun. W końcu eksplodował:

– Jesteś taki sam jak ci wszyscy piłkarze! Jedź już na te wakacje!

– A właśnie, że pojedę – odparł Moskal i z całej siły wykopał piłkę, która poleciała gdzieś w krzaki.

„Faktycznie pojechałem, a potem zastanawiałem się, czy nadal jestem członkiem sztabu trenerskiego. Gdy wróciłem do Krakowa, cała sytuacja poszła w niepamięć i pracowaliśmy tak, jakby nic się nie stało”.

BILET OD WDOWCZYKA

„Rola Rumuna w społeczeństwie właśnie polega na męczeństwie”, śpiewał Kazik Staszewski w *Piosence o Smutnym Rumunie*. Jakby potwierdzając te słowa, Petrescu od samego początku pracy z Wisłą nieustannie narzekał. Kręcił nosem, nawet zanim został oficjalnie zaprezentowany. Zaczęło się od listy transferowej przygotowanej przez Zdzisława Kapkę. „Powinien to ze mną skonsultować”, słusznie argumentował Petrescu. Na liście do odstrzału byli między innymi Paweł Kryszalowicz, Marek Penksa i Piotr Brożek, a więc zawodnicy, którzy w tej drużynie jeszcze trochę pograli. Potem Petrescu narzekał na odejście Grzegorza Mielcarskiego. W samym środku zimowego okienka transferowego Wisła straciła dyrektora sportowego, a Legia pozyskała w tym czasie Grzegorza Bronowickiego, Cezarego Kucharskiego oraz dwóch Brazylijczyków – Edsona i Rogera. To były realne wzmocnienia.

Gdy ruszyła runda wiosenna, niemal każda konferencja prasowa zamieniała się w litanie żalów. Żli sędziowie, kiepskie boisko, brak transferów, nieprzychylność prasy... Rumuński trener zwrócił uwagę na jeden interesujący fakt. Otóż terminarz ekstraklasy, i to nie tylko w rundzie wiosennej, ale przez cały sezon, był ułożony tak, że drużyna, która grała z Wisłą, tydzień później miała spotkanie z Legią – i tak całe rozgrywki, oczywiście z wyłączeniem dwóch kolejek poprzedzających spotkania między zainteresowanymi drużynami. Terminarz był ułożony wyjątkowo misternie.

– Nikt nie zwraca na to uwagi! A przecież trudno oczekiwać, by drużyna, która w meczu z nami zagrała na maksa, była w stanie dać tyle samo tydzień później w spotkaniu z Legią – denerwował się Petrescu.

To były tylko słowa. Za jego sugestiami nie szły żadne działania. Petrescu narzekał, klub milczał. Rumuński trener miał prawo czuć się osamotniony.

Po porażce w Kielcach Wisła wygrała w czterech pozostałych kolejkach, ale to było za mało, by prześcignąć Legię. Na osłodę pozostało zwycięstwo przy Łazienkowskiej w ostatnim dniu sezonu. Petrescu był dumny jak paw. Wziął swoją narzeczoną Adrianę za rękę i wspólnie precyzyjnie przeszli przez kibiców Legii, po czym wmieszali się w tłum

wychodzący ze stadionu. Nawet nie spojrzął w stronę autokaru wiślaków, pod którym rozgrywały się dantejskie sceny. Rozjuszeni kibice gospodarzy otoczyli pojazd ścisłym kordonem, walili pięściami w szyby, ktoś zerwał tablicę rejestracyjną, a Nikola Mijailović wdał się w mało cenzuralną pyskówkę. Górą jednak byli legionieści, to oni sięgnęli po tytuł. Wygrana Wisły nie popsowała im humorów.

Triumfował także Wdowczyk.

– Mogę kupić Petrescu bilet lotniczy do Rumunii, skoro nie podoba mu się w Polsce – mówił po przegranej z Wisłą.

– Bilet? Chętnie. Ale koniecznie w klasie biznes i w dwie strony, bo mam zamiar szybko wrócić – odpowiadał trener Wisły. – Wdowczyk musiałby się powtórnie narodzić, by osiągnąć tyle, co ja.

Pod Wawelem sezon zakończył się w atmosferze skandalu. W trakcie ostatniego meczu na własnym stadionie kibice sforsowali bramy i gdy spotkanie dobiegało końca, stali dookoła boiska, tuż przy linii końcowej.

– Jeszcze w trakcie gry łapali moich piłkarzy za koszulki – denerwował się trener Arki Zbigniew Kaczmarek.

W 90. minucie Marek Zieńczuk strzelił gola na 3:1 i nim sędzia zagwizdał po raz ostatni, na murawę wpadło kilkaset osób. Trzech piłkarzy Arki zostało pobitych, najmocniej oberwał Marcin Kiczyński – do szatni zszedł z pękniętą kością jarzmową. Co ciekawe, był to jego jedyny występ w ekstraklasie. Pewnie stwierdził, że nie warto.

22. SAMOTNA STULATKA

Stulecie – to brzmi dumnie. We wrześniu 2006 roku do Krakowa przyjechała Sevilla, by wraz z Wisłą świętować piękną rocznicę powstania klubu. Impreza urodzinowa wypadła blado, bo jeszcze nim zjawili się goście, doszło do rodzinnej awantury. I tak oto Wisła świętowała stulecie bez trenera i z kibicami obrażonymi na klub.

Przed sezonem odstrzelono tych, których obwiniano za grecką tragedię – Radosława Majdana i Tomasza Kłosa. Temu pierwszemu skończył się kontrakt i wrócił do Pogoni Szczecin. Mniej szczęścia miał Kłos, którego umowa obowiązywała do grudnia, więc przez pół roku trenował z rezerwami. Był to dla niego trudny rok. W maju dowiedział się, że nie pojedzie na mistrzostwa świata. Miesiąc później zrozumiał, że nie zagra już także w Wiśle. „O tym, że w czerwcu nie jadę na obóz, dowiedziałem się jako ostatni. W klubie jest kilku nadtrenerów – żalił się w styczniu, gdy kontrakt przestał już obowiązywać. – Zostałem potraktowany jak niepotrzebny piłkarz, nie można stawiać ludzi w takiej sytuacji”.

Jeśli ktoś liczył, że w nowym sezonie zobaczy odmienioną Wisłę, pomylił się. Zespół grał tak samo jak w rundzie wiosennej – topornie i bez polotu. Najwięcej działało się za linią boczną, gdzie szalał Petrescu. Jego drużyna traciła mało bramek, ale niewiele też strzelała. Po zwycięstwie 1:0 nad Górnikiem w pierwszej kolejce trener urządził kolejne *show* na konferencji prasowej.

– W przerwie najchętniej wymieniłbym dziewięciu piłkarzy. Kilku z nich nie zasłużyło dzisiaj, by nosić koszulki Wisły – terkotał.

Trzy dni później z samego rana zabrał drużynę do fabryki Tele-Foniki. Chciał uzmysłwić piłkarzom, ile przeciętny człowiek musi się napracować, by zarobić na życie, zwłaszcza że dostaje znacznie mniej niż oni. Efekt był negatywny – Rumun jeszcze bardziej zraził do siebie zawodników. Mieli odczucie, że traktuje ich jak rozpieszczone dzieci.

Czara goryczy zaczęła się przelewać nieco wcześniej – jeszcze przed sezonem, na zgrupowaniu we Włoszech. To było wyjątkowo upalne lato, ale Petrescu nie odpuścił piłkarzom ani odrobinę. Trenowali w południe, chciwie łykając gorące powietrze. Największą przyjemność sprawiał im gospodarz stadionu, który rozwijał szlauch i spryskiwał ich zimną wodą. Nastrój odrobinę poprawiał im także widok pięknych kobiet – w hotelu wiślaków mieszkały dziewczyny przygotowujące się do finału Miss Italia.

AUTOKAR NA WSTECZNYM

Solidna gra wystarczyła, by przebrnąć przez pierwszą przeszkodę w Pucharze UEFA. W Wiedniu, przy okazji meczu z Mattersburgiem, kibice Wisły popisali się poczuciem humoru, wywieszając transparent z napisem po niemiecku: „Gdyby nie było tu nas w 1683 roku, dziś gralibyśmy z Galatasaray”. Po wyrównanej grze padł remis 1:1, ale niektórzy nie zdołali utrzymać nerwów na wodzy. W pewnym momencie przy ławce

rezerwowych Wisły trener bramkarzy Dumitru Stângaciu zaczął się szarpać z rezerwowym Emilianem Dolhą. „Patrzmy na nich, a ci pyskują do siebie po rumuńsku, coraz głośniej i głośniej. Wtem padło chyba zbyt mocne słowo, bo w ruch poszły pięści”, wspomina kierownik drużyny Marek Konieczny. W rewanżu, po bramce Piotra Brożka, Wisła wygrała 1:0.

Piłkarze zapewniają, że robili wszystko, czego od nich wymagał Petrescu, gołym okiem widać jednak było, że nie jest im po drodze. W pierwszej rundzie Pucharu UEFA Wisła trafiła na Iraklís Saloniki.

– Nie wiem, czemu moja drużyna nie grała. Było dobre boisko, wspaniała atmosfera na trybunach, a na murawie przez pierwsze 20 minut nie działo się nic – mówił po meczu Petrescu.

Z niedowierzaniem patrzył na rozgrywające się przed nim sceny – po strzałach wiślaków piłka trzykrotnie odbijała się od obramowania bramki gości. Już w przerwie musiał dokonać dwóch zmian: Jakub Błaszczykowski źle się czuł, a Piotr Brożek zaraz na początku meczu złamał rękę. Gdy leżał na trawie i zwijał się z bólu, Grecy zdobyli jedyną bramkę spotkania. Atanasios Pritas popisał się świetnym strzałem z dystansu.

Trzy dni później Wisła grała w Łęcznej z Górnikiem. Gdy autokar podjechał pod hotel w Lublinie, kierowca wrzucił wsteczny i bez ostrzeżenia zaczął cofać. Petrescu zbladł. Jeśli miał zerwać ze swoimi przesadami, to na pewno nie tego dnia – po remisie w Łęcznej stracił pracę. Dowiedział się o tym po powrocie do Krakowa, gdy na spotkanie wezwał go prezes Ludwik Miętta-Mikołajewicz. Rumun był rozgoryczony.

– Przecież nie przegraliśmy meczu – bronił się, wskazując na ligową tabelę.

To było za mało. W siedmiu kolejkach Wisła wygrała tylko trzy razy, zanotowała aż cztery remisy, zajmowała drugie miejsce w tabeli ze stratą trzech punktów do GKS-u Bełchatów (z Orestem Lenczykiem za sterami). Petrescu spakował się do kilku kartonów, wynajął busa i wrócił do Bukaresztu.

Rozgoryczony był także Jakub Jarosz, który po odejściu Mielcarskiego objął rolę dyrektora sportowego. Decyzja o zwolnieniu rumuńskiego trenera zapadła za jego plecami, nikt nie zapytał go nawet o zdanie.

– Nie chcieliśmy ci mówić, bo wiedzieliśmy, że jesteś blisko z trenerem – argumentował Miętta-Mikołajewicz.

Zresztą wkrótce potem Jarosz też stracił pracę, a zastąpił go Adam Nawalka.

Minęły trzy lata i Petrescu był już w fazie grupowej Ligi Mistrzów. Nie z Wisłą, a z prowincjonalnym rumuńskim klubem Unirea Urziceni – sztucznym tworem ze wsi pod Bukaresztem. To podziałało na wyobraźnię Cupiała. W swoim stylu chciał dać Petrescu drugą szansę, ale Rumun był już wtedy poza zasięgiem finansowym krakowian. Właściciel Wisły stwierdził kiedyś, że zwolnienie Petrescu było najgorszą decyzją za czasów jego panowania w klubie. Po raz kolejny górą byli piłkarze. „Fakt, że Dan dopiero się uczył i wciąż popełniał błędy. Nie żałuję jednak, że daliśmy mu posadę trenera – mówi Mielcarski. – Kto wie, może gdybyśmy tego nie zrobili wtedy, to już nigdy później nie byłoby nas na niego stać”.

TEN PIERWSZY RAZ

Dzień po zwolnieniu trenera osierocona drużyna grała z Sevillą mecz stulecia. Święto zamieniło się w farsę, bo kibice protestowali przeciwko zwolnieniu Petrescu. Do pierwszego zgrzytu doszło podczas pojedynku drużyny Gwiazd Wisły z reprezentacją kibiców. W tej drugiej mieli się pojawić zwycięzcy konkursu SMS-owego, ale stało się chyba inaczej. Gdy na boisko wszedł Zdzisław Kapka, drużyna kibiców zesza z placu gry.

– Z esbkiem grać nie będziemy – argumentowali.

Zdenerwowany Kapka wrócił do szatni. Na drugą połowę drużyna Gwiazd Wisły już nie wysza, solidaryzując się z kolegą z zespołu.

Potem był mecz z Sevillą. Zaskakująco dobry. „Piłkarze z Hiszpanii nie mogli się nadziwić. Pytali nas, o co chodzi. Dlaczego kibice gwizdzą i nie dopingują, skoro świętujemy stulecie”, wspomina Marcin Baszczyński. Doping powrócił w drugiej połowie, wtedy też padła jedyna bramka, autorstwa Hristu Chiacu. Na ławce trenerskiej, w roli pierwszego szkoleniowca, zadebiutował Kazimierz Moskał, który wkrótce znów był drugi – drużynę, za namową Zdzisława Kapki, powierzono bowiem Dragomirowi Okuce. Mecz z Sevillą oglądał w towarzystwie Bogusława Cupiała. W Krakowie był pamiętany jako ten, który w sezonie 2001/02 odebrał Wiśle tytuł mistrzowski i przekazał go w ręce Legii.

„Wisła już wcześniej dwukrotnie proponowała mi posadę. Gdy zgłosili się po raz trzeci, nie mogłem odmówić”, mówi Okuka. Natychmiast przywrócił do gry Mauro Cantoro, który odwdzieczył się bramkami w dwóch spotkaniach z rzędu.

W Grecji, w meczu rewanżowym z Iraklím Saloniki, to właśnie Argentyńczyk jako ostatni, strzelając gola na 2:0, podbił pieczęcią akt cudu, który dał Wiśle pierwszy awans do fazy grupowej Pucharu UEFA. Stało się to w dogrywce, do której doprowadził Nikola Mijailović. W 93. minucie, przy stanie 0:0, gdy sędzia nosił się już z zamiarem zakończenia meczu, Serb podszedł do rzutu wolnego. Kopnął piłkę najmocniej, jak potrafił, ta odbiła się jeszcze od muru, wycięła w powietrzu piękną parabolę i wpadła do bramki zrozpaczonych gospodarzy.

WAKACJE NA KOSZT KLUBU

W listopadzie końca dobiegła wspaniała passa: od 2001 roku Wisła ani razu nie przegrała na własnym stadionie. Wtedy jednak Orest Lenczyk przywiózł do Krakowa Łukasza Gargułę i Radosława Matusiaka – w pewnym momencie GKS Bełchatów prowadził przy Reymonta już 4:0, mimo że od 34. minuty grał w osłabieniu. Gospodarzy stać było tylko na dwa honorowe trafienia.

Okuka miał wylecieć bezpośrednio po tym meczu. Serb nie miał komfortu pracy. Kadra drużyny, owszem, była szeroka, ale do kontuzji dochodziło niemal bez przerwy. Brakło choćby chwili na spokojną pracę – Okuka trenerem był przez 89 dni, w trakcie których zespół rozegrał 18 meczów. Stanowisko dyrektora sportowego piastował Adam Nawałka i wiadomo było, że prędzej czy później to właśnie on zastąpi Okukę. „Współpraca z dyrektorem sportowym układała się dobrze, ale wiedziałem, że Nawałka jest trenerem i czeka na szansę, by znów usiąść na ławce”, mówi Serb.

Nie pomógł mu też Branko Davidović, który był trenerem bramkarzy. Pewnego dnia po prostu zniknął. Okuka bezskutecznie próbował się do niego dodzwonić. Wreszcie

Davidović oddzwonił:

– Drago, *brate!* Będę mówił szybko, bo drogo. Jestem w Dubaju!

Otrzymał lukratywną ofertę z Emiratów i postanowił natychmiast z niej skorzystać. Gdy wysłannik klubu udał się do jego mieszkania, wyglądało, jakby Davidović wyskoczył na chwilę do sklepu. Drzwi były otwarte, a klucze leżały na stole, obok filiżanki z niedopitą kawą.

Okuce wypominano także zupełnie nietrafiony transfer Stanko Svitlicy. Król strzelców z sezonu 2002/03 był już po drugiej stronie góry i do Krakowa przyjechał głównie po to, by się leczyć. Kibice zapamiętaliby go nieco lepiej, gdyby w doliczonym czasie derbów z Cracovią wykorzystał sytuację sam na sam. Zamiast jednak trafić do siatki na 4:0, kopnął piłkę wprost w Marcina Cabaja.

W fazie grupowej Pucharu UEFA mecze Wisły mogły się podobać. Przy takim braku stabilizacji w klubie trudno było oczekiwać sukcesów, ale drużyna do ostatniej kolejki walczyła o awans z dość silnej grupy. Mogło być jeszcze lepiej, gdyby w pierwszym spotkaniu udało się utrzymać prowadzenie z Blackburn Rovers. Niestety Anglicy najpierw wyrównali, a potem w samej końcówce wyszli na prowadzenie 2:1. Gdy strzelali gola, pod bramką Wisły leżał zamroczony Dariusz Dudka, którego uderzył Jason Roberts. „Dostałem w zuchwę. Miałem ciemno przed oczami. Dopiero po chwili zorientowałem się, że padła bramka”, mówił po meczu. Nikola Mijailović omal nie pobił się z Bennim McCarthym. Wisła już do końca rozgrywek musiała radzić sobie bez Serba, bo za rasistowskie zachowanie został zawieszony na pięć spotkań.

Świetnie w tych meczach spisywał się duet Jakub Błaszczykowski – Paweł Brożek. Kuba asystował przy pięciu z sześciu bramek zdobytych w fazie grupowej. I często były to asysty pierwszej jakości, jak choćby ta z Feyenoordem, poprzedzona efektownym rajdem połączonym z mijaniem rywali i zwieńczonym wyważonym podaniem. Z przodu na piłkę czekał już Brożek – w czterech spotkaniach zdobył cztery bramki.

To był czas, w którym Błaszczykowski okrzepł. Już od dłuższego czasu obserwowała go Borussia Dortmund. „Mentalnie był ponad nas wszystkich. Każdy kolejny występ musiał być lepszy. Chciał wygrywać zawsze i wszędzie, nie tylko w piłkę. Na konsoli ogrywał mnie we wszystko – od strategii po gry piłkarskie”, mówi Konrad Gołoś. Starszym kolegom nie zawsze podobała się ogromna pewność siebie Kuby. Po jednym z jego wywiadów Maciej Stolarczyk przyniósł do szatni wiadro wypełnione lodem:

– Te, Kuba, włóż sobie głowę do środka.

Znacznie gorzej było w lidze. Pod batutą Okuki drużyna wygrała tylko trzy z ośmiu spotkań. Serb nie był w stanie sprawić, by poziom motywacji przed meczami ligowymi był taki sam jak w Pucharze UEFA. Nie robił z tego problemu. „Liga, w przeciwieństwie do rozgrywek pucharowych, może poczekać. Strata w tabeli nie była duża. Myślę, że ta drużyna była w stanie ją odrobić i skończyć ten sezon jako mistrz Polski”, przekonuje. Jesień ukończyła jednak na piątym miejscu w tabeli.

W takiej sytuacji dyrektor sportowy Adam Nawałka mógł z czystym sumieniem zatrudnić na stanowisku trenera Adama Nawałkę. „Szkoda, że zostałem zwolniony tak szybko. Kilka tygodni wcześniej, po zwycięstwie z Cracovią 3:0, widziałem się z Cupiałem na bankiecie. Był bardzo zadowolony. Nie zgadłbym wtedy, że niedługo potem

stracę pracę. Uważam, że sukces, jakim był awans do fazy grupowej Pucharu UEFA, nie został należycie doceniony. Trzeba jednak przyznać, że przez najbliższe pół roku systematycznie otrzymywałem z Krakowa przelew z miesięcznym wynagrodzeniem”, mówi Okuka. Mógł pozwolić sobie na kilkumiesięczne wakacje. Stawiała Wisła. Serbski trener nie wiedział, że dla Cupiała Puchar UEFA to niewiele znacząca namiastka Ligi Mistrzów. Pięć lat później równie boleśnie przekonał się o tym Robert Maaskant.

TYCH PANÓW JUŻ NIE POTRZEBUJEMY

W Krakowie uznano, że to odpowiedni czas, by przewietrzyć przerośniętą kadre. Częste zmiany na stanowisku dyrektora sportowego – a co za tym idzie: brak spójności w polityce transferowej – doprowadziły do tego, że na kontraktach było blisko 40 piłkarzy. Misję przeprowadzenia porządków powierzono 30-letniemu prawnikowi Mariuszowi Helerowi, który równocześnie wskoczył na fotel prezesa. „Typowa prawnicza menda”, Adam Piekutowski do dziś krzywi się na jego wspomnienie. A Heler odpowiada: „Wiedziałem, co trzeba zrobić, jakie będą tego konsekwencje i zdawałem sobie sprawę z faktu, że entuzjazmu to nie wzbudzi”.

Adam Nawalka typował piłkarzy, których nie potrzebował, a Heler robił swoje. Chwytał się różnych sposobów, by rozwiązywać kłopotliwe kontrakty. Zawodnikom, którzy znaleźli się na czarnej liście, nie mogło się to podobać. Większość z nich od dłuższego czasu zmagala się z kłopotami zdrowotnymi.

W ciągu kilku tygodni Heler doprowadził do rozstania z Pawłem Kryszalowiczem, Pawłem Kaczorowskim, Adamem Piekutowskim, Jackiem Paszulewiczem i Marcinem Kuźbą. Klub oszczędził w ten sposób kilkaset tysięcy złotych w skali miesiąca. Nie udało mu się porozumieć tylko z Tomaszem Dawidowskim, który – choć piłkarzem Wisły był przez pięć lat – rozegrał tylko 14 ligowych spotkań, a bramki strzelał tylko w Młodej Ekstraklasie. Zamiast z boiskowymi rywalami zmagać się z kontuzjami i uzależnieniem od hazardu – do kasyna często jechał wprost z treningu. Zresztą, już przychodząc do klubu, nie nadawał się do gry, był autentycznie zaskoczony, że udało mu się przejść testy medyczne.

„Byliśmy niechcianymi dziećmi. Nie mieliśmy nawet wstępu do szatni, próbowaliśmy rehabilitować się we własnym zakresie – mówi Piekutowski, który miał wyjątkowego pecha. Kontuzji doznał, gdy był wypożyczony do Jagiellonii Białystok. – W kolanie zerwałem wszystko, co się dało: więzadła przednie, tylne, poboczne, uszkodziłem łąkotki, rzepkę i chrząstkę. W Jagiellonii zapewniali mnie, że mimo urazu będą chcieli mnie wykupić z Wisły. Przy ich akceptacji załatwiłem sobie operację. Potem w klubie zmienili się wszyscy ludzie, wcześniejsze ustalenia zostały anulowane, nikt nie zwrócił mi za operację i leczenie [łącznie około 60 tysięcy złotych – przyp. aut.]. Wróciłem do Krakowa, gdzie byłem już niepotrzebny”.

Wciąż niezdolny do gry, kilka miesięcy później rozwiązał z Wisłą kontrakt. „Popadłem w tarapaty finansowe, bo z własnej kieszeni zapłaciłem za dwie operacje”, przypomina. W 2009 roku dawni koledzy z boiska zorganizowali mecz charytatywny, z którego dochód został przekazany na pomoc Piekutowskiemu. Pamiątką po piłkarskiej karierze będzie sztuczny staw kolanowy. „Jeszcze go nie mam, bo gwarancja trwałości wynosi 15 lat. Nie

chcę w wieku 55 lat mieć kolejnego kłopotu”, mówi. Dziś, wraz z Jakubem Wierchowskim, prowadzi w Lublinie szkołkę dla młodych bramkarzy.

Trwały porządki, a drużyna spadała w tabeli coraz niżej. Rok rozpoczął się od dwóch zwycięstw nad Górnikiem Zabrze, ale potem Wisła zanotowała pięć ligowych remisów z rzędu i Nawałka stracił pracę. Powrócono do najgorszych wzorców z sezonu 1999/2000 i trenerów zmieniano w iście ekspresowym tempie. Kazimierz Moskal (a więc czwarty szkoleniowiec w tym sezonie) nie był w stanie wiele poprawić. Tymczasowość wszelkich instytucji w klubie, łącznie z prezesem i trenerem, brak dyrektora sportowego – wszystko to niekorzystnie wpływało na zawodników. Był jeszcze jeden problem. W Wiśle funkcjonowało sześć różnych wzorów umów kontraktowych. Niektórzy piłkarze z chwilą utraty szans na tytuł mistrzowski stracili widoki na jakiegokolwiek bonusu z tytułu wygranych, co nie wpłynęło pozytywnie na ich zaangażowanie.

TRAUMA BRAMKARZA

Wisła straciła wówczas Emiliana Dolhę. Rumuński olbrzym miał niesamowity refleks, wielki zasięg ramion, a przy tym pozostawał niezwykle sprawny. Defensywa była dziurawa, więc co rusz miał okazję, by zaimponować umiejętnościami. Jawił się jako jakiś bramkarski magik, mistrz rękawic. Na ławkę rezerwowych trafił dopiero wtedy, gdy zaczęły się problemy z jego kontraktem.

Umowa obowiązywała do końca sezonu, jednak była w niej zawarta klauzula umożliwiająca Wiśle przedłużenie współpracy o kolejne cztery lata. Klub musiał o tym poinformować zawodnika przed końcem maja. Ponieważ koło bramkarza kręcili się już wysłannicy Lecha, był skołowany, bo osoby, które rozmawiały z nim ze strony Wisły, nie zawsze prezentowały zbieżne stanowisko. Wreszcie Dolha, z powodu kontuzji, wyjechał na wcześniejsze wakacje bez nowego kontraktu. W ślad za nim do Rumunii udał się pracownik klubu. Szukał go w Bukareszcie, by wręczyć mu wymagane pismo. Ale Dolha był już zdecydowany. Z początkiem czerwca podpisał umowę z Lechem, a Wisła została bez bramkarza i bez pieniędzy z transferu.

Ucieczka z Krakowa była największym błędem w jego karierze. Olśnienie przyszło szybko, bo raptem po trzech miesiącach, gdy przyjechał z Lechem do Krakowa. Mógł się spodziewać chłodnego przyjęcia przez kibiców, ale grał twardziela, zapewniał, że tylko doda mu to sił. Jednak nie wytrzymał, pękł. Od początku meczu wyglądał jak kłębek nerwów, podejmował same złe decyzje. Do przerwy gospodarze prowadzili 4:0, w trzech sytuacjach Rumun ponosił odpowiedzialność za stratę bramki. Był blady jak ściana, na drugą połowę już nie wyszedł. Jeszcze nim skończył się mecz, uciekł do autokaru, by uniknąć spotkania z dziennikarzami. Trauma była wyjątkowo silna. Dolha nie stanął na nogi już do końca sezonu i choć odgrażał się, że nigdy nie wróci do Rumunii, po sezonie nie pozostało mu nic innego.

KOD NA NIEŚMIERTELNOŚĆ

Mimo że pożegnano się w tym okresie ze sporą liczbą zawodników, Nikola Mijailović otrzymał jeszcze jedną szansę, ale władze szybko pożałowały tego ruchu. Niedługo potem Serb wdał się bowiem w kolejną awanturę – podczas treningu zwyzywał Marcina

Baszczyńskiego, a potem nie stawiał się na rozmowę z trenerem Kazimierzem Moskałem. Jakoś w tym samym czasie otrzymał prawomocny wyrok, a na zakończenie przygody z Wisłą zapewniał jeszcze, że nagrał prezesa Mariusza Helera, który negocjując jego odejście, miał złożyć mu łapówkarską propozycję.

Cały Mijailović. Serb miał pewne priorytety. Po pierwsze był królem życia. „Dobrze wiem, że mógłbym zrobić większą karierę, grać w lepszych klubach, ale takie życie pełne poświęceń po prostu mnie nie interesuje”, powiedział mi kiedyś, popijając drinka w jednej z krakowskich dyskotek. Był szaleńcem. Nie, nie był głupkiem. Był prawdziwie szalonym Serbem.

Szybko zrozumiano, że jego obecność na boisku gwarantuje pełne spektrum emocji. W trzecim meczu w barwach Wisły – przeciwko Górnikowi Zabrze – zdobył efektowną bramkę, a potem w ciągu dziewięciu minut otrzymał dwie żółte kartki i od 30. minuty wiślaczy grali w dziesięciu.

Ale trybuny go kochały. Przed derbami z Cracovią na jej stadionie wymalował sobie na głowie białą gwiazdę, a po meczu mozolnie wdrapywał się na okalający boisko dawny tor kolarski, a potem na płot, by rzucić kibicom koszulkę. Poza boiskiem układy kibicowskie nie były już dla niego tak ważne. Kiedy popadł w konflikt z prawem, jego obrońcą na sali sądowej był zadeklarowany kibic Pasów.

Niesamowite, jak szybko odnalazł się w Krakowie. Gdy jednemu z trenerów skradziono samochód, właśnie Mijailović pomógł go odzyskać, kontaktując się z odpowiednimi osobami.

Kiedy skupiał się na treningach, miał miejsce w podstawowym składzie, coraz częściej mówiło się jednak o jego pozaboiskowych wyczynach. Pobyt w Krakowie traktował jak grę komputerową i był, zdaje się, przekonany, że zna tajny kod na nieśmiertelność. Pobicie, szalone rajdy krakowskimi ulicami, ucieczka przed policjantami... Sądy były wobec niego całkowicie bezradne. Nawet gdy został skazany na prace społeczne, nie udało się tego wyegzekwować. Jediną realną przykrością, jaka spotkała go ze strony sądów, była grzywna w wysokości 3900 złotych.

Imponował szybkością regeneracji. Gdy był przesunięty do rezerw, potrafił po imprezie przespać się w samochodzie pod stadionem Wawelu, a potem wyjść na boisko i rozegrać pełne spotkanie. Kiedy Dan Petrescu przywrócił go do pierwszej drużyny, ten, mimo kilku miesięcy baletów, w testach wydolnościowych wypadł najlepiej z całego zespołu.

Absurdalne ósme miejsce na koniec sezonu 2006/07 oznaczało, że po raz pierwszy od dziewięciu lat drużyna nie zagra w europejskich pucharach. Mimo to wygrane z Legią i Lechem czy wyjazdowe zwycięstwo nad GKS-em Bełchatów, które praktycznie pozbawiło zespół Oresta Lencyka szans na tytuł mistrzowski, sugerowały, że w tym zespole wciąż tkwi potencjał. Choć pacjent miał się źle, wciąż tliło się w nim życie i wielka ochota, by wrócić do zdrowia. Trzeba było tylko znaleźć kogoś, kto postawi odpowiednią diagnozę.

23. KRÓL MACIUŚ

Bojan Krkić płakał w korytarzu. 18-letni piłkarz Barcelony bał się wejść do szatni, tkwił pod drzwiami, aż ktoś wreszcie wciągnął go do środka. Kilka minut wcześniej, gdy mecz zbliżał się ku końcowi, młody Hiszpan odebrał piłkę Peterowi Šinglárovi i znalazł się w świetnej sytuacji bramkowej, ale z odległości pięciu metrów posłał futbolówkę ponad poprzeczką. Wiedział, że zawałił. I choć Barcelona awansowała, porażka 0:1 w Krakowie w ramach kwalifikacji do Ligi Mistrzów nieco ukłuła Katalończyków. Maciej Skorża, który przed sezonem 2007/08 objął zespół Wisły, szybko zdiagnozował problemy i wydobył zagubiony potencjał.

Zdecydowano się na niego w maju. Przyjechał do Krakowa z drużyną Dyskobolii i wygrał 4:0. „Tak – Skorża przez chwilę się zastanawia. – Rozmowy po tym meczu nabrały tempa”.

Kilka godzin po zakończeniu spotkania odbył kolejny, z Mariuszem Helerem. „Trener był przerażony. Bał się, że wygrywając w Krakowie tak wysoko, stracił szansę na kontrakt z Wisłą”, wspomina ówczesny prezes. Nic z tych rzeczy. Decyzja o jego zatrudnieniu zapadła wcześniej, a to 0:4 już ostatecznie rozwiało wątpliwości. Trzeba było tylko dojść do porozumienia ze Zbigniewem Drzymałą, bo Skorża wciąż miał ważny kontrakt z Dyskobolią. Jego przeprowadzka z Grodziska Wielkopolskiego do Krakowa była pierwszym transferem gotówkowym trenera w Polsce.

Powierzenie mu posady szkoleniowca stanowiło część większego planu – w klubie wymieniono osoby na trzech ważnych stanowiskach – prezesem został Marek Wilczek, a dyrektorem sportowym Jacek Bednarz. Skorża poznał się z Bednarzem w latach 90., gdy kończył studia na AWF-ie i zaczynał pracę z grupami młodzieżowymi Legii. Kolega ze studiów Leszek Ojrzyński, który parał się wówczas akwizycją i sprzedawał odkurzacze, zabiegał u Skorży o zorganizowanie spotkania z piłkarzami Legii. Wreszcie się udało, a jednym z zainteresowanych był właśnie Bednarz.

Poważnym kandydatem na stanowisko dyrektora sportowego był także Jan Urban. W marcu przyjechał do Krakowa na rozmowy, a następnie udał się do Wodzisławia, by zobaczyć mecz Pucharu Ekstraklasy z Odrą. Wisła w fatalnym stylu przegrała 0:2. Wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze, potem jednak rozmowy utknęły w martwym punkcie.

– Nie ma się co spieszyć – powtarzał ówczesny prezes Mariusz Heler.

– Nie ma na co czekać – denerwował się Urban.

Trochę to trwało, a obie strony chyba nie najlepiej się rozumiwały. Gdy pracę stracił Nawalka, Jan Urban zaczął otwarcie mówić, że w Wiśle chcą go na stanowisku trenera. „Ani przez chwilę nie rozmawialiśmy na ten temat. Jan Urban był rozważany tylko i wyłącznie w kontekście posady dyrektora sportowego. Problem polegał na tym, że on po prostu chciał być trenerem. My chcieliśmy natomiast, by zajął się budową klubu na wzór hiszpański. Jeszcze wtedy myślałem, że w Wiśle jest to możliwe”, mówi Heler. W pewnym momencie odezwała się Legia.

– Skończyliśmy rozmowy z panem Urbanem. Możecie z nim negocjować – usłyszeli jej przedstawicieli.

Miesiąc później Urban został trenerem Legii.

Poważnym kandydatem był także Wojciech Stawowy. Z Helerem spotkał się dwukrotnie – najpierw w Sopocie, potem w Krakowie – ale porozumienia nie osiągnięto z dwóch powodów. „Po pierwsze, chciałem być lojalny wobec Arki. Pan Ryszard Krauze naciskał, żebym został w Gdyni. Po drugie, brałem pod uwagę kwestię samopoczucia – mówi Stawowy. – Wiedziałem, że była grupa kibiców Wisły nieprzychylna mojej osobie, a pewnie rozczarowani byłiby również fani Cracovii. Jestem zawodowcem i nie powinienem takimi rzeczami nawet zawracać sobie głowy, ale tym razem było inaczej. Kraków to na tyle specyficzne miasto, że ja, jako człowiek od dziecka zakochany w Cracovii, nigdy nie powinienem pracować w Wiśle”.

Był zakochany w Cracovii, ale trenerem Wisły mógł zostać wiele lat wcześniej. W 1997 roku pracował z juniorami Białej Gwiazdy. Potem, gdy w klubie pojawiła się już Tele-Fonika, otrzymał propozycję pracy jako asystent Wojciecha Łazarka. Gdyby się zgodził, być może to on, a nie Jerzy Kowalik, zastąpiłby Baryłę po jego zwolnieniu. „Plan legł w gruzach, bo jestem osobą ambitną i zawsze mam swoje zdanie. Nie nadawałem się na asystenta. Nie żałuję, że się nie dogadaliśmy, bo dzięki temu odszedłem z klubu, a potem trafiłem do Cracovii”, wspomina.

BROŻKÓW DO REZERW

Skorza szybko znalazł wspólny język z piłkarzami Wisły, choć istniały obawy, czy 35-letni trener zdoła zapanować nad szatnią. Miał za sobą samodzielną pracę w Amice Wronki i Dyskobolii Grodzisk Wielkopolski, czyli klubach silnych, ale jednak z piłkarskiej prowincji. Część wiślaków pamiętała go jako Maćka, który w reprezentacji olimpijskiej odpowiadał za przygotowywanie kaset wideo na odprawę. „Nie był specjalnie poważany przez piłkarzy. Potem, w pierwszej reprezentacji, był drugim trenerem, więc patrzyliśmy na niego już inaczej. Mimo że byliśmy kolegami, to mieliśmy dla niego szacunek i tak samo było potem w Wiśle”, mówi Kamil Kosowski, który wrócił wówczas do Krakowa.

Wiele osób odradzało Skorzy przeprowadzkę pod Wawel. Wisła była w rozsypce. W minionym sezonie zespół prowadziło czterech różnych trenerów, czego efektem było dopiero ósme miejsce w tabeli. Po zakończeniu sezonu Skorza spotkał się na gali ekstraklasy z Franciszkiem Smudą.

– Maciek – Franz po ojcowsku objął młodszego kolegę po fachu. – Ty naprawdę idziesz do tej Wisły? A po co ci to? Daję ci góra dwa miesiące. Po dwóch miesiącach cię wyrzucą – radził, a może kpił.

Przestróg było więcej. „Ludzie w klubie ostrzegali mnie przed kilkoma piłkarzami. Poprzedni sezon był dla Wisły fatalny. Było mnóstwo pretensji, niedomówień, w szatni panowała zła atmosfera, więc szukano winnych. Ci, którzy rozczarowali, byli na cenzurowanym – mówi Skorza. – Otrzymałem dyrektywę, by zaraz na początku pracy przesunąć do Młodej Ekstraklasy braci Brożków, Mauro Cantoro, Marka Zieńczuka... Nie zrobiłem tego, bo chciałem się osobiście przekonać, co w trawie piszczy. Potem ci ludzie odgrywali w mojej drużynie bardzo ważną rolę”.

Zieńczuka próbowano wypchnąć z klubu – Bogusław Cupiał wciąż pamiętał mu zmarnowane okazje w meczu z Panathinaikosem. Był pomysł, by przekazać go do Grodziska Wielkopolskiego, w zamian za Skorzę. Dobrze, że nie udało się go zrealizować, bo Zieńczuk był właśnie u progu najlepszego sezonu w karierze – w 28 meczach zdobył 16 bramek.

Dla młodego szkoleniowca wszystko w tej drużynie było nowe. Cantoro, w swoim stylu, na pierwsze indywidualne spotkanie z trenerem przyszedł z tłumaczką, choć po polsku mówił już wówczas płynnie. Trener wiedział o tym, ale uszanował decyzję piłkarza. „Mauro może nie był zbyt pracowitym zawodnikiem, ale inteligencję boiskową miał na bardzo wysokim poziomie”, zapewnia.

Piłkarze wyczuwali, że początkowo trener bał się o swój autorytet. Gdy zrezygnował z Macieja Stolarczyka, komentowano, że nie chciał mieć w zespole rówieśników. „Trener dopiero zaczynał i momentami wyczuwaliśmy, że brakuje mu pewności siebie”, przypomina sobie Baszczyński, który na początku wojował z nowym szkoleniowcem. „Maciek wyrzucił go z jednego z pierwszych treningów. Baszczu nie potrafił spokojnie przyjąć uwag trenera, więc ten po prostu odesłał go do szatni. Nie mógł pozwolić sobie na takie traktowanie”, mówi asystent Skorży Rafał Janas. „Kiedyś trener poczuł się urażony, bo uznał, że nie zaprosiłem go na pępkówkę Antosia. Dziwne, bo drzwi były otwarte i pół Krakowa się bawiło”, śmieje się Kamil Kosowski.

W walce o autorytet najostrzejsze starcie miał z Cléberem, i to w trakcie meczu praktycznie o nic. Gdy tytuł mistrzowski był już zaklepany, do Krakowa przyjechał ŁKS i po 25 minutach niespodziewanie prowadził 2:0. Debiutujący w ekstraklasie bramkarz Ilie Cebanu przeżywał prawdziwy koszmar. Po drugiej bramce dla gości Skorża miał spore pretensje do Brazylijczyka, który źle wszedł w mecz. Gdy w odpowiedzi Cléber machnął ręką, trener wpadł w szal i natychmiast zarządził zmianę. Nie miał znaczenia fakt, że do końca spotkania pozostało ponad 60 minut. Nawet Marcin Baszczyński, który miał wejść w miejsce Clébera, apelował do trenera o zmianę decyzji. Na próżno. Skorża uznał, że w tej sytuacji po prostu nie może odpuścić i zmiana została przeprowadzona.

Do przerwy wynik już się nie zmienił, za to w drugiej połowie Wisła strzeliła pięć bramek i ostatecznie wygrała 5:2. Cléber tych goli nie widział, bo prosto z boiska poszedł do szatni, wziął prysznic, wsiadł do samochodu i pojechał do domu. Do klubu wrócił dopiero po zakończeniu spotkania i raz jeszcze spotkał się ze Skorżą. Był roztrzęsiony, nerwowo krążył po pokoju.

– Skoro trenera zawiódłem, nie powinienem być już jednym z kapitanów tej drużyny. Może powinienem odejść z klubu – gorączkował się Brazylijczyk.

Był autentycznie przejęty. Wiedział, że zawiódł i nie potrafił sobie z tym poradzić, w końcu jednak udało się przejść nad tym incydentem do porządku dziennego. W trzech pozostałych meczach do końca sezonu Cléber zagrał w podstawowym składzie.

Podobna przygoda przydarzyła się Skorży jeszcze raz. Dobiała końca runda jesienna sezonu 2009/10, Wisła grała w Wodzisławiu z Odrą, prowadziła 3:0. W pewnym momencie trener krzyknął do Piotra Brożka:

– Jak ty grasz?!

– Sam wejdź i graj! – odkrzyknął zdenerwowany piłkarz.

Minutę później siedział już na ławce.

OSTRA GRA SKORZY

Gdy w pierwszych wojenkach Skorza był górą, piłkarze „kupili” go niemal w całości. „Bardzo merytoryczny facet. Jedyne, co można było mu zarzucić, to fakt, że czasem nie trzymał ciśnienia. Gdy do przerwy mecz nie układał się po naszej myśli, szalał w szatni, padały z jego ust bardzo ostre słowa, obrażał ludzi, rzucał butelkami. Brakowało mi spokojniejszego podejścia do sprawy”, mówi Radosław Matusiak, który do zespołu dołączył w trakcie przerwy zimowej. W szatni nieraz dochodziło do pyskówek, ale na drugi dzień trener pojawiał się w klubie z uśmiechem, rozmawiał, spokojnie tłumaczył błędy. Zresztą w pierwszym sezonie nie miał zbyt wielu powodów, by wściekać się na piłkarzy. „Maciek ma to do siebie, że nienawidzi porażek – przyznaje jego asystent Rafał Janas. – Mówi się, że sportowiec powinien umieć przegrywać, ale nie zgadzam się z tą opinią. Sportowiec musi zrobić wszystko, by wygrać. A jeśli przegra, powinien się zastanowić, co zrobił źle. U Maćka widzę tę samą cechę. Bywało, że po porażkach dochodził do siebie przez kilka dni”. Na łamach „Przeglądu Sportowego” Skorza mówił: „Przed ważnymi meczami od początku tygodnia mam podniesione ciśnienie. Staram się, aby nie miało to wpływu na życie rodzinne, ale niestety, czasem nakrzyczę na dzieci”.

Umiał stawiać na swoim. Koniecznie chciał mieć w drużynie Andrzeja Niedzielana. 28-letni napastnik wciąż był zawodnikiem NEC Nijmegen, jednak holenderski klub był gotów puścić go za darmo. Menedżer piłkarza Karol Glomb wiedział, że w takiej sytuacji może ugrać znacznie więcej dla swojego klienta. Przez ostatnie miesiące w klubie szukano oszczędności, tymczasem teraz to, co udało się uratować, miało zostać przelane na konto jednego piłkarza i jego agenta. Skorza grał jednak zdecydowanie. Po kilku burzliwych zebraniach rady nadzorczej transfer w końcu został przepchnięty i Niedzielan podpisał trzyletni kontrakt.

Drugim nowym napastnikiem był Dudu Omagbemi, który podpisał umowę po blisko miesięcznych testach. Nigeryjczyk przybył do Krakowa w glorii króla strzelców ligi indyjskiej.

– Jestem *goal machine* – przedstawił się dziennikarzom.

Gdy po raz pierwszy wszedł do szatni, na bosych nogach miał... góralskie pantofle. Strzelił gola w debiucie, ale potem nikogo na kolana nie rzucił. Po sezonie trafił na Węgry, z Debreceni zdobył dwa tytuły mistrzowskie, w końcu wylądował w Finlandii. Piłkarski turysta.

Nim Omagbemi trafił do Krakowa, Wisła przyglądała się napastnikowi czeskich Teplic Edinowi Džeko. „Nie był bardzo drogi, ale nie udało nam się przeforsować tej kwoty”, mówi Mariusz Heler, który kilkakrotnie wraz z Jackiem Bednarzem jeździł do Czech, by przyglądać się grze Bośniaka. Stawka szybko poszła w górę. Niedługo później Džeko trafił do Wolfsburga, a stamtąd do Manchesteru City.

NIE PRZYJEŹDŹAJ

Mistrzostwo zostało zdobyte w ekspresowym tempie. Drużyna odpaliła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ogromnym wzmocnieniem okazał się powrót Kamila

Kosowskiego, a Marek Zieńczuk strzelał gola za golem. Błyskawicznie odnalazł się w zespole Andrzej Niedzielan, jednak równie szybko doznał poważnego urazu. W spotkaniu z Górnikiem Zabrze zerwał więzadła w kolanie i na boisko wrócił dopiero po siedmiu miesiącach przerwy. Chociaż piłkarzem Wisły był przez dwa sezony, już nigdy nie grał tak dobrze jak w tych trzech meczach przed kontuzją.

Problemy zdrowotne Niedzielana nie zatrzymały rozpędzonej maszyny. W rundzie jesiennej Wisła zdobyła 47 punktów na 51 możliwych. Gdyby nie dwa remisy w początkowej fazie sezonu, Cupiał wreszcie dostałby dowód na to, że można wygrywać wszystko. „Pod względem taktycznym Skorża to chyba jeden z najlepszych trenerów w Polsce. Dodał nam pewności siebie i zaczęło to szybko przynosić efekty na boisku”, mówi Baszczyński. Z kolei Kosowski w swoim stylu przekonuje: „Maciej był jednym z kluczy do tytułu mistrzowskiego. Drugim byłem ja. Facet po prostu zna się na robocie. Ma swój cel i konsekwentnie go realizuje. Na początku sezonu mówiłem, że zdobędziemy mistrzostwo i tak się stało”.

Na wiosnę Kosy w drużynie już nie było. Na mocy umowy podpisanej jeszcze przed wyjazdem za granicę był jednym z najslabiej zarabiających piłkarzy w zespole, a jego kontrakt obowiązywał do czerwca 2008 roku. Negocjacje były burzliwe. Nie pomagał fakt, że Kosowski prowadził je osobiście, a nie za pośrednictwem agenta. Z Jackiem Bednarzem trudno było znaleźć mu wspólny język, w końcu obie strony zaczęły się przerzucać argumentami na łamach gazet. Działy się dziwne rzeczy. Pewnego dnia wszystko wydawało się już ustalone, a Kosowski jechał do Myślenic, by złożyć podpis pod nową umową. Był już na Zakopiance, gdy zadzwonił telefon:

– Nie przyjeżdżaj. Wcześniejsze ustalenia przestały obowiązywać – usłyszał.

W trakcie rundy wiosennej Wisła straciła jeszcze jednego człowieka. W marcu tuż przed meczem z Polonią Bytom jeden z asystentów Skorży Andrzej Blacha został zatrzymany i doprowadzony do wrocławskiej prokuratury. Po zatrzymaniu miał prawo do dwóch telefonów – pierwszy wykorzystał na rozmowę ze Skorżą. Poinformował o tym, co się stało, i poprosił, by zająć się jego porzuconym samochodem.

– Nawet nie próbuj mnie mieszać w takie rzeczy – warknął na niego Skorża.

Wkrótce Blacha usłyszał 100 zarzutów dotyczących korupcji w futbolu, a przez media został ochrzczony „małym Fryzjerem”. Jednak mały to on z pewnością nie był. Posturą, wygoloną głową, a nawet nazwiskiem przypominał gangstera, za to oczy miał jakby dziecięce – przejrzyste i szczerze. Żegnając się z zespołem, niemal całkowicie się rozkleił. „To on w sztabie szkoleniowym miał być tym złym policjantem, ale szybko złapaliśmy z nim nic porozumienia – mówi Kosowski”.

ŚLUB ZAMIAST MECZU

Gdy w przerwie zimowej do zespołu dołączyli Wojciech Łobodziński i Radosław Matusiak, w gazetach pisano o dream teamie. Takie tytuły denerwowały Skorzę, bo automatycznie oczekiwania względem zespołu szły jeszcze bardziej w górę. „Faktycznie, Łobo przychodził do nas po meczu z reprezentacją Czech. Strzelił gola Petrowi Čechowi i wydawało się, że jest nadzieją całej polskiej piłki – wspomina ówczesny trener. – A potem, na starcie rundy wiosennej, zremisowaliśmy 1:1 z Koroną w Kielcach. Na drugi

dzień w »Przeglądzie Sportowym« przeczytałem, że Cupiał ma dość i zwalnia trenera. Oto pod jaką presją pracowałem”.

„Trener ma prawo tak mówić, ale jak na polskie warunki była to bardzo mocna ekipa. Wisła była wówczas klubem całkiem dobrze zorganizowanym, płaciła ogromne pieniądze. Kiedy przychodziłem, nie wierzyłem, że dostanę tyle, ile zapowiadał mój menedżer. Potem okazało się, że Wisła płaciła mi niemal tyle samo, ile miałem w Heerenveen”, mówi Radosław Matusiak. Jego transfer okazał się jednak rozczarowaniem. W lidze zagrał tylko osiem razy, raptem czterokrotnie pojawił się w podstawowym składzie, strzelił jedną bramkę. Mało grał, więc zapamiętany został głównie ze stwierdzenia: „Nie tak się umawialiśmy”.

„Chodziło o to, że gdy przychodziłem do Wisły, mówiło się, że będziemy grać dwójką w ataku. Paweł Brożek to dobry napastnik, ja też byłem wówczas za takiego uważany, dlatego nikt nie wyobrażał sobie, że ktoś z nas będzie siedział na ławce – mówi Matusiak. – Nie mam jednak do nikogo pretensji. Jeśli mieliśmy grać jednym napastnikiem, miejsce to należało się Pawłowi. Wisła sięgnęła po tytuł, Brożek został królem strzelców. To potwierdza słuszność tego wyboru”.

Matusiak od początku nie był faworytem Skorży – trener miał innego kandydata do wzmocnienia ataku. Jediną bramkę strzelił Jagiellonii. W Białymstoku nie mógł zagrać Paweł Brożek, bo tego dnia brał ślub. Skorża był wściekły, nie rozumiał, jak mogło dojść do takiej kolizji terminów, napastnik bronił się, że rezerwacji musiał dokonać z dużym wyprzedzeniem.

– Zawodowy piłkarz nie powinien tak planować. Próbowaliśmy przełożyć mecz, ale się nie udało. Paweł zostanie zwolniony na ślub, ale nikt więcej – denerwował się Skorża.

Szczególnie cierpiał Piotr Brożek, który koniecznie chciał towarzyszyć bratu w tej podniosłej chwili. Do zabawnej sceny doszło w kolejce poprzedzającej spotkanie z Jagiellonią. Piotr miał na koncie trzy żółte kartki i gdyby w spotkaniu z Ruchem otrzymał kolejne upomnienie, z Jagą nie mógłby zagrać. Tak się jednak nie stało, o co Paweł miał do brata pretensje. Jak to mieli w zwyczaju, zaczęli się kłócić jeszcze na boisku, zaraz po zakończeniu spotkania.

Z Matusiakiem w ataku, a z Piotrem Brożkiem na lewym skrzydle, Wisła wygrała z Jagiellonią 2:1 i na pięć kolejek przed końcem sezonu była już praktycznie pewna mistrzostwa. Tytuł zdobyła kilka dni później, bez potrzeby wychodzenia na boisko.

Piłkarze Wisły siedzieli przed telewizorem i oglądali mecz Lecha Poznań z Dyskobolią Grodzisk Wielkopolski. Patrzyli, jak Rafał Murawski otwiera wynik, a pod koniec Tomasz Bandrowski podwyższa na 2:0. Patrzyli, jak w samej końcówce Mariusz Muszałik zdobywa kontaktowego gola dla Dyskobolii, wreszcie patrzyli, jak sędzia kończy mecz. Do sali wszedł kelner z tacą wypełnioną lampkami szampana.

– No, fajnie, że jesteśmy mistrzami, ale chodźmy już spać – rzucił ktoś i faktycznie tak się stało. Liderowali od października, więc z tytułem mistrzowskim oswoili się już wcześniej.

Na drugi dzień czekały ich derby z Cracovią. W takiej sytuacji, dzień po zaklepaniu tytułu mistrzowskiego, każdy inny mecz mogliby sobie odpuścić, ale przecież nie derby. Nie mogli tego zrobić swoim kibicom, a przede wszystkim Bogusławowi Cupiałowi. Bez

poważniejszych problemów, po dwóch bramkach Pawła Brożka, pokonali rywala zza między 2:1.

Wiosną drużyna nie strzelała już tak dużo bramek co jesienią, ale nadal była nie do zatrzymania. Pierwszą i jedyną przegraną w tym sezonie wiślacy zanotowali z Legią w Warszawie na trzy kolejki przed końcem sezonu, gdy tytuł mieli już w rękach i mogli sobie pozwolić na chwilę odprężenia. Najbardziej żał było passy 28 meczów bez porażki.

Jeszcze w pierwszej połowie spotkania z Legią z boiska wyleciał Dariusz Dudka, który wtedy był bliski transferu do Blackburn (ostatecznie trafił do Auxerre). W przerwie zaatakował go wściekły Skorża:

– A idź już do tego Blackburn! – krzyczał.

Dudka nawet nie drgnął, czym tylko dodatkowo rozsierdził trenera. Szkoleniowiec z trudem panował nad emocjami i nagle zamachnął się na Dudkę butelką. W ostatniej chwili zmienił jednak zdanie i butelka poszybowała w innym kierunku. Nikt nie oberwał.

Choć do końca sezonu pozostawało jeszcze pięć kolejek, Dudka na boisku już się nie pojawił. Jego transfer do Auxerre za 2,5 miliona euro był majstersztykiem.

DOBRY TEN BROŻEK

Wisła stanęła przed piątą szansą na awans do Ligi Mistrzów. W trakcie letniego okienka transferowego Skorża nie mógł liczyć na spektakularne transfery. Pojawił się temat ściągnięcia Roberta Lewandowskiego, ale sprawa utknęła na poziomie rady nadzorczej. Lech w tym czasie pojechał do Pruszkowa i dobił targu.

Wzmocnienia pod kątem walki w europejskich pucharach miały być dokonywane pół roku wcześniej, w trakcie zimowego okienka, aby świeża krew miała czas, by płynnie wejść do krwiobiegu drużyny. Miała to być namiastka polityki długofalowej. Problem polegał na tym, że z trzech zimowych wzmocnień w zespole pozostali tylko Júnior Díaz i Wojciech Łobodziński (Matusiakowi skończył się kontrakt). Nim walka o Ligę Mistrzów się rozpoczęła, z drużyny odeszli Dariusz Dudka, Adam Kokoszka i Jean Paulista. Pozyskano tylko Petera Šinglára. I tak pomysł na perspektywiczne budowanie drużyny legł w gruzach.

Pierwszą przeszkodą w drodze do Ligi Mistrzów był Beitar Jerozolima, finansowany przez szemranego biznesmena Arkadego Gaidamaka – urodzonego w Moskwie posiadacza obywatelstw pięciu różnych krajów, który zbił fortunę na handlu bronią. Na klub łożył rocznie 105 milionów szekli, czyli dwa razy więcej, niż wynosił wówczas budżet Wisły. Stać go było choćby na to, by płacić Derekowi Boatengowi 700 tysięcy euro rocznie. Po pierwszym meczu, wygranym przez Beitar 2:1, z uśmiechem spacerował wśród dziennikarzy:

– Ten Brożek dobry. Ile chciałby zarabiać? – dopytywał.

Wiślacy wylądowali w Tel Awiwie, do Jerozolimy eskortowali ich policjanci na motocyklach uzbrojeni w karabiny maszynowe. Także na stadionie nie brakowało funkcjonariuszy uzbrojonych po zęby – obiekt położony jest tuż przy murze oddzielającym Jerozolimę od palestyńskiego Betlejem. Brakło za to piłek. Gdy piłkarze Skorży wyszli na trening, nie mieli czym ćwiczyć. Gospodarze dostarczyli futbolówki dopiero po 20 minutach.

Zaraz na początku sezonu Skorża odciął się od mediów.

– To najważniejszy czas w mojej dotychczasowej karierze – argumentował.

Milczał, ale wewnątrz aż się gotował. Chciał, by wszystko było idealnie, więc taka głupota jak chwilowy brak piłek potrafiła skutecznie wyprowadzić go z równowagi.

W gorącej Jerozolimie wygrali gospodarze, ale rewanż nie pozostawił złudzeń. Gdy po meczu Skorża wszedł do sali konferencyjnej, powitały go brawa. To bardzo rzadkie.

– Brawa należą się drużynie, nie mnie – wydukał zaskoczony.

Należały się i jemu, i piłkarzom. Nie tylko za wynik – 5:0 – ale też za efektowną grę od początku do samego końca.

Jeszcze przed rewanżem wiadomo było, że następnym rywalem będzie FC Barcelona. Katalończycy chcieli przełożyć kolejność spotkań. Oferowali Wiśle 100 tysięcy euro, by pierwszy mecz odbył się w Krakowie. Chcieli fetować awans na Camp Nou. Propozycja nie została przyjęta. Bogusław Cupiał, jak na wiecznego optymistę przystało, też chciał świętować awans na swoim stadionie.

Mecz z Wisłą był debiutem Josepa Guardioli w roli trenera Barcelony. Poszło mu nieźle. W 18. minucie do siatki trafił Samuel Eto'o, jeszcze przed przerwą na 2:0 podwyższył Xavi.

„Przerwatego spotkania to był jeden z najtrudniejszych kwadransów podczas mojej pracy trenerskiej. Patrzyłem na chłopaków i widziałem po nich, że nie mają najmniejszej ochoty wracać na boisko. Zostaliśmy całkowicie zdominowani. Nawet jak coś udało nam się zrobić, to rywale nas doganiali i zabierali nam piłkę. Wszyscy mieli zwieszane głowy. Próbowaliśmy ich podbudować, ale wychodząc na drugą połowę, nie byłem nastawiony optymistycznie”, mówi Skorża.

Zobaczył dwie kolejne bramki – najpierw trafienie zanotował Thierry Henry, a wynik na 4:0 ustalił Eto'o. Dla Barcy był to początek świetnego sezonu – w 38 kolejkach Primera División strzeliła 105 bramek, tytuł mistrzowski zdobyła z dziewięcioma punktami przewagi nad Realem Madryt, w finale Ligi Mistrzów pokonała Manchester United. To wtedy wykluwała się drużyna, która przez pięć kolejnych lat niepodzielnie panowała na całym kontynencie.

ZMIESZANY GUARDIOLA

W rewanżu Wisła zwyciężyła 1:0. I chociaż kwestia awansu była rozstrzygnięta praktycznie zaraz po losowaniu, wygrana miała swój wydźwięk. Skorża znów musiał łątać dziury w składzie, bo ciągle nie mógł skorzystać z Arkadiusza Głowackiego, a do tego wypadli też Radosław Sobolewski i Mauro Cantoro. Na środku defensywy z przymusu zagrał Baszczyński i był praktycznie bezbłędny, świetnie radził sobie z Samuelem Eto'o, choć w trakcie meczu myślami był przy niedawno zmarłym ojcu. Mecz życia z lewej strony defensywy rozgrywał Piotr Brożek – z łatwością odbierał piłki Andrésowi Inieście. Jedyna bramka padła po rzucie rżnym: Tomáš Jirsák dośrodkował w pole karne, a Cléber potężnym strzałem głową posłał piłkę do siatki.

„Każda drużyna ma swoje słabsze strony, Barcelona też – mówi Skorża, który zwracał piłkarzom uwagę, że najłatwiej zaskoczyć Katalończyków po stałych fragmentach gry. – Kryli strefą, co nie funkcjonowało zbyt dobrze i udało nam się to wykorzystać. Uczulałem

też piłkarzy, by próbowali atakować lewą stronę, czyli tam, gdzie grał Dani Alves. Jak na obrońcę, grał bardzo ofensywnie. Szedł praktycznie za każdą piłką, Seydou Keita nie zawsze odpowiednio go asekurował i otwierał się korytarz do przeprowadzenia akcji”.

– Była to dla nas ważna lekcja. Cieszymy się z awansu, ale przegrana boli – mówił po meczu nieco zmieszany Guardiola.

Przyznał, że w oko wpadła mu gra Pawła Brożka. Oczywiście nie miał zamiaru ściągać go do Barcelony, ale wypytywał o niego trenera Wisły. Chciał się dowiedzieć, jaki Brożek ma charakter i jak podchodzi do obowiązków piłkarza.

Spotkanie prowadził znany słowacki sędzia L’uboš Michel’. Choć poważnych błędów nie popełnił, widać było, że pilnuje nóg gwiazd Barcelony. „Tym razem już zupełnie nie wiem, czego się dopatrzył! Chyba złamania przepisów ruchu drogowego”, denerwował się Maciej Szczęsny, komentując spotkanie w telewizji.

Po meczu do Michel’a podszedł Skorża:

– Nie musiał pan tak tej Barcelonie pomagać. I tak awansowali.

Słowak tylko się uśmiechnął. Był to dla niego jeden z ostatnich meczów w roli sędziego, niespełna dwa miesiące później skończył karierę. Zaraz potem trafił do Szachtara Donieck, gdzie został szefem departamentu rozgrywek międzynarodowych. Trudno stwierdzić, czy stanowisko to istniało już wcześniej, czy zostało stworzone dla niego. Faktem jest, że Ukraińcy bardzo chcieli wygrać jakieś europejskie rozgrywki. Jeszcze w tym samym sezonie w gablocie Szachtara pojawił się Puchar UEFA. W finale pokonali 2:1 Werder Brema.

Skład delegacji wysyłanej na losowanie europejskich pucharów był wielokrotnie zmieniany, ale żadna konfiguracja nie okazała się szczęśliwa. Nie inaczej było tym razem. W trzecim losowaniu z rzędu wiślacy trafili na najwyżej rozstawionego rywala. Tottenham słabo radził sobie w lidze – zamiast bić się o czołowe lokaty, śrubował serię bez zwycięstwa – wciąż jednak była to bardzo silna drużyna. Przed sezonem na wzmocnienia przeznaczył 76 milionów euro (więcej w Europie wydała jedynie Barcelona) i tylko szalenie uznałby Wisłę za faworyta tej rywalizacji. Z lewej strony defensywy londyńczyków grał Gareth Bale, który pięć lat później został najdroższym piłkarzem na świecie. „Nie był wtedy jakimś bardzo silnym punktem tej drużyny – mówi Rafał Janas, wówczas rozpracowujący grę londyńskiego klubu. – Skupiałem się głównie na Modriciu, na fali był Pawluczenko, w obronie podobał mi się Ekotto, za to o Bale’u nie powiedziałem naszym piłkarzom zbyt wiele”.

Po meczu w Londynie nadzieje na awans nadal były duże. Mimo ataku anginy Wisła zagrała przyzwoity mecz, a trzech piłkarzy, którym choroba dała się we znaki najmocniej – a więc Rafał Boguski, Paweł Brożek i Tomáš Jirsák – rozegrało fantastyczną akcję, która zakończyła się bramką Czecha na 1:1. Anglicy wygrali 2:1, a dwa tygodnie później w Krakowie padł remis 1:1. Tottenham prowadził 1:0 po samobójczym golem Arkadiusza Głowackiego (trafiła go piłka po ostrej wrzutce Bale’a). W końcówce Skorża posłał na boisko Marcelo i nakazał mu grać w ataku, Paweł Brożek doprowadził do remisu, na tym jednak się skończyło.

BRAZYLIJSKIE DREWNO

W tym sezonie losy tytułu mistrzowskiego ważyły się do ostatniej kolejki, a Wisła wcale nie była najpoważniejszym kandydatem. Jan Urban w Legii i Franciszek Smuda w Lechu mieli do dyspozycji bardzo mocne zespoły. „Myślę, że kadrowo były to lepsze drużyny niż moja. My mieliśmy praktycznie tylko pierwszą jedenastkę. Rezerwowych o odpowiednich umiejętnościach było niewiele. Czułem, że moja pozycja w klubie zaczyna słabnąć i wiedziałem, że może mnie uratować tylko mistrzostwo”, wspomina Skorża.

Po rundzie jesiennej Wisła była dopiero czwarta w tabeli ze stratą trzech punktów do liderujących Lecha i Legii. W kwietniu w 22. kolejce zremisowała z Lechem w Poznaniu, a Smuda już praktycznie świętował.

– Najważniejsze, że utrzymaliśmy przewagę – mówił po meczu.

Lech był pierwszy, za nim była Legia, Wisła dopiero trzecia, z trzema punktami straty do lidera.

W Poznaniu Wisła prowadziła po голу Petera Šinglára, który zdobył wówczas swoją jedyną bramkę w trakcie występów w krakowskim zespole. Słowak sam był zaskoczony, że trafił do siatki. Lech wyrównał dopiero w samej końcówce. Z rzutu wolnego uderzył Semir Štilić, piłka przedarła się przez mur i wpadła do bramki. Powtórki wykazały, że piłka przeleciała między nogami Beto. Brazylijczyk trafił do Wisły z polecenia Hectora Peralty, który pół roku wcześniej zaproponował transfer Marcelo. Gdy ten ruch okazał się udany, Beto wzięto praktycznie w ciemno. I szybko pożałowano – wyglądał na takiego, co grzecznie siada z boku i podziwia, gdy sprzedawcy lodów na Copacabanie zaczynają mecz.

W trakcie pierwszego treningu Maciej Skorża z niedowierzaniem patrzył na umiejętności nowego piłkarza.

– Nie. To niemożliwe – mrucał pod nosem, patrząc, jak Beto bezskutecznie próbuje dziesięć razy podbić piłkę.

Prosto z boiska poszedł do Jacka Bednarza z pytaniem, jak to się stało, że ktoś taki pojawił się w takim zespole jak Wisła. „Miał coś w sobie, ale nie potrafił tego pokazać. Świetnie zastawiał piłkę. Z zawodników, z którymi pracowaliśmy, lepiej robił to tylko Danijel Ljuboja w Legii. Zapamiętałem go z nietypowego wykonywania rzutów karnych. Udawał, że będzie kopał piłkę prawą nogą, robił ruch, bramkarz kładł się już na murawie, a wtedy strzelał lewą”, opisuje Rafał Janas. Skorża jest bardziej dosadny: „Może nie kosztował dużo, ale blokował mi miejsce w zespole. Miałem dostać kogoś, kto pomoże mi walczyć o tytuł, a dostałem faceta, którego strach było wpuścić na boisko”.

A jednak Beto rozegrał w barwach Wisły sześć ligowych meczów, w tym to feralne dla niego spotkanie z Lechem. Nie zdobył choćby jednej bramki. Ba! Nie oddał ani jednego groźnego strzału. Jedyne trafienie zaliczył w sparingu z Polonią Bytom. Koledzy z zespołu śmiali się z niego potem w szatni, bo Brazylijczyk był przekonany, że to mecz ligowy.

TO TEN SAM PIŁKARZ?

Wisła musiała zwyciężać i liczyć na potknięcia rywali. Po meczu w Poznaniu wygrała trzy spotkania z rzędu, aż wreszcie zremisowała z Piastem w Gliwicach, tracąc przy okazji Marcina Baszczyńskiego, który doznał poważnej kontuzji. W szatni panowała grobowa atmosfera, piłkarze siedzieli ze zwieszonymi głowami. Wydawało się, że to koniec marzeń. Skorża próbował mobilizować zawodników:

– Wygramy wszystkie mecze do końca sezonu i obronimy mistrzostwo! – huczał.

Niewielu mu wierzyło. A jednak dwa dni później potknął się też Lech i okazało się, że do wyprzedzenia pozostaje tylko Legia, która w następnej kolejce przyjeżdżała do Krakowa – to był moment kulminacyjny tego sezonu. Trener Lecha Franciszek Smuda mógł kupić popcorn i sięść głęboko w fotelu – w walce o tytuł był już tylko widzem.

Jedyną bramkę zdobył Marcelo. Miał już za sobą okres adaptacji, który nie był dla niego łatwy. Początkowo trenerzy nie widzieli podobieństwa między grą Brazylijczyka, którą obserwowali na płytach DVD, a tym, co prezentował na treningach, więc na debiut poczekał prawie miesiąc. Długo trwały też przepychanki z Fluminense, które utrzymywało, że ma do niego prawa. W końcu brazylijski sąd pracy uznał, że Marcelo jest wolnym zawodnikiem i może przejść do Wisły bez kwoty odstępnego. Trudno jednak nazwać ten transfer darmowym – koszty sprowadzenia Marcelo wyniosły łącznie 1,5 miliona złotych.

Było warto, bo gdy Brazylijczyk miał już za sobą okres adaptacji, wyrósł na czołową postać zespołu. Już w pierwszym sezonie zdobył trzy bramki, dwie z nich dały drużynie dwa zwycięstwa 1:0, więc łącznie sześć punktów. Pośród nich znalazła się ta najważniejsza bramka, z Legią właśnie, która zapewniła awans na pierwsze miejsce. Po wygranej nad ekipą Jana Urbana trzeba było postawić jeszcze trzy kroki. Po gładkim zwycięstwie 4:0 nad ŁKS-em drużynę czekało wyjazdowe spotkanie z Lechią. Gdański zespół nie był jeszcze pewny utrzymania w ekstraklasie, lecz już w 17. sekundzie spotkania wyszedł na prowadzenie. Wisła wyrównała na początku drugiej połowy.

„W tym momencie zaczęliśmy nasłuchiwać wieści z innych stadionów. Nie wiedziałem, co robić, czy bronić tego wyniku, czy nie. Lechia strzeliła nam jednak gola i wtedy przestałem słuchać, co się dzieje w innych meczach – postawiłem wszystko na jedną kartę. Rzuciliśmy się do ataku i okazało się, że pozostałe wyniki nie są już dla nas ważne”, mówił Skorża. Pod koniec meczu wiślaczy zdobyli trzy bramki – gol Marka Zieńczuka i dwa trafienia Wojciecha Łobodzińskiego dały gościom wygraną 4:2 i praktycznie pewny tytuł mistrzowski.

Wiślaczy wygrali także trzecie spotkanie – na własnym stadionie pokonali 2:0 Śląsk Wrocław. Tytuł pozostał w Krakowie, a Paweł Brożek po raz drugi z rzędu (choć tym razem wspólnie z Takesure'em Chinyamą z Legii) został królem strzelców.

24. PIESZO Z TALLINNA

Maciej Skorża pamięta, że Bogusław Cupiał chwycił go za ramię:

– Maciek, widzisz ten stół? Widzisz tych ludzi, którzy tam siedzą? Wszyscy namawiają mnie, bym cię zwolnił. Wszyscy! Ale ja na razie nie chcę tego zrobić.

Właśnie dobiegła końca runda jesienna sezonu 2009/10. W ostatnim meczu, na pustym stadionie Zagłębia Sosnowiec, Wisła pokonała 1:0 Zagłębie Lubin prowadzone przez Franciszka Smudę i zapewniła sobie pięciopunktową przewagę nad Legią. Scenariusz niemal idealny. Niemal, bo pięć miesięcy wcześniej Wisła odpadła z walki o Ligę Mistrzów, gdy czołowe kluby europejskie były jeszcze w trakcie przygotowań do sezonu.

To był sezon spięty kłamrą dwóch spektakularnych porażek. Ta pierwsza, w Tallinnie, zdemontowała budżet i utraciła głowy – kolejno Jacka Bednarza, Marka Wilczka, wreszcie Macieja Skorży. Ta druga odebrała Wiśle niemal pewny już tytuł mistrzowski. Głowa nie poleciała żadna, ale nie byłoby tej katastrofy, gdyby nie głowa Mariusza Jopa, od której odbiła się piłka, nim wpadła do bramki Wisły w derbowym meczu z Cracovią.

W życie weszła właśnie reforma Michela Platinięgo. Dzięki rozdzieleniu na etapie kwalifikacji klubów z najsilniejszych lig europejskich od tych pozostałych droga do Ligi Mistrzów miała być znacznie łatwiejsza. Wisła się o tym nie przekonała, bo wyłożyła się na pierwszej przeszkodzie, nim kwalifikacje weszły w decydującą fazę.

FC Barcelona, Anderlecht, Real Madryt, Panathinaikos Ateny, Levadia Tallinn. Znajdź jeden klub niepasujący do tej listy... A jednak w 2009 roku Levadia dołączyła do grona drużyn, które stanęły na drodze Wisły do Ligi Mistrzów i nie pozwoliły jej się przebić dalej. Po rewanżowym meczu w Tallinnie atmosfera była taka, jakby świat się zawalił. Znów. Który to był już koniec świata? Po zakończeniu spotkania Bogusław Cupiał wciąż siedział na swoim miejscu. Wpatrywał się tępo w murawę kameralnego stadionu, gdzieś na peryferiach wielkiego futbolu. To, co miało być łatwym początkiem, było brutalnym końcem.

Na pomeczowym bankiecie wyglądał na rozluźnionego. Wydawał się bardziej zrezygnowany niż wściekły.

– Skorża? Skorża to dupa, a nie trener – psioczył w rozmowie z innymi uczestnikami bankietu. Mała, ciemna salka. Pokoik. Na pewno nie europejski salon.

Przed meczem Cupiał obiecał ponoć trenerowi, że w drogę powrotną weźmie go na pokład swojego prywatnego samolotu. Po przegranej okazało się, że w awionetce nie ma już wolnego miejsca i Skorża wrócił do Krakowa wraz z zespołem. I tak nie mógł narzekać, bo piłkarze Levadii do Sosnowca na mecz z Wisłą tłukli się autokarem bite dwa dni.

PUSTA KASA

Co stało się w Tallinnie? Tym razem odpowiedź jest wyjątkowo prosta. „Przyznaję, myślałem, że będzie nieco łatwiej”, mówi Skorża. Po meczu siedział w szatni blady jak

ściana, odmawiał udziału w konferencji prasowej. W końcu się pojawił, ale wydał tylko krótkie oświadczenie i nie odpowiadał na żadne pytania. Całą winę wziął na siebie. „Przerwa między sezonami była wtedy wyjątkowo krótka. Po wyczerpującej walce o tytuł mistrzowski drużyna była wypompowana tak fizycznie, jak i psychicznie, bo musiała radzić sobie z wielką presją, znosić niesamowite ciśnienie. W sztabie trenerskim uznaliśmy, że lepiej dać piłkarzom tydzień dłużej na odpoczynek, zacząć przygotowania później, a z pierwszą przeszkodą jakoś sobie poradzimy”, tłumaczy. Z wysokich obciążeń treningowych zaczęto schodzić dopiero tuż przed pierwszym meczem. Za późno. W obu spotkaniach piłkarze biegali jednostajnie, nie byli w stanie zdominować znacznie słabszego przeciwnika.

Po raz kolejny zawiodła polityka kadrowa. Choć od dłuższego czasu wiadomo było, że Marcin Baszczyński i Marek Zięńczuk opuszczą Wisłę tego lata, następców znaleziono za późno. Andraž Kirm dołączył do zespołu ledwie dwa tygodnie przed rozpoczęciem sezonu, a Pablo Álvarez jeszcze później. Kontrakt podpisał już po pierwszym meczu z Levadią. Nim do Krakowa dotarł jego certyfikat, odbył się mecz rewanżowy i Wisła z Europą już się pożegnała. Gdy zrozumiał, co się stało, wyglądał, jakby najchętniej od razu uciekł z Polski.

W pierwszym spotkaniu na prawej obronie zagrał Wojciech Łobodziński, w rewanżu na tej pozycji zadebiutował Piotr Brożek. Łukasz Garguła, którego po wielu miesiącach starań wreszcie udało się ściągnąć do Krakowa, od początku miał kłopoty zdrowotne, dopiero w październiku do gry wrócił Rafał Boguski. Już na samym początku sezonu trzeba było łączyć dziury.

Oprócz tego z powodu modernizacji stadionu w Krakowie drużyna przez cały sezon tułała się po obcych boiskach. Rundę jesienną spędziła w Sosnowcu, na stadionie Zagłębia, wiosną grała na Hutniku. „Jestem pewien, że gdybyśmy grali z Levadią na Wiśle, mecz wyglądałby zupełnie inaczej. Drużyna została pozbawiona atutu, jakim jest gra na własnym stadionie, a jeśli weźmiemy pod uwagę takich kibiców, jakich ma Wisła, nie można tego lekceważyć”, podkreśla Skorża.

W pierwszym spotkaniu w Sosnowcu Wisła zagrała fatalnie, remis uratowała dzięki bramce Piotra Ćwielonga w doliczonym czasie gry. W Tallinnie gra była już nieco lepsza, ale szwankowała skuteczność. Skorża, sparaliżowany strachem, dokonał tylko jednej zmiany. W ostatniej minucie Vladislav Ivanov kopnął piłkę z rzutu wolnego i choć strzał nie był zbyt mocny, futbolówka zakończyła swój lot w bramce Mariusza Pawełka. Było po wszystkim.

Po meczu w Tallinnie prezes Marek Wilczek nerwowo zaciągał się papierosem, palił jednego za drugim. Kilka miesięcy wcześniej w sprawozdaniu finansowym spółki założył awans do fazy grupowej Ligi Mistrzów, a w ślad za nim dochody w wysokości 10 milionów złotych za prawa transmisyjne i 32 milionów z premii od UEFA. Wariant B zawierał wpływy z gry w Lidze Europy, wariantu C, a więc tak szybkiej ewakuacji z rozgrywek europejskich, nie brano pod uwagę. Po powrocie do kraju Cupiał w środku nocy zaprosił na spotkanie radę drużyny. Paweł Brożek, Arkadiusz Głowacki i Radosław Sobolewski prosto z lotniska pojechali do Myślenic. Właściciel klubu spojrział na nich z grymasem:

– No, to co będzie dalej? – zapytał.

Nikt nie znał odpowiedzi. Nikt oprócz Cupiała. To on zapłacił największą karę za estońską kompromitację, bo musiał ratować budżet przed katastrofą. Potem zaczęły lecieć głowy – najpierw Jacka Bednarza, potem Wilczka i dopiero na koniec Skorży.

Levadia Ligi Mistrzów nie zawojowała. W kolejnej fazie kwalifikacji przegrała z mistrzem Węgier, sympatycznymi chłopakami z Debreczyna.

SANTO SUBITO

Klamka zamykająca sezon zapadła w maju. Trenerem Wisły był już Henryk Kasperczak, ale od 2002 roku, gdy przejmował zespół po raz pierwszy, wiele się zmieniło. Wtedy przychodził jako trener zwycięzca, teraz wracał jako trener przegrany. Nie wyszło mu z reprezentacją Senegalu. Awansował do Pucharu Narodów Afryki, obiecywał finał, ale po dwóch pierwszych meczach fazy grupowej, gdy szanse na awans były bliskie zeru, złożył rezygnację. Potem rozczarował w Górniku Zabrze. We wzmocnienia wpompowano pięć milionów, a sezon skończył się spadkiem z ekstraklasy. Powrót do Wisły był ogromnym zaskoczeniem. Nim otrzymał pracę, musiał się pokajać.

– Chciałbym przeprosić właściciela za wcześniejsze słabości – mówił na konferencji prasowej. Brzmiało to, jakby czytał z kartki.

Wrócił do zupełnie innej Wisły – z drużyny, z którą podbijał Europę, pozostali tylko Arkadiusz Głowacki i Mariusz Jop, po sezonie dołączył do nich Maciej Żurawski. Nikt z nich nie zmienił się jednak tak jak Kasperczak. „Trzeba przyznać, że trener trochę się postarzał. Myślał chyba, że wraca do tej samej drużyny, a przecież wiele się zmieniło”, mówi Żurawski.

Zawodnicy coraz częściej patrzyli na niego z politowaniem. Na zgrupowaniu w Zakopanem mieli wykonywać stumetrowe biegi. Andrzej Bahr odmierzył odległość i ustawił pachołki, ale Kasperczak tylko się skrzywił.

– To za dużo odmierzyłeś! – krzyknął i sam, za pomocą kroków, ustalił odległość. Wyszło jakieś 80 metrów, co oczywiście niezmiernie ucieszyło zawodników.

Kasperczak objął drużynę, gdy ta z niewielką przewagą, ale jednak zajmowała pierwsze miejsce w tabeli ekstraklasy. Efekt nowej miotły zaowocował czterema zwycięstwami z rzędu, potem wiślacy osobiście – wygrywając w Warszawie 3:0 – z walki o tytuł mistrzowski odstrzelili Legię. W boju zostali tylko oni i Lech. Do 90. minuty meczu przedostatniej kolejki Wisła prowadziła w derbach z Cracovią 1:0, a Lech remisował w Chorzowie z Ruchem 1:1. Gdyby tak skończyły się oba mecze, drużyna Kasperczaka miałyby trzy punkty przewagi i niemal pewne mistrzostwo. Stało się jednak inaczej.

Przed spotkaniem Kasperczak długo zastanawiał się, kim zastąpić Pablo Álvareza. Do wyboru miał Petera Šinglára i Mariusza Jopa. Meczem z Levadią Jop raz jeszcze podpadł Cupiałowi, Maciej Skorża (a potem Kasperczak) usłyszał, by stawiać na niego tylko z konieczności, a jednak w derbach zagrał właśnie on. Ulubiony kozioł ofiarny. Bez względu na to, że w sezonie 2002/03 był mocnym punktem świetnej defensywy, pamiętano mu tylko wpadki, jak samobójczą bramkę w meczu z Lazio. Albo jak dwa gole strzelone Wiśle, gdy był wypożyczony do Widzewa. Jeśli w derbach z Cracovią ktoś miał strzelić „swojaka”, musiało paść na niego. Samospełniająca się przepowiednia.

Losy rywalizacji o tytuł mistrzowski odmieniły się w jednym momencie, niemal w tej samej chwili padły bramki w Chorzowie i Krakowie. Najpierw na stadionie Hutnika – w doliczonym czasie gry Aleksandr Suworow dośrodkował, potem stało się nieuniknione – piłka odbiła się od głowy Jopa, przelobowała Marcina Juszczyka i ku rozpaczy wiślaków wpadła do bramki. Jop natychmiast zbladł, bezwładnie osunął się na murawę, ścięty z nóg, jakby nieprzytomny, pozbawiony resztek energii. Kibice Cracovii oszaleli z radości – remis dawał im utrzymanie. Sekundy później ich radość przemieniła się w dziką euforię, bo w Chorzowie gola na 2:1 zdobył Lech. Kibice Kolejorza zażądali dla Jopa uznania go „santo subito”, czyli „świętym od zaraz”.

Wisła liderowała niemal cały sezon, by w przedostatniej kolejce stracić wszystko. Jeśli piłka nożna jest kochanką, to tego wieczoru wyszła w miasto i wróciła dopiero rano – pijana i rozczochrana.

Złość kibiców skupiła się na Jopie, ale w drużynie królowało inne spojrzenie na tę sytuację. Jop był niezwykle lubiany przez kolegów. Piłkarze byli za to wściekli na Andraża Kirma. To po jego bezmyślnym zagraniu ręką sędziego podyktował rzut wolny, a potem stało się to, co się stało. Zamknięty w sobie Słoweniec nie cieszył się w szatni przesadną sympatią.

WYCZYN SEZONU

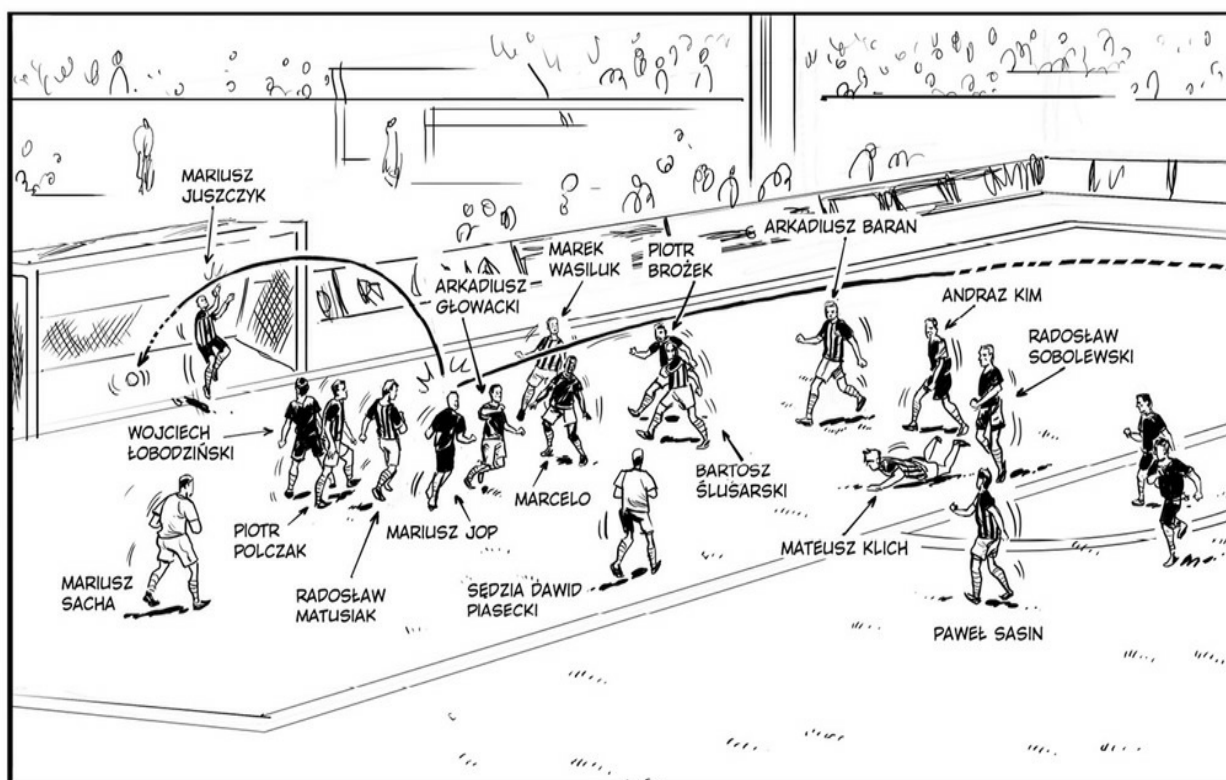
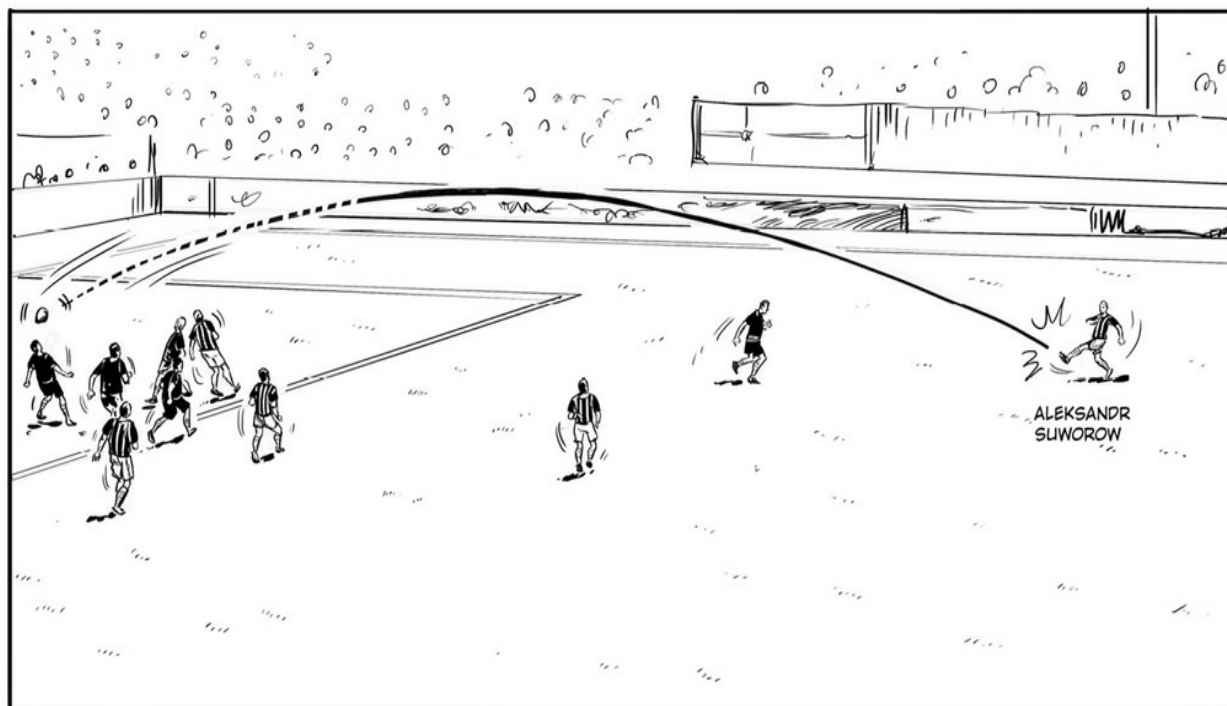
Dlaczego trenerem nie był już wtedy Skorża? Jesień skończył z raptem trzema przegranymi, ale były to porażki wyjątkowo przykre – Lech, Legia i Cracovia – hatrick wstydu, który mocno bolał Bogusława Cupiała. Nerwy dawały się we znaki także trenerowi. Niektórzy, gdy mają gorszy okres, sprawiają wrażenie, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Skorża odwrotnie – wystarczy spojrzeć na jego twarz, by wiedzieć, że ma problemy. Zmienił się nie do poznania. Nerwy zżerały go od środka, presja całkowicie przytłoczyła. Stał się opryskliwy, dziennikarzom nie odpowiadał na najprostsze pytania, dookoła szukał tylko wrogów, a w klubie pojawiał się z coraz bardziej podkrążonymi oczami.

Wiedział, że w otoczeniu Cupiała ma zagorzałych przeciwników, dlatego nie był skłonny do zmian w składzie, nie chciał ryzykować najmniejszych wpadek. W trakcie rundy jesiennej obracał się w kręgu 14 nazwisk. Młodzi piłkarze bezskutecznie czekali na szansę.

Jeden z nich czuł, że jeśli zaraz nie zacznie grać, jego życie legnie w gruzach. 21-letni Łukasz Burliga był na zakręcie – pił, szwendał się po dyskotekach i kasynach, pożyczał pieniądze od niewłaściwych ludzi, na treningi przychodził niewyspany. Klub przez długi okres przelewał jego pensję na konto rodziców, by cała kwota nie przepadła w dniu wypłaty. Burliga czuł się jak pilot za sterami samolotu, który wszedł w korkociąg — systemy ostrzegawcze szaleją, a ziemia z każdą sekundą jest coraz bliżej. Chciał grać, choćby po to, by... mieć pieniądze na spłatę długów. Pewnej nocy, w przypiływie totalnej desperacji, postanowił porozmawiać z trenerem i zwierzyć się ze wszystkich swoich wątpliwości. Nie miał zamiaru czekać ani chwili – wsiadł w taksówkę. W środku nocy pojechał prosto do mieszkania Skorży.

Wdrapał się na balkon i załomotał w okno. „Faktycznie była taka wizyta, ale o piłce praktycznie nie rozmawialiśmy. Łukasz miał wtedy poważne problemy rodzinne”, wspomina Skorża. Jeśli Burliga liczył, że nocną wizytę u trenera uda się utrzymać

w tajemnicy, srogo się mylił. Już na drugi dzień w szatni czekał na niego puchar z wygrawerowaną dedykacją: „Za wyczyn sezonu”. Trener docenił odwagę piłkarza i wkrótce dał mu zagrać w podstawowym składzie.



Mariusz Jop zostaje świętym
Wisła - Cracovia 1:0; 93. minuta

GŁODNY KRÓL STRZELCÓW

Mimo trzech przykrych porażek Cupiał nie zmieniał zdania na temat przyszłości Skorzy. Po jednym z meczów zaprosił trenera na pokład swojej limuzyny. Wciąż liczył, że Skorża będzie tym, kim sir Alex Ferguson dla Manchesteru.

Alex Ferguson był trenerem Manchesteru United przez 27 lat, a na pierwszy tytuł mistrzowski czekał lat siedem. Skorża tytuł zdobył już po pierwszym roku, potem dorzucił drugi, a i tak na stanowisku szkoleniowca wytrwał niespełna trzy lata. Ale jeszcze wtedy, jesienią 2009 roku, nawet po tych trzech bolesnych porażkach, wydawało się, że faktycznie może zostać wiślackim Fergusonem. Trwały zaawansowane rozmowy na temat przedłużenia umowy.

„Miałem podpisać pięcioletni kontrakt, który uczyniłby mnie praktycznie niemożliwym do zwolnienia”, mówi trener. Do końca rundy jesiennej umowa nie została przedłużona, jednak wciąż wszystko wskazywało na to, że tak się stanie. Cupiał koniecznie chciał, by Skorża przed podpisaniem nowego kontraktu ściągnął do Krakowa rodzinę. Na stałe. „Żona spędziła ze mną w Krakowie pierwszy rok, potem wróciła z dziećmi do Radomia, gdzie kończyliśmy budowę domu. Gdy miałem podpisać nowy kontrakt, żona znów przeniosła się do Krakowa. Znaleźliśmy dzieciom szkołę, zaczęliśmy układać wszystko od nowa i... po dwóch tygodniach musieliśmy się pakować. Potem Cupiał śmiał się ze mnie: »Aleś ty sobie wybrał zawód«”, wspomina trener.

Wcześniej, bo miesiąc po estońskiej kompromitacji, pracę stracił Jacek Bednarz. Skorża poświęcił go, by ratować siebie, uznał, że znalazł się w sytuacji typu „albo ja, albo on”. Po odejściu Bednarza przejął jego obowiązki. W wolnych chwilach, między jednym a drugim treningiem, oglądał kandydatów do gry w Wiśle. To się nie mogło dobrze skończyć – czego dowodem testy anonimowych piłkarzy i transfer Georgi Christowa. Były król strzelców ligi bułgarskiej miał rywalizować z Pawłem Brożkiem, jednak po jednym meczu wszyscy mieli go dość. Wyglądał, jakby potrzebował porządnego obiadu i tak samo poruszał się po boisku.

Ktoś przesądny wyczułby nadchodzącą katastrofę – zimą podczas zgrupowania w Turcji piłkarze zamieszkali w hotelu Titanic. Potem od początku rundy wiosennej statek Skorzy płynął wprost na górę lodową – drużyna nie strzelała goli i po przegranych 0:1 z GKS-em Bełchatów i Arką Gdynia los trenera został przypieczętowany. Tylko dzięki porażce Legii z Odrą Wodzisław udało się zachować pozycję lidera, ale to było za mało.

Trener wiedział, że w klubie pojawiają się wysłannicy lobbujący za Kasperczakiem. Los swój poznał po kolejnym meczu. W trakcie spotkania łudził się jeszcze, że może zachować posadę. „W 85. minucie Tomáš Jirsák strzelił na bramkę. Patrzyłem na tę piłkę. Zdążyłem się zastanowić – wpadnie czy nie wpadnie? Domyślałem się, że w tej chwili tylko od tego, od tych kilku centymetrów zależy moja przyszłość”, mówi. Trafiła w słupek. 0:0 z Jagiellonią i trzeci z rzędu mecz bez zdobytej bramki.

KOSTKA PRAWDĘ CI POWIE

Na pożegnanie Skorża spotkał się z Cupiałem i prezesem rady nadzorczej Tomaszem Turzańskim. O zwolnieniu został poinformowany już wcześniej, więc przyniósł ze sobą drobne prezenty. „Turzańskiemu podarowałem kostkę, taką, która pomaga w podejmowaniu decyzji. Wygląda jak zwykła kostka do gry, ale na jej ściankach, zamiast oczek, znajdują się krótkie komunikaty w stylu „tak, zrób to”, „nie”, „zapytaj mamy” i tak dalej. Prezes Cupiał, gdy ją zobaczył, od razu zaproponował: »Rzuć, zobaczymy, czy dobrze zrobiliśmy, zwalniając trenera«”, wspomina Skorża i relacjonuje dalszy przebieg wydarzeń:

Turzański rzuca, kostka toczy się po stole, wszyscy w napięciu czekają, co wypadnie.

W końcu kostka daje odpowiedź: NIE.

– Ha! To rzuć jeszcze raz. Czy powinniśmy Maćka przyjąć z powrotem?!

Kostka znów się toczy, wreszcie staje: TAK.

Panowie trochę się pośmiali, ale było za późno. Trenerem Wisły ponownie był już Henryk Kasperczak (Turzański sfinalizował negocjacje z nim w tym samym dniu, w którym wręczył wypowiedzenie Skorży). „Rozstanie z klubem odbyło się na bardzo wysokim poziomie”, zapewnia Skorża.

Piłkarze zdążyli go polubić i po zakończeniu sezonu przekonał się o tym raz jeszcze. W środku nocy odebrał telefon. W słuchawce usłyszał straszny harmider.

– Trenerze! Gdzie pan mieszka?! Jesteśmy w Radomiu! Mamy dla pana medal! – krzyczały głosy w słuchawce.

Chwilę później pod dom Skorży podjechał autokar z piłkarzami Wisły. Wracali z gali ekstraklasy, na której odebrali medale za drugie miejsce. Dla niemal wszystkich zespołów byłby to ogromny sukces. Dla Wisły, która prowadziła od trzeciej do 28. kolejki, była to porażka, piłkarze szybko zdejmowali srebrne medale z szyi i chowali do kieszeni. Do Krakowa wracali bez Henryka Kasperczaka, więc mogli pozwolić sobie na wizytę u poprzedniego trenera. Wciąż była między nimi chemia.

ROZMONTOWANA DEFENSYWA

U progu sezonu 2010/11 Wisła wciąż była osierocona. Pozycja Kasperczaka cały czas wydawała się tymczasowa. Ireneusz Reszczyński, który od początku roku łączył prezesurę w Wiśle i Tele-Fonice, więcej czasu poświęcał tej drugiej. Po nominacji przedstawił się piłkarzom i pracownikom klubu, a potem zniknął z pola widzenia. U progu nowego sezonu przebudowywany stadion przy Reymonta nadal nie był gotów na przyjęcie kibiców i piłkarzy, trzeba było podpisać nową umowę z Hutnikiem. Terminy zbliżały się nieubłaganie, a decyzji wciąż nie było, prezes też zniknął z pola widzenia. W końcu delegacja Wisły udała się do siedziby Tele-Foniki, by dać Reszczyńskiemu odpowiednie dokumenty do podpisania.

Ktoś kiedyś powiedział, że Cupiał traktuje Wisłę, jakby grał na komputerze w piłkarskiego menedżera. Gdy gra go wciągnie, dba o każdy detal, przy komputerze siedzi niemal na okrągło, zaniedbując inne obowiązki. W końcu jednak zaczyna się nudzić i odchodzi od komputera. Jeśli tak na to spojrzeć, to w pierwszej połowie 2010 roku Cupiał ani na chwilę nie włączył ulubionej gry, życie jednak toczyło się dalej.

W takiej atmosferze zbyt łatwo zrezygnowano z próby pozyskania Keylora Navasa. W 2010 roku Kostarykańczyk był po wstępnych rozmowach z krakowskim klubem, jednak do finalizacji transferu nie doszło – trafił do Hiszpanii, gdzie wkrótce wyrósł na czołowego bramkarza świata, a w 2014 roku podpisał kontrakt z Realem Madryt.

Polityka transferowa praktycznie nie istniała. W jednym okienku sprzedano dwóch podstawowych środkowych obrońców – Arkadiusza Głowackiego i Marcelo – co sprawiło, że formacja defensywna została całkowicie zdemontowana. Na testach pojawiali się zupełnie przypadkowi ludzie, jak na przykład Helton Pereira Pinto, któremu ewidentnie brakowało sportowej sylwetki. Gdy zespół rozpoczął przygotowania do nowego sezonu, Kasperczak miał do dyspozycji zaledwie 12 zawodników.

Nad bałaganem próbował zapanować Bogdan Basałaj, który w czerwcu, po kilkumiesięcznych negocjacjach, po raz drugi objął stanowisko prezesa. Nieomal zerwał rozmowy, gdy dowiedział się o nominacji Kasperczaka, ale ostatecznie przyjął propozycję. Zresztą nowego trenera musiał szukać niedługo później. W trzeciej rundzie kwalifikacji do Ligi Europy doszło bowiem do tragedii, która przyćmiła wszystkie wcześniejsze.

POLACY TO NIEUDACZNICY

Nim ruszył nowy sezon, Kasperczak już miał problemy z Patrykiem Małeckim. 22-letni piłkarz poczuł się urażony, gdy dowiedział się, że mecz sparingowy z Hannoverem 96 ma rozpocząć na ławce rezerwowych. Był szykowany do wejścia na boisko w drugiej połowie, ale uznał, że to poniżej jego oczekiwań i odmówił. „Coś mu się pokiełbało w głowie”, komentował Kasperczak. Małecki dostał karę finansową, ale gdy wystartowały rozgrywki ligowe, był już z powrotem w podstawowym składzie. To musiał być dla Kasperczaka sygnał, że wiele się zmieniło od czasów, gdy był trenerem Wisły po raz pierwszy. Wtedy żaden młokos by mu nie podskoczył. A jeśli tak by się stało, mógłby sobie szukać nowego klubu.

Systematycznie do drużyny dołączali kolejni piłkarze – trochę po omacku, za niemałe pieniądze ściągnięto między innymi Milana Jovanicia, Osmana Cháveza, Dragana Paljicia, Andrésa Ríosa i Gordana Bunozę – ale czasu było już za mało, by zbudować zgrany zespół. Właściciela klubu nie interesowali polscy zawodnicy.

– To nieudacznicy. Tyle razy nie potrafili awansować do Ligi Mistrzów – argumentował.

Transfer Cezarego Wilka udało się przeforsować tylko dlatego, że kosztował niedużo, 150 tysięcy euro.

W drugiej rundzie kwalifikacji do Ligi Europy mocno przebudowana drużyna poradziła sobie z amatorami z Litwy, ale kolejna przeszkoda w postaci Karabachu Agdam okazała się już nie do pokonania. W pierwszym meczu w Krakowie goście wygrali 1:0. W końcówce do remisu mógł doprowadzić Maciej Żurawski, ale nie wykorzystał rzutu karnego.

– Nie wiem, co się stało. On nigdy tak karnych nie strzelał – dziwił się po meczu Kasperczak.

Dziwił się też Żuraw. Przez sześć lat gry w Wiśle wykonywał 37 rzutów karnych, a przestrzelił tylko dwukrotnie.

Rewanż był prawdziwym koszmarem. Defensywa złożona z zawodników, którzy grali ze sobą praktycznie tylko na treningach, nie działała. To była katastrofa. Brak zgrania skutkowało nieudanymi pułapkami ofsajdowymi i brakiem asekuracji. W ciągu siedmiu minut Wisła straciła trzy bramki i losy rywalizacji były rozstrzygnięte praktycznie już przed przerwą, gdy wynik dwumeczu brzmiał 0:4.

Przez te kilkadziesiąt minut spędzonych na Stadionie Republikańskim w Baku Henryk Kasperczak postarzał się o dobre kilka lat. Z Azerbejdżanu wrócił przygarbiony. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że to koniec jego pracy. Ówczesna umowa, w przeciwieństwie do poprzedniej, nie broniła go w żaden sposób.

– Jeśli właściciel nadal będzie budować w ten sposób, to nigdy nie zbuduje tego klubu – mówił na lotnisku, gdy wiedział już, że odchodzi.

W 2004 roku pracę stracił po porażce w Tbilisi, sześć lat później – w Baku. Kaukaz to nie jest dla Kasperczaka najszczęśliwsze miejsce na ziemi. To piękny rejon, ale wakacje powinien planować zupełnie gdzie indziej.

25. NA SKRÓTY DO RAJU

To był wyjątkowo ryzykowny plan. Skok na Ligę Mistrzów. Droga na skróty, bez oglądania się na konsekwencje. Bez planu awaryjnego. Droga, która wiodła z Rygi, przez Łowecz, aż do Nikozji. Tam, na Cyprze, pociąg z napisem Liga Mistrzów odjechał o siedem minut za wcześnie. Za nieudany skok klub zapłacił wysoką cenę. Drużyny budowane na szybko są jak piwo niepasteryzowane – smakują dobrze, ale mają krótki termin przydatności.

Aby po raz kolejny stanąć przed bramami do Ligi Mistrzów, najpierw trzeba było wygrać ligę. W tym celu niedługo po rozpoczęciu sezonu 2010/11 do Krakowa ściągnięto dwóch Holendrów. Pierwszy pojawił się Stan Valckx. Szybko sprowadził swojego rodaka Roberta Maaskanta. We wtorek zadzwonił do niego po raz pierwszy, w środę rozpoczęto negocjacje, w piątek Maaskant prowadził jeszcze trening NAC Breda, ustalił skład na sobotnie spotkanie z Heerenveen, by dzień później, tuż przed meczem, poinformować o odejściu. W Holandii odebrano to jak dezercję.

W Krakowie zobaczył rozbitą drużynę. Przed sezonem defensywa została całkowicie zdemontowana – z zespołu odeszli Arkadiusz Głowacki, Marcelo, Júnior Díaz i Peter Šinglár. Jeszcze nim holenderski trener pojawił się w Krakowie, Wisła przegrała w Chorzowie z Ruchem 0:2.

– Jesteśmy bandą nieodpowiedzialnych ludzi – pieklił się Maciej Żurawski.

W debiucie Maaskant wygrał z Polonią Bytom, ale potem przez pięć kolejek nie zwyciężył ani razu.

– Zdobyć mistrzostwa wydaje się trudniejszym zadaniem niż wtedy, gdy tu przyjechałem. Bądźmy realistami: o tytuł w tym sezonie będzie bardzo trudno – mówił.

I nie była to przesada. Po dziewięciu kolejkach Wisła była siódma w tabeli, mając dziesięć punktów straty do liderującej Jagiellonii.

Atmosfera zaczęła gęstnieć. Spekulowano, że Maaskant szybko straci posadę. Ale minęły trzy tygodnie i Bogusław Cupiał promieniał ze szczęścia. W listopadzie Wisła wygrała w derbach z Cracovią, a tydzień później rozbiła Legię 4:0. Jeszcze godzinę po meczu właściciel klubu siedział w swojej łozy i świętował triumf nad ulubionym rywalem.

DOBIJANIE ŻURAWIA

Zanim Wisła na dobre przyłączyła się do walki o tytuł mistrzowski, Maaskant przyszykował nowe buty dla Macieja Żurawskiego. „Prawda jest taka, że trener przyczynił się do tego, że tak szybko zakończyłem karierę”, mówi dziś Żuraw.

Początek sezonu nie był dla niego udany. W meczu z Karabachem nie wykorzystał rzutu karnego i generalnie grał słabo. Kibice wiązali z jego powrotem wielkie nadzieje, których nie spełniał. „Nie wiem, czy presja nie była większa niż za pierwszym razem, gdy przyszedłem do Wisły”, mówi.

„Maciek nie zasługuje na gwizdy – orzekł Robert Maaskant i zrobił z niego kogoś w stylu łącznika między sobą a drużyną. – To doświadczony zawodnik, który do Wisły

został sprowadzony także po to, aby pomagać młodszemu w szatni, rozmawiać z nimi. Od teraz nie zawsze będzie wychodził w pierwszej jedenastce”.

Do końca sezonu Żurawski zagrał w 13 meczach ligowych, ale tylko dwa razy znalazł się w podstawowym składzie. Zazwyczaj pojawiał się na boisku w końcówkach spotkań. Dziś uważa, że to było nieporozumienie. „Moim zdaniem poszło to w złym kierunku. Trener powiedział mi, że jestem zmiennikiem Pawła Brożka, ale nawet po jego słabszym występie nie mogłem liczyć na grę w dłuższym wymiarze czasowym. Bywały też takie mecze, gdy wygrywaliśmy 3:0, a on w końcówce spotkania, zamiast wpuścić młodego chłopaka, wpuszczał mnie, jakby chciał mnie upokorzyć. Pokazać przed kibicami, że blokuję miejsce młodszemu”, mówi.

Wytrzymał w tym układzie do końca sezonu, po czym zakończył karierę. Wkrótce tego żałował. Po kilku miesiącach dopytywał Ryszarda Szulę, czy byłby jeszcze w stanie wrócić na ligowy poziom. „Gdy trenerem Wisły został Michał Probiez, powiedział, że bym się przydał. Od Maaskanta nigdy czegoś takiego nie usłyszałem. Częściej wypominał mi, że znów nie strzeliłem gola. Nawet wtedy, gdy wchodziłem tylko na kilka minut i dawałem drużynie trochę spokoju na boisku. Uważam, że jako psycholog w tej sytuacji się nie sprawdził. Za jego słowami nie poszły czyny”, mówi Żuraw. Szulę zapewniał go, że tak silny organizm w ciągu miesiąca czy dwóch powróciłby na ligowy poziom. Na tak odważny krok się nie zdecydował, za to w wieku 38 lat wrócił na boisko, by kopać piłkę w trzecioligowym Porońcu Poronin.

MUZUŁMANIE NIE KŁAMIA

Holenderski duet zaczął szybko działać. Minęło dziesięć dni, a Wisła zakontraktowała Nourdina Boukharego, na którego uparł się Maaskant. Od razu wstawił go do podstawowego składu, ale po meczu z Lechem (Boukhari nie zablokował Dimitrije Injaca przy bramce na 1:1) odesłał go na ławkę. W następnej kolejce Wisła grała z Cracovią.

– Jeśli wpuścisz mnie na boisko w trakcie meczu, zdobędę bramkę – obiecał Boukhari Maaskantowi.

Jak powiedział, tak zrobił. Gola na wagę zwycięstwa 1:0 strzelił w 95. minucie. Sędzia stał już na środku boiska, gotowy do zakończenia meczu, gdy Andraž Kirm świetnie dośrodkował, a Boukhari wpakował piłkę do bramki. Gdyby nie ten gol, Maaskant prawdopodobnie straciłby pracę.

– *Allahu akbar!* – krzyknął Boukhari, a potem przebiegł przez całe boisko, salutując jak żołnierz.

– Obiecał bramkę i ją strzelił. Muzułmanie nigdy nie kłamią – skomentował trener.

Boukhari był wesołkiem, podobnie jak drugi nabytek Valckxa, czyli Serge Branco, który opowiadał o znajomości z Samuelem Eto’o i wspominał, jak podczas gry w Rosji trener przystawił mu pistolet do głowy. Boukhari żartował zawsze i wszędzie. Podczas kompletowania rzeczy w ramach akcji Szlachetna Paczka chwycił ogromną kiełbasę i podszedł do upatrzonej dziewczyny:

– *This is for you, from me.*

Obaj wpadli do Krakowa tylko na chwilę.

Trudno było oprzeć się wrażeniu, że Holendrzy, ściągając tych zawodników do Polski, po prostu podali im rękę w trudnej sytuacji. Z drugiej strony sezon był już w pełni, okienko transferowe zamknięte i trudno było znaleźć wartościowego zawodnika.

Od meczu z Cracovią rozpoczęła się zwycięska passa. Wiślacy wygrali cztery pozostałe mecze kończące rundę jesienną. Gdy nadeszła zima, Valckx miał pokazać, na co go stać w kwestii transferów.

NOTES VALCKXA

Patrzono na niego z podejrzliwością. Wcześniej przez cztery lata z sukcesami pracował jako dyrektor sportowy w PSV Eindhoven, ale – odchodził w atmosferze skandalu, oskarżony o pobieranie prowizji przy dokonywaniu transferów. Niczego mu nie udowodniono, ale jak w pewnym dowcipie – niesmak pozostał i Valckx pracy w Holandii już nie otrzymał. Nim pojawił się w Krakowie, pracował w Chinach. Po odejściu z Wisły, do momentu ukazania się tej książki, nadal nie znalazł zatrudnienia w żadnym klubie.

Nowością, którą wprowadził do Wisły, była szybkość działania. Na trzy tygodnie przed startem rundy wiosennej kadra zespołu była gotowa. Żadnych ofert *last minute*, żadnych testów mniej lub bardziej przypadkowych piłkarzy. Valckx po prostu typował kandydata, negocjował i przywoził do Krakowa. W ciągu kilkunastu dni sprowadzono pięciu zawodników, każdy z nich z ciekawym CV. „W tym składzie możemy wygrać ligę, ale na awans do Ligi Mistrzów to jeszcze za mało”, podsumował Maaskant.

Gwiazdą ligi z marszu stał się Maor Melikson. „To najlepszy obcokrajowiec, jaki kiedykolwiek grał w naszej lidze”, podniecał się oszczędny zazwyczaj w zachwytach Wojciech Kowalczyk. Ligowi rywale szybko zrozumieli, że jedyny sposób na zatrzymanie dynamicznego Izraelczyka to faul – im brutalniejszy, tym lepiej. W ciągu dwóch lat jego gry w Wiśle po sfaulowaniu go wyleciało z boiska aż siedmiu piłkarzy.

Trudno było nadążyć za nim na boisku i poza nim. Zaraz po transferze do Wisły wystąpił o polskie obywatelstwo. Jego matka była Polką, więc wniosek został rozpatrzony natychmiastowo. Grał świetnie, gdy jednak wciąż i wciąż był pomijany przy powołaniach do reprezentacji Izraela, postanowił grać dla Polski, o czym podczas potajemnego spotkania poinformował prezesa PZPN-u Grzegorza Lato. Deklaracja miała zostać utrzymana w tajemnicy, jednak prezes szybko się wygadał.

Informacja wywołała burzę w polskich, a przede wszystkim w izraelskich mediach. Pojawiły się pogróżki i oskarżenia o zdradę. Podczas specjalnie zwołanej konferencji prasowej Melikson miał potwierdzić swoją decyzję, ale nie był już sobą. Rano, na kilka godzin przed planowanym spotkaniem z dziennikarzami, był blady i trząśł się jak galareta. Spękał – zainteresowanie przerosło jego oczekiwania i po prostu nie wytrzymał ciśnienia. Zamiast niego na konferencji pojawił się Robert Maaskant, próbował wytłumaczyć piłkarza, że wcale nie podjął decyzji o grze dla Polski. Melikson sam wywołał burzę, a potem pozował na zaszczutą zwierzynę. Szybko zaczął marzyć o wyjeździe z Krakowa. Kazimierz Moskał ocenia: „Maor był trudny do rozgryzienia. Jego przyście dało drużynie bardzo silny impuls, potem jednak byłem trochę rozczarowany jego postawą”.

Od pierwszego meczu mocnym punktem był bramkarz Sergei Pareiko. Cwetan Genkow rozkręcał się powoli, ale gdy zaczął strzelać, to strzelał w pięciu meczach z rzędu.

Zdecydowanie więcej spodziewano się po doświadczonym Kewie Jaliensie, rozczarowywał też Michał Siwakow. Białorusina zapamiętano tylko z niesamowitej bramki zdobytej z połowy boiska w meczu z Lechią. Co ciekawe, po zakończeniu jednego z treningów przed meczem w Gdańsku piłkarze mogli zejść z boiska, dopiero gdy trafili do bramki z podobnej odległości. Siwakow i Genkow wciąż próbowali, kiedy większość kolegów była już w szatni. Po sezonie nawet nie podjęto rozmów na temat wykupienia Białorusina z Cagliari.

Po rundzie jesiennej Wisła miała trzy punkty straty do liderującej Jagiellonii, która jednak szybko wypisała się z walki o tytuł. Drużyna z Białegostoku wygrała dopiero w siódmej wiosennej kolejce, gdy Wisła była już daleko z przodu. Krakowianom brakowało poważnej konkurencji. W kwietniu przegrali dwa spotkania z rzędu, a i tak nikt nie strącił ich z fotela lidera. Potem wygrali trzy mecze jeden za drugim i na trzy kolejki przed końcem sezonu, pokonując Cracovię 1:0, zakleпали 13. tytuł w historii klubu.

Latem znów głębiej sięgnięto do kieszeni. Do Krakowa zawitali kolejni zawodnicy z interesującą przeszłością – Ivica Iliev, Marko Jovanović, Dudu Biton – ale coraz częściej pojawiały się pytania. Już w marcu Antoni Piechniczek wypalił w jednym z wywiadów, że Valckx i Maaskant pobierają prowizję za transfery do Wisły. (Panowie spotkali się w sądzie). Dlaczego do Krakowa trafił podstarzały Michael Lamey, a nie obiecujący reprezentant Czech Theodor Gebre Selassie (rok później zamienił Slovana Liberec na Werder Brama)?

Wiele pytań pozostanie bez odpowiedzi, bo kandydatów wybierał holenderski duet. Skauci pracowali, ale wszystkie nazwiska i tak pochodziły z notatnika Valckxa. To on odpowiadał za wstępną selekcję, po której przedstawiał kandydatów do gry w klubie. Trudno się dziwić wątpliwościom – w ciągu dwóch okienek transferowych ściągnięto łącznie 11 zawodników. Transfery pochłonęły 17 milionów złotych (z czego 4,7 miliona wypłacono agentom piłkarskim). Każdy z pozyskanych piłkarzy dużo zarabiał, ale nie każdy grał na miarę oczekiwań, a większość z nich była u schyłku kariery. Nie było szans, by w przyszłości na nich zarobić.

MISSION IMPOSSIBLE

Gdy z trzeszczących głośników na stadionie Skonto Ryga popłynął hymn Ligi Mistrzów, a piłkarze wybiegli na murawę obficie obsypaną koniczyną, niektórzy wietrzyli katastrofę. Pamiętano wpadki w Tbilisi, Oslo, Tallinnie i Baku. I choć w dwumeczu ze Skonto obyło się bez fajerwerków, to Wisła pewnie awansowała do trzeciej rundy kwalifikacji.

Tam czekał na nią Litex Łowecz – drużyna sponsorowana przez Griszę Ganczewa, byłego zapaśnika, jednego z najbogatszych bułgarskich biznesmenów. Miał sporo na sumieniu – jego nazwisko wielokrotnie przewija się w raporcie WikiLeaks dotyczącym korupcji w bułgarskim futbolu. W 2012 roku został aresztowany pod zarzutami przestępstw podatkowych i groźby zamordowania szefa urzędu podatkowego, ale i wtedy się wybronił. Myślał, że zarobi w Lidze Mistrzów, ale na drodze stanął mu Maor Melikson – w dwumeczu z Bułgarami zdobył trzy bramki.

W decydującej fazie kwalifikacji Wisła po raz pierwszy mogła skorzystać z dobrodziejstw reformy Michela Platinięgo. Ostatnią przeszkodą nie była drużyna pokroju

Barcelony czy Realu Madryt, a cypryjski APOEL Nikozja. Jeszcze kilka lat wcześniej Cypryjczycy nie byłiby dla wiślaków godnym rywalem, jednak w 2011 roku okazali się zbyt mocni. Dla Bogusława Cupiała było to rozczarowanie, które przelało czarę goryczy. Na stół wyłożył spore pieniądze, droga do fazy grupowej miała być łatwiejsza niż kiedykolwiek wcześniej, a i tak się nie udało.

– Do awansu zabrakło nam trzech minut – lubi przypominać Robert Maaskant, bo do 87. minuty meczu rewanżowego utrzymywał się wynik promujący krakowian. Ale w Nikozji Wisła nie istniała. Gospodarze oddali 22 strzały, goście 8. Podania celne? 504 do 214! Rzuty różne? 11 do 3. Fatalny błąd popełnił Sergei Pareiko. Gdy powinien utrzymywać koncentrację na najwyższym poziomie – sam wepchnął sobie piłkę do bramki. Po голу Cezarego Wilka wynik promował Wisłę, ale potem, przez 20 minut, Cypryjczycy nie odstępili od jej bramki ani na chwilę. W końcu oblężenie zakończyło się golem, a krakowianom pozostała gra w Lidze Europy.

„Od tego momentu wokół klubu zaczęły dziać się dziwne rzeczy – mówi Valckx. – Dookoła właściciela natychmiast pojawili się ludzie, którzy domagali się zwolnienia Maaskanta. Miałem wrażenie, że niektórzy tylko czekali na porażkę, by móc zacząć działać. Potem czyhano tylko na pretekst i znaleziono go w postaci porażki z Cracovią. Próbowałem przekonać właściciela, by nie zwalniać Roberta, by poczekać chociaż do końca rundy jesiennej, ale było to *mission impossible*”.

Przebrane kwalifikacje oznaczały awans do fazy grupowej Ligi Europy. W tym samym sezonie to samo udało się Legii, ale sposób, w jaki to osiągnięto – warszawianie po triumfalnym zwycięstwie nad Spartakiem w Moskwie, a wiślaczy po przegranej na Cyprze – sprawił, że to, co w stolicy odebrano jako ogromny sukces, pod Wawelem przyjęto niemal jak porażkę.

SZEŚĆ LITRÓW WÓDKI

Występy w fazie grupowej zaczęły się fatalnie, bo od porażki 1:3 na własnym stadionie z Odense, a więc z drużyną, której obawiano się najmniej. Gdy w następnej kolejce Wisła została rozbita 1:4 przez Twente, wydawało się, że krakowianie będą tylko dostarczycielami punktów. A jednak – potem wygrali z Fulham w Krakowie i z Odense na wyjeździe. Wciąż jednak przed ostatnią kolejką do awansu potrzebowali cudu. I cud ten się wydarzył.

Wisła swoje zadanie wykonała – niemal przez całe spotkanie prowadziła z Twente: najpierw 1:0, potem 2:1. Gorsze wieści napływały z Londynu. Do przerwy Fulham prowadziło z Odense 2:0, a tylko remis lub porażka Anglików dawała Wiśle awans. Gdy mecz w Krakowie dobiegł już końca, piłkarze pozostali na murawie w oczekiwaniu na końcowy wynik z Londynu. Tam Fulham wciąż prowadziło, lecz już tylko jedną bramką, trwał doliczony czas gry.

Najpierw pojawił się lekki szmer, jakieś poruszenie na trybunach, niedowierzanie, dopytywanie. Dopiero kilka sekund później, gdy informację o wyrównującej bramce dla Odense potwierdził stadionowy spiker, oczekiwanie zamieniło się w eksplozję radości. Podwójną, bo dodatkową energię wywołała kolejna informacja, o zakończeniu meczu w Londynie.

Piłkarze tańczyli z radości na murawie, a klub wysłał do Odense sześciolitrową butelkę wódki. To było podziękowanie za walkę do końca, choć Duńczycy nie mieli już szans na awans.

Trenerem był już wtedy Kazimierz Moskał. Maaskant stracił pracę po przegranych derbach z Cracovią. Bogusława Cupiała dodatkowo rozsierdziła pewność siebie Holendra.

– Co dalej? W Krakowie czeka mnie świetlana przyszłość, a zaraz podpiszę nowy trzyletni kontrakt – mówił Maaskant w trakcie konferencji pomeczowej. – Wszystko jest pod kontrolą – powtarzał, doprowadzając Cupiała do białej gorączki.

Gdyby lepiej znał właściciela klubu, wiedziałby, że to może być jego koniec. Drużyna od początku sezonu prezentowała się siermiężnie. Zresztą – nawet sezon wstecz, w drodze po tytuł mistrzowski nie porywała swoją grą. Zwycięstwa brały się z błysku poszczególnych piłkarzy, najczęściej Meliksona. W nowym sezonie, gdy drużynie nie szło, sprawy w swoje ręce brał Dudu Biton. Izraelski napastnik imponował skutecznością. W pierwszych siedmiu kolejkach ligowych Wisła strzeliła sześć bramek – wszystkie jego autorstwa. W Lidze Europy gole strzelał Twente, Fulham i Odense. Drużyna była od niego całkowicie uzależniona – gdyby nie jego trafienia, po dziewiątej kolejce ekstraklasy zamiast 15 punktów miałyby ich raptem 5. Nie wygrałaby z Fulham i Odense.

Od początku wiadomo było, że po sezonie Wisła nie będzie w stanie go zatrzymać. W umowie wypożyczenia z Charleroi zapisano, że transfer definitywny kosztować będzie 1,6 miliona euro. „W sytuacji, w jakiej jest Wisła, pozyskuje się głównie piłkarzy darmowych lub na zasadzie wypożyczeń. To niemożliwe, aby w przyszłości na nich zarobić, bo zazwyczaj podpisuje się krótkie umowy. To rodzaj zakłętego kręgu”, tłumaczy Valckx. To był moment, gdy zaczęto bardzo dokładnie liczyć wydawane pieniądze. Do dziś w Krakowie panuje przekonanie, że Bogdan Basałaj doprowadził wówczas klub do ruiny.

DMUCHANĄ KACZKĄ PRZEZ OCEAN

Przejął stery okrętu, który od lat nabierał wody. I choć doskonale wiedział, że łajba może pójść na dno, dał się namówić na rejs do ziemi obiecanej. To tak, jakby dmuchaną kaczką próbować przepłynąć ocean. Gdy jednak po długim rejsie na horyzoncie wciąż nie było widać lądu, a w ładowni było coraz więcej wody, wybuchła panika i już nikt nie potrafił nad tym zapanować.

Basałaj rządził po królewsku. Na dzień dobry pracownicy klubu dostali podwyżki, a trzyosobowy zarząd z nim na czele zarabiał rocznie 800 tysięcy złotych, czyli więcej niż kiedykolwiek wcześniej. I choć osiągnięto rekordowe przychody (55 milionów złotych), to równie rekordowe wydatki (blisko 65 milionów) zaczęły wywoływać zaniepokojenie. Wkrótce Basałaj wiedział, że już po nim, bo Cupiał przestał do niego dzwonić. Zaraz potem za jego plecami zatrudniony został Jacek Bednarz. Odchodząc, był wrakiem człowieka. Przypomniano mu, że jako prezes spółki akcyjnej odpowiada własnym majątkiem za jej zobowiązania. W marcu 2012 roku został poproszony o złożenie rezygnacji.

Kiedy próba awansu do fazy grupowej Ligi Mistrzów zakończyła się fiaskiem, postanowiono ciąć koszty bez oglądania się na konsekwencje. Drużyna zbudowana przez Stana Valckxa nagle w oczach władz stała się grupą osób, których trzeba się jak

najszybciej pozbyć. W jakikolwiek sposób. Tym razem Jacek Bednarz pojawił się w klubie nie jako budowniczy, a jako likwidator kosztów – teraz liczone nie na jego wiedzę piłkarską, a na znajomość prawa.

Koszty cięto równie błyskawicznie, co momentami nieudolnie. Udało się sprzedać tylko Maora Meliksona, resztę oddawano za darmo, nie przedłużano kontraktów, aby już, natychmiast ograniczyć wydatki, liczone się nawet z możliwością rozwiązania kontraktu z winy klubu, co najprawdopodobniej (sprawy jeszcze się toczą) kosztować będzie kilka milionów złotych kar i odszkodowań. Gordana Bunozę, za którego w 2010 roku zapłacono 1,6 miliona złotych, w 2014 oddano za darmo. Jeszcze gorzej wypada przykład Cwetana Genkova. W 2011 roku kosztował Wisłę 2 miliony złotych, a dwa lata później odszedł za darmo, dodatkowo domagając się około 1,5 miliona złotych odszkodowania, które najprawdopodobniej klub będzie musiał mu wypłacić. W podobny sposób z Wisłą rozstał się Milan Jovanić.

Zbiegło się to w czasie z kłopotami Tele-Foniki, co sprawiło, że klub po raz pierwszy utracił płynność finansową. Zaczęły się pojawiać poślizgi w wypłatach, a lista wierzycieli z dnia na dzień stawała się coraz dłuższa.

Gdy Moskał zastąpił Maaskanta, tchnął w drużynę nieco życia. Poluzował piłkarzom smycze, gra zaczęła być ładniejsza dla oka, wyniki w lidze były w kratkę, za to po raz trzeci w historii Wisła zagrała na wiosnę w europejskich pucharach. W kluczowym momencie Moskał stracił jednak wsparcie klubu. Tuż przed dwumeczem ze Standardem Liège po raz pierwszy zaczęły się pojawiać poślizgi w wypłatach dla piłkarzy. Nie wpłynęło to dobrze na morale drużyny. Dodatkowo dwumecz z Belgami został zepsuty przez pewnego Argentyńczyka. Gervasio Núñez grał regularnie, ale niewiele można było powiedzieć o jego atutach.

W spotkaniach z Belgami zaprezentował za to pełną paletę swoich minusów. W pierwszym meczu (1:1) zagrał piłkę wprost pod nogi rywala. Michał Czekaj musiał się ratować faulem. Efekt? Czerwona kartka w 27. minucie i rzut karny (zresztą wykorzystany). W rewanżu (0:0) Núñez już osobiście osłabił zespół – łapiąc dwie żółte kartki. Gdy zsumować te kary – Wisła przez 91 minut dwumeczu grała w osłabieniu, a jednak spotkania były wyrównane.

Núñez nie pozwalał o sobie zapomnieć. Gdy Wisła walczyła z Ruchem Chorzów o awans do finału Pucharu Polski, wówczas już jedyną możliwą drogę do europejskich pucharów, to właśnie on nie wykorzystał decydującego rzutu karnego. Na długo przed zakończeniem sezonu wiadomo było, że nie zostanie wykupiony i wkrótce wrócił do Argentyny.

Kiedy sędzia meczu ze Standardem zagwizdał po raz ostatni, między piłkarzami wybuchła dzika awantura. Kibice z Krakowa zapamiętali rzucali petardy, a policja rozpyliła gaz łzawiący. W takim oto stylu Wisła zegnała się z europejską piłką i do dziś do niej nie wróciła. Trudno się dziwić, bo po raz pierwszy wynik sportowy zszedł na drugi plan. Na pierwszym miejscu był wynik finansowy. Nie piękne akcje, a tabelki, nie premie za sukcesy, a cięcie kosztów. W takiej atmosferze drużyna zakończyła sezon (już pod wodzą Michała Proberza) na siódmym miejscu, rok później (z Tomaszem Kulawikiem na

stołku trenera) powtórzyła ten wynik. Z pewnością nie o takie siódemeczki chodziło Bogusławowi Cupiałowi.

Z KULĄ U NOGI

Z trenerów wychowanych przez Wisłę w ostatnich latach to właśnie Kulawik dostał najpoważniejszą szansę – taką, której do tej pory nie doczekał ani Adam Nawałka, ani Kazimierz Moskal. Pech, że padło na najmniej utalentowanego. Zadanie całkowicie go przerosło, nie radził sobie nawet jako psycholog, mimo że ta dziedzina była rzekomo jego konikiem. Gdy pisał pracę konieczną do otrzymania licencji UEFA Pro, jej tematem była psychologia sportu. Niestety nie potrafił poradzić sobie z czekającymi nań problemami. Przed meczem z Lechem w Poznaniu uznano, że nie powinien stanąć przed kamerami Canal+. Zamiast niego do reportera wysłano jego asystenta, czyli Macieja Musiała.

Na boisku Kulawik dał się poznać jako lider i świetny rozgrywający. Był inteligentnym, ambitnym człowiekiem, absolwentem AWF-u. Wydawał się idealnym materiałem na trenera. Niestety, życie nie zawsze jest takie proste.

Ratunkiem okazało się zatrudnienie Franciszka Smudy, który szybko zdiagnozował problemy. Z niebytu wyciągnął Semira Štilicia, do Krakowa, by znów ku chwale Wisły strzelać gole, wrócił Paweł Brożek. W ten sposób, w obliczu problemów finansowych w sezonie 2013/14 udało się wskoczyć na piąte miejsce. Smuda stracił pracę w marcu 2015 roku. Scenariusz powtórzył się po raz kolejny – kilka słabszych meczów na starcie rundy i Cupiał traci do swojego zaufanego trenera cierpliwość. Smudę zastąpił Kazimierz Moskal, licząc, że tym razem będzie to szansa z prawdziwego zdarzenia.

26. KTÓRĘDY DO LIGI MISTRZÓW?

W 2002 roku Henryk Kasperczak z Bogdanem Basałajem przygotowali projekt bazy treningowej znajdującej się w sąsiedztwie stadionu. Miał wieść do niej szklany tunel. Niczym szklane domy, okazał się nigdy niezrealizowaną obietnicą. Poprowadził donikąd, a już na pewno nie tam, dokąd chciano dojść.

Dzięki Bogusławowi Cupiałowi Wisła jest najbardziej utytułowaną drużyną przełomu XX i XXI wieku. Osiem tytułów mistrzowskich, dwa Puchary Polski, jeden bardzo dobry sezon w europejskich pucharach, dwa inne całkiem przyzwoite. 40 reprezentantów Polski, bite rekordy wszech czasów polskiej ligi, wieloletnia dominacja na rynku transferowym, gablota pełna pucharów, siedem koron dla królów strzelców. Oto pobieżny dorobek Wisły od 1998 roku. Dużo? Dużo, bo żaden inny klub w tym czasie nawet nie zbliżył się do tego wyniku. Dużo, a jednak Bogusław Cupiał wciąż ma poczucie niedosytu. Zabrakło awansu do wyśniewanej Ligi Mistrzów, a dziś klub znajduje się w bardzo trudnym położeniu finansowym.

PROCES ZNISZCZENIA

Rzadko myślano o przyszłości. O młodzież w Wiśle nie dbano praktycznie nigdy. Nawet wtedy, gdy ściągano do Krakowa najbardziej utalentowanych piłkarzy z całej Polski, te dzieciaki nie miały potem gdzie trenować. „Tyle lat grałem w tej Wiśle, a gdy potem wreszcie miałem odejść do Atromitosu, zastanawiałem się, co to, kurczę, za klub. Dopiero gdy tam pojechałem i zobaczyłem, że ten mały klubik ma dwa ośrodki treningowe w centrum Aten, zrozumiałem, jak duża dzieli nas przepaść”, mówi Marcin Baszczyński, a Marek Konieczny, który przez pewien czas pełnił rolę trenera młodzieży, wspomina: „Treningi prowadziłem przy parkingu, między drzewami albo na jakimś małym skrawku ziemi”. „Po sezonie letnim, gdy z basenu spuszczano wodę, dzieci trenowały na jego dnie. Kopały piłę, kafelki odpadały, w ten sposób kontynuowano proces zniszczenia”, mówi Grzegorz Mielcarski.

W 2002 roku, dzięki wymianie terenów z Cracovią, Wisła zyskała dodatkowe boisko treningowe. Ale do tej pory nie przeszło gruntownej renowacji – jest nierówne, w wielu miejscach pozbawione trawy. Niejeden staw skokowy odmówił tam posłuszeństwa. „Nie mogę się nadziwić, dlaczego prezes Cupiał, dlaczego Wisła nie odnowiła tego boiska, skoro to jej własność”, kręci głową Mielcarski. Dopiero po sezonie 2002/03 udało się wyremontować boisko boczne. Baza treningowa z prawdziwego zdarzenia powstała w 2014 roku, dzięki współpracy z miastem Myślenice. Odwlekano to ponad 16 lat.

Planów było całe mnóstwo. W początkowym okresie rolę budowniczego klubu miał sprawować Wojciech Łazarek, ale już wtedy w Wiśle panowało przekonanie, że w pewnych kwestiach niewiele można zrobić. „Śmialiśmy się z Baryły, bo w gabinecie miał pełno próbek najprzeróżniejszych rodzajów sztucznej trawy. Prawdziwe sterty.

Ledwie było go zza nich widać. Wszyscy doskonale wiedzieliśmy, że żadna baza treningowa i tak nie powstanie”, mówi Andrzej Iwan.

Tak było z każdym, kto chciał uczynić z Wisły klub na zdrowych podstawach – z Henrykiem Kaspercakiem, z Grzegorzem Mielcarskim, który chciał nawiązać współpracę z FC Porto, a musiał się skupiać na wewnętrznych wojenkach, a także z ostatnim rozdaniem, które dawało jeszcze nadzieję na prawidłowy, zdrowy rozwój klubu – wtedy, gdy w Wiśle pojawili się Maciej Skorża i Jacek Bednarz. Ale i oni musieli się skupić tylko i wyłącznie na pierwszej drużynie, a potem martwili się głównie tym, by nie stracić pracy.

Nowa infrastruktura powstawała dopiero wtedy, gdy była wymagana przez zapisy licencyjne – tak było z oświetleniem, z zadaszoną trybuną czy z podgrzewaną murawą.

FILOZOFIA KLUBU

Gdy piłkarze mówią, że zmiany trenerów i prezesów nie wpływają na ich grę, kłamią. „Wraca Kapka, odchodzi Kapka, prezes jeden, zaraz drugi, dyrektor sportowy jest, za chwilę nie ma, potem inny. Młyn. Odczuwaliśmy to w szatni”, mówi Marcin Baszczyński.

Niemal każda decyzja o zwolnieniu trenera była błędna. Albo inaczej – błędna była każda decyzja o zatrudnieniu trenera, który już na wstępie nie mógł liczyć ani na zaufanie, ani na czas. Przychodził nowy człowiek, siadał na ławce, dostawał kilka tygodni, kilka miesięcy, a gdy drużyna przegrała mecz czy dwa, uznawano, że jego praca nie przynosi efektów i żegnał się z posadą. Tego typu zmiany mogą przynieść skutek tylko w krótkim wymiarze czasu, zadziała efekt nowej miotły, ale w dłuższej perspektywie jest to krok wstecz. Traci się czas na prowizorkę, gdy można byłoby wykopać solidne fundamenty.

Pięciu trenerów straciło pracę, choć zespół był na pierwszym miejscu w tabeli. Dwóch innych zmieniono zaraz po zaklepaniu tytułu mistrzowskiego.

Rotacja na pozycji trenera to przypadek nie tylko Wisły, dlatego w wielu klubach za długofalową politykę odpowiada osoba na innym stanowisku, najczęściej dyrektor sportowy. Niestety właściciel krakowskiego klubu nigdy nie znalazł osoby, którą byłby w stanie obdarzyć czasem, pełnym zaufaniem i określonym wsparciem finansowym. Mowa o kimś, kto byłby w stanie nadać klubowi długofalową politykę sportową. O wizjonerze, który mógłby spokojnie zająć się budową klubu od podstaw, nie obawiając się, że w razie kilku porażek pierwszej drużyny straci pracę, nie skupiając się na tym, by odgadnąć, o czym myśli właściciel klubu.

„Nie wiem, czemu nie ma zaufania do ludzi. Co chwilę kogoś zwalnia, podejmuje głupie decyzje. W klubie nikt nie jest decyzyjny, bo każdy boi się właściciela”, mówi o Cupiale Andrzej Iwan.

Liczyb niekiedy kłamią, ale nie tym razem. Za czasów Bogusława Cupiała Wisła zdobyła osiem mistrzostw Polski. Po sześć z nich sięgnęła w okresach małej stabilizacji – najpierw w latach 1998–1999, gdy trenerem przez 14 miesięcy był Franciszek Smuda, potem w latach 2002–2005, kiedy za sterami przez dwa i pół roku zasiadał Henryk Kaspercak, a w rundzie wiosennej 2005 roku jego dzieło kontynuował Verner Lička, wreszcie za czasów Macieja Skorży i Jacka Bednarza (2007–2009).

Albo inaczej. Każdy trener, który pracował w Wiśle dłużej niż rok (Smuda za pierwszej kadencji, Kasperczak, Skorża i Maaskant), odwdzięczał się tytułem mistrzowskim. Jedynym wyjątkiem jest Smuda w latach 2013–2015, ale wtedy już wynik sportowy był w klubie na drugim planie.

Na przeciwnym biegunie jest sezon 2006/07. W trakcie rozgrywek trenera zmieniano czterokrotnie. Dyrektorem sportowym przez kilka dni był Marek Kusto, jednak nawet nie zdążył podpisać umowy, potem posadę tę objął Adam Nawałka, by następnie w trakcie sezonu namaścić samego siebie na trenera. W trakcie rozgrywek dokonano też zmiany na stanowisku prezesa. Ciągłości nie było na żadnej linii. Efektem było ósme miejsce w tabeli – najgorsze, odkąd klub trafił pod skrzydła Tele-Foniki – choć przecież drużyna miała potencjał na walkę o tytuł mistrzowski.

Rzadko zdarzało się, by nowy trener kontynuował pracę swojego poprzednika. Zazwyczaj wywracał wszystko do góry nogami. „Powinno ich się dobierać w ten sposób, by pasowali do filozofii klubu”, mówi Stan Valckx. Do tego jednak potrzebny jest ktoś odpowiedzialny za długofalową politykę sportową, a takiego człowieka brakowało. Tym sposobem przez lata zamykało się to błędne koło.

ŁAD KORPORACYJNY?

Brak długofalowego spojrzenia na klub owocował mało przemyślaną polityką transferową. „W początkowych latach Wisła zdominowała ligę, bo po prostu zalała ją pieniędzmi. Na podbój Europy brakło profesjonalizmu”, ocenia Zbigniew Koźmiński.

W 1998 roku, po pierwszych transferach, kadra urosła do 40 zawodników, a już rok później brakowało rezerwowych. Gdy w roku 2003 odeszło trzech kluczowych piłkarzy, nikt nie miał pomysłu, kim skutecznie ich zastąpić. W trakcie sezonu 2004/05 Bogusław Cupiał, niezadowolony z działań Henryka Kasperczaka, osobiście zabrał się do transferów. W 2006 roku znów – kadra była przerośnięta, a sukcesów żadnych. Potem, po trzech latach względnej stabilizacji, u progu sezonu 2010/11 Kasperczak miał do dyspozycji ledwie 12 piłkarzy, a gdy transferami zajął się Stan Valckx, drużyna znów rozrosła się do niebotycznych rozmiarów. Po tym okresie Wisła popadła w tarapaty finansowe i skład ponownie został okrojony do minimum. Sinusoida.

Działano zrywami. Przesypiano dwa–trzy okienka transferowe z rządu, potem nagle pozyskiwano po pięciu–sześciu piłkarzy naraz. Raz stawiano na Polaków, innym razem na obcokrajowców. Równie dobrze można by zaplanować, że zimą ściągamy blondynów, a latem brunetów. Albo odwrotnie.

Przez lata nie udało się zbudować solidnych podstaw. Gdy drużyna Henryka Kasperczaka podbijała Europę, w klubie były trzy komputery. W dziale marketingu jeden, na dwóch pracowników. Gdy jeden korzystał z komputera, drugi stał nad nim i przebierając nogami, czekał, aż skończy. Prezesa byli marionetkami, niektórzy trenerzy (Kasperczak, początkowo Lenczyk, Smuda) kontaktowali się bezpośrednio z właścicielem, pomijając zarząd.

„W chwili zwątpienia szedłem do Huberta Praskiego i mówiłem mu: »Hubert, w Wiśle nie ma ładu korporacyjnego«. A on pytał: »Czego?« i wybuchął serdecznym śmiechem”, mówi Janusz Basałaj.

Cupiał chciał decydować niemal o wszystkim. „Był temat wypożyczenia jakiegoś juniora [Adriana Mrowca – przyp. aut.] do Proszowianki. Chciałem już to klepnąć, podpisać umowę, gdy Zdzisiek Kapka powiedział mi, że muszę mieć akceptację bossa. Byłem w szoku. Przecież chodziło o jakiegoś posranego juniora, który nawet nie miał szans na grę w pierwszym zespole. Okazało się, że bez zgody właściciela nie uda się tego zrobić”, wspomina Basałaj.

Zbigniew Koźmiński pamięta, jak negocjując transfer Macieja Żurawskiego, musiał co rusz... biegać do toalety: „W trakcie rozmów każdą zmianę warunków musiałem konsultować z Cupiałem. Nie chciałem wyjść na niepoważnego w oczach ludzi z Lecha, więc raz na jakiś czas wychodziłem, że niby do toalety. Dzwoniłem do prezesa, a gdy wracałem do pokoju, demonstracyjnie dopinałem rozporek”.

O kluczowych decyzjach zbyt często decydowały sympatie właściciela klubu i zdanie piłkarzy. Cupiał przez kilka miesięcy próbował ściągnąć do Krakowa Oresta Lenczyka, a gdy stracił do niego cierpliwość, zwolnił go, choć drużyna była na pierwszym miejscu w tabeli. Vernera Lički nie uratował tytuł mistrzowski, Dan Petrescu musiał spakować walizki, choć w lidze nie przegrał w sezonie ani jednego meczu, zaufaniem nigdy nie zostali obdarzeni Adam Nawalka i Kazimierz Moskal.

Wiele decyzji, szczególnie w początkowych latach, było podejmowanych pod wpływem impulsu. „Po porażkach próbowałem go uspokajać. Tłumaczyłem, że to tylko sport, nic nie jest pewne. Odpowiadał: »Ty mi tu nie p..., to są moje pieniądze«”, mówi Ludwik Miętta-Mikołajewicz. Potem pojawiał się żal, stąd tak wiele osób otrzymywało drugą szansę.

Z FINANSOWĄ PĘTLĄ NA SZYI

Tak, to były jego pieniądze. Wisła była od nich uzależniona od początku i tak zostało do końca. Gdy w 1997 roku Bogusław Cupiał wraz ze współnikami przejmował klub, długi sekcji wynosiły 700 tysięcy złotych. W kolejnym roku Wisła przyniosła stratę w wysokości... 13,3 miliona.

Zgodnie z kodeksem spółek handlowych jej dalsza działalność stanęła pod znakiem zapytania. Już wtedy, w 1998 roku, biegły rewident badający sytuację finansową spółki wezwał zarząd do zwołania walnego zgromadzenia, celem powzięcia uchwały co do dalszego jej istnienia. W pogoni za sukcesami w ciągu jednego roku klub został doprowadzony na skraj bankructwa. Wisła jeszcze nigdy w swojej historii nie była w tak ogromnym stopniu uzależniona od jednego człowieka.

Przyjrzyjmy się liczbom. Niestety, będą to głównie liczby ujemne. Wisła pod rządami Tele-Foniki od początku przynosiła gigantyczne straty. W pierwszym roku działalności – wspomniane 13,3 miliona. W drugim – 17,2. W trzecim roku strata wyniosła aż 26,3 miliona.

Corocznie zarząd klubu był zmuszony do zwoływania walnego zgromadzenia, na którym musiał podjąć uchwałę dotyczącą dalszego istnienia spółki. Co roku należało podać sposób, w jaki klub dążyć będzie do pokrycia strat. Zazwyczaj kończyło się na uchwale, która mówiła, że strata zostanie pokryta z dochodów w następnych latach działalności. Prognozowano ogromne dochody z awansu do Ligi Mistrzów i z transferów zawodników.

Problem polegał na tym, że taka uchwała powstawała praktycznie co 12 miesięcy, a kolejny rok znów przynosił stratę.

Skoro strata, to i długi, które narastały z każdym kolejnym miesiącem. Na koniec 2000 roku, a więc po raptem dwóch latach działalności, zadłużenie wynosiło 80 milionów. Głównie wobec Tele-Foniki. Wisła mogła funkcjonować tylko dlatego, że Tele-Fonika z roku na rok odraczała termin spłaty kumulującego się długu.

Na futbolu trudno zarobić, Wisła nie jest tutaj żadnym wyjątkiem. Za sukces można uznać wyjście na zero. Przez lata Bogusław Cupiał pompował w klub pieniądze w najróżniejszy sposób. Dużą część stanowiło wynagrodzenie w zamian za usługi marketingowe – reklamy na koszulkach czy bandach reklamowych. Kwota ta wahała się od około 5 do 8,5 miliona złotych rocznie.

Spółka dwukrotnie (w roku 2005 i 2006) została dokapitalizowana kwotą pięciu milionów złotych.

Innym poważnym źródłem finansowania klubu były pożyczki. Na koniec 2013 roku Wisła była winna Tele-Fonice 79 milionów złotych. Kilkakrotnie udało się część tych zobowiązań spłacić, ale potem zadłużenie znów szło w górę. Aż 40 milionów z tej puli to odsetki.

Gdyby Tele-Fonika, z jakiegokolwiek powodu, zażądała spłaty długu, klub nie byłby w stanie uregulować należności nawet po wyprzedaniu całego majątku.

Łącznie, wobec najróżniejszych instytucji, na koniec 2013 roku Wisła miała 124,9 miliona długów. Wskaźnik płynności finansowej I wynosił 0,08, przy czym przyjmuje się, że nie powinien on spadać poniżej 1.

Tylko czterokrotnie udało się zamknąć rok na plusie. Po raz pierwszy w 2002 roku, gdy ze względu na dobrą grę w Pucharze UEFA (tylko za transmisje meczów z Schalke otrzymano około miliona euro) klub zarobił między innymi 11,7 miliona na prawach transmisyjnych. Po raz ostatni bilans był dodatni w 2010 roku, kiedy za łączną kwotę 18 milionów złotych sprzedano Arkadiusza Głowackiego, Marcelo, Júniora Díaza i Piotra Ćwielonga.

W 2015 roku Wisła rządzona przez Bogusława Cupiała osiągnie pełnoletność, do samodzielności wciąż jej jednak daleko – dalej niż kiedykolwiek wcześniej. Nawet jeśli bieżącą działalność uda się zamknąć na plusie, nad klubem ciągle wisieć będzie widmo gigantycznego długu. Musiałby się zmierzyć z nim także potencjalny nowy inwestor, który zechciałby odkupić klub od Tele-Foniki.

Do dziś potężną czkawką odbija się ostatnia próba wejścia do Ligi Mistrzów. Podjęto ogromne ryzyko i choć przychody były większe niż kiedykolwiek wcześniej, koszty również. Gdy postanowiono za wszelką cenę ciąć wydatki, drużyna przestała się liczyć na boisku, brak sukcesów drastycznie obniżył przychody, a koszty utrzymania wciąż były bardzo wysokie. Klub wpadł w finansowy korkociąg i pikuje do dziś. Wynik sportowy zszedł na dalszy plan, wprowadzono limit zarobków, zaczęła się rozpaczliwa i momentami nieporadna walka o utrzymanie przy życiu.

Jest co wspominać, ale przyszłość? O przyszłości strach myśleć. Ale przecież podobnie było na początku tej opowieści...

Dorobek drużyny pod kierownictwem poszczególnych trenerów (rozgrywki ligowe, stan na 11.04.2015)

Trener	Okres pracy	Liczba meczów	Z-R-P*	Bilans bramek	Liczba punktów	Punkty/mecz
Jerzy Kowalik	10.05.98– 30.06.98	6	5-0-1	16:3	15	2,5
Henryk Kaspercak	16.03.02– 13.12.04	78	58-12-8	206:74	186	2,38
Franciszek Smuda	01.07.98– 13.09.99	38	28-6-4	93:33	90	2,37
Wojciech Łazarek	07.03.98 - 10.05.98	11	8-1-2	20:5	25	2,27
Maciej Skorża	13.06.07– 13.03.10	80	56-14- 10	152:54	182	2,27
Dan Petrescu	01.01.06– 18.09.06	20	13-5-2	32:12	44	2,2
Orest Lenczyk	01.07.00– 06.04.01	18	12-3-3	44:17	39	2,17
Jerzy Engel	30.06.05– 24.10.05	10	6-3-1	22:11	21	2,1
Henryk Kaspercak	15.03.10– 05.08.10	10	6-3-1	17:5	21	2,1
Adam Nawałka	20.03.00– 31.06.00	11	7-2-2	30:14	23	2,09
Werner Liczka	14.12.04– 29.06.05	13	8-3-2	26:15	27	2,08
Tomasz Kulawik	06.08.10– 21.08.10	3	2-0-1	2:2	6	2
Franciszek Smuda	26.06.01– 15.03.02	19	12-1-6	36:21	37	1,95
Adam Nawałka	06.04.01– 22.06.01	12	7-2-3	22:10	23	1,92
Robert Maaskant	22.08.10– 06.11.11	40	21-8-11	56:38	71	1,77
	14.02.00–					

Wojciech Łazarek	19.03.00	4	2-1-1	8:7	7	1,75
Trener	Okres pracy	Liczba meczów	Z-R-P*	Bilans bramek	Liczba punktów	Punkty/mecz
Tomasz Kulawik	25.10.05– 31.12.05	7	3-3-1	5:1	12	1,71
Dragomir Okuka	20.09.06– 18.12.06	8	3-3-2	17:9	12	1,5
Kazimierz Moskal	09.03.15 - ?	4	1-3-0	7:6	6	1,5
Kazimierz Moskal	16.04.07– 12.06.07	9	3-4-2	8:9	13	1,44
Franciszek Smuda	12.06.13– 09.03.15	60	23-17- 20	87:76	86	1,43
Jerzy Kowalik	14.09.99– 06.10.99	3	1-1-1	3:5	4	1,33
Adam Nawałka	19.12.06– 15.04.07	6	1-5-0	7:3	8	1,33
Michał Probiez	01.03.12 - 01.10.12	17	6-4-7	16:19	22	1,29
Tomasz Kulawik	03.10.12– 02.06.13	24	8-7-9	23:26	31	1,29
Marek Kusto	07.10.99– 13.12.99	4	1-2-1	5:2	5	1,25
Kazimierz Moskal	07.11.11– 29.02.12	6	2-1-3	4:5	7	1,17

***Zwycięstwa-Remisy-Porażki**

Kadencje trenerów, którzy pracowali w Wiśle więcej niż raz, zostały rozdzielone. Trudno łączyć w jedną całość zespoły, które Henryk Kaspercak miał do dyspozycji w latach 2002–2004 z drużyną, którą otrzymał sześć lat później. Jeszcze bardziej różnią się warunki pracy Franciszka Smudy w latach 1998–1999 z tymi, które spotkał w latach 2013–2015.

Dorobek poszczególnych trenerów Wisły w europejskich pucharach (stan na 31.12.2014)

Trener	Liczba meczów	Z-R-P	Bilans bramek	Liczba punktów	Punkty/mecz
Franciszek Smuda (1. kadencja)	8	5-2-1	21:5	17	2,12
Kazimierz Moskal	4	2-2-0	5:3	8	2,00
Robert Maaskant	10	6-0-4	14:16	18	1,8
Henryk Kaspercak (1. kadencja)	24	12-5-7	57:33	41	1,71
Franciszek Smuda (2. kadencja)	8	4-1-3	10:10	13	1,62
Henryk Kaspercak (2. kadencja)	4	2-0-2	9:4	6	1,5

Orest Lenczyk	6	2-2-2	8:9	8	1,33
Dan Petrescu	3	1-1-1	2:2	4	1,33
Dragomir Okuka	5	2-0-3	8:8	6	1,2
Maciej Skorża	8	2-2-4	10:11	8	1
Jerzy Engel	4	1-0-3	4:9	3	0,75

Zawodnicy z największą liczbą występów za czasów Tele-Foniki (wszystkie rozgrywki, stan na 31.12.2014)

Nr	Piłkarz	Liga	Puchary krajowe	Puchary europejskie	Łącznie
1	Arkadiusz Głowacki	267	54	42	363
2	Marcin Baszczyński	221	63	50	334
3	Paweł Brożek	229	45	25	299
4	Maciej Żurawski	174	44	41	259
5	Tomasz Frankowski	173	47	33	253
6	Mauro Cantoro	164	57	27	248
7	Radosław Sobolewski	186	26	29	241
8	Piotr Brożek	151	43	26	220
9	Grzegorz Pater	143	41	32	216
10	Patryk Małecki	146	36	20	202
11	Marek Zięńczuk	132	35	22	189
Nr	Piłkarz	Liga	Puchary krajowe	Puchary europejskie	Łącznie
12	Rafał Boguski	152	20	12	184
13	Kamil Kosowski	125	38	20	183
14	Ryszard Czerwiec	114	29	18	161
15	Maciej Stolarczyk	102	30	24	156
–	Tomasz Jirsak	109	31	16	156
17	Artur Sarnat	106	26	22	154
18	Mirosław Szymkowiak	91	29	26	146
19	Marek Zając	101	20	19	140
20	Tomasz Kulawik	96	27	16	139
21	Dariusz Dudka	108	17	11	136
–	Łukasz Garguła	113	12	11	136
23	Kazimierz Moskal	84	33	18	135
24	Mariusz Pawełek	101	20	11	132
25	Junior Diaz	86	23	22	131
26	Bogdan Zając	91	22	15	128
27	Olgierd Moskalewicz	84	21	13	118
–	Cleber	73	30	15	118
29	Mariusz Jop	72	27	18	117

30	Andraż Kirm	83	12	16	111
31	Grzegorz Kaliciak	79	18	12	109
32	Paulista	69	26	12	107
33	Grzegorz Niciński	73	15	17	105
34	Radosław Kałużny	82	13	5	100
–	Cezary Wilk	78	8	14	100
36	Wojciech Łobodziński	70	18	10	98
37	Daniel Dubicki	65	6	18	89
–	Kazimierz Węgrzyn	67	15	7	89
39	Tomasz Kłós	67	12	8	87
40	Radosław Majdan	65	11	9	85
41	Marcin Kuźba	50	14	19	83
–	Sergiej Pareiko	64	6	13	83
43	Łukasz Burliga	74	8	0	82
44	Kalu Uche	54	14	13	81
45	Nikola Mijailović	58	12	9	79
46	Osman Chavez	62	4	12	78
47	Gordan Bunoza	70	5	2	77
Nr	Piłkarz	Liga	Puchary krajowe	Puchary europejskie	Łącznie
48	Dragan Paljić	52	9	9	70
49	Cwetan Genkow	55	4	10	69
50	Sunday Ibrahim	44	13	10	67
–	Jakub Błaszczkowski	51	7	9	67
–	Emmanuel Sarki	64	3	0	67

Strzelcy goli dla Wisły za czasów Tele-Foniki (wszystkie rozgrywki, stan na 31.12.2014)

Nr	Piłkarz	Liga	Puchary krajowe	Puchary europejskie	Łącznie
1	Tomasz Frankowski	115	20	21	156
2	Maciej Żurawski	102	25	23	150
3	Paweł Brożek	108	18	12	138
4	Marek Zińczuk	34	9	1	44
5	Grzegorz Pater	21	13	5	39
6	Marcin Kuźba	26	5	6	37
7	Patryk Małecki	24	7	3	34
8	Rafał Boguski	26	5	2	33
9	Tomasz Kulawik	19	4	8	31
10	Cwetan Genkow	17	9	2	28
11	Olgierd Moskalewicz	23	3	1	27

12	Marek Zajęc	17	4	2	23
–	Mauro Cantoro	10	10	3	23
14	Ryszard Czerwiec	16	6	0	22
15	Kamil Kosowski	13	6	2	21
16	Radosław Kałużny	17	2	1	20
–	Kalu Uche	10	3	7	20
–	Łukasz Garguła	16	3	1	20
19	Grzegorz Niciński	15	4	0	19
20	Andraź Kirm	16	0	2	18
21	Radosław Sobolewski	14	2	1	17
22	Mirosław Szymkowiak	13	3	0	16
–	Piotr Brożek	11	2	3	16
Nr	Piłkarz	Liga	Puchary krajowe	Puchary europejskie	Łącznie
–	Paulista	12	3	1	16
–	Dudu Biton	11	2	3	16
26	Daniel Dubicki	9	1	5	15
27	Arkadiusz Głowacki	9	4	1	14
–	Maciej Stolarczyk	11	3	0	14
–	Semir Stilić	14	0	0	14
30	Cleber	10	1	2	13
31	Marcin Baszczyński	10	1	1	12
32	Damian Gorawski	6	1	4	11
33	Mariusz Jop	6	4	0	10
–	Junior Diaz	6	3	1	10
–	Marcelo	10	0	0	10
–	Maor Melikson	6	1	3	10
37	Kazimierz Moskal	5	3	1	9
–	Tomas Jirsak	6	2	1	9
39	Kazimierz Węgrzyn	8	0	0	8
–	Tomasz Kłos	5	3	0	8
–	Paweł Kryszalowicz	7	1	0	8
–	Branko Radovanović	3	5	0	8
–	Michał Chrapek	7	1	0	8
–	Donald Guerrier	8	0	0	8
45	Grzegorz Kaliciak	6	0	1	7
–	Marek Penksa	4	3	0	7
–	Piotr Ćwielong	4	2	1	7
–	Łukasz Burliga	6	1	0	7

-	Cezary Wilk	4	1	2	7
-	Ivica Iliev	4	2	1	7

Zawodnicy strzelający najczęściej (wszystkie rozgrywki, pod uwagę brani piłkarze, którzy strzelili przynajmniej 10 goli, stan na 31.12.2014)

Pozycja	Zawodnik	Co ile minut bramka
1.	Tomasz Frankowski	120,1
2.	Maciej Żurawski	132,6
3.	Marcin Kuźba	134,8
4.	Paweł Brożek	152,4
5.	Dudu Biton	157,3
6.	Cwetan Genkow	180
7.	Semir Stilić	221,5
8.	Kalu Uche	287,5
9.	Daniel Dubicki	311,6
10.	Tomasz Kulawik	318,7
11.	Damian Gorawski	321,4
12.	Olgierd Moskalewicz	331,6
13.	Marek Zięńczuk	339,1
14.	Grzegorz Pater	349,8
15.	Grzegorz Niciński	354,4
16.	Rafał Boguski	356
17.	Jean Paulista	384,6
18.	Patryk Małecki	403
19.	Radosław Kałużny	411,9
20.	Andraż Kirm	430,5
21.	Łukasz Garguła	442,2
22.	Marek Zając	460,9
23.	Ryszard Czerwiec	500,3
24.	Maor Melikson	501,1
25.	Marcelo	553,1
26.	Mirosław Szymkowiak	678,9
27.	Kamil Kosowski	702,1
28.	Mauro Cantoro	783,4
29.	Cleber	786,7
30.	Maciej Stolarczyk	880,3

Ranking bramkarzy pod względem liczby puszcanych goli (tylko rozgrywki ligowe, stan na 31.12.2014)

Bramkarz	Mecze	Minuty	Stracone gole	Co ile minut gol	Bramek/mecz
Filip Kurto	2	105	0	–	–
Marcin Juszczyk	11	904	6	150,6	0,54
Mariusz Pawełek	101	9050	68	133	0,67
Radosław Majdan	65	5846	51	114,6	0,78
Emilian Dolha	20	1800	16	112,5	0,8
Artur Sarnat	106	9494	94	101	0,88
Sergiej Pareiko	64	5624	58	96,9	0,9
Ilie Cebanu	6	473	5	94,6	0,83
Maciej Szczęsny	12	946	10	94,6	0,83
Jakub Wierchowski	3	270	3	90	1
Ivan Trabalik	9	810	9	90	1
Adam Piekutowski	33	2965	34	87,2	1,03
Angelo Hugues	18	1535	20	76,75	1,11
Michał Miśkiewicz	45	4050	56	72,3	1,23
Michał Buchalik	19	1710	24	71,2	1,26
Milan Jovanić	6	451	8	56,3	1,33
Gerard Bieszczad	1	45	1	45	1
Łukasz Jarosiński	1	90	45	22,5	4

Złota jedenastka

P. Brożek Żurawski Frankowski
Uche Sobolewski Szymkowiak Kosowski
Baszczyński Głowacki Stolarczyk
Sarnat

Rezerwowa złota jedenastka

Kuźba
Pater Kulawik Czerwiec Zieńczuk
Kałużny Cantoro
M. Zając Cleber B. Zając
Pawełek

PODZIĘKOWANIA

Za kilkanaście miesięcy cierpliwości – Arielowi i Dominice. Od teraz powinno być już lepiej. Tacie, bo zawsze jesteś. Mamie też (wiem, że się starasz). Za wsparcie zawsze i wszędzie – Krzyškowi Oliwie. Wszystkim, którzy męczyli mnie od dłuższego czasu: „Weźże napisz coś, człowieku”. Mam nadzieję, że się nie myliliście.

Za sugestie, rady, krytykę, otuchę, dobre słowo, ochrzany, a czasem nawet pochwały – Romkowi Brzozowskiemu, Piotrkowi Jaworowi, Andrzejowi Klembie, Kamili Kotulskiej, Waldkowi Łodzińskiemu, Łukaszowi Mordarskiemu, Łukaszowi Olkowiczowi, Michałowi Zichlarzowi, Markowi Wawrzynowskiemu, Przemkowi Zychowi i Piotrkowi Żelaznemu.

Wszystkim moim rozmówcom, szczególnie tym, którzy odsłaniali przede mną kulisy i bez zbędnych ceregieli wprowadzali w temat jeszcze głębiej. Nie ma sensu wymieniać tutaj wszystkich, każdy z Was znajdzie w tej książce swój ślad, w końcu to także część Waszej historii. Nie potrafię jednak się powstrzymać, by nie podziękować Markowi Koniecznemu, Grześkowi Kaliciakowi, Januszowi Basałajowi, Zbigniewowi Koźmińskiemu, Maciejowi Skorzy, Andrzejowi Iwanowi, Artkowi Sarnatowi, Pawłowi Strąkowi, Łukaszowi Nawotczyńskiemu, Stanisławowi i Rafałowi Ziętkom, Maciejowi Szczęsnemu. Dziękuję także tym, których z najróżniejszych powodów nie mogłem zacytować pod imieniem i nazwiskiem.

Za wszelką pomoc dziękuję Radu Baicu, Michałowi Łabusiowi, Grzegorzowi Wojtowiczowi, Łukaszowi Radoszowi i Wojtkowi Studzieńskiemu. Jeśli o kimś zapomniałem, a zapomniałem na pewno, niech przeklnie mnie w duchu, a potem postara się wybaczyć.

Prolog. Utracone marzenia

Biała Gwiazda zaświeci mocniej, „Tempo” nr 288, 11.12.2002, Tadeusz Fogiel

1. Nad przepaścią

Nie przystąpili do treningu, „Dziennik Polski” nr 161, 12.07.1997, W.GOR

2. Ratunek

(Nie) cała prawda o wiślackiej piłce, „Dziennik Polski” nr 278, 29.11.1997, Krzysztof Kawa

Spowiedź Fryzjera. Szokująca prawda o korupcji w polskim futbolu – autobiografia Ryszarda Forbricha spisana przez Adama Godlewskiego

Klub żon, „Dziennik Polski” nr 146, 25.06.2001, Małgorzata Syrda-Śliwa

3. Plac budowy

Klub żon, „Dziennik Polski” nr 146, 25.06.2001, Małgorzata Syrda-Śliwa

4. Premiera

Pierwsze mgnienie wiosny, „Piłka Nożna” nr 10, 10.03.1998, Waldemar Skorupka

5. Szef szefów

Podstawić nogę Włochom, „Piłka Nożna” nr 42, 20.10.1998, Leszek Orłowski

Śmierć załatwiacza, „Wprost” nr 16/2001, Grzegorz Pawelczyk

Sąd Okręgowy w Krakowie – sygnatura akt III K 38/02

Prokuratura Apelacyjna w Rzeszowie. Wydział do spraw przestępczości zorganizowanej i korupcji – sygnatura akt PR-IV-VIII Ds. 21/08/S

6. Pierwszy skalp

Kulturalnie, ale stanowczo, „Dziennik Polski” nr 56, 08.03.1999, Jerzy Sasorski

Gra o mistrza alfabetem Smudy – weszlo.com, 31.03.2012, Kamil Kosowski

7. Powrót do Europy

Wisła powinna wygrać, „Dziennik Polski” nr 247, 21.10.1998, AS

8. Dzieciaki Nawalki

Kiedyś potrafił rozpętać wojnę, „Przegląd Sportowy” nr 164, 16.07.2013, Mateusz Karoń

9. Futbolowy folklor

Jadę na gryby, „Dziennik Polski” nr 216, 15.09.1999, Grzegorz Wojtowicz

Frankowski do rezerw!, „Dziennik Polski” nr 246, 20.10.1999, Grzegorz Wojtowicz

Wojciech Łazarek bliżej piłkarzy Wisły, „Dziennik Polski” nr 38, 15.02.2000, SAS

Jest o co walczyć, „Dziennik Polski” nr 164, 16.07.1999, GW

10. Złota piątka

Matka płacze, ojciec chce się bić, a mnie wyzywają, „Przegląd Sportowy” nr 64, 16.03.2012, Łukasz Olkowicz, Piotr Wołosik

11. Cud nad Wisłą

Za dużo błędów, „Dziennik Polski” nr 183, 07.08.2000, AS

13. Przekręt, którego nie było

Polski Hierro czy Vieira, „Piłka Nożna” nr 29, 18.07.2000, Waldemar Skorupka
Jak Amica nie chciała się sprzedać Wiśle, „Tempo” nr 121, 25.05.2001, Janusz Atlas
Legia motywuje, „Tempo” nr 104, 5–6.05.2001, Jerzy Mucha

14. 21 dni w lesie

Zasypany – autobiografia Igora Sypniewskiego spisana przez Pawła Hochstima i Żeliszawa Żyżyńskiego. Grupa Wydawnicza Foksal - Buchmann Sp. z o.o., 2014

15. Rivaldo i Ronaldo pod Wawelem

Wisła płaci arbitrom?!, „Dziennik Polski” nr 227, 28.09.2001, MARO
Chamstwo pojedyncze, „Gazeta Wyborcza” nr 65, 18.02.2002, MIBI
Jakiś taki dziwny, „Dziennik Polski” nr 254, 30.10.2001, Krzysztof Kawa

16. Maszyna do wygrywania

Hormony dojrzałego mężczyzny – Futbol.pl, wrzesień 2007
Rozumieliśmy się bez słów, „Przegląd Sportowy” nr 212, 10.09.2010, Piotr Wołosik

17. Oddana szansa

Całe zło Kaspercza, „Gazeta Wyborcza” nr 283, 03.12.2004, Michał Białoński

18. Tbilisi, czyli koniec

Całe zło Kaspercza, „Gazeta Wyborcza” nr 283, 03.12.2004, Michał Białoński

19. Mistrzostwo rozpachy

Wierzę w awans! Jeszcze nie wszystko stracone, „Przegląd Sportowy” nr 209, 7.09.2009, Piotr Wołosik

Liga Mistrzów nakręca Sobolewskiego, „Magazyn Przeglądu Sportowego”, 23.08.2011, Przemysław Zych

20. Grecka tragedia

I znów nie poszło, „Gazeta Wyborcza” nr 196, 24.08.2005, Michał Białoński
Ja im tego nie zapomnę, „Przegląd Sportowy” nr 197, 25.08.2005, Krzysztof Kawa
Sąd Okręgowy w Krakowie – akt oskarżenia, sygnatura akt III K 364/13

21. Pieśń o szalonym Rumunie

Wojownicza Wisła, „Fakt” nr 28, 02.02.2006, Jarosław Matusiak

22. Samotna stulatka

Koniec przymusowej diety, „Przegląd Sportowy” nr 6, 08.01.2007, Maciej Szmigielski

23. Król Maciuś

Sam na sam z samotnością, „Przegląd Sportowy” nr 252, 27–28.10.2007, Krzysztof Kawa
Wykorzystaliśmy prezenty, „Dziennik” nr 127, 01.06.2009, Artur Szczepanik, Krzysztof Oliwa

Oraz

portal historiawisly.pl

portal wislakrakow.com

Encyklopedia piłkarska FUJI, kolekcja klubów, tom 3, *Wisła Kraków*

portal 90minut.pl

blog [Piłkarska mafia](http://Piłkarska_mafia)



7 marca 1998 roku. Pierwszy mecz Wisły po przejęciu klubu przez Tele-Fonikę. Biała Gwiazda pokonała GKS Katowice 2:0 po bramkach Jacka Matyi i Tomasza Kulawika

Fot. PAP/Jacek Bednarczyk



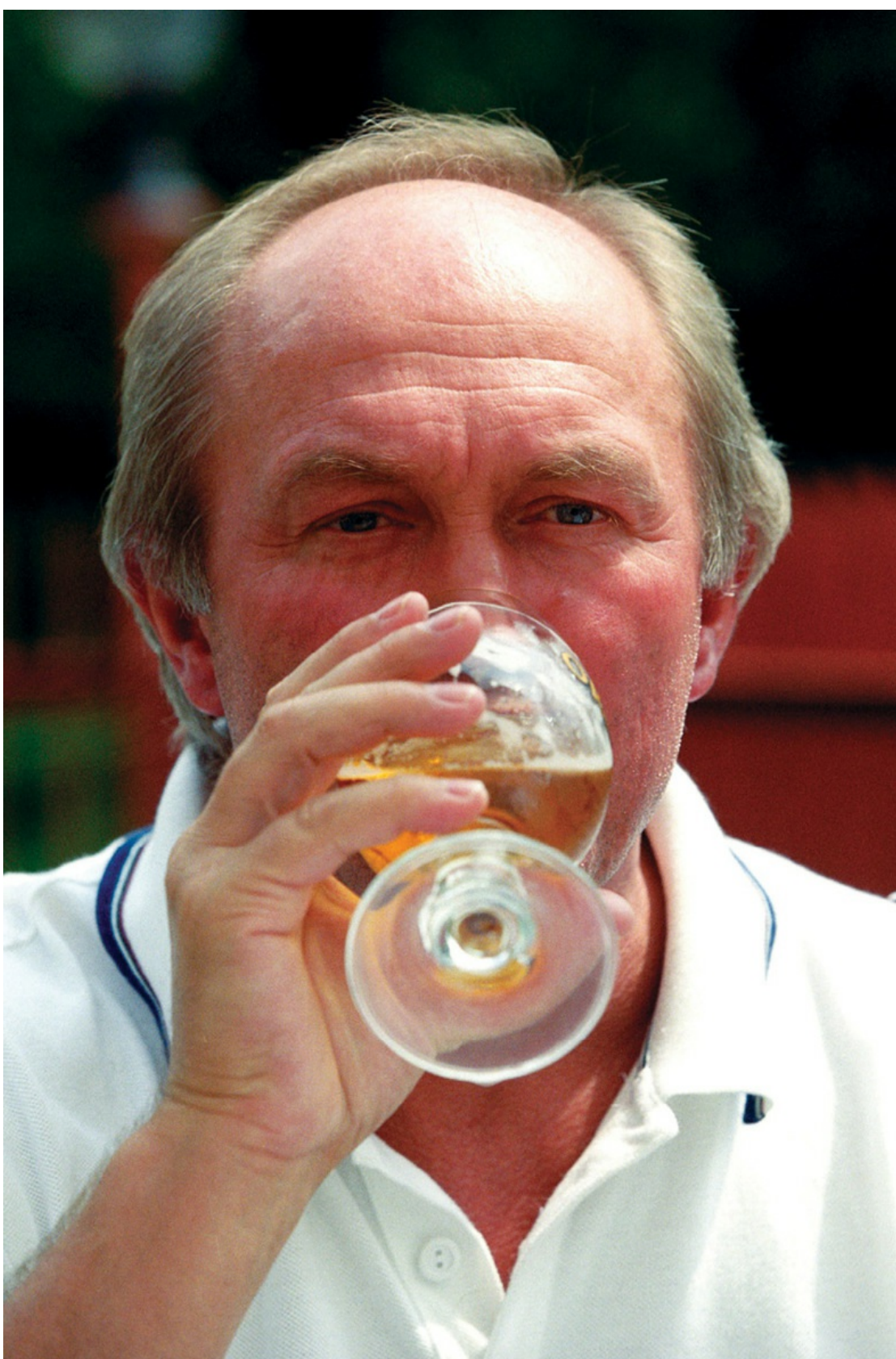
Styczeń 1998 roku i słynne zgrupowanie w Wiśle za czasów Wojciecha Łazarka, w którym udział wzięło blisko 50 piłkarzy

Fot. Włodzimierz Sierakowski/FOTO SPORT



Październik 1998 roku. Parma w Krakowie po raz pierwszy. Tomasz Frankowski kontra Nestro Sensini

Fot. Włodzimierz Sierakowski/FOTO SPORT



W upalne dni warto zadbać o odpowiednie nawodnienie. Franciszek Smuda na zgrupowaniu w Straszecinie w 1999 roku

Fot. Włodzimierz Sierakowski/FOTO SPORT



Słynna cupiałówka w 2000 roku. W otoczeniu właściciela Wisły m.in. Jacek Dębski, Andrzej Placzyński i bracia Basałaj

Fot. Włodzimierz Sierakowski/FOTO SPORT



Wrzesień 1998 roku. Po wyjazdowym meczu z Mariborem Teatonic. Za chwilę koszulka drużyny rywali utonie w basenie niczym prawdziwy Titanic. Od lewej: Bogdan Zając, Grzegorz Kaliciak, Artur Sarnat, Marek Konieczny, Jacek Matyja, Krzysztof Bukalski

Fot. Marek Konieczny



Październik 1998 roku. Spacer przed wyjazdowym meczem z Parmą. Od lewej: Tomasz Kulawik, Radosław Kałużny, Bogdan Zając, Grzegorz Kaliciak, Grzegorz Niciński, Jacek Matyja

Fot. Marek Konieczny



Sierpień 2000 roku. Lot do Sarajewa na mecz z Żeljeznicaem. Kosa wyraźnie zmęczony podróżą. Od lewej: Kamil Kosowski, Marcin Baszczyński, Radosław Kałużny, Maciej Żurawski, Adam Piekutowski, Ryszard Czerwiec

Fot. Marek Konieczny



Sierpień 2000 roku. Lot do Sarajewa. Od lewej: Łukasz Sosin, Marek Zając, Grzegorz Niciński, Arkadiusz Głowacki, Marek Konieczny

Fot. Marek Konieczny



Sierpień 2000 roku. Sztab szkoleniowy odpoczywa na tarasie w Sarajewie przed meczem z *Željeznicarem*. Od lewej: Mariusz Urban, Andrzej Iwan, Orest Lenczyk, Marek Konieczny, Zdzisław Kapka, Waldemar Fornalik

Fot. Marek Konieczny



Wrzesień 2000 roku. Lot do Saragossy, przesiadka w Barcelonie. Piłkarze właśnie dostali od sponsora torebki na buty, lecz niektórzy wzięli je za... torebki na rzeczy podręczne. Od lewej: Arkadiusz Głowacki, Marcin Baszczyński, Kamil Kosowski, Marek Konieczny, Adam Piekutowski, Grzegorz Pater, Kazimierz Moskal

Fot. Marek Konieczny



Luty 2001 roku. Partyjka w karty podczas zgrupowania na Cyprze. Od lewej: Olgierd Moskalewicz, Tomasz Kulawik, Grzegorz Pater, Tomasz Frankowski, Kazimierz Moskal

Fot. Marek Konieczny



Lipiec 2001 roku. Zgrupowanie w Szwajcarii. Od lewej: Marek Konieczny, Grzegorz Pater, Kazimierz Moskał, Jacek Przybylski, Artur Sarnat, Witold Wawrzyczek (masażysta), Olgierd Moskalewicz, Tomasz Frankowski (zasłonięty), Bogdan Zając

Fot. Marek Konieczny



Czerwiec 2001 roku. Mistrzowska patera w górze! Drugi tytuł Wisły pod rządami Bogusława Cupiała

Fot. Przegląd Sportowy/Newspix



Kamil Kosowski i Maciej Żurawski – dwaj bohaterowie spotkania na Arena auf Schalke. Jeden napoczął, a drugi dobił faworyzowanego rywala w meczu, który przeszedł do historii polskiej piłki

Fot. Przegląd Sportowy/Newspix



Mecze Wisły z Legią zawsze dostarczały dodatkowych emocji. Tutaj spotkanie z września 2002 roku, które zakończyło się porażką Białej Gwiazdy 2:3

Fot. Włodzimierz Sierakowski/FOTO SPORT



Kalu Uche dwoił się i troił, ale Wisła przegrała w Krakowie z Lazio 1:2 i zakończyła swój triumfalny marsz w Pucharze UEFA w sezonie 2002/2003

Fot. Włodzimierz Sierakowski/FOTO SPORT



Henryk Kasperczak, czyli wielkie sukcesy, jak wygrane z Parmą i Schalke, ale też spektakularne klęski, jak porażki z Dinamo Tbilisi i Karabachem Agdam

Fot. Włodzimierz Sierakowski/FOTO SPORT



Raúl i Míchel Salgado przy Reymonta, czyli Wisła kontra Los Galacticos z Madrytu

Fot. Włodzimierz Sierakowski/FOTO SPORT



O krok od upragnionej Ligi Mistrzów. Zabrakło kilkunastu minut, by w Atenach spełnić wreszcie marzenie o piłkarskim rajku...

Tomasz Markowski/Newspix



Dan Petrescu wprowadził do Wisły wojskowy dryl. Podziękowano mu za pracę po niespełna dziewięciu miesiącach

Fot. Włodzimierz Sierakowski/FOTO SPORT



Maj 2008 roku. Chwile radości Macieja Skorży. Po dwóch sezonach posuchy tytuł wraca do Krakowa

Fot. Włodzimierz Sierakowski/FOTO SPORT



Sierpień 2008 roku. Marcin Baszczyński próbuje powstrzymać Samuela Eto'o. Po porażce 0:4 na Camp Nou Wisła pokonała w Krakowie FC Barcelonę Pepa Guardioli 1:0, odnosząc historyczne zwycięstwo

Fot. Włodzimierz Sierakowski/FOTO SPORT



Jeden z najbardziej pamiętnych obrazków sezonu 2010/2011 – Robert Maaskant z Patrykiem Małkiem w triumfalnej przejażdżce po stadionie Wisły

Fot. Włodzimierz Sierakowski/FOTO SPORT

WISŁA KRAKÓW

SEN O POTĘDZE

Copyright © 2015 by Mateusz Miga

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2015

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Mateusz Celer

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Fotografia na I stronie okładki – W. Sierakowski/FOTO SPORT

Fotografia na IV stronie okładki – Kuba Atys/Agencja Gazeta

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2015

ISBN EPUB: 978-83-7924-391-4

ISBN MOBI: 978-83-7924-390-7




www.wydawnictwosqn.pl


Szukaj naszych książek
również w formie
elektronicznej



 DYSKUTUJ O KSIĄŻCE

 /WydawnictwoSQN

 /SQNPublishing

 /WydawnictwoSQN

 NASZA KSIĘGARNIA www.labotiga.pl

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Ta książka się nie ukáže](#)

[Utracone marzenie](#)

[1. Nad przepaścią](#)

[2. Ratunek](#)

[3. Plac budowy](#)

[4. Premiera](#)

[5. Szef szefów](#)

[6. Pierwszy skalp](#)

[7. Powrót do Europy](#)

[8. Dzieciaki nawalki](#)

[9. Futbolowy folklor](#)

[10. Złota piątka](#)

[11. Cud nad wisłą](#)

[12. I na co nam to było?](#)

[13. Przekręt, którego nie było](#)

[14. 21 dni w lesie](#)

[15. Rivaldo i Ronaldo pod wawelem](#)

[16. Maszyna do wygrywania](#)

[17. Oddana szansa](#)

[18. Tbilisi, czyli koniec](#)

[19. Mistrzostwo rozpaczy](#)

[20. Grecka tragedia](#)

[21. Pieśń o szalonym rumunie](#)

[22. Samotna stulatka](#)

[23. Król Maciuś](#)

[24. Pieszko z Tallinna](#)

[25. Na skróty do raję](#)

[26. Którędy do Ligi Mistrzów?](#)

[Statystyki](#)

[Podziękowania](#)

[Źródła](#)

[Zdjęcia](#)

[Strona redakcyjna](#)



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:

f/WydawnictwoSQN

🐦/SQNPublishing

www.wsqn.pl

Nasza księgarnia internetowa:

www.labetiga.pl



